

SEAN McMULLEN

Szklane smoki

Przełożyła
Jowita Matys

Prószyński i S-ka



Tytuł oryginału
GLASS DRAGONS

Copyright © 2004 by Sean McMullen
All Rights Reserved

Projekt okładki
Maciej Garbacz

Redakcja
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Anna Troszczyńska

Korekta
Bronisława Dziejic-Wesołowska

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-529-9

Fantastyka

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
ABEDIK S.A.
61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

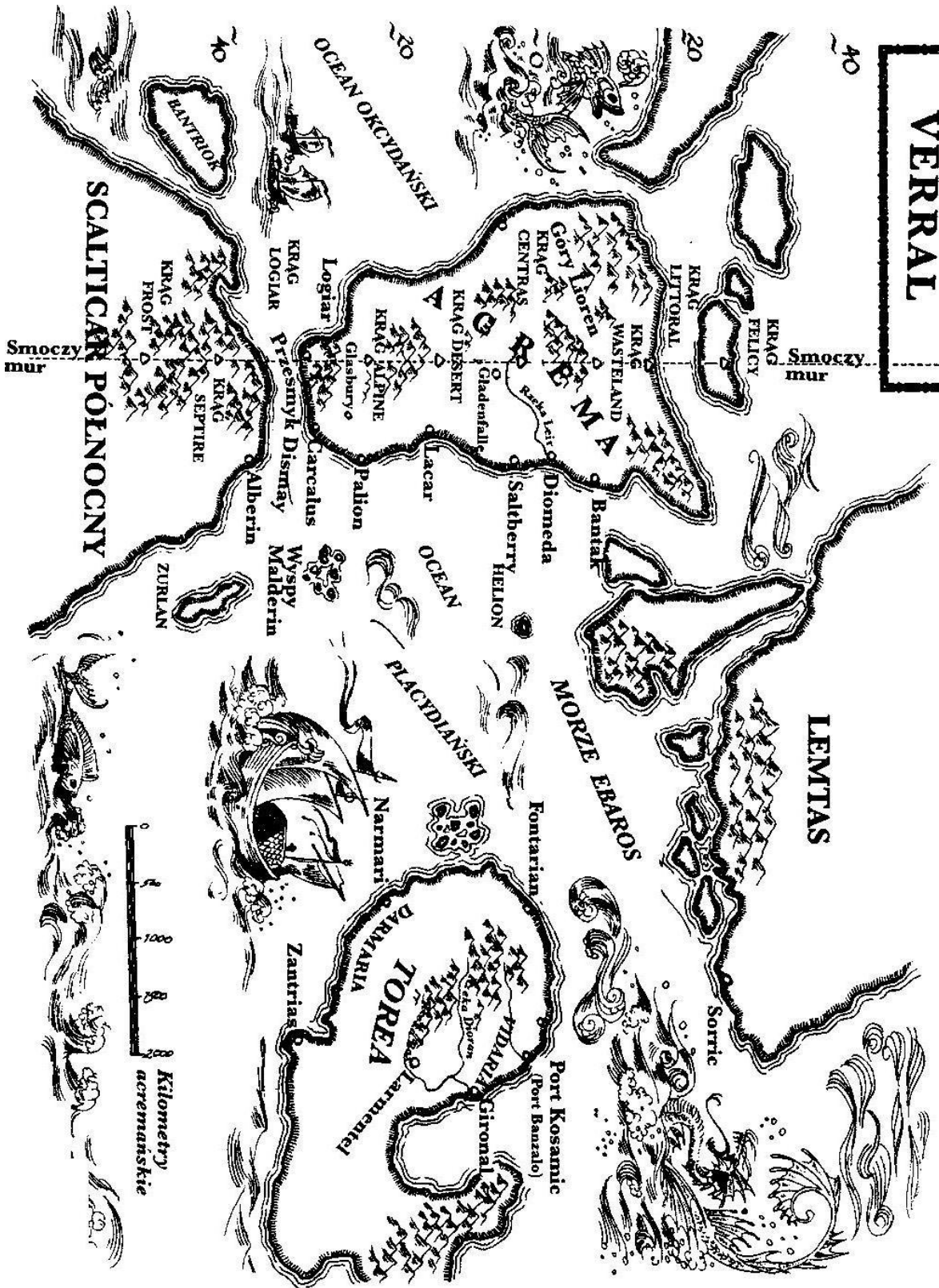
*Mamie,
która nauczyła mnie doceniać
dobre maniery,
i starszym braciom,
którzy nauczyli mnie doceniać
dobre przyjęcia*

Podziękowania

Dziękuję żonie Trish i córce Catherine, które prowadziły wóz, kiedy podróżowałem w poszukiwaniu Wallasa i Andry'ego.

Podziękowania niech przyjmą też Alexander Albert, Mike Dyal Smith, Paul Collins i wielu innych z klubów karate i szermierczego Uniwersytetu Melbourne, którzy inscenizowali sceny walk.

VERRAL



Spis treści:

Prolog	7
Rozdział 1 Smoczy plan	17
Rozdział 2 Smocze uderzenie	62
Rozdział 3 Smoczy mur	101
Rozdział 4 Pogromca smoka	136
Rozdział 5 Smokoptak.....	202
Rozdział 6 Smocza szkoła.....	238
Rozdział 7 Smoczy strach	300
Rozdział 8 Smocze piskłę	349
Rozdział 9 Dziewczyna smok	390
Rozdział 10 Smocze narodziny.....	427
Epilog.....	461

Prolog

Ulewny deszcz strugami smagał ulice Alberinu, porywisty wiatr miotał przechodniami, lecz dwaj mężczyźni, którzy wyszli z pałacu, czuli ulgę, że są już na zewnątrz. Nie oglądając się za siebie, pospieszyli do bramy, ignorując strażnika, który jowialnie machnął w ich stronę butelką.

- Chciałbym zaznaczyć, że zwerbowanie jej do naszego przedsięwzięcia było twoim pomysłem, Talberanie - powiedział wyższy.

- Słyszałem, że jest ekscentryczna, ale to było już zbyt wiele - odparł ten drugi.

- Służący w stringach z króliczego futerka, służące przebrane za satyry... A jak ona i jej goście byli ubrani! Gdybym tego nie zobaczył, nigdy bym nie uwierzył.

- Jesteś pewien, że jest najpotężniejszą czarodziejką w Scalticarze Północnym, Lavoltenie?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Pani Wensomer Callientor jest także jedyną osobą w dziejach, która odmówiła poddania się rytuałowi wtajemniczenia trzynastego stopnia. Powiedziała, że „dwunasty stopień” brzmi elegancko, a „czternasty stopień” szlachetnie, ale „trzynasty stopień” nie ma w ogóle stylu i odmówiła.

Burza nie zaszkodziła nocnemu życiu Alberinu, jedynie przeniosła je pod dachy. Muzyka, dym z fajek i śmiechy wylewały się z ciepłych, jasnych tawern, które mijali, a wiatr od czasu do czasu przynosił zapach świeżego pieczywa i pieczonego mięsa. Pijany młodzieniec szedł chwiejnie ulicą, z butelką w jednej ręce i cienkim fletem w drugiej. Talberan i Lavolten rozdzielili się, aby go wyminąć.

Chciałbym być w Alberinie,

Ilekróć wiatr wieje mi w twarz.

Chłopcy są miłe witani w Alberinie...

Skręcali już, gdy śpiew nagle się urwał. Zauważyli, że chłopak wpadł na stojący nieopodal wóz i runął do pełnego wody rynsztoka.

- Przecież już jest w Alberinie, dlaczego śpiewa, że chciałby tu być? - zapytał Lavolten.

- Pijacki bełkot, taki sam, jakim uraczyła nas ta czarodziejka. Daliśmy jej szansę rozkazywania wiatrom!

- A ona odrzekła, że woli raczej rozkazywać swoim gościom, aby wymieniali się partnerami co pół godziny!

- Mogłaby rządzić światem.

- A ona na to, że była już na zbyt wielu ucztach urządzanych przez władców, ale żadna nie była tak huczna jak te, które sama wydaje.

- Mogłaby być nieśmiertelna.

- A ona, że znała wielu nieśmiertelnych i wszyscy byli śmiertelnie nudni.

- Zastanawiam się, czego chce ta kobieta - rzucił w miotającą deszczem ciemność Lavolten, podnosząc z irytacją rękę do góry.

- Powiedziała nam, Lavoltenie. Pragnie poznać sekret, jak schudnąć, nie stosując gimnastyki ani diety.

- Czy ona nie rozumie, że daliśmy jej szansę zostania boginią?

- Powiedziała, że wszyscy bogowie mają piękne ciała i wąskie talie, więc podejrzewa, że wtedy trzeba stosować dietę i gimnastykę.

Skręcili w aleję. Kiedy zaczęli się wspinać po ceglanych murze, szpony przeświecały delikatną niebieską poświatą przez czubki ich butów i palce rękawiczek.

- Do kogo spróbujemy zwrócić się teraz? - zapytał Talberan w trakcie wspinaczki.

- Do kogoś starszego, kogoś, kto nie oczekuje już niczego od życia, chociaż zachował jeszcze ideały.

- Astential?

- Tak, wtajemniczony czternastego stopnia. Ma osiemdziesiąt jeden lat i nie interesują go rozkosze cielesne. Powinien szybko ulec pokusie.

- W przeciwieństwie do tej rozpasanej czarodziejki. Nadal nie mogę uwierzyć! Odrzuciła naszą ofertę, bo, jak powiedziała, nie znajduje w niej nic interesującego!

Wdrapali się na krawędź muru, a potem na dach i to był ostatni moment ich ostatniego pobytu w Alberinie. Następnego dnia dekarz, który sprawdzał, co zatkało rynnę, znalazł dwa płaszcze wepchnięte w odpływ na dachu. Były zupełnie nowe i

nosiły znak miejscowego krawca. W pobliżu leżały dwie sakiewki, a w każdej było po dwadzieścia srebrnych monet. Będąc praktycznym i rozsądnym człowiekiem, który nie ma w zwyczaju zaprzętać sobie głowy drobiazgami, zatrzymał srebro, zapakował płaszcze i sakiewki, aby później sprzedać je na targu i pobrał od właściciela budynku opłatę za przeczyszczenie rynny. Ale do tego czasu Talberan i Lavolten byli już na innym kontynencie i odbywali owocne spotkanie z mądrym, potężnym i powściągliwym czarodziejem, który w godny podziwu sposób był pewien, że absolutnie nadaje się do sprawowania boskiej władzy.



Kamienny krąg nie był po prostu stary, był starożytny. Ostatni raz używano go, zanim jeszcze zbudowano pierwsze miasta, ale obecnie był już tylko okrągłym kopcem stumetrowej średnicy.

Zatrzymało się przy nim trzech starszych jeźdźców eskortowanych przez tuzin najemnych kawalerzystów i pół tuzina robotników wlekących się rzędem za końmi. W przeciwieństwie do strażników trzech mężczyźni nie byli uzbrojeni i nie mieli na sobie pancerzy. Najemnicy patrzyli bez szczególnego zainteresowania, jak tamci z juków przy siodłach wypakowują paliki i sznurki, a potem obmierzają starożytny kopiec. Jeden z nich nadzorował robotników, którzy przystąpili do kopania trzech dziur w pagórku. Nie mogli nazwać się pierwszymi na świecie archeologami, ponieważ tego słowa jeszcze nie wymyślono, ale w rzeczy samej nimi byli.

- O tym kopcu wspomina kronika, o której wiadomo, że ma tysiące lat - powiedział człowiek z najdłuższą brodą, wbijając palik w ziemię.

Jego towarzysz wyjął zwój z przewieszanej przez ramię torby, rozwinął go i zaczął czytać:

- „Diabelski kopiec... przeklęte miejsce... miejsce śmierci... mówi się o nim, że wzmaga męskość, jeśli ktoś położy się na jego szczycie w dniu przesilenia o świcie i...”.

- To wszystko folklor i wiejska magia, Waldesarze. Skupmy się na jego pierwotnym przeznaczeniu.

- Starszy niż jakiegokolwiek królestwo czy miasto - ciągnął jego towarzysz.

- O! Bardzo znaczące.



Wkrótce czarodzieje-archeolodzy obmierzyli pagórek, a także poczynili obserwacje dotyczące wysokości, pozycji i ruchów słońca. Dwaj pasterze, którzy niedaleko paśli kozy, również spojrzeli na pozycję słońca i uznali, że jest południe,

więc zaczęli jeść obiad.

- Próbuja wyglądać jak szlachcice - powiedział niższy, wskazując głową przybyszów.

- No - odparł jego kolega, drapiąc się pod przyklejoną brodą. - Ale szlachcice starają się wyglądać wspaniale, więc wkładają piękne szaty i mają sfory psów, bawią się w szczucie i bicie wieśniaków. Ci tutaj mają piękne szaty, lecz nie mają broni, psów ani herbów.

- Czyli czarodzieje?

- No i badają moc starożytnego miejsca.

- Bardzo znaczące.



Nieco dalej drwal i cieśla ładowali połamane przez wiatr konary na zaprzężony w woły wóz.

- Ci dwaj z palikami i sznurkiem to najmędrzy Astential i uczony Waldesar - powiedział drwal.

- A ten przy wykopie? - zapytał cieśla.

- Trudno powiedzieć, nie widzę jego twarzy. Spędza za dużo czasu na kolanach, zaglądnąc do dziur, ale jest młodszy niż pozostali dwaj.

- Uczony Sergal. Ma zaledwie siedemdziesiątkę i uprawia zarówno nauki ścisłe, jak i magię.

- Ale uczony Sergal nienawidzi uczonego Waldesara.

- Święta racja, lecz skoro Sergal i Waldesar teraz pracują razem...

- Bardzo znaczące.



U podnóża kopca leżała w trawie para kochanków.

- Astential, Waldesar i Sergal - wyszeptła dziewczyna, podczas gdy chłopak całował jej ucho.

- Ciągłe wspominają o Smoczym Murze - odszepnął chłopiec, który miał nadzwyczaj dobry słuch.

- Smoczy Mur był starożytną machiną eteryczną do zmieniania ludzi w bogów, żeby mogli władać wiatrami. Ale jego sekret zaginął.

- Może ci ludzie także zamierzają zostać bogami.

- Bardzo znaczące.



Na szczycie pobliskiej góry myśliwy polujący na gołębie przystanął, aby pociągnąć łyżeczek z flaszki. Bliższe badanie wykazałoby, że w dno jego butelki wbudowane są soczewki, a szyjkę zamiast do ust przykładają do oka.

- Wystarczy - powiedział jego towarzysz. - Nie byłbyś w stanie pić z butelki tak długo.

- Oznaczyli już całe stanowisko - raportował myśliwy, opuściwszy lunetę. - Wbili siedemnaście palików, szesnaście na obwodzie i jeden w centrum.

- Bardzo znaczące.



Najmądrszy Astential i uczony Waldesar usiedli na szczycie pagórka obok wykopu, w którym pracował uczony Sergal. Obaj, chociaż bardzo podekscytowani, zachowali jeszcze powściągliwość ludzi, którzy aczkolwiek osiągnęli coś niezmiernie ważnego, to nie chcą, by ktoś inny się o tym dowiedział.

- Dobre wieści - oznajmił Sergal, podnosząc kawałek łupku.

- Jak mogą być dobre? - zapytał Waldesar. - Szukamy dołu pokrytego warstwą stopionego piasku grubą na trzydzieści centymetrów. To jest kopiec.

- Moje wykopaliska wykazały, że to w rzeczy samej jest zagłębienie o średnicy stu kroków. Zostało celowo wypełnione ziemią jakieś pięć tysięcy lat temu. Zajrzyjcie do wykopu. Cztery i pół metra do warstwy stopionego piasku, a ostatnie półtora metra jest poniżej poziomu gruntu. Zewnętrzny wykop ma tylko sześćdziesiąt centymetrów głębokości, a tu krawędź stopionego piasku i kamieni jest trzydzieści centymetrów wyżej niż obszar zalewowy.

- Czyli zdecydowanie jest to miejsce, gdzie był kamienny krąg Smoczego Muru!
- wykrzyknął Astential. - Jego dno stanowi warstwa stopionego piasku, ma średnicę stu kroków, półtora metra głębokości w środkowej części, jego obrzeże ma trzydzieści centymetrów grubości.

- Ktoś rozmyślnie ukrył to miejsce - oświadczył Waldesar, zawsze chętnie zgadzający się ze swoim mistrzem, gdy ten mówił coś inteligentnego. - Nic dziwnego, że zaginęło na tak długo.

- Tak, tak, a teraz my je odnaleźliśmy - ciągnął Astential. - Musimy usunąć całą tę ziemię, naturalnie, ale do tego potrzebujemy koni, wozów, robotników.

- Dlaczego budowniczy wypełnili to miejsce ziemią, o najmądrzejszy mistrzu? - zapytał Astentiala Sergal.

- Budowniczy? - roześmiał się Waldesar. - Zakopał to nie wiadomo kto i nie

wiadomo kiedy w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat.

- Dostarczę wam dowód - odpowiedział Sergal - a mam dowody i na wiek kręgu i na to, kiedy został zasypany.

- Dowód? - roześmiał się Waldesar. - Nie masz dowodów na żaden wiek, z wyjątkiem kronik.

- O, doprawdy? - Sergal wskazał gęsim piórem brzeg swojego wykopu. - A co mogą nam powiedzieć te pasma?

W wykopie widać było kilka ułożonych na przemian warstw ciemnej i jasnej ziemi. Waldesar gapił się na nie chwilę, a potem zwrócił się do Astentiala.

- To mnie przerasta, najmędrzy - powiedział. - Czy możesz odczytać tu jakąś informację?

Sergal jeszcze nie uświadomił sobie, że Waldesar zgrabnie ominął jego atak i zmusił go do zrobienia głupca z Astentiala.

- Jakiego zaklęcia muszę użyć, aby odnaleźć w tym jakiś sens? - zapytał Astential.

- Och, potrzebny jest tylko zdrowy rozsądek - zaczął Sergal; później głos go zawiódł.

Sergal był znany ze swojej naukowej doskonałości, ale dyplomacja nie należała do jego najmocniejszych stron. Teraz było już odrobinę za późno, lecz nagle uświadomił sobie, że kazał wtajemniczonym czternastego stopnia użyć zdrowego rozsądku - i że Astential nie doszedłby do niczego, gdyby to robił. Twarz najmędrszego zaczęła marszczyć się w grymasie niezadowolenia.

- Cóż, naprawdę nie potrzeba tu żadnych zaklęć, żadnej magii w ogóle! - pospiesznie dodał Sergal. - W trakcie moich badań historycznych dotyczących tego terenu znalazłem informację, że trzydzieści kilometrów stąd jest wulkan. Wybucha co sześć stuleci. To bardzo dziwne jak na wulkan. Wulkany są, wiecie, nieprzewidywalne.

- Proszę, przejdź do rzeczy, uczonego Sergalu - powiedział Astential wystarczająco zirytowany, aby użyć formalnego tytułu wtajemniczonego niższego stopnia.

- Otóż mamy tu dziewięć warstw popiołu ponad warstwą mułu rzecznego, którym ktoś wypełnił zagłębienie. Dziewięć warstw razy sześć stuleci daje pięć tysięcy czterysta lat. To z grubsza zgadza się z wiekiem, jaki kronika przypisuje machinie Smoczego Muru.

Astential gładził się po brodzie. Robił to zawsze, kiedy był czymś podekscytowany, ale starał się tego nie okazywać. Wyciągnął niewielką książeczkę.

Niedawno oprawiono ją w okładkę z kości słoniowej i złota, ale stronicie były z niezwykle starego pergaminu pokrytego delikatnym pismem.

- „... a cztery tysiące lat przedtem, nim zbudowano Logiar, był kamienny krąg Smoczego Muru, który zmieniał mądrych ludzi w bogów, tak że mogli władać samymi wiatrami” - przetłumaczył. - O Logiar wiadomo, że ma półtora tysiąca lat, to daje nam więc pięć tysięcy pięćset lat. A to doskonale pasuje. Dobra robota, uczony Sergalu.

- Może zakopali go ci czarownicy, którzy stali się bogami - powiedział Waldesar, czym prędzej porzucając swoją niezachwianą opinię. - Z pewnością nie chcieli, aby ktoś inny użył ich maszyny eterycznej.

- A dlaczego ci inni jej nie odkopali? - zapytał Sergal z teatralnym zniecierpliwieniem.

- Aby machina eteryczna działała, potrzebne jest wszystkie siedemnaście kamiennych kręgów. Ukryj jeden, a reszta stanie się bezużyteczna!

- Czarodzieje-bogowie usunęli kamienie z każdego kręgu, to wystarczyło, aby zneutralizować ich moc - zripostował Sergal. - Dlaczego zakopali tylko ten jeden...

- Panowie, proszę! - krzyknął Astential. - Jakiś lokalny wódz mógł kazać zakopać to miejsce z zabobonnego strachu. Wszystkiego się nie dowiemy, ale też nie potrzebujemy wszystkiego wiedzieć.

Astential był na pozór spokojny, lecz zwalczał w sobie dzikie pragnienie obiegnięcia kręgu z ramionami wyrzuconymi w górę w geście triumfu. Odnaleźli ostatni z kamiennych kręgów. Nic już nie stało pomiędzy nim a możliwością rekonstrukcji Smoczego Muru, poza zleceniem wykonania dwustu osiemdziesięciu dziewięciu megalitów, ośmiuset szesnastu kamiennych siedzisk i zwerbowaniu jeszcze tysiąca stu dwóch czarodziejów.

- Musimy usunąć ziemię przykrywającą kamienny krąg - powiedział, schylając się ponownie nad wykopem Sergala i zaglądając do środka.

- Och, zorganizuję to - rzekł natychmiast Waldesar.

- Będą potrzebni strażnicy.

- Znam lokalnego władcę, o najmądrzejszy panie, porozmawiam z nim na ten temat.

- Musimy założyć obozowisko.

- Pokryję koszty z moich prywatnych funduszy.

Nie było tajemnicą, że Waldesar pragnie zostać wtajemniczonym trzynastego stopnia, tak samo jak nie było tajemnicą, że Sergal już na to zasłużył. Jako jedyny

żyjący wtajemniczony czternastego stopnia Astential mógł dokonać takiego mianowania samodzielnie. Alternatywą był poczekanie na Zgromadzenie Acremańskich Czarodziejów Egzaminatorów. Takie spotkanie odbywało się raz na dziesięć lat, a najbliższe miano zwołać dopiero za lat osiem. Astential potrzebował umiejętności obu swoich towarzyszy. Waldesar był lepszym administratorem, ale Sergal cieszył się o wiele większym szacunkiem w środowisku czarodziejów. Najlepiej będzie utrzymywać ich obu w niepewności, zdecydował.

- Uczony Sergalu, teraz do czarodziejów należy ponowna aktywizacja Smoczego Muru - powiedział. - Będziemy potrzebowali ich kilkuset.

- Wielu może być niechętnych - stwierdził Waldesar. - Dlaczego nie weźmiemy po prostu tych, którzy aż się do tego palą? Mogę wysłać listy jeszcze dzisiaj.

- Ponieważ musimy obsadzić ludźmi wszystkie siedemnaście kamiennych kręgów, uczony Waldesarze - odparł Astential, marszcząc brwi. Waldesar się skulił. Właściwie ledwo drgnął, ale po prostu stał się malutki. - Potrzebujemy czterech zmian podstawowych ekip czarodziejów oraz rezerwowych, a to wymaga zwerbowania prawie wszystkich czarodziejów ze wszystkich krajów. Uczony Sergalu, wszystkie kręgi czarodziejów szanują twoją wiedzę. Czy mógłbyś przekonać każdego czarodzieja do wzięcia udziału w reaktywacji Smoczego Muru?

- Potraktuję to jak osobiste wyzwanie, o najmądrzejszy panie - odpowiedział Sergal.

- Doskonale, doskonale. Uczeni panowie, kiedy Smoczy Mur zostanie odtworzony, nie będzie niespodzianką, który z was zostanie mistrzem w tym kamiennym kręgu.

Obaj wtajemniczeni wiedzieli, że pierwszej grupie starożytnych, którzy zmienili się w bogów, rozkazano zniszczyć Smoczy Mur i tym samym zamknąć drogę wszystkim innym. Astential był pewien, że obaj będą się nawzajem prześcigać w nadziei znalezienia się w grupie pierwszych czarodziejów, którzy użyją mocy Smoczego Muru, a dzięki temu wykonają szybciej swoje zadania.



Pasterze kóz zjedli obiad, wciąż obserwując czarodziejów, którzy właśnie rozjeżdżali się w różnych kierunkach.

- Ciekawe, rozdzielają się - zauważył niższy z pasterzy.

- Myślę, że znaleźli to, czego szukali - odparł jego brodaty kolega.

- Bardzo znaczące.

- Powinniśmy powiedzieć o tym cesarzowi.



- Ci pasterze właśnie zostawili swoje kozy - zauważył drwal.
- Szpiedzy - odpowiedział cieśla.
- Bardzo znaczące.
- Ja złożę raport Radzie, a ty zawiadom regenta Logiar.
- To działanie na dwa fronty zaprowadzi nas kiedyś na szubienicę.
- Ale na razie oznacza podwójne wynagrodzenie.



Kochankowie, wciąż spleceni w uścisku, obserwowali drwala i cieślę pospiesznie wyruszających w różnych kierunkach.

- Ten drwal zostawił swoje drewno - stwierdziła dziewczyna.
- Szpiedzy Rady, bez dwóch zdań - odparł młodzieniec.
- Bardzo znaczące. Musimy poinformować kasztelana.



- Ci kochankowie dość szybko stracili zainteresowanie sobą nawzajem - powiedział polujący na gołębie myśliwy do swojego towarzysza.

- Szpiedzy Alpenniena, jak mówiłem - rzekł kolega, zerkając przez butelkę-lunetę.
- Oni też mieli ukryte konie, gotowe do szybkiego odjazdu.
- Bardzo znaczące. Czas, abyśmy także my bez zwłoki wyruszyli w drogę.



Godzinę po zachodzie słońca wędrowny druciarz położył się pod drzewem, zamierzając spędzić pod nim noc. Owinął się płaszczem, zamiast poduszki podłożył sobie pod głowę tobołek, pociągnął też kilka solidnych łyków wina z bukłaka.

- To na rozgrzewkę - powiedział, nie zwracając się do nikogo.

Wspaniały zielony dysk Mirala świecił mu prawie dokładnie nad głową, jego pierścienie były doskonale widoczne. Nagle poruszył się szczyt pobliskiego pagórka. Druciarz zamrugał. Wśród deszczu gruzu i pyłu pojawiła się głowa na długiej węzowej szyi. Szczyt wstał i otrząsnął się, posyłając stokami pagórka kolejne kaskady suchego mułu i piasku. Tajemnicza istota, która świeciła delikatnym blaskiem, rozpostarła skrzydła o rozpiętości przekraczającej długość większości statków. Cicho wzbiła się w powietrze, zniżyła lot nad starożytnym kamiennym kręgiem i zawróciła nad morze. Druciarz podrapał się w głowę, a potem odkręcił zatyczkę bukłaka i wylał jego

zawartość w trawę.

Rozdział 1

Smoczy plan

Mistrz królewskiej muzyki na cesarskim dworze Sargolu słyszał kiedyś porzekadło: Im wyżej wejdiesz, tym dłużej będziesz spadał - ale był przekonany, że nigdy nie będzie się odnosiło do niego. W noc wesela księżniczki Senterri i wicehrabiego Cosserena taka myśl nawet nie powstała mu w głowie.

Milvarios z Tourlossen nie miał żadnej władzy politycznej. Musiał tylko wyglądać dystyngowanie i zadbać, aby nie było żadnych problemów z muzyką graną przy ważnych okazjach. Wystarczyło, że znał ulubione utwory muzyczne cesarza, był doskonałym i efektywnym organizatorem imprez, wiedział, którzy bardowie i minstrele są w łaskach, a którzy z nich wypadli, mógł powtórzyć wszystkie dworskie plotki, umiał dobrze się ubierać i wytrzymywać ostre picie. Bardzo rzadko musiał śpiewać, komponować lub grać, ale to mu odpowiadało, ponieważ nie był szczególnie utalentowany w dwóch pierwszych dziedzinach, a nie grał na żadnym instrumencie lepiej niż ktokolwiek, kogo wynajmował dla cesarza. Był jednakże skrupulatnym i efektywnym organizatorem.

Muzyka weselna płynęła bez jednej choćby fałszywej nuty, zerwanej struny czy zgubionego taktu. Ceremonia w pałacowej świątyni wymagała zatrudnienia orkiestry dętej, która grała fanfary i towarzyszyła procesjom oraz marszom. Do wystawnego przyjęcia w sali tronowej pasowała orkiestra smyczkowa, a kapela przygrywała do tańca. Żadna z nich jednak nie była tak ważna jak muzyka w czasie ceremonii w świątyni, więc chociaż noc nie dobiegła jeszcze końca, Milvarios właśnie zaczął się

odprężyć. Przez ostatnie jedenaście godzin nadskakiwał dostojnikom, towarzysząc rodzinie królewskiej, gdy padały słowa małżeńskiej przysięgi, lub miotając się gorączkowo za sceną, wachlując się notatkami i upewniając, że dziesiątki muzykantów i setki śpiewaków są na swoich miejscach, a wszyscy mają przed sobą właściwe nuty.

Dokładnie za dziewięć minut i pięćdziesiąt siedem sekund rozpocznie się ciąg wydarzeń, który doprowadzi do dramatycznego i spektakularnego końca kariery Milvariosa z Tourlossen, mistrza królewskiej muzyki.



W innej części pałacu wyłonił się maleńki problem, który potencjalnie mógł zepsuć uroczystość znacznie bardziej niż zerwane struny czy zgubione takty. Apartament dla nowożeńców urządzono w wieży z widokiem na port. Z budynku usunięto wszystkich służących, strażników i dworzan, a wstęp do niego był pilnie strzeżony. Wszystko po to, aby zagwarantować Senterri i Cosserenowi, że ta noc będzie należała do nich i tylko do nich.

Wicehrabia Cosseren miał typ urody, który młode kobiety przyprawia o omdlenie. Pochodził z zamożnej rodziny, więc zajmował się głównie jazdą konną, polowaniem i doskonaleniem się we władaniu różnymi rodzajami broni uważanej za odpowiednią dla szlachcica. Większość dworzan sądziła jednakże, że najpewniej zapomniiał stanąć w kolejce do okienka, w którym rozdawano zdrowy rozsądek. Zbyt głupi, aby żywić jakieś ambicje, był w pewien sposób atrakcyjny, przynajmniej dla cesarza. Jeśli chodziło o księżniczkę Senterri, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Siedziała naga na olbrzymim małżeńskim łożu, obejmując ramionami kolana i szlochając, zasłonięta welonem ciemnych włosów.

- Nigdy, nigdy nie zostałem tak znieważony! - mamrotał Cosseren, zawiązując troczki koszuli. - Nie jesteś dziewicą! Znam dziewice, brałem je do łóżka tuzinami, nie ma nic, czego mógłbym się jeszcze o nich dowiedzieć. A... a ty straciłaś cnotę pewnie z jakimś prostackim handlarzem niewolników!

- Mój panie, proszę, posłuchaj! - błagała Senterri. - On był moim wybawcą, a nie handlarzem.

- Handlarz, wybawca, co za różnica? Zostałaś zhańbiona przez jakiegoś prostaka o niskim pochodzeniu.

- On był szlachcicem.

- Szlachcicem! Zwykłego chudopachołka można nazwać szlachcicem. Gdzie leżą posiadłości jego rodziny?

- Pochodzi ze Scalticaru Północnego...

- W dodatku cudzoziemiec! Idę. I jestem pewny, że twój ojciec z zainteresowaniem posłucha o kłamstwach dotyczących twego, hm, „nietkniętego” stanu.

Cosseren zamaszyście ruszył ku drzwiom, otworzył je i zatrzasnął głośno za sobą. Pokonał tylko dwanaście stopni, gdy coś poruszyło się w cieniu łukowatej ściany i jednym ciosem powaliło go na kamienną podłogę.

Ocknął się i zobaczył bardzo bladą twarz. Ta istota miała oczy migoczące niebieskawym blaskiem, a usta lekko otwarte w płytkim uśmiechu. Cosseren odniósł niejasne wrażenie, że to kobieta. Życzył sobie bardzo, żeby przestała się uśmiechać, bo odsłaniała przy tym górne kły, trzy razy dłuższe, niż być powinny i lśniące delikatnie. Chociaż była drobnej budowy, trzymała Cosserena za gardło w powietrzu, na wyciągniętym ramieniu, jedną ręką. Młody wicehrabia zerknął w dół. Dziedziniec był co najmniej trzydzieści metrów poniżej. Patrolowali go strażnicy, ale żaden nawet nie spojrział w górę.

- Senterri, moja przyjaciółka, jest zdenerwowana - oznajmiła jedwabistym szeptem kobieta-demon. - To twoja wina.

- Kim... jesteś? - wydusił z siebie Cosseren. Poczul odór pleśni i gnijącego mięsa.

- Jestem bardzo zła. Senterri była miła dla mnie. Ty ją zraniłeś.

- Hryyyymmmgh - gwałtownie zadławił się Cosseren w odpowiedzi, gdy uścisk na jego gardle nagle się wzmocnił.

- Domyślasz się, że jestem silniejsza od ciebie?

- Gnnng.

- Nie puszczę cię. Tylko ostrzegam na przyszłość. Ale...

- Bggne?

- Ale jeśli nie wrócisz do Senterri na kolanach, nie przeprosisz jej i nie będziesz się z nią kochał, wtedy...

- Gennng?

- Rozerwę ci gardło. Wypiję krew. Będziesz umierać długo. Twoich zwłok nigdy nikt nie znajdzie. Senterri będzie szczęśliwą wdową.

Tuż za zakrętem stała Senterri. Osłonięta jedynie długimi włosami, cała we łzach, zamierzała pobiec za Cosserenem i błagać, by nie hańbił jej przed ojcem. Teraz było jasne, że jej potężna przyjaciółka zastosowała bardziej przekonującą metodę niż

błaganie.

Dziwna istota wciągnęła Cosserena z powrotem przez okno i puściła.

- Wracaj do Senterri - powiedziała straszonym, jedwabistym głosem. - Jeśli nie wrócisz, ja wrócę. Senterri będzie smutna, wrócę. Senterri będzie zdenerwowana, wrócę. Nie przeprosisz jej, wrócę. Nie zechcesz się z nią kochać, wrócę. Dla ciebie będzie bardzo, bardzo niedobrze, jeśli wrócę.



Rzuciwszy okiem na muzykantów, Milvarios dyskretnie skrzywił się z pogardą. Mimo pięknych kostiumów, jakie dostali, wciąż wyglądali dość niechlujnie. Niektórzy sprawiali wrażenie wręcz pijanych. Na szczęście nie pozostawił niczego losowi i wybrał tych grajków ze względu na ich umiejętność grania nawet w stanie upojenia... Pewnego dnia zapobiegliwość wyniesie go do rangi seneszala pałacu cesarskiego, był tego zupełnie pewien.

Nie wiedzieć czemu jego uwagę przyciągnął mężczyzna grający na lirze. Był wysoki, miał schludną czarną brodę, kręcone włosy, brązowe oczy i długie, szczupłe palce. Mógłby być jakieś trzydzieści kilo szczuplejszym sobowtórem Milvariosa. Podniósł wzrok i uporczywie wbił go w mistrza królewskiej muzyki. Nagle w jego oczach pojawiło się coś niepokojącego.

- Odniosł pan dziś wielki triumf - usłyszał Milvarios. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z kobietą starszą od siebie o jakieś dziesięć lat. Pozostali dworzanie i dyplomaci traktowali ją jak powietrze, ale Milvarios miał nieco inną motywację niż pozostali. Nadskakując niemłodej damie z pałacowego towarzystwa, wyrabiał sobie u ludzi dobrą opinię.

- Pani Arrikin, ten triumf zawdzięczamy tylko pani wspaniałej obecności - odpowiedział, kłaniając się i całując jej dłoń.

Wdowa, jej córka wkrótce wyjdzie za mąż, wyda gigantyczne ilości złota na wesele, chcąc zrobić wrażenie na dworze, jej nieboszczyk mąż zarobił fortunę, spekulując towarami transportowanymi karawanami wielbłądów i kupił sobie szlachectwo, przemknęło mu przez głowę.

- Cesarz może sobie z pewnością pozwolić na wszystko co najlepsze. - Dama Arrikin wskazała wachlarzem na muzykantów.

- Słyszałem, że pani najukochańsza córka ma wyjść za mąż w przyszłym miesiącu. Musi pani uważać, aby nie zaćmić tego wspaniałego wydarzenia, wie pani, jaka jest kara za taką nielojalność.

Pani Arrikin uśmiechnęła się skromnie.

- Właśnie na ten temat chciałabym z panem porozmawiać. Ile zażyczyłby pan sobie za napisanie hymnu weselnego?

- Ależ droga pani! - wykrzyknął Milvarios, kładąc rękę na piersi. - Moje pióro jest wyłącznie na usługi cesarza.

- Drogi panie Milvariosie, jestem pewna, że o niektórych wypadkach użycia pańskiego pióra cesarz nie musi wiedzieć. - Zatrzepotała rzesami.

- Cóż... mógłbym podzielić się z panią swoimi pomysłami. Może za godzinę, gdy przyjęcie wejdzie w fazę, w której nie potrzebuje już ciągłego nadzoru...

- W pańskiej komnacie, panie Milvariosie?

- Już nie mogę się doczekać, piękna pani.

Pożegnawszy się z nią, rzucił spojrzenie na muzykantów. Wszystko szło dobrze, z wyjątkiem tego, że lira leżała za krzesłem, a człowiek, który na niej grał, gdzieś zniknął. Na razie nikt nie poświęca uwagi muzyce, więc nie stało się nic złego, pomyślał Milvarios. Mój triumf wciąż jest doskonały.

Poza chlubnym wyjątkiem muzyki wesele prześladowały drobne, irytujące problemy. Akrobata, który miał wyskoczyć z tortu o kształcie królewskiego pałacu, potknął się, ale na szczęście nie przewrócił. Podczas ceremonii pan młody kilkakrotnie wyrwał się do odpowiedzi wtedy, gdy powinna mówić panna młoda. Jeden z koni gwardii honorowej wypróżnił jelita dokładnie w trakcie pięćdziesięciometrowej parady na dziedzińcu pomiędzy świątynią pałacową a portykiem wejściowym. Tylko moja muzyka była naprawdę bez zarzutu, powtarzał sobie w myślach Milvarios. W rzeczy samej, cesarz zdawał się zadowolony i obiecał uczynić go heroldem deklaracji. A teraz Milvarios miał kochankę, której chciał imponować przez resztę nocy. Co prawda była nieco zbyt stara, ale skórę miała gładką i plotkowano, że stosuje dietę - a nawet się gimnastykuje, aby zachować urodę.

Chociaż Milvarios nie mógł sprzedać pani Arrikin hymnu weselnego, mógł go napisać, co dałoby źródło plotkom, że jest kompozytorem. Dzięki protokołowi i konwencjom mógł w każdej chwili raczej odmówić komentarzy, zamiast stanowczo zaprzeczać plotkom, co sugerowałyby, że skomponował ten hymn. Sugerowałyby to także szczególne łaski cesarza dla córki tej kobiety, a o to tak naprawdę chodziło. Ironia polegała na tym, że hymn nie musiał wcale być bardzo dobry, przynajmniej dopóki on zaprzeczał jego autorstwu. W najgorszym razie spędzi upojną noc z damą Arrikin, a potem zapłaci jakiemuś przymierającemu głodem studentowi muzyki za

napisanie tego hymnu. Rozejrzał się dookoła po raz ostatni i upewnił, że wszystko idzie doskonale. Większość obecnych była pijana, przejeżdżona i flirtowała z partnerami innych gości. Postarał się zwrócić na siebie uwagę cesarza, który przywołał go skinieniem.

- Mistrzu muzyki, co ja bym począł bez ciebie? - zapytał monarcha, gdy Milvarios skłonił się przed nim. - Tyle drobnych problemów związanych z weselem. Czy to zapowiada podobnie wiele drobnych irytujących problemów w samym małżeństwie?

- Trudno mi powiedzieć, wasza wysokość. Jestem muzykiem, nie prorokiem.

- Tylko twoja muzyka była bez zarzutu. Z pewnością możesz odczytać w tym jakieś znaczenie.

- Może... - zaczął Milvarios, myśląc bardzo szybko. - Może to oznacza, że chociaż młodą parę istotnie w przyszłości mogą nękać irytujące drobne problemy, małżeństwo będzie trwało w harmonii.

Cesarz uśmiechnął się, a potem zachichotał. Był to w ogóle pierwszy tego dnia jego objaw radości.

- Powiedz mi, przyjacielu, co myślisz o funkcji seneszała?

- Mistrz muzyki może być także seneszalem, wasza wysokość, ale seneszał nie musi być muzykiem.

- Zręcznie, Milvariosie, bardzo zręcznie. A teraz powiedz, dlaczego chciałeś się ze mną widzieć.

- Miałem nadzieję uzyskać pozwolenie na udanie się na spoczynek, panie.

- Oczywiście, idź natychmiast do łóżka i śpij dobrze. Będę miał jutro dla ciebie trochę nowych obowiązków, przyjdź do mnie godzinę przed południem. Może uda ci się wnieść trochę harmonii do życia pałacu.

Milvarios czuł, jakby płynął w powietrzu, gdy spieszył przygotować swoją komnatę na przybycie gościa. Mieściło się w tym między innymi rozrzucenie tu i tam ważnych dokumentów, które mogły zrobić na damie wrażenie, ale wkrótce samo jego imię będzie robiło o wiele większe wrażenie. Cesarz zamierzał uczynić go pałacowym seneszalem i to za mniej niż dwanaście godzin.

Nie wiedział jednak, że cesarzowi zostało trzy minuty i pięćdziesiąt siedem sekund życia.



Senterri po cichutku wróciła do małżeńskiej komnaty, wspięła się na łóżko i

usiadła, czekając na powrót małżonka. Właśnie usłyszała ostrożne stąpanie podzielowanych skórą butów za drzwiami. Kroki zwolniły. Potem się zatrzymały. W otwartych drzwiach pojawiła się ręka i zastukała niepewnie.

- Tak? - powiedziała czystym, ostrym głosem Senterri.

- Eee, najdroższy kwiatuszku, to, eee, ja przemyślałem to sobie - wydukał Cosseren, wchodząc nieśmiało do pokoju.

- Widzę - odpowiedziała ostro Senterri.

Cosseren sądził, że ona jest w rozpaczy, na granicy hysterii i poczuje ulgę, że wrócił. Faktycznie jednak głos Senterri absolutnie nie brzmiał histerycznie, a to nie wróżyło wicehrabiemu najlepiej.

- I postanowiłem, wiesz, ponieważ jesteś taka piękna, że ci wybaczę i wrócę do twojego łóżka.

- To słodka opowieść, ale ślady palców na twoim gardle mówią coś innego. Mówią, że spotkałeś moją przyjaciółkę, przyjaciółkę, która wspina się na pionowe mury, jest silniejsza niż ty i twój koń razem wzięci i ma paskudne nawyki żywieniowe.

Cosseren położył dłoń na gardle i z lękiem spojrzął za siebie.

- Słuchaj... naprawdę jest mi przykro. Bardzo żałuję. Rozpaczliwie żałuję.

- Sprawileś mi wielki zawód. Będzie ci jeszcze bardziej przykro - zgryźliwie obiecała Senterri. - Może nie miałaś okazji zhańbić mnie przed kimś innym, wicehrabio Cosseren, ale z pewnością mnie zhańbiłeś. Brałeś dziewice do łóżka tuzinami, powiadasz? Cóż, od tej pory jeśli uśmiechniesz się nawet do portretu innej kobiety, będę bardzo zła. A wiesz, co się wtedy stanie? Kto wróci?

- Tak, tak, tak.

- Co więcej, będziesz, jak czarująco ujęła to moja przyjaciółka, „kochać się” ze mną sześć razy każdej nocy...

- Sześć razy? Powiedziałbym...

- ...dopóki nie zajdę w ciążę. A teraz zdejmuj ciuchy i wchodź do łóżka.

- Tak, mój kwiatuszku, natychmiast - paplał wicehrabia, kopnięciem zrzucając buty i dosłownie zdzierając z siebie koszulę.

- Ale, ale, sześć razy!

- Myśl, że robisz to z kim innym, to podobno pomaga. Ja z pewnością będę tak robiła.

- Cokolwiek sobie zażyczysz, światło moich oczu.

- Aha, Cosserenie i...

- Tak, moja kwiatowa burzo?
- Tamten pierwszy raz się nie liczy.



Milvarios przekręcił ozdobny, trzyzapadkowy klucz. Nigdy się nie spieszył, przechodząc przez którekolwiek z pałacowych drzwi, zwłaszcza jeśli były zamknięte. Mógł przeszkodzić komuś w ucieczce ze skradzionymi srebrami, a ludzie tego pokroju zwykle bywali uzbrojeni. Rzucił okiem na złotą monetę, którą zazwyczaj zostawiał na stole. Jeżeli jej nie było, zamykał drzwi na klucz i wołał strażników. Dziś jednak moneta leżała na stole. W kominku płonął ogień, cienie tańczyły po ścianach. Milvarios wszedł, rozejrzał się, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Nagle uświadomił sobie, że moneta zniknęła ze stołu.

- O rany, zapomniałem zamówić dzban najlepszego wina, które chciałem wypić z moją ukochaną dziś wieczorem! - wykrzyknął głosem, który przechodził w histeryczny pisk.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze swoim szczuplejszym, brodatym lustrzanym odbiciem. Odbicie rąbnęło go pięścią w splot słoneczny. Z wprawą kogoś, kto robi takie rzeczy całe życie, napastnik rzucił Milvariosa na podłogę przed kominkiem, unieruchomił silnym chwytem i skrępował mu nadgarstki, potem przywiązał go do ciężkich żelaznych sztab, które zabezpieczały drewno przed stoczeniem się ze stojaka. Następnie zakneblował go i związał mu kostki nóg.

- Wróciłeś trochę za wcześnie - powiedział, odklejając sztuczną brodę. - Spodziewałem się, że spędzisz jeszcze co najmniej pół godziny na podlizywaniu się cesarzowi, ale to już nieważne.

Podniósł swą szatę i zaczął wkładać trzcinyowy szkielec w specjalnie wszyte od spodu listwy. Wkrótce wyglądał na człowieka o trzydzieści kilo cięższego, a kiedy opuścił szatę, nic już nie różniło go od mistrza królewskiej muzyki - ani figura, ani twarz.

- Prawdopodobnie zastanawiasz się, kim jestem - rzekł tonem konwersacji. - Nie mogę ci tego powiedzieć, ale zdradzę ci co nieco. Swoją tożsamość ukradłem. Należała do wieśniaka, lecz on nie robił z niej najlepszego użytku.

Wszedł do drugiego pokoju, a potem wrócił z małą kuszą i koszykiem kwiatów. Milvarios patrzył bezsilnie, jak tamten naciąga cięciwę, wylewa coś z małej fiolki na bełt i ładuje broń. Trochę go zdziwiło, czemu nieznajomy zaczął przypinać kwiaty z koszyka do kuszy, ale szybko zrozumiał cel aż nazbyt jasno.

- Nie ma znaczenia, kim jestem - powiedział ów człowiek, z pewnością nie wieśniak. - Chłop, który dostarczył mi tożsamości, pracuje teraz ciężko po raz pierwszy w swoim życiu, karmiąc ryby na dnie morza i może będzie miał dla bogów jakieś dobre wytłumaczenie ze swoich grzeszków. Ale starczy o nim. Musiałem użyć bardzo potężnych czarów, by moje ciało można było formować jak ciasto; potem ukształtowałem własną twarz na podobieństwo twojej. Teraz zamierzam stać się tobą na minutkę lub dwie, zabić twojego władcę, a potem znowu zmienię się w martwego wieśniaka. Widzisz, Milvariosie, ja nie istnieję.

Sprawdził kuszę, która teraz przypominała bukiet.

- Gdy będę wracał, przypadkowo spadnie mi kaptur i płaszcz, i zostanę rozpoznany jako ty. Zanim cię rozwiążę i uwolnię od tego męczącego knebla, zamierzam wlać nieco trucizny do twojego ucha. Sprawi ona, że wkrótce oszalejesz z bólu, będziesz przeklinał i krzyczał jak w wielkim gniewie. Ludzie pomyślą, że chcesz z nimi walczyć i cię zabiją. Niestety, Milvariosie, chciałbym cię zostawić żywego, abys zmagał się z gniewem następcy tronu, lecz nie mogę pozwolić, byś powiedział strażnikom, że mają szukać wieśniaka z twoją twarzą, nieprawdaż? Wiesz, zawsze z niecierpliwością czekam na ten moment. Moi mimowolni dublerzy są jedynymi osobami, którym mogę zdradzić swe metody działania, a mnie raduje występowanie przed taką publicznością. Nie, proszę, nie kłopotz się próbą owacji.

Wyszedł. Milvarios wściekły rozejrzał się wokoło, ale nie dostrzegł nic, co mogłoby mu pomóc. Ze wszystkich sił starał się pozbyć więzów, lecz jego prześladowca wykonał kawał dobrej roboty, krępując go, a pęta były cienkie jak struny harfy. Z trudem mógł się poruszyć; na dodatek w jego lewej łydce zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki skurczu. Wyciągnął nogi. To spowodowało, że jego dłonie znalazły się blisko płomieni. Szybko podkurczył nogi z powrotem... a potem znowu je wyprostował i wyciągnął ręce w kierunku ognia. Macając na ślepo, wkrótce wydobył na wpół spalone polano. Odwrócił je rozżarzoną, zwęgloną końcówką w swoim kierunku i przycisnął do więzów.

Nie był przyzwyczajony do niewygód i szarpnął się, czując ostry ból; wiedział jednak, że albo poparzenia, albo śmierć. Znowu przycisnął polano do więzów i jeszcze raz, i znowu. Linka krępująca nadgarstki zaczęła się tlić. Tak samo jak jego skóra. Wył z bólu przez knebel, ale nikt z uczestników uczty nie mógł tego usłyszeć. Rozniósł się swąd przypalanej tkaniny, przypalanych włosów, przypalanego mięsa. Nagle Milvarios poczuł, że więzy nieco się poluzowały. Potem pękły. Zobaczył, że duży

obszar skóry przy nadgarstkach ma pokryty pęcherzami i nawet zwęglony. Nie tak bardzo jak ja będę zwęglony, jeśli obwinia mnie o zabicie cesarza, pomyślał, wyciągając knebel z ust.

- Morderstwo! - krzyknął. - Cesarz zostanie zamordowany! Chrońcie cesarza!

Nikt go nie usłyszał, bo w sali biesiadnej nadal uczujący hałasowali i grała muzyka. Zerwał więzy krępujące mu kostki i wstał, ale natychmiast runął na podłogę, gdyż nogi mu zdrętwiały. Odległa muzyka i śpiewy zamieniły się w krzyki. Zrobił to, pomyślał Milvarios. Zrobił i to jako ja!

Przez chwilę leżał otępiały z rozpaczy; później desperacja ustąpiła miejsca złości. Morderca ma zamiar się upewnić, że obecni widzieli go uciekającego z kuszą w dłoni, potem wróci do pokoju, zrzuci przebranie i gotowe. To nie było w porządku! Milvarios chwycił pogrzebacz.

On jest doskonałym zabójcą, uzbrojonym po zęby, myślał. Ja jestem tylko muzykiem z pogrzebaczem. Mam taką samą szansę na zaskoczenie go i rąbniecie w łeb, jak na spędzenie wieczoru z Króliczkiem Topless Miesiąca. Cóż mam robić?

Odłożył pogrzebacz. Morderca mógł uciekać przez ten pokój, mając na karku ścigających go strażników. Jak? Dokąd? Milvarios nagle przypomniał sobie, że w pokoju jest schowek kochanków, ukryty za sekretnym panelem, ale tamtędy nie dało się uciec.

Gdzieś w oddali słyszał kobiecy głos piszczący „Milvariosie!”, potem następny krzyżący: „Milvariosie, coś ty uczynił?!“.

Chociaż schowek kochanków był ślepym zaułkiem, miał tę zaletę, że był jedynym ukrytym miejscem, którego strażnicy prawdopodobnie nie znajdą w ciągu pierwszego kwadransa przeszukania. W czasie wystarczającym na pięć oddechów Milvarios przeczołgał się po podłodze, wśliznął do schowka za panelem i usiadł cicho w ciemności. Usłyszał trzask otwieranych drzwi, a potem huk, kiedy je zatrzaśnięto. Wewnętrzny zamek szczęknął, gdy morderca zamknął go od strony pokoju.

- Teraz Milvarios z Tourlossen jest wolny, ale nie na długo - odezwał się zabójca i urwał.

Zauważył, że mistrza królewskiej muzyki nie ma w pokoju. Milvarios słyszał krótkie i głośne brzęki, kiedy morderca wściekle przeszukiwał komnatę sypialną i inne pokoje. Następnie rozległo się łomotanie do drzwi. Groźne głosy nawoływały Milvariosa, aby się poddał. Morderca w końcu porzucił poszukiwanie swojego kozła ofiarnego i myślał już jedynie o ucieczce. Palcami przejechał po filigranowym

ornamencie pokrywającym przesuwany panel - szukał ukrytego zatrzasku. Zatrzask nie zwolnił się jednak, a panel nie przesunął. Milvarios przytrzymał mechanizm od środka. Spoza panelu dobiegały go ciche, ale soczyste przekleństwa w jakimś obcym języku.

Huknęły wyważone drzwi, rozległ się szcęk broni i trzask rozbijanych mebli. Krzyki i jęki mieszały się z odgłosami walki, a z ogólnego hałasu można było wywnioskować, że morderca został osaczony.

- Nie ruszaj się! - powiedział ktoś, a potem dodał: - Strzelajcie!

Głośno zabębniło, gdy strażnicy wpakowali w mordercę bełty z kusz. Przez kilka chwil Milvarios słyszał tylko kroki na rozbitych resztkach własnej kosztownej zastawy; potem ktoś ogłosił: „Zdrajca nie żyje”. Milvarios słuchał, jak strażnicy rozmawiają. Czekali, aż ich komendant zostanie poinformowany, że morderca zginął.

- Kto by przypuszczał, taki goguś jak on.

- Zabił pięciu naszych.

- Przekłęty bękart, walczył jak demon.

- Mieliliśmy szczęście, żeśmy go zabili.

- To on miał szczęście, masz na myśli, bo wiesz, jaka jest kara za zabicie władcy.

- Zostałby powieszony za palce u nóg i spalony na wolnym ogniu.

- Zgadza się, a w tym czasie czytano by mu jego ballady.

- Widzę, że ty też musiałeś stać na straży, kiedy recytował swoje wypociny?

- Ty wiesz, to ma sens. Tak okropny poeta zmienił się w doskonałego zabójcę.

- No, człowiek nie może być kiepski we wszystkim.

Milvarios powoli zwolnił zatrzask i opuścił rękę. Jego palce natrafiły na tkaninę - i struny jakiegoś instrumentu! Ciche brzęknięcie wydało mu się głośne jak odgłos grzmotu, ale strażnicy nic nie usłyszeli. Bardzo ostrożnie zbadał przedmiot, który o mały włos go nie zdradził. To była lira, instrument wiejskiego barda. Postanowił zostać w ukryciu jeszcze przez jakiś czas, co najmniej do przybycia komendanta straży pałacowej. Strażnicy mieli zwyczaj pochopnego działania w gorączce chwili, a on nie był przekonany, czy chwila była już wystarczająco chłodna, aby udało mu się ich przekonać. Rozległ się dźwięk zbliżających się kroków, ktoś krzyknął: „Baczność!”, obcasy butów jeszcze chwilę stuknęły, potem na krótko zapadła cisza.

Zadbam o to, żeby każdy człowiek, który teraz przebywa w tym pokoju, do końca życia stał na straży w czasie czytania moich ballad, pomyślał Milvarios, drżąc w ciasnej, zimnej kryjówce.

- Wygląda na martwego - powiedział ktoś tonem człowieka kulturalnego.
- Przemawia za tym belt z kuszy, który sterczy mu z czoła, panie.
- Można do niego bezpiecznie podejść?
- Stawiam na to mój miesięczny żołd, panie.
- Spójrzcie! Ma trzcinowe obręcze i listewki pod ubraniem. Ten człowiek tylko udawał grubasa!

- Zadziwiające. Przy tych ilościach żarcia, jakie pochłaniał, nie sądziłem, że będzie potrzebował takiego kamuflażu.

Znowu zapadła cisza.

- Księżę Stavez wpadł w furję. Rozkazał spalić dwór i magazyny Tourlossena. Chwila jest jeszcze naprawdę gorąca, pomyślał Milvarios.

- Stary Tourlossen zapłaci za to głową, jego żona także. Ich pozostali dwaj synowie są za granicą i nie sądzę, żeby w tej sytuacji kiedykolwiek zdecydowali się na powrót.

- Daj mi swoją kuszę, muszę zawiadomić księcia o śmierci mordercy.

Milvarios usłyszał oddalające się kroki.

- Bydlak, chce sobie przypisać zasługę zabicia zdrajcy.

- No, też tak myślę.

Czas opuścić się do wulkanu, zdecydował Milvarios. Z pewnością jest ktoś, kto wie, że naprawdę jestem gruby... naturalnie! Żona ochmistrza, moja potajemna kochanka. Potajemna, to słowo kryło w sobie haczyk. Ona nie tylko nie odniosłaby się z entuzjazmem do pomysłu ujawnienia zdrady przed mężem, ale byłaby jeszcze bardziej nieszczęśliwa, gdyby ujawniono jej związek z człowiekiem oskarżonym o zabicie cesarza. Nie, tu nie mógł liczyć na ratunek.

Jedna ruchoma tafla drewna chroniła go przed strażnikami. Gdyby odsunął panel na bok, z pewnością zaczęliby go wypytywać. O co? Jakie najgorsze pytanie mogli mu zadać? Dlaczego ukrył się i siedział cicho w swoim pokoju, kiedy mordowano cesarza? Dlaczego... nie, to pierwsze „dlaczego” było wystarczające.

W świetle padającym przez niewielkie pęknięcie w stolarce Milvarios sprawdził swój stan posiadania. Obok niego leżały przybrudzone, grubo tkane spodnie, śmierdzące buty, poplamiona czerwonym winem tunika, wełniany płaszcz, do połowy opróżniony bukłak z winem oraz lira. Sięgnął po buty - i coś miękkiego otarło mu się o twarz. Omal nie krzyknął z przerażenia, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko zwisająca lina. Spojrzał do góry i odkrył okrągły otwór wycięty w suficie kryjóWKi.

Tędy zabójca dostał się do mojego zamkniętego apartamentu, uzmysłowił sobie. I także tędy zamierzał uciec.

Pojawienie się drogi ucieczki diametralnie zmieniło sytuację. Milvarios miał także świadomość, że Milvarios z Tourlossen został właśnie bezpiecznie uśmiercony i nikt nie będzie go szukał. Przeszukał ubranie mordercy dokładniej. Znalazł brudną, ściąganą sznureczkami sakiewkę, a w niej kilka miedziaków i miejską przepustkę wystawioną na Wallasa Gandiera, pasterza kóz. Bardzo powoli i w zupełnej ciszy zaczął się przebierać w strój pasterza kóz. Spodnie okazały się trochę za wąskie, nie lepiej było z tuniką.

- Na co się gapisz? - wykrzyknął ktoś po drugiej stronie panelu.

- Złoto!

- Dużo złota.

- To pewnie zapłata dla mordercy.

- Naprawdę hojna. Zobacz, ile waży.

- Żadna z tych monet nie powinna się zmarnować.

- Dzielimy na nas pięciu?

- To wcale nie za wiele na łebka.

- Dwie dla mnie, zabiłem tego drania,

W czasie gdy Milvarios z Tourlossen zmieniał się w Wallasa Gandiera, każdy ze strażników wzbogacił się o siedemnaście złotych monet, a skórzaną sakiewkę spalili w kominku. Jeden z nich, który liznął nieco edukacji, napisał: „Śmierć cesarzowi, który pożądał mojej ukochanej” na karcie pergaminu i zostawił ją w skrzynce, w której znaleźli złoto.

- Wciąż się zastanawiam, dlaczego uciekał tutaj, gdzie bez trudu mógł zostać schwytany.

- Gdzieś tutaj jest ukryty ruchomy panel. Idę o zakład, że zamierzał się tam schować.

- Skąd wiesz?

- Wszystkie pałacowe komnaty mają takie kryjówki. Ukrywają się w nich kochankowie, gdy mąż lub żona nieoczekiwanie wróci.

- Ale skąd ty o nich wiesz?

- Cóż, miałem okazję z nich korzystać.

Czas na mnie, pomyślał były mistrz królewskiej muzyki. Powoli wstał. Dziura w suficie była nierówno wycięta i zwisała z niej lina z supłami. Podczas gdy strażnicy

opukiwali zdobione ornamentami panele, człowiek, który teraz nazywał się Wallas Gandier, podciągnął się na linie zostawionej przez mordercę. Był grubszy niż zabójca i nienawykły do wspinaczki. Sznur przywiązano do belki, ale nad nią były deski stropu. Popchnął je i okazało się, że nie zostały przybite gwoździami. Znalazł się w portyku, który prowadził wprost na mury. Ułożył deski z powrotem i wyszedł na zewnątrz dokładnie w chwili, gdy za rogiem rozległ się odgłos kroków.

Myśląc szybciej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu, niedawny mistrz królewskiej muzyki usiadł na krawędzi zewnętrznego muru i uderzył w struny liry. Była źle nastrojona, ale wcale go to nie zdziwiło.

*Wielki cesarz, mądry i stary,
Zginął od zdradzieckiej strzały.
Podły Milvarios pełen złości
Zdradził go dla złota gar...*

- Hej, ty tam! Stój! - warknął dowódca patrolu.

Najnowszy bard cesarstwa Sargolu i tak nigdzie nie szedł, ale przestał grać.

- Co tutaj robisz? - ciągnął dowódca.

- Komponuję lament na śmierć cesarza.

- Jak się tu dostałeś?

- Schodami.

- Schody są pilnowane.

- Nie, panie, sam rozkazałeś: wszyscy strażnicy do pokoju mistrza królewskiej muzyki - powiedział kapral, który trzymał pochodnię.

Wallas wskazał gestem niebo nad ich głowami, a potem trącił struny.

- Przyszedłem tutaj komponować wspierany siłą mocarnych bastionów i delikatnym pięknem gwiazd - oznajmił. - Dopóki potworność mordu jest świeża w moim umyśle, szukałem natchnienia u muzy...

Dowódca postawił mu nogę na piersi i pchnął. Wallas zleciał z blanek, krzyżąc przez cały osiemnastometrowy lot, aż wpadł do wypełnionej wodą fosy.

- Niektórzy nie potrafią docenić sztuki - powiedział dowódca, wyglądając przez krawędź muru. Potem patrol poszedł dalej.



Wciąż kurczowo ściskając w dłoni lirę, Wallas czołgał się przez muł przy brzegu

fosy. Zwymiotował kolację, trochę kosztownego syconego miodu, a w końcu dwa litry cuchnącej wody z fosy i trochę kijanek. Przechodzący obok strażnicy dobrze spełnili swoje obowiązki. Zaprowadzili go siłą do bramy dla służby w zewnętrznym ciągu murów i wysłali do miasta, dając na drogę kilka solidnych kopniaków. Biegł przez ciemne zakazane uliczki, lecz właśnie zaczęło padać i co groźniejsze miejskie zbiry pochowały się po tawernach. Wędrując bez celu, w końcu dotarł do rzeki i jednego z trzech mostów spinających jej brzegi. Wydawało się, że most stoi w ogniu, ale to tylko kilkudziesięciu żebraków paliło na brzegu ogniska z wyłowionego z wody drewna.

- Ej, bardziej, chodź do nas! - zawołał ktoś i Wallas nie potrzebował dalszej zachęty.

- Jesteś cały mokry - zauważył jeden z żebraków.

- Skoczyłem do zamkowej fosy - odpowiedział oszczędnie, świadomy, że jego kulturalny sposób mówienia jest jedynym słabym punktem przebrania.

- A to czemu? - zapytał król ulicy, który nosił koronę zrobioną z kawałków śmieci powiązanych sznurkiem.

- Podpaliłem coś. - Wallas podciągnął rękawy, by pokazać poparzone nadgarstki.

- A zatem co masz dla nas? - zapytał król żebraków. - Może coś zagrasz?

Wallas myślał szybko. Bard, który nie potrafi grać na własnej lirze, stanie się tematem komentarzy. Z drugiej jednak strony miał paskudnie poparzone nadgarstki, a lira zamokła.

- Mokre struny nie wydadzą dźwięku - odpowiedział. - Poza tym mam poparzone ręce.

Zapadła cisza. Przedłużała się. Najwidoczniej Wallas powinien coś zaoferować grupie. Pomyślał o sakiewce, którą miał na pasie - zawierała kilka brudnych monet.

- Co masz w tym bukłaku, he? - zapytał żebrak, który stał za nim.

- Wino z cesarskiego stołu - odpowiedział pośpiesznie Wallas.

Było to prawdopodobnie wino z beczek przeznaczonych dla muzykantów, ale obecni nie mogli tego wiedzieć. Wręczył bukłak królowi żebraków, który przyjął go z nieukrywaną przyjemnością. Wallas miał teraz zagwarantowane schronienie na noc. Żebrak, który twierdził, że jest zielarzem, nasmarował mu poparzenia cuchnącą pastą, a potem zabandażował je paskami płótna. Siedzieli przy ogniu, Wallas grzał się i sechł, zabawiając towarzystwo opisem królewskiego wesela - i morderstwa - a bukłak wędrował z rąk do rąk. W zamian Wallas dowiedział się, jak chwytać, patroszyć i piec

szczury oraz poznał pieśni o żebrakach, kobietach lekkich obyczajów, marynarzach i upijaniu się tanim winem. Z ulgą odkrył, że po kąpieli w fosie jego spodnie i tunika się rozciągnęły, teraz pasowały na niego o wiele lepiej.

Świt przyniósł w końcu nad rzekę deszcz i gęstą mgłę. Ubranie Wallasa, chociaż suche, śmierdziało. Jego wełniany płaszcz złożony na pół służył za pled, a żebracy podtrzymywali ogień przez całą noc. Znowu sprawdził stan posiadania. Miał ubranie na sobie, sakiewkę zawierającą kilka miedziaków, nóż i lirę. Jakies dwanaście godzin wcześniej stał się właścicielem instrumentu i wreszcie mógł mu się dokładniej przyjrzeć.

Ramę wycięto z deski. Lira nie miała pudła rezonansowego, tylko cztery struny z jelit, trzy kościane progi i drewniane kołki. Zaprojektowano ją tak, aby dźwięk był słyszalny w promieniu zaledwie metra. Chociaż wydawała się tandetna i bez wartości, była prawie niezniszczalna. Jeśli zostałaby skradziona, właściciel mógł zrobić sobie nową, dopóki miał w zasięgu ręki kawałek drewna i świeżo zdechłego kota. Tyle że Wallas nie potrafił na niej grać. Poprzedni Wallas prawdopodobnie potrafił, ale niedawny mistrz królewskiej muzyki nie był nawet pewien, jakiego rodzaju dźwięk powinien z niej dobyć.

Kiedy tak siedział, dumając nad lirą, z mgły wyszło kilka prostytutek i dołączyło do grupy.

- Witajcie, przynosimy kolejne wieści z pałacu - powiedziała jedna. - Podejrzewają, że mistrz muzyki mógł przeżyć.

- Co masz na myśli? - zapytał król żebraków.

- Słyszałam od milicjantów, którzy słyszeli to od strażników. Zabity człowiek był bardzo chudy, ale pokojówka, którą ten facet pieprzył, mówi, że on na pewno był gruby. Wygląda na to, że muzyk wpuścił zabójcę.

- To ma sens. Taki dworski goguś jak on nawet kurczaka by nie ukatrupił - powiedział król żebraków.

- Pokojówka? - mruknął Wallas. To musiało być tej okropnej nocy po bankiecie Gildii Muzyków.

- Oczekiwała nagrody, a zetną jej łeb za to tylko, że go znała.

Wallas milczał, gdy oni rechotali. To, co mówili, w większości pokrywało się z prawdą. Wiedział, że niektórzy ściskali topór bojowy aż do samego końca, gdy tylko drzewce im zostało w dłoni, a on miał wiele pięknych toporów, ale nigdy żadnym nie wymachiwał w bitwie - ani nawet w ramach treningu, jeśli miał być ścisły. Co do kusz,

to od dnia narodzin nie miał w rękach więcej niż jednej. Jazda konna? Wolał bardziej wygodne powozy. Zdecydowanie nie był typem wojownika.

- Chcesz kawałek? - zapytał zielarz, podsuwając mu nabity na kawałek patyka podłużny i zwęglony kawałek mięsa.

- Co to? - zapytał Wallas, przyjmując z obawy, że nie dostanie nic więcej.

- Pieczony nadziewany szczur.

- Nie widzę nadzienia.

- No, najpierw go nadziałem na patyk, a potem upiekłem.

Wallas ostrożnie włożył do ust kawałeczek mięsa, a gdy tylko zebrał się odwrócić, wypluł wszystko. Jego rodzice nie żyli. Ta myśl zawładnęła na chwilę jego wyobraźnią. Dotąd próbował wymazać ich z pamięci, ponieważ byli drobnymi handlarzami. Ojciec był piekarzem, a matka roznosiła wypieki. To czyniło z nich raczej kupców niż rzemieślników. Właściwie ze ściśle prawnego punktu widzenia ojciec był rzemieślnikiem, a matka żoną rzemieślnika. Jednak sprzedawali bochenki, bułeczki i ciasta do pięciu sklepów, co czyniło z nich kupców. Teraz oboje nie żyli i to przez niego. Próbuje obudzić w sobie żal, ale żal najwidoczniej jeszcze śpi, pomyślał, odgryzając w roztargnieniu kolejny kawałek nadziewanego szczura. Przez ostatnią godzinę wzmagała w nim nieprzyjemna myśl, że jego głowa nabita na pikę dołączy do głów rodziców nad jakąś bramą.

- Wyznaczono nagrodę pięć tysięcy złotych koron za jego głowę, na karku lub luzem - oznajmiła jedna z prostytutek.

Zadygotał ze strachu. Pięć tysięcy koron to był majątek, którego nie uskladałyby trzy pokolenia młynarzy razem wziętych. Wiedział wszystko o młynarzach, ponieważ jego ojciec zatrudniał jednego w czasach, gdy mu się lepiej wiodło. Wstał od ogniska i odszedł, zabierając ze sobą pusty bukłak. Dzięki ojcu wiedział, że taki bukłak jest wart dwa miedziaki.

Do południa sprzedał bukłak za dwa miedziaki i za jednego kupił bochenek chleba i kawałek sera. Jadł, przyglądając się jednocześnie, jak kukła z jego podobizną zostaje najeżona strzałami i obrzucona owocami i warzywami. A potem spalona na stosie. Rzucił kamieniem w swoją słomianą kukłę, aby nie wyróżniać się z tłumu.

Jeden z milicjantów, którzy przynieśli kukłę i chrust na rynek, wdrapał się na wóz i uderzył w dzwon.

- Słuchajcie wszyscy! - wrzasnął. - Niech będzie wiadome tu i w całym mieście, że dziś późnym popołudniem na pałacowym dziedzińcu mają zebrać się bardowie. W

trakcie tego zebrania będzie rozdawane darmowe piwo, ile kto wypije.

Przerwał i czekał, aż ucichną owacje i krzyki. Kupcy handlujący instrumentami muzycznymi za chwilę będą mogli zbić majątek, ale mądry Wallas się domyślał, jaki przebieg będzie miało to zgromadzenie. Ukrył lirę pod swoim brudnym poszarpanym płaszczem i trzymał się nieco z boku.

- A wieczorem księżę Stavez obdarzy nagrodą tego, kto wzniesie najpiękniejszy toast wierszem za zmarłego cesarza.

Dla Wallasa wszystko było aż nazbyt jasne. Ktoś porównał zeznania zamkowych strażników pełniących wartę tej nocy. Ten sam ktoś zdał sobie sprawę, że kilka minut po zabiciu mordercy odkryto barda tuż przy wyjściu z tajemnej kryjówki w pokoju mistrza królewskiej muzyki. Uznano, że mistrz żyje i ukrywa się w przebraniu barda. To mógł być jedyny powód książęcego zaproszenia dla bardów, a Wallas dobrze wiedział, że każdy, kto tam pójdzie, dostanie bardzo niemiłą nagrodę.



Jeśli chodziło o burzliwe noce, trudno było przebić Alberin. Lodowaty deszcz smagał portowe miasto, gnany przez wiatry wprost z chłodnego kontynentu Scalticar. Alberin tak często stał na drodze złej pogody, że ulice zadaszono płóciennymi płachtami, przykrywając pasażę, balkony i miejsca publiczne. Na włóczęgów przesiadujących w zaułkach znaleziono prosty sposób: nie zabezpieczono ich daszkami, a deszcz zapewniał, że podejrzane indywidua trzymały się od nich z daleka.

Trzej ludzie o niejasnych zamiarach, którzy przemykali uliczkami czterdziestego dnia trzeciomiesiąca roku 3141, nie byli jednakże włóczęgami. Szukali czegoś konkretnego w świetle jednej z nielicznych miejskich latarni, które wciąż się paliły. Jak dotąd zwierzyna im umykała, ale kontynuowali poszukiwania z cierpliwością cechującą prawdziwych profesjonalistów. prostytutkę, do której teraz podchodzili, rozpoznali tylko po intensywnym zapachu perfum. Największym zagrożeniem zawodowym dla ulicznic w Alberinie była gruźlica i dlatego jeśli czekały na klientów gdzieś na dworze, były ubrane o wiele cieplej niż żyjący w celibacie członkowie pewnego zakonu na innym kontynencie. Dziewczyna odwróciła się, słysząc kroki. Otoczyli ją. Jeden miał worek i długi kawał sznura. Drugi pałkę. Trzeci na rozpostartej dłoni trzymał pięć srebrnych monet.

- Chyba żartujecie! - wykrzyknęła, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

- Nie żartujemy - odpowiedział mężczyzna, który trzymał srebrne monety. -
Możesz nam pomóc?

- Dodaj jeszcze jedną monetę do tych, które masz w dłoni i możesz mieć za te pieniądze doświadczonego żeglarza z odznaką Gildii Cieśli.

- Ach tak, a do którego domu będziemy musieli się włamać i z iloma strażnikami walczyć podczas ucieczki?

- Z żadnym.

- Z żadnym?

- Cóż?

- Jeśli on jest tym, o kim mówisz, że jest, dostaniesz trzy z góry i trzy, kiedy go znajdziemy.

Błada dłoń wynurzyła się z warstw odzieży, którą miała na sobie dziewczyna, wzięła trzy zimne srebrne monety i znowu zniknęła. prostytutka oddaliła się niespiesznie, a trzech mężczyzn ruszyli za nią. W połowie drogi do najbliższej przecznicy zatrzymała się przy bramie, gdzie w kącie leżała kupa szmat. Przywódca nieznajomych przykucnął.

- Fuj! Złał się w gacie! - wrzasnął.

- Wcale nie - powiedziała dziewczyna i trąciła czubkiem buta skorupy potłuczonego naczynia, a potem wskazała okiennicę w górze. - Wszystko widziałam. Położył się w wejściu do bramy i zaczął grać na piszczałce. Wtedy pani domu opróżniła mu nocnik na głowę, a potem w niego rzuciła nocnikiem, żeby w końcu przestał hałasować.

Przywódca podejrzanej trójki wymacał spory guz na głowie nieprzytomnego, popatrzył w okno.

- Dobry strzał. Faktycznie, ma na łańcuszku na szyi odznakę gildii. Młotek, więc to rzeczywiście cieśla. Mówisz, że jest także żeglarzem?

- Słyszałam, jak grał gigę na rzecznej barce - odpowiedziała dziewczyna.

- Człowiek rzeki, przedstawiciel wymierającego gatunku. Bardzo dobrze, moi panowie, wsadźcie go do worka. - Rzucił kolejne dwie monety na wyciągniętą dłoń dziewczyny. - Powinienem był sam go znaleźć po zapachu.

- Chudy gnojek - mruknął mężczyzna ze sznurem.

- Potrącisz to sobie z prowizji za następnego - powiedziała dziewczyna. - Mógłbyś znaleźć go sobie sam?

Kolejna moneta wylądowała na jej dłoni. Najpotężniejszy z mężczyzn zarzucił sobie worek na ramię.

- Nie mów mamie - mamrotał człowiek w worku, ciągle jeszcze nieprzytomny.

- Ma na imię Andry - wspomniała dziewczyna.

- Znasz go? - zapytał przywódca.

- Skądże znowu, mam swoje zasady! - powiedziała dziewczyna z godnością. - Słyszałam, jak gospodyni wrzeszczała: „Co ty pieprzysz!”, a on odkrzyknął: „Andry Tennonner nie pieprzy nic i nikogo!”.

- To mu zaoszczędzi wyciągania z niego tej informacji za pomocą chłosty. Kończysz już?

- Nie, idę jeszcze do tawerny na grzane wino. Na jaki statek on trafi?

- Na „Ptaka Burzy”.

- Na ten ostatni wielki kabotazowiec? Znowu wyrusza na południe?

- Nie. Statek został wynajęty i popłynie do Palionu w cesarstwie Sargolu.

- Do Palionu! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Zgadza się.

- Do Palionu, tego po drugiej stronie przesmyku Dismay?

- Zgadza się.

- Ale, ale, możesz równie dobrze podpalić statek i utopić załogę przy końcu nabrzeża. Zaśliniony Gerric był na pokładzie ostatniego statku, który przepłynął przesmyk Dismay. To ten, który pije piwo pod stołem w Zagubionej Kotwicy i łązi potem na czworakach.

- A tym statkiem był „Ptak Burzy” - powiedział szef podejrzanej trójki ze spokojem osoby, która nie musi podróżować. - Ładunek zrobił z nich wszystkich bogaczy.

- O tak, tylko że po tej podróży Gerric oszalał.

Werbownicy ruszyli w drogę, wychodząc z zadaszzonego zaułka w deszcz i ciemność. Dziewczyna patrzyła za nimi, dłonią przykrywając usta.

Wydawał się takim miłym chłopakiem, nawet jeśli to zaśliniony pijak, pomyślała z czułością i szczerymi wyrzutami sumienia. Takiego nigdy nie znałam...

Grzmot niewidocznych fal uderzających o nabrzeże portu przepowiadał los Andry'emu Tennonnerowi.



Megality tworzące kamienne kręgi i inne magiczne miejsca często stały nienaruszone przez tysiące lat, ale każdy z nich zaczynał swój byt jako praca, za którą kamieniarze dostawali zapłatę. W społeczeństwach, które nie wynalazły jeszcze pieniędzy, zapłata mogła mieć formę pewnej liczby owiec, ryb lub kurczaków

proporcjonalnie do wielkości megalitu, ale jakaś zapłata była zawsze. Golgravor Lassen, właściciel warsztatu Ważne Kamienie, nie akceptował żadnej pracy społecznej, a już szczególnie pracy społecznej z pobudek religijnych. Bieżące zamówienie miało zdecydowanie kontekst religijny, lecz płacono za nie dużą kwotę realnych pieniędzy.

Zamówienie opiewało na wykonanie siedemnastu megalitów, których wymiary zostały bardzo ściśle określone. Dekoracja była dowolna. Golgravor szczególnie lubił dwudziestosiedmiowieczną szkołę roślinnego haftu Gattoriala, w jego warsztacie terminatorzy pokrywali każdy centymetr kwadratowy kamiennych megalitów splątanymi łądkami pierwiosnków i dzwonków.

- Jednak nie dekorujemy siedzisk - wyjaśnił Golgravor nowemu kamieniarzowi, kiedy po raz pierwszy oprowadzał go po pracowni. - Miejsce do siedzenia ma pozostać gładkie.

- Moim zdaniem megalit wygląda jak stojący mężczyzna z rękami wyciągniętymi nad głową - odpowiedział Costerpetros.

- Tak, generalnie ma taki kształt.

- Czyżby te kamienie były przeznaczone do jakiejś świątyni, aby pomóc niektórym kapłanom zachować modlitewną pozycję?

- Nie mogę powiedzieć. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że zapłacono mi sztabkami złota i to bardzo dobrej próby.

- Och. A kto odbiera towar?

- Kamienie znikają i ktoś zostawia złote sztabki.

- Tak po prostu?

- Owszem.

- Znika jakieś dziesięć ton skały?

- Właściwie to pięć ton. Mają zagłębienie w podstawie, tak jakby miały być osadzone na zaokrąglonej powierzchni.

- A złoto zostaje?

- Sztabki najczystszego złota.

- Jak wygląda ten klient? Z pewnością ktoś go widział.

- Nie, nikt. Nigdy nie próbowaliśmy obserwować z ukrycia odbioru kamieni. O zmierzchu odchodzimy stąd i wracamy dopiero o świcie. Megalit znika, a w tym miejscu leżą złote sztabki.

- Ile megalitów u ciebie zamówiono?

- Siedemnaście, po pięć ton każdy. A teraz do pracy. Ten tutaj zostanie zabrany dzisiejszej nocy, a jeszcze jeden został do wykonania. Ty będziesz pracował przy siedemnastym, robiąc pierwszokową dekorację. Musimy skończyć w tym tygodniu, bo inaczej zawalimy grafik. Dlatego zatrudniłem ciebie. Jeśli skończymy na czas, będzie duża premia.

- Ale kim są ci budowniczości? Masz jakiś pomysł?

- Nie. Niech sobie będą ludźmi, smokami, duchami czy bogami - grunt, że płacą dużymi sztabkami czystego złota. Więcej nic nie chcę wiedzieć.



Costerpetros zadbał o to, by jeszcze przed zmierzchem znaleźć się we właściwym miejscu. Pracował ciężko przez cały tydzień, nawet na drugą zmianę i udowodnił, że jest dobrym nabytkiem. Opowiadał niezłe dowcipy, zawsze dzielił się swoją miarką wina i bardzo go interesowało, co nawet najnudniejsi z rzemieślników i terminatorów mieli do powiedzenia o rutynie dnia w warsztacie. Zorganizował konkurs na najlepszą teorię o tym, jak ukończone megality zostaną ustawione i przez kogo. Wszyscy zebrali posiadane strzępy informacji i plotki, a zwycięska teoria głosiła, że bóg schodzi z nieba na ziemię i zabiera megality w chmury, gdzie będą pionkami w jakiejś olbrzymiej grze planszowej.

A teraz Costerpetros leżał płasko w wysokiej trawie, przykryty zieloną peleryną. Sztabki złota, które miały być zapłatą za megalit, urosły w jego wyobraźni do dziesiątków kilogramów. Przygotował sobie gruby, wzmocniony rzemykami worek do załadowania sztabek. Dziesiątki kilogramów to spory ciężar, ale on był silny. Dojdzie daleko przez las do miejsca, gdzie brat czeka na niego z końmi i wozem. Nawet przećwiczył sobie marsz na tym dystansie z podwójnym obciążeniem, aby nie zostawić niczego przypadkowi. Na nogach miał parę dobrych butów, z podeszwami uformowanymi na kształt ptasich łap, pół metra długich. Były zrobione ze skóry, z pazurami z kości słoniowej i zostawią wysoce niepokojące ślady w kręgu białego piasku, gdzie leżał gotowy megalit.

Kamień spoczywał na drewnianej palecie, bezpiecznie do niej przywiązany, a cztery grube liny biegły od narożników podstawy, na górze splecione w rodzaj warkocza, który mógł wytrzymać dziesięć razy większy ciężar. Z warsztatu wyniesiono głaz za pomocą drewnianego dźwigu i umieszczono w środku koła wysypanego dokładnie zagrabionym, czystym białym piaskiem.

Na zachodzie dogasało światło dnia, niebo rozjaśniał blask dwóch lunaświatów

i gwiazd. Po całym zgiełku dnia, dzwonieniu młotków, przekleństwach, przyśpiewkach i krzykach robotników warsztat stał teraz niezwykle cichy. Costerpetros leżał w absolutnym bezruchu, wręcz wstrzymując oddech. Coś się zbliżało, coś miało się pojawić. Myślał o różnych teoriach wysuniętych przez kamieniarzy. Może rzeczywiście mieszkaniac górnych rejonów świata pojawi się w powietrzu nad megalitem, wyciągnie ogromną łapę, podniesie kamień i zostawi złote sztabki. Demony potrafią otwierać dziury w powietrzu, jego brat studiował magię, doszedł do siódmego stopnia wtajemniczenia i wiedział takie rzeczy. Jednakże demony mają dobry słuch, więc nie należy krzyczeć, dziwić się lub bać, jeśli któryś się pojawi.

Jakiś szelest rozległ się w ciemności. Coś zaczęło przysłańać gwiazdy i oba lunaświaty. Wielkie skrzydła łopotały nad warszatem, potem olbrzymi nietoperz opuścił się powoli nad ziemię i objął megalit. Demon, nie bóg, pomyślał Costerpetros. Skrzydła tajemniczej istoty miały rozpiętość większą niż szerokość całego terenu, który zajmował warsztat, a jej oczy jarzyły się delikatnym niebieskawym blaskiem. W paszczy trzymała wielki hak przywiązany do liny, która znikła w chmurach. Demon zgrabnie zaczepił hak o warkocz z lin - i to była ostatnia rzecz, jaką zobaczył Costerpetros. To samo spotkało jego brata, ponieważ podobna skrzydlata istota nadleciała nad część lasu, w której czekał z wozem, plunęła strumieniem białego ognia i wzniosła się z powrotem w nocne niebo.



Golgravor Lassen patrzył na ciało leżące w wysokiej trawie i kiwał głową. Kilkadziesiąt kilogramów złotych sztabek, najwidoczniej zrzucanych z dużej wysokości, dosłownie zmiażdżyło biedakowi głowę. Dookoła rozbryzgnęło się dużo nieprzyjemnej mazi, ale nie było śladów walki. Zielona peleryna wciąż okrywała większość ciała, wystawały spod niej wielkie, pazurzaste stopy. Golgravor podniósł płaszcz i zidentyfikował nieboszczyka jako Costerpetrosa. W tym momencie wrócił brygadzysta, który został wysłany w kierunku pożaru widocznego w lesie.

- Znaleźliśmy trochę kawałków metalu i spopielone fragmenty kości. Mogą to być pozostałości wozu, konia i woźnicy - odraportował.

- A ja myślę, że znalazłem jego współnika. - Golgravor wskazał ciało.

Brygadzysta obejrzał zwłoki, ptasie stopy i złote sztabki. Namyślał się długo i głęboko, zanim coś powiedział.

- Kiedy byłem małym chłopcem, mama mi mówiła, że jeśli nie zjem kolacji, przyjdzie Kurczakowy Bóg i w dziobie zanieś mnie na pożarcie swoim wyznawcom.

Zawsze traktowałem to jak bajkę, ale teraz...

- Zgodnie z dokumentem, który miał w kieszeni, to Costerpetros, niedawno zatrudniony kamieniarz. Albo może Costerpetros jest prawdziwym Kurczakowym Bogiem w przebraniu.

Brygadzista szarpnął za pazurzaste stopy. Dały się zdjąć. Głośno odetchnął z ulgą.

- Brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo się cieszę, że te stopy są fałszywe.

Golgravor wskazał dłonią porzucane sztabki złota.

- Każ kilku praktykantom pozbierać je na wózek, ale przedtem niech zmyją z nich resztki krwi i mózgu.

- A ciało?

- Owińcie je w coś i wydajcie konstablom, kiedy się pojawią. Brygadzista założył fałszywe ptasie łapy na stopy zabitego.

- Co powiemy ludziom? - spytał.

Milczeli przez chwilę, przyglądając się zwłokom.

- Te sztabki złota wyglądają, jakby leciały z góry ze dwa kilometry, zanim roztrzaskały mu głowę - powiedział Golgravor. - Wydaje się, że wóz obrócił w popiół ktoś, czyj oddech jest gorący jak płomień w kowalskim piecu, a megality były zabierane z powietrza. Wszystko to wskazuje na pewną bardzo dużą istotę, która potrafi latać i zionąć ogniem... i bardzo nie lubi być szpiegowana.

- Smoki?

- Smoki nie istnieją.

- Więc co?

- Bardzo duże i bogate ptaki przebrane za smoki.

- Ptaki nie potrafią zionąć ogniem.

- Co definitywnie zawęży nam pole manewru do smoków.

- Ale, jak sam powiedziałeś, smoki nie istnieją.

- Oczywiście, lecz gdyby istniały i wiedziały, że ty wiesz, że one istnieją, mogłyby i tobie zrzucić na głowę złotą sztabę.

- Po co smokom, które rzecz jasna nie istnieją, pięciotonowe megality?

- Ani tego nie wiem, ani mnie to obchodzi.

- Ej, nie powiedziałeś mi jeszcze, co mówić pracownikom.

- Mów, że szpiegowanie naszych klientów jest bardzo ryzykownym pomysłem i pokaż im dowód. A teraz pogoń ich! Już dość czasu zmarnowaliśmy dzisiejszego

ranka.



Fakt, że „Ptak Burzy” w ogóle dopłynął, wprowadził mieszkańców Palionu w niemalże zdumienie. Labirynt mielizn i skał, który leżał naprzeciw wejścia do portu, służył teraz jako naturalna osłona przed wielkimi falami gnanyymi przez burze toreańskie i nie było pilota, który by z własnej woli popłynął na statek i poprowadził go tamtędy. Okazało się, że dla „Ptaka Burzy” nie była to przeszkoda. Szczególnie wysokie fale uniosły statek i bezpiecznie przeprowiły go ponad skałami w kipiącym i huczącym wirze piany. W porcie fale miały już tylko półtora metra wysokości, a takie dla wyszkolonej załogi nie są przeszkodą w sterowaniu statkiem pomiędzy wewnętrznym falochronem i nabrzeżem.

Kilku dokerów, dzielnie przekrzykując wiatr i deszcz, pomagało załodze zacumować. Łopocząca na maszcie bandera oznajmiała, że statek przyplłynął z Alberinu położonego na kontynencie Scalticar, prawie siedemset kilometrów na południe. W normalnych warunkach taka podróż zajmowała niecały tydzień, ale tym razem z powodu nieustannego sztormu trwała trzydzieści dwa dni. Lodowaty, ciężki deszcz smagał miasto, pędzony wiatrem, który był jak śmiertelnie zraniony smok. Rzucono trap. Przeszła po nim kobieta w wieku około trzydziestki, o poszarzałej, wynędzniałej twarzy. Suknię miała nasiąkniętą wodą, przez ramię przewiesiła dużą torbę. Na nabrzeżu upadła na kolana i zaczęła całować mokre deski pomostu. Deszcz siekł bezlitośnie, a wiatr miotał mżawką, deszczem i nielicznymi kulkami gradu.

Ciepło ubrany urzędnik pospieszył w kierunku podróżnej.

- Witamy w Palionie, bramie tropików - powiedział, pomagając jej wstać. - Czy chciałaby pani zadeklarować przed jakimkolwiek bogiem, w którego pani wierzy, że nie ciąży na pani wyrok za przestępstwo cywilne ani kryminalne wydany w cesarstwie Sargolu lub u któregoś z jego sojuszników oraz czy przewozi pani towary przekraczające wartość pięciu złotych koron?

Kobieta sięgnęła do kieszeni sukni, pogrzebała w niej przez chwilę i wyjęła złotą koronę. Wcisnęła ją w dłoń urzędnika.

- Nie - wychrypięła z energią kogoś, kto wymiotował niemal bez przerwy przez trzydzieści dwa dni.

- Tak, oczywiście - odpowiedział urzędnik, wyciągając zza pazuchy niewielki zwój. - Proszę napisać swoje nazwisko na dole, kiedy będzie pani miała wolną chwilę. Proszę pamiętać, że to pochodzi z partii zadeklarowanej jako skradziona, więc radzę

się trzymać z dala od problemów. Czy na statku są jeszcze jacyś pasażerowie?

- Nikt, kto mógłby się ruszać.

- O, to dobrze się składa, natychmiast złożę im wizytę.

Gdy tylko pospieszył na statek, kobieta chwiejnie ruszyła nabrzeżem. Jakiś młodzieniec podszedł do niej.

- Uczona prezbiterka? - zaryzykował. - Uczona Terikel, przełożona metrologanek?

Podniosła wzrok i skupiła na nim spojrzenie oczu o czerwonych obwódkach.

- Tak - wyrzeźbiła.

- Uczona Feodorean wysłała mnie, abym panią powitał - wyjaśnił. - Żałuję, że sama nie mogła tu być w osobistej osobie, jeśli można tak rzec, ha, ha, ha.

Próba żartu została albo świadomie zignorowana, albo niezrozumiana jako błędna gramatycznie, albo zupełnie przeoczona.

- Na pewno nie żałuje nawet ułamka tego, jak bardzo żałuję ja, że odbyłam tę podróż, aby być tu osobiście - zazgrzytała Terikel.

- Cesarz został właśnie zamordowany, więc usługi rektor Feodorean są niezbędne w pałacu.

- Szczęściarz z tego cesarza - mruknęła uczona prezbiterka.

- Ależ proszę pani! - krzyknął oburzony. - Śmierć naszego cesarza to nie temat do żartów.

- Młody człowieku, przez ponad trzydzieści dni z radością myślałam o śmierci, która by mnie uwolniła od fal, wiatru, mżawki, depresji, kołysania, bujania, wymiotowania i wrzasków: „Pompuj, kurwa, pompuj!”. Nawet teraz nie jestem pewna, dlaczego nie skończyłam ze sobą po pierwszym dniu.

- Takie życie na morzu, proszę pani. Ja też płynąłem kiedyś...

- A twój statek był wyrzucany w powietrze przez gigantyczne fale i wiatr? - chrypliwym głosem zapytała Terikel.

Młodzieniec przełknął ślinę.

- Na pewno nie - odparł.

- A mój na pewno tak. Straciłam rachubę po dziesiątym locie. - Przystanęła i oparła się o słupek, rozkoszując się jego stabilnością. - Nigdy nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia, dopóki nie zobaczyłam desek tego mola.

- Ale dlaczego wyjechała pani ze Scalticaru?

- Zapytaj o to swoją nauczycielkę. Jak ci na imię?

- Och, nie przedstawiłem się! To przez szok, jakim było ujrzenie pani w takim stanie. Proszę przyjąć moje przeprosiny...

- Jak masz na imię? - powtórzyła Terikel.

- Brynar, Brynar! Brynar Bulsaros, pełniący obowiązki prefekta Paliońskiej Akademii Sztuk Eteryecznych. Nazywamy ją a-teryeczna, kiedy...

- Wiem, wiem, a-teryeczna, kiedy chcecie zrobić wrażenie na dziwkach w tawernie, arr, kiedy jesteście pijani, i aaaa, kiedy zasypiacie nad nudną lekturą. A teraz zaprowadź mnie do uczelnianej łaźni i z łaski swojej weź mój bagaż. Kiedy będę brała kąpiel, spal moje ubranie.

- Spalić je? - Brynara zatkało.

- Zanim solidna praczka wywabi z nich odór wymiotów, ja prawdopodobnie umrę ze starości. Sprawdzę w torbie, powinnam mieć zmianę ubrania zapakowaną w nawoskowany papier i skórę.

Za nimi, na pokładzie „Ptaka Burzy” urzędnik trzy razy rozrzucił szeroko ręce. Pierwszy raz znaczył: Sprawdźcie jej rolkę wyokrętowania, drugi: Aresztujcie ją, a trzeci: Skonfiskujcie wszystko, co ma przy sobie. Kiedy uczona prezbiterka i Brynar dotarli do końca mola, z budynku opatrzonego szyldem CŁA, AKCYZY I SPRAWY EMIGRACYJNE wyszedł drugi urzędnik i dwóch strażników. Zastąpili drogę nadchodzącym.

- W imieniu księcia proszę się zatrzymać i zadeklarować... - zaczął urzędnik.

Nie zdołał dokończyć. Terikel wydmuchnęła z zaciśniętej dłoni garść splątanych płomieni i rzuciła mu pod stopy, gdzie eksplodowały ze sporą siłą. Przeleciał kilka metrów w powietrzu razem z kilkoma odłamkami płyty chodnikowej. Strażnicy na czworakach usiłowali schować się jeden za drugim. Urzędnik próbował się podnieść, ale klękawszy, doszedł do wniosku, że może jednak sensowniej będzie nie podnosić się dalej.

- Najuczeńsza prezbiterka Terikel Arimer z zakonu metrologanek - warknęła jedyna z pasażerów „Ptaka Burzy”, która była w stanie utrzymać się na nogach. - Ostatnio z Alberinu, stolicy Scalticaru Północnego.

- Je... je... jestem zaszczycony - wyjąkał urzędnik.

- Ten pajac, który przyszedł na statek, wziął ode mnie złotą koronę opłaty za wyokrętowanie i powiedział, że pan da mi legalną rolkę, wpisze moje nazwisko do rejestru przybyłych i wyda mi czterdzieści siedem srebrnych wasali reszty.

- Tak powiedział?

- To dobry pomysł - ostrzegł go Brynar.

Dwie minuty później uczona prezbiterka Arimer wychodziła z biura CEŁ, AKCYZ I SPRAW MIGRACYJNYCH z legalną rolką, małą sakiewką srebra i satysfakcją, że jej nazwisko figuruje legalnie w portowych rejestrach. Zażądała także nagrody - dziesięciu srebrnych wasali za zwrot niepodpisanej rolki, którą, jak powiedziała, znalazła na molo.

- Nie znoszę skorumpowanych urzędników, którzy nie są warci złamanego grosza - mruknęła, gdy wspinali się po schodach na nabrzeże.

- Tak, to narusza zasady tej nowej ekonomii handlowej, o której ostatnio wszyscy mówią - zgodził się z nią Brynar.

Wkrótce znaleźli się na szczycie muru, pośród budynków portowych. Kilku ludzi, którzy ich minęli, szło zobaczyć jedyny wielki statek, jaki przyplłynął od miesiąca.

- Mówi pani więc, że podróż była ciekawa? - zapytał Brynar, gdy szli schowani pod jego płaszczem przeciwdeszczowym.

- Jeśli dziewięćdziesięciometrowe fale nazywa pan ciekawymi, to tak - odparła kwaśno Terikel.

- Z pewnością nie! - krzyknął student; choć podejrzewał, że uczona prezbiterka żartowała, miał na tyle rozumu, żeby się nie śmiać.

- Prefekcie Brynarze z a-teryecznej, morze, wypływające z Oceanu Okcydańskiego, rozlewa się pomiędzy Scalticarem i Acremą przez przesmyk Dismay i po roku prawie nieustannych burz toreańskich staje się bardzo dużym morzem. Trzy dni po tym, jak przepłynęliśmy wrota przesmyku, zobaczyłam szczególnie wysoką falę przewalającą się nad Górą Morskiego Smoka i posyłającą chmurę piany nad szczytem. Ta skała ma zdecydowanie ponad dziewięćdziesiąt metrów wysokości. W czternastym dniu, kiedy w przesmyku zaczęło się trochę uspokajać, miałam wątpliwości, czy widzę fale mniejsze niż trzydzieści metrów. Zniosło nas tak daleko na zachód, na Ocean Placydiański, że minęliśmy wyspy Malderin. Oddałabym wszystko, żeby to się skończyło, ale kapitan powiedział, że w żaden sposób nie zmusi swoich marynarzy do powrotu na pokład i zrobienia czegokolwiek innego poza odebraniem wypłaty. Był tylko jeden członek załogi, którego panujące warunki nie sprowadziły do stanu bezużytecznego wraka i akurat on został zabity przez spadający fragment masztu piątego dnia po wypłynięciu.

- Ale ostatecznie ocaleliście.

- Próbujesz mi wmówić, że nie jestem bezużytecznym wrakiem?

Kiedy dotarli do kompleksu świątyń przy akademii, Terikel poszła prosto do kuchni, wzięła na wpół upieczony bochenek chleba z pieca i zaczęła łapczywie jeść, wyjaśniając pomiędzy kęsami, że całą drogę z Alberinu marzyła o ciepłym, suchym jedzeniu, które nie ma smaku morskiej soli. Potem poszła wziąć gorącą kąpiel, zabierając ze sobą tacę z ciastkami i gorącą herbatą.

Brynar rozpakował jej nasiąknięty wodą bagaż, poukładał jego zawartość i znalazł szczelną paczkę z suchym ubraniem. Był tam także zapieczętowany cylinder z nawoskowanego papieru, zaadresowany do Feodorean.

- Moje zapasowe ubranie i te pergaminy były prawdopodobnie jedynymi suchymi rzeczami na całym „Ptaku Burzy” - powiedziała Terikel, wciąż jeszcze leżąc w balii. - Zanieś te dokumenty uczonej Feodorean. Natychmiast. Muszę odpocząć... Daj mi znać... kiedy je przeczyta.

Po wyjściu z łaźni Brynar powiedział służącej, aby pilnowała, żeby głowa śpiącej w wannie uczonej prezbiterki nie zsunęła się poniżej powierzchni wody.

- Te pergaminy muszą być niezwykle ważne, jeśli przeszła przez taki koszmar, aby je tu dostarczyć - powiedziała dziewczyna.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wynajęła kuriera albo magicznego ptaka transportowego - rzekł, a potem dodał: - Chyba że w pergaminach jest zawarta jeszcze inna informacja niż tylko tekst.



Godzinę później Feodorean, rektor akademii, wróciła z pałacu i natknęła się na Brynara czekającego na nią z pergaminami.

- A jak się czuje najuczcieńsza Terikel?

- Wynędziała, wyżęta, wyczerpana i przemarznięta do kości - odpowiedział Brynar. - Mówiła o dziewięćdziesięciometrowych falach, o burzach toreańskich i wietrze, który unosił „Ptaka Burzy” w powietrze.

- Biedaczka. Morskie podróże nigdy jej nie służyły. Co było tak ważnego, że musiała to przywieźć osobiście?

Brynar wręczył jej dokumenty. Po przeczytaniu kilku linijek Feodorean pozwoliła pergaminom opaść na kolana i zaczęła masować sobie skronie.

- Złe wieści, pani?

- Młody człowieku, ten list określa nowe granice terminu: złe wieści. Przełożona metrologianek przybyła tutaj, aby powstrzymać budowę eterycznej maszyny -

Smoczego Muru.



Kamienny krąg Logiar był ostatnim z siedemnastu kamiennych kręgów do odbudowania. I najtrudniejszym, a to z powodu wiatru. Krąg leżał na obszarze zalewowym, ponad kilometr od wybrzeża i chociaż góry chroniły go od najsilniejszych wiatrów zachodnich, w pobliżu często zdarzały się turbulencje. Kamienie dostarczano drogą powietrzną, a turbulencje są wielkim problemem dla wszystkiego, co lata.

Waldesar zawsze nadzorował dostawy kolejnych megalitów. Kamienie dostarczano na pole pięćdziesiąt kilometrów od kręgu Logiar, do ukrytej doliny, której stałych mieszkańców usunięto siłą. Stary, ale potężny czarodziej czekał przy solidnie zbudowanym wozie, który ważył dwanaście ton i musiał być ciągnięty przez setkę wołów pilnowanych przez piętnastu poganiaczy. Woźnice, poganiacze z wołami i eskorta pozostali siedem kilometrów stąd, mieli przybyć na sygnał.

Waldesarowi udało się dotrzymywać terminów ustalonych przez Astentiala, ale Sergal miał opóźnienie w rekrutowaniu odpowiedniej liczby czarodziejów. Waldesar czuł, że ten z nich, który skończy swoje zadania pierwszy, otrzyma stanowisko mistrza kręgu Logiar, a Astential właśnie oznajmił, że tylko ktoś z trzynastym stopniem wtajemniczenia może otrzymać to stanowisko. Mistrz kręgu będzie przewodniczyć, siedząc na siedemnastym megalicie, kiedy Smoczy Mur zostanie ponownie uruchomiony. Waldesara bardzo zajmowała ta historia - lub legenda. Wiadomo było, że pełniący funkcję mistrza kręgu czarodziejów, który odbuduje Smoczy Mur, powinien raczej zniszczyć megality niż pozwolić innym również stać się bogami. To bardzo dobry powód, aby przewodniczyć kręgowi, gdy Smoczy Mur znowu zadziała.

Noc była pochmurna, ale to akurat się przydało, ponieważ ekipa dostarczająca kamienie wolą pozostać niewidziana. Czarodziej zrobił kolejną rundę wokół wozu, sprawdzając, czy potężne rozpórki hamulców były dobrze ulokowane na wszystkich kołach. W chwili gdy sprawdzał prawe przednie koło, wóz został owiany przez potężny podmuch, a potem rozległ się głośny huk.

Waldesar podniósł wzrok. W ciemności przed wozem zobaczył lekką poświatę, a kształt tego niewyraźnego blasku sugerował coś bardzo dużego, co było praktycznie głównie skrzydłami, ale miało także niezwykle długą szyję. Kształt akurat składał skrzydła, gdy Waldesar wyszedł przed wóz i skłonił się głęboko.

- To nasz ostatni dar dla śmiertelnych czarodziejów - zahuczał głos w pewnej odległości od Waldesara.

Rozległa się seria trzasków od strony wozu, gdy delikatnie złożono na nim wielki ciężar. Waldesar raczej wyczuwał, niż widział, co się dzieje. Było zbyt ciemno, aby zobaczyć cokolwiek, ale gdyby przypadkiem zobaczył coś, czego nie powinien zobaczyć, wtedy jego życie zakończyłoby się tak szybko, że prawdopodobnie nie miałby czasu przedtem mrugnąć.

- W imieniu wszystkich czarodziejów Acremy, Lemtasu i Scalticaru składam dzięki z całego serca - powiedział piskliwie, nerwowo, chociaż starał się, aby jego słowa brzmiały faktycznie jak oświadczenie wygłoszone w imieniu wszystkich czarodziejów trzech kontynentów.

- Odczep hak - rozkazała ciemność.

Obszedłszy wóz, Waldesar wspiął się na stopień, a potem powoli wgramolił na sieć oplątującą megalit. Miał osiemdziesiąt dwa lata i trochę zeszywniałe członki, ale chociaż z radością zrzucał pracę na czarodziejów niższego stopnia, nigdy nie dzielił się zadaniami, które mogły przynieść sławę. Nikt poza nim nie wiedział, kto przybywa na spotkania i przywozi kamienie, a nawet sam nie był pewien, kim jest ofiarodawca, ale ponieważ wiedział odrobinę więcej niż pozostali, to podnosiło jego status.

Po raz siedemnasty odczepił hak przywiązany do liny zwieszającej się z nieba, przytrzymywanej przez istotę tak wielką, że jej skrzydła huczały przy każdym ruchu. Było oczywiste, że istota ponad nim potrafi widzieć w ciemności, bo hak uniósł się natychmiast, gdy tylko został odczepiony. A potem już tylko oddalający się huczący łopot skrzydeł i cisza.

- Czy mógłbym podziękować także innym... - Waldesar w ostatniej chwili złapał się na tym, że chce powiedzieć „smokom” - ... innym osobom za wykucie megalitów i dostarczenie ich?

To był bardzo delikatny moment, gdyż szklane smoki są niezwykle wrażliwe, a przecież wiedział, że kamienie przydźwigały szklane smoki.

- Pozostałe osoby nie żądają podziękowań - burknęła ciemność głosem, od którego czarodziej zadrżał. - Ani ja.

- Oczywiście. Więc... nie zawieziemy was.

- Mam nadzieję. Musieliśmy pokonać wiele przeciwności, aby umożliwić wam dostęp do założeń tej eterycznej maszyny. Teraz na was spoczywa odpowiedzialność.

- Czarodzieje kręgu Logiar są bardzo zdyscyplinowani. Inaczej jest w innych kręgach, gdzie załogi mogą zawieść. Krąg Alpine nie miał...

- Jakże to typowe dla was, śmiertelników. Wolicie raczej upokorzyć rywali niż

wspólnie odnieść sukces.

- Och, nie, panie, z czarodziejami z Alpennien łączy nas przyjacielska rywalizacja, nie jesteśmy wrogami. Na pewno zrobią wszystko jak trzeba, wierzymy w nich.

- Jeśli jeden zawiedzie, wszystkie zawiodą i Smoczy Mur nie zostanie reaktywowany. A jeśli tak się stanie, wszyscy będziecie zgubieni, my także. Jeśli będziemy zgubieni, będziemy też wściekli, bo burze toreańskie są dla nas niezwykle kłopotliwe. Ostrzegam, nie próbuj zrobić nic, co sprawi, że inne kręgi zawiodą, tylko by wykazać głupotę tych, których nie lubisz. Bądźcie gotowi, kiedy kulminacja Lupana przejdzie przez tarczę Mirala, dając sygnał wszystkim czarodziejom i wszystkim kręgom. Właśnie wtedy Smoczy Mur musi zadziałać. Cały, przez pół świata, od bieguna do bieguna.

Wielkie skrzydła rozwinęły się w ciemności, a Waldesar przytrzymał się mocno sznurowej sieci, w której był megalit. Podmuch pierwszego machnięcia potężnych skrzydeł był jak silny poryw wiatru, który smagnął starego czarodzieja zwirom, ale to oddaliło istotę od megalitu, ponieważ drugie machnięcie wykonała już w sporej odległości.

Teraz, już sam przy swoim kamieniu, Waldesar zszedł na ziemię. Zakłębem zapalił małe ogniki, które pojawiły się przy opuszkach jego palców i unosiły się w powietrzu, gdy sprawdzał stan stosów drewna przy ich świetle. Pierwszy stos był zupełną ruiną. Jedno machnięcie ogromnych skrzydeł rozrzuciło szczapy drewna tak szeroko, że czarodziejowi zajęło godzinę pozбиieranie ich i ułożenie z powrotem w stos sygnałowy. Wszystkie stosy dotąd były zabezpieczane linami przywiązanymi do kołków namiotowych. Czarodziej pstryknął płomycki w wiązkę chrustu. Rozkwitły w gniazdko płomieni, a potem rozjarzyły się blaskiem.



Parę kilometrów dalej obserwator zauważył migoczący punkt stosu sygnałowego i trzy razy dmuchnął w gwizdek. Poganiacze wołów mogli ruszyć swój zaprzęg niemal natychmiast, ale woźnice poszli, aby przywiązać megalit do wozu. Między poganiaczami a woźnicami był kamień z dekoracją roślinną i ekipa z pochodniami. Działo się to ponad trzy godziny wcześniej, zanim woły dotarły do wozu, ale tylko kilka minut zajęło ich zaprzęgnięcie. Teraz megalit miał wyruszyć w pięćdziesięciokilometrową podróż do kamiennego kręgu. Został już bezpiecznie przymocowany do wozu przez woźniców; kilkudziesięciu jeźdźców, którzy mieli

eskortować transport, czekało w karnych szeregach, każdy dzierzył pochodnię.

- Nie mogę się zorientować, o co chodzi w tym całym zamieszaniu - powiedział Garko, jeden z wtajemniczonych dwunastego stopnia, siedząc na koniu pośród innych wtajemniczonych tego samego stopnia dookoła megalitu.

- Waldesar lubi parady - powiedział kwaśno Sergal. - My, porządni czarodzieje, wolimy czaić się w cieniu, ukrytych pokojach, wieżach i dzikich, odludnych miejscach, aby uprawiać arkana naszej sztuki. Uczony Waldesar chce, żeby ludzie wiedzieli, jaki jest ważny. Tak prawdziwy czarodziej nie postępuje.

- Może stać się i tak, że będziemy mieli opóźnienie - dodała Landeer, która była najstarszą czarodziejką we wszystkich kręgach. - Krąg Logiar jest ostatni do ukończenia. Waldesar zamierza sprawić, by sądzono, że najlepszy i najważniejszy krąg zostawiono na koniec.

- Ale my mamy opóźnienie - rzekł Garko. - Musieliśmy usunąć ze stanowiska tony ziemi. To wymagało wiele czasu i pracy.

- Brzmi to niemal jak wymówka - powiedziała Landeer.

- Bo to jest wymówka - odparł Garko - a silne wiatry i burze toreańskie także opóźniały dostawy naszych megalitów.

- Waldesar nie uznaje usprawiedliwień, więc obraca je w triumf. Ta parada ma powiedzieć ludziom, że mieliśmy być ostatni, bo jesteśmy tacy ważni. Wiesz, że tysiące mieszkańców Logiar będzie z murów patrzeć, jak przejeżdżamy?

- Darmowe piwo i kawał maślanego ciasta dla każdego, kto przyniesie koszyk kwiatów, aby je rzucać w nas, gdy będziemy ich mijali.

- Opłacone z kiesy Waldesara - dodała Landeer.

- Uczeni koledzy, czy mogę wam zadać trudne pytanie? - odezwał się Sergal.

Dwoje jego towarzyszy kiwnęło głowami.

- Czy wiecie, po co odtwarzamy Smoczy Mur?

- Aby zapanować nad siłami burz toreańskich - powiedziała Landeer.

- Tak, Astential powiedział mi o tym miesiąc po pierwszej olbrzymiej burzy nad Toreą. A teraz powiedz mi, jak Astential mógł w tak krótkim czasie odkryć szesnaście z siedemnastu kamiennych kręgów rozrzuconych na połowie świata? Pamiętajcie, krąg Logiar był ostatni do odkrycia i to dopiero w miesiąc po rozpoczęciu się burz.

- Z pewnością pomogły mu szklane smoki. - Landeer zniżyła głos do szeptu. - Mogły latać nad tymi miejscami za dnia.

- Więc szklane smoki wykonały większość poszukiwań, wykuły i dostarczyły

megality i prawdopodobnie nawet poddały ten pomysł Astentialowi. To sugeruje, że machina Smoczego Muru była przygotowywana na długo przedtem, nim zaczęły się burze toreańskie.

- Jeśli tak jest, jeśli szklane smoki mają jakieś ukryte zamiary, to nie ma to związku z uspokojeniem burz - podsumowała Landeer.

- Tak też sobie pomyślałem, i to mnie martwi - zgodził się Sergal.



Grupa transportująca ostatni megalit poruszała się bardzo powoli. Do czasu, gdy zachmurzone niebo zaczął rozjaśniać blask świtu, ujechali piętnaście kilometrów. W tym miejscu się zatrzymali, aby zrobić nowe pochodnie, poprawić i skropić wodą girlandy kwiatów i winorośli, zjeść śniadanie oraz nakarmić konie i woły. Ponieważ dowodzący grupą chciał zachować godny wygląd i uniknąć pozorów pośpiechu, zabronił wieszania zwierzętom na karkach worków z obrokiem. Dlatego trzeba było się zatrzymać, aby je nakarmić, a to pozwoliło pozostałym nieco odpocząć. Krótki wypoczynek przeciągnął się aż do południa, co odpowiadało wszystkim, wliczając Waldesara. Do Logiar dotrą jakieś dwie godziny po zachodzie słońca. Pochodnie będą otaczały ich blaskiem, co całe miasto może podziwiać.

Wreszcie wóz ruszył. Wieśniacy, którzy byli świadkami przejazdu szesnastu wcześniejszych megalitów, myśleli, że będzie to rutynowy przejazd. Ze zdziwieniem patrzyli na przystrojony kawał obrobionej skały. Wiwatowali i rzucali na wóz kwiaty i zielone gałązki. Członkowie eskorty zarządzili przystanek przed tawerną, a Waldesar urządził nawet zaimprovizowany pokaz pirotechniczny, posyłając w niebo ognie, które zadziwiły i rozbawiły chłopów. O zachodzie słońca ponownie zapalono pochodnie.

Dwie godziny po zapadnięciu zmroku wóz dotarł do murów miejskich. Zatrzymał się przed bramą. Na białym koniu wyjechał sprawujący władzę regent księstwa Capefangu. Złożył gratulacje Waldesarowi, a potem stanął przed zaprzęgiem i gestem poderwał procesję do marszu. Jak Waldesar, był przekonany o konieczności pokazywania się przy wielkich okazjach, zawsze wybierał białego konia i białą pelerynę na nocne parady. Alchemik nawet przygotowywał mu mieszanekę, która sprawiała, że jego pochodnia płonęła mieniącym się niebiesko-zielonym płomieniem.

Z jednej strony Waldesarowi pochlebiało, że sam regent wyszedł mu na spotkanie, ale z drugiej był wściekły, że kto inny niż on w chwale prowadzi zaprzęg wołów. Niemniej uśmiechał się i machał ręką, pozdrawiając wiwatujących ludzi,

którzy rozumieli niewiele poza tym, że to już ostatni kamień i że parada jest mniej nudna niż siedzenie w domu. Większość spadających z murów kwiatów leciała w stronę regenta, co okrutnie bolało starego czarodzieja.

- Niech cię szlag trafi i obyś się smażył na najniższym poziomie piekła - mruzczał, rzucając piorunujące spojrzenia w stronę odległej białej sylwetki.

Nagle jakieś sto metrów drogi zapadło się w dziurę zionącą płomieniami. Pierwsza pięćdziesiątka z setki wołów zniknęła w niej, pociągając pozostałe oraz wóz za sobą. Regent Capefangu i jego koń także przepadli w požodze. Mury miejskie zaczęły się walić i zapadać w powstałą wyrwę w ziemi, pociągając za sobą tysiące gapiów.

Kiedy Waldesar ocknął się z oszołomienia, zobaczył, jak jego wtajemniczeni dwunastego stopnia wyskakują z przyspieszającego wozu.

- Nie tak miało być! - krzyknął pośród tego horroru.

Wóz był zaledwie dziesięć metrów przed krawędzią wyrwy, gdy Waldesar odzyskał rozum i wypatrzył niepozorny drewniany drążek. Pchnął go do tyłu z całej siły. Tą prostą czynnością odłączył i zwolnił cztery żelazne bolce, które zablokowały koła. Pojazd zatrzymał się zaledwie metr od krawędzi dołu, na ułamek sekundy przed tym, jak runął fragment murów, grzebiąc pod sobą ostatnią parę wołów.



Późniejsze dochodzenie wykazało, że pod drogą biegł głęboki tunel, który powstał w czasie jakiegoś oblężenia trzysta lat wcześniej. Oblężenie zakończyło się, zanim zdążono użyć tunelu, po tym jak wygłodzeni mieszkańcy wszczęli rewoltę, powstali przeciwko własnej milicji, zabili dobrze odżywione władze i otworzyli bramy miejskie przed wrogiem. Stojąc w obliczu konieczności wypełnienia ziemią ogromnego tunelu, zdobywcy Logiar zdecydowali zasypać jedynie wejście. Jego strop podtrzymywały mocne belki i filary. Wprawdzie miały runąć po pociągnięciu za linę przywiązaną do dużego kamienia, ale skoro wejście zostało zasypane, to nie miało prawa się zdarzyć. Zdobywcy przy zablokowanym wejściu do tunelu postawili pomnik upamiętniający ich wspaniałe zwycięstwo.

Jednak ludzką pamięć niełatwo wymazać. Liczne ballady, jakie ułożono na ten temat, przetrwały trzy wieki w tawernach Logiar, a wszystkie opowiadały o potężnej pieczarze wykopanej pod drogą, tuż obok zachodniego muru miasta. Ktoś usłyszał taką balladę, następnie wynajął dom w pobliżu murów i wykopał szyb dochodzący do antycznego tunelu oblężniczego. Ten człowiek, wiedziony przecuciem, ulotnił się z

miasta, jak tylko spowodował zawalenie się tunelu, więc władze zadowolily się skazaniem na śmierć właściciela domu. Przedsiębiorców i kupców z logiarskich rynków przesłuchano, nierzadko przy użyciu tortur i dowiedziano się, iż cudzoziemsko wyglądającemu kupcowi sprzedano ostatnio tyle oleju skalnego, że wystarczyłoby do wywołania małej wojny. Schwytano i poddano torturom wielu drobniejszych pośredników, jednakże ci, którzy nie brali udziału w spisku, mieli uczciwy proces i zostali wypuszczeni na wolność.

Megalit przetransportowano objazdem - przez ulice samego Logiar, południową bramą miejską i wzdłuż wybrzeża aż do miejsca, gdzie był kamienny krąg. Tym razem jednak ludzie trzymali się od procesji jak najdalej. Wóz ciągnęło tysiąc robotników, których wyłapano w okolicznych wioskach, ich także przystrojono girlandami kwiatów i winorośli, chociaż nikt na transport nie patrzył oprócz milicji miejskiej, która trzymała się w bezpiecznej odległości. Następca regenta obserwował sytuację z obwarowań pałacu, otoczony przez dworzan. Popijali sycony miód z korzeniami i mieli nadzieję, że będą świadkami kolejnego spektakularnego ataku na wóz. Ale żaden atak nie nastąpił. Nieco później megalit dojechał nienaruszony do kamiennego kręgu i został podniesiony na miejsce za pomocą prymitywnego, lecz efektywnego drewnianego dźwigu.

Waldesar wrócił do swojego namiotu operacyjnego, poprosił o czarę wina i sporządził listę strat i ofiar. Zdał sobie sprawę, że bogini Fortuna musi bardzo lubić ten megalit. Żaden ze starszych wtajemniczonych nie zginął, kamień nie został uszkodzony i wszystko wskazywało na to, że operacja Kamienny Krąg Logiar zostanie zakończona z opóźnieniem, ale na godzinę przed kulminacją Lupana. Waldesara niepokoiło, że akurat siedemnasty megalit stał się celem ataku. Był zbyt duży i zbyt ciężki, aby go ukraść, zbyt twardy, żeby go łatwo uszkodzić i zbyt mały, aby go zniszczyć kamiennym pociskiem wystrzelonym z maszyny oblężniczej. Jednakże wrzucenie go do głębokiego dołu i przywalenie fragmentem murów miejskich Logiar musiałyby mu zaszkodzić. Dwa tysiące ludzi, którzy zginęli, kiedy mur runął, nie Waldesara nie obchodziło. Byli jedynie przypadkowymi widzami, a on koncentrował się na tym, by go widziano, kiedy zbawia świat.

Do namiotu bez uprzedzenia wszedł Astential. Waldesar szybko przypadł do jego stóp. Nie był świadomy tego, że wtajemniczony czternastego stopnia jest w miejscu odległym o tysiące kilometrów.

- Najuczeńszy panie! - wykrzyknął, zbierając myśli. - Nie powiedziano mi o

twoim przybyciu.

- Ani nikomu innemu - odrzekł Astential. - Zbierz pozostałych wtajemniczonych dwunastego stopnia, uczonego Waldesarze. Czterech z was zostanie nominowanych na wtajemniczonych trzynastego stopnia, a z tej czwórki ty otrzymasz stanowisko mistrza kamiennego kręgu Logiar.



Andry Tennonner opuścił „Ptaka Burzy” i zamasyście pomaszzerował w dół mola, z podłużnym pakunkiem przewieszonym przez ramię i czterdziestoma siedmioma srebrnymi noblami w sakiewce pod tuniką. Miał wprawdzie pozostać zakuty w łańcuchy aż do następnego ranka, lecz otworzył kajdany precyzyjnie zgiętym kawałkiem drutu i sam się uwolnił. Potem wpisał fakt swojego uwolnienia do okrętowego rejestru skazanych, zabrał go na pokład i pokazał pełniącemu wachtę. Marynarz nie tylko nie potrafił czytać, ale też był przekonany, że Andry nie potrafi pisać. Jednakże chciał, żeby Andry myślał, że on potrafi czytać, więc udawał, że czyta to, co Andry powiedział, że tam było napisane.

Jak mówili marynarze, Andry niczym się nie wyróżniał. Chudy, o wzroście nieco wyższym niż przeciętny, z długimi, rozwichrzonymi włosami i trzydziestodwudniową brodą, ubrany był w skórzany, długi do kolan kaftan. Przy pasie miał lekki topór zdobiony na stylisku wizerunkiem morskiego węża z wysuniętym językiem. Zatrzymał się przy celnym punkcie kontrolnym.

- Co masz do zadeklarowania? - zapytał urzędnik z obandażowaną głową.

- Trzy okrętowe koce, okrętowy topór, okrętową piłę, dłuto, żelazny uszczelniacz, zapasową tunikę i spodnie z okrętowych zapasów oraz nóż zrobiony ze złamanej klamry pokładowej.

- Zostałeś wcielony na siłę?

- No, tak mi powiedzieli.

- Waluta?

- Czternaście srebrnych nobli.

- Co? Wszyscy pozostali dostali po pięć złotych koron.

- Miałem wydatki.

- Na przykład jakie?

- Trochę poszło na karę za spędzenie nocy w kapitańskim magazynku z alkoholami, trochę na karę za sikanie z takielunku, trochę na karę za obrzyganie bosmana, trochę na...

- Spróbuj zachowywać się porządnie w czasie pobytu w Palionie - powiedział urzędnik. - Byłeś karany chłostą?

- No, za niesubordynację i próbę dezercji.

- Niesubordynacja? Dezercja?

- Wkurzyłem bosmana. Potem w pobliżu wysp Malderin rąbnąłem go i próbowałem wyskoczyć za burtę, by dopłynąć do brzegu.

- Karą za uderzenie oficera na statku jest śmierć w ciągu dwudziestu czterech godzin od ataku.

- Tak, ale byłem jedynym cieślą na statku.

Urzędnik złożył razem opuszki palców obu rąk i przycisnął kciuki do ust. Miał wrażenie, że młody żeglarz uczynił podróż ze Scalticaru jeszcze bardziej nieznosną dla wszystkich na pokładzie, prawdopodobnie wliczając w to czarodziejkę, która wysadziła ogromną dziurę w chodniku i jeszcze większą dziurę w jego pewności siebie. Rzucił Andry'emu miedziaka.

- Witam w Palionie. Wypij jednego od Sargolskiej Służby Ceł, Akcyz i Spraw Imigrantów - powiedział i szybko wypisał żeglarską wizę dla Andry'ego. - A teraz bierz wizę i spieszaj.



W najbliższej tawernie część załogi „Ptaka Burzy” była już na dobrej drodze do upicia się w trupa. W palenisku przy bufecie buzował świeżo rozpalony ogień, a jakieś dwie dziesiątki młodych kobiet przybyły, by pomóc żeglarzom w wydawaniu pieniędzy. W kącie przy palenisku siedział bosman i pykał z długiej dereniowej fajki.

Andry podszedł do szynkwasu.

- Hej, mistrzu, czy mógłbym dostać kufel bursztynu? - powiedział w znośnym diomedańskim, handlowym języku portów Oceanu Placydiańskiego.

- Bursztynu? - zapytał nieco udręczony barman.

- No, bursztynu. Przywożą go w beczułkach, ludzie to piją.

- Aaa, masz na myśli chmiel. Czyli piwo.

- Daj mi kufel, spróbuję.

Andry szybko rozprawił się ze swoim kuflem chmielu i był w połowie drugiego, gdy nagle obok niego stanął bosman.

- Dzban chmielu - zamówił.

Dostał wielki kufel piwa, ale nie wykazywał chęci powrotu do kąta.

- Nic nie zastąpi podróży, jeśli chodzi o poszerzanie wiedzy - powiedział Andry.

- Jak w moim wypadku, jestem tu od pięciu minut i już się nauczyłem, że bursztyn to chmiel.

- Sądziłem, że siedzisz w kajdanach - rzekł bosman bez śladu zainteresowania w głosie.

- Cóż, wiesz, jak jest. Poprosiłem, by sprawdzono w rejestrze skazanych i Sonning odkrył, że zapomniano mnie zwolnić.

- Ale rejestr jest wypełniany dopiero, kiedy kara zostaje odbyta.

- No popatrz! - wykrzyknął Andry. - To znaczy, że Sonning musiał pomylić czyjąś karę z moją.

- Chłopcze, jesteś szybki jak szczur wspinający się w rurze ściekowej. - Bosman się roześmiał. - Zrobiłeś kawał dobrej roboty, utrzymując „Ptaka Burzy” w jednym kawałku. Bez ciebie nie byłoby nas tutaj.

- A, dzięki. - Andry trącił go łokciem w bok. - Bez ciebie nie byłoby mnie tutaj.

- Teraz musisz dostarczyć nas z powrotem.

- Przyjmując, że będę chciał wrócić. Daleko od mamy, żadnych braci w pobliżu, żadnych sióstr wrzeszczących na mnie, trochę forsy do wydania... hej, mistrzu, jeszcze dwa kufle chmielu!

- Nie masz dziewczyny w Alberinie?

- Czym są alberińskie dziewczyny dla Andry'ego Tennonera? Myślę, że mi się tu spodoba, tutaj zostanę.

- Cóż, ja nazywam Alberin domem, a „Ptak Burzy” jest tylko sposobem, by tam wrócić - westchnął bosman. - To praktycznie jedyny duży statek, który jeszcze pływa. Zbyt wielu szyprów próbowało żeglować w czasie trwania pierwszej z burz toreańskich. Zyski były fantastyczne, bo dużo statków zatonało podczas wojen. Im więcej statków tonęło, tym większe były zyski. Wizja złota pchała załogi w kolejne rejsy.

- My także jesteśmy gnani żądzą pieniędzy.

- Cóż, tak i nie. Przywieźliśmy ładunek skór i oleju, który mógłby być okupem za księcia Alberinu, gdyby ktokolwiek wziął go do niewoli. Ale także przywieźliśmy tutaj uczoną prezbiterkę metrologanek.

- Przy okazji, kim ona jest?

- Słyszałeś o burzach toreańskich?

- O tak, stary, właśnie spędziłem w nich trzydzieści dwa dni.

- A czy wiesz, jak się zaczęły? Andry, czy możesz sobie wyobrazić taki sztorm,

jaki przeżyłeś, który jest normalną pogodą przez cały czas? Musiałeś słyszeć o Torei.

- Och tak, wielki kontynent, daleko stąd. Paru czarodziejów zaproszyło tam ogień.

- Torea była lądem wielkości Scalticaru. Czarodziejska broń, zwana Srebrzyśmiercią, wymknęła się spod kontroli i roztopiła grunt aż do litej skały. To było jak... cóż, chodź i sam zobacz.

Bosman zaprowadził Andry'ego przez całą izbę do ognia, a potem wziął jego kufel i postawił na krawędzi paleniska. Nożem ostrożnie wyciągnął z kominka dużą, rozżarzoną głownię i wrzucił ją do kufla z piwem. Brązowa piana wystrzeliła z kufla, sycząc i buzując. Kilku siedzących obok gości zaczęło klaskać i gwizdać.

- Magiczne gorąco, które roztopiło, Toreę, rozproszyło się w wiatrach i to uczyniło je śmiertelnie groźnymi dla żeglarzy. Wielka rzesza czarodziejów próbuje zrobić coś, aby powstrzymać burze toreańskie, używając do tego maszyny zwanej Smoczym Murem. Ja nie jestem czarownikiem, ale chcę pomóc. Zgłosiłem się na ochotnika do tej podróży. Prezbiterka ma coś do zrobienia przy Smoczym Murze, więc przywieźliśmy ją tutaj na „Ptaku Burzy”.

- Hej, bosmanie, to bohaterski powód - powiedział Andry z ogromnym podziwem.

- Wypijmy za to. Barman, jeszcze dwa kufelki!

- Jesteś odważny, mówiąc mi to wszystko, bosmanie. Przecież mogę być szpiegiem.

- Potrzebuję z kimś pogadać, a jestem prawie pewien, że wkrótce będziesz pijany w sztok i zapomnisz całą rozmowę.

- Mówisz, jakbyś był kimś więcej niż tylko bosmanem.

- Wszyscy jesteśmy kimś więcej.

- Eee, możesz powtórzyć?

- Jesteśmy narzędziami wielu frakcji o różnych celach i zamiarach. Niektóre są radykalne, jak ci, którzy lansują pomysł, aby burze trwały do tej pory, aż spowodują chaos i zniszczą status quo. Większość jednak chce burze zatrzymać, ale parę śródlądowych królestw by chciało, żeby najpierw doprowadziły do ruiny ich nadmorskich sąsiadów i dlatego potrwały nieco dłużej. Nadmorskie ludy chciałyby mniej wiatrów, ale trochę więcej deszczu, a wtedy pastwiska i uprawy ludów z głębi lądu zgniją. To sprawi, że popyt na ryby wzrośnie.

I tak pili, Andry i bosman, stawiając sobie wzajemnie na zmianę. Bosman cały

czas mówił.

- I dlatego są czarodzieje. Mają zrobić... coś magicznego, aby uruchomić Smoczy Mur. Tysiące czarodziejów, zebranych razem przy kamiennych kręgach. Staną się bogami, będą kontrolowali wiatry.

- O tak, bogowie władają wiatrami - przytaknął Andry. - Wszyscy to wiedzą.

- Oni będą władali Smoczym Murem, a on... włada wiatrami. Powstrzyma burze toreańskie.

- A ta czarodziejka prezbiterka jest jedną z nich?

- Tak. To cudzoziemka, urodziła się w Torei.

- W Torei? Na roztopionym kontynencie? Tutaj, mistrzu, jeszcze dwa kufelki... nie, trzymaj ręce z daleka od swojej sakiewki, bosmanie, teraz ja płacę. Barman i jeszcze jedna kolejka dla wszystkich.

Właściciel i kelnerki zaczęli spełniać zamówienie, a podnieceni goście stłoczyli się przy barze. Andry odwrócił się do bosmana.

- Duży problem te burze toreańskie.

- My jesteśmy za mali, a problem jest zbyt duży, Andry. Po co my się nim martwimy?

- Hyyp... ty mi powiedz.

- Nie, mam na myśli to, że nie wiem, dlaczego my się tym martwimy.

- Więc się nie martwmy.

- Powinniśmy znaleźć kilka sprośnych ladacznic i trochę się upić.

- Sprośne ladacznice? - zainteresował się Andry, myśląc o konsekwencjach, jakie poniesie, jeśli znajdzie go matka.

- Zgadza się, sprośne ladacznice. Piją z tobą, wydajesz na nie pieniądze, a wtedy one zdejmują ciuchy i wskakują ci do łóżka.

- A co potem?

- A potem bawicie się w robienie dzieci.

- Hyyp... tak? A potem?

- Potem ty zasypiasz, a one uciekają, zabierając to, co zostało ci jeszcze w sakiewce!

Bosman, rycząc ze śmiechu, wyrzucił w powietrze pół tuzina srebrnych nobli. Kilka dziewczyn i paru pijaczków zanurkowało pod stół po monety. Bosman objął Andry'ego ramieniem.

- Potrzebujesz sprośnej ladacznicy - oznajmił. - To rozkaz.

Andry milczał. Dziewczyna. Dziewczyna, z którą się śpi. Jeszcze nigdy nie spał z dziewczyną. Nie był nawet pewny, co się wtedy robi, ale pozbierał strzępy niezliczonych rozmów zasłyszanych w stoczniach, tawernach, na targach, statkach i nocnych pijackich sesjach przy krawężnikach. Matka była daleko stąd. A co równie ważne, jeśli nawet by zrobił z siebie kompletnego głupca, był na tyle daleko od Alberinu, że jego przyjaciele raczej się o tym nie dowiedzą.

Dziewczyny skupiały się na bosmanie, bazując na teorii, że jeśli ktoś ma srebro do wyrzucania w powietrze, to ma prawdopodobnie jeszcze więcej srebra do wydania. Andry nerwowo pogrzebał w kieszeni. Nic nie znalazł. Obejrzał się na bosmana, który akurat wyciągał srebrnego nobla z podejrzenie znajomo wyglądającej sakiewki i wkładał go w dekolt chichoczącej dziewczyny siedzącej mu na kolanach. Nagle zdając sobie sprawę, co teraz nastąpi, Andry wychylił duszkiem kufel piwa.

- Muszę pana niepokoić o uregulowanie należności za ostatnią kolejkę dla wszystkich - oznajmił właściciel.

Ponieważ Andry nie potrafił produkować monet, został natychmiast pobity i wyrzucony z lokalu przez właściciela i barmana. Chwilę po nim z lokalu wyleciały zrolowane koce i toporek. Reszta jego narzędzi została w gospodzie.

- Dostaniesz je z powrotem, kiedy będziesz w stanie zapłacić za ostatnią kolejkę! - wrzasnął właściciel i zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

- Tak czy tak zostałem okradziony - pozałił się Andry zamkniętym drzwicom.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że część srebrnych monet wpadła mu przez dziurawą kieszeń do żeglarskiego buta. Pozbierał się z rynsztoka, starł z siebie nieczystości i muł i wyruszył na poszukiwanie innej tawerny. W końcu jego matka była daleko, daleko stąd.



W nieco bardziej eleganckiej części Palionu rektor Feodorean i prezbiterka Terikel sęczyły angelhair rocznik 3129, mocno schłodzone, z kryształowych kielichów i leżały na jedwabnych, wypełnionych gęsim pierzem poduszkach przed paleniskiem z czarnogłazu wykutym na kształt smoczej paszczy. Terikel piła zdecydowanie więcej niż rektor.

- Rada Smoczego Muru prosiła, bym się udała w podróż do kręgu Alpine - wyjaśniła rektor. - Sam uczony Sergal mnie przekonywał. Powiedziałam mu, że jestem za stara na pokazy niekontrolowanej mocy. Trzy tygodnie w powozie po błotnistych drogach, a potem forsowne pokazy eteryczne? To nie dla mnie.

- W porównaniu z podróżą ze Scalticaru to brzmi luksusowo - stwierdziła Terikel.

- Dużo ryzykowałam, przekraczając przesmyk Dismay. Ja raczej wystartowałabym w konkursie na Króliczka Topless Miesiąca, niż to zrobiła. A skoro już mówimy o bezcelowych posunięciach, dlaczego chcesz powstrzymać Smoczy Mur?

- Zrobiłam pewne obliczenia na podstawie obserwacji poczynionych przez metrologanki. Smoczy Mur nie jest konieczny, jest za to bardzo niebezpieczny.

- Konkurs na Króliczka Topless Miesiąca też nie jest konieczny, ale próbując go powstrzymać, stałabyś się bardzo niepopularna.

- Smoczy Mur jest niebezpieczny. Burze toreańskie miały już swój punkt kulminacyjny i teraz powoli słabną. Wszystko, co może zrobić Smoczy Mur, to zabrać energię wiatrom i zamienić ją w energię eteryczną. Taka energia musi zostać gdzieś zmagazynowana i może zostać użyta do wyrządzenia wielkiego zła. Wyobraź sobie, że twoja piwnica została zalana i pojawia się jakiś mądry czarodziej. Mówi, że może zamienić wodę w piwo, potem ty wywieszisz na drzwiach tabliczkę: „Darmowe piwo”, a wszystkie obiboki z sąsiedztwa zbiegną się i osuszą ci piwnicę. Co byś zrobiła?

- Przyjęłabym propozycję, jak sądzę.

- Dokładnie! Nie pozwoliłabyś piwu się zmarnować. A teraz wyobraź sobie olbrzymie ilości magicznej mocy zmagazynowanej w potężnym zakłęciu, rozciągającym się przez całe niebo. Czy pozwoliłabyś jej się zmarnować?

Rektor zakołysała karafką wina, a potem nalała Terikel jeszcze jeden kielich.

- Słusznie mówisz, ale co możemy zrobić? Obie jesteśmy wtajemniczonymi jedenastego stopnia, Astential ma tysiące razy więcej potencjału eterycznego od nas.

- Więc wróg jest silny. To nie jest powód, aby poddać się bez walki.

- Terikel, Terikel, zaczynasz mówić jak Wilbar z Clovesser, z Akademii Czarodziejskich Sztuk Stosowanych. Zebrał radykalną grupę studentów, utworzyli Zespół do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków i stali się pośmiewiskiem cesarskiej akademii. Jego teoria głosi, że Smoczy Mur jest spiskiem czarodziejów z innego lunaświata w celu przejęcia kontroli nad umysłami naszych czarodziejów.

- Czyli ten Wilbar dopuszcza możliwość istnienia spisku, a to więcej, niż ty robisz. Ja wiem, że spiski istnieją i wiem o wiele więcej, niż wolałabym mówić. Smoczy Mur magazynuje w sobie tytaniczną energię. Ostatnim razem, gdy śmiertelni mieli kontrolę nad taką energią, Torea została spalona aż do litej skały.

- Zapewne masz rację. Ale co ja mogę zrobić? Nie jestem nawet członkiem Rady.

- Nie musisz być kapitanem okrętu, żeby go zatopić - zauważyła Terikel sentencjonalnie. - Masz dojścia w pałacu królewskim. Cztery z kręgów znajdują się w cesarstwie Sargolu lub krajach kontrolowanych przez jego sprzymierzeńców. Świętej pamięci cesarz miał wiele wątpliwości co do Smoczego Muru. Nawet nalegał, aby ściśle kontrolować moc i zdolności Smoczego Muru. Kiedy mur zostanie ukończony, prawda wyjdzie na jaw.

- Powołano komisję kontrolną, a księżę się z nią spotkał - powiedziała niecierpliwie Feodorean. - Wyraził zadowolenie, że Smoczy Mur nikomu nie zagraża.

Oczekiwała wybuchu ze strony Terikel, ale metrologanka zachowała dziwne milczenie. Wstała, odstawiła swój kielich na kredens i założyła ręce na piersi.

- Cesarz sprzeciwiał się reaktywacji Smoczego Muru, a teraz nie żyje. Następca tronu jest, jak mówisz, zadowolony. Bardzo znaczące.

- Cesarz miał zobaczyć wyniki badań w dniu, w którym został zamordowany, mógł więc wyrazić sprzeciw, gdyby się okazało, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo.

- Nagle wszystko nabrało sensu. - Terikel pokiwała głową, ale nie wyglądała na tak poruszoną, jak oczekiwała rektor.

- Terikel, nie możesz sugerować, że koronowany niedawno księżę Sargolu jest zamieszany w spisek, który doprowadził do zamordowania jego ojca.

- Oczywiście, nie zamierzam tego rozgłaszać, mogliby mnie aresztować. Powinnam już iść. Dziękuję za twoją gościnność.

- Co zamierzasz robić teraz?

- „Ptak Burzy” pożegluje za dzień lub dwa do Diomedę zakupić egzotyczne towary dla Alberinu. Popłynę na nim.

- Dlaczego Diomeda?

- Według mojego... hmm, konsultanta, Smoczy Mur ma słabe punkty. Popłynę w górę rzeki Leir do kamiennego kręgu Centras. Co będę tam robiła, niech pozostanie sprawą mego sumienia, ale z pewnością mogę zniszczyć Smoczy Mur nawet po uruchomieniu.



Kiedy tylko Terikel wyszła, rektor wypowiedziała krótkie zaklęcie, a potem nadała mu kształt. Przybrało formę jej niewielkiego portretu, prawie wiernego, z kilkoma kosmetycznymi ulepszeniami. Mówiła do zaklęcia przez kilka chwil, a potem

zamknęła je w amulecie. Kiedy scaliło się z polerowanym kamieniem, zadzwoniła małym dzwoneczkiem. Pół minuty później zjawił się Brynar.

- Zanieś to do pałacu i daj tej osobie co zwykle - powiedziała rektor, wyciągając ku niemu amulet, który trzymała między kciukiem i palcem wskazującym.

- Prezbiterka metrologanek wyglądała na ponurą, kiedy stąd wychodziła - zauważył Brynar.

- Prezbiterka metrologanek jest bardzo niebezpieczną osobą, Brynarze. A teraz idź.

Bynar wziął klejnot i wybiegł.

- Tak, jest bardzo niebezpieczną osobą - powiedziała do siebie Feodorean, kiedy kroki ucichły. - I coś trzeba z nią zrobić.

Rozdział 2

Smocze uderzenie

Wallas kontemplował swoje dobra materialne - trzy miedziaki, kawałek nadpsutej kielbasy, skórkę czarnego chleba, mały, wyszczerbiony dzbanek z deszczówką. Ukrył się przed deszczem, wchodząc pod wóz. Jeszcze kilka dni temu takiego wozu nie brałby pod uwagę jako środka transportu, teraz musiał przyznać, że dobrze chronił przed deszczem i był czystszy niż niejedna brama.

Tego samego dnia dwudziestu miejskich bardów, podejrzanych o to, że są nim, zostało straconych, a wszyscy inni, którzy zjawili się w pałacu zwabieni konkursem, siedzieli w lochach, gdzie byli poddawani śledztwu. Chociaż zmarznięty, przerażony i zmęczony, najedzony suchym chlebem i najtańszą, soloną kielbasą, Wallas był dziwnie radosny. Po pierwsze, żył i był wolny. Po drugie, kilka dni po przemoknięciu struny jego liry w końcu wyschły. Mógł wreszcie zacząć pracować i zarabiać pieniądze, grając kilka marynarskich melodii, które gwizdał jeden z żebraków.

Wallas wiedział, że powinien wyjechać z Palionu, ale przerastała go decyzja w kwestii, dokąd uciekać. Geografia nigdy nie była jego mocną stroną. Najbliższa granica była o osiemset kilometrów stąd. Góry na zachodzie leżały bliżej, ale tam panowało bezprawie. Jednak lepiej żyć w dzikiej krainie bezprawia niż zostać straconym za królobójstwo w sposób kulturalny i z zachowaniem dobrych manier.

Tak czy inaczej musiał jakoś żyć. Żeby żyć, potrzebował pieniędzy. Aby mieć pieniądze, potrzebował pracy i chociaż na tyle nieźle gotował, żeby dostać gdzieś posadę, musiał najpierw wykapać się przed spotkaniem z przyszłym pracodawcą. Jako muzyk mógłby zostać rozpoznany, a wtedy jego głowę dość szybko oddzielono by

od reszty ciała. Jednak w mieście było teraz tak niewielu bardów i minstreli, że każdy mógł graniem zarobić trochę grosza. Wallas ze znanych sobie sześciu melodii ułożył dwie lub trzy wiązanki muzyki do tańca, więc karierę jako uliczny grajek miał na wyciągnięcie ręki.

Zadrzał z zimna. Wadą schronienia pod wozem było to, że szprychowe koła nie chroniły przed wiatrem. Wallas wypelzł spod niego, wyprostował się powoli, przeciągnął i ruszył do najbliższej tawerny. Kiedy wchodził, powitały go popularne ostatnio odzywki.

- Hej, bohaterze z lirą!

- Wezwijcie strażę, to mistrz muzyki!

Usiadł na podłodze w pobliżu paleniska, nastroił lirę i zaczął grać wiązanke tanecznych melodii. Ta muzyka zachęcała też do picia, nie było co do tego wątpliwości. Właściciel lokalu stawiał mu kufel piwa mniej więcej co godzinę; klienci rzucali miedziaki, a czasem nawet srebrnego wasala. Nagle ktoś zaryczał po diomedańsku:

*Przybądźcie, dzielni żeglarze, pomóżcie mi w opowieści,
Z doków weźcie kurs prosto na uliczne dziewczyny,
Szukając przyjemności, wypijcie kufel piwa,
A może zachowacie swoje srebro do rana.*

Śpiewak miał akcent ze Scalticaru i śpiewał kubrykową pieśń, którą grał Wallas. Wallasa zirytowało, że ktoś zakłóca jego występ, ale sytuacja nie pozwalała na wdawanie się w pyskówki. Grał dalej. Po siedmiu wersach pieśń się urwała. Pijący rzucili grajkowi trochę monet. Wallas je pozbierał. Tyle zarabiał przez pół nocy.

- Hej, czy znasz „Wystrzałowe dziewczyny z Diomedey”?! - krzyknął śpiewak, najwidoczniej o tuzin lub więcej piw lepszy od Wallasa.

- Osobiście nie - odparł Wallas.

Ktoś w pobliżu zarechotał.

- On ma na myśli „Seks z Melissą” - odpowiedział inny z pijących.

Wallas znał tylko pierwsze takty gigi, ale potem śpiewak zagłuszył jego grę dość skutecznie. Do końca utworu Wallas dodał kolejną melodię do swego repertuaru. Śpiewak postawił mu piwo.

- Mam na imię Andry, przybyłem prosto z pokładu „Ptaka Burzy”.

- A ja jestem Wallas, trochę grywam.

- Byłeś kiedyś na morzu?

- Tylko na kabotażowcu do Lancer. Sztorm zatopił mój ostatni statek, ale było blisko do brzegu i oto jestem. Żywy, z kilkoma miedziakami w kieszeni.

- Więc skoro jesteś żywy, zagrajmy coś.

Andry wyjął zza pasa cienki flet i zaczął grać gigę. Wallas nie znał tej melodii, ale znał rytm, więc bez trudu nadażył z akompaniamentem. Był z siebie zadowolony. Wiedział, że się dopasował - wyglądał i grał jak uliczny muzykant.



W ciągu trzech godzin Andry i Wallas zostali wyrzuceni z pięciu tawern. Andry zdążył zwędzić dzbanek wina, gdy ich wywlekano z drugiego lokalu, ale okazało się, że to Lecznice Czosnkowe Wino Mamuśki Antwurzel. Wypili większość w drodze do trzeciej tawerny. Ostatni łyk Wallas wysączył tuż przed wejściem. Kiedy ich wyrzucano, barmana aż zatkało, kiedy poczuł oddech Andry'ego i wypchnięto ich za pomocą długich drągów.

Potem wieczór nieco się zepsuł. Andry stracił dwa skradzione koce, wymienił trzeci na dwa kufle chmielu i pożyczył srebrnego nobla Wallasowi, który w zmian zaprowadził go do ladacznicy. Ona jednak wolała wyjść przez okienko wygodki i uciec niż spędzić noc w bezpośrednim sąsiedztwie oddechu Wallasa i jego kumpla. Ich potrzeby zostały koniec końców zredukowane do znalezienia zacisznej bramy z miłym, miękkim materacem ze śmieci. Wallas nauczył się od Andry'ego swojej pierwszej alberiińskiej piosenki pijackiej, gdy szli zygżakiem, podtrzymując jeden drugiego.

Chciałbym być w Alberinie,

Ilekróć szczęścia mi brak.

Chłopcy zawsze są mile widziani w Alberinie,

Chłopcy nigdy nie chcą...

Mroczny cień oderwał się z ciemności pod zadaszeniem ulicy i skoczył na Andry'ego, pozbawił tchu, nieludzko silnymi, lodowato zimnymi dłońmi przyparł go do ziemi. W powietrzu rozszedł się odór krwi, rozkładu, pleśni i ostry, stęchły smród potu. Wszyscy mieszkańcy okolicznych domów byli szczęśliwi, że ktoś uciszył pijanego śpiewaka. Wallas skrył się pod ścianą, zdjęty mrozącym, bezmyślnym strachem.

Nagle zimny cień puścił Andry'ego.

- Tfu! Czegoś takiego nie mogę jeść - Zasyczał kobiecy głos po diomedańsku, ale z zupełnie nieznanym akcentem.

- Dlaczego nie? - zapytał ktoś inny w pobliżu, głosem brzmiącym dużo młodziej, lecz w ogóle bez obcego akcentu.

- Brudny, śliski, włochaty, śmierdzący.

- Ja też taki jestem - powiedział Wallas z nadzieją.

- Więc sam wyssij mu krew - warknęło przerażające widmo.

- Może... jeśli wytrzymamy mu szyję...? - zasugerował młodzieniec w ciemności.

- Nie! Śmierdzi jak gównu plantatora czosnku utopione w wiaderku smoły i... jak namoczone w winie, żeby się lepiej gotowało. Jak to się nazywa?

- Marynowanie - odpowiedział Wallas.

- I zamarynowane!

- Chwileczkę - wyrzucił Andry.

- Zamknij dziób! - warknęła kobieta, kopiąc go w zębra.

- A co z tym grubym? - zapytał młodzieniec.

Odwróciła się do Wallasa. Jej oczy i kły lśniły delikatnym niebieskim blaskiem; powoli pokręciła głową.

- Tfu! Jest zbyt brudny!

- Oszczędzisz ich obu?! - krzyknął młodzieniec z niedowierzaniem.

- Sama myśl o picciu jego krwi jest odrażająca.

- A więc, drogi potwo... droga pani, możemy sobie iść? - zapytał Wallas, nie do końca pewien, co mówi. - Najwidoczniej nie jest pani spragniona.

Miał świadomość, że gniewne oczy zwróciły się w jego stronę. Odruchowo zasłonił dłońmi gardło, ale ona znowu pokręciła głową.

- Straciłam apetyt od tego smrodu.



Gdy Andry odzyskał oddech i zdołał usiąść, napastniczka i jej towarzysz już wtopili się cicho w mrok źle oświetlonej uliczki. Wallas czuł się jak osoba, która właśnie przeżyła tak bliskie spotkanie z bełtem wystrzelonym z kuszy, że wyrwał jej trochę włosów z czubka głowy.

- Andry... żyjesz?

- No, tak myślę.

- Co to było?

- Cóż, jestem otwarty na propozycje.

Za pomocą pobliskiej ściany powoli stanęli na nogach, chwiejnie przeszli kilkadziesiąt metrów i skręcili w przecznicę. Okazała się ślepą uliczką. Andry zatoczył się i upadł na kolana.

- To jest płótno żaglowe - oznajmił. - Marne płótno żaglowe.

- Ale nie mamy statku - wymamrotał Wallas.

- Mam na myśli to, że dobrze się na nim śpi.

- Ale deszcz pada.

- Spójrz do góry, widać gwiazdy.

Wallas spojrział w niebo, stracił równowagę i runął na ziemię. Skoro już leżał, zdecydował się na krótki odpoczynek, zanim wpełźnie na płótno żaglowe. Andry podczołgał się do niego.

- E, wstawaj, jest zimno.

- Odpieprz się - wymamrotał Wallas.

Andry spróbował wtaszczyć go na poduszkę z wyrzuconego przez kogoś płótna żaglowego, ale Wallas był zbyt ciężki. Wziął więc jego lirę i wrócił na płachtę.

- Ej, mam twoją lirę - powiedział. - Chodź ją sobie zabrać.

- Uważaj na moją lirę - odpowiedział nie całkiem przytomnie Wallas.

Po zagranii kilku nut Andry próbował sobie przypomnieć słowa „Miasta Alberin”, lecz zaraz uświadomił sobie, że ostatnia próba zaśpiewania „Miasta Alberin” zwabiła do nich nieludzką istotę wysysającą krew. Potarł miejsce, gdzie dostał kopniaka w żebra.

- Wiesz, Wallas, jak na żeglarza jesteś tylko marnym krzykaczem - zauważył.

- Uważaj na moją lirę - odpowiedział Wallas.

- Czy ty masz jakieś mieszkanie?

- Uważaj na moją lirę. - Wallasowi wydawało się, że to najbardziej neutralne, co może powiedzieć.

- Mam na myśli to, że moglibyśmy się wyspać pod dachem.

- Uważaj na moją lirę - wymamrotał Wallas, zmieniając temat.

- W sumie bard z ciebie do dupy, ale umiesz zagrać melodię czy dwie na tej lirze.

Wydałem dziewięćdziesiąt srebrnych wasali na lekcje gry na lirze, więc, do cholery, powinienem umieć, pomyślał Wallas, lecz powiedział tylko:

- Uważaj na moją lirę.

W pobliżu rozległ się krzyk i tupot.

- Kobieta - powiedział Andry bełkotliwie.

- Uważaj na moją lirę - odparł Wallas, prawie zasypiając. Ktoś przebiegł obok wlotu alejki, potem zawrócił i wpadł w nią, potykając się o Wallasa oraz przemykając obok Andry'ego i jego posłania z żaglowego płótna. Andry uchwycił zapach perfumowanego mydła i usłyszał urywany, świszczący oddech.

Niestety, goniący byli tak blisko, że zauważyli, jak kobieta wbiegła w alejkę. Teraz byli bardzo blisko. Kolejne stopy zdeptały Wallasa, potem przeskoczyły nad Andrym i jego posłaniem. Do tej pory kobieta zdążyła się zorientować, że jest w ślepej uliczce. Odwróciła się, by walczyć, zaklęciem przywołując płomienie do swoich rąk, a potem cisnęła nimi w swoich prześladowców. Chybiła. Zaklęcie trafiło w poduszkę z płótna.

Andry zerwał się na równe nogi, bo płótno wokół niego zapłonęło żywym ogniem. Światło płomienia pozwoliło mu dostrzec pięciu krzepko wyglądających mężczyzn, którzy przewrócili kobietę na ziemię. Za nim Wallas powoli dźwigał się na kolana. Andry usłyszał dźwięk drącego się materiału, zobaczył blade nogi i błysk noży.

- Ej, wy, żałosne dupki, co wy robicie? - Wypowiedź była wprawdzie w diomedzańskim, ale Andry nie skierował jej do nikogo konkretnego. Machnął w ich stronę lirą Wallasa.

Pięciu mężczyzn spojrzało na niego zaskoczonych. Ich ofiara także. Zapadła chwila absolutnej ciszy.

- Uważaj na moją lirę - marudził Wallas zza pleców Andry'ego.

- To żałosne, wiecie, to okropne - ciągnął Andry. - Jeśli chcecie przelecieć tę dziewczynę, musicie jej zapłacić, tak jak robią to inni.

- Brać ich! - doleciało z końca alejki. Pojawiły się tam dwa potężne cienie.

W przelotnej chwili jasnego myślenia Andry chwycił toporek i zakręcił nim nad głową dla większego efektu. Na nieszczęście drewniana rączka nadpaliła się, gdy płótno zajęło się ogniem. Ostrze toporka wraz z kawałkiem styliska odłamało się i wirując, poleciało w stronę przywódcy zbirów; on jednak uchylił się i pocisk trafił w jego koleżkę. Runęli obaj. Andry kopnął w głowę leżącego najbliżej, potem rąbnął innego lirą Wallasa, roztrzaskując ją na jego czaszce. Został więc z resztkami liry i złamanym styliskiem toporka w dłoniach.

- No chodź! No chodź! - zachęcał zbirów do walki. - Założę się, że nie masz jaj!

Włosy, broda i ubranie draba, który przytrzymał kobietę, nagle stanęły w

plamieniach. Zbir puścił ją z wrzaskiem. Inny zaszarżował na Andry'ego - lub ostatecznie zaszarżował w kierunku Andry'ego. W rzeczywistości próbował zwać, by ocalić własną skórę, lecz Andry tego nie wiedział. Rzucił się na bandytę uzbrojony w resztki liry i zwęglony trzonek topora, przewrócił go na ciągle klęczącego Wallasa i skoczył na wymachującą kończynami stertę, tłukąc na oślep z nadzieją, że nie bije Wallasa. Dostał pięścią w lewe oko; w głowie zabłysły mu błękitne gwiazdy. Chwilę później ocknął się na ziemi i zobaczył Wallasa, który uwiesił się na przedramieniu zbira i został uniesiony w powietrze. W drugiej dłoni miał nóż. Andry kopnął bandytę w kolano. Obaj przewrócili się na niego.

Nagle wszyscy zamarli. Na szczęście dla Andry'ego nikt nie próbował go zabić ani nawet uderzyć. Uniósł się powoli. Zbir stoczył się z niego. Wallas wciąż zaciskał dłoń na rękojeści noża, który tkwił w klatce piersiowej bandyty.

Andry wstał. Kobieta stała plecami przy ścianie, ubranie miała podarte. Płótno żaglowe ciągle płonęło. Jeden z bandytów również, ale już się nie ruszał. Obok leżał piąty zbir, jego głowa nosiła ślady bliskiego spotkania z obuchem toporka Andry'ego. Ciągle miał uśmiech na twarzy. Jeden z dwóch nieprzytomnych bandziorów zajęczał. Andry kopnął go w głowę.

- Uważaj na moją lirę - zachlipał Wallas.

- Nie żyje - powiedział Andry. - Musiałeś go trafić prosto w serce.

Odwrócił się w stronę kobiety i leżącej w pobliżu ludzkiej pochodni.

- Spalił się.

- Podpaliłam go - wychrypiała kobieta.

- Słuchajcie, myślę, że najwyższy czas się stąd wynieść - zauważył Andry. Zebrał z ziemi szczątki liry i podał je Wallasowi.

- Połamałeś moją lirę - jęknął Wallas.

Kobieta zemdląła.



Andry kopał w drzwi Wesołego Przybytku Madame Jilli, aż zasuwa puściła z klekotem. Na jego widok trzy kobiety w bardzo skąpych, choć wyglądających na drogie strojach poderwały się, przykucnęły i uklęknęły. Każda miała przewieszoną przez pierś niewielką kuszę. Broń wyglądała jak zabawki, lecz Andry wiedział, że jeśli dziewczyny są podobne do alberiińskich prostytutek noszących spluwy pod sukienkami, to bełty są zatrute. Chwilę później ktoś kryjący się w cieniu zauważył, że przez ramię Andry'ego jest przewieszona kobieta.

Na słowa: „Przepuście go”, kobiety opuściły broń. Andry wszedł, niosąc kobietę, której uratował życie. Za nim wkroczył Wallas, trzymając w dłoniach toporek z osmaloną resztką trzonka, resztkę styliska, zakrwawiony sztylet, cztery sakiewki i połamaną lirę. Jego lewy rękaw aż do łokcia zabrudzony był krwią.

- Pomogliśmy tej dziewczynie ulicznej, którą napadli jacyś faceci - wyjaśnił Andry.

- Bardzo źli faceci - dodał Wallas.

- Próbowali, wiecie, załapać się na darmowy numerek i myśmy im przeszkadzili - ciągnął Andry.

- Ja dźgnąłem jednego - nadmienił Wallas. - Ale jego własnym nożem.

- Czy mu się od tego poprawi? - zapytała madame Jilli.

- Nie, ale chodzi o to, że to nie była wina Wallasa - wyjaśnił Andry.

Wallas nie lubił nawet myśleć, że mógłby nosić przy sobie coś tak niebezpiecznego jak sztylet, świńskie obrazki lub kondomy zrobione z owczego jelita. Podniósł nadpalony trzonek toporka.

- Cóż, to prawda; nie była to również wina Andry'ego.

Andry położył nieprzytomną kobietę na kanapie.

- Było jeszcze trzech innych. Ja, wiecie, wdałem się z nimi w sprzeczkę.

- Andry kopał ich w głowę - wyjaśnił Wallas. - Kopał ich bardzo mocno, więc nie próbowali uciec.

- Ta kobieta, wiecie, podpaliła ich - dodał Andry.

- Ale nie jesteśmy pewni, czy to była jej wina - uzupełnił Wallas.

Madame Jilli starała się uspokoić i wciąż gorączkowo próbowała złożyć usłyszane fakty w koherentną całość. W końcu przyczepiła się do szczegółu.

- Podpaliła kogoś?

- Tak - odparł Andry.

- Tylko potężna wtajemniczona jedenastego stopnia może podpalić człowieka - powiedziała madame Jilli, badając nieprzytomną. - Jesteście pewni, że to dziwka?

- Eee, no, bo ja... eee... Wallas, ty jej powiedz.

- No cóż, ona... była na ulicy w nocy.

- Och, naturalnie, nigdy wcześniej nie widziałeś samotnej kobiety w nocy.

- Jej eskorta mogła zostać zabita - podkreśliła madame Jilli, rozluźniając zemdlonej suknię.

- Och tak, może, nie byliśmy pewni - powiedział Andry zawstydzony, ale

próbując ratować twarz.

- Dlaczego przynieśliście ją tutaj? - zapytała madame Jilli, wyciągając coś z sakiewki nieprzytomnej kobiety.

- Zobaczyliśmy twój szyld i pomyśleliśmy, że uliczne dziewczyny pomagają sobie nawzajem.

- To jest kapłanka z zakonu metrologanek! - krzyknęła madame Jilli, oglądając coś w rodzaju pieczęci.

- Eee, tak? - zapytał Andry.

- To zakon oddany nauce, specjalizujący się w mierzeniu wszystkiego, co istnieje - wyjaśnił Wallas. - Zajmują się także prostytutkami, sierotami i kalekami w miastach, gdzie mają świątynie.

Madame Jilli wstała i stanęła twarzą w twarz z Andrym.

- To nie dziwka, a jako metrologanka jest tutaj mile widziana. Dlaczego jej pomogliście?

- Cóż, kiedy te dupki próbowały ją przelecieć za darmo, to było, eee, okropne - tłumaczył Andry.

- Racja - zgodził się Wallas. - Oni wyglądali na okropnych ludzi z niższej klasy, a ona krzyczała głosem kogoś edukowanego. Ludzie wytworni powinni się wspierać nawzajem, więc interweniowaliśmy.

- Pozwólcie mi sprecyzować. Uratowaliście kogoś, kogo wzięliście za prostytutkę, przed pięcioma członkami Gwardii Tronowej, ponieważ sądziliście, że tak należy zrobić?

- Co? - zaśmiał się Andry. - Gwardia Tronowa? Nie, to były zwykłe bandziory.

Madame Jilli wzięła od Wallasa poręczny, chociaż ozdobny sztylet i uniosła go w palcach.

- Herb wyryty na nim to znak Cesarskiej Gwardii Tronowej. Tylko jej członkowie mogą nosić takie sztylety. Jeśli ktoś spoza gwardii by użył ich broni, ma być skazany na śmierć.

- Zabiłem członka Cesarskiej Gwardii Tronowej? - jęknął Wallas, rzucił wszystko, co trzymał w rękach, zemdlał i czuł się naprawdę okropnie.

- Biedny człowiek - powiedziała madame Jilli. - Taki odważny, a w dodatku potrafi się wysłować. Ty masz na imię Andry?

- No.

- Idź z Ellisen, ona zadba o twoje potrzeby. Roselle, Melier, pomóżcie mi ocucić

Wallasa i kapłankę.



Ellisen nie pozwoliła Andry'emu wejść do łóżka, dopóki się nie rozebrał, nie wykąpał i nie umył włosów w oleju głogowym, aby zabić wszy. Była wyższa od Andry'ego, szersza w ramionach i zdecydowanie nie miała zamiaru znosić żadnych męskich wygłupów. Przypominała Andry'emu matkę i kiedy to sobie uświadomił, mniej się opierał. Wkrótce szorowała mu plecy ostrą szczotką i szarym mydłem. Wymieniali się historyjkami o bójkach w tawernach, w jakich oboje brali udział.

Andry wskoczył na pachnącą pościel do pierwszego podwójnego łóżka, w jakim w życiu spał. Leżał chwilę, wsłuchując się w hałasy, jakie dobiegały z sąsiedniego pokoju - a potem już było rano. Swoje ubranie, schludnie złożone, zobaczył na skrzyni w kącie. Nie wydzielalo już przykrego zapachu i widocznie zmieniło kolor. Doszedł do wniosku, że po prostu zostało uprane. Odział się pośpiesznie i wciągnął swoje żeglarskie buty, które zostały oczyszczone i wypastowane. Ubranie przestało być znajome, więc rozejrzał się za lustrem. Było umieszczone tak, że można się było w nim przeglądać, jedynie leżąc w łóżku.

- No i kto tego używa? - mruknął zaskoczony, włączając na łóżko, odkręcając lustro i stawiając na podłodze.

Jego odbicie wyglądało na o wiele bardziej godne szacunku, niż sam myślał o sobie. Jeśli faktycznie wyglądam tak dobrze, dlaczego nie mogę sobie znaleźć dziewczyny? - zastanawiał się pełen wątpliwości.

- Może jesteś jednym z tych magicznych zwierciadeł, które pokazują to, co chce się zobaczyć? - zapytał lustro, ale ono milczało.

Otworzył drzwi i zobaczył Ellisen śpiącą na kocu pod ścianą. Obok niej leżała kusza. Nie będąc do końca pewien, czy miała powstrzymać jego przed wyjściem, czy innych przed wejściem, na wszelki wypadek głośno zaanonsował swoje przebudzenie. Ellisen zerwała się na równe nogi, przeciągnęła i zaprowadziła Andry'ego do pokoju, za małego na refektarz, ale o wiele za dużego na zwykłą jadalnię. Tu madame Jilli właśnie jadła śniadanie w towarzystwie Wallasa, który wyglądał na wielce zadowolonego z siebie.

- Najwidoczniej duży oddział zabójców i co najmniej pięciu cudzoziemskich czarodziejów zabiło ostatniej nocy dwóch członków Cesarskiej Gwardii Tronowej - oznajmiła madame Jilli.

- My? - zdziwił się Andry.

- Och, nie! To zupełnie wykluczone, żebyście to mogli być wy. Chodź, twój niestrudzony towarzysz i ja czekaliśmy na ciebie.



Andry zjadł śniadanie w milczeniu. W jadalni było niewiele osób - dziewczyny, które pracowały w nocy, odsypiały w ciągu dnia. Służąca stała przy pobliskim stoliku i składała serwetki, a madame Jilli popijała herbatę z filiżanki i czytała rolkę pergaminu.

- Nigdy, wiecie, nikogo nie zabiłem - wyznał Andry między jednym kęsem wędzonej szynki a drugim.

- Ależ zabiłeś - odparł Wallas. - Ostatniej nocy. Ja też.

- Nie, mam na myśli to, że nigdy przedtem nikogo nie zabiłem. Skopałem kilka łbów i w ogóle, ale nigdy nie próbowałem nikogo uśmiercić.

- Jednak nikogo nie zabiłeś.

- Zgadza się.

- Świetnie rzucasz toporkiem - zauważył Wallas, patrząc z ukosa na madame Jilli. - Ja rzuciłbym moim nożem, ale wydawało mi się, że panujesz nad sytuacją.

- Przypadek. - Andry wzruszył ramionami. - Nie powtórzyłbym tego, nawet gdyby chodziło o moje życie.

- Ten przypadek pomógł ocalić życie metrologance wczorajszej nocy.

- Ale ty zabiłeś kogoś, Wallas. Jak znosisz to uczucie? Winę, wiesz i myśl: Ja tu jem pyszne śniadanko, a tamten już nie zje żadnego śniadanka. Nigdy.

- Nie wiem, ale owszem, czuję się z tym źle. Nie zabiłem nikogo aż do ostatniej nocy.

- Czy to prawda? - zapytała madame Jilli.

Wallas nagle przypomniał sobie przechwałki, jakie wygłosił, leżąc w jej łóżku ubiegłej nocy.

- Cóż, Andry, jeśli jesteś tak zaprawiony w walkach jak ja, możesz sobie pozwolić na robienie miłosiernych gestów, z wyjątkiem oczywiście najbardziej ekstremalnych sytuacji.

- Więc ten cios prosto w prawe serce i poprzeczną arterię był twoim pierwszym?

- Co to jest arteria poprzeczna? - odpowiedział pytaniem Wallas, pospiesznie zmieniając temat.

- To największe naczynie krwionośne, które łączy nasze dwa serca. Jest częścią

systemu wzajemnego.

- Skąd to wiesz?

- Kiedyś wykradałem ciała z grobów na potrzeby Gildii Medyków. Oni je kroili, aby studenci mogli się dowiedzieć, jak zbudowane jest ciało. Trzymałem się w pobliżu, bo za pomoc przy sprzątanii dawali dwadzieścia miedziaków. Nigdy nie myślałem o trupach, że byli to kiedyś żywi ludzie, ale ostatniej nocy było pięciu żywych, a potem dwóch już nie żyło. Obaj podążyli do Mrocznej Krainy.

- A ty znasz to poczucie winy, o którym wspominałeś? - zapytał Wallas, niszcząc głos do szeptu.

- Tak.

- Co mam z tym zrobić?

Andry długo nie mógł znaleźć odpowiedzi.

- Pierwszy raz nocowałem w domu publicznym - powiedział wreszcie.

- Przybytku pokoiów rekreacyjnych - poprawiła go Ellisen, która stała w progu.

- Mężczyźni nie przychodzą tu spać - powiedział słodko Wallas.

- Chyba słyszałem ich za ścianą. Brzmiało to tak, jakby ktoś wiosłował łóżkiem dookoła pokoju.

Służąca zachichotała, madame Jilli podniosła obie ręce do twarzy, nawet Ellisen się uśmiechnęła.

- To był pokój madame Jilli - wyjaśnił Wallas z uśmiechem, najwyraźniej dumy z tego, że był odpowiedzialny za te hałasy, chociaż zdenerwowało go porównanie. - A ty co robiłeś?

- Próbowałem zasnąć.

- Czyli nie miałeś towarzystwa? - zapytał Wallas, patrząc chytrze na Ellisen.

- Zgadza się.

- Chyba po raz pierwszy w tym łóżku znalazł się mężczyzna bez kobiety.

- Miałem na myśli to, że nikt nie przychodzi tu, żeby się tylko onanizować.

Twarz madame Jilli płonęła, zakryta dłońmi, służącej popłynęły z oczu łzy śmiechu, a Ellisen zaczęła intensywnie wpatrywać się w coś na suficie.

- Dobra, co teraz? - spytał Wallas.

- Znajdźmy tawernę i napijmy się piwa.

- Andry, jesteśmy poszukiwani. Zabiliśmy dwóch członków elitarnego oddziału cesarskiego.

- Zgadza się, ale pomogliśmy damie.

- Pozostali strażnicy żyją. Różne kłamstwa wypisują w oficjalnych biuletynach, ale wszyscy będą szukali cudaka w żeglarskim ubranku, wyposażonego w ciesielski toporek oraz ciężki albertiński akcent w diomedańskim, którym mówi.

- O tak, oraz jego grubego przyjaciela z lirą.

- Musimy opuścić Palion i to szybko! - nalegał Wallas.



W powierzchowności obu przyjaciół zaszły pewne zmiany. Andry zgolił zarost i związał włosy w kucyk. Wallas przykleił sobie nieco włosków z brody Andry'ego nad górną wargą i na policzkach oraz spalił resztki liry.

Madame Jilli cisnęła sztylet Gwardii Tronowej do rzeki. Kiedy wróciła do swojego przybytku, okazało się, że jej goście są już gotowi do drogi.

Andry i Wallas zobaczyli po raz pierwszy kobietę, której uratowali życie. Miała około trzydziestki, wyglądała na kruchą i wyczerpaną.

- Panowie, pozwólcie, że jeszcze raz wam dziękuję - powiedziała Terikel po diomedańsku, ale z dziwnym obcym akcentem.

- Cała przyjemność po naszej stronie - rzekł Andry grzecznie.

- Ale jeśli przypadkiem zna pani tanią, dyskretną drogę, którą moglibyśmy opuścić miasto, będziemy bardzo wdzięczni - dodał Wallas.

- Dlaczego? - zapytała krótko.

- Naprawdę nas tu nie chcą - wyjaśnił Wallas.

- Cóż, właściwie to chcą nas wszystkie posterunki w mieście - uściślił Andry. - To trochę kłopotliwe.

Zapadła krótka cisza. Andry podrapał się w głowę.

- Dlaczego mi pomogliście? - zapytała Terikel, jak gdyby była to ostatnia rzecz, jakiej mogła oczekiwać od dwóch nieznajomych.

- Bo potrzebowała pani pomocy, kurde - odparł Andry.

- I to wszystko? Bo potrzebowałam pomocy?

- No.

- Żadnego innego powodu nie było?

- Wy, metrologańskie kapłanki, pomagacie chorym i pobitym prostytutkom. Czy pytacie je, jak zeszły na tę drogę?

Kapłanka zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś. Dopiero teraz Andry zauważył, że włożyła ubranie pożyczone ze wspólnej szafki dziewczyn madame Jilli. Jednak coś w jej twarzy mówiło, że nie jest prostytutką. Komiwojażer z paskudnym

bólem głowy mógł tak wyglądać, ale nie ulicznica.

- Ja także muszę opuścić Palion - oznajmiła - lecz muszę najpierw spotkać się z paroma osobami i załatwić kilka spraw. Jestem agentką handlową, jak widzicie.

- Madame Jilli mówiła, że jest pani kapłanką - wypalił bez zastanowienia Andry.

- Każdy strażnik i najemnik w tym mieście szuka kapłanki - powiedziała uszczypliwie. - Dla mnie będzie lepiej, jeśli będę agentką handlową.

- A, tak, więc jest pani agentką handlową - zgodził się Andry.

- Bardzo dobrze. A teraz słuchajcie uważnie. Rywal mojego pracodawcy chce doprowadzić do ruiny jedno z jego przedsięwzięć, dlatego przyjechałam tu na negocjacje. Zrozumieliście?

- No - odpowiedzieli razem Andry i Wallas.

- Ponieważ chcecie opuścić miasto, możecie pójść ze mną i być moimi ochroniarzami. Co wy na to?

- On się zgadza! - krzyknął Wallas, patrząc na Andry'ego z ukosa. - Obaj się zgadzamy.



Kamienny krąg Centras wybrano na pierwszy z kręgów do przetestowania podstawowej formy zaklęcia Smoczego Muru. Astential badał krąg, stojąc na jego brzegu i sprawdzał, czy każdy z szesnastu czarodziejów jest przy swoim kamieniu, gotów do wygłaszania zaklęć. Jego megalit znajdował się w środku kręgu, na dnie okrągłego zagłębienia.

To nie wygląda zupełnie dobrze, pomyślał Astential, schodząc do niecki ze stopionego piasku. Wszystkie szesnaście zewnętrznych megalitów dumnie stoi wyprostowanych, tak że każdy może je zobaczyć, tylko mój jest ukryty w zagłębieniu. Szybko wspiął się na megalit i zajął swoje miejsce, nie tracąc czasu na wielkie gesty i teatralne pauzy. Przecież to tylko próba.

- Uczni koledzy, wypowiedzcie swoje zaklęcia - powiedział, a jego szesnastu czarodziejów wymówiło potężne, ale niestabilne zaklęcia w złożone dłonie. - Rozwińcie! - polecił. Szesnastu czarodziejów rozdzieliło na dwie części kule lśniących, wijących się promieni surowej energii eterycznej, potem unieśli je ponad oparcia kamiennych siedzisk. - Puśćcie! - Trzydzieści dwa strumienie błękitnego ognia pomknęły parami do góry z wyciągniętych rąk każdego czarodzieja na skraj kamiennego kręgu. Teraz Astential wypowiedział specjalne zaklęcie kontrolne,

wtapiając w wirującą kulę nieco energii, a potem posyłając w niebo dwa strumienie energii.

Do pochówku zebrano z grubsza jedną trzecią Astentiala, a w promieniu pół kilometra od kręgu nie było nikogo, kto by nie został ochlapany jego szczątkami.

- To wina centralnego megalitu - powiedział później tego dnia Lavolten, gdy razem z Talberanem przeprowadzali inspekcję stanowiska. - Powinien być dokładnie tej samej wysokości co megality na brzegu kręgu, bo inaczej powstaje zjawisko rezonansu. A już wiemy, jakie skutki ma rezonans - dodał, wskazując gestem pobożowisko.

- Teraz to wiemy - odpowiedział Talberan. - Dlaczego zbudowano ten krąg w zagłębieniu?

- Ponieważ nie jest to część pierwotnego krajobrazu! Coś niezwykle gorącego eksplodowało tu pięć tysięcy lat temu, pozostawiając krater obrzeżony stopionym szkłem. Aby odtworzyć oryginalną konfigurację, musimy zbudować kamienną platformę i podnieść środkowy megalit do poziomu skrajnych.

- Kolejne opóźnienie względem grafiku - westchnął Talberan.

- Lepsze opóźnienie niż kolejna katastrofa - powiedział Lavolten, strząsając kawałek ucha z czubka swojego buta.



Terikel, Andry i Wallas wmieszali się w poranny tłum Palionu; dla postronnego obserwatora kapłanka wyglądała jak kochanka bogatego człowieka, eskortowana przez dwóch wynajętych strażników. Poszła prosto na ulicę targową, gdzie były sklepiki zamiast straganów. Andry, który nie był w sklepie przez całe swoje życie, tak się przejął, że właściciel podejrzewał go o zamiar kradzieży. Terikel wybrała długi do kostek, ciemnoszary płaszcz. Kiedy targowała się, aby podtrzymać swój wizerunek, Andry i Wallas powędrowali wzdłuż ulicy, zaglądając do innych sklepików.

- Ta madame Jilli... Nie uwierzyłbyś, jaka była! - powiedział Wallas, w końcu pozwalając sobie na niedyskrecję o nocy spędzonej z właścicielką wiadomego przybytku.

- Czy ona by chciała, żebyś zdradzał mi szczegóły? - zapytał Andry z niepokojem.

- Delikatna i czarująca, w dodatku nienasycona... cóż, przynajmniej na początku, ponieważ ja...

- Nie chcę tego słuchać! - syknął Andry i gwałtownie skręcił w najbliższe

otwarte drzwi. Wallas pospieszył za nim i trafili do sklepu z instrumentami muzycznymi. Andry sięgnął po bambusowy flet długości przedramienia.

- Masz już flet - powiedział Wallas.

- Mam - odrzekł Andry. - Ale ten jest dla ciebie.

- Dla mnie? Nie umiem na nim grać. To instrument niższej... - Wallas złapał się, że chciał powiedzieć „niższej klasy”. - Ma niższy dźwięk, niż lubię.

- Och nie, ten ma tonację D, jest uniwersalny - powiedział Andry, wyciągając swój sfatygowany cienki flet.

- Ale jak będę śpiewał?

- Śpiewasz okropnie, zwłaszcza kiedy wlejesz w siebie kilka kufli. Zrób nam przysługę i naucz się grać na flecie.

Wallasowi odebrało mowę z gniewu. Przecież był mistrzem królewskiej muzyki, co oznaczało, że tylko świętej pamięci cesarz miał prawo krytykować jego grę. A nie krytykował, bo nie miał słuchu.

Właściciel sklepu podszedł, zacierając ręce.

- Ach, to doskonały instrument, panie, ale czy gra pan również na lirze? Mamy specjalną ofertę, za trzy czwarte ceny.

- O, miałem właśnie zapytać o lirę - oznajmił Wallas.

Andry zerknął na ulicę. Kilku ludzi na zewnątrz najwyraźniej wpatrywało się w sklep. Dwóch stało na palcach i próbowało zajrzeć do wnętrza. Odwrócił się znowu i ujrzał Wallasa grającego na lirze.

- Och nie, to instrument bardów, a ty nie jesteś bardem - powiedział z naciskiem, mrugając i wskazując wzrokiem w kierunku ulicy.

Właściciel kolistym ruchem potarł czubek głowy. Ludzie, którzy próbowali wyglądać na zwykłych przechodniów kompletnie niezainteresowanych sklepem, zamienili ze sobą kilka słów. Terikel weszła do środka, odmieniona przez nowo nabyty płaszcz.

- Potrzebuję twej rady, dobry człowieku - powiedziała po diomedańsku, który nagle zrobił się bezbłędny. - Chcę kupić instrument na prezent dla mojego męża. Musi to być coś, na czym łatwo nauczyć się grać.

- Gry na lirze można się nauczyć w kilka dni - pomógł jej Wallas.

Andry nie miał pojęcia, o co chodzi, ale zauważył, że właściciel sklepiku stuka się kciukiem w czubek głowy. Spojrzał na zewnątrz - kilka osób wykonywało dziwne ruchy, przesyłając dyskretne, kodowane sygnały. Właściciel teraz drapał się w czubek

głowy małym palcem. Andry znów rzucił okiem na ulicę - obserwatorzy dawali sygnały ludziom, którzy pozostawali niewidoczni.

- Mamy właśnie specjalną wyprzedaż lir - mówił do Terikel właściciel sklepu.

- Wspaniale. Jaką cenę pan oferuje? - powiedziała, biorąc instrument od Wallasa. - Chcę kupić coś, co przypominałoby mi Palion. Pochodzę z Diomedey i poprosiłam moich ochroniarzy o wybranie prostego instrumentu. Wie pan, ja nie jestem muzykalna.

- A ja chciałbym negocjować cenę tego instrumentu na dole - powiedział Wallas.

Właściciel wydawał się zaniepokojony natarczym targowaniem się Wallasa. Andry odciągnął Terikel na bok.

- Tamci ludzie obserwują sklep, pani - wyszeptał.

Terikel spojrzała na drugą stronę ulicy. Obserwatorzy nie byli szczególnie kompetentni, nie potrafili ukryć podniecenia.

- Więc w końcu mnie znaleźli - odszepnęła.

- Oni? Kim są oni?

- Ludzie, którzy chcieli mnie znaleźć.

Gdzieś w oddali rozległ się gwizd, a ktoś zaczął uderzać w gong.

- Lecz może znaleźli mnie niewłaściwi ludzie.

Andry podszedł do drzwi i wyjrzał na ulicę. Z północy nadciągała grupka zdeterminowanych strażników. Popatrzył w drugą stronę. Zbliżał się oddział co najmniej dwudziestu wojowników w lekkich zbrojach. Naprzeciwko sklepu stali agenci, którzy wysyłali sygnały do obu grup. Nagle się okazało, że na ulicy nie ma innych ludzi, ponieważ lokalni mieszkańcy wiedzieli, że kiedy nadciągają strażnicy, lepiej ukryć się w bezpiecznym miejscu. Andry doskoczył do właściciela sklepu, ciosem pięścią w twarz go ogłuszył.

- Co robisz, do cholery?! - przeraził się Wallas. - Właśnie opuścił mi do trzech srebr...

- Teraz masz lirę na koszt firmy. Szybko, biegniemy do tylnego wyjścia.

- Tu nie ma tylnego wyjścia! - krzyknęła z zaplecza sklepu Terikel. - Nie ma nawet okna.

Nagle za drzwiami zrobiło się zamieszanie. Świst strzał i odgłosy uciekających stóp mieszały się z jękami bólu i okrzykami bojowymi.

Obserwatorzy na ulicy zachwiali się i upadli, dostawszy się w krzyżowy ogień

Straży Miejskiej - szukającej Wallasa - i oddziału Gwardii Tronowej - szukającej Terikel. Obie drużyny zaatakowały się nawzajem.

We troje patrzyli zafascynowani na potyczkę za oknem. Strażników miejskich było kilka razy więcej niż gwardzistów, ale Gwardia Tronowa była formacją elitarną i śmiertelnie skuteczną. Rozgorzała walka wręcz. Strażnikom udało się przedrzeć w pobliże sklepu, lecz gwardziści zatrzymali ich i odparli. Linia frontu znów minęła sklep. Dowódca oddziału gwardii doszedł do wniosku, że jego przeciwnicy mieli uratować Terikel i poprowadził swoich ludzi w szaleńczym ataku, aby ją schwytać lub zabić. Andry zdjął z półki na ścianie trzystrunowy rebek.

- Andry, to jest kradzież! - krzyknęła Terikel.

- Tak, i co z tego? Potraktujmy to jako odszkodowanie za wplątanie nas w tę awanturę!

Wybrał kilka zapasowych strun, a potem wyszedł na zewnątrz i popatrzył na walkę, która toczyła się aktualnie jakieś siedemdziesiąt kroków na północ od sklepu.

- Ej, myślę, że to najlepszy moment, abyśmy sobie poszli - rzekł.

Terikel i Wallas dołączyli do niego i szybko ruszyli przed siebie. Byli tuż przy skrzyżowaniu, gdy właściciel sklepu ocknął się i wyskoczył na ulicę, krzycząc i machając rękami.

- Tam są, zatrzymać ich, on kupił lirę!

Jeden z gwardzistów odwrócił się w najgorszym momencie - najgorszym dla Terikel, Andry'ego i Wallasa.

- Prezbiterka za nami! - krzyknął.

Dziwiesięciu gwardzistów rzuciło lekkimi toporkami. Jeden trafił prosto w głowę właściciela sklepu, ale trójka uciekinierów była już poza zasięgiem pocisków miotanych nawet przez członków Gwardii Tronowej. Strażnicy miejscy, sądząc, że gwardziści się wycofują, ruszyli do ataku. Gwardia zrobiła w tył zwrot i podjęła walkę ze strażnikami. Terikel, Andry i Wallas zniknęli za rogiem.



- Mogę zapytać, co tam się wydarzyło? - zapytał Wallas, gdy siedzieli w tawernie, zbierając myśli i odzyskując oddech.

- Sklep był obserwowany! - powiedział Andry.

- Szukali mnie - wyjaśniła Terikel.

- Ale właściciel sklepu krzyczał coś na temat liry - zauważył Andry.

- Pewnie ci trzech, którzy przeżyli, kiedy mnie ratowaliście, zauważyli, że moi

wybawcy mieli lirę, która połamała się podczas walki. Gdy Wallas zapytał o lirę, właściciel musiał dać znak komuś na zewnątrz.

- Ale były dwie grupy, które ze sobą walczyły.

- Musiano wyznaczyć wysoką cenę za moją głowę. Zapewne walczyli o to, kto mnie zabije i zdobędzie nagrodę.

Andry odwrócił się do Wallasa.

- Trzymaj tę przeklętą lirę z dala ode mnie! - warknął.

- Co robimy teraz? - zapytał Wallas, owijając lirę postrzępionym kocem.

- Cóż, właściciel sklepu nie żyje, tak samo ci obserwatorzy z ulicy - przypomniała Terikel - a strażnicy widzieli nas tylko z pewnej odległości. Dokonamy małych zmian w naszym wyglądzie. Kupiłam dla nas białe zawoje pielgrzymów. W nich będziemy mogli swobodnie chodzić po mieście i zaglądać do dziwnych miejsc bez zwracania na siebie uwagi.

- Jakiego rodzaju miejsc? - zapytał Andry z prawdziwą ciekawością.

- Jak dziwnych? - zapytał podejrzliwie Wallas.



Tego popołudnia odbyli prawdziwą pielgrzymkę po świątyniach, kaplicach, zabytkach religijnych i miejscach, gdzie z tego czy innego powodu stracono świętych ludzi przez ostatnie kilka tysięcy lat.

- Twój akcent brzmi jak albernińsko-scalticarski - zwróciła się do Andry'ego Terikel.

- Och, tak, dobre określenie.

- Jak długo tu jesteś?

- Od wczoraj.

- Ach tak... - zaczęła Terikel i nagle urwała.

- Może pani powtórzyć?

- Wczoraj przyplłynął „Ptak Burzy”.

- Tak, byłem na nim pomocnikiem cieśli. Tyle że na statku nie było cieśli.

- Nie jesteś zbyt młody, żeby być pomocnikiem cieśli?

- Mam dziewiętnaście lat, tak sędzę. Byłem terminatorem.

Terikel niewiele widziała na „Ptaku Burzy” poza swoją kabiną, najlepszą kabiną, a jeśli już musiała wyjść na zewnątrz, aby zwymiotować, bryzgi morskiej piany zmuszały ją do zamknięcia oczu. Najczęściej widziała wzburzoną wodę, chociaż raz podniosła wzrok i zobaczyła monstrualną falę rozbijającą się o Górę Morskiego

Smoka. Udało jej się wziąć udział w sześciu posiłkach przy kapitańskim stole w ciągu trzydziestu dwóch dni i poza narzekaniami na zimno, niedolę oraz rozmowami o próbach utrzymania kursu na północ, chociaż wiało z zachodu, zapamiętała skargi na „przekłętego bękarta”, pomocnika cieśli. Został przemocą zwerbowany do załogi tuż przed wypłynięciem z Alberinu i prawie każdego dnia był za coś karany, od pijackich śpiewów po ogólnie wkurzające zachowanie.

- Dostałeś dwadzieścia pięć batów za wypicie flaszki rumu pierwszego mata i napełnienie jej w sposób, który wywołał u niego atak szału i kolejne dwadzieścia pięć za uderzenie oficera i próbę dezercji na Wyspy Malderińskie.

- Ja... ty... skąd... ja... - jękał się zdumiony Andry.

- Za uderzenie oficera zwyczajową karą jest powieszenie, więc musieli naprawdę doceniać twoje umiejętności, skoro pozwolili ci wywinąć się z tego tylko chłostą.

- Ale... skąd...?

- W porcie było z sześćdziesięciu marynarzy z „Ptaka Burzy” i chętnie opowiadali historyjki z tego rejsu, Andry - ciągnęła. - To był jedyny statek ze Scalticaru od dłuższego czasu, więc miasto było bardzo spragnione wieści z południa i każdy szczegół podróży szeroko omawiano, głównie pijackimi głosami ze scalticarskim akcentem.

- Och... tak.

- Obaj zrozumcie to dobrze. Słucham, pamiętam i łączę fakty, którymi inni ludzie sobie nie zawracają głowy. Nigdy, przenigdy mnie nie okłamujcie. Mogę nie znać prawdy, ale zawsze szybko ją usłyszę. Wtedy będę bardzo wami rozczerowana.

Wspomnienie bardzo osłabionej czarodziejki miotającej ogniem w jednego z gwardzistów przeleciało jednocześnie przez umysły Wallasa i Andry'ego. Obu to wspomnienie poważnie zaniepokoiło.

- A ty, Wallasie, tylko udajesz żeglarza.

Do tej pory Wallas był już tak zastraszony, że nawet nie rozważał możliwości zaprzeczania.

- Zgadza się.

- Więc kim jesteś?

- Uciekinierem.

- O jakie przestępstwo jesteś podejrzany?

- Ja tego nie zrobiłem.

- Nie o to cię pytam.

- O morderstwo.

- A niech mnie szlag! - krzyknął Andry.

- Widzisz, jakie to było łatwe? - powiedziała Terikel pogodnie, najwidoczniej mało zainteresowana zapewnieniem Wallasa o jego niewinności. - Od czasu do czasu zadaję pytanie, chociaż właściwie znam już odpowiedź. Uratowałeś mnie od nieprzyjemnego losu i prawdopodobnie od śmierci, ale może to wszystko jest częścią roli w przedstawieniu, które odgrywasz.

- Przedstawienie?! - krzyknęli chórem Wallas i Andry.

- Zastanów się nad tym. Jestem ścigana, pobita, rzucono mnie na ziemię i podarto ubranie. Nagle zjawia się was dwóch i roznosi w pył najlepszych wojowników na kontynencie. Ja nabieram do was zaufania i wyjawiam sekrety, których ludzie cesarza nie wydobyliby ze mnie najwymyślniejszymi torturami. Szlachetni panowie, jeśli jesteście szczerzy, powierzam wam moje życie, a moje podziękowanie będzie szczere i hojne. Ale jeśli mnie zdradzicie, nie będę długo kontemplowała, co z wami zrobić.

Stanęli przed posągiem Barbaroona, boga burzy. Teren dookoła cokołu był zasypany ofiarami, ze względu na burze toreańskie.

- Zaraz, co znaczy „kontemplacja”? - szepnął Andry do Wallasa.

- To jest wtedy, kiedy myślisz o czymś naprawdę mocno - odpowiedział Wallas.

- Jak kiedy myślę o Marielle Stoker zdejmującej ubranie i biorącej kąpiel?

- Zgadza się, ale raczej pomyśl o tym, co rzuciło się na ciebie ostatniej nocy, było bliskie rozdarcia ci gardła i wypicia twojej krwi.

- Wolałbym nie.

- Aha! Teraz już wiesz, co miała na myśli czarodziejka, mówiąc: „Nie będę długo kontemplowała, co z wami zrobić”.

Poszli do kolejnego interesującego ich miejsca.

- Pani, czy oddajesz cześć Barbaroonowi? - zapytał Andry.

- Barbaroon i ja mamy wspólne interesy - odpowiedziała Terikel. - Smoczy Mur został skonstruowany, by osłabić jego moc, ale moją misją w projekcie Smoczy Mur jest... - Posłała Andry'emu spojrzenie z ukosa. - Moją misją jest robienie szczegółowych notatek.



Wczesnym wieczorem Terikel wróciła do przybytku madame Jilli, gawędziła z

nią przez kilka minut, a potem odbyła dłuższą rozmowę z jedną z dziewczyn. Poszły razem do któregoś pokoju i wkrótce wyszły - dziewczyna w ubraniu Terikel, a Terikel ubrana jak kupiec. Miała watowany płaszcz, piersi ścisnęła pod ubraniem i wyglądała jak mężczyzna.

- To jest Melier - przedstawiła dziewczynę, która była przebrana za nią. - Melier, to są Andry i Wallas, twoja eskorta. Melier jest Diomedanką, która przybyła do Palionu w celu zdobycia majątku. Podróż powrotną odbędzie na pokładzie „Ptaka Burzy” przebrana za mnie, a ja dam jej sakiewkę złotych monet, aby mogła dojechać do domu, do Diomedy. Popłyniecie jako jej eskorta. Diomeda nie należy do cesarstwa sargolskiego, więc powinniście być tam bezpieczni. A teraz, panie i panowie, muszę iść. Już nigdy mnie nie spotkacie.

Ukloniła się jak aktorka na scenie i wyszła. Melier wróciła na górę, a Andry i Wallas stroili swoje instrumenty, czekając na nią.

- Dziwna kobieta z tej prezbiterki - powiedział miękko Andry. - Pomyślałbyś, że poleciała na targ kupić garnek, a nie odeszła na zawsze.

- Pewnie nie mogła się już doczekać, kiedy będzie daleko od ciebie - zakpił Wallas. - Niezłe to było nasikać do rumu pierwszego mata.

- Nie do rumu! Flaszka był już pusta.

- Ach tak, więc najpierw wypileś rum!

- Drań wyrzucił za burtę moją piszczałkę, musiałem ukraść drugą bosmanowi. Gdzież jest ta Melier?

- Pewnie się pakuje.

- Od piętnastu minut? Kiedy ja podróżowałem w górę rzeki barkami, miałem tylko ubranie na sobie i koc.

- Nie dziwne, że ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby cię ominąć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Wtedy weszła madame Jilli. Wskazała palcem sufit.

- Wallasie, bądź uprzejmy wspomagać Melier radą i czym tylko będziesz mógł podczas podróży.

- Ale... ale... ja nawet nie potrafię pływać! - wykrzyknął Wallas.

- Więc doradź jej, co ma spakować. Ellisen, idź z nim.

A kiedy wyszli, pokiwała palcem na Andry'ego.

- Chodź ze mną, mamy kilka spraw do omówienia.

Przed przyjazdem do Palionu Andry był w pobliżu domu publicznego tylko raz,

swojej ostatniej nocy w Alberinie, gdy zasnął w bramie jednego z nich. Teraz znalazł się w prywatnym buduarze kobiety, która prowadzi taki przybytek. Położył swój tobolek w kącie, drżąc w oczekiwaniu tego, co mogło się wydarzyć. Prawdopodobnie zrobi z siebie głupca. W pokoju pachniało lawendą, stało tu wielkie łóżko z kolorową kołdrą i dwiema różowymi poduszkami w kształcie kobiecych piersi. Było też kilka kufrów, toaletka z lustrem, stoliczek z przybornikiem do pisania i księgami rejestrowymi. Ona właśnie tu mieszka, pomyślał Andry i niespodziewanie reszta świata wydała mu się daleko mniej groźna. Madame Jilli otworzyła jeden z większych kufrów i grzebała w nim.

- Prawdopodobnie się zastanawiasz, dlaczego cię tu przyprowadziłam - zagadnęła, prostując się i kołysząc sakiewką.

- Tak - odpowiedział niespokojnie Andry.

- A o czym myślałeś?

- Błagam o wybaczenie, ale uznałaby pani moje myśli za niegrzeczne.

- Właściwie mogłeś się tego spodziewać i rzeczywiście dam ci coś, ale nie to, o czym myślałeś. Dam ci ten mieszek.

Położyła mu sakiewkę na dłoni,

- Czy to jest coś magicznego? - zaniepokoił się.

- W pewien sposób tak. Zawiera igłę, szpulkę czarnej nici, kawałek mydła, czyszcidło do zębów, myjkę i pilnik do paznokci. Używaj każdego z tych przedmiotów codziennie przez następny tydzień, a jakaś dziewczyna się tobą zainteresuje. Używaj ich przez miesiąc, a może nawet usłyszysz miłosne wyznanie. Jeśli będziesz używał ich, aż zdecydujesz się wrócić z Diomedey do Scalticaru, wtedy... wtedy pamiętaj, żeby złożyć mi wizytę.

- Mówi pani, że wystarczy, że umyję twarz, wyszoruję zęby, naprawię ubranie i wyczyszczę paznokcie? - zapytał powątpiewająco Andry.

- Powinam ci jeszcze kazać się czesać, ale wyglądasz tak rozkosznie, kiedy jesteś rozczochrany - powiedziała madame Jilli, otwierając drzwi.

Andry wybiegł z pokoju, lecz zaraz za drzwiami zebrał się na odwagę. Położył sakiewkę na stoliku w holu.

- Dziękuję, pani, ale nie.

Madame Jilli zamrugnęła zdziwiona.

- Miałam na myśli, żebyś wpadł tutaj, jeśli kiedykolwiek przyjedziesz tu znowu.

- Po co? - zapytał, zniżając głos prawie do szeptu.

- Och, Andry, chciałabym zobaczyć, co z ciebie wyrośnie, głuptasie.

- Ale będę wyglądał tak samo jak teraz: umyty i w czystym ubraniu.

Madame Jilli uśmiechnęła się i przechyliła głowę.

- Mogłabym mieć na ciebie ochotę - wyznała z fałszywą skromnością.

- Błagam o wybaczenie, ale miała pani ochotę na Wallasa, kiedy był niechlujny.

Jeśli coś ze mną jest nie tak, nie poprawię tego kąpielą.

- Ty jesteś zazdrosny! - roześmiała się, otwierając szeroko oczy.

- Nie zazdrosny, proszę pani, tylko trochę urażony. Wallas dostał noc igraszek, a ja igielnik. Tak jak w tawernie w Alberinie. Kelnerka za dobrze zaśpiewaną piosenkę dała mi darmowe piwo, ale na kolanach usiadła komuś innemu. Może mi pani powiedzieć, dlaczego tak się dzieje?

To było zaskakująco trafne pytanie i madame Jilli próbowała wymyślić wiarygodną odpowiedź.

- Niektórzy mężczyźni prezentują się dobrze od pierwszego wejrzenia - powiedziała.

- Zgadza się, a niektórzy nie - dokończył Andry żałośnie.

Nad nimi trzasnęły drzwi. Wallas, Ellisen i Melier zeszli na dół. Ellisen niosła pięć toreb Melier. Wręczyła bagaże Andry'emu.

- Droga madame, obawiam się, że nadszedł czas, by opuścić twój czarujący dom i jeszcze bardziej czarującą ciebie - oznajmił Wallas, kłaniając się nisko.

Madame Jilli bez uśmiechu cofnęła się o krok. Wallas natychmiast przestał błaznować i złożył krótki, formalny ukłon. Ona uniosła spódnicę i odsłoniła lewą nogę aż do biodra. Cztery pary oczu śledziły ją uważnie, gdy wyjęła sztylet ukryty w koronkowej pochewce przymocowanej do podwiązki.

- Tym obetnę język mężczyźnie, który by się chwalił, co zaszło między mną i nim pewnej nocy - oznajmiła, teatralnym gestem potrząsając bronią.

Wallas zrobił się biały jak kreda, Melier wyglądała na zakłopotaną, a Ellisen lekko się uśmiechnęła. Andry z trudem oderwał wzrok od odsłoniętego uda madame Jilli - i zobaczył, że ona wyciąga sztylet ku niemu, trzymając go za ostrze.

- Panie, żałuję stokrotnie, że byłam zbyt nieśmiała, by zaoferować ci miejsce w moim łóżku ostatniej nocy - powiedziała miękko, patrząc Andry'emu prosto w oczy. - Proszę, przyjmij to, najintymniejszą z rzeczy, jakie posiadam, aby ci mnie przypominała. Jeśli kiedykolwiek powrócisz do Palionu i wybierzesz łóżko innej kobiety, serce mi pęknie.

Andry'emu nieco drżała ręka, gdy przyjmował sztylet w koronkowej pochewce; potem madame Jilli objęła go za szyję i bardzo mocno pocałowała w usta. Wymieniono uściski, Ellisen przytrzymała otwarte drzwi. Wallas był tak przerażony tym pożegnaniem, że potknął się na schodach i wypadł jak długi na ulicę. Za nim pospieszyła Melier, mając wciąż na twarzy wyraz zakłopotania, potem bokiem wyszedł Andry, któremu przeszkadzały przewieszane przez ramiona bagaże.

Madame Jilli i Ellisen patrzyły za nimi.

- Rozumiem Andry'ego - westchnęła madame Jilli.

- Jak to możliwe? - zapytała Ellisen.

- Dorastał wśród prymitywnych ludzi. Jest skromny, odważny, ma dobre serce i jest bardzo inteligentny. Jego problemem jest to, że nie pasował do swych ziomków, nie wiedzieli, co z nim zrobić.

- To prawda - przytaknęła Ellisen, która dobrze znała te problemy.

- Ale nie ma dla niego miejsca między szlachetnie urodzonymi, chociaż jest lepszy niż większość z nich. Zraniłam go, lecz postaram się jakoś mu to wynagrodzić.

- Niewątpliwie pani go szanuje, madame.

- Zawiodłam go.

- Mocno powiedziane.

- Myślisz, że upokorzyłam Wallasa rozmyślnie?

- Nie wątpię w to, madame.

- To dobrze.



Uprzytomniwszy sobie nagle, że Andry może być jego konkurentem do względów Melier, Wallas uczesał włosy, wygładził ubranie i zaczął mówić w swoim najlepszym dworskim sargolskim. Jakiś czas później uświadomił sobie, że to wykluczyło z rozmowy nie tylko Andry'ego, ale również Melier. Wrócił więc do wykształconego diomedańskiego.

- Oczywiście agenci cesarza, tacy jak ja, muszą być mistrzami kamuflażu - tłumaczył jej, jeszcze zanim opuścili uliczkę, przy której leżał przybytek madame Jilli.

- A jakiego rodzaju masz misję? - zapytała. W jej szeroko otwartych oczach była mieszanka podejrzliwości i uwielbienia. Welon, którym owinęła głowę, ocieniał jej twarz.

- Chronić prezbiterkę Terikel, naturalnie.

- Chyba właśnie Gwardia Tronowa cesarza ją ściga?

- Ach, nie, to tylko kilku wynajętych zabójców przebranych za gwardzistów cesarza. Oczywiście było ich o wiele łatwiej pokonać niż prawdziwych gwardzistów.

- A ty, panie Andry? - zwróciła się do Andry'ego, który miał cztery jej torby przewieszane przez ramiona i piątą przez plecy. - Niezbyt dobrze się czuję, gdy taki wielki pan dźwiga moje bagaże.

Nawet w połowie nie tak źle, jak ja się czuję, pomyślał Andry.

- To część kamuflażu, panienko.

- Jaka jest twoja historia, Andry? Madame Jilli powiedziała, że jesteś równy panu Wallasowi.

- Jestem zwykłym chłopakiem - rzekł Andry, patrząc na drogę przed siebie.

- Tak, ale nie mógłbyś dać innej odpowiedzi, prawda? Czas w podróży nam upłynie szybciej, gdy będziemy dociekać, kim naprawdę jesteś. Pogoda się poprawia, więc będzie nam się przyjemnie żeglowało.

- Pogoda szybciej może się zmienić z ładnej w okropną niż odwrotnie - mruknął Andry. - Zupełnie jak ludzie.

Melier uważała go za szlachcica tak wysokiego rodu, że zwykła prostytutka - jak ona - nie miała u niego szans. Wallas wkrótce znów skierował rozmowę na swój temat i zaczął ją zabawiać opowiastkami o pałacowych skandalach.

- Oczywiście nikt nie był w stanie dostać się w pobliże wicehrabiego Cosserena i księżniczki Senterri, gdy poszli do małżeńskiej komnaty, ale rozmawiałem z damą Cormendiel, której czwarta córka była znana w pałacu, jako że cieszyła się królewskimi względami.

- Nie! - Melier wstrzymała oddech, choć dotąd nie słyszała o damie Cormendiel ani jej córce.

- Tak i zabawiała wicehrabiego Cosserena przez całą noc i rano! Mówiła, że był prostacki, miał fatalne maniery i nie potrafił zadowolić kobiety. Stwierdziła nawet, że jeśli miał wcześniej jakieś doświadczenia w tej dziedzinie, to na pewno z owcami.

Oboje ryknęli śmiechem, aż się zatoczyli.

- W dodatku owcami z niższej klasy - dokończył Wallas po kilku chwilach, w końcu będąc w stanie opowiedzieć puentę historyjki, która chociaż nieco podkoloryzowana, zawierała w sobie zadziwiająco wiele prawdy.

Andry przystanął i poczekał, aż oboje byli w stanie się pozbierać i pójść za nim.

- Jakiego rodzaju, hm, umiejętności miały zadowolić tę uprzejmą damę, panie Wallas? - zapytała Melier z udawaną niewinnością, chociaż nawet Andry poznał się na

tym.

- Och, trudno to wytłumaczyć - odpowiedział Wallas godnym sali tronowej z teatralnym gestem, którego żaden żebrak nie powinien znać lub za który mógł zostać stracony. - Miłe słowa, ukłony, uprzejmości, pieszczoty to wykwinności, które najlepiej czynić, nie kłać słowami.

- Chętnie dowiem się więcej o dworskich obyczajach, zanim wrócę do Diomedę.

- Cóż, po powrocie z tej podróży będziesz mogła nawet powiedzieć, że miałaś romans z dworzaninem.

Nigdy nie zostanę wielkim uwodzicielem, nie pozwoliłaby mi na to moja godność, pomyślał Andry, z mozołem posuwając się naprzód, bo dźwigał więcej bagażu, niż sam ważył. Czy ja właśnie pomyślałem to, co pomyślałem, że pomyślałem? Ja i godność? Andry Tennonner z Bargeyards, czternasty z siedemnaściorga dzieci. Madame Jilli przynajmniej miała styl. Styl? Czy ja pomyślałem styl? Umycie włosów musiało zrobić mi coś z mózgiem. Albo może to od środka na wszy. Ale jak Melier może dać się złapać Wallasowi na taką durną gadkę? Jeśli kobiety mają tylko połowę inteligencji, to ona jest ćwierćinteligentna!

Wciąż był pogrążony w myślach, gdy dotarli na „Ptaka Burzy”. Melier trzymała dłoń na ramieniu Wallasa, kiedy wchodzili na pokład, poprzedzani przez Andry'ego niosącego bagaż. Spotkali się z szyprem, który długo i szczegółowo przeglądał papiery Melier.

Wallas przedstawił ją jako Terikel. Szypier wyszeptał jej coś do ucha. Wymierzyła mu siarczysty policzek. Zapowiada się interesująca podróż, pomyślał Andry, przenosząc swoje brzemie obok głównego stewarda, który stał przy drzwiach dla pasażerów i próbował ukryć uśmiech. Z początku nikt nie zwrócił na Andry'ego większej uwagi, gdyż statek był przygotowywany do wyjścia w morze z wieczornym przyływem.

- Hej, niech mną zęzę wyszorują, jeśli to nie młody Tennonner! - wykrzyknął bosman, nagle dostrzegając Andry'ego.

- To ja - odpowiedział po prostu Andry.

- Dla ciebie nie ma miejsca na pokładzie. Zamustrowaliśmy dziś cieśnię i jego pomocnika.

- Tym razem płynę jako pasażer - odpowiedział Andry. - Pracuję dla tej pani z Diomedę, która właśnie jedzie w rodzinne strony. Jestem ochroniarzem.

- Ty ochroniarzem? - roześmiał się bosman.

- Owszem, nadaję się do tej pracy. Mamy dobrą pogodę, jak widzę.

- Pytanie, jak długo potrwa.

W tym momencie przyszedł Wallas, wybrał jedną z toreb Melier, a potem razem z dziewczyną zniknęli w przejściu dla pasażerów. Andry zauważył, że szyper posłał za nimi złe spojrzenie i podrapał się po twarzy. Rozmawiał z bosmanem przez kilka chwil, zaśmiali się z jakiegoś żartu. Andry wiedział, że będzie to bardzo długa podróż. Prawdopodobnie Wallas dostanie dawkę środka przeczyszczającego w pierwszym posiłku i będzie uwięziony półmartwy w kajucie, a tymczasem szyper zaprezentuje Melier, jak przyjemnie jest być w łaskach u kapitana statku. Zresztą może wystarczy pierwsze uderzenie większej fali i Wallas nie będzie potrzebował żadnego dodatkowego środka, aby zachorować. Może także Melier nie będzie zbyt dobrym towarzyszem.

Dlaczego jestem takim nieokrzesanym flejtuchem wśród nieokrzesanych ludzi? Jak mam pokazać, że jestem lepszy? - zastanawiał się. Czy może jestem szlachcicem, który został osierocony i porzucony? Z całą pewnością był podobny do ojca, wysoki, kościsty, wytrzymały. Po matce odziedziczył dobrą pamięć i umiejętność szybkiego uczenia się. Kiedy był w sypialni madame Jilli... o rany, jego skradziony rebek!

Chciał wyskoczyć na molo i pognać z powrotem do madame Jilli, ale cumy były już rzucone, a holownik czekał, by poprowadzić „Ptaka Burzy” na otwarte morze. Nie, to będzie dobry powód, aby tu wrócić, całkiem niewinny, zdecydował; potem z całej siły uderzył pięścią w poręcz. Niech szlag trafi niewinność, naprawdę chcę wrócić do sypialni madame Jilli i robić z nią to, co Wallas robi teraz z Melier w jej kabinie. Dzień już prawie dogasał, a pogoda była wyjątkowo piękna, jak nigdy na obszarze burz toreańskich. Kiedyż znowu zobaczę madame Jilli? - pomyślał Andry, a potem nie myślał już o niczym.



Lavolten i Talberan spacerowali powoli po obwodzie kamiennego kręgu Centras, który teraz nie tylko nie był opustoszały, ale wręcz pilnie strzeżony. Poza terenem kręgu wyznaczono i już ustawiano dodatkowe trzy kręgi.

- Wciąż nie jestem przekonany co do zasadności dodatkowych kręgów - powiedział Talberan. - Jak możesz je nazywać kamiennymi kręgami, kiedy megality zastąpiono drewnianymi krzesłami z wysokimi oparciami?

- Ale siedziska są kamienne, wszystkie dopasowane kształtem do pośladków.

- To nie to samo. Starożytni...

- Starożytni budowali najmniejsze konstrukcje, jakie mogły działać. My budujemy największe konstrukcje, jakim śmiertelni mogą dać radę.

- A co z centralnym megalitem?

- Och, już wiemy, co poszło nie tak, wszystko układa się teraz w sensowną całość. Cała energia eteryczna jest kanalizowana przez środkowy megalit, więc musi on być w idealnej równowadze z pozostałymi szesnastoma. Nasz megalit był niższy, bo stał w zagłębieniu - i bum!

Lavolten podniósł ręce w geście irytacji.

- Bum, jak to bezlitośnie ująłeś, kosztowało nas utratę zaufania wszystkich czarodziejów w obozie. A to tak naprawdę oznacza, że nikt już nie zgłosi się na ochotnika.

- Może powinniśmy starać się utrzymać to wydarzenie w tajemnicy?

- W tajemnicy? - Lavolten się roześmiał. - Jak? Każdy w promieniu czterystu metrów został ochlapany szczątkami Astentiala!

- Cóż, moglibyśmy jednak zachowywać odrobinę dyskrecji. Sergal jest w kamiennym kręgu Logiar. Jest wystarczająco potężny i posiada dość umiejętności, by zastąpić Astentiala. Wyruszę dziś wieczorem i sprowadzę go. A ty zaczniesz budowę kamiennej platformy w centrum zagłębienia, aby zrównać środkowy megalit z pozostałymi.

- To była szokująca lekcja tego, co to jest zagłębienie i jakie może nieść skutki.

- Ale w końcu rozwiązaliśmy starożytną tajemnicę.



Andry nagle się ocknął w niemal zupełnej ciemności. Stał twarzą w twarz z bardzo szczupłą dziewczyną. Na pierwszy rzut oka wydawała się naga, ale po bliższym przyjrzeniu okazało się, że ma na sobie niezwykle obcisłą szatę, która odsłania tylko jej ręce, stopy i głowę. Za nią była ciemność i wolny nurt rzeki, a przy brzegu tuż obok niej stała lśniąca i niezwykle smukła łódź. Nawet jej wiosła były tak długie i cienkie, że przypominały odnóża pająka. Dziewczyna trzymała otwartą wielką księgę.

- Mam złe przeczucia - powiedział Andry.

- Wiesz, kim jestem?

- Jesteś przewoźniczką, ale nie znam twojego imienia.

- Dlaczego się tutaj znalazłeś?

- Pewnie umarłem.

- Teoretycznie tak... ale mamy pewien problem.

- Nie wyglądasz tak, jak myślałem. Przypuszczałem, że będziesz ubrana w lachmany, będziesz miała czarną łódź i żerdź zamiast wiosła.

- Jest wiele rodzajów przewoźniczek, również takie jak ja. Mam kontrakt z tamtym światem. Było tak wiele zgonów, kiedy Torea zapłonęła, że normalnie zatrudnione miały olbrzymie zaległości w pracy.

Zajrzała do książki, skrzywiła się. Andry nie mógł jej pomóc, ale zauważył, że miała owalne oczy z okrągłymi źrenicami.

- Co znowu? - zapytał.

- Powinnam cię przewieźć na tamten świat, ale... mam tu wpisaną śmierć, lecz bez nazwiska.

- Och. A więc to całe moje życie?

- Mhm. Chwileczkę, sprawdzę streszczenie twojego życia. O bogini, ile tego tutaj. Nauka zawodu, żeglarstwo, pięćdziesiąt batów, wybrany na Najlepszego Uczestnika Pijackich Burd roku 3140, drobny złodziejasek, odważny, zna trzy języki, bardzo inteligentny... Za najoczywiściej źle wykorzystywane talenty powinienś dostać pierwszą nagrodę.

- Jest źle?

- Rozczarowująco raczej niż źle. Czy masz monetę?

- Monetę?

- Monetę, aby zapłacić za przewiezienie przez rzekę, w zaświaty.

Andry przeszukał ubranie. Okazało się, że w ogóle nie ma przy sobie pieniędzy. Przewoźniczka zajrzała do swojej książki.

- Aha, jesteś muzykantem. Co powiesz na jakąś melodię?

- Z wielką chęcią, ale mój rebek został u madame Jilli.

- Coś jest nie tak z tym wpisem. Wallas utonął, ponieważ nie umiał pływać, mimo to w tej chwili jeszcze żyje, a ty jesteś zdecydowanie martwy. Straszny bałagan.

- Co się stało? Czy „Ptak Burzy” zatonął?

- Nie. Szyper był zazdrosny. Walnął cię w głowę i wyrzucił za burzę, sądząc, że jesteś ochroniarzem Wallasa i Melier. Potem wyrzucił również Wallasa... słuchaj, możemy sobie pomóc nawzajem.

- Ja mam pomagać Śmierci?

- Jestem przewoźniczką, a nie Śmiercią. Uratujesz Wallasa, a ja przyniosę twój rebek. Co ty na to?

- Zgoda.

Andry nagle znalazł się w lodowatej wodzie portu w Palionie. Szamocząca się za nim masa nieskoordynowanych kończyn i piany przypuszczalnie była Wallasem.



Późnym wieczorem Terikel była sama na placu, z którego rozciągała się panorama na port palioński. Połowę placu otaczał mur, na drugiej połowie stały domy tych, którzy byli dostatecznie bogaci, aby zapłacić za widok na morze. Prezbiterka metrologanek oparła się o mur, patrząc w morską dal, ale też rzucając czujne spojrzenia za siebie. Miała na sobie strój wędrownego kupca, sugerujący, iż jest mężczyzną, silnym, ale niezbyt zamożnym - więc nie warto go okradać.

Po drugiej stronie placu pojawiły się dwie osoby. Zatrzymały się, naradziły, potem jedna ruszyła do Terikel, a druga zniknęła w uliczce pomiędzy domami. Terikel usłyszała zbliżające się kroki, poczuła odór zgnilizny. Odwróciła się, ale zobaczyła tylko, że postać obok niej nosi czarny płaszcz.

- Velander? - zapytała.

- Tak, uczona prezbiterko - powiedział miękki, jedwabisty, lecz zdecydowanie groźny głos. - Lepiej się nie zbliżaj, jestem bardzo niebezpieczna. - Velander mówiła martwym językiem martwego kontynentu, ale był to również język Terikel.

- Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę.

- Ale mnie widzisz. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nie byliśmy w najlepszych stosunkach, kiedy spotkałyśmy się ostatnio.

- To prawda. Między nami była nienawiść. Zdradziłam cię, próbowałam cię zniszczyć. To niewybaczalne.

Terikel wyprostowała się, założyła ręce na piersi, rozplotła je, potarła podbródek, zamachała rękami w powietrzu, chcąc powiedzieć coś wybaczonego, a zarazem przekonującego, ale nie znalazła słów, nawet takich, które by ją samą przekonały. Potem znowu założyła ręce na piersi. Przeszłowała z nogi na nogę, jednocześnie zakłopotana i niespokojna.

- Musiałaś czuć się zraniona i zdradzona, kiedy ja... - zaczęła.

- Tak, ale to mnie nie usprawiedliwia. Nie zasługuję na wybaczenie.

- Fortuna cię ukarała - zauważyła Terikel. - Dlaczego ja miałabym cię karać dodatkowo? Chcę znowu być twoją przyjaciółką.

Rozległ się dźwięk przypominający zduszony szloch.

- Przyjaciółką? Spójrz na mnie! Jestem żywym trupem. Żeruję na żywych i jestem wiecznie nienasycona.

Velander błysnęła oczami, nerwowo oblizła wargi. Terikel zwalczyła w sobie chęć cofnięcia się. Do tej pory rozpoznała już odór, który unosił się w powietrzu, jako zapach stęchłej krwi. Miała poczucie zagrożenia, jak gdyby stała pod ciężką skrzynią zawieszoną na cienkim i wystrzępionym sznurze.

- Velander, mamy sobie wiele do wybaczenia.

Terikel zrobiła krok do przodu i dotknęła jej ręki, ale Velander gwałtownie odskoczyła do tyłu i przywarła do muru.

- Nie dotykaj mnie, proszę! - krzyknęła. - Kiepski pomysł, jeśli owca przytula się do wilka.

Wraz z odorem stęchłej krwi i pleśni w powietrzu unosił się ostry smród potu. Smród śmiertelnie przerażonych ludzi. Ona jest martwa, pomyślała. Moja dawna przyjaciółka stała się potworem.

- Czy ten, który szedł z tobą, to był Laron?

- Tak, spotkamy się z nim później, teraz musiał pójść do pałacu, są jakieś problemy - powiedziała Velander.

- Słyszałam, że on już nie jest taki jak ty.

- Masz na myśli, że nie jest martwą i niebezpieczną zjawą?

- W zasadzie tak.

- To prawda, czuje się lepiej. Po co tu przyjechałaś? Jak mogę ci pomóc?

- Oficjalnie mnie tu nie ma, wypływam właśnie na „Ptaku Burzy”.

- Przed chwilą rzucił cumy i postawił żagle.

- Zgadza się. Pożegluj na wschodnie wybrzeże Acremy i do królestw na północy. Moi wrogowie wiedzą o tym, a co myślą moi przyjaciele, nie ma większego znaczenia.

- Ale wciąż jesteś tutaj, uczona prezbiterko.

- Fakt. Muszę dotrzeć do gór Capefang, załatwić pewne sprawy związane ze Smoczym Murem.

Velander patrzyła na wypływającego „Ptaka Burzy”. Sylwetkę wielkiego statku wydobywały z mroku huśtające się latarnie. Wiał lekki wiatr.

- Smoczy Mur nie jest tym, czym się wydaje - zaczęła Velander.

Nagle wokół „Ptaka Burzy” powstała kula ognia, wielkie jęzory płomieni zapaliły żagle i takielunek, rozsadziły pokłady i wypęzły przez dziury w kadłubie. Długie szyje kołysały się w wodzie w świetle płonącego statku, szyje zakończone dużymi, płaskimi głowami, które od czasu do czasu zanurzały się pod powierzchnię,

aby chwycić i pożreć małe, szamoczące się postacie.

- Andry! - krzyknęła Terikel w szoku, zakrywając rękami twarz. - Melier! Wallas!

- Czy to przynęty, które były zamiast ciebie na pokładzie? - zapytała Velandar, nie odrywając oczu od dramatu na morzu.

- Przynęty, ale przyjaciele. - Terikel się rozpląkała.

Płonący olej rozlany na powierzchni wody sprawił, że morskie węże stały się lepkie, dzięki temu ofiary przyklejały się do nich i były szybko pożerane. „Ptak Burzy” od razu rozgorzał jak ognisko. Węże miały prawdziwą ucztę, pożerały żeglarzy, którzy wyskoczyli za burtę.

- Do tej pory nie zauważono nigdy takiego zachowania u arcereńskich smoków morskich - powiedziała Terikel.

- Wierzę, że ktoś opisze ten przypadek - odparła Velandar.

- To stworzenia, które żyją w głębokich wodach, a teraz są tutaj, widoczne nawet z brzegu. Z pewnością są przez kogoś sterowane.

- Ktoś próbuje cię zabić - stwierdziła Velandar.

- Zauważyłam - odpowiedziała Terikel, potrząsając głową.

- Co teraz? Twoi prześladowcy pewnie sądzą, że nie żyjesz.

Cząstka mnie rzeczywiście umarła, pomyślała Terikel. Sądziłam, że robię przyjaciółom przysługę.

- Potrzebuję jakiegoś miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać, bezpiecznego miejsca. Potem muszę dotrzeć do gór Capefang. Podróż powietrzna nie wchodzi w rachubę. Jestem na nią zbyt słaba po podróży... i z innych powodów.

- Mogę ci pomóc - powiedziała Velandar, wskazując dłonią jedną z uliczek odchodzących od placu. - Chodźmy, nie patrz na to dłużej.

Przecięły ciemny plac, który jednak nie był już opustoszały. Ludzie rzucili się do okien lub wybiegli z domów i wyszli na mury, aby popatrzeć. Nagły jasny błysk zza ich pleców oświetlił najwyższe budynki. Terikel usłyszała, jak któryś z gapiów krzyczy.

- Czasami, tylko czasami czuję, że na tym świecie nie zostało już dla mnie ani odrobiny ciepła - szeptała do siebie.

- Przykro mi z powodu twoich przyjaciół - powiedziała Velandar. - Wiem, jak musisz się czuć.

- Więc musisz znać poczucie winy, którego nie daje się wytrzymać, Vel. W jakiś sposób cieszę się, że nie żyją. Nigdy nie byłabym w stanie im wytłumaczyć, że nie

planowałam dla nich takiego losu.



Skuleni na mulistym brzegu pod molo, przemoczeni i pokryci szlamem, Andry i Wallas patrzyli na płonący statek i koszmarnie zjawy, które go zaatakowały.

- A niech mnie! - krzyknął Andry.

- A mnie nie dziś, dziękuję - wysapał Wallas.

- Tam została panienka Melier! - Andry się rozplakał, wskazując pływającą kulę ognia i uczujące wokół niej morskie węże.

- My prawie tam byliśmy - zauważył Wallas.

- Sądzieli, że panna Terikel jest na pokładzie.

- Kim są ci „oni”?

- Bandą pijaków - powiedział Andry.

Oślepił ich nagły czerwono-żółty błysk, gdy „Ptak Burzy” eksplodował.

- A niech mnie! - pisnął Wallas.

Fala płomieni ogarnęła nawet żerujące smoki morskie. Choć były zdolne ziać ogniem, nie miały ognioodpornej skóry. Zanurkowały z przeszywającym wyciem.

- Co to było? - z trudem wydusił z siebie Wallas.

- Ładunek oleju do lamp - odpowiedział Andry. - Bardzo cenny, był przechowywany w najniższych ładowniach. Dokładnie w takich wielkich naczyniach, z których ostatnie jeszcze kołysze się na wodzie. W Diomedzie dostalibyśmy za nie fortunę.

- Sądziś więc, że ktoś celowo wysadził „Ptaka Burzy” w powietrze?

To nie przyszło Andry'emu do głowy.

- Prezbiterka - powiedział z wolna. - Tak to ułożyła, żeby Melier weszła na pokład w jej sukni.

- Melier...

- A jej wrogowie, którzy przeszukaliby statek w pierwszym porcie, do jakiego by zawiął, odkryliby, że samej prezbiterki nie ma na pokładzie... ale teraz nikt się nie dowie, że nie umarła. Czy ona poważyłaby się na coś takiego?

- Uważasz, że sfingowała własną śmierć? - powiedział Wallas z niedowierzaniem.

- Zgadza się.

- Zdradziecka dziwka.

- Zgadza się.

- Jak sądzisz, czy ktokolwiek mógł przeżyć? - zapytał Wallas, myśląc o Melier i mając pewne poczucie winy, bo sam żył, a ona zginęła.

- Tylko ty - odpowiedział Andry. - Co masz przy sobie?

- Przemoczone ubranie, trzy srebrne noble i kilka miedziaków. Wszystko, co miałem, zostało w torbie na statku.

- Ale twoja lira była w mojej torbie.

- Co z tego? Ona też została na „Ptaku Burzy”.

- Niezupełnie. Zapomniałem zabrać swoją torbę z domu madame Jilli.

Wallas spojrział znów na port, gdzie płonący olej do lamp oświetlał wijące się w agonii smoki morskie. Zastanawiał się, jak umarła Melier i miał nadzieję, że jej koniec był szybki.

- Mam też swoje życie, cokolwiek ono jest warte - westchnął.

- Cóż, to jesteś lepszy ode mnie - powiedział Andry i padł martwy.



Całkowicie ubrana madame Jilli leżała na łóżku, zakrywając twarz przedramieniem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Trzy stuknięcia. Zignorowała to. Po kilkunastu sekundach znowu rozległy się trzy stuknięcia.

- Powiedziałam, że chcę być sama! - krzyknęła, nie odsłaniając twarzy.

- Obawiam się, że muszę nalegać - rozległ się miękki kontralt.

Wściekła madame Jilli gwałtownie usiadła.

- Jak śmiesz! - warknęła, patrząc z furią na stojącą przed nią dziewczynę. - Nikomu nie wolno wchodzić...

Głos jej zamarł. Była jednocześnie w swojej sypialni, ale także w jakimś bardzo ciemnym miejscu na brzegu rzeki, która wydawała się czarna jak płynny atrament. Tuż obok, w lśniącej, bardzo wąskiej łodzi siedziała jakaś postać.

- Och, nie! - szepnęła madame Jilli.

- Wielu ludzi tak mówi, kiedy mnie widzi - powiedziała dziewczyna, sięgając przez tkaninę torby Andry'ego i wyjmując z niej rebek i smyczek.

- Ale jak...? Leżałam w łóżku, a drzwi były zamknięte.

- Łóżka są niebezpieczne. Umiera w nich najwięcej ludzi. Właściwie ty nie umarłaś, ale Andry tak. Potrzebuję twojej zgody na zabranie jego rebeku.

- Mojej zgody?

- Zostawił go u ciebie, więc muszę zapytać. To jak?

Madame Jilli wstała z łóżka, a potem się odwróciła, by popatrzeć na własne

ciało, które wciąż na nim leżało.

- Nie powinnam na to tracić tak wiele czasu - powiedziała przewoźniczka. - Mam mnóstwo poważniejszych wizyt.

- Wizyta... ze Śmiercią?

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Śmierć nie istnieje, to antropomorfizm stworzony przez neomodernistycznych czarodziejów teoretyków i filozofów metafizycznych. Jestem tylko ja i kilkoro moich towarzyszy.

- Co to wszystko znaczy?

- Śmierć jest procesem, nie osobą.

- Wciąż nie rozumiem.

- Słuchaj, mogę po prostu zabrać rebek dla Andry'ego? Prawdziwy instrument z realnego świata pozostanie w jego torbie, a on będzie miał nie lada problem z przekroczeniem rzeki, jeśli nie zagra dla mnie jakiejś melodii.

- Jeśli Andry jej potrzebuje, to bierz - powiedziała madame Jilli. - Czeka!

- Nie przyjmuję warunków - ostrzegła dziewczyna. - Mogę czy nie?

- Chwileczkę. Chciałabym dać coś Andry'emu na koniec. Hm, łamię swoją obietnicę spędzenia z nim nocy kiedyś w przyszłości... cóż, może to była marna perspektywa, ale chciałam dobrze. Teraz on nie żyje, a ja chcę potraktować go bardziej, hm, godnie.

- To pociąga za sobą duże konsekwencje - ostrzegła przewoźniczka.

Madame Jilli zauważyła, że jej sypialnia z wolna zaczyna odpływać, a zastępuje ją mroczny brzeg rzeki.

- W tej chwili jesteś bliska śmierci - powiedziała przewoźniczka. - Jeśli zostaniesz ze mną dłużej, nie będziesz mogła wrócić.

- Czy mam wystarczająco dużo czasu, aby posłuchać, jak Andry gra?



Andry był sam na brzegu rzeki, kiedy przewoźniczka wróciła z jego rebekiem i smyczkiem.

- Jaką melodię pani lubi? - zapytał, gdy wręczyła mu instrument.

- Och, nie znam melodii z waszego świata. Może zagraj coś morskiego, w końcu jestem rodzajem żeglarza.

Andry zagrał gigę, potem drugą, potem reela, a w końcu zaśpiewał „Chłopaka zwerbowanego na siłę”. Przewoźniczka siedziała zasłuchana. Za jej plecami zaczęły

pojawiać się sylwetki, zamazane, eteryczne figury. Duchy nie są tu niczym zaskakującym, pomyślał Andry. Przerwał grę, kiedy przewoźniczka uniosła rękę.

- To było bardzo ładne - oznajmiła. - Możesz wsiąść do łodzi.

- Nie, zaczekaj! - powiedziała jedna z postaci stojących za nią.

Dwie postacie nieprawdopodobnie, doskonale piękne zrobiły kilka kroków naprzód, a przewoźniczka przedstawiła je jako Fortunę i Przypadek.

- Czy potrafisz grać polkę galopkę? - zapytała Fortuna.

- Potrafię.

- Nie musisz tego robić, Andry - powiedziała przewoźniczka. - Tutaj nie mają nad tobą władzy.

- Może i nie muszę, ale chcę.

Los wyszedł z cienia, uklonił się przewoźniczce i podał jej ramię. Andry grał różne utwory, a kilkudziesięciu bogów, półbogów i straconych dusz tańczyło na brzegu rzeki. Zauważył, że jedna postać trzymała się z tyłu i nie dołączyła do reszty. W końcu przewoźniczka zarządziła odpoczynek.

- Więc jak umarłeś, Andry? - zapytała Fortuna. - Zawsze cię lubiłam.

- Dzieło losu - powiedział Przypadek.

- Ślepy przypadek - zripostował Los.

- Nie jestem ślepy - odciął się Przypadek.

- Tyle czasu spędzasz w tawernach z pijanymi hazardzistami, że jesteś ślepo pijany - odparł Los. - Tak czy siak ludzie nigdy nie nazywają Fortuny ślepą. Mnie przeklinają, ale modlą się do niej.

- Ha, dla Przypadku i mnie zbudowano więcej świątyń niż dla pozostałych bogów. - Fortuna trąciła Andry'ego łokciem w żebra.

- Więc kto Andry'ego zabił? - spytała przewoźniczka.

Bogowie popatrzyli jeden na drugiego.

- To nie był przypadek, zdecydowanie - rzekł Przypadek stanowczo.

- To nie był los, odwiedzałem w tym czasie Przeznaczenie - tłumaczył się Los.

- Cóż, on był moim ulubieńcem - powiedziała Fortuna.

- Czy naprawdę umarł? - zapytał przewoźniczkę Przypadek.

- Jego przeznaczeniem było żyć - stwierdził Los.

- Mógłbym się założyć, że to była jedna z tych fluktuacji losowych, które Prawdopodobieństwo zostawia porzrzućane wszędzie dokoła - powiedział Przypadek.

- Czy on jest legalnie w naszym świecie? - zapytała przewoźniczka.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że dostał zbyt mocno w głowę - przyznało Prawdopodobieństwo. - To mogło zmniejszyć prawdopodobieństwo, że zimna woda go ocuci, więc mógł się tą samą wodą zachłysnąć i utonąć.

- Czyli to twoja wina? - zapytała przewoźniczka.

- Nie, on ma twardą głowę i brał udział w wielu bójkach, to był tylko przypadek, że...

- Nie!!! - wrzasnął Przypadek. - Mam dosyć wzywania mojego imienia nadaremno.

Przewoźniczka skinęła na Andry'ego. Zbliżył się do łodzi, a istoty z innego świata wciąż się kłóciły.

- To się zdarza od czasu do czasu - wyjaśniła przewoźniczka.

- Poproś duszę, aby coś dla ciebie zagrała, paru z nich przyjdzie posłuchać i zaraz zaczynają się obrzucać obelgami. Lubię żeglarzy, dlatego poprosiłam takiego miłego ducha, jak ty, o melodię zamiast pieniędzy.

- Nie rozumiem.

- Połączenie losu, przypadku i działania paru innych często zabija ludzi. Ci tutaj są niezadowoleni, kiedy tak się dzieje. Demarkacja, rozumiesz. Dodaj do tego fakt, że jesteś ulubieńcem Fortuny, a sprawy zaczynają wyglądać bardzo obiecująco.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

- No to popatrz. - Przewoźniczka wzięła w ręce księgę rejestrową, pióro i butelkę atramentu. - Panie i panowie, Andry zagrał mi parę melodii, więc teraz potrzebuję już tylko podpisu obok jego imienia i mogę go zabrać na drugi...

- Ja niczego nie podpiszę! - warknął Przypadek.

- Prawdopodobieństwo, że wpiszę tam swoje imię i tym samym wmieszam się w jego śmierć, jest znikomo niskie - oznajmiło Prawdopodobieństwo.

- Jego śmierć nie była dziełem losu, nie mam nic do dodania - oświadczył Los.

- Ja go lubię, nie patrzcie na mnie! - stanowczo powiedziała Fortuna.

- Ja tylko go zabieram - powiedziała przewoźniczka. - Nie jestem upoważniona do podpisywania niczego.

Życie Andry'ego zawisło na włosku, gdy przewoźniczka i kilku innych bogów rozważało sytuację. Przypadek odchrząknął.

- Przez przypadek mogło się stać tak, że zimna woda spowolniła jego procesy życiowe, a więc potrzebował wtedy mniej powietrza niż zazwyczaj.

- Jest niewielkie prawdopodobieństwo, że fale wywołane przez morskie smoki ocuciły go i wyrzuciły na mulisty brzeg poniżej mola - powiedziało Prawdopodobieństwo.

- Los da mu pożyć nieco dłużej - zadeklarował Los.

Fortuna zniknęła bez uprzedzenia. Los skłonił się Andry'emu i odszedł w cień. Prawdopodobieństwo pożegnało się i wymknęło z jego życia. Dopiero teraz postać, która obserwowała wszystko w milczeniu, wyszła z cienia, weszła do łodzi przewoźniczki i usiadła. Przypadek podrzucił do góry monetę, złapał ją, położył na wierzchu drugiej dłoni, zobaczył wynik, wzruszył ramionami, a potem nachylił się do postaci w łodzi.

- Przez przypadek pani arteria poprzeczna może pęknąć, madame - ostrzegł.

- Madame, to bardzo zły pomysł - powiedziała przewoźniczka.

Postać pokręciła osłoniętą czepkiem głową. Przypadek zapisał coś w wielkiej księdze, zamknął ją i położył na stoliku, który pojawił się nie wiadomo skąd i zniknął w okamgnieniu.

Andry podszedł do Przypadku.

- Czy ja umarłem? - zapytał.

Przypadek spojrzał na niego oczami bez wyrazu.

- Przez przypadek było to możliwe. Czy chcesz odejść i żyć?

- O tak. Przemyślałem wiele spraw, odkąd przybyłem do Palionu. Analizowałem, jakie życie wiodłem w Alberinie i widzę teraz, że rozpieprzałem moje zdolności.

- Cóż, z pewnością się wyróżniałeś.

- Chcę się dowiedzieć, kim powinienem być, kurde i stać się taki. Rozwijać się, kurde, uczyć się, studiować.

Bóg kiwnął głową, ale jego twarz w dalszym ciągu pozostawała bez wyrazu.

- Odsyłam cię z powrotem, Andry, głównie dlatego że czujesz dotyk Zmiany. Może dotknęła cię ona trochę zbyt mocno, ale trudno teraz przyciągnąć czyjąś uwagę. Ostrzegam jednak, jeśli nie wykorzystasz daru Zmiany, będziesz miał poważne kłopoty.

- Jak to możliwe, panie?

- Jej następnym darem mogą być ciekawe czasy. Idź już i żyj - a, i miłego grania!

Rozdział 3

Smoczy mur

Wallas załomotał do drzwi frontowych przybytku madame Jilli. Sądził, że znowu otworzy mu grupa egzotycznie ubranych dziewcząt uzbrojonych w kusze, a tu drzwi się otworzyły, Ellisen rąbnęła go pięścią w twarz i drzwi z hukiem zatrzasnęły się z powrotem. Wallas odzyskał zmysły, leżąc na ulicy. Szczeka trzeszczała przy każdym ruchu i zdawało mu się, że stracił co najmniej jeden ząb. Zastanawiał się, co robić dalej. W torbie Andry'ego było trochę pieniędzy, jakieś ubrania, rebek i lira. Torba była środkiem, który umożliwiłby mu natychmiastową ucieczkę z Palionu. Bez niej był uwięziony w mieście i skazany na żebranie o miedziaki.

Drzwi ponownie się otworzyły i wyjrzała Ellisen. Wyszła na ulicę, stanęła przed nim.

- Dlaczego żyjesz? - zapytała stanowczo. - Podobno wszyscy, którzy byli na pokładzie „Ptaka Burzy”, zginęli.

- Andry i ja zostaliśmy wyrzuceni za burtę - wyjaśnił Wallas bez tchu. - Wyciągnąłem go na brzeg, ale umarł. Słuchaj, potrzebuję jego...

- Mówiłeś, że nie potrafisz pływać.

- Zgoda, to on wyciągnął mnie na brzeg. Przed śmiercią zdążył mi powiedzieć, że zostawił swoją torbę w pokoju madame Jilli.

- Andry nie żyje?

- Tak, został ranny, kiedy morskie smoki rozwaliły statek. Ellisen, proszę, w tej torbie jest moja lira... oraz moje pieniądze. To znaczy połowa pieniędzy z tej torby jest

moja. Resztę możesz zatrzymać, ale jeśli chcesz być szczodra, pamiętaj, że muszę uciekać z miasta. - Miał nadzieję, że wygląda dostatecznie żałośnie.

- Wejdz - powiedziała.

Drzwi do pokoju madame Jilli były otwarte, kilkanaście dziewczyn i kobiet tłoczyło się wokół jej łóżka. Madame leżała na łóżku, całkowicie ubrana, otoczona kwiatami o różnym stopniu świeżości, pościąganyymi widocznie z całego domu. Konstabl z opaską medyka podnosił jej powiekę.

- Mówisz, że krzyknęła tylko raz? - zapytał Ellisen, gdy wróciła do pokoju.

- Słyszałam tylko raz, proszę pana. Nie odpowiadała na moje pukanie, więc wyważyłam drzwi.

- Umarła z powodu pęknięcia arterii poprzecznej. Koniec nastąpił bardzo szybko. Napiszę oświadczenie, że nie miało tu miejsca przestępstwo.

Wallas starał się ukryć za dziewczynami, dopóki konstabl nie wyszedł. Wtedy Ellisen odnalazła torbę Andry'ego.

- Możesz wziąć lirę i połowę srebra, lecz nic poza tym - oznajmiła. - Ale najpierw zaprowadź mnie tam, gdzie leży ciało Andry'ego.

- Co? Przecież to może być niebezpieczne!

- Czemu?

- Konstabile, właściciele zatopionego statku, smoki morskie i...

- Czy chciałbyś dodać mnie do tej listy? - zapytała Ellisen, biorąc się pod boki.

- Ra... raczej nie - przyznał niechętnie.

- Wspaniale. Zatem prowadź.

Założywszy na głowę przemoczony kaptur, Wallas poszedł do frontowych drzwi, otworzył je - a potem wrzasnął i wskoczył na ręce Ellisen. Ellisen natychmiast rzuciła go na podłogę. Przed nimi stał Andry z pięścią uniesioną, by zastukać. Tak jak Wallas, wciąż ociekał wodą i był pokryty mułem.

- Mógłbym dostać moją torbę? - zapytał. - Jest w pokoju madame Jilli.

Ellisen wymierzyła tęgiego kopniaka Wallasowi w tyłek.

- Za to, że próbowałeś okraść Andry'ego - warknęła jak surowy szeryf.



Przez następną godzinę Andry wyjaśniał, że faktycznie stracił przytomność, gdy już wyciągnął Wallasa na brzeg. Był bardzo zaskoczony, że Wallas wziął go za umarłego. Następnie poszli się wykąpać, podczas gdy Ellisen przetrząsała skrzynie w poszukiwaniu ubrań pozostawionych lub zapomnianych przez klientów. Znalazła

dostatecznie dużo, by dla obu coś wybrać.

Andry usiadł przy łóżku madame Jilli razem z czuwającymi kobietami. Za nim stanęła Ellisen i zaczęła go czesać.

- Wallasa i Roselle, naszą najnowszą dziewczynę, wysłałam na nocny targ - powiedziała. - Dałam jej listę zakupów, będą na nas czekali w wyznaczonej tawernie.

- Po co to wszystko, pani?

- Terikel wie, że macie tu przyjaciół.

- Ona myśli, że nie żyjemy.

- I lepiej niech tak zostanie.

Po półgodzinie Ellisen uzbierała sporą garść wyrwanych włosów Andry'ego. Ściągnęła jego czyste, wysuszone i rozplątane włosy do tyłu, związała je rzemykiem, a potem podała mu lusterko.

- Poznajesz siebie? - zapytała.

- Moja głowa wygląda, jakby się skurczyła.

- Ludzie z trudem cię rozpoznają, a ludzie, którzy mogliby chcieć zrobić ci krzywdę, sądzą, że nie żyjesz. Pożegnaj się teraz z madame Jilli, musimy iść.

- Jak mam się z nią pożegnać? Ona nie żyje.

- Och, wymyśl coś romantycznego. Bardzo cię lubiła.

- Nie jestem tego taki pewien. Mówiła mi miłe słówka, ale przespała się z Wallasem.

- Wszyscy popełniamy głupie błędy. A przecież dała ci swój gwiazdny sztylet. To niezwykła broń, zrobiona z żelaza z gwiazd, które zbierały kobiety, wykuły kobiety, hartowały i ostrzyły kobiety, a mężczyźni dotykali tylko wtedy, gdy dostawali nim cios. Mam więcej palców u ręki, niż jest mężczyzn, którzy otrzymali taki dar. Ona próbowała ci powiedzieć, że jest jej przykro, Andry. Przykro, że dała się nabrać na żarciki Wallasa i że zraniła twoje uczucia.

Andry usiadł, podparł pięścią brodę i długo patrzył na madame Jilli. W końcu wziął swe wyczesane włosy i włożył jej w dłoń.

- Teraz może przebierać palcami w moich włosach przez wieczność - powiedział, wciąż trzymając rękę madame. - Widziałem służące, które cały wieczór robiły tak swoim chłopcom, a oni byli bardzo zadowoleni.

Jedna z kobiet zaszlochała. Ellisen położyła mu dłoń na ramieniu.

- Naprawdę musimy już iść.

- Nigdy w życiu nie byłam tak zakłopotana - powiedziała madame Jilli, kiedy łódź zaryła w kamieniste dno.

- Tyle że teraz jesteś martwa - powiedziała przewoźniczka, również wyglądająca na osobę, która miała kiepski dzień.

- Zawrócona z Arkadii za nieprawidłową śmierć. Ci cherubowie z imigracyjnego są bardzo nerwowi.

- To przypadek precedensowy.

- Nie pozwolili nam nawet wylądować w piekle.

- Ostrzegałam cię. Tam idą nadgorliwi urzędnicy.

- Więc co teraz? Mam tu zostać?

- Nie na zawsze. Proces twojej śmierci jest połączony ze śmiercią Andry'ego, więc kiedy on umrze, możesz zająć miejsce w łodzi razem z nim. Bardzo romantyczne.

- Ale on może żyć jeszcze wiele lat!

- Cóż, na pewno nie wiecznie.

- Co będę robiła przez ten czas? Lubię być między ludźmi, zawierać nowe znajomości. Tu wpadnę w depresję.

- Muszę wracać do mojego świata, moja umowa wkrótce wygasa... ale coś ci powiem. Pokażę ci, jak dostać się do biblioteki, gdzie są przechowywane księgi precedensów i procedur. Zawierają wiele romantycznych historii, pożądanie, zdrady... Użyj streszczeń, aby znaleźć najlepsze, najsoczystsze.

- Och, uwielbiam romanse!

- Wspaniale, jestem pewna, że będziesz bardzo szczęśliwa.



Sergal złożył rezygnację z funkcji jedyne go zastępcy mistrza kręgu Logiar i był bardzo zaskoczony niespodziewaną wizytą Talberana. Spotkali się w deszczu na drodze opodal Logiar.

- Więc mam wyjechać do kręgu Centras jeszcze dzisiaj? - zapytał po raz trzeci, wciąż nie wierząc własnym uszom.

- Jeśli się zgodzisz, uczone bracie, możesz jechać od razu. Powóz będzie czekał w Logiar i zawiezie cię na północ drogą wzdłuż wybrzeża. Zmiany koni już zostały zorganizowane. Będziesz jadł, spał i studiował bardzo ważne księgi w powozie.

Sergal odwrócił się, by popatrzeć na krąg Logiar, potem spojrzął na północ.

- Mistrz kręgu Centras, mówisz? - zapytał po raz piąty.

- Cóż, właściwie będziesz mistrzem całego Smoczego Muru - odpowiedział

Talberan, dla zachęty podnosząc nieco rangę stanowiska. - Wszyscy pozostali mistrzowie będą ci podlegali.

- A ty jesteś pewien, co robisz? Astential nie żyje, prawda?

- Zgadza się, ale nie umarł na próżno, dzięki niemu udało się rozwiązać zagadkę, dlaczego pierwotny Smoczy Mur uległ zniszczeniu. Widzisz, czarownicy wypowiadający zaklęcia Smoczego Muru muszą być dokładnie na tym samym poziomie na obszarze całego kręgu, a krytycznie ważne jest położenie centralnego kamienia. W tej starożytnej maszynie eterycznej kilka środkowych megalitów było nieco wyniesionych ponad pozostałe. Na pewnym etapie rzucania zaklęć megality runęły. To zniszczyło nie tylko Smoczy Mur, ale także generujące go kamienne kręgi. Cała jego energia została uwolniona przez centralne megality, wytapiając pod nimi krater.

- Więc kraterów nie było według pierwotnego założenia - doszedł do wniosku Sergal, mierzwiąc i szarpiąc brodę.

- Nie, są tylko dowodem wypadku, do jakiego doszło w starożytności - odpowiedział radośnie Talberan.

- To by potwierdzało moje podejrzenia. - Sergal znów się obejrzał na krąg Logiar. - Dużo dyskutowaliśmy na ten temat z Waldesarem.

- Och i on się myli, to już jest ogólnie wiadome. Dostał polecenie zbudowania kamiennej platformy, która podniesie centralny kamień kręgu Logiar i skoryguje jego położenie względem pozostałych kamieni.

W delikatnie złośliwym tonie Talberana było coś, co do Sergala przemówiło, co sugerowało, że Talberan gardzi takimi pozbawionymi wyobraźni, politykującymi czarodziejami jak Waldesar i będzie szczęśliwy, mogąc zdeptać jego małe ambicje, kiedy już stanie się niepotrzebny. Takiej oferty Sergal nie mógł odrzucić, mimo że jego płaszcz przeciwdeszczowy przeciekał i czekała go podróż licząca prawie trzy i pół tysiąca kilometrów, bez jednej nawet nocy w normalnym łóżku.

- Właśnie znalazłeś nowego najwyższego mistrza kręgów, uczony Talberanie - oświadczył, po raz ostatni spoglądając na krąg Logiar.



Ellisen poprowadziła Andry'ego przez płataninę uliczek, zaułków i ciemnych skwerków, aż upewniła się, że nikt ich nie śledzi; potem poszli do Niespokojnego Wędrowca. Tawerna ta leżała blisko paliońskiej bramy zachodniej i nie zamykano jej przez całą noc. Roselle i Wallas już tam byli, trochę nietrzeźwi i najwyraźniej w bardzo

dobrych stosunkach. Na widok Ellisen Wallas spoważniał i usiadł prosto.

- Piliśmy zdrowie madame Jilli - wyjaśnił.

- Wallas powiedział, abyśmy cieszyli się życiem, gdy koło nas jest śmierć - dodała Roselle, a potem wstała i kiwnęła ręką w kierunku szynkwasu.

- Żeby mogła przekupić przewoźnika napitkiem - ciągnął Wallas.

- Promem steruje dziewczyna, ma ze dwadzieścia lat - powiedział Andry, siadając i pocierając twardy wzgórek na potylicy.

- Skąd wiesz? - Wallas się roześmiał. - Spotkałeś ją kiedyś?

- Tak.

Wallas przenosił wzrok z Andry'ego na Ellisen i z powrotem na Andry'ego. Żadne się nie uśmiechało na znak, że to żart.

- Czy wyście poszaleli? - zapytał Wallas, wciąż próbując się śmiać.

- Nie, tylko przeżyliśmy - rzekł Andry, który teraz czuł, że ten stan jest uznawany za zbyt oczywisty przez zbyt wielu żyjących ludzi.

Wallas zbladł. Przypomniawszy sobie nagle, że jego towarzysz pod molo nie oddychał i nie miał pulsu. Ellisen spuściła wzrok na stół, splotła palce dłoni, aż strzeliły jej stawy i w milczeniu pokiwała głową. Wallas postanowił nie ciągnąć tematu.

- Nie masz ze sobą mojej liry, prawda? - zapytał.

Andry wyjął instrument z torby i wręczył go Wallasowi, który natychmiast zaczął na niej brzdąkać.

- Jest rozstrojona! - wykrzyknął.

- Fortuna mnie lubi - odpowiedział Andry.

- Ale nie za bardzo.

- Fortuna opuściła mnie.

- Co zrobimy teraz? - zapytał Wallas, obracając kolek i szarpiając strunę.

- Możesz wypić kolejnego drinka. - Andry szczypnął się w nadgarstek, by się przekonać, czy wciąż czuje ból.

- A ty?

- Po wypiciu połowy wody z portu nie jestem w nastroju.

- Kiedy wracamy do madame Jilli? - zapytał Wallas.

- Teraz rządzi tam madame Ellisen, a wy tam nie wracacie - powiedziała Ellisen. - Zostaniemy tu aż do świtu, a potem ty i Andry opuścicie miasto.

- Ale gdzie będziemy spać? - zaprotestował Wallas, zerkając na Roselle, która

wróciła właśnie, niosąc cztery kufle.

- Dziś nie śpicie - odparła Ellisen, w której tonie słychać było, że nie znosi nawet faktu, że Wallas żyje. - Bramy miejskie są otwierane pół godziny przed wschodem słońca... a może chcesz się wspinać na mury miejskie?

- Cóż, jest wiele rozrywek, które pomogą nam przeczekać nocne godziny - stwierdził Wallas, gdy Roselle siadła naprzeciwko niego.

Wyciągnął rękę pod stołem i zaczął gładzić kobiece udo. Jednak okazało się, że należy ono do Ellisen, a nie do Roselle. Ellisen złapała go za mały palec i gwałtownie wykręciła. Coś trzasnęło, a Wallas wrzasnął z bólu.

- Kto ma ochotę na trochę muzyki? - spytał zakłopotany Andry, pospiesznie wyjmując rebek z torby.

- Jedyne, na co naprawdę mam ochotę, to drink przy barze - wymamrotał Wallas, wstając i tuląc do piersi uszkodzony palec.

- A ja mam ochotę potańczyć! - krzyknęła podchmielona nieco Roselle, zerwała się i chwyciła Wallasa za ramię.

Andry zagrał wiele skocznych melodii, a Wallas i Roselle tańczyli na kawałku wolnego miejsca przed kominkiem. Kelnerki i kilku gości przyłączyło się do nich. Potem grał też Wallas. Właściciel Niepokojnego Wędrowca patrzył na to z aprobatą. Ci dwaj muzykanci uczynili z jego tawerny lokal, gdzie w późnych godzinach nocnych można znaleźć trochę rozrywki oraz niechrzczone piwo i rozsądne ceny. A co najważniejsze, grali za darmo.

W czasie pierwszej przerwy Wallas podszedł do stołu, szerokim łukiem omijając Ellisen i usiadł obok Andry'ego. Oddychał ciężko. Wypił duszkiem kufel piwa, który przypadkiem stał na stole blisko niego i pomasażował uszkodzony palec. Andry poszperał w torbie, wyciągnął z niej pas płótna i przybandażował mu bolący palec do sąsiedniego.

- Wiesz, Andry, taniec to dobre ćwiczenie przed wyruszeniem w trasę - powiedział Wallas serdecznie.

- Naprawdę?

- O tak, ale domyślam się, że nie wiesz, co nas czeka, bo jesteś żeglarzem. Czyste, chłodne orzeźwiające powietrze na wsi, słońce na twojej twarzy, spanie w ciepłych, czystych stogach siana, szczerzy, życzliwi wieśniacy i pewność, że nie zależysz od nikogo, tylko od siebie samego.

- Tak, to prawda - zgodził się Andry. - Na statku powietrze jest cuchnące pod

pokładem i mroźne na nim. Załoga musi pracować razem, bo inaczej wszyscy zginą, a oficerowie nie są zbyt przyjaźnie nastawieni.

Wallas wziął głęboki oddech i zaczął śpiewać:

Idź, idź, idź, drogo, wędruj do nieba,

Idź, idź, idź, drogo, tylko ty i ja.

Andry rozpoznał marszową melodię, którą słyszał swojej pierwszej nocy w Palionie. Podniósł rebek i zagrał do wtóru.

Zaczęła się nieco smętna hulanka. Trochę po północy do tawerny zajrzeli dwaj nocni strażnicy, informując właściciela, że o tak późnej porze lokal powinien być zamknięty, po czym usiedli za stołem i zamówili piwo. Po chwili zaczęli tańczyć z Ellisen i dziewczkami służebnymi przy muzyce Andry'ego. Wallas i Roselle gdzieś zniknęli.



Słońce właśnie wschodziło, gdy Andry zarządził wymarsz z Niespokojnego Wędrowca. Ellisen trzymała pod ramię Wallasa, a Roselle za kołnierz i starała się prowadzić ich mniej więcej po linii prostej. Dwaj strażnicy z nocnej zmiany zdecydowali się wlec za nimi dla towarzystwa. Andry był obładowany dwiema torbami, zapieczętowanym dzbanem wina i rebekiem. Niższy ze strażników niósł bukłak z winem, który Andry dostał od właściciela tawerny, a jego bardzo wysoki kompan tłumaczył Ellisen, jaki to wspaniały zbieg okoliczności, że oboje pracowali na nocnej zmianie i czy nie zjadłaby z nim śniadania?

- Co kazałaś Wallasowi i Roselle kupić na drogę? - zapytał Andry, kiedy zbliżali się do bramy miejskiej.

- Koce, trochę chleba i suszonej kiełbasy oraz bukłak na wodę - powiedziała Ellisen. - Kiedyś w przebraniu mężczyzny byłam w armii ochotniczej. Wiem, co należy brać na wyprawę.

- Więc wyruszacie w podróż, chłopaki? - zagadnął wyższy ze strażników, dając Andry'emu srebrnego nobla. - Wspaniała noc muzyki.

Gest był obliczony na zaimponowanie dziewczynie i osiągnął pożądany efekt. Ellisen cisnęła Wallasa na ziemię jak worek, puściła Roselle, ujęła strażnika za ramię i wyszeptala mu do ucha, że będzie dla niego baaardzo miła. Andry odkorkował dzban, wypił parę łyków, a potem wylał nieco wina na przód swojej tuniki. Resztę chlusał

koledze na głowę, co nie tylko pomogło Wallasowi usiąść, ale wywołało istny atak dławienia się i miotania gróźb.

- Wstawaj, wędrowcze, czas ruszać w drogę! - krzyknął Andry ze śmiechem.

- To dla ciebie. - Ellisen podała mu grzebień z czarnego drewna, wyrzeźbiony na kształt demonicznej twarzy z długimi zębami. Potem wymierzyła Wallasowi solidnego kopniaka. - A to dla ciebie, Wallas. Idźcie już i niech Fortuna będzie z tobą, Andry.

Niższy strażnik trzymał się z tyłu z Roselle, która wymiotowała przy murze. Andry musiał poświęcić nieco czasu, by postawić Wallasa na nogi i załadować mu torbę na ramię. Ellisen wdała się z wyższym strażnikiem w poważną rozmowę na temat różnych rodzajów chwytów, którymi można obezwładnić przeciwnika. Andry zarzucił na ramiona plecak i podniósł bukłak z winem.

- Postaraj się wyglądać na pijanego, gdy będziemy przechodzili przez bramę miasta - powiedział.

- Dlaczego mówisz „postaraj się wyglądać”? - zdziwił się Wallas.

Objęci, zataczając się, szli z grubsza w kierunku bramy. Ruch był niewielki, co źle rokowało. Strażnicy nie mieli wiele do roboty i dla zabicia nudy mogli szczegółowo sprawdzać nielicznych podróźnych przekraczających granicę miasta. Wartownik zastąpił im drogę. Andry i Wallas pilnowali się, aby nie mówić nic do rzeczy. Po długim przeszukiwaniu torby Wallas wygrzebał kilka miedziaków na łapówkę, ale strażnik potrząsnął głową.

- Potrzebuję papierów podróźnych od was obu - rzekł stanowczo.

Andry spodziewał się, że papiery mogą być potrzebne przy wjeździe do miasta, ale nie przy wyjeździe. W Alberinie raczej wszyscy się cieszyli, gdy ludzie tacy jak on i Wallas opuszczali miasto.

- Nie mam papierów w ręku, może mam w plecaku - mamrotał z nadzieją.

- Opróżnijcie plecaki - zaczął wartownik, ale nie skończył, bo podszedł wyższy z nocnych strażników.

- Nie trzeba, oni są oddelegowani przez magistrat - wyjaśnił.

- Oddelegowani? - nieufnie zapytał wartownik.

- Miałem rozkaz odprowadzić ich do bramy i wyprawić w drogę o świcie. Przy jakiegokolwiek próbie zatrzymania ich mam rozkaz spisać nazwisko zatrzymującego i zameldować o tym w magistracie.

- Dobra, dobra, dzięki za ostrzeżenie! - krzyknął wartownik, a potem wskazał

otwartą bramę. - Wy dwaj, wynocha!



Andry i Wallas uszli jakieś czterysta kroków od zachodniej bramy Palionu, gdy zaczęły się pojawiać pierwsze zwiastuny nadchodzących kłopotów.

- Paski od plecaka cisną mnie w ramiona - zrzędził Wallas.

- Niosłeś go przez miasto bez słowa skargi - powiedział Andry.

- Tak, ale... nie był tak ciężki i mogłem odpocząć, gdy się zmęczyłem.

- Wytrzymaj. Musimy zejść z oczu wartownikom, zanim ktoś zdecyduje, że jednak należy nas skontrolować.

Mozolnie szli dalej.

- Otarłem sobie lewą stopę - narzekał Wallas.

- Idziesz na niej, czego się spodziewałeś? - burknął Andry.

- Siądźmy na chwilę.

- Nie! Nie uszliśmy nawet kilometra.

- Czuję się, jakbym przeszedł pięć! Jesteś żeglarzem, skąd możesz wiedzieć, ile drogi przeszliśmy?

- Bo przed nami jest pobielony kamień z wykutym napisem: PALION 1 KILOMETR.

Wlekli się dalej.

- Nie mogę uwierzyć, że nie minęliśmy kolejnego kamienia milowego - narzekał Wallas. - Wydaje się, jakby czas zwolnił. Jakiś paskudny czarnoksiężnik rzucił na nas klątwę... albo ktoś ukraść kamienie milowe.

- Nie chrzań głupot, Wallasie, one ważą po pół tony!

- Ukraść te kamienie ktoś bardzo silny.

- Założę się o miedziaka, że miniemy kolejny za kilka minut.

- Dobra!

Andry wskazał biały kamień leżący w pewnej odległości przed nimi, a potem poprosił o wygranego miedziaka.

- Przekłęty mierniczy, musiał źle wyznaczyć odległość - mamrotał Wallas.

- Licz kroki i sprawdź.

Przy kolejnym kamieniu milowym Wallas czuł się już bardzo niedobrze.

- Podeszwy moich stóp reagują tak, jakbym w butach miał igły - zawodził.

- Natarłeś sobie pęcherze, ja też je mam.

- I skurcz mnie chwycił w lewą łydkę.

- Idź, to ci przejdzie.
- Ale to boli!
- Czy wiesz, że kilometry toreańskie są dwa razy dłuższe od acremańskich?
- Zamknij się!
- Powinieneś więcej chodzić.

Trzy kilometry dalej w ocieniającym drogę zagajniku Andry zarządził postój. Wallas przyssał się do bukłaka z winem. Andry napił się trochę wody i siekierką Wallasa odrąbał długą, prostą gałąź, oczyścił ją z liści, ociosał sęczki.

- Ha, widzę, że potrzebujesz laski do podparcia! - parsknął Wallas. - Twoje żeglarskie stópki nie są przyzwyczajone do chodzenia.

- Potrzebuję broni - wyjaśnił Andry. - To będzie całkiem znośna pałka.
- Broń wieśniaka! - zadrwił Wallas. - Szlachcic nosi toporek.
- Wiesz, jak się posługiwać toporkiem?
- Ja... no cóż, teraz, kiedy o tym wspomniałeś...
- Mogę dać ci kilka lekcji...
- Nie! Nic, co wymaga wstawania, proszę!
- Obawiam się, że musisz wstać tak czy tak. Musimy ruszać dalej.

Wallas znowu pociągnął z bukłaka.

- Będzie lżejszy - wyjaśnił.



Po siedmiu kilometrach Wallas dosłownie tonął we łzach i błagał, aby rozbili obóz na noc. Andry zauważył, że sądząc po pozycji słońca, jest dopiero około dziewiątej rano. W tym momencie Wallas potknął się i runął ciężko na ziemię. Zaczął się więc z bólu, krzycząc, że ma skurecz w obu nogach. Andry rozmasował mu łydki i pozwolił na krótki wypoczynek. Wallas powłókł się do stogu siana i tam zasnął w ułamku sekundy.

Andry przejrzał rzeczy, które Ellisen włożyła mu do bagażu. Znalazł różowy, falbaniasty koc z Wesołego Przybytku Madame Jilli, z czerwonymi wzorkami wyhaftowanymi w każdym rogu; mały dywanik; różne produkty spożywcze i niewielką książkę.

„Przewodnik wędrowca po cesarstwie sargolskim” - przeczytał. Zjadł odrobinę chleba i zabrał się do czytania. Po jakimś czasie przepakował wszystko. Koło południa obudził ich rolnik, który odkrył, że Wallas zwymiotował w jego siano. Uzbrojony w pałkę ścigał ich spory kawałek.

- Och, moja głowa! - zajęczał Wallas, kiedy rolnik zrezygnował z dalszego pościgu.

- Moja mnie też boli, chociaż nie od kaca - powiedział Andry.

- Chcę umrzeć - wychrypiał Wallas.

- Przeszliśmy siedem kilometrów. Jeśli się obejrzyysz, zobaczysz tylko rodzaj mgły. Wydostaliśmy się z miasta.

- Byłem w tawernie... - zaryzykował Wallas, ale nie był całkowicie pewien, co wydarzyło się później.

- Graliśmy fajną muzykę do tańca. Założę się, że od chwili gdy zaczęliśmy grać, nikt z naszej czwórki nie musiał płacić za piwo.

- Zgadza się, dużo tańców w tawernie. Śpiewanie, Roselle, tańce na naszym stole. Dziewka służebna zabrała mnie na zaplecze i otworzyła zaciętą baryłkę.

- I zostawiłeś mnie, żebym grał sam przez pół godziny.

- To była najlepsza baryłka ze wszystkich! - krzyknął Wallas i skrzywił się z bólu.

Andry zdjął z ubrania kilka źdźbeł siana.

- A co z Roselle? - zapytał.

- Co z nią?

- Zdawało mi się, że ci się podoba.

- Eee, taka chłopczyca. Niemniej przeleciałem ją w stajni.

Andry myślał nad tym przez następne sto kroków. Doszedł do zaskakującej konkluzji - zaskakującej, bo zazwyczaj wszyscy pozostali rezerwowali ją dla niego.

- Wallas, wiesz, jesteś strasznym dupkiem.

- Co? Coś ty powiedział?! Powinienem cię za to zostawić!

- Zrób to...

- Nie! Ja, eee, nie mogę cię zostawić, cudzoziemca, samego na sargolskiej wsi. Potrzebujesz przewodnika i tłumacza. - Wallas odkrył, że wielką ulgę sprawia zsunięcie pasków plecaka na bicepsy. - Ciekawe, jak daleko jest do Logiar - zastanawiał się na głos.

- Siedemset kilometrów.

- Siedemset! Sto razy dalej, niż przeszliśmy przez cały dzień.

- Jest dopiero popołudnie.

- Skąd wiesz, że siedemset?

- Ellisen dała mi przewodnik.

- He, bez wątpienia na pamiątkę tego, co ty dałeś... aaa!

Andry podłożył mu pałkę pod nogi i Wallas runął ciężko.

- Ups, uważaj na drogę - powiedział Andry, nie zatrzymując się, by mu pomóc.

Wallas dogonił go z trudem. Szli w milczeniu aż do dziewiątego kamienia milowego.

- Myślę, że dojdę tylko do Glasbury - zdecydował się Wallas. - Ładne, duże miasto. Zastanawiam się, jak jest daleko...

- Trzysta kilometrów - odparł Andry ze złośliwą satysfakcją. Wallas rozważył ten niemile zaskakujący fakt przez chwilę.

- Cóż, jest jeszcze duże, prowincjonalne miasto Clovesser.

- Dwieście siedemdziesiąt kilometrów.

- Niech to szlag! Więc gdzie jest najbliższa wioska?

- Sto kilometrów. Możesz tam dotrzeć w dwa dni forsownego marszu.

- Sugerujesz, że teraz to nie jest forsowny marsz?

- Forsowny jest marsz osiemnaście godzin na dobę, z przystankami tylko na sen i siusiu. Jesz w marszu, pijesz w marszu i nie zatrzymujesz się z powodu deszczu, śniegu czy kaca.

- Przecież tu coś musi być na tej przeklętej drodze! - jęknął Wallas.

- Jest, nazywa się Przystanek Milowy.

- Głupia nazwa dla gospody.

- Nazywa się tak, bo znajduje się przy trzydziestym kamieniu milowym.

- Trzydzieści kilometrów! - załkał Wallas. - A my uszliśmy dziewięć!

Zaczęło padać.



Zbliżała się ta pora dnia, kiedy wędrowcy pragną znaleźć się w zacisznej sali gospody, zjeść obiad lub chociaż wypić kufelek piwa. Jednak w Niespokojnym Wędrowcu było pusto, gdy weszła Terikel. Wyciągnęła ręce do paleniska. Potem odwróciła się, by ogrzać sobie plecy i okazało się, że koło niej stoją Laron i Velandar. Złożyli teatralny ukłon.

- Laronie... - Terikel zobaczyła go pierwszy raz po stu sześćdziesięciu dniach. - Wyglądasz...

- Na żywego, uczona prezbiterko? - zasugerował.

- Chciałam powiedzieć... świetnie. Przystojny, dziarski i okropnie elegancki.

- Dziękuję, ale wciąż jestem tylko dzieciakiem, piętnastolatkiem - odparł Laron.

- Jedynym, który żyje od siedmiuset lat.

Velander odsunęła się nieco, gdy Terikel i Laron objęli się serdecznie. Terikel zauważyła, że jego ciało znowu jest ciepłe, znikły krosty i wypryski, które go od siedmiuset lat szpeciły. Oboje usiedli przed paleniskiem, a Velander skryła się w cieniu na drugim końcu sali - czujna, ostrożna i głodna.

- Ale, ale, jak Velander znalazła się w takim stanie? - zapytała Terikel. - Czy ona nie umarła? Kiedy byłam w Diomedzie, rozmawiałam z kimś, kto widział jej ciało. Zdecydowanie było martwe.

- To prawda, ale ja wiem coś o czarach i energiach, które rządzą w granicznych obszarach między życiem a śmiercią. Odnalazłem jej cień, który utknął tam, odarty niemal ze wszystkiego, co mogło trzymać ją na tym świecie. Wszyscy inni czarodzieje mogliby jedynie powiedzieć jej „żegnaj”, lecz ja egzystuję na takim pograniczu od siedmiuset lat. Była przerażająco słaba i nie widziałem szans, by ocalić jej życie. Zrobiłem... coś niebezpiecznego.

- Zdziałało?

- O tak. Teraz Velander jest martwa, ale nie odeszła. Krew, jaką wysysa z ludzi, odżywia jej ciało, a ich siła witalna dostarcza jej energii. Kiedy Miral schowa się za horyzont, Vel jest jak każdy nieboszczyk, potem zwyczajnie chodzi, rozmawia...

- Zmieniłeś Velander w to, czym ty byłeś niegdyś?

- Tak, ale chciałem dobrze - powiedział Laron, wierząc się niespokojnie.

- Więc ona zabija ludzi?

- Cóż, tak, ale tylko tych, którzy szerzą wokół siebie nieszczęście.

- Kolejny wampir reformator społeczny - sarknęła Terikel, kładąc sobie dłoń na czole, a potem rozcierając lewą skroń.

- Laron nauczył mnie postępować po rycersku - odezwała się Velander z drugiego końca pokoju. - Żywię się krwią tylko tych, którzy...

- Którzy pozostawiają wiele do życzenia jako dobrzy obywatele? - wpadła jej w słowo Terikel.

- Tak.

- I nie cierpi na ich niedobór - dodał Laron.

- Och, Vel! - zaskoczyła Terikel, wstając i wyciągając do niej ramiona.

- Żadnych uścisków, jeśli mogę prosić. - Velander się cofnęła.

- Moja samokontrola jest zaledwie poprawna, nie idealna.

Terikel z powrotem usiadła, z ulgą czując pod sobą solidne krzesło. Miała

zawroty głowy. Velander stała się istotą o zimnym ciele, sile pięciu mężczyzn i gustującą we krwi. Nie mogła także się poruszać, gdy Miral zaszedł za horyzont. Jednak ze wszystkich ludzi na kontynencie acremańskim Velander i Laron byli dla Terikel najbardziej godni zaufania.

- Jakie masz teraz plany? - zapytał Laron, kiedy cisza stała się nieznośnie i krępująco długa.

- Muszę dotrzeć do gór Capefang - odparła Terikel, podpierając głowę dłońmi.

- To łatwe do zorganizowania i da się zrobić - powiedział Laron.

- Oddział kawalerii, do którego należę, udaje się w tamtym kierunku. Jeździsz konno?

- Nie.

- Niedobrze. Umiesz władać toporem?

- Kiedy rąbię drewno na opał.

- Używałaś kiedyś kopii?

- Nigdy żadnej nie miałam w ręku.

- Ach, bez obrazy, ale tego się wymaga w ochotniczym oddziale kawalerii prócz noszenia munduru i kolczugi.

- Znam się na leczeniu.

- To daje pewne możliwości - uznał Laron. - Jednakże musisz nauczyć się jeździć konno. Jeszcze dzisiaj wpadniemy do stajni, abyś poznała podstawy, a później weźmiesz kilka intensywnych lekcji. Wyprawa do Capefangów rusza za tydzień, więc mamy więcej niż dosyć czasu, abyś nauczyła się jeździć jak stary wyga. Po co chcesz tam jechać?

- Muszę porozmawiać z bardzo uczonymi ludźmi o Smoczym Murze, więc... Może będzie lepiej, jeśli wam nie powiem, to wszystko jest bardzo skomplikowane i trudne. Smoczy Mur ma ruszyć za dwa dni. Chcę to powstrzymać...

- Zatrzymać największe magiczne przedsięwzięcie w historii świata?! - krzyknął Laron.

- Jak powiedziałam, to wszystko jest trudne i z pewnością bardzo niebezpieczne. Widzieliście, co stało się z „Ptakiem Burzy” ostatniej nocy, a wcześniej zostałam zaatakowana na ulicy Palionu przez Gwardię Tronową.

- Słyszałem, że uratowali cię ochroniarze.

- Nie, byłam sama. Zabiłam dwóch czarowników, potem uciekłam. Gdy osaczyło mnie pięciu gwardzistów, byłam zbyt wyczerpana, by z nimi walczyć. Wtedy

uratowało mnie dwóch pijaczków. Żeglarze z Alberinu.

- Z Alberinu? - zdziwił się Laron. - Żeglarze?

- Tak. Jeden miał bardzo silny akcent.

- O bogowie lunaświatów, silnych żeglarzy mają w Alberinie! - Laron wczepił palce we włosy i patrzył uważnie na Terikel swoimi niepokojąco zielonymi oczami. - To oni zabili osiłków z Gwardii Tronowej?

- Cóż, gwardzistę zabił jeden z nich, drugiego żołnierza ja spaliłam żywcem. Wysilek z tym związany nieomal zabił również mnie.

- A pozostałych trzech?

- Chudy żeglarz ich pobił.

- Ale przecież aby zostać członkiem Gwardii Tronowej, trzeba wygrać pojedynkę z dziesięcioma uzbrojonymi, skazanymi kryminalistami. Naraz. A startuje się nago i bez broni.

- Może zaangażowała się w to bogini Fortuna, chociaż prawdopodobnie zużyli przydział szczęścia całego miasta na najbliższe dziesięć lat - wyjaśniła Terikel.

- Gdzie oni są teraz?

- Byli na „Ptaku Burzy”. Przebrałam prostytutkę w swoje ubranie, a oni weszli z nią na pokład jako jej eskorta. Wszyscy troje nie żyją.

Świadoma tego, że kiedy wstanie, będzie to równoznaczne z początkiem podróży, która zajmie tygodnie i będzie wymagała pokonania setek kilometrów, Terikel wynajdywała różne preteksty, aby móc jeszcze chwilę rozkoszować się wygodnym krzesłem i ogniem na kominku. Popatrzyła na Velander, która wyglądała niemal rozczarowująco znajomo, chociaż była nieco szczuplejsza i bardzo blada.

- Vel, wcale się nie zmieniłaś - powiedziała uprzejmie.

- Ja nigdy się nie zmienię, uczona prezbiterko. Będę tak wyglądała zawsze, a przynajmniej do momentu, gdy ktoś odetnie mi głowę, spali ją na popiół, wyrwie mi serce i rozsypie jego prochy na rozstajnych drogach...

- Proszę, przestań! - krzyknęła zakłopotana kapłanka. - Przykro mi, że poruszyłam drażliwy temat.

- To ja powinnam przeprosić. Niemal powiedziałam ci, jak można mnie unicestwić, oddając się tym samym twojej władzy.

- Nie jestem tego godna.

- Uczona prezbiterko, dużo czasu upłynie, zanim będę godna zostać znowu twoją przyjaciółką, bo bardzo cię zraniłam. Zrobię, co leży w moich niewielkich

możliwościach.

- Ależ Velandar, ja wybaczyłam ci wszystko, co kiedykolwiek mi zrobiłaś...

- Uczona prezbiterko, nie rozumiesz. Możesz mi wybaczyć, ale ja muszę być godna twojego przebaczenia. Muszę na nie zapracować. Byłam dla ciebie wyjątkowo okrutna i chcę to naprawić.



W czasie gdy Terikel pracowała na pierwsze bolesne odciski, ćwicząc jazdę konną, Andry i Wallas zmierzali do Przystanku Milowego. Teren był płaski, więc pomalowane na biało kamienie milowe widzieli na pięć kilometrów przed sobą.

- Jest pewne powiedzenie wśród ludu z Vindician - powiedział Wallas, który musiał się skupiać na stawianiu jednej stopy przed drugą i w związku z tym niezupełnie panował nad językiem. - Brzmi mniej więcej tak: Jego twarz wygląda, jakby właśnie zakończył długą podróż. Założę się, że moja twarz też teraz tak wygląda.

- Wygląda - odparł Andry - ale dwadzieścia pięć kilometrów to nie tak dużo. Większość karczem przy tej drodze jest oddalona od siebie o trzydzieści kilometrów, według przewodnika. Czyli dzień marszu dla silnego, szczupłego wieśniaka.

- Ja nie jestem silnym, szczupłym wieśniakiem.

- A kim ty właściwie jesteś?

- Obolałogim, chorym, nędznym, zmęczonym i... cholera! Znowu zaczęło padać.

- Cóż, możemy przebiec te pięć kilometrów, które pozostały do Przystanku Milowego.

- Twój ojciec jest ślepym szczurem kanałowym, a matka małą, zieloną, oślizłą istotą, która żywi się muchami.

- Więc nie chcesz pobiec?

- Słońce wyszło zaledwie na dwie godziny, a i tak zdążyłem sobie poparzyć twarz. Teraz czuję, jakbym wyszorował ją sobie drucianą szczotką.

Deszcz się nasilił. Andry rozwinął dywanik z sypialni madame Jilli i użył go jako peleryny. Wallas nawet nie próbował osłonić się przed deszczem. Znowu poprawił paski od plecaka, ale teraz każdy centymetr kwadratowy jego ramion promieniował bólem.

Godzinę po zmroku dotarli do Przystanku Milowego. Deszcz ustał akurat w chwili, gdy dotarli do drzwi gospody, ale Wallas nawet się nie zatrzymał, by rzucić jakieś przekleństwo nieprzychylnemu niebu. Poszedł do głównej sali, do paleniska,

nie zauważając tłumu podróżnych i mieszkańców okolicznych gospodarstw i upadł na podłogę. Bardzo, bardzo powoli zdjął buty. Skarpetki miał mokre od błotnistej wody i krwi. Pijący w pobliżu aż gwizdnęli. Zdjął skarpety i odsłonił duże rozerwane pęcherze z tyłu na piętach i wielkich palcach stóp; potem wytrząsnął ze skarpet kawałki zakrwawionej skóry. Klienci gospody znowu gwizdnęli. Wallas położył skarpetki na gorących kamieniach paleniska; zaczęły parować. Wydzielały zapach jak podgrzewany nadpsuty gulasz.

Podszedł Andry z dwoma kuflami i dopiero wtedy Wallas zdał sobie sprawę, że nie zdjął plecaka. Rzucił go na podłogę i wypił swoje piwo duszkiem.

- Mielście ciężki dzień na drodze? - zagadnął stary wieśniak siedzący za stołem obok kominka.

- Na to wygląda - odburknął Wallas.

- Posmaruj niedźwiedzim tłuszczem i olejkim z bzu czarnego - powiedział stary, ofiarując Wallasowi małe naczynie.

- Lepszy tłuszcz tygrysa i olejek lanolinowy. - Ktoś podsunął Wallasowi flaszkę.

- Powinien wypchać sobie buty sianem - doradził ktoś inny, stojący z tyłu.

- Nie, świeżą trawą, nic jej nie zastąpi.

- Użyj pociętej kwitnącej trawy, ona ma właściwości lecznicze, medyk mi to doradził.

- Miałeś tylko jedną parę skarpetek. Radzę włożyć dwie pary.

- Ja włożyłbym trzy.

- Powinieneś przetrzeć stopy spirytusem z wina miodowego. To szczybie, ale jest niezastąpione. Czeka, przyniosę odrobinę.

Andry miał wrażenie, że dla ludzi, którzy nigdy nie żeglowali, nie jeździli konno, nie pływali na barkach ani nie podróżowali w powozach, najważniejsze na całym świecie były stopy i troska o ich komfort. Wallas krzyknął przenikliwie, gdy spirytus z wina miodowego dotknął poranionej i odparzonej skóry; potem przyłożono mu kojące olejki i zabandażowano, dyskutując przy tym żywo o różnych rodzajach obuwia.

W tym momencie do izby wkroczył lokalny kupiec, zamówił garniec grzanego wina i dołączył do tłumu w głównej sali.

- Cóż za radosny pokój pełen krzepkich kumpli! - oznajmił wysokim i nieprzyjemnie radosnym głosem. Zignorował nic dobrego niewróżące mamrotanie,

jakie dało się słyszeć, chociaż nie wydawało się pochodzić od nikogo konkretnego. - Właśnie odbyłem wspaniale orzeźwiający marsz z mojego sklepu tutaj, na przełaj przez pola - ciągnął. - Ach, nigdy nie zamieniłbym tego na życie w mieście, nawet za torbę złota.

- A ja zamieniłbym nawet za fałszywego miedziaka - powiedział cicho Wallas, lecz usłyszał go tylko Andry.

- Tak, chłodne, świeże powietrze wiejskiego wieczoru jest po prostu magiczne - ciągnął kupiec. - Żadnych zapachów ani dymu, tylko twoje stopy na drodze, która wydaje się kończyć zbyt szybko, ale za to w przyjaznej gospodzie. Żadnych miejskich rzezimieszków, tylko życzliwi sąsiedzi, chętni do podzielenia się kuflem i piosenką.

Wallas dźwignął się ostrożnie na swoich obandażowanych stopach. Bolało, ale wytrzymał. Powoli postawił prawą stopę przed lewą. Czuł, jakby łydki wypełniały mu rozgrzane igły. Zrobił następny krok. Sklepiarz łyknął z kufla, wziął głęboki wdech.

Idź, idź, idź, drogo, wędruj do nieba,

Idź, idź, idź, drogo, tylko ty i...

Wallas lewą ręką chwycił go za koronkowy żabot pod szyją, a prawą pięścią zdzielił w twarz.

- Wybierz się kiedyś na prawdziwy pieprzony spacer, ty cieniase! - ryknął. - Wtedy zobaczymy, czy będziesz miał ochotę na śpiewanie durnych, pieprzonych, wędrowskich piosenek!

Kuśtykając z powrotem na miejsce przy palenisku, usłyszał radosną owację, a wędrowny szewc nawet się zaofiarował, że za darmo poprawi jego buty, by tak nie uwierały. Andry wyjął rebek i zaczął grać wolną melodię ze Scalticaru, a goście wrócili do rozmów i kufla.

- Mówię ci, szefie, w dzisiejszych czasach pełno jest nieokrzesanych typów - rzucił ktoś w kierunku szynkwasu.

- Chcę wrócić do domu, do Alberinu - powiedział Andry, grając.

- W Scalticarze? - zapytał Wallas, ostrożnie naciągając skarpetę na obandażowaną stopę.

- Jest tylko jeden Alberin - powiedział z tęsknotą Andry.

- Zapomniałeś już o przesmyku Dismay? Falach większych niż góry? Zresztą jedyny statek zdolny przepłynąć Dismay został zredukowany do chmury dymu i paru

kawałków ciepłego węgla dryfującego po wodach portu.

- Mam w planie najpierw dotrzeć do Logiar. Tam przeczekam, aż sztormy ustaną. Potem przeprawię się przez Dismay.

- Przecież nie ma statków.

- Przesmyk w najwęższym miejscu ma sto osiemdziesiąt kilometrów. Na wybrzeżu jest wiele łodzi rybackich, a kiedy burze ustaną, wszystkie wyruszą z towarem. Tam jest mnóstwo towaru do przewiezienia.

- Mnie wystarczy, jeśli dotrę do Glasbury. - Wallas wciągał drugą skarpetę. - To stara stolica Sargolu, sprzed czasów cesarstwa. Jeszcze dwieście siedemdziesiąt kilometrów! To dziewięć dni, idąc dzisiejszym tempem. Właściwie będę zadowolony, docierając gdziekolwiek, gdzie mnie nie znają.

- Ale ludzie sądzą, że nie żyjemy - przypomniał mu Andry.

- Ludzie będą myśleli, że nie żyjemy, tylko do czasu gdy znowu ujrzą nas żywych. A wtedy się naprawdę wkurzą.

- O tak. I pokażą nam, co potrafią, kiedy są wkurzeni - dodał Andry. - Ledwie mogę w to wszystko uwierzyć. Ludzie w całym Palionie próbują zabić prezbiterkę Terikel, potem prezbiterka Terikel próbuje zabić nas, udając, że sama ginie.

- Zgadza się, a przy tym zabija Melier. To smutne, ta dziewczyna była dobra w łóżku.

- Byłeś także z Melier?! - krzyknął Andry. - Trzy kobiety jednej nocy?

- Zgadza się... to znaczy, no - odparł Wallas.

- To jest naprawdę niesmaczne.

- Jesteś świętoszkiem z niższej klasy - rzekł Wallas lekceważąco. - Kobiety pragną pochlebstw i uwielbienia i są skłonne płacić za to nader przyjemną walutą.

Andry nigdy nie myślał o zalotach tak bez emocji. Zapatrzył się w ogień, dumając i mając nadzieję, że seks nie jest tak kompletnie pozbawiony romantyzmu, jak mówi Wallas. Wrócił myślami do „Ptaka Burzy”.

- Wszyscy moi koledzy ze statku zginęli - powiedział raczej do płomieni niż do Wallasa. - Cierpię na myśl, że utonęli, spłonęli żywcem lub pożarły ich potwory.

- Ale przecież wychłostali cię, okradli, zakuli w kajdany i pobili - przypomniał mu Wallas.

- No tak, lecz takie rzeczy dzieją się na statkach. Wypijmy za nich i za Melier.

Wzniesli toast.

- Ostatecznie my wciąż żyjemy - powiedział Wallas.

- Tak, nawet mimo to że pewni ludzie chcą zrobić okropne rzeczy z moim ciałem... na przykład upiec je na węgiel lub rozszarpać mi gardło, aby wypić kilka kubków odświeżającego płynu.

- Zgadzam się. Sama ta kobieta demon była już dostatecznym powodem, by opuścić Palion.



Kulminacja Lupana była wydarzeniem astronomicznym i jej termin ściśle określono. Miała zajść trzydziestego szóstego dnia czwartomiesiąca 3141 roku, sześć minut po dziewiątej. Nie można było tego zjawiska pominąć, opóźnić, przenieść czy wyperswadować, lecz można było je obejrzeć z połowy świata. Był to znak dla czarodziejów Lemtasu, Acremy i Scalticaru, czarodziejów rozrzuconych po siedemnastu kamiennych kręgach wzdłuż linii o długości niemal dwudziestu tysięcy kilometrów od kręgu Glacien po krąg Terminus. Komunikacja między nimi była utrudniona, gdyż poszczególne punkty były oddalone od siebie około tysiąca kilometrów, ale najuczepszy Astential wybrał taki sygnał, którego nie dało się pomylić lub źle zinterpretować.

Najuczepszy Astential był oczywiście już martwy, lecz do tej pory stworzony przez niego schemat Smoczego Muru nabral rozpędu. W rzeczy samej, Smoczy Mur był obietnicą okiełznania burz toreańskich. Większość uczestniczących w nim czarodziejów także zdawała sobie sprawę, że machina eteryczna obiecuje im pewną kontrolę nad tytaniczną ilością energii, a nawet perspektywę nieśmiertelności. Każdy chciał wziąć w tym udział.

Wszystkie siedemnaście kręgów było położonych na lądzie, cztery w Lemtasie, pięć w Scalticarze, sześć w Acremie i dwa na wyspach. Kręgi scalticarskie oczyszczono i odbudowano, jeszcze zanim odkryto wszystkie miejsca w Acremie, więc cesarz Sargolu pospiesznie rozkazał swoim czarodziejom, aby traktowali Astentia poważnie. Trzy kręgi leżały w granicach cesarstwa sargolskiego i jego sprzymierzeńców, a dwa inne na pustyniach acremańskich. Te tereny, zamieszkałe przez nomadów, łatwo było najechać, zdobyć i zaanektować. Północne królestwo, na którego wybrzeżu leżał tylko jeden z kręgów acremańskich, miało władcę, który był pragmatyczny, jeśli chodziło o potężnych i ekscentrycznych sąsiadów. Zdecydował, że po tym, co stało się na pustyni, nie będzie igrał z Sargolem. Zgodził się nie tylko oczyścić krąg Littoral, ale także dostarczyć najstarszych i najmędrzych czarodziejów ze swego królestwa.

Wyspa na północy nie stanowiła problemu. Marynarka diomedańska przeprowadziła inwazję na wyspę Felicy, gdzie leżał krąg Felicy. W ten sposób zabezpieczyła swojemu krajowi udział w Smoczym Murze, chociaż żaden z kamiennych kręgów nie leżał bezpośrednio na terenie Diomedey. Okazało się, że Diomedańczycy zadziałali w samą porę - niezwykle silny sztorm zatopił większą część stojącej na kotwicy diomedańskiej floty inwazyjnej wkrótce po tym sukcesie. Kręgi w Lemtasie również nie stanowiły problemu. Zdając sobie sprawę, że mają szansę na kontrolowanie czterech kręgów i że acremańscy władcy są gotowi wypowiedzieć im wojnę, aby tylko móc je odbudować, władcy Lemtasu zdecydowali się obsadzić kręgi własnymi czarodziejami, zanim ktokolwiek mógłby ich w tym wyrećczyć.

Rekonstrukcja Smoczego Muru przypominała budowę kamiennego mostu arkadowego. Był nieco niestabilny aż do zakończenia prac, ale potem stanowił podporę sam dla siebie. Kluczowymi słowami są oczywiście „aż do” i „zakończenie”. Sergal lubił porównywać odbudowę Smoczego Muru do kierowania tratwą na bardzo bystrym i niebezpiecznym górskim strumieniu. Wszystko działo się szybko, niebezpiecznie, przerażająco i wymagało zaangażowania zdumiewająco dużo siły. Jednakże w przeciwieństwie do rzeki nie było opcji opuszczenia jej i obejścia łądem niebezpiecznego odcinka.

Czarodzieje ze wszystkich czterech zmian kręgu Logiar wyszli rzędkiem z obozu pomocniczego w procesji, która okrążyła kamienny krąg. Procesję prowadził Waldesar, podkreślając w ten sposób fakt, że wciąż jest mistrzem kręgu. Bardzo lubił procesje i widowiska, a jako młody człowiek miał ambicję dostać się do Gwardii Honorowej i eskortować samego cesarza w czasie parad. Dość wcześnie odkryto w nim naukowe i magiczne talenty i wysłano do miejscowej świątyni, gdzie mógł odebrać właściwą edukację. Później w Sargolskiej Akademii Arkanów odkrył w sobie dar do rzucania magicznych zaklęć. Gdy zmarł jego ojciec, a bracia zaczęli mordować się wzajemnie w walce o spadek, Waldesar nie brał w tym udziału, bo został czarodziejem na dworze lokalnego gubernatora i miał większy własny majątek, niż mógłby odziedziczyć.

Zdobył sobie prawo do organizowania parad, a inauguracja działania Smoczego Muru była okazją do parady. Zwykle przejście z namiotów do kamiennego kręgu i siadanie na kamiennych siedziskach mu nie wystarczało. Zdecydował, że procesja będzie okrążyła kompleks kamiennego kręgu siedemnaście razy, co wymagało przejścia ładnych parę kilometrów. Dla zdecydowanej większości czarodziejów to było

więcej, niż przeszli przez ostatnie dziesięć lat, a dla kilku - więcej niż kiedykolwiek przeszli. Teraz okrążali więc siedemnaście razy krąg i odkrywali twarde prawdy o chodzeniu, które Wallas poznał pierwszego dnia marszu drogą zachodnią z Palionu.

Na dźwięk granej na trąbach fanfary czarodzieje z czwartej zmiany opuścili procesję i idąc po spirali, podeszli do kręgu szesnastu małych kamieni i stojących przy nich drewnianych krzesel na zewnątrz głównego kręgu. Przy drugiej fanfarze trzecia zmiana czarodziejów, również zataczając coraz mniejsze koła, podążyła do kolejnego niewielkiego kręgu krzesel i kamieni. Druga zmiana bezbłędnie odczytała sygnał i weszła do środka, aby zająć miejsca w wewnętrznym kręgu małych kamieni; wtedy pierwsza zmiana skierowała się do głównych megalitów. Pokonali tę drogę, idąc pomiędzy czarodziejami siedzącymi w trzech zewnętrznych kręgach, potem wspięli się na rzeźbione siedziska na megalitach. W tym momencie orkiestra zaczęła grać uroczysty marsz, a Waldesar podjął wędrówkę do centralnego megalitu.

Najpierw obszedł z tyłu zewnętrzny krąg, lustrując od tyłu każdego czarodzieja z czterech zmian; potem wszedł pomiędzy kręgi i sprawdził każdego z szesnastu z czwartej zmiany, tym razem z przodu. Powtórzył procedurę w pozostałych dwóch kręgach, potem przeniósł się do wewnątrz głównego kręgu. Okrążył każdy megalit i w końcu doszedł do swojego centralnego kamienia.

Zwykły okrzyk „gotowi?!“ by wystarczył, pomyślała Landeer.

Waldesar wreszcie wspiął się na swoje miejsce na megalicie. Marszowa melodia grana przez orkiestrę wprowadziła podniosły nastrój, potem była bardziej dobitna fraza i zapadła cisza.

- Uczni panowie, wypowiedzcie swoje zaklęcia! - krzyknął Waldesar.

A co z uczonymi damami? - pomyślała Landeer, wypowiadając słowa zaklęcia, które uformowało płataninę biało-niebieskich płomyków w jej złożonych dłoniach.

- Kulminacja Lupana za dwie minuty, na trzeci sygnał gongu! - zapowiedział herold stojący na zewnątrz kręgu i rozległy się echem trzy uderzenia w gong o niskim tonie. Gapie spojrzeli na Mirala, który wisiał nisko na zachodnim niebie, ale jeszcze nie zaszedł. Cienki, lśniący dysk Lupana był bardzo blisko wielkiej, otoczonej pierścieniami planety.

Do zainicjowania Smoczego Muru potrzebne były naraz wszystkie cztery zmiany. To pozwalało stworzyć maszynę eteryczną znacznie większą niż ta sprzed pięciu tysięcy lat, ale prawda była taka, że jedna zmiana czarodziejów również mogła ją uruchomić.

- Zmiana czwarta, wyciągnąć ręce! - rozkazał Waldesar.

Landeer, która była w czwartym, najbardziej zewnętrznym z kręgów, powoli wyciągnęła przed siebie ręce i płatanina jej energii eterycznej rozdzieliła się na dwie części, po jednej w każdej dłoni.

- Zmiana czwarta, zaklęcia!

Landeer uniosła i rozłożyła ramiona. Kiedy osiągnęły kąt dwudziestu czterech stopni, płatanina energii eterycznej wytrysnęła strumieniami, które spotkały się ponad jej głową, potem okrążyły wysoki cylinder stojący przy czwartym kręgu kamieni, spotkały się po jego drugiej stronie i wzbily w nocne niebo. Efektem zaklęć wszystkich szesnastu czarodziejów był imponujący widok i oczy wszystkich w pobliskim Logiar były zwrócone na południowy zachód, gdzie pojawiła się kolumna splecionych spiralnie strumieni światła.

- Kulminacja Lupana za minutę, na trzeci sygnał gongu! - ostrzegł herold.

Waldesar nagle zdał sobie sprawę, że w swoim zamięłowaniu do chwały, pompy i ceremonii zostawił sobie bardzo mało swobody działania w realizacji planu uruchomienia Smoczego Muru.

- Zmiana trzecia, wyciągnąć ręce! - krzyknął ponad dźwiękiem gongu; potem policzył do dziesięciu i dodał: - Zmiana trzecia, zaklęcia!

Druga kolumna promieni dołączyła na niebie do poprzedniej, ale ta była mniej skoordynowana, ponieważ kilku starszych czarodziejów nie zdążyło się przygotować. Kolumna zachwiała się, zmieniła kilkakrotnie kolor z niebieskiego na czerwony, ale się utrzymała.

- Zmiana druga, wyciągnąć ręce! - krzyknął Waldesar z nutką rozpaczony w głosie. Wstał i wspinał się na szczyt megalitu.

- Kulminacja Lupana za pół minuty, na trzeci sygnał gongu! Waldesar szybkim spojrzeniem sprawdził, że wszyscy czarodzieje z drugiej zmiany są gotowi.

- Zmiana druga, zaklęcia! - i dodał prawie natychmiast: - Zmiana pierwsza, wyciągnąć ręce!

Trzeci słup światła wystrzelił w niebo dużo pewniej niż dwa poprzednie. Waldesar patrzył w górę tylko przez chwilę, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Potem znowu sprawdził czarodziejów. Dwaj z drugiej zmiany wciąż mieli wyciągnięte ręce.

- Kulminacja Lupana za ćwierć minuty, na trzeci sygnał gongu!

Cenne sekundy umykały, ale na każdą z nich przypadały trzy uderzenia pulsu

Waldesara. Cóż, jeśli druga zmiana zdołała uzyskać efekt, rzucając zaklęcia w sposób nieskoordynowany, to pierwsza z pewnością też będzie w stanie to zrobić, uznał.

- Zmiana pierwsza, zaklęcia! - Zajął z powrotem swoje miejsce na megalicie, wypowiadając zaklęcia w złożone dłonie i rozkładając ręce z komicznym pośpiechem.

- Kulminacja Lupana na trzeci sygnał gongu! - ogłosił herold, gdy Waldesar wznosił ręce i umieścił je w wyżłobieniach wykutych w megalicie. Wypowiedział zaklęcie dokładnie w chwili, gdy rozległ się trzeci dźwięk gongu.

Dwa pomarańczowe strumienie światła wytrysnęły w niebo z jego szeroko rozłożonych dłoni. Przy drugim uderzeniu w gong Waldesar zdał sobie sprawę, że to właśnie chwila jego chwały; potem rozłożył ręce na północ i południe. Dwa pomarańczowe strumienie zaczęły się odchyłać w przeciwnych kierunkach, zabierając ze sobą po dwa cylindry niebieskiego światła. Skręcały się... i nagle wyprostowały jako dwa wspaniałe słupy splecionego światła, które zbiegło się nad kamiennym kręgiem. Zaklęcia z kręgu Logiar spotkały się i połączyły z zaklęciami z kręgu Alpinie na północy i kręgu Septire, który leżał na południu, w Scalticarze.

Bardzo powoli Waldesar wyjął ręce z wyżłobień, wyciągnął je do góry. Podstawy pomarańczowych strumieni połączyły się na krawędziach, gdy zetknął dłonie nad głową; oderwały się od jego rąk i wzbily w powietrze, rozjaśniając niebo. Poczekał, aż równomierny strumień rozciągnie się od horyzontu do horyzontu, zanim usiadł. Prawie zleciał z megalitu, tak był wyczerpany swoją rolą w tym nadzwyczaj wielkim czarowaniu, nie wspominając już o udziale w wielokilometrowej procesji.

- Zmiana czwarta, połączyć zaklęcia! - wychrypiał i czarodzieje z zewnętrznego kręgu podnieśli nad głowy złączone ręce. Błękitne strumienie wystrzeliły z ich dłoni, połączyły się i uderzyły w niebo. Pomarańczowa opaska, która była Smoczym Murem, teraz znacznie się rozświeciła. Waldesar wstał znowu, znów tak samo rozjarzając Smoczy Mur.

- Zmiana pierwsza, łączyć!

Bliźniacze snopy splecionych niebieskich strumieni światła zaczęły się łączyć ponownie, tworząc pojedynczą kolumnę, która rozwiała się szybko na niewielkiej wysokości ponad patrzącymi. Smuga światła przecinająca niebo, która była samym Smoczym Murem, rozplynęła się i podzieliła na wszystkie kolory tęczy. Waldesar spojrział do góry, a potem odchrząknął.

Uczeni panowie, ogłaszam, że machina eteryczna, Smoczy Mur, zainaugurowała swoją działalność! - przećwiczył sobie w myślach. Taki miał dać

sygnał dla owacji ze strony zgromadzonej szlachty, strażników, służących i pozostałych... ale odkrył, że jest sparaliżowany. Kontrolne promienie skrzyły się i migotały w środku kamiennego kręgu. Czarodzieje, którzy siedzieli w pozostałych kręgach, także byli porażeni. Każdy ze znajdujących się w kompleksie kamiennego kręgu został unieruchomiony, czy to na jednym z krzeseł przy mniejszych kamieniach, czy na siedziskach głównych megalitów.

Strumienie pomarańczowego światła spływały kaskadami z tęczowej podniebnej opaski. Z trzaskiem opadały na ziemię, sycząc, topiły skały i grunt dookoła, potem zaczęły wirować wzdłuż osi pionowej między smugą na niebie i ziemią. Dwa konie, strażnik i jeden z baronów, przeszyci eterycznymi strzałami, padli martwi. Wszyscy, którzy byli w pobliżu, w panice uciekli z krzykiem.

Pewnie Waldesar właśnie miał to ogłosić, pomyślał Garko. Jednak obwieszczenie o deszczu eterycznych pocisków lecących z nieba mogło wywołać nieco protestów.

Syn zabitego barona opanował się na tyle, by zsiąść z konia i dobiec do ojca. Miał dwadzieścia sześć lat i znaczne doświadczenie wyniesione z rzezi na polach bitewnych, ale gdy zobaczył, co pozostało z jego rodzica, upadł na kolana i zwymiotował. Teraz poczuł się już lepiej. Podniósł wzrok, by sprawdzić, co to za potężna siła spadła z nieba. Tuż powyżej każdego zakotwiczonego w gruncie kamienia eteryczny promień wyginał się w kształt litery S, tworzył jakby wirnik rotora. Który właśnie zaczynał wirować.

- Wiatrak wielkości połowy świata - powiedział młodzieniec do kawalerzysty, który miał wystarczająco dużo odwagi, by do niego podejść.

Jakiś nietoperz próbował przelecieć przez blednącą pomarańczową kurtynę wirujących zakłęb. Futro, krew i kości spadły deszczem na obu mężczyzn.

- Widzę problem dla migrujących ptaków - powiedział kawalerzysta, otrzepując koleczugi.

- W takim razie muszę złożyć protest w imieniu migrujących ptaków i wszystkiego, co żyje w Acremie - powiedział najnowszy baron na kontynencie.

Później odkryto, że rotory nie były tylko przyłączone do powierzchni ziemi. Zakłęcia kotwiczące wryły się bardzo głęboko, na piętnaście centymetrów jeden od drugiego i były bardzo trwałe, nieustępliwe oraz bardzo, bardzo długie. W szybie jednej z alpenińskich kopalni odkryto, że zagłębiły się na ponad kilometr. W przesmyku Dismay biegingy od szczytów morskich fal aż do dna. Jeśli jakieś ciało stałe,

na przykład kawałek dryfującego drewna lub większa ryba, przyłgnęło do nich, natychmiast rozgrzewały się do białości i kroili materię na plasterki.

Ponieważ nikt nie wiedział, że taki może być efekt uboczny Smoczego Muru, zakłopotano to sporą liczbę ludzi. Młody baron dosiadł konia, zebrał swoją eskortę, złożoną z dziewiętnastu kawalerzystów i podjechał do herolda kręgu. Domagał się widzenia z Waldesarem. Oznajmił, że jeśli w ciągu dwóch minut nie otrzyma zadowolających wyjaśnień, on i jego ludzie wyrzną w pień wszystkich czarodziejów, którzy brali udział w uruchomieniu Smoczego Muru.

Ku ogólnemu zaskoczeniu pojawiła się zjawa Waldesara, podpłynęła w powietrzu przed oblicze barona i nieco wyżej.

- To nie jest sposób zwracania się do boga - powiedziało widmo. Potem eksplodowało z mocnym błyskiem i hukiem słyszalnym aż w Logiar.

W miejscu, gdzie wcześniej stał młody baron i jego eskorta, był teraz żarzący się krąg ziemi pokryty kawałkami częściowo stopionego metalu i zwęglonego mięsa. Zjawa spojrzała na dymiącą kupkę węgla, która kiedyś była jego lojalnym heroldem. Cóż, pewnie coś przeszkrobał, pomyślał Waldesar. Półbogowie nigdy się nie mylą.



Dla Andry'ego i Wallasa była to trzecia noc w drodze. Na czystym niebie Miral wisiał nisko nad horyzontem. Do tej pory Wallas osiągnął stan równowagi między konającymi stopami, bólem nóg i zmęczeniem, które jednak sprawiało, że spał zdrowym snem, jak nigdy dotąd. Uznali, że noclegi w gospodach są dla nich zdecydowanie zbyt drogie, więc pozwalali sobie tylko na kufelek piwa na koniec dnia i spali w polu. Gospoda Przy Sześćdziesiątym Kamieniu Milowym była spora, miała wielki zadaszony taras skierowany na zachód, więc pijący mogli cieszyć się widokiem zachodzącego słońca - a właściciel nie musiał zapalać lamp oliwnych aż do późnego wieczora.

- Wkrótce kulminacja Lupana - powiedział wędrowny druciarz, który dzielił stolik z Andrym i Wallasem.

- Zgadza się, tak jest napisane w przewodniku - odparł Andry.

- Pomyślcie życzenie w chwili kulminacji. Fortuna lubi spełniać życzenia wypowiedziane w tym momencie.

- Życzę sobie, żeby stopy przestały mnie boleć - powiedział Wallas.

- A ja sobie życzę, żebyś przestał jęczeć na temat swoich stóp - odparł Andry.

- Czy kiedyś cię bolały? - zapytał Wallas z urazą.

- Tak. Mam bąble na stopach i skurcze w łydkach.
- Nie sądzę, widziałem cię idącego. Dlaczego nie zwalniasz tempa?
- Jestem przyzwyczajony do niewygód, tak jak na pokładzie statku. Ty nie, więc ciągle o tym mówisz.
- Dwieście kilometrów do Glasbury - powiedział tęsknie Wallas.
- Sześćset sześćdziesiąt do Logiar - powiedział Andry.
- Cóż to dla ciebie - wymamrotał Wallas.
- Logiar, mówisz? - wtrącił się druciarz.
- Tak. Jaka jest tam droga? - zapytał Andry. - Dobrych ludzi zwyczajnie rabują na niej bandyci czy pożerają dzikie bestie?
- Ha! Gorzej, mają tam jeden z kamiennych kręgów. To nie jest normalne. Niedawno zaczęli go odbudowywać. Macha tam różdżkami więcej czarodziejów, niż w życiu widziałem, a tysiące wieśniaków kopie w ziemi. Poważna sprawa. Kiedy tamtędy przechodziłem, akurat podnosili kamienie. Ogromne, jak wielkie krzesła.
- Gadanie - powiedział Andry.
- Dobra, możesz się śmiać, ale sam widziałem. Będą tam czarowali wielkimi zaklęciami. To nie jest naturalne. Nie powinni tego robić.
- Prawda - przytaknął Wallas. - Tak jak chodzić trzydzieści kilometrów każdego dnia.
- Więc, chłopaki, w jakim celu wędrujecie?
- Poszukujemy.
- Poszukujecie? Czego? Magii? Kobiety? Honoru?
- Wszystkiego po trosze - rzekł Wallas. - Mój niestrudzony przyjaciel, który nie odczuwa bólu, uratował kobietę przez źle pojęty honor, a ona odpłaciła nam w ten sposób, że niemal pożarły nas magiczne bestie.
- Więc poszukujesz jej, aby się zemścić? - zapytał druciarz.
- Poszukujemy sposobu, aby trzymać się od niej jak najdalej - odpad Wallas.
- Druciarz się roześmiał. Andry i Wallas nie.
- Chciałbym zobaczyć Smoczy Mur - powiedział Andry, improwizując swoją historię. - To największe magiczne przedsięwzięcie w dziejach. Jak mógłbym powiedzieć moim wnukom, że nie zadałem sobie trudu, aby go zobaczyć?
- Ale jesteś za młody na wnuki, nie? - zarechotał druciarz, trącając Andry'ego łokciem w bok.
- On nawet nie próbował jeszcze robić dzieci! - powiedział Wallas z

porozumiewawczym uśmiechem.

Słup niebieskiego światła rozjarzył się na północnym zachodzie. Całe towarzystwo pijące w zajeździe stopniowo milkło i wpatrywało się w horyzont.

- Tam jest kamienny krąg Alpine - powiedział Wallas. - W odległości...

- Pięciuset kilometrów - dokończył Andry.

- Tak, cóż, musi być po prostu olbrzymi.

Odległy niebieski słup rozdzielił się na dwa, a obie części pochyliły się w dwóch różnych kierunkach. Jednak zaraz zaczęły się scalać, poczynając od podstawy. Od góry promień nabrał pomarańczowej barwy. Goście gospody Przy Sześćdziesiątym Kamieniu Milowym patrzyli, jak stabilizuje się w pomarańczową linię przecinającą zachodnie niebo, wspieraną przez niebieski promień; potem pomarańczowa smuga rozdzieliła się na wstęgę we wszystkich kolorach tęczy. Pomarańczowa kaskada spadała w dół z tęczowej wstęgi Smoczego Muru, aż zmieniła się w pomarańczową kurtynę zwieszającą się z olbrzymiej tęczy. Tylko w jednym miejscu wciąż było widać przebijającą się przez pomarańczową kurtynę niebieską linię, wskazującą krąg Alpine.

- A niech mnie! - sapnął Wallas.

- Dobrze powiedziane - odszepnął druciarz.



Tę noc Andry i Wallas spędzili pod drzewem, a śniadanie zjedli późno. Dla Wallasa oznaczało to pół bochenka chleba i pół litra wina. Andry zjadł kilka plasterków kielbasy i resztkę chleba, której nie zjadł Wallas, wszystko popił łykiem wody.

- Nie pijesz już tyle co dawniej - zauważył Wallas.

- Tak, nie jestem spragniony, odkąd opuściliśmy Palion.

- Wydaje mi się, że twoje pragnienie przeniosło się do mnie i weszło w układ z moim. I teraz codziennie się czeszesz!

- Tak.

- To do ciebie niepodobne.

- Ludzie, którzy próbują mnie odszukać i pokroić na plasterki, nie poznają mnie.

- Wkrótce pewnie zaczniesz szorować zęby.

- Już to robię.

Ruszyli w drogę. Wallas pozdrawiał każdego, kogo mijali i w marszu pokrępił się winem z bukłaka. Odkrył, że alkohol go pociesza w nieszczęściu, ale było to

kosztowne paliwo na wędrówkę. W trzy godziny przeszli trzy kilometry. Zwykle na tej drodze było niewielu podróżnych, tak że stada kóz mogły zająć całą jej szerokość, a Andry i Wallas zauważyli, że stado, które było jakieś sto metrów za nimi, powoli ich dogania. Wieczór zaczynał nadawać kolory niebu.

- Zmęczone stopy potrzebują lekarstwa - powiedział Wallas, przystając, by pociągnąć kolejny łyk.

- Kozy za nami - zauważył Andry.

- Czy mają piki i topory? Czy krzyczą: „Zabić Andry'ego i Wallasa?”.

- Raczej meczą.

- Więc pozwólmy im nas wyprzedzić.

- Jeśli będziemy szli za stadem, będziemy deptać kozie gówna.

- Znakomity pomysł, droga będzie bardziej miękka - podsumował Wallas.

Zeszli na skraj drogi, aby przepuścić stado. Wallas skorzystał z okazji, by pociągnąć kolejny łyk wina z bukłaka.

- Cześć, Wallas!

Pozdrowienie uderzyło w Wallasa jak strzała. Odwrócił się gwałtownie, wypływając fontannę wina, spodziewając się zobaczyć krąg łuczników lub toporników. Zamiast tego zobaczył machającego ręką pasterza.

- Hej, tak myślałem, że to ty, chociaż trochę przytyłeś.

Prawdziwy Wallas, ten zabity przez mordercę, śmierdział kozami, przeleciało przez głowę Wallasowi. Ci ludzie go znali! Uległ panice tylko na chwilę. Cała jego kariera na cesarskim dworze była zbudowana na blefowaniu.

- Ja to załatwię - szepnął do Andry'ego.

Pasterz posługiwał się pospolitym sargolskim, który Wallas znał lepiej niż większość dworzan, bo sam urodził się jako człowiek niskiego stanu.

- Hej, trochę ciszej, brachu - powiedział.

- Się wie. Wpadłeś w jakieś tarapaty, brachu?

- Niii, ale tamten młodziak mnie zatrudnia.

- Zatrudnia?

- Jesteśmy grajkami. Kapela na targi i festyny.

- Co? Ty?! Grajek?!

Więc prawdziwy Wallas nie potrafił grać, domyślił się nowy Wallas. Zdecydował się trzymać swojej wersji. Sięgnął przez ramię i poklepał plecak.

- Młodziak myśli, że umiem grać setki melodii na lirze, ale ja znam może z

dziesięć. Nabrałem go, nagadałem, że grywam od lat. On jest bardem ze Scalticaru, jedzie do Acremy szukać opowieści o bohaterach, o których mógłby śpiewać. Opiekuję się nim, a on nauczy mnie jednej czy dwóch melodyjek.

- Nie wiedziałem, że w ogóle potrafisz grać.

- Się nauczyłem. A teraz, jeśli mnie nie wydasz, możemy znowu rozmawiać głośno - podsumował Wallas, mrugając konspiracyjnie.

W ciągu następnych kilku minut Wallas dowiedział się, że rozmawia ze swoim kuzynem Raffinem, który mieszka w wiosce Harrgh. Od miejsca, w którym się znajdowali, Harrgh leżała o tydzień drogi, mierząc szybkością stada. To było wymarzone dla Wallasa tempo. Niestety oczekiwano, iż on i Andry będą grali taneczne melodie. Zakomunikował to wszystko Andry'emu, idąc wolniutko razem ze stadem.

- Dobrze, pograjmy trochę - powiedział Andry.

- Możemy, ale nie wiem, jak długo uda mi się udawać...

Słowa zamarzy Wallasowi na ustach, gdyż usłyszał za plecami narastający tętent końskich kopyt. Oddział kawalerii kłusował w ich stronę ze wschodu. Pasterze szybko zaczęli zganiać kozy z drogi, aby przepuścić jeźdźców, ale dowódca zatrzymał swoich ludzi i wywołał głównego pasterza. Raffin wystąpił z grupy. Został wypytany o podejrzanych nieznajomych, których mógł widzieć na drodze. Raffin zaprzeczył, jakoby widział jakichś obcych. W pewnym sensie to była prawda. Wallas nie był obcy dla Raffina, a Andry nie był nieznajomy dla Wallasa. Oddział ruszył.

- Może powinniśmy trzymać się stada - zasugerował Wallas, gdy kawalerzyści pojechali dalej.

- Tak, to doda nam lokalnego kolorytu - zgodził się Andry. - Chyba oczekują od nas, że pomożemy im pilnować inwentarza.

- A co wchodzi w zakres pilnowania?

- Pamiętasz toporek, który masz przy sobie? Machaj ostrą stroną w kierunku każdego, kto będzie próbował ukraść ci kozę.



Tej nocy Andry i Wallas opróżnili oba bukłaki wina wraz z czterema pasterzami, potem zagrali kilka skocznych melodii, a ich nowi znajomi tańczyli gigę i reela dookoła ogniska. Wallas nie mógł pozbyć się uczucia, że pasterze traktują go z dziwnym szacunkiem, ale sądził, że dzięki temu może nie odkryją, że nie jest tym, za kogo go uważają, więc był z tego zadowolony.

- Jak to się stało, że cię polubili? - zapytał Andry.
- Jestem dobry w kierowaniu ludzi na rozmowę o nich samych, a wtedy zapominają o mnie. To cecha dobrego dworzanina.
- Czyja?
- Eee... kuriera - powiedział szybko Wallas.
- Nie jestem pewien, co ma jedno z drugim wspólnego.
- Kurierzy są, eee, jak szpiegzy, to taki rodzaj szpiegów.
- Więc jesteś szpiegiem.
- Eee... byłem. Miałem zbyt wielu wrogów i musiałem się ukrywać jako żebrak. Kurier podróżuje daleko, dostarcza przesyłki, a potem tylko słucha, co ludzie mówią i wtrąca pytania, aby jeszcze więcej mówili. Dużo słucha, a mało mówi, a potem składa raport przełożonym.
- Więc dokąd teraz idziemy?
- Ich wioska leży przy głównej drodze na zachód stąd, jakiś tydzień drogi. Powiedziałem, że pójdziemy tam razem z nimi, a potem sami ruszymy do Glasbury.
- Brzmi sensownie. - Andry spojrzał na zachód, gdzie pomarańczowe światła wciąż lśniły pod tęczą, którą był Smoczy Mur. - Przypomina odległą burzę.
- To nie burza, tylko Smoczy Mur - odparł Wallas.
- Miałem na myśli, że wygląda jak burza. Kiedy nadciąga, wydaje ci się, że jest daleko, ale nie możesz przed nią uciec.
- Kogo to obchodzi? Dla nas, znaczy wieśniaków, to nie ma znaczenia. To tylko słup magicznego ognia na niebie. Część wielkiego planu największych czarodziejów.
- Czarodziejów? Teraz ludzie mają powód do zmartwienia.
- O tak. Prezbiterka Terikel była czarodziejką.
- No, i z jej powodu martwię się najbardziej.



Daleko na północ, w nadbrzeżnym mieście Diomeda, rektor Yvendel z Akademii Zaklęć Stosowanych Madame Yvendel stanęła na dachu. Budynki akademii były wyższe niż sąsiednie budowle i można z nich było obserwować horyzont. Yvendel, wysoka, elegancka, szczupła, nosiła tylko jaskrawokolorowe jedwabie. Mimo że była w dość zaawansowanym wieku - miała trochę ponad pięćdziesiątkę - podobała się mężczyznom. Obok niej stała Lavenci, naukowiec albinoska, prawie tak wysoka jak Yvendel. Obie miały rozpuszczone włosy, gdyż szykowały się do snu. Nocne niebo rozświecał piękny Smoczy Mur i niebieski promień z kręgu Centras.

- Machina eteryczna wydaje się stabilna - powiedziała Yvendel.

- Nie tylko stabilna, pani rektor. Wzory i kolory są coraz silniejsze - zauważyła Lavenci.

- Ostrzegę ludzi - zdecydowała Yvendel.

- Niektórzy z nas już słyszeli - przypomniała jej Lavenci.

- Rzeczywiście. Jak idzie pakowanie?

- Praktycznie skończone. Wszystkie książki są już w skrzyniach, zawinięte w nawoskowane, wodoodporne płótna, pracownicy i starsi studenci zostali wyznaczeni do konkretnych zadań, kto nie jest w stanie nieść paczki przez trzy kilometry, zostaje.

- Wszystko, czego nie damy rady zabrać, musi zostać sprzedane na rynku. Handlarz nieruchomościami właśnie złożył mi dobrą ofertę na budynki akademii. Wyjaśniłam mu, że król ofiarował nam nowe ziemie, ale nie powinien nic nikomu mówić, aż zostanie to publicznie ogłoszone, jeśli nie chce się narazić na królewską niełaskę.

- Ile osób wie?

- Tylko pięcioro z nas, z senatu akademii i ci, którzy idą z nami. Jutro wyślę młodszych do domów na ferie. Nikt nie będzie zadawał pytań o te niespodziewane wakacje.

Umilkły, ponownie kontemplując piękno Smoczego Muru.

- Czy możesz mi powiedzieć, matko, skąd się o tym dowiedziałaś? - zapytała po chwili Lavenci. - Od tego szpiega, Pelliena?

Yvendel potrzebowała kilku chwil, zanim zdecydowała się na odpowiedź, ale postanowiła, że niczego nie będzie trzymała w sekrecie.

- Nie dowiedziałam się od nikogo, jeśli mam być szczerą - powiedziała, nie odrywając wzroku od Smoczego Muru. - Pracowałam jako jeden z eterycznych inżynierów, którzy brali udział w budowie. Nie byli to prawdziwi czarodzieje, tylko budowniczy i planiści. Ich stopień wtajemniczenia pozwalał jedynie na tego typu zajęcia.

- Z pewnością na coś liczyli - mruknęła Lavenci, która miała nadzieję osiągnąć dwunasty stopień wtajemniczenia w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

- Jeżeli człowiek może podnosić ciężary i potrafi władać toporem, czy to czyni z niego dobrego władcę? Eteryzni inżynierowie nie mieli duszy, nie mieli współczucia. Mieli wzrok, ale bez wizji i chytryść bez inteligencji. Mieli także bardzo proste pojmowanie świata. Nie było trudno myśleć tak jak oni, chociaż po każdym takim

„seansie” czułam się, jakby mi przeprano mózg.

- Tyle problemów. Z pewnością byłoby mądrze zabezpieczyć jakąś formę konkretnego dowodu, zanim w imponujący sposób wprowadzimy jeszcze większy zamęt w akademii.

- Dowód będziemy miały, akademicki, ale do tego czasu będzie już za późno, aby zrobić to, co robimy teraz. Wypłyniemy jutro w nocy, na małym stateczku „Pangelon”. Najpierw na wyspę Helion, potem do wysp Maledrin, potem do handlowego protektoratu Zurlanu i w końcu do Alberinu. Tą okrężną drogą znajdziemy się na tyle daleko na Oceanie Placydiańskim, że fale, ogromne w przesmyku Dismay, staną się już tylko duże. Będziemy na morzu przez miesiąc, ale to oznacza, że przez miesiąc będziemy niewidzialne.

- Alberin. - Lavenci przecesała włosy palcami. - Tam mieszka twoja córka?

- Tak.

- Wensomer, która z całego serca cię nie znosi i ma szansę na zdobycie wyższego stopnia wtajemniczenia niż ty?

- Ta sama.

- Wensomer, która przyłapała mnie w raczej niezręcznej sytuacji z jednym ze swoich adoratorów w zeszłym roku i od tamtej pory nienawidzi mnie bardziej niż ciebie?

- Musisz ją zrozumieć.

- Wensomer Callientor, najstarsza rangą czarodziejka na kontynencie scalticarskim, która słynie z wielu ekstrawagancji, między innymi jest tancerką brzucha i hulaką, do swych pasji zalicza dobre jedzenie, drogie wina i interesujących mężczyzn, a jej hobby to czarowanie?

- Moja córeczka.

- Wensomer o dewizie: „Pochowajcie mnie w wodoodpornej trumnie z najdroższym winem z rocznika 3129”?

- Nie zaskoczysz mnie niczym.

- Nie ma żadnego miasta poza Alberinem, w którym mogłybyśmy się schronić?

- Akademiczko Lavenci, udajemy się do Alberinu, ponieważ mogą wkrótce nastać ciemne i straszne czasy. Armie zostaną rozbite, potężne miasta zrównane z ziemią, a fortece spalone na popiół. Jednakże Alberin to żart. Porządnych ludzi znajdziesz tam mniej niż członków akademii, a jest nas przecież tylko czternaścioro. I ten ich władca! Człowiek tak zdegenerowany, że nadawałby się na męża dla

Wensomer. Nie, gdy młodzi, durni bogowie Smoczego Muru zaczną zsyłać ognisty deszcz na miasta całego świata, nie będą sobie zawracali głowy Alberinem. Poza tym Wensomer, ty i ja możemy być jedynymi żywymi czarodziejkami niemającymi związku ze Smoczym Murem. Jeśli Smoczy Mur zacznie działać, tylko my będziemy mogły go zniszczyć.

Rozdział 4

Pogromca smoka

Stado kóz wreszcie dotarło do Harrgh. Wallas przez skurcze mięśni, bąble, upadki i okazjonalne bodnięcia kóz mógł jedynie powłóczyć nogami. Trzy razy minęły ich oddziały kawalerzystów, z pióropuszcami na hełmach i w złocistych pelerynach i za każdym razem byli wypytywani, czy spotkali kogoś nieznanego na drodze. Żołnierze szczególnie się interesowali kobietą, która mówi tylko po diomedańsku. Pasterze zawsze odpowiadali „niii” i udawali głupich.

Andry i Wallas grali jak zawodowa kapela, w najprostszym tego słowa znaczeniu. Dawali występ w każdej tawernie po drodze i pili w zamian darmowe piwo. Wallas kupował dużo bukłaków wina na drogę - podróż właściwie przebiegała w biesiadnej atmosferze. Wreszcie wieczorem ósmego dnia po opuszczeniu Palionu przybyli do Harrgh, ufortyfikowanej wioski, zabezpieczonej drewnianą palisadą. Głównym produktem tej okolicy były kozy oraz kilka gatunków warzyw sprzedawanych na miejscowym targu. Niebo rozjaśniała fioletowa luna przeszywana zielonymi błyskami, połyskująca pomarańczowo. Na zachodzie tęcza i pomarańczowa kurtyna, Smoczy Mur, także połyskiwały, ale bardziej łagodnie.

- Te światła nie są naturalne - powiedział Raffin, gdy wlekli się za stadem.
- Zdecydowanie - odparł Wallas. - A wszystko przez to, że nasi najlepsi czarodzieje rzucali zaklęcia, chcąc poprawić złą pogodę.
- Gnojki.
- Mówię prawdę. Dowiedziałem się tego w mieście.

W oddali zaczął bić dzwon, a potem mieszkańcy Harrgh wybiegli z pochodniami, aby powitać pasterzy i obejrzyć kozłeta, o które stado się powiększyło. Wallas był zaskoczony, że pulchna kobieta o rumianych policzkach wita się z nim nerwowo i zwraca do niego per „mężu”.

- Tak, Wallasie, ty szczęściarzu, z taką żoną jak Jelene nie zginiesz - rzekł Raffin.



Nie można powiedzieć, by pasterzom zgotowano huczne przyjęcie. W końcu nie było ich tylko dwa tygodnie. W drodze jednak mogło ich spotkać coś złego, a wraz z wieściami o zamordowaniu cesarza przyszedł strach o możliwość wybuchu wojny domowej. Gulasz z koziego mięsa, który dusił się pół dnia, uzupełniło świeże pieczone z koziny. Do tego podano pędzone w wiosce piwo oraz napój z bimbrowo zmieszanego z deszczówką i sokiem z jagód.

Andry i Wallas szybko zaczęli muzykować, bo to pozwalało im wyłączyć się z rozmowy i unikać pytań, na które Wallas na pewno nie znał odpowiedzi. Co prawda ludzie byli zbyt zajęci jedzeniem i piciem, aby zadawać pytania, lecz co się zdarzy jutro? Andry i Wallas postanowili, że wyruszą do Glasbury bardzo wcześnie następnego poranka.

Dlaczego chcę to zrobić? - zapytał sam siebie Andry, opróżniwszy większość z sześciu szklanek stojących za jego krzesłem. Tu jest dobre piwo, a ja lubię piwo.

Jelene, żona martwego Wallasa, podeszła, niosąc siódmą szklanicę. Andry miał przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś naprawdę złego i to przeczucie miało się potwierdzić.

- Słyszałam, że znasz diomedański - powiedziała, biorąc pustą szklankę i wręczając mu pełną. - To znaczy, że możemy porozmawiać.

O cholera, ona mówi po diomedańsku, pomyślał. Udawał kiepską znajomość popularnego sargolskiego, aby unikać problemów.

- O tak, my żeglarze wszyscy posługujemy się nim w Alberinie.

- Żeglarz ze Scalticaru? - zapytała, siadając obok niego.

- Tak, przypłynąłem na „Ptaku Burzy”. To była moja pierwsza podróż.

- Rodzice sprzedali mnie Wallasowi - powiedziała Jelene. - Wtedy był trudny rok. Dla nich się skończył, dla mnie ciągnie się od trzech lat.

Andry wypił duszkiem całą szklankę. Jelene trąciła go w bok, uśmiechając się. Nie robiłaby tego, gdyby czegoś ode mnie nie chciała, pomyślał.

- Więc cóż, hm, wyszłaś za Wallasa?
- Tak, pobraliśmy się. Dobrze go znasz?
- Eee, niezupełnie. A ty?

Oczywisty idiotyzm pytania kobiety, od trzech lat poślubionej mężczyźnie, czy go zna, nagle poraził Andry'ego jak cios w splot słoneczny, ale wydawało się, że Jelene potraktowała to jako subtelną grę słów.

- Myślałam, że znam. Wallas pijak, Wallas zbereźnik, Wallas tłukący żonę, Wallas zabójca złodziei kóz. I oto teraz potrafi się wysłowić, jest grzeczny, wytworny. Nawet zna diomedański. Jak nie on...

- Oj, oj, poczekaj chwilę - przerwał jej Andry. - Czy mógłbym usłyszeć więcej o jednym z tych dwóch Wallasów?

- O Wallasie zbereźniku?
- Nie, nie, coś było o kozach.

- Nie sądzę, żeby on kiedykolwiek... ach, masz na myśli złodziei kóz. Tak, zabił pięciu. Wallas to niebezpieczny gbur. Teraz się zmienił. Może to moja wyobraźnia, ale wydaje się wyższy, postawniejszy ma gęstsze i ciemniejsze włosy, zniknęły także zmarszczki i piegi. Gdzie go spotkałeś?

- W tawernie, mojego pierwszego wieczoru w tym kraju. Śpiewaliśmy do wtóru jego liry, potem piliśmy. Walczyliśmy z... eee, i tak nie uwierzysz. Potem spotkaliśmy... nie, w to także nie uwierzysz.

- Wallas nie potrafi śpiewać - powiedziała Jelene.

- Teraz potrafi. Nigdy nie proś go, by zaśpiewał balladę. To wymiata gości z gospody szybciej niż okrzyk „pali się!”.

- Nie rozumiesz. Wallas nigdy nie śpiewa.

Prawie mnie złapała, pomyślał Andry. Bądź gotowy odeprzeć atak pozostałych biesiadników.

- Cóż, ludzie się zmieniają, gdy wyjadą na dłuższy czas - odpowiedział niewinnie, jak gdyby problem z Wallasem nie był w ogóle jego problemem.

- Był poza domem trzy miesiące - upierała się Jelene.

- Och. Cóż, może...

Andry miał świadomość tego, że ta rozmowa mogła go zdradzić, ale Jelene ciągnęła:

- Nie miał szansy zmienić się aż tak przez trzy miesiące. Och, może i mógłby się nauczyć trochę dobrych manier i kilkunastu słów po diomedańsku, ale cała reszta to

byłby stary Wallas. Ten Wallas, który mówił do mnie tylko: „Piwa!”, „Obiad!” i „Do łóżka!”. Trzymał mnie w strachu przez trzy lata, zawsze sprawiał mi przyjemność mój lęk przed biciem. Miałam nadzieję, że nie wróci, ale teraz, kiedy wrócił... przyniosę ci kolejne piwo, chcesz?

Kiedy odeszła, Andry nagle uświadomił sobie, że za nim w cieniu ktoś stoi.

- Hej, Scalticarianinie - usłyszał poważny kobiecy głos mówiący po diomedańsku.

- Ja?

- Ty, przyjacielu Wallasa. Wallas jest w niebezpieczeństwie.

- Co? Skąd wiesz? Kim jesteś?

- Jestem wioskową zielarką. Jelene ma fiołkę soku z diabelskich oczu ode mnie. Powiedziała, że musi zabić szczura. Teraz widzę, kto jest tym szczurem.

Zioło diabelskie oczy rosło w Scalticarze i w Acremie. Miało jagody jaskrawoczerwone z czarną smużką. Pomiędzy zielonymi liśćmi krzewu wyglądały jak czerwone oczy z wąziutkimi źrenicami. Była to jedna z najbardziej trujących roślin znanych zielarzom.

- Co... co mam robić? - zająknął się Andry. - On jest moim przyjacielem.

Przyjacielem? Po jedenastu dniach? - pomyślał. Cóż, może to i prawda, zdecydował. Wiele razem przeszliśmy.

- Idź do jej domu i wykradnij truciznę.

- Dlaczego ty tego nie zrobisz?

- Ma wilczura.

- Wilczura! Może mnie ugryźć równie łatwo jak ciebie.

- Nie rozumiesz mnie. Uwiedz ją. Sama wilczura uwiąże. Kiedy zaśnie, ty wykradniesz truciznę.

- Ale Wallas...

- Upij go najpierw. Cicho! Ona wraca!

Jelene znowu usiadła obok Andry'ego i wypili razem toast za boga opiekuna kóz. W głębi sali Wallas grał na lirze skoczną melodię, kilku wieśniaków wtórowało mu na fujarkach. Kilku innych tańczyło, reszta była pijana.

- Chciałbym zatańczyć - oznajmił Andry, łapiąc się okazji do odłożenia decyzji, co powinien zrobić. - A ty?

- Bardzo chętnie - powiedziała Jelene.

Andry nie miał wielkiego doświadczenia w proszeniu kobiet do tańca, a jeszcze mniejsze, gdy jego zaproszenie było przyjmowane i ten fakt sprawiał, że przez większą część swojego krótkiego życia towarzyskiego raczej wolał grać. Spodziewał się, że Jelene odmówi, wtedy by poszedł do muzykantów i ostrzegł Wallasa. A tu proszę, Jelene się zgodziła!

Tańce w Harrgh były podobne do tych, których uczył się z siostrami w Alberinie i zatańczyli dwa razy, zanim muzykanci zrobili sobie przerwę. Kiedy Jelene pomagała przy roznoszeniu potraw, Andry podszedł do Wallasa.

- Co ja mam zrobić z tą kobietą? - szepnął Wallas, zanim Andry zdążył nawet otworzyć usta.

- O co ci chodzi?

- Nie jestem jej mężem! Dotąd się udawało, bo zamieniłem z nią ledwie parę słów, ale wkrótce trzeba będzie iść do domu. Co ja zrobię?

- Sądziłem, że to oczywiste.

- Nie to! Nic nie wiem o niej, och, co ja mam...

- Przestań, nie martw się. Powiedziała, że jej mąż to straszny pijak, więc się upij. Jeśli zwalisz się z nóg nieprzytomny, nikt nie zacznie z tobą rozmowy. Rano będziemy już w drodze do Glasbury i powiesz jej tylko, że wrócisz za miesiąc.

- Upić się, mówisz?

- To nigdy nie zawodzi!

To, czego on nie wie, nie może mu zaszkodzić, pomyślał Andry. A mnie mogą zaszkodzić ludzkie domysły.

Wallas osuszył pięć kufli piwa w kilka minut. Andry zdecydował, że musi pozostać w miarę trzeźwy, aby go pilnować. Nikt już nie tańczył, przy ogniu zostało tylko kilku pijących i śpiewających. Wallas osiągnął stan, w którym nie mógł utrzymać się na nogach i ku przerażeniu Andry'ego kilku mężczyzn zaoferowało się odnieść go do domu. Andry poszedł z nimi, przekonując, żeby zostawili Wallasa przy drzwiach.

- Jeśli będzie chciał się wysikać, musi to robić na dworze, bo nie trafi do nocnika - tłumaczył.

Kiedy wszyscy sobie poszli, oprowadzał Wallasa dookoła palisady. Wytłumaczywszy mu, że musi się położyć, zawrócili do drzwi chaty. Jelene wciąż z innymi kobietami sprzątała po zabawie. Popchnął otwarte drzwi. Kłody w palenisku migotały czerwienią, oświetlając wielkiego psa, który właśnie ruszył ku nim. Co dziwne, Andry'ego tylko obwąchał, zamachał ogonem i polizał mu dłoń.

- Ach tak, tańczyłem z twoją panią! - wykrzyknął Andry z widoczną ulgą.

Szybko przeszukał domek, w którym było wszystko poza drewnem na opał. Trucizna powinna się znajdować w małej fiolce, sok z diabelskich oczu zawsze miał wymalowane oczy demona na pojemniku. Andry wziął z okapu łojowy ogarek. Dymił okrutnie, ale dawał więcej światła niż palenisko. Gdzie mogła to schować? - zastanawiał się Andry. Gdzie taki człowiek jak Wallas nigdy by nie zajrzał? Apteczka z ziołami!

Fiolka z sokiem z diabelskich oczu była między pojemnikami zawierającymi suszone zioła na górnej półce apteczki. Andry wylał ją w kąt paleniska, wypłukał fiolkę i napełnił wodą, odłożył na miejsce i palcami zdusił płomień na ogarku świecy. Wyprostował się, odwrócił - i stanął twarzą w twarz z Jelene. Miała naręcze szczap na opał i ceramiczną lampę.

- Andry! - krzyknęła. - Co ty tutaj robisz? Sam się nad tym zastanawiam, pomyślał.

- Pomogłem przynieść Wallasa do domu.

- Zauważyłam. Jest w szopie na drewno, obejmuje pień do rąbania i rzyga do skrzyni na szczapy.

- Eee... myślałem, że tam będzie mu lepiej. Wiesz, kurde, niech tam zostanie na noc.

- Na noc?

- Eee... No.

- A co ty zamierzasz zrobić tutaj przez ten czas?

Trudne pytanie, a jeszcze dodatkowe „tutaj” utrudniało odpowiedź. Co mógłby robić w domku obcej kobiety, w środku nocy, gdy jej mąż leży w szopie na drewno? Poza wylaniem fiolki trucizny do paleniska był tylko jeden powód. Andry przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami. Dalej, przecież wiesz, jak to będzie, dostaniesz w gębę i wylecisz z domu, powiedział mu jakiś wewnętrzny głos. A inny mówił: Dalej, może się uda.

- Lepiej ci parę spraw wyjaśnię - zaczął, mając nadzieję, że to wystarczy.

Jelene milczała, ale odłożyła drewno i odstawiła lampę.

- Dlaczego Wallas leży pijany w szopie i w ogóle - ciągnął. Zauważył, że zaczęła się uspokajać. O to chodzi, jestem tu, aby udzielić wyjaśnień na temat Wallasa, myślał. Niestety, okazało się, że popełnił błąd, zostając i jeszcze gorszy błąd, kontynuując rozmowę.

- Chciałem...

- Mów dalej.

- Cóż, eee, ponieważ on był pijany, więc...

I co? Stała w drzwiach. Nie było sposobu, aby ją ominąć. W jednej chwili mogłaby rzucić go na łóżko i wtedy...

- Pani Jelene, to nie jest Wallas! - krzyknął rozpaczliwie.

Otworzyła usta, ale tylko na chwilę. Powoli skinęła głową, zakładając ręce na piersi.

- Tak podejrzewałam - powiedziała.

- Prawdziwy Wallas... nie żyje. Tylko drgnęła.

- Ten człowiek jest szlachcicem, bardzo bogatym szlachcicem - improwizował Andry. W końcu Wallas nałgał tak wiele o swojej przeszłości, że nie zaszkodzi dodać jeszcze kilka kłamstw. - Miał podłą żonę, która pragnęła tylko jego pieniędzy. Ona, eee... musiała spotkać twojego Wallasa na ulicy i zdała sobie sprawę, że jest kropka w kropkę jak jej mąż. Może zabrała go do swojego domu i tam uwiodła, prawdy pewnie nigdy nie poznamy. Wszyscy widzieli, jak... ten Wallas z szopy wraca do domu i otwiera drzwi do sypialni, trzymając w ręku lampę. Jego żona narzuciła koc, aby ukryć kogoś wyglądającego jak on, leżącego w łóżku - i martwego - z nożem w piersi. Jego własni służący pochwycili go, a ona zaczęła wrzeszczeć, że zabił jej męża i udawała, że go nie zna.

- To zbyt dziwne, aby było prawdziwe - szepnęła Jelene.

- Cóż, Wallas uświadomił sobie, że sprawy przyjęły dla niego zły obrót, a sędzia pokoju był, eee, ojcem jego żony, więc procesu z pewnością by nie wygrał. Wywalczył sobie drogę na wolność i uciekł. Następnego dnia pojawiły się obwieszczenia o Wallasie i wtedy zdał sobie sprawę, kim był ten człowiek.

- A kim ty jesteś?

- Jego bliskim przyjacielem. Nie mogę oczyścić jego imienia, ale mogę pomóc mu uciec.

- Też jesteś szlachcicem?

- Nie mogę tego powiedzieć, pani Jelene. On postanowił upić się raczej niż dzielić z tobą łożo i narazić cię na niesławę.

- Ale mógł po prostu udawać... - Jelene głos się załamał, kiedy dotarło do niej znaczenie tego, co powiedział Andry. - Obawiał się o mój honor?

- Eee... to znaczy tak! Tak właśnie było.

- Nikt nigdy, przez całe moje życie, nie pomyślał o moim honorze! Szlachcic w mojej szopie na drewno! Szybko, pomóż mi wnieść go do środka... jeśli pan łaskaw!

Wniosła Wallasa do domu, zanim Andry w ogóle miał szansę jej pomóc. Położyła go na łóżku, potem zwerbowała Andry'ego, aby pomógł jej zdjąć z niego śmierdzące ubranie. Wallas się ocknął.

- Wszystko w porządku, panie - wyjaśnił Andry. - Pani Jelene wie, że nie jesteś jej mężem, i bardzo troszczy się o ciebie.

- Świat wiruje - mamrotał Wallas.

- Och, panie, jesteś taki pijany i to przeze mnie! - zawodziła Jelene, a jej znaczących rozmiarów biust kołysał się nad Wallasem i czasem dotykał jego czoła. - Musisz zostać w moim łóżku do rana. Och, a pan, panie Andry! Zapraszam, także zostań pod moim dachem!

- Ja?! - Andry'ego zatkało. - Lepiej nie. Powinienem trzymać wartę na dworze. Nigdy nie wiadomo, kiedy po niego przyjdą.

Pospiesznie wyszedł, odszukał swój plecak i urządził się jak najwygodniej w szopie na drewno. Po półgodzinie wsłuchiwania się w chichoty, sapnięcia i skrzypienie dobiegające z domku przeniósł się w pobliże dogasających resztek uroczystego ogniska i w końcu udało mu się zasnąć - na godzinę, która minęła bardzo szybko. Zaczęło padać. Tym razem skrył się pod wozem, gdzie zamierzał spędzić resztę nocy, mniej lub bardziej suchy. Co potrafimy zrobić dla naszych przyjaciół, pomyślał, próbując zasnąć. A ten napalony pajac nie jest nawet moim przyjacielem.

- Ty głupcze! - powiedział głośno Andry, będąc już na krawędzi snu i nawet zdążył zdziwić się, dlaczego to powiedział.



O świcie obudzili go wieśniacy, którzy ustawiali stragany i stoły na rynku. Niebo było czyste, ziemia nieco rozmiękła po nocnym deszczu. Zdecydował się zostać, tam gdzie był, a po marnie przespanej nocy teraz zapadł w całkiem głęboki sen, mimo panującego wokół zamieszania. Późnym rankiem obudził go jakiś człowiek i przeprosił, że musi zabrać swój wóz.

Rynek był pełen pasterzy i innych wieśniaków z pobliskich farm i wiosek oraz kilku kawalerzystów w czystych, kosztownie wyglądających mundurach i koleczugach. Do tej pory Andry nie przejmował się uzbrojonymi ludźmi na służbie. Nikt go nie ścigał, nie próbował zabić od ponad tygodnia - prawdopodobnie ludzie z Palionu, którzy chcieli go zabić, sądzili, że już nie żyje.

Czuł nagłą potrzebę umycia włosów, ogolenia się i ogólnie kąpieli, jak gdyby robił to od zawsze i rutyna poranka była bez tego niekompletna. Dziwne, ponieważ przez wiele lat robił to mniej razy, niż miał palców u jednej ręki. Mył akurat twarz w korycie do pojenia koni, gdy Wallas wyłonił się z domku Jelene i zaczął kupować jajka, wędzonkę i zioła. Andry przerzucił plecak przez ramię i podszedł do niego.

- Będziesz robił śniadanie? - zapytał Wallasa, który kupował garnuszek oliwy.

- Nie, zrobiłem śniadanie godzinę temu, Jelene i ja zjedliśmy w łóżku. To będzie na obiad. Jesteś zaproszony.

- Nie, jeśli obiad będzie w łóżku.

- Och, nie, na stole, podany jak w pałacu! - Wallas się roześmiał. - Jelene myśli, że jesteś szlachcicem jak ja, więc nieco obawia się twojej wizyty.

- Ale żaden z nas nie jest szlachcicem.

- Ona sądzi, że jesteśmy dworzanami, którzy udają wieśniaków. Udawaj, tak jak zwykle, ale staraj się wyglądać na nieco zdenerwowanego. Aha, ogol się i spróbuj wyglądać schludnie, jak szlachcic przebrany za kogoś z niższej klasy.

- Wallasie, ja jestem kimś z niższej klasy, przebrany za kogoś z niższej klasy.

- Powinieneś nauczyć się trochę dobrych manier. Wtedy możesz być kimś z niższej klasy przebrany za szlachcica. Nikt nie będzie cię podejrzewał.

Andry wrócił do koryta i zaczął się golić. Potem przez kilka minut kłął, manewrując grzebieniem. Właśnie związywał sobie włosy, kiedy usłyszał okrzyk gniewu, a potem pisk. Podniósł wzrok i zobaczył, że Wallas rzuca się na jednego z żołnierzy i wykręca mu rękę do tyłu. Pospieszył mu z pomocą i nagle uświadomił sobie, że ten żołnierz to Terikel.

- Zawiadomcie sędziego pokoju! Schwytalem czarodziejke, za ktora wyznaczono nagrode! - wrzeszczał Wallas.

Upadli w błoto, Wallas przydusił do ziemi prezbiterkę metrologanek. Inny z żołnierzy podbiegł, wyciągając swój kawaleryjski topór.

- Laron, na pomoc! - krzyknęła Terikel.

Laron zamierzał rąbnąć Wallasa między łopatki, ale przeszkodził mu kij Andry'ego. Laron odskoczył, gdy Andry rzucił się na niego, potem wymierzył cios, który chłopak sparował kijem. Andry kopnął Larona, który złapał jego stopę i przekreślił. Chłopak zawirował, runął na ziemię, przetoczył się i uderzył przeciwnika pałką w kolana. To był niezbyt mocny cios, ale Laron upadł i kiedy Andry próbował kopnąć go w głowę, odsunął się, wrywając mu kij z ręki. Zamachnął się toporem, ale

chłopak objął go od tyłu, tworząc z rąk pętlę, chwycił rękojeść topora tuż nad dłońmi Larona i używając jej jak dźwigni, rąbnął go w szczękę. Laron runął na ziemię, Andry obok niego. Dwóch żołnierzy trzymało Wallasa, a trzeci pomagał Terikel stanąć na nogi. Co najmniej dwudziestu kawalerzystów otoczyło Andry'ego, kierując na niego ostrza pik.

- Rzuć toporek, kolego i nie będę tego powtarzał! - powiedział ktoś głosem człowieka wykształconego, ale w popularnym sargolskim.

Andry rzucił.

- Pani, czy nic ci się nie stało?

Te słowa oficer kawalerzystów wymówił w diomedzańskim. Podszedł do Terikel, skłonił się i przyklęknął.

- Nie jestem ranna, po prostu chcę odejść - powiedziała szybko.

Oficer nosił hełm kapitana i ciemnoniebieski mundur pod koleczką. Jego peleryna także była ciemnoniebieska, lamowana purpurową taśmą. Miał herb króla na klamrze pasa, ale inne godło na hełmie. Mieszkańcy wioski spieszyli teraz, aby zobaczyć, co jest powodem zamieszania.

- Jestem kapitan Gilvray z Królewskiej Straży Dróg - oznajmił im kapitan, wracając do popularnego sargolskiego. - Mam większe uprawnienia niż lokalny sędzia pokoju.

Nikt nie zamierzał z tym dyskutować. Andry'ego trzymało dwóch żołnierzy, a sierżant walił go pięścią w żołądek. Rąbnął go dwa razy, poprawił ciosem w twarz. Andry podniósł nogi i wciąż trzymany przez dwóch żołnierzy, kopnął z obu nóg. Sierżant runął na ziemię ogłuszony. Kilkunastu żołnierzy rzuciło się na chłopaka, ale tym razem powstrzymała ich Terikel. Andry zaprawił bykiem jednego z tych, którzy go trzymali, wyrwał mu topór i styliskiem rąbnął drugiego żołnierza w żołądek. Pozostali szybko otoczyli go znowu, trzymając broń w gotowości.

- Przestańcie! Puśćcie obu, ja ich znam! - wołała Terikel, ścierając błoto z twarzy.

- Przecież cię zaatakowali, pani - zdziwił się kapitan Gilvray.

- To było nieporozumienie.

- Nieporozumienie! - wrzasnął Andry. - Ona próbowała nas zabić! Zatopiła nasz statek.

- Andry, proszę! - błagała Terikel. - Możemy o tym porozmawiać na osobności.

- Dlaczego? Boisz się prawdy?

Terikel ruszyła ku niemu. Pamiętając, co zrobiła członkowi Straży Tronowej, Andry szykował się do uchylenia się przed płomieniem, ale zaskoczyła go - jak również żołnierzy - bo upadła na kolana i zwiesiła głowę.

- Andry Tennonerze, przepraszam ciebie i Wallasa za wszystkie cierpienia - powiedziała w czystym diomedzańskim - ale nie zatopiłam „Ptaka Burzy”. Dla mnie było to tak samo przerażające, jak dla wszystkich innych, gdy ten potwór to uczynił.

- Nic nie wiedziałaś? - zapytał Wallas.

- Nie miałam pojęcia. Proszę, zejdźmy z rynku i wysłuchajcie mnie.

Andry pokręcił głową.

- Chciałaś nas po cichu usunąć z drogi, równie dobrze możesz nas teraz po cichu zabić.

- Znowu - dodał Wallas.

- Więc mi nie ufacie? - zapytała Terikel.

Laron oprzytomniał już i podniósł się z ziemi.

- Ręczę za prezbiterkę moim życiem - powiedział, stojąc chwiejnie na nogach, ale patrząc Andry'emu prosto w oczy.

- Och, tak, ale tu chodzi o moje życie - odparł Andry.

W tym momencie Terikel podjęła naprawdę trudną decyzję.

- Kapitanie Gilvray, nie będę dłużej nadużywała pańskiej ochrony - oświadczyła.

Ewidentne zaskoczenie odbiło się na twarzy oficera.

- Czy to oznacza, że zostaje pani w wiosce?

- Nie. Pojadę dalej do Glasbury sama. Jeśli ci dwaj panowie, Andry i Wallas, zdecydują się podróżować ze mną, moje szanse na przetrwanie będą nawet większe.

- Ależ nie może pani! - krzyknął Gilvray. - To szaleństwo!

- Zdecydowałam, kapitanie i moje bezpieczeństwo nie jest już dłużej pańskim zmartwieniem. Dziękuję za dotychczasową opiekę i proszę przekazać pozdrowienia kochance.

Z Terikel się nie dyskutowało. Wkrótce potem kawalerzyści dołączyli do reszty oddziału stacjonującego poza palisadą Harrgh. Wyruszyli, eskortując kilka wozów i powozów, ale Laron wrócił.



- Wydajesz rozkazy eskortie odpowiedniej dla cesarza - powiedział Wallas, gdy już on sam, Terikel, Andry i Laron siedzieli w chacie Jelene. - To byli strażnicy dróg.

- To była eskorta jego córki - wyjaśniła Terikel.

- Księżniczki Senterri?! - krzyknął Wallas.

- Tak. Senterri podróżuje do portu Logiar w towarzystwie swojego męża, wicehrabiego Cosserena. Została następczynią tronu dzięki rozkazowi i królową dzięki prawu. Pozwolono mi przyłączyć się do jej orszaku. Załatwiła mi to wysoko postawiona przyjaciółka, po tym jak rozeszła się fama, że zginęłam na pokładzie „Ptaka Burzy”.

- Dlaczego wysłałaś nas na „Ptaku Burzy”? - zapytał Andry, znowu czując przypływ gniewu, jak zwykle gdy przypominał sobie tragiczny los statku.

- Chcieliście opuścić Palion, a ja chciałam, by sądzono, że wyjechałam z Palionu do Diomedę. Nie miałam pojęcia, że moi... wrogowie poważą się na zniszczenie całego statku wraz z załogą i pasażerami.

- Ale o co chodzi z tymi znajomościami w pałacu? - chciał wiedzieć Wallas. Jego sargolski akcent osoby wykształconej stał się nagle wyraźny. - Najpierw członkowie Straży Tronowej i Straży Miejskiej chcieli cię zabić, a potem strażnicy dróg przybyli jako twoja eskorta.

- W pałacu panuje chaos - wyjaśnił Laron. - Po śmierci cesarza jego synowie zaczęli walczyć o władzę. Wciąż jesteś zaskoczony?

- Kto jest tym wysoko postawionym przyjacielem, który ma taki wpływ na księżniczkę? - zapytał Andry.

- Ja - odparł Laron.

- Co? Przecież jesteś dzieciakiem.

- Mam piętnaście lat! - oburzył się Laron.

- No tak, to zmienia postać rzeczy - roześmiał się Andry.

- Jestem zaufanym księżniczki. Jestem także jej strażnikiem w razie potrzeby. Technicznie rzecz biorąc, jestem niezależnym kawalerzystą w randze kapitana Cesarskiej Ochotniczej Straży Dróg Publicznych. I odpowiadam bezpośrednio przed księżniczką.

- Mimo to jesteś tutaj, pozwolono ci odejść, aby pilnować prezbiterki metrologanek?

- To, mój najpodejrzliwszy z wieśniaków, jest miarą tego, jak ważna jest prezbiterka.

Terikel splotła dłonie i spuściła wzrok.

- Laron i ja jesteśmy tutaj także z powodu moich wyrzutów sumienia. Nie mogę

sobie darować tego, co spotkało was obu. Bardzo was szanuję, więc jest to dla mnie sprawa honoru.

- Szacunek, honor, to wszystko dla zniewieściałych bogatych szlachciców! - krzyknął Andry, który czuł, że ta wymiana zdań ma w sobie dużo słów, ale mało treści.
- Co możesz nam zaoferować poza słowami?

- Korzyść, bez wątpienia! - wykrzyknął zirytowany Laron. - Podejdz do tego z innej strony, koleś. Sądono, że prezbiterka była na pokładzie „Ptaka Burzy” razem z wami dwoma. Wy wyskoczyliście. Dlaczego? Ponieważ wiedzieliście, że statek ma zostać zatopiony przez morskie smoki?

- Wcale nie! I obaj wiedzieliśmy, że prezbiterki nie ma na pokładzie! - wrzasnął na niego Andry. - Zawołowana kobieta, która weszła na pokład razem z nami, przebrana w suknię prezbiterki, zginęła.

- Więc was nie było na pokładzie? - drażył Laron.

Andry spojrzał niespokojnie na Wallasa, który zaczął się wiercić.

- Chyba... chyba uderzono mnie w głowę i wyrzucono za burtę, gdy wypływaliśmy. Mam ranę z tyłu głowy i pozostałości guza.

- Doprawdy? A dlaczegóż ci się to przytrafiło? Wallas odchrząknął.

- Z powodu... przynęty.

- Mógłbyś to wyjaśnić?

- Bo pilnowaliśmy kobiety, która była przynętą - powiedział Andry.

- Wciąż nie nadążam.

- Ta... dziewczyna, którą przełożona wybrała, aby ją... reprezentowała na „Ptaku Burzy”, wpadła mi w oko - oznajmił Wallas. - Szyper był zazdrosny. No i wylądowaliśmy za burtą.

- Przeleciałeś ją, jak tylko weszliście do kabiny, a mimo to już nie pamiętasz jej imienia! - krzyknął Andry.

- Roselle, to była Roselle.

- Nie, Roselle pieprzyłeś kilka godzin później w stajni Niespokojnego Wędrowca, ty sprośny, oślizgły robaku! Wtedy ta biedna przynęta była już martwa, w brzuchu jakiegoś morskiego smoka.

- Więc powiedz, jak miała na imię!

- Melier.

- Melier, no właśnie, cały czas wiedziałem! - wrzasnął Wallas. - Tak, cóż, spodobałem się Melier i pomyśleliśmy, że może poznamy się lepiej, jak tylko

weszliśmy do jej kabiny. Po półgodzinie lub coś koło tego, gdy już wypłynęliśmy, jakiś oficer zaczął stukać do drzwi, mówiąc, że jestem pilnie potrzebny na pokładzie. Coś związanego z Sargolskim Urzędem Ceł, Akcyzy i Spraw Migracyjnych. Oczywiście narzuciłem na siebie tunikę, portki, buty i pobiegłem tam natychmiast, ale zostałem obezwładniony i wyrzucony za burtę. Wrzeszczałem, próbując utrzymać się na wodzie, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- Więc ocalałeś przez zazdrość szypra - podsumował Laron.

- I dzięki mnie - powiedział Andry. - Ten pajac nie potrafi pływać, musiałem wyciągnąć go na brzeg.

- Potem morskie smoki zaatakowały statek - szybko dodał Wallas.

- Dlaczego kapitan statku tak od razu poczuł zazdrość? - zdziwił się Laron.

Zapadła cisza. Terikel skuliła się i zamknęła oczy.

- Ponieważ byłem kochanką kapitana w czasie rejsu do Palionu - wyznała. - W czasie gdy nie wymiotowałam. Inaczej nie zaryzykowałby popłynięcia w burze toreańskie. Miałam poparcie następcy tronu Alberinu, ale zabrałam prawie całe zasoby ze szkatuły zakonu metrologanek, aby zapłacić za podróż. Kiedy byliśmy na morzu, szyper przyznał mi się, że zamierzał wziąć ode mnie pieniądze, pożegłować do Zurlanu i tam mnie wysadzić... Nie jestem dumna ze sposobu, w jaki go namówiłam, aby przyплыł tutaj. Na tym poprzestańmy.

Nikt nie był pewien, co ma w tej chwili powiedzieć. Twarz Laron nie zdradzała żadnych emocji, Andry był widocznie wstrząśnięty, a Wallas posłał Terikel przebiegłe, taksujące spojrzenie. Wreszcie Laron wstał i wyciągnął rękę. Wyglądał jak sędzia, który ma wydać wyrok.

- Prezbiterko Terikel, Andry, Wallasie, kto z was opowiedział najniezwykłą historię? - zapytał.

Andry wymamrotał, że jego chyba miała sens. Terikel przyznała, że jej czyny z punktu widzenia Andry'ego i Wallasa mogły ją stawiać w złym świetle. Wallas był gotów się założyć, że opowiedział swoją historię szczerze i w całości, ale i tak nikt mu nie uwierzył.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Laron, patrząc Andry'emu prosto w twarz.

- A to chyba głównie cię obchodzi - odpowiedział Andry wyzywająco.

- Pokonałeś mnie w uczciwej walce, kiedy próbowałem cię zabić. Oszczędziłeś mnie, więc teraz masz we władzy moje życie. Powiedz, czego pragniesz, a ja zadbam,

żeby to się spełniło.

- Chcę, żebyś troszczył się o panią, rozumiesz? Ona oddała się pod moją opiekę, ale ja się na to nie zgadzam. A teraz odpieprzcie się, zabieraj ją i dokończ strażników dróg.

- Co ty zrobisz?

- Ja? A jakie to ma znaczenie?

- Powiedz mi.

- Chcę pójść do Logiar. Teraz już wiesz.

- Prezbiterko Terikel, a czego ty sobie życzysz?

- Tego samego co wcześniej. Dotrzeć do gór Capefang i miejsca zwanego Zwierciadło Nieba, w pobliżu portu Logiar.

- A ty, Wallasie?

- Cóż, ja wybieram się do Glasbury - zaczął Wallas, rzucając szybkie spojrzenie na Terikel - ale port Logiar też mnie kusi.

- Ponieważ leży daleko od Palionu - dodał Andry.

- Tak. A jeśli nie będę musiał iść na piechotę, mogę udać się wszędzie.

- No i na końcu zostałem ja - powiedział Laron, kładąc dłoń na piersi. - Wydaje się, że żyję dla innych ludzi, więc nie dbam o to, co będę robił. Chcę się upewnić, że wszyscy dotrzecie do Logiar.

- Ruszaj z nimi - powiedział Andry ponuro. - Ja pójdę tam, gdzie będę chciał.

- Mam konia, ale my wszyscy to trochę zbyt dużo jak na jego grzbiet, więc potrzebujemy wozu. Poczynię kroki, aby jakiś zdobyć. Prezbiterko Terikel, bądź tak dobra i kup prowiant na targu.

- A ja? - zapytał Wallas.

- Rób, co chcesz, ale bądź gotów do wyjazdu jutro rano. Andry, masz czas do jutra na zmianę zdania. Będzie dla ciebie miejsce na wozie.

- Do tej pory będę już daleko - odparł Andry.

- Jak chcesz. Och, Wallasie, mam ci coś do powiedzenia.

- Tak, kapitanie? - Wallas uśmiechnął się szeroko i nisko uklonił.

Laron z całej siły kopnął go kolanem w krocze. Wallasa zgięło w pół.

- Pęta! Nie umiesz się zachować po rycersku - powiedział z pogardą, potem odwrócił się do Andry'ego. - I co?

- Chyba jednak się z wami zabiorę. - Andry uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali.



Gdy Laron i Terikel wyszli, wróciła Jelene. Siadła na krawędzi łóżka.

- Ja, eee, potrzebuję się napić. - Andry wstał. - Tylko kieliszek.

- W spiżarni mam wino, panie. - Jelene zerwała się i przyniosła dzbanek, nim zdążył uczynić krok.

- Nie „panie”, jestem parszywym żeglarzem - rzekł Andry. - Nie wiem, kim jest Wallas.

- Na pewno nie jest moim mężem. Jest lepszy od niego. Czy mój mąż nie żyje?

- Ja go nie zabiłem! - krzyknął Wallas.

- Ale zabił człowieka, który to zrobił - dodał Andry.

- W nocy słyszałam inną opowieść. Gdzie jest mój mąż?

- Nie żyje - odparł Wallas.

- Więc teraz jestem wdową?

- Tak - powiedzieli chórem Wallas i Andry. Jelene chwilę nad tym rozmyślała.

- Najlepiej byłoby udawać, że to jest Wallas - stwierdziła.

- Może tak, ale tutaj chodziło także o twój honor - powiedział Andry dyplomatycznie.

- A kto martwi się o mój honor? - Jelene pociągnęła nosem.

- Ja - powiedział Wallas, kładąc się w poprzek łóżka i obejmując ją ramieniem.

- Ale spałam z tobą - powiedziała Jelene.

- Tak, ale wiedziałas, że nie jestem Wallasem, twoim mężem. Nie okłamałem cię.

Objęli się. Andry wstał, sięgnął po dzbanek.

- Muszę trochę pobyć na świeżym powietrzu, aby uspokoić nerwy. Wrócę wieczorem.



Gospodarza farmy położonej trzy kilometry za wioską obudziło szczekanie i wycie jego pięciu wilczurów. Wyskoczył z chaty, uzbrojony w kuszę, za nim biegł syn z siekierą i zapaloną pochodnią. Jeden pies leżał martwy, trzy skamlały przerażone na dachu obórki. Piąty leżał na ziemi, wciąż próbując się wyrwać, a jakiś człowiek wgryzał mu się w gardło. Gospodarz strzelił z kuszy. Intruz upadł, zawarczał, wyrwał bełt, który trafił go w bok.

- Gdybym był tobą, nie ładowałbym znowu tej pukawki - powiedział ktoś za plecami rolników.

Chłopak odwrócił się, rzucił pochodnię ojcu i zamachnął się toporem. Wydarzenia potoczyły się szybciej, niż potrzeba czasu na nabranie oddechu. Para skrzyżowanych ramion zablokowała topór i obróciła, zanim chłopiec zdążył zareagować. Trzonek jego własnej broni trafił go w szczękę. Chłopak upadł ogłuszony. Jego rówieśnik odrzucił topór daleko w ciemność i złożył lekki ukłon gospodarzowi.

- Proszę wybaczyć najście o tak późnej godzinie, ale chcieliśmy kupić od pana wóz - oznajmił w diomedzańskim.

- Mój wóz nie jest na sprzedaż - zaprotestował gospodarz drżącym głosem.

- Och, obawiam się, że jest, jak również dwa pana wilczury, ale dobrze zapłacę. Pańska dyskrecja również jest na sprzedaż.

- Eee, co to jest dyskrecja?

- Dyskrecja znaczy, że zapomni pan o nas, zwłaszcza gdy ktoś będzie pytał. W przeciwnym razie może się pan spodziewać kolejnej wizyty mojej przyjaciółki. Ona woli ludzką krew i zawsze jest głodna.



Kiedy Laron wrócił z wozem, Jelene siedziała na łóżku i słuchała, jak Andry i Wallas grają „Fale Bantrioku”. Wallas, ubrany w nocną koszulę gospodyni, przerywał, by zamieszać w kociołku z gulaszem, przekręcić pieczeń na rożnie i pogrzebać kijem w żarze, w którym piekły się ziemniaki. To jest o wiele przyjemniejsze niż granie na cesarskim dworze, myślał. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, podbiegł do nich tanecznym krokiem i otworzył. W progu stała Terikel.

- Akurat na kolację! - Wallas złożył teatralny ukłon i odsunął się na bok, aby ją przepuścić.

- Drodzy państwo, Laron chciałby wam przedstawić naszą przyjaciółkę - oznajmiła Terikel. - Będzie z nami podróżowała.

- Wchodźcie, wchodźcie - zapraszała Jelene. - Jedzenia jest dla dziesięciu, czcigodny Wallas gotował.

Wszedł Laron. Błady, buńczuczny młodzieniec wciąż miał na sobie mundur i kolczugę, chociaż hełm trzymał pod pachą. Za nim weszła Velandar. Była otulona płaszczem, który zasłaniał wszystko z wyjątkiem jej dłoni i butów.

- Dziękuję za propozycję, ale już jadłam... Oni!

Andry i Wallas rozpoznali głos Velandar, który słyszeli w ciemnej alejce w Palionie, skoczyli i zderzyli się ze sobą. Velandar, która potrafiła widzieć w ciemności, zapamiętała ich twarze. Andry na serio rozważał możliwość ucieczki przez komin,

ogień, nie ogień. Zdecydował się jednak najpierw spróbować wyskoczyć przez okno. Znowu zderzył się z Wallasem, który obrał tę samą drogę ucieczki. Wallas w panice szaleńczo szukał zatrzasku blokującego okiennice, a Andry chwycił butelkę i zasłonił się nią.

- Dlaczego wymachujesz tą butelką piwa na moją przyjaciółkę? - zapytał Laron, chociaż w zasadzie doskonale wiedział, jaką dostanie odpowiedź.

- Ona pije krew! - wrzasnął Andry.

- Dobrze ci radzę, nie próbuj uciekać. Velandar jest trzy razy szybsza niż każdy śmiertelnik - zaczął tłumaczyć Laron.

- Pieprzę to, biegam szybciej niż Wallas!

- Brudni, plugawi, odrażający, śmierdzący pijacy! - wysyczała Velandar, ale nie ruszyła się z miejsca.

- O tak, ale ja jestem gorszy! - bełkotał Wallas, któremu właśnie udało się otworzyć okiennice.

- Nigdy nie mogę pierdnąć, kiedy tego potrzebuję - powiedział Andry.

Mimo ataku ślepej paniki przypomniał sobie o Jelene. Wyciągnął ją z łóżka i popchnął w kierunku okna, które akurat było zablokowane przez zmykającego Wallasa.

- Uciekajcie w przeciwnych kierunkach, ona może pobiec tylko za jednym z was!

Jelene całym swoim ciężarem naparła na sterczące nogi Wallasa, a rama okna wraz z okiennicą wyrwała się ze ściany i runęła w ciemność razem z Wallasem. Jelene wyskoczyła za nim. Andry powoli wycofał się w kierunku dziury, która kiedyś była oknem; wtedy w drzwiach pojawiła się Jelene ze swoim wilczurem i krzyknęła: „Bierz ją, Fang!”. Fang tylko spojrzał na Velandar, zmienił się w plamę rozmazanych łap i ze skowytaniem uciekł w noc, pociągając za sobą Jelene.

- Widzę, że już znacie Velandar - rzekł Laron, który w czasie spotkania w Palionie nie widział ich twarzy.

- Jedyne człowiek, którego złapałam i nie miałam w żołądku - warknęła Velandar.

Dziwne, pomyślał Andry. Chwieje się jak pijana. Widział w życiu tak wielu pijanych, że zaczął się uważać za eksperta od rozpoznawania ich.

- Oni cię uratowali, uczona prezbiterko? - zapytał Laron. - Jesteś tego absolutnie pewna?

- Widziałeś na własne oczy, Laronie. Andry bał się panicznie, ale został, by bronić Jelene przed Velandem. Tak samo zrobił, kiedy dopadła mnie Straż Tronowa.

W powietrzu czuć alkohol, zauważył Andry. Zgniliznę, pleśń, krew także, ale ktoś tu nieźle sobie chlapnął. Terikel i Laron stoją pewnie na nogach, więc pozostaje... demon.

Jelene wróciła z kilkoma odważniejszymi członkami ochotniczej milicji Harrgh, ale szybko ich poinformowano, że wszystko jest w porządku i wysłano na poszukiwanie Wallasa. Został znaleziony dość daleko na drodze, z ramą okienną wokół pasa. Dopiero pełną godzinę po wkroczeniu Velandem do chaty całe towarzystwo zebrało się w niej znowu. Dziurę w ścianie zasłonięto kocem, a z Wallasa zdjęto ramę okienną.

- Chciałabym spróbować przedstawić was sobie jeszcze raz - zaczęła Terikel. - Laron jest opiekunem Velandem.

- Aha, i pewnie jest wciąż zajęty, bo broni innych przed nią? - zapytał kąśliwie Andry.

- Tak, eee, więc on jest tym, który nie jada ludzi? - zapytał Wallas.

- Robiąc to, będę żył wiecznie - powiedział Laron z lekkim szyderstwem w głosie.

- Kilku bardzo złych ludzi wciąż chce mnie zabić - ciągnęła Terikel.

- Masz na myśli gorszych niż ona? - powiedział Andry, wskazując Velandem.

- Przez jakiś czas sądzono, że zginęłam na pokładzie „Ptaka Burzy”, ale moja ucieczka została odkryta. Zdrajcy i szpiegowie są wszędzie, nawet w pałacu.

- Zwłaszcza w pałacu - uzupełnił Wallas.

- A Velandem obiecała się nimi zająć - podsumowała Terikel.

- Kimkolwiek są, współczuję im - powiedział Andry.

- Jednak Velandem nie czuje się najlepiej - rzekł Laron.

- Jestem martwa - wyjaśniła Velandem.

- Więc potrzebuje dużo snu. My trzej musimy ją chronić, kiedy jest niedysponowana.

- Dużo sypia? - zapytał Andry z nadzieją.

- Dwanaście lub więcej godzin na dobę, kiedy Miral jest poniżej horyzontu - powiedział Laron.

- Oczywiście wy nie musicie się obawiać niczego ze strony Velandem - uspokajała Terikel, patrząc na Andry'ego.

- Nie zjadłabym go, nawet gdyby był ostatnim człowiekiem na świecie - wymamrotała Velander.

- He, słyszeliście, co powiedziała? - Andry odetchnął z ulgą.

- Pieprzyć to, a co ze mną? - zdenerwował się Wallas.

- Velander i ja zdobyliśmy wóz, a ja mam konia - oznajmił Laron. - Sugeruję, żebyśmy porządnie wypoczęli tej nocy i wyruszyli do Glasbury wczesnym świtem.



Velander schroniła się na wozie, reszta spała w domku Jelene. Wallas został skazany na spanie na podłodze, ponieważ Jelene była bardzo rozczarowana jego pokazem braku odwagi wobec demona. O świcie Terikel zapłaciła jej za zniszczone okno, a potem wraz z Laronem doprowadziła Wallasa przed miejscowego sędziego pokoju, gdzie złożył uroczyste oświadczenie, że w rzeczywistości nie jest tym Wallasem, który był mężem Jelene i według jego najlepszej wiedzy tamten Wallas nie żyje. Jelene została zapisana jako wdowa w wioskowym rejestrze.

Andry mył się w końskim korycie, gdy Jelene go zawołała z chaty. Wszedł i zobaczył ją, jak napełnia bukłak Wallasa z wielkiego dzbana. Inne bukłaki leżały obok niej, już pełne.

- Po śmierci męża nie będę ich już potrzebowała - wyjaśniła.

- Są dla was, na drogę. Weźcie także kilka kubków, będzie wygodniej z nich pić niż z pełnych bukłaków.

- To dla nas?! - krzyknął Andry.

- Wszystko możecie zabrać. Resztę sprzedam. Niech pan usiądzie, odpocznie chwilę i porozmawia ze mną.

- Co się teraz z tobą stanie? - zapytał Andry, przypuszczając, że o tym chciała rozmawiać.

- Zaoszczędziłam i ukryłam trochę pieniędzy. Raffin coraz to znajduje wymówki, aby tu wpadać i pożyczać różne rzeczy, a potem przychodzi znowu, żeby je oddać. Którejś nocy, niedługo, powiem mu, że jego spodnie wymagają cerowania, nawet jeśli nie będą wymagały.

- Skoro tak, to w porządku - powiedział z wielką ulgą Andry.

- Zabiorę te bukłaki na wóz.

- Jeszcze coś chcę ci dać. To podróżny przybornik do szycia, żebyś był elegancki w drodze. Zrobiłam go dla Wallasa, mojego Wallasa, ale go nie używał.

- Kobiety ciągle próbują dawać takie rzeczy - powiedział Andry z wielkim

niezadowoleniem. - Nie rozumiem, dlaczego chcesz, abym szył, ale dziękuję. - Zatknał niewielki zwitek płótna za pas.

- Andry, nie czuję się dobrze.

- Jesteś chora?

- Nie, ale... cóż, wykazywałaś pewne zainteresowanie pierwszej nocy, wiesz, miałam ochotę... bardziej się z tobą zaprzyjaźnić.

- Och... - wydusił z siebie Andry, nagle zaniepokojony. - To mi bardzo pochlebia, tak myślę.

- Nie chcę, żeby się wydawało, że odważyłabym się to zrobić. Znam swoje miejsce, a ty jesteś szlachcicem w przebraniu i w ogóle.

- Nie jestem szlachcicem, Jelene. Wallas i Laron są tutaj jedynymi szlachcicami.

- Nieprawda, jesteś prawdziwie szlachetny, Andry i nie ukryjesz tego - powiedziała, ściskając jego dłoń. - Odmieniłeś moje życie.

Andry zarumienił się, wziął bukłak, odwrócił się do drzwi - a w nich stał Wallas. Wallas popatrzył na niego wilkiem, zawrócił i poszedł szybko w kierunku wozu.

Jelene pobladła.

- Jak myślisz, co usłyszał?

- Jeśli tylko o odmienianiu życia, może podejrzewać najgorsze - odparł Andry.



Gdy kierowany przez Larona wóz wytaczał się z wioski, Andry miał wiele do przemyślenia. Został wzięty za szlachcica, a Wallas uważał, że on przespał się z Jelene. Andry nie był pewien, która z tych omyłek sprawia mu większą satysfakcję.

Szlachcic. Andry Tennoner z zaułka Pokewossit numer 5, Bargeyards, Alberin. Szlachcic... Andry zdał sobie sprawę, że nie zna żadnego szlachcica. Jest Laron, oczywiście i być może Wallas, ale ten drugi w zasadzie nie zachowuje się jak szlachcic. Laron mówi jak człowiek kulturalny i podobno zna nawet córkę cesarza. Niemniej jednak podróżuje w towarzystwie potwora, który śmierdzi jak stos odpadków za tawerną. Czy szlachcic tak postępuje?

Andry myślał także o Velander. Laron wyjaśnił im, że będzie spała pod stertą koców w skrzyni wozu i nawet się nie poruszy, dopóki Miral znowu nie wzejdzie. Andry pociągnął łyk wina z jednego z dzbanków, ale okazało się kwaśne, więc wypłuł je na pobliskie pole.

- To moja część wina - zrzędził Wallas.

- Twoje wino jest skwaśniałe. - Andry sięgnął po następny dzbanek.
- Nienasycony pijak - mruknął Wallas, tuląc do siebie dzban.
- Po prostu chcę zmniejszyć ładunek, żeby koniowi było lżej - odparł radośnie

Andry.

- Ulżyłbyś mu bardziej, gdybyś sam zlął.
- Ty ważysz więcej.
- Przestańcie - powiedział Laron, nie odwracając się.

Andry odkorkował dzban, pociągnął łyk, a potem wyjął lirę Wallasa i zaczął grać „Chłopaka Cartera”.

- Brałeś moją kobietę, teraz bierzesz moją lirę - powiedział Wallas ponuro.
- Jakoś nie zostałeś, żeby jej bronić przed potwo... przed panią Velander.
- Jedynym powodem, dla którego ty zostałeś, było to, że ja utknąłem w oknie.

W pewien dziwny sposób Velander także jest szlachcianką, myślał Andry. Była prawie tragiczna. Może Laron dostrzegał w niej coś, czego inni nie widzieli. Może na tym polega bycie szlachcicem - dostrzeganie czegoś, co inni przegapili. Grupa wieśniaków zaklaskała, gdy minął ich wóz z grającym Andrym. Wallas rzucił im dzban wina.

- To było z mojej części dzbanów - powiedział Andry.
- To wino od mojej kobiety, więc jest moje.
- Nie była już twoją kobietą, gdy dawała nam to wino, więc jest wspólne.
- Uznajmy, że to było z mojej części i dajcie spokój - powiedział Laron, w dalszym ciągu nie odwracając się do nich.
- Nie ma twojej części - rzekł Wallas.
- Jeśli nie przestaniecie się kłócić, wezmę dzbany z obu części, nazwę je moją częścią, a potem wywalę na drogę!

Od tej pory obaj trzymali się od siebie jak najdalej. Andry i Laron siedzieli na ławce woźnicy, Andry grał, a Laron powoził. Terikel leżała pod kocem i starała się nie rzucać w oczy. Wallas siedział z tyłu ze zwieszonymi nogami, wpatrując się w drogę. Velander była gdzieś w skrzyni na bagaż, razem z zapasami, pakunkami i resztą wina. Myśl o słowach Jelene nie dawała Andry'emu spokoju. Szlachcic. Andry Tennonner, szlachcic. Tak jakby ktoś mówił w jego głowie.

- Eee, panie...? - powiedział Andry, nie przerywając gry.
- Mów mi Laron.
- Och, tak, Laron. Czy tamci kawalerzyści wszyscy byli szlachcicami?

- Wszyscy są szlachcicami i czasem nawet również zachowują się szlachetnie.

- Hm. Więc jak to jest? Czy zachowywanie się szlachetnie wiedzie do zostania szlachcicem?

- Częściowo tak. Możesz sobie kupić tytuł szlachcica, ale zachowywać się po rycersku możesz za darmo.

Nagle coś w umyśle Andry'ego jakby wskoczyło na swoje miejsce. Wallas był szlachcicem, ale mógł się zachowywać nie po rycersku, jak pętał. Andry nie był do końca pewien, co znaczy „nie po rycersku”, ale to pasowało do Wallasa.

- Czy „po rycersku” jest rodzajem szlachetnego zachowania? - zapytał.

- Zdecydowanie.

- Ach, więc to ma sens. A co powinien robić chłopak, żeby zachowywać się szlachetnie?

- Trzeba mieć dobre maniery.

- Maniery, mówisz?

- Tak.

- Co to jest?

Wyjaśnienie zajęło nieco czasu. Laron zaczął przytaczać konkretne przykłady. Andry zadał garść sensownych pytań. Laron rozszerzył swoją lekcję na etykietę i zachowanie w towarzystwie. Przez następne piętnaście kilometrów Andry nauczył się podstawowych zwrotów, jakich oficer używa w stosunku do wieśniaków, rówieśników, innych oficerów, szlachty, kawalerów, członków rodziny królewskiej, członków cudzoziemskiej rodziny królewskiej, kleru i jeńców wojennych. Zachowanie przy stole sprawiło mu nieco problemów, ponieważ do tej pory bardzo rzadko jadał przy stole. Laron podjął temat ukłonów i gestów, a Andry tak entuzjastycznie wstał, żeby nauczyć się składać formalny ukłon, że zleciał z wozu.

Następne osiem kilometrów spędził na dnie wozu, opatrując siniaki i skaleczenia. Przez ten harmider zbudziła się Velandier i nawarczała na niego. Andry czym prędzej umknął z powrotem na ławeczkę woźnicy. Laron przekazał mu lejce.

- Kiedy zamierzasz z kimś walczyć, ważne jest, aby pozdrowić go w odpowiedni sposób - powiedział, biorąc do ręki topór.

- Pozdrowić? - zdziwił się Andry.

- Tak, pozdrowić. Co ty robisz, zanim zaczniesz się bić?

- Och, wrzeszczę: „Dawaj, dawaj, na co czekasz?! Kot odgryzł ci jaja?!”.

- Pozdrowienie jest nieco bardziej formalne niż to - powiedział Laron z lekko

urazonym wyrazem twarzy. - Weź topór do lewej ręki, chwyć prawą za koniec rękojeści, trzymaj pionowo z lewą ręką przyciśniętą do boku, a prawą pięścią na lewym ramieniu, a potem przenieś go do właściwej pozycji, jakiej uczono w twojej szkole walki na topory.

- Nie uczyłem się władać toporem w szkole - przyznał się Andry.

- Ale w ogóle chodziłeś do szkoły?

- O tak. Potrafię czytać i pisać po alberiińsku i diomedańsku. Choć niezbyt dobrze. Umiem też liczyć i dodawać. Nauczyłem się sargolskiego w tawernach od żeglarzy.

- To poddało mi pewien pomysł - rzekł Laron. - Prezbiterka Terikel jest tego samego wzrostu co ty, a ona ma na sobie mundur strażników dróg.

- Zgadza się.

- Ty będziesz bardziej przekonującym strażnikiem. Potrafisz walczyć na topory, a ona prędzej sama sobie głowę rozbije, niż zrobi krzywdę przeciwnikowi. Gdyby użyła magicznych sztuczek, ludzie natychmiast by się dowiedzieli, że jest czarodziejką, a tego nie chcemy. Jeśli ona włoży twoje ubranie, a ty mundur strażnika, będziemy wyglądali tak, jak chcemy wyglądać.

- Czyli jak?

- Jak wóz zaopatrzeniowy, który dogania swój główny oddział strażników dróg. Wóz jest zawsze eskortowany przez dwóch żołnierzy.



Wieczorem Andry był w mundurze, a Terikel w ubraniu Andry'ego. Terikel wyglądała na gruntownie zniechęconą, gdy Laron tłumaczył jej, że to rozwiązanie będzie dla nich najlepsze. Andry próbował wprowadzić w życie świeżo nabyte maniery, nawet mimo braku stołu. Jedli przygotowaną przez Wallasa fasolę i mięso z niewielkich miseczek, używając drewnianych sargolskich szpadek do jedzenia i swoich noży. Andry wystrugał sobie coś na kształt takiej szpadki i zaczął tym jeść. Było to nieco bardziej skomplikowane niż spychanie jedzenia do ust kawałkiem chleba bezpośrednio z miski.

Kawałek mięsa zeskoczył mu ze szpadki i wylądował na ziemi. Andry opłukał go winem i wrzucił do ust. Laron potrząsnął głową.

Kiedy Andry pomagał Wallasowi szorować naczynia po posiłku, poczuł w powietrzu znajomy zapach mokrego dywanu, pleśni i alkoholu. A więc Velandar czaiła się gdzieś w pobliżu. Od tej pory zaczął o niej myśleć jak o złym psie łańcuchowym.

Należało jedynie trzymać się z dala.

- Pieprzyłeś moją żonę - wymamrotał Wallas, gdy klęczeli na brzegu mulistego strumienia, szorując naczynia wiechciami trawy. Terikel wycierała je do sucha i pakowała z powrotem na wóz.

- Ona nie była twoją żoną - odparł Andry, radośnie podtrzymując mit o uwiedzeniu.

- Ona myślała, że jest.

- Zamierzała cię otruć.

- Więc się z nią przespałeś. Czy to miało mnie uratować? Mów z sensem.

- Naprawdę chciała cię otruć.

- Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

- Nie chcieliśmy wywoływać awantury...

- No pięknie. Moje życie wisiało na włosku, a ty nie chciałeś wywoływać awantury - więc powiedziałem ci, żebyś się upił.

- W jaki sposób to miało pomóc? Mogła otworzyć mi usta i siłą wlać truciznę prosto do gardła.

- Ja... odwróciłem jej uwagę na krótki czas - powiedział Andry.

- Jak krótki?

- Na jakiś kwadrans.

- Co?! Ty plugawy nędzniku, pieprzyłeś moją żonę!

- Czy w końcu przestaniecie się kłócić? - zapytała Terikel, zniecierpliwiona bezskutecznym oczekiwaniem na umyte naczynia.

- Nie był jej mężem, przysięgał to przed sędzią pokoju... - zaczął Andry.

- Złożył oświadczenie - sprostowała Terikel.

- Tak czy tak, ludzie sądzili, że byłem jej mężem - ciągnął Wallas. - On mnie poniżył, w oczach tych wszystkich ludzi przyprawił mi rogi.

- Nigdy więcej tych ludzi nie zobaczysz. - Andry się roześmiał.

- Przecież troje z nich jest tutaj... czworo, jeśli doliczyć ciebie.

- Za tydzień lub dwa, Wallasie, pójdziesz swoją drogą gdzieś, gdzie nikt cię nie zna.

- Nigdy w życiu nie byłeś nawet w pobliżu Harrgh, prawda, Wallasie? - zapytała Terikel.

- Nie.

- Prawdziwy Wallas z pewnością nie żyje?

- Ja go nie zabiłem. Nigdy nikogo nie zabiłem... poza tamtym strażnikiem.

- Tak! Jesteś kimś, kto wygląda jak Wallas.

- Cóż, wyjąwszy ubranie, można tak powiedzieć.

- Jesteś kimś dość utalentowanym i bardzo obytym, kto ze swadą wciąga innych w rozmowę, jak dworzanin z pałacu. Kimś, kto potrafi grać na wielu instrumentach, ale najbardziej lubi lirę.

- Kimś, kto układa ballady tak okropne, że aż śmieszne - wtrącił się Andry.

- Kimś oskarżonym o morderstwo - stwierdziła Terikel dosadnie.

Andry rzucił miskę na ziemię.

- Powiedz mi, że nie zabiłeś cesarza! - krzyknął.

- Ja nie...

- Kłamiesz!

- Powiedziałeś, żebym powiedział...

- Jesteś zabójcą! Ty draniu! A musiałem sam walczyć z tymi wszystkimi strażnikami z Gwardii Tronowej!

- Zabiłem jednego.

- Tak, a ja powaliłem trzech i nawet pani załatwiła jednego. Jesteś zabójcą, mogłeś załatwić wszystkich pięciu, zanudzając ich na śmierć swoimi okropnymi balladami.

- Czy ktoś zechciałby wysłuchać mojej wersji?! - wrzasnął Wallas.

- Tylko żeby była prawdziwa - ostrzegł go Andry. - Więc kim jesteś?

- Jestem... och, i tak mi nie uwierzysz.

- Sprawdź! - warknął Andry.

- Jestem Milvarios z Tourlossen. Mistrz królewskiej muzyki...

Nie dane mu było dokończyć. Andry upadł na mulisty brzeg, powalony histerycznym atakiem śmiechu. Gdzieś w pobliskim cieniu chichotała nawet Velandar.

- Wiedziałem, że nie uwierzycie - mruknął Wallas ponuro.

- Mów do mnie jeszcze - wydusił z siebie Andry.

- Zabójca, prawdziwy zabójca wszedł sekretnym wejściem do mojego pokoju. Miał moją twarz! Związał mnie, ale udało mi się przepalić sznur. - Wallas pokazał ślady poparzeń na nadgarstkach.

- Powiedział, że użył magicznego zaklęcia, żeby jego twarz przybrała moje rysy.

- To był zabójca z gildii toreańskiej - powiedziała Velandar.

- Zmiennokształtni, tak się nazywają. Używają potężnych zaklęć, także do zmiany rysów twarzy.

- Tak, tak, dokładnie tak powiedział! - dorzucił gorliwie Wallas.

- Wszyscy zginęli, kiedy Torea się stopiła, ale... ten mógł być wtedy za granicą. Wykonując zlecenie. Duże zlecenie. Tyle że jest pewien problem. Po zabójstwie łatwo ich było złapać. Twarze... cholera, jakie to słowo? Chciały? Pożądały? Pragnęły?

- Potrzebowały? - podpowiedział Andry.

- Tak. Potrzebowały lat, aby ponownie odzyskać dawne rysy. Byli chwytni i zabijani, często na poczekaniu. Wallas może mówić prawdę.

- Chyba mu nie wierzysz! - krzyknął Andry. - Jego ballady są okropne.

- Dlaczego... - warknął Wallas.

- Ha! Mistrz muzyki, a gra kiepsko, bo to część jego przebrania? - zapytała Velander. - Księżniczka Senterri powiedziała mi jeszcze na dworze w Palionie: „Hura, Milvarios nie żyje, koniec z nudnymi balladami”.

- Na pierścienie Mirala, więc to prawda! - zdziwił się Andry.

- Ja też nie wierzę! - krzyknął Wallas.

- Czy zabójca zostawił cię, abyś został znaleziony przez strażników? - zapytała Velander.

- Tak, ale ukryłem się w sekretnym przejściu i zablokowałem wejście. On wpadł w pułapkę w mojej komnacie i został zabity przez Straż Tronową. Kiedy kulilem się w sekretnym przejściu, odkryłem, że zabójca przygotował dla siebie przebranie. Może powinienem był wtedy wyjść i opowiedzieć całą historię. Ale czy ktoś by mi uwierzył?

- Nie! - krzyknął Andry.

- Widzisz? Widzisz? Ty też byś mnie zabił. Miałem twarz zabójcy... a raczej on miał moją.

- Hm, to ma sens. Zabił Wallasa. Prawdziwego Wallasa. Żył jako on. Mając twarz Wallasa.

- Ale Wallas Jelene miał szansę być do mnie podobny! - krzyknął były muzyk byłego cesarza. - Może wszyscy zmiennokształtni przeprowadzali zamachy w ten sposób. Może nigdy nie zabito żadnego z nich. Wielu niewinnych dworzan i strażników mogło zginąć, a zabójcy nikt nie podejrzewał. Zabójca miał w pogotowiu inną tożsamość. Przyjaciele, rodzina, przełożeni i służba, wszyscy byli nieświadomi, że osoba, którą znali, nie żyje i mieszkają z nieznanym.

- Gratulacje, Wallas - powiedziała Terikel.

- Może właśnie wyjaśniłeś największy sekret w Torei - dodała Velandier. - Metodę ucieczki zmiennokształtnych.

- Więc naprawdę byłeś mistrzem królewskiej muzyki? - powiedział Andry.

- Miałem ten zaszczyt.

- Ale żeby uzyskać ten tytuł, potrzeba chociaż odrobiny talentu. Słyszałem psy na ulicy wyjące bardziej melodyjnie, niż ty śpiewasz ballady.

- A ty w kółko o tym samym! - wydarł się Wallas. - Dlaczego ty nie jesteś mistrzem muzyki na dworze jakiegoś monarchy?

- Z braku kąpielni - zasugerowała Velandier, ale Andry ją zignorował.

- Widziałem, jak jego ballady opróżniają tawerny w ciągu dwunastu oddechów. Nawet leżący pod stołem pijacy wypelzali na zewnątrz.

- Perły przed wieprze, czego się spodziewać?

- Te wieprze to byli moi przyjaciele.

- Więc tym bardziej są wieprzami! - wrzasnął Wallas, rzucając miską w Andry'ego i wpychając go do strumienia.

Zaraz za nim skoczył i zaczęli się okładać pięściami. Wallas był silniejszy i większy, ale Andry brał udział w wielu bójkach. Wkrótce Wallas miał rozkwaszony nos i rozdarte ucho, poddał się, upadł na kolana w wodzie. Andry dobrnął do brzegu, triumfując. Velandier zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głowy. Nagle uświadomił sobie, że jest pokryty mułem i kompletnie przemoczony.

- Brudny, śmierdzący i głupi - powiedziała. A potem ponownie skryła się w cieniu.



Madame Jilli usłyszała grzeczne kasznięcie i podniosła wzrok znad księgi. Postać o wymiarach i kształcie ludzkiej istoty stała przed nią, płynnie zmieniając się z wojownika w obdartego wieśniaka.

- Madame Jilli, jak sądzę? - powiedziała mała dziewczynka trzymająca naręcze kwiatów.

- Eee, tak.

- Jestem Zmiana - wyjaśnił strażnik oparty na włóczni.

- Jeden z bogów? - Madame Jill wstała i dygnęła.

- Tak, tak, ten sam - odpowiedział starszawy czarodziej. - Gdzie jest ta wynajęta przewoźniczka?

- Powiedziała, że jej umowa się skończyła.

- Niech to szlag! - wykrzyknęła kapłanka w śnieżnobiałej szacie. - Jeden z moich urzędników zaproponował zmniejszenie funduszu przeznaczonego na jej pensję.

- Przykro mi to słyszeć. - Madame Jilli złożyła ręce, aby nie widać było, jak drżą.

- Znowu! - westchnął szkielet okryty łachmanami. - Musisz wiedzieć, że już utworzyła się kolejka dusz do wywiezienia.

- Chciałabym pomóc - powiedziała madame Jilli, której właśnie zaświtał pewien pomysł. - W więzieniu jest tylko odrobinę nudniej niż tutaj.

- Zgadzam się - powiedział nagi malec tulący misia. - Lubisz poznawać nowych ludzi?

- Spędziłam życie, poznając nowych ludzi - odparła madame Jilli.

- Świadczyłaś usługi? - zainteresowała się tancerka brzucha.

- Obsłużyłam więcej dusz, niż mogłabym spamiętać.

- Nie masz choroby morskiej, prawda? - zapytał staruszek z brodą do kolan.

- Kręciłam się przy żeglarzach od dzieciństwa.

- A dlaczego tu jesteś? - zapytał robotnik z kilofem zarzuconym na ramię.

- Nie umarłam we właściwy sposób.

- Wspaniale! - ucieszył się karczmarz. - Czy chciałabyś zarobić parę miedziaków i spotkać wielu ludzi? W twoim świecie szykuje się wiele zmian, a ja mam bardzo niewiele przewoźniczek.



Pierwszym klientem madame Jilli był rolnik i miał przygotowaną monetę. Horvessol nie spodziewał się ujrzeć śnieżnobiałej łodzi, którą kierowała kobieta w czerwonej sukni z rozporkiem aż do talii. Z tego, co Horvessol zdołał zauważyć, krawcowej materiał skończył się w okolicy dekoltu i próbowała dokończyć dzieła niewielką ilością czerwonej jedwabnej koronki.

- Cóż, według rejestru przeniesień pan ma trafić do Arkadii, panie Horvessol - powiedziała radośnie, odpychając łódź od brzegu równie śnieżnobiałą tyczką. - Jak pan umarł?

- Nie wie pani tego? - zapytał zaskoczony duch rolnika.

- Obawiam się, że nie. Odbierałam właśnie nowiutką łódź i nie miałam czasu zajrzeć do streszczeń.

- Och? Ach tak, to bardzo ładna łódź.

- Więc jak pan umarł?

- Jakiś krwiożerczy potwór rozerwał mi gardło, kiedy wracałem z tawerny do domu.

- Doprawdy? Wiele takich osób pojawiło się tu ostatnio.



Andry uważnie splukiwał błoto ze spodni i kaftana, a twarz płonęła mu ze wstydu. Wydzierał się jak żona rybaka i wdał w bójkę jak straganiarz. Nie było nic szlachetnego w tej bójce, rozbrzmiewało echem w jego głowie. A już koronnym przewinieniem w bukiecie jego wszystkich grzeszków było to, że nawet nie mógł zrzucić winy za swoje zachowanie na alkohol. Velander wszystko widziała i słyszała. Nie miał nic przeciwko robieniu z siebie głupca na oczach przyjaciół, ale był nieco bardziej na to wyczulony przed ludźmi, których nie lubił. Był z siebie taki dumny, że został królewskim żołnierzem... nie, dostał ubranie królewskiego żołnierza, upomniał siebie. Co Jelene powiedziała o swoim mężu zaledwie noc wcześniej? Że nie miał szansy się całkowicie zmienić w ciągu trzech miesięcy. To wszystko wyglądało na zbyt trudne. Prostak nie może zmienić się w kogoś nawet podobnego do Wallasa w trzy miesiące.

Kaftan i spodnie parowały rozwieszzone na patykach przy ognisku. Oczyszczył buty z błota, na koniec umył się w lodowatym strumieniu. Czubkiem noża wyczyścił paznokcie i trzęsąc się przy ogniu, czekał, aż ubranie mu wyschnie. Za plecami usłyszał aksamitne kroki i obok niego upadły jego stare spodnie i tunika. Spojrzał w górę i zobaczył Velander.

- Laron martwi się o ciebie - powiedziała tonem, który ewidentnie świadczył o tym, że ona nie martwi się o niego ani trochę. - Mówił, że się przeziębisz.

Andry w pamięci swoich popołudniowych lekcji manier poszukał słów, jakich zmarznięty, mokry, nagi facet może użyć, aby odpowiedzieć martwej, niebezpiecznej i nadludzko silnej kobiecie, która właśnie przyniosła mu zmianę ubrania.

- Tak, dzięki - rzekł po chwili.

- Lepiej ci pasują te stare ciuchy.

Podniósł swoje stare spodnie i tunikę. Velander miała rację, te łachy pokazywały, kim jest naprawdę - Andrym Tennonerem z Bargeyards. Głos w jego głowie mówił: Nie zawracaj. Ten głos był tak wyraźny, że Andry aż rozejrzał się dookoła, czy ktoś obok nie stoi. Nie zawracaj. Andry był aż nadto świadomy, co oznaczają te słowa i po krótkiej chwili wahania wrzucił stare łachy do ogniska. Najpierw zadymiły, potem zapłonęły wesołym ogniem. Spojrzał na Velander, która

wyglądała na zaskoczoną i lekko się zachwiała. Jej oddech zalatywał świeżym alkoholem.

- I w co teraz się ubierze prezbiterka Terikel? - zapytał Andry.

- Złapałam jakiegoś pijanego rolnika, który wyszedł z gospody. Rozerwałam mu gardło, wypiałam krew. Zabrałam jego rzeczy i prezbiterka Terikel będzie miała się w co ubrać.

Andry poczuł chwilowy zawrót głowy. Zawrzało w nim raczej nierozważne oburzenie niż odwaga.

- Zabiłaś człowieka dla jego ubrania?! - krzyknął.

- Byłam głodna.

- Głodna? Pieprzenie! Dla ciebie on był jak dzban wina na nogach.

- Był pijany! Pijaństwo to zło! Laron mnie tego nauczył. Naprawiam świat, kiedy zabijam takich.

- Laron?

- Laronowi zależy! Jest moim przewodnikiem, nauczycielem. Laron rozumie. Muszę zabijać, by jeść, więc zabijam złych, żeruję na złych.

- Złych? Jesteś pijaczką, która szuka taniego wina.

- Mogę pić tylko krew!

- Ale jesteś spragniona krwi pijaków.

- Ty jesteś pijakiem! - warknęła Velandar z groźniejszym niż zazwyczaj wyrazem twarzy.

- Mylisz się! Od dziesięciu dni piję tylko tyle, żeby nie mieć dreszczy i trzęsących się rąk. Wkrótce będzie to łyk, potem łyżek, a potem będę pił, kiedy będę chciał, a nie kiedy będę potrzebował. Ty sama jesteś pijaczką i jesteś zła. Nie wyprzesz się tego.

- Nie jestem pijaczką!

- Myślisz, że nie potrafię rozpoznać pijaka? A poza tym co było złego w rolniku idącym do domu po wypiciu kilku piw w gospodzie?

- Poszedłby do domu i sprzał swoją żonę.

- Nawet nie wiesz, czy był zonaty! - wrzasnął Andry.

Zdumiewająco prędkim ruchem chwyciła go za gardło, podniosła do góry na wysokość swojej twarzy. Eteryczne kły świeciły w jej otwartych ustach, smród krwi, rozkładu i alkoholu owionął twarz Andry'ego, oczy miała wielkie i dzikie... nagle zadrżała.

- Pomóż mi! - szepnęła. Puściła Andry'ego i uciekła w mrok.



Następnego dnia zatrzymali się w kolejnej wiosce, gdzie Laron kupił do wozu konia spokojniejszego niż jego ogier oraz wierzchowca dla Andry'ego. Nabyli także kilka sztuk starannie wybranej odzieży na miejscowym targu. Do czasu wyjazdu z wioski Wallas i Terikel zostali wyposażeni w czerwone chusty i czerwone opaski na ramię, które nadawały im status ochotniczych milicjantów. Wallas miał się skupić na nauce powożenia w ogóle, a w szczególności na tłumaczeniu koniowi, by nie zatrzymywał się co sto metrów na krótki popas. Andry i Laron nosili uniformy, broń i barwy Straży Dróg.

- Obawiam się, że do końca życia pozostanę awanturnicznym niechlujem, chociaż chciałbym być kimś innym - wyznał Andry Laronowi, gdy jechali we dwóch w pewnej odległości przed wozem.

- A teraz o tym, co znaczy „po rycersku”.

- Tak?

- To ma związek z honorem.

- Wiem, co to jest honor. Gdy jakiś podrywacz włoży swoją bułkę do pieca twojej siostry i nie chce się z nią ożenić, ostrzysz siekierę i gonisz za nim. Ja tak zrobiłem, kiedy Branny Caulker zrobił mojej siostrze Kellen...

- Cóż, to dość szczególny przypadek, ale czy chciałbyś usłyszeć ogólniej o rycerskości? To zajmie trochę czasu.

- Co to zmieni? Wciąż będę prostakiem bez perspektyw.

- Cesarskie Ochotnicze Oddziały Rezerwy dają perspektywy. Ze swoimi zdolnościami ciesielskimi, dobrymi manierami i odwagą możesz w przyszłości zostać saperem.

- Jeszcze nawet nie jestem ochotnikiem - zwrócił uwagę Andry.

Laron jechał w milczeniu przez minutę lub dwie, potem podniósł rękę. Stanęli. Andry obejrzał się, ale nie dostrzegł nic podejrzanego lub groźnego. Laron zeskoczył z konia. Andry poszedł za jego przykładem, a Wallas zszedł z wozu, pytając, co się dzieje.

- Czy ty, Andry Tennonerze, chcesz dołączyć do Cesarskiej Ochotniczej Milicji Dróg Jej Wysokości, przyszłej dziedziczki cesarstwa sargolskiego? - zapytał Laron. - Będziesz miał stopień szeregowca kawalerzystów, co jest najniższą rangą w kawalerii.

- Wątpię, czy mnie zechcą - powiedział Andry, wzruszając ramionami. - Poza

tym jestem obywatelem księstwa Alberinu w cesarstwie Scalticaru Północnego.

- Najemnicy mogą być werbowani, jeśli ich kraj nie pozostaje w stanie wojny z Cesarstwem Sargolu.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najpoważniej.

Dla Andry'ego był to krok podobny do spalenia starego ubrania - jak być zmuszonym do ruszenia w drogę pod groźbą włóczni. Nie był pewien, kto trzyma włócznie, ale z drugiej strony podobała mu się ta perspektywa.

- Zgoda zatem.

Wallas pomyślał o korzyściach, jakie płynęły z bycia ochotnikiem. Na początek dałoby mu to papiery i miejsce na świecie. Jeśli wytrzymałby pięć lat jako kucharz w taborze, mógłby wrócić do cywila z poniekąd legalną tożsamością. I jeździłby na wozie, nie musiałby więcej chodzić.

- Hej, a co ze mną? - zapytał. - Zadowolę się kaftanem i hełmem. Chyba w oddziałach ochotniczych przyda się mądry kucharz, który utrzymywałby wysokie morale.

Laron przez chwilę tarł policzek, a potem się uśmiechnął.

- Dlaczego nie? Wallasie, co powiesz na stanowisko woźnicy trzeciej klasy w Cesarskiej Ochotniczej Milicji Dróg?

- Czy konieczne będzie sprawdzenie mojego pochodzenia? - spytał Wallas od razu.

- Jeśli trzeba by sprawdzać pochodzenie każdego ochotnika, nie byłoby w ogóle oddziałów ochotniczych, a wielu kandydatów skończyłoby na szubienicy. Skoro otworzyliśmy punkt rekrutacyjny, czy zechcesz być świadkiem przysięgi, uczona prezbiterko?

- Oczywiście - powiedziała Terikel, wygrzebując się z wozu.

- Jak długo będziemy służyć? - zapytał Wallas.

- Pięć lat. I mogę załatwić, abyście zostali przydzieleni do garnizonu w Logiar, kiedy tam dotrzemy.

Andry podrapał się w głowę. Wallas tarł podbródek.

- Czy naprawdę będę kucharzem? - zapytał Wallas.

- Tak, ale jeśli się okaże, że masz zdolności w tym kierunku, podejrzewam, że w końcu będziesz robił coś innego.

Terikel była świadkiem, jak Andry i Wallas przyjęli po srebrnym sargolskim

noblu; potem obaj rekruci uklękli na pylistej drodze, aby złożyć przysięgę.

- Nazwisko i miejsce urodzenia? - zapytał Laron.

- Andry Tennonner z Alberinu.

- Wallas, eee, Baker z, eee, Sargolu.

- Możesz być bardziej dokładny?

- Z Palionu.

- Andry Tennonnerze z Alberinu i Wallasie Bakerze z Palionu, czy przyrzekacie lojalność tronowi cesarstwa Sargolu na bogów, w których wierzycie i których czcicie, w obecności Terikel Arimer, prezbiterki zakonu metrologanek?

- Tak - odpowiedzieli chórem.

- Powstańcie więc, zostaliście wcieleni do wojska. Karą za pierwszą dezercję jest sto batów, za drugą śmierć przez powieszenie. Jedziemy w tę samą stronę, uczona prezbiterko. Teraz, kiedy problemy z tymi dwoma ochotnikami zostały rozwiązane, sugeruję, abyśmy ponownie dołączyli do oddziału Straży Dróg.

- Zgadzam się - odpowiedziała prezbiterka. - Potrzeba honoru została zaspokojona.



Laron narzucił szybkie tempo, aby dogonić Senterri i jej eskortę. Po nocy spędzonej na otwartym polu i dwóch dniach forsownej jazdy dotarli do miasta Clovesser. Wallas był przerażony, gdy się dowiedział, że żołnierz na służbie nie może wypić dziennie więcej niż ćwierć litra wina, ale Andry nie wydawał się tym szczególnie poruszony. Denerwował się raczej z powodu Velandera, która od jakiegoś czasu nie jadła i teraz, gdy nie spała, cały czas wpatrywała się w niego i oblizywała wargi. Zanim położył się spać, owijał sobie gardło kawałkiem płótna z rozgniecionymi zębami czosnku. Velandera najwidoczniej miała sarkastyczny stosunek do wstąpienia Andry'ego i Wallasa do Cesarskiej Ochotniczej Milicji Dróg, ale na szczęście nieczęsto ją widywali, ponieważ budziła się w nocy, kiedy Miral był na niebie i spędzała ten czas poza obozem.

Clovesser było sporym miastem o dzień ostrej jazdy od Glasbury, a gdy osiągnęli bramę celną, zobaczyli wywieszony na murach miejskich proporzec rodziny cesarskiej. Oznaczało to, że w mieście jest członek rodziny panującej, a osobą tą mogła być tylko księżniczka Senterri. Wjechali do Clovesser wczesnym wieczorem.

Zostawiwszy Terikel i Velandera w gospodzie, Laron od razu zabrał Andry'ego i Wallasa do miejscowego garnizonu. Tam, zarejestrowani jako nowi rekruci, dostali

standardowe kaftany, tuniki, spodnie, czapki i buty. Andry był przerażony, słysząc, że rekruci muszą zapłacić za swoje umundurowanie. Wallasowi przydzielono natychmiast obowiązki związane z aprowizacją, Andry dowiedział się, że będzie jeźdźcem w oddziale rozpoznania lub zwiadowcą. Laron zostawił go z sierżantem Straży Dróg.

- Kim jesteście?! - ryknął sierżant Andry'emu w twarz.

- Kawalerzysta szeregowy Tennonner melduje się na rozkaz, panie sierżancie! - odpowiedział Andry powoli po sargolsku.

- Dobrze, kawalerzysto szeregowy Tennonner, kapitan Laron poinformował mnie, że będziecie zwiadowcą przydzielonym do Straży Dróg. To nie czyni z was członka Straży Dróg ani nie uprawnia do rozprowadzania, że służycie w Straży Dróg. Jasne?

- Tak, panie sierżancie - odpowiedział Andry, który niewiele rozumiał poza tym, że oczekiwaną odpowiedzią na wszystkie pytania było: tak.

- No co tak stoicie? Wyskakujcie z tej kolczugi i munduru Straży Dróg i wkładajcie połowę tunikę zwiadowcy.

Kolejną bitą godzinę, w trakcie której nieustannie na niego pokrzykiwano, Andry spędził na szczotkowaniu konia, czyszczeniu i polerowaniu siodła, uprząży i sakw, potem wyczyścił, naostrzył i wypolerował swój topór. Przeszedł także podstawowe szkolenia z kroku defiladowego i marszowego, które potrwały aż do zachodu słońca. W końcu pozwolono mu się odmeldować, ale dostał rozkaz umycia się przed kolacją.

- Byłeś najbardziej niesubordynowanym członkiem załogi na „Ptaku Burzy”. Jak możesz teraz znieść to wszystko? - zapytał Wallas, zabierając tunikę Andry'ego do prania.

- „Ptak Burzy” był jak Bargeyards, Wallasie. Nie mogłem osiągnąć nic więcej niż stanowisko cieśli, mimo że się starałem. Teraz jest inaczej. Mogę zostać saperem.

- Saper jest równy rangą oficerowi. Jest odpowiednikiem porucznika, o ile dobrze pamiętam lekcje ze szkoły heroldów.

- Tak, Wallasie, więc muszę ciężko pracować i uczyć się dobrych manier. Droga do zostania szlachcicem jest długa, ale w końcu na nią wkroczyłem.

- Możesz być rozczarowany, kiedy już osiągniesz cel - ostrzegł go Wallas.



Terikel zdecydowała pozostawić Velander blisko siebie, zarówno dla dobra

obywateli Clovesser, jak i dla jej własnego bezpieczeństwa. Clovesser było już na tyle dużym miastem, że miało własną niewielką akademię dla czarodziejów i dlatego Terikel chodziła z Velander jako jej eskorta. Wampirzyca była ubrana w czarny płaszcz narzucony na czarną tunikę, a włosy związała tak gładko, że na ciemniejszej ulicy mogła być wzięta za ochroniarza.

- Muszę się spotkać z pewnymi dziwnymi ludźmi - wyjaśniła Terikel w martwym języku toreańskim, gdy opuściły gospodę.

- Żli ludzie? - zapytała z nadzieją Velander.

- Nie! I błagam, staraj się zachowywać porządnie. Oni są dziwni, ale nie są źli.

- Potem może odwiedzimy którąś z tawern? - zasugerowała Velander.

- Żebyś poszukała sobie jakiegoś pijaczka na żer? Velander, zaczynam poważnie się o ciebie niepokoić.

- Nikt się nie martwi o Andry'ego, kiedy pije za dużo - powiedziała spokojnie Velander.

- Ale on nie czerpie wina z krwi innych ludzi. Poza tym martwię się o niego tak samo jak o ciebie.

- Kim są ci dziwni ludzie? - wymamrotała Velander, nieszczególnie zainteresowana omawianym właśnie tematem.

- Rozmawialiśmy o nich w Palionie. Nazywają się Zespołem do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków.

- W rzeczy samej, to brzmi dziwnie.

- Są grupą radykalnych studentów, którzy chcą obalić klasę rządzącą.

- To brzmi poważnie, a poważni ludzie są często źli. - Velander oblizwała usta, odzyskując nadzieję. - Czy niektórzy z nich są pijakami?

- Nie! Pamiętaj, masz ich zostawić w spokoju! Ja... och, Vel, to takie smutne widzieć cię w tym stanie. Czy można ci jakoś pomóc?

Velander wzruszyła ramionami, potem zacisnęła dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Nie - powiedziała po prostu. - Pewnego dnia spotka mnie smutny koniec, a wtedy opisz moją historię jako ostrzeżenie dla innych.

- Vel, może jednak mogę ci jakoś pomóc. Co mam zrobić?

- Jeśli Laron nie może mi pomóc, to nikt nie może. Ale zbaczamy z tematu, uczona prezbiterko. Jak mogę ci pomóc dziś wieczorem?

- Już mówiłam, że ci dziwni ludzie poświęcili się zdemaskowaniu klasy

rządzącej, a obecnie jestem prawie sama w mojej walce z klasą rządzącą.

- Jaką klasą rządzącą?

- Sama chciałabym wiedzieć. Muszę zaakceptować wszelkich sprzymierzeńców, jakich znajdę, więc bardzo proszę, Velander, nie naprzykrzaj się im.



Kolację jedzono w sali jadalnej garnizonu, a Andry'ego wysłano na sam koniec stołu. Oprócz niego do oddziału Straży Dróg było przydzielonych jeszcze sześciu innych zwiadowców, wszyscy z cesarstwa Scalticaru Północnego. Taka grupa powstała, gdyż powszechnie wierzono w teorię, iż cudzoziemscy najemnicy będą mniej skłonni do angażowania się w lokalne intrygi przeciwko rodzinie panującej niż miejscowi ochotnicy. Jak dotąd ta teoria dobrze się sprawdzała. Armia zapewniała sobie lojalność cudzoziemskich najemników, sprawiając, że czuli się nieco lepsi od miejscowych. Andry miał kłopot, gdyż sierżant nie przedstawił go innym zwiadowcom i oni czuli się znacznie, znacznie lepsi od niego.

Stosownie do obowiązującej procedury Andry pomaszerował do stołu zwiadowców, odszukał żołnierza, który nosił czerwoną gwiazdkę delegata, zaszalutował, wręczył mu małą metalową płytkę i zameldował się po sargolsku.

Delegat zwiadowców umieścił tabliczkę na wolnym miejscu przy stole i powiedział: „Siadaj”. Był łącznikiem między grupą a sierżantem Straży Dróg i liderem, jeśli chodziło o kontakty ze strażnikami. Faktycznie zwiadowcy nie mieli dowódcy, ale kiedy rozkazy były niejasne, o ich interpretację pytali delegata. Jednak słuchanie jego rozkazów nie wchodziło w rachubę.

Andry usiadł, obserwując z wielkim przejęciem, co inni zwiadowcy robią w czasie oczekiwania na posiłek. Od razu zauważył, że między sobą rozmawiają po alberiińsku. Zwracali się do siebie, nie używając stopni wojskowych. Każdy oprócz niego miał przed sobą miskę z gulaszem. Andry siedział cierpliwie. Po chwili zwiadowca, którego inni nazywali Essen, wstał, podszedł do małego podręcznego stolika i nałożył sobie kolejną porcję. Zdając sobie nagle sprawę, że oczekuje się od niego respektowania kodeksu, którego nie zna, Andry zaczerwienił się, poprosił o wybaczenie i poszedł do stolika, aby się obsłużyć. Zauważył także, że pozostali mają niewielkie czarki z winem. Wino było podane na innym małym stoliku, lecz Andry uznał, że mógłby popełnić kolejną gafę i obył się bez wina. W ten sposób chcąc naprawić jeden błąd, popełnił kolejny.

Do tej pory złamał pięć niepisanych reguł, o których istnieniu sierżant

zapomniał go poinformować. Zwiadowcy byli żołnierzami rozpoznania, a to obejmowało również zbadanie każdego nowego w grupie, zanim zacznie w niej służyć. Popełnienie jednego błędu było niemal pożądane. Dwa były wybaczone. Sześć było absolutnie nie do przyjęcia.

- Niektórzy ludzie uważają, że zwiadowcy są zbyt nisko urodzeni, aby z nimi pić - powiedział jeden, o imieniu Danol.

- Co to za ludzie? - zapytał Porter, delegat.

- Zniewieściale eleganciki, nikt ważny - odparł Danol.

Tyle kłopotów, by nauczyć się dobrych manier, a oni nazywają cię zniewieściałym elegancikiem, pomyślał Andry. Wstał, poprosił o wybaczenie i pomaszerował prosto do stolika po czarkę wina. Wrócił do stołu i usiadł. Do tej pory postanowił już, że będzie jadł i pił, a o to, żeby nie drażnić innych, zatroszczy się później. Chociaż miał zbyt niskie albertyńskie pochodzenie, nie był całkowicie pokrzywdzony przez los, nie był zupełnym prostakiem. Został zmuszony do nauczenia się nieco okrętowej dyscypliny na pokładzie „Ptaka Burzy”, nauczył się walczyć w tawernach i warsztatach Bargeyards, potrafił także jeździć konno, gdyż przez wiele lat opiekował się końmi, które ciągnęły barki. Liznął nieco towarzyskiej ogłady i szacunku od Larona, a zachowania przy stole od Wallasa. Do tego potrafił liczyć, czytać i pisać po albertyńsku, znał diomedeański handlowy i sargolski powszechny, co wystarczyłoby mu do uzyskania stopnia starszego kaprała oddziału ochotników. Był geniuszem, który został wychowany w niezbyt idealnych warunkach i dopiero teraz zaczynał to dostrzegać. Wystarczyło mu raz coś powiedzieć, a nie tylko doskonale to pamiętał, ale też potrafił od razu wykonać. Brakowało mu jedynie doświadczenia, lecz właśnie chęć zdobycia doświadczenia przywiodła go do stołu zwiadowców.

Jednakże stawało się coraz bardziej oczywiste, że nowi koledzy uważają wstąpienie Andry'ego do pomocniczej służby Straży Dróg za nieporozumienie. Zwiadowcy uważali się za elitę.

- Mówią, że my, zwiadowcy, jesteśmy bardzo wysoko cenieni - powiedział Porter.

- Nie myśl o tym, pomyśl lepiej o naszym żołdzie - powiedział krępy i przysadzisty Costiger.

- O tak. Młode niewieściuchy chciałyby się wkupić do oddziału, tak jak kupują sobie patenty oficerskie w regularnych oddziałach.

- Powiedz, dostaniemy jakieś udziały w tym, co zapłacą? - zapytał Bander.

- Są dobrze wyszkoleni, nawet niektórzy myślą, że są lepsi z ich zniewieściałymi manierami - powiedział Porter.

- Chodzili do szkół dla psów, jakie szlachcice zakładają dla swoich sfor - dodał Danol, najmłodszy zwiadowca. - Powiesz im „siad” i siadają.

Andry już załapywał. Lata picia i bójk w Bargeyards zaczynały mobilizować go do obrony.

- Myślałem, że psy powinny ogryzać kości na podłodze - zauważył Hartman, który golił sobie głowę na zero, aby ukryć siwiznę.

- Jeśli psy słuchają poleceń, mogą zostać w oddziale - odparł delegat Porter.

- Pies ma tę przewagę nad nami, że może lizać sobie dupę, aby zabić smród, jaki wydziela jego gęba - zasugerował Danol.

- Nie przeginaj, Danol. Wszyscy rekruci są mile widziani.

Andry trzonkiem łyżki wyciągnął z miski żeberka i starannie odkroił kawałek mięsa, a potem nadział go na czubek noża i podniósł do ust. Danol i pozostali kości obgryzali. Danol oczywiście przyuważył Andry'ego.

- Ojej, nikt nie powiedział pieskowi, że przy stole zwiadowców jada się palcami - rzekł, podnosząc do ust kolejną kość.

- Bardzo dobrze wychowany jak na psa - dodał Bander.

- Musiał uciec jakiemuś zniewieściałemu szlachcicowi - uzupełnił Danol.

Nóż Andry'ego wyfrunął z jego ręki, zamigotał i wbił się w żeberka, które obgryzał Danol, tak że czubek ostrza wjechał zwiadowcy między zęby. Przy stole zwiadowców zapanowała chwila absolutnego bezruchu, która zdawała się wiecznością, a trwała zaledwie dziesięć sekund.

- Najmocniej przepraszam - powiedział Andry z szerokim uśmiechem, powoli sięgając ponad stołem i ujmując rękojeść swojego noża. - Wyśliznął mi się.

Wyjął nóż z ust Danola razem z żeberkami, zdjął je z ostrza i włożył delikatnie do miski zwiadowcy. Podniósł nóż, aby pokazać zwiadowcom, że z rękojeści wystają dwie kobiece piersi, a potem odwrócił go i zobaczyli, że głowica ma formę pary pośladków.

- Nieregulaminowy, wiem - wyjaśnił - ale to dar na znak szacunku od madame Jilli z Wesołego Przybytku Madame Jilli z Palionu, więc jestem do niego przywiązany. - I sięgnął po czarkę wina.

- Zwiadowca Tennonner!

Głos sierżanta odbił się echem po sali i wszyscy, od księżniczki Senterri do

Andry'ego, w jednej chwili umilkli. Większość nawet zastygła w bezruchu. Sierżant przemaszerał przez salę wprost do stolika zwiadowców.

- Zwiadowca Tennonera, delegat zwiadowca Porter, bacność! - wrzasnął.

Obaj zwiadowcy błyskawicznie zerwali się na nogi, zaszalutowali sierżantowi i stanęli razem na bacność twarzą w kierunku przodu sali, gdzie siedziała Senterri.

- Delegacie zwiadowco Porter, pozwalam sobie przedstawić wam nowego rekruta zwiadowcę Andry'ego Tennonera. Tennonera ma zakaz otrzymywania wina do posiłków, jako był alkoholik, bo jak powiedział, wino sprawia, że demony z samego dna piekła w niego wstępują.

- Tak jest!

- Po drugie, Tennonera wysłał trzech członków elitarnej Straży Tronowej cesarza do pałacowego lazaretu, gdzie do dziś pozostają, a potem spuścił niezłe manto eleganckiemu kapitanowi Laronowi i sprzął kilku innych członków Straży Dróg w kolejnej bójce. Macie się upewnić, że talenty Tennonera zostaną wykorzystane przeciwko wrogom księżniczki, a nie przeciwko naszym żołnierzom.

- Tak jest!

- Po trzecie, Tennonera jest trochę zwierakiem - jak mieliście już okazję zauważyć - i nie potrzebuje ani zaawansowanych, ani podstawowych ćwiczeń. Jednakże ma się nauczyć dobrych manier i standardów zachowania, aby był mniej niebezpieczny dla tych, którzy są po jego stronie. Upewnijcie się, że i wy i wasi ludzie zachęcają go do ćwiczenia kulturalnego zachowania.

- Tak jest!

- To wszystko. Spocznij i wracajcie do stołu.

- Tak jest! - szczerknęli chórem Andry i Porter.

Andry wrócił na swoje miejsce, odepchnął czarkę z winem i zaczął odcinać kolejny kawałek zeberek od kości. Pozostali zwiadowcy bardzo powoli zabrali się znowu do jedzenia i reszta posiłku przy ich stole upłynęła w absolutnej ciszy.

W przeciwnym końcu sali sierżant również zajął swoje miejsce przy głównym stole, po sąsiedzku z Laronem.

- Wspaniały pomysł, żeby przedstawić młodego Tennonera oddziałowi i zespołowi zwiadowców, kapitanie Laron - powiedział, podnosząc kielich wina.

- Lubię, kiedy ludzie wiedzą, na czym stoją, obywa się wtedy bez wielu głupich nieporozumień - odparł Laron.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy i wrażliwy, jeśli chodzi o tego młodzieńca.

Chociaż jeśli mogę tak powiedzieć, nawet młody Tennoner jest co najmniej pięć lat starszy od pana.

- Przeciwnie, sierzancie. Jestem znacznie starszy, niż na to wyglądam.



Terikel spotkała się z Wilbarem, Riellen i Maebenem w przestronnym domu, w którym Wilbar i Maeben wynajmowali poddasze. Z okna mogli obserwować piękny pas światła Smoczego Muru na zachodnim niebie. Wilbar nosił okulary z barwionymi soczewkami, nawet w nocy, a gdy mówił, zawsze trzymał dłoń przy ustach. Maeben wyjaśnił, iż Wilbar robi to, aby nie rzucać się w oczy, ponieważ ma status tajnego rewolucjonisty. Terikel i Velandar spojrzały po sobie, ale żadna odpowiedź, która cisnęła im się na usta, nie była zbyt dyplomatyczna.

- Tutaj mamy świder do kamiennego kręgu - wyjaśniał Wilbar, trzymając w ręku urządzenie, które wyglądało jak pięć kawałków ciemnego szkła przyklejonych na czubku walcowatej podstawy. - Wiesz, to jakbyś przewiercała się przez ścianę, aby zajrzeć do pokoju, w którym nauczyciel przygotowuje zaklęcia na egzamin.

- Nazywamy to wiertłem - powiedziała dumnie Riellen, patrząc na Terikel ponad połówkowymi szklami swoich okularów do czytania. - Wwiercamy się w zaklęcia bardzo ważnych przedsięwzięć.

- A teraz patrzmy na czujniki kontrolne - dodał Maeben, obawiając się, że zostanie wykluczony z rozmowy.

- Świder został zaprojektowany przeze mnie, więc powinien być nazwany Łamaczem Kamiennych Kręgów Wilbara, ale ze względów bezpieczeństwa nasze imiona nie mogą być kojarzone z tym urządzeniem - przynajmniej dopóki nie zdemaskujemy i nie obalimy klasy rządzącej. Dopiero wtedy uczciwi, dociekliwi ludzie będą mogli przypisać sobie pełną zasługę stworzenia tego innowacyjnego...

- Jak to działa? - zapytała zniecierpliwiona Terikel.

- Używamy tego do podsłuchiwania komend wydawanych przez czarodziejów zarządzających Smoczym Murem - powiedziała Riellen.

Do tej pory Terikel zdążyła już nabrać złych przeczuc co do członków Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków. Maeben miał mniej niż metr dwadzieścia wzrostu i był na tym punkcie przeczulony, Riellen, dziewczyna z Alberinu, nosiła bardzo grube okulary i miała mniej ogłady towarzyskiej niż Andry, a Wilbar był jakieś sześćdziesiąt centymetrów wyższy od Maebena, ale na oko ważył tyle samo. Wyobrażał sobie, że jest rewolucyjnym reformatorem, który zdemaskuje

czarodziejską klasę rządzącą, ale obecnie miał problem z określeniem, co dokładnie próbuje zdemaskować.

- Znam podobne urządzenia. Ten świder musi być skierowany dokładnie w stronę Smoczego Muru, aby uzyskać jakikolwiek kontakt - powiedziała Terikel. - To ogranicza jego użycie do kręgów bezpośrednio pod machiną.

- Ach i tu się mylisz! - oznajmił Wilbar triumfalnie.

- Chociaż masz też rację - dodała Riellen, która była jedyną studentką w sześćdziesięcioosobowej grupie studentów i lubiła popierać kobiety.

- Co oznacza, że masz rację, ale nie do końca - wyjaśnił Maeben, podskakując w miejscu i podnosząc ręce, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Szkło pochodzi ze stopionego kontynentu Torei - powiedział dumnie Wilbar. - Tyraliśmy po godzinach przez miesiąc, aby móc kupić oryginalny kawałek.

- Wiem sporo na temat cięcia szkła i soczewek, ponieważ sama potrzebuję dość specyficznych - powiedziała Riellen. - Pocięłam własnoręcznie ten kawałek na pięć mniejszych.

- A ja przykleiłem je do podstawy - pochwalil się Maeben.

- Ale potrzebujecie pięciu osób do rzucania zaklęć - stwierdziła Terikel - a jest was tylko troje.

- Och, Holbok podaje dzisiaj piwo w Królewskich Ramionach - rzekł Wilbar.

- A Allaine szoruje podłogi w Nóżkach Królowej - dodał Maeben.

- Pani też jest czarodziejką - zauważyła Riellen. - Jeśli poczekamy godzinę, aż Allaine skończy pracę, będzie nas pięcioro i zademonstrujemy działanie urządzenia.

- Nie możemy czekać tak długo - powiedziała Terikel - ale Velandar także może rzucać zaklęcia.

Velandar drgnęła, gdy trójka studentów odwróciła się w jej kierunku. Ukłonili się, przypuszczając, że jest starszą czarodziejką w przebraniu.

Świder - miniaturowy kamienny krąg - musieli przymocować do stołu przodem w kierunku okna, z którego widać było Smoczy Mur. Wilbar był bardzo drobiazgowy, jeśli chodziło o ustawienie pod odpowiednimi kątami i o to, żeby nikt nie potrącił ani w inny sposób nie poruszył tego najprawdopodobniej najmniejszego kamiennego kręgu na świecie.

- Hej, przecież potrzebujemy księgi kodów zaklęć - przypomniała sobie Riellen.

- Księgi są w moim pokoju.

Księgi były cenne, a Riellen mieszkała w dormitorium Clovesserskiej Szkoły

Dyplomacji, Obycia i Etykiety, ponieważ jedynie ta uczelnia oferowała akademik studentkom. Akademik był strzeżony, więc większość podręczników magii, które pięcioro budowniczych świdra „wyzwolilo” z biblioteki własnej uczelni, była tam przechowywana.

- Potrafię wyrecytować potrzebne zaklęcia z pamięci - powiedziała Terikel. -
Zaczynamy.

W normalnym kamiennym kręgu czarodzieje siadali na kamieniach, ale oni nie mogli usiąść na kawałkach stopionego piasku dwunastocentymetrowej wysokości. Każdy z piątki czarodziejów wyczarował swoją małą podobiznę i usadził ją na kawałku szkła. Figurki wyciągnęły ręce i wytworzyły piękne promienie magicznej mocy, które splotły się i uleciały przez okno w kierunku Smoczego Muru. Wilbar ustami swojego sobowtóra wypowiadał kolejne zaklęcia i nagle nad cylindrem pojawiła się lśniąca kula energii eterycznej. Energia wniknęła w główkę malutkiej postaci, która zaczęła przemawiać cieniutkim głosem.

- Kamienny krąg Alpinie donosi o wichurze pięćdziesiąt kilometrów na północ. Krąg Centras, prosimy o potwierdzenie.

Nieforemna kula energii eterycznej opuściła głowę figurki, ale nie przemieściła się nigdzie indziej. Upłynęło kilka minut. Terikel przerwała krąg.

- Przestało działać - powiedziała. - Czyżby nas odkryli?

- Nie, musieliby być blisko nas, by w ogóle mogli cokolwiek wychwycić. Po prostu w kręgu Alpinie nikt już nic nie mówił po pierwszej wiadomości, więc nic nie słyszymy z dalszych kręgów.

- Chciałabym usłyszeć więcej - powiedziała Terikel, starając się ukryć podniecenie.

- Krąg Alpinie jest jedyny, który możemy podsłuchiwać... - zaczął Maeben.

- Wświdrowywać! - przerwał mu Wilbar.

- ...tym urządzeniem - dokończył Maeben.

- Ale mamy jeszcze jedno! - powiedziała niezobowiązująco Riellen.

- Riellen! - wrzasnęli Wilbar i Maeben chórem.

- Dlaczego mamy to ukrywać? - zapytała Riellen, biorąc się pod boki. - Te panie nie należą do czarodziejskiej klasy rządzącej.

- Rozumiem, że macie większy przenośny kamienny krąg? - zapytała Terikel.

- Do niczego się nie przyznajemy - powiedział Wilbar stanowczo i tym razem reszta zachowała milczenie.

- Cóż, dziękuję za to, coście mi pokazali. - Terikel wstała. - Jest to interesujące, ale mało obiecujące.

- Wielkie dzięki - dodała Velandar, także wstając.

Studenci patrzyli na swoje stopy, bo nagle zdali sobie sprawę, że nie są pewni, co mają zrobić. Velandar oblizwała wargi. Studenci wzdrygnęli się i cofnęli. Terikel sięgnęła do zasuwy blokującej drzwi.

- Czekaście! - zawołał Wilbar. - My, eee, właściwie to mamy taki większy krąg i dokonaliśmy już, eee, pewnych testów. Może dla nas wszystkich będzie lepiej, jeśli go przy was uruchomimy. Ja... myśmy zauważyli, że kiedy nam pomagaliście przy mniejszym kręgu, otrzymaliśmy o wiele wyraźniejszy obraz w centrum, niż kiedykolwiek udało się nam to z dużym kręgiem.

- Pewnie jesteście lepsze w czarowaniu niż my - powiedziała Riellen z nieskrywanym podziwem.

- Więc pomyślcie, co możemy zrobić z użyciem większego kręgu! - krzyknął Maeben, podskakując i wymachując rękami.

Terikel bacznie ich obserwowała.

- Gdzie jest ten większy? - zapytała.

- Na dachu akademii - odpowiedział Wilbar.

- Ale nie w tej chwili - dodała Riellen.

- Możemy go tam wynieść w ciągu godziny - zapewnił Maeben.



Sergal był zdesperowany, przerażony i miał poczucie, że wpadł w pułapkę. W tych uczuciach nie był osamotniony, wszyscy czarodzieje ze wszystkich kamiennych kręgów wpadli w pułapkę i obawiali się o swój los. Nie było sposobu na opuszczenie czaru Smoczego Muru. Stąd pochodziła jego nazwa, jak właśnie sobie zdali sprawę. Szklane smoki były czarodziejami, które żyły wiecznie w zakłęciu stworzonym szczególnie przez dziesięciolecia i ulepszanym przez wieki. Ich ciała były pogrążone w rodzaju magicznej hibernacji: nie miały wieku, nie potrzebowały pożywienia, wody ani powietrza. Smoczy Mur działał na podobnej zasadzie i uczestniczący w nim czarodzieje szybko sobie uświadomili, że aby mogli go opuścić, cały czar musiałby zostać zniszczony. Wszystkie plany uruchomienia zewnętrznych kręgów nagle tak się miały do czarodziejów jak dziwka do eunucha, to samo dotyczyło planów ośmiogodzinnych zmian dla czarodziejów na megalitach. Jednakże uczestnicy stali się faktycznie nieśmiertelni, a Smoczy Mur pozwalał im patrzeć na świat z niezmiernej

wysokości i porozumiewać się ze śmiertelnikami za pomocą magicznych autonów, sobowtórów. Dla wielu starszych, wątłych, artretycznych czarodziejów oznaczało to wyraźną poprawę stylu życia. Było tak, jakby stali się szklanymi smokami bez wieków ciężkiej pracy i mozolnego rozwoju.

Przy reaktywacji Smoczego Muru powstały ogromne ilości energii i gdyby cała konstrukcja upadła, energia ta musiałaby gdzieś się podziać. Teksty, które było dane przeczytać Sergalowi, nazywały to Ognistym Wiatrem, magazynem energii eterycznej generowanej przez olbrzymi wirnik Smoczego Muru. Problem polegał na tym, że Sergal miał tylko zaklęcie do uruchomienia Ognistego Wiatru i wiedział, że magazynuje on energię. Nie miał pojęcia, co jeszcze może ta machina.

Teraz nieautoryzowane miniaturowe kamienne kręgi zaczęły się podłączać do Smoczego Muru jak podnawki do rekina. Nawet czarodzieje o marnych umiejętnościach i niskim stopniu wtajemniczenia mogli stworzyć taki krąg, mając odpowiednio nachylony stok wzgórza lub dach. Z samego kontynentu Acremy już pięć było podłączonych do Smoczego Muru, dużo więcej próbowało to zrobić wzdłuż całej jego długości. Gorzej, że było coś groźniejszego w samym Smoczym Murze, tajemnica tak przerażająca, że Sergal mógł poświęcić życie, aby zniszczyć to, czego się wcześniej nauczył. Jak dotąd nikt nie zdawał sobie sprawy, kto właściwie sprawował kontrolę, ale wcześniej czy później jeden z nowo przybyłych ruchomych kręgów odkryje prawdę i powiadomi inne. I będzie to koniec świata.

Sergal wiedział, że powinien przynajmniej zniechęcić nowych chętnych do podłączania się. Atak na pełnowymiarowe kręgi, gdy są podłączone, grozi zdestabilizowaniem całego Smoczego Muru. Tyle że nie wszystkie ruchome kręgi były pełnowymiarowe.



Zwiadowcy i kilku ochotników ze Straży Dróg dostali przepustkę od kolacji do północy. Andry odszukał Wallasa i zaproponował, by udali się do tawerny.

- Jak odnajdujesz się jako kucharz? - zapytał, gdy już maszerowali ulicą.
- Nieźle. Potrafię gotować najlepiej spośród wszystkich wyznaczonych do obsługi kuchni polowej.
- Masz talent i w czarodziejski sposób wydobywasz smaki z całkiem zwyczajnych rzeczy - powiedział Andry. - Gdzieś ty się tego nauczył?
- Od rodziców, którzy mieli tylko podstawowe składniki i niewiele przypraw, a potrafili je zamienić we wspaniałe potrawy, a je z kolei w mnóstwo pieniędzy.

- Twoi rodzice byli kucharzami?

- Zgadza się. Zarobili na tym sporo i postanowili, że moi bracia i ja będziemy się kształcili na dworzan. Uczyłem się retoryki, sztuki pochlebiania, heraldyki, etykiety i różnych sztuczek, którymi szlachetni, leniwi i nieprawdopodobnie nudni bogacze się zabawiają. Uczyłem się także muzyki i zacząłem być w tym bardzo dobry.

- Cóż...

- Drwij sobie, jeśli chcesz. Przyznaję, że moje kompozycje były rzadko doceniane, ale w graniu tego, co stworzyli inni, jestem doskonały. Nawet tandetne, szmirowate utwory pisane przez cesarzową brzmiały nieźle, kiedy ja je grałem. Inni mężczyźni tylko jej schlebiali, ale ja czyniłem jej dzieła lepszymi, niż były naprawdę. Odziedziczyłem talent po rodzicach, rozumiesz, praca na najprostszych materiałach.

- Wallasie, kiedy myślę o tobie jak o głównym muzyku cesarstwa sargolskiego, nie mogę przestać się dziwić... Ach, to wygląda obiecująco, Smoczy Oddech.

Weszli do małej tawerny zatłoczonej żołnierzami piechoty, ochotnikami i kawalerzystami z pobliskiego garnizonu. Andry kupił dwa kufle miejscowego piwa, potem obaj stanęli przy oknie, patrząc na ulicę.

- Czy zauważyłeś, Wallasie, że jeśli jakiś biedny chłopak dzięki swemu talentowi coś osiąga, najbardziej wściekli są ludzie niewiele od niego lepsi albo zajmujący to samo stanowisko?

- Miałeś problemy ze zwiadowcami? - zapytał Wallas.

- Sporo, w trakcie posiłku. Nie jestem pewien, co zaszło, ale zwiadowcy narzekali, że mam zbyt dobre maniery. Potem przyszedł sierżant i wydzierał się, że jestem zwierzęciem, a potem zwiadowcy przestali się do mnie odzywać. Przestali się odzywać nawet do siebie nawzajem. Czy naprawdę jestem zbyt elegancki na zwiadowcę?

- W pewnym sensie tak. Będziesz pasował do tych prostaków, jeśli zechcesz. Nikt nie jest bardziej pospolity niż ty, ale próbujesz nauczyć się manier i zachowania, które nie pasują do ciebie. Czego ty właściwie chcesz, Andry?

- Czego ja chcę? Gwarnej karczmy, pełnej sakiewki i dobrego rebeku.

- Masz to wszystko. To tawerna pełna żołnierzy, mamy pieniądze, a rebek czeka w twoim plecaku.

- Prawda. Problemem jest, kiedy włożę taki mundur i zostanę oficerem.

- U-hu-hu. Najpierw powinienes zostać szlachcicem.

- Mogę awansować stopień po stopniu.

- Niemożliwe. Musisz zostać przedstawiony księżniczce, jeśli chcesz zejść tak wysoko, a żeby zostać przedstawionym księżniczce, musisz być szlachcicem.

- Księżniczka słyszała, jak sierżant na mnie wrzeszczał. To znaczy, że mnie zna.

- Uwierz mi, Andry, to nie to samo.

Przerwał im gruby człowiek z kuflem piwa i czymś, co okazało się drewnianym fletem przymocowanym do krowiego rogu. Chwiał się niepokojąco pomiędzy Andrym i Wallasem.

- Kupicie dworski instrument muzyczny, na którym grywano na królewskim dworze w Palionie? - zapytał.

- To, proszę pana, jest ludowy instrument - powiedział Wallas. - Bardzo ludowy.

- To rodzinny skarb. Moja stara matka na nim grywała.

- To nie jest kobiecy instrument - odparł Wallas. - Masz pan go od kogoś, kto go ukradł, a jeśli ktoś go kupi, ty przepijesz pieniądze.

- Daj go - powiedział Andry, biorąc instrument do ręki.

Na jednym końcu instrument miał dwa stroiki i Andry najpierw je sprawdził, a potem przyłożył flecik do ust i zagrał „Gigę kawaleryjską”. Któryś z gości zaklaskał. Andry się uklonił.

- Biorę go - powiedział. - Oczywiście jeśli cena będzie przystępna.

Po chwili targowania się cena spadła do poziomu, który Andry uznał za akceptowalny.

- Na co potrzebny ci ten flecik? - zapytał Wallas, gdy Andry odliczał kwotę za kradziony instrument. - Masz piszczałkę i rebek... i pożyczyłeś moją lirę, aby ćwiczyć pijackie piosenki.

- Jest głośny i lepszy do muzyki tanecznej. Poza tym ubiegłej nocy napisałem pieśń miłosną. Szlachcice śpiewają miłosne pieśni.

- „Pięć kufli, zanim ona go przewróci” trudno nazwać pieśnią miłosną. Tak czy owak popierasz ekonomię kryminalną, kupując ten instrument.

Andry wręczył grubasowi odliczoną kwotę.

- Trzymaj, kolego. Wallasie, nawet kryminaliści lubią dobre melodie do tańca. Dlaczego ja, znany jako zimny zabójca, który gra...

- Dobrze, dobrze, przekonałeś mnie, wystarczy.

- Jak się nazywasz, chłopie? - zapytał Andry grubasa, który właśnie po raz drugi przeliczał garść srebrnych i miedzianych monet.

- Transfer.

- Dziwne nazwisko - powiedział Wallas. - Nie natknąłem się na nie w Liście heraldycznej 2-A.

- Mówi o moim zawodzie, tłuściochu.

- Co takiego?! - wykrzyknął Wallas, który był dumny z utraty wagi, nawet jeśli nie była dobrowolna.

- Transferuję dobra od ludzi, którzy je mają, do ludzi, którzy chcą je mieć.

- Nie wyglądasz jak urzędnik podatkowy - powiedział Wallas.

- Ha, ha, zabawny pan jest. Naprawdę lubię pomagać, tak jak teraz. Ludzie pomagają mi, a ja pomagam ludziom. Wszyscy potrzebujemy pomocy, pomagamy sobie wzajemnie. Podatkowe niewieściuchy nie pomagają nikomu.

Andry rzucił monetę na stół.

- Rozchmurz się, Wallasie, kup nam coś do picia, a ja wypróbuję nowy nabytek.

Pewne słowa z tej rozmowy nie dawały mu spokoju. Słyszał je jakiś czas temu. Pomóż mi. Zorientował się, że od tamtej pory przestał pić. Nie czuł do Velandera szczególnej sympatii, lecz robiąc coś, by zmienić jej dziwny stan, z pewnością ocali życie tylu ludziom, że dałoby się z nich sformować duży batalion.

- Hej, ale dla mnie woda - dodał, gdy Wallas już odchodził.

Zaczął grać „Wierzby nad wodą”, a Transfer zerwał się i odtańczył niepewną gige. Reszta gości przyłączyła się, klaszcząc lub tupiąc. Andry stwierdził, że jest szczęśliwy, chociaż dawny legalny właściciel flecika nie mógłby tego o sobie powiedzieć.



Clovesserska Akademia Stosowanych Sztuk Czarodziejskich była właściwie dawną gospodą, w której część ścian wyburzono, aby przerobić pomieszczenia na czytelnię i bibliotekę. Uczyło się tu sześćdziesięciu studentów pod kierunkiem pięciu czarodziejów wykładowców, a nad wszystkim czuwał sekretarz. W przeciwieństwie do uczelni w większych miastach, gdzie wszyscy mieszkali na terenie miasteczka akademickiego, w akademikach i dormitoriach, profesorowie i studenci w Clovesser byli rozrzućeni po mieście. To oznaczało, że w nocy budynek akademii świecił pustkami.

Wejście do środka nie stanowiło problemu. Wilbar zdobył skądś klucze, zrobił ich woskowe odciski, a według odcisków Riellen wykonała kopie. Sztuką było tak się poruszać w budynku, żeby nie uruchomić zakłęb stróżujących, które rzucił dyrektor.

- Na dachu nie ma zakłęb, prezbiterko, ale w drodze na dach są - powiedziała Riellen, gdy czekali ukryci w alejce, po drugiej stronie ulicy.

- Dach? - zdziwiła się Terikel.

- Na dachu ustawimy nasz kamienny krąg - wyjaśnił Wilbar.

- Wiemy, gdzie są zakłęcia stróżujące, bo byliśmy tu już dziesiątki razy - powiedział Maeben. - Będziemy musieli cię ostrożnie tamtędy przeprowadzić.

- Czy na dachu jest lina? - zapytała Velandar.

- Tak, właściwie dach jest podwójny - odparł Wilbar. - Ukryliśmy liny, belki i inne przedmioty potrzebne do zbudowania przenośnego kręgu w szczelinie między dachami.

- Poczekajcie - powiedziała Velandar.

Przeszła ulicę i po prostu wspięła się po ceglanej ścianie akademii, używając do tego szponów u rąk. Chwilę później opuściła linę.

Terikel chwyciła sznur, została wciągnięta na górę i zaraz Velandar była z powrotem na dole. Podeszła do trójki studentów.

- Przełożona jest już na dachu. Teraz wy idźcie na górę.

- Ale, ale, potrzebujemy cię także tutaj.

- Wrócę za godzinę.

Velandar wtopiła się w ciemność, zostawiając studentów wymieniających w cieniu zakłopotane spojrzenia.



Andry widział w życiu wiele zwłok, wszak dorastał w Bargeyards, ale ciało, które leżało kilka ulic od tawerny, pod dwoma względami różniło się od innych. Ten człowiek sprzedał mu coś, kiedy jeszcze żył i było to niecałą godzinę wcześniej. Gardło Transfera było dosłownie rozdarte, a rumiany uprzednio handlarz kradzionym dobrem teraz w świetle latarni był blady jak kreda.

Wallas i Andry przystanęli, aby popatrzeć, jak strażnik i herold badają ciało. Herold naiwnie szukał pulsu na poszarpanej szyi Transfera. Zaczynał się gromadzić tłumek pijaczków, obiboków i ulicznych dziwek. Andry dotknął schowanego za pazuchą flecika i zadrzał.

- Velandar - szepnął do siebie tak cicho, że nawet Wallas go nie usłyszał.

- Przypomniało mi się, że ty też niemal tak skończyłeś - powiedział z przerażeniem Wallas. - A ja obok ciebie. Czy tutaj, w Clovesser, można gdzieś kupić Lecznicze Czosnkowe Wino Mamuśki Antwurzela?

- Co za straszny sposób przejścia do Mrocznej Krainy - westchnął Andry. - Czemu tacy spokojni ludzie jak pan Laron i pani Terikel puszczają tego potwora samopas?

- Może nie potrafią przekonać Velander, że dieta wegetariańska jest korzystniejsza dla zdrowia - zasugerował Wallas. - Ja też nie dam się przekonać. Żaden wegetarianin, którego dotąd poznałem, nie był inspirującym mentorem.

- Mówiła, że wysysa krew tylko złych ludzi - powiedział Andry ledwie słyszalnie.

- Co było złego w Transferze? Sprzedawał skradzione przedmioty, a zyski przepijał.

- Gdyby zatrzymał te pieniądze, poprawiłby swój los.

- Wielu ludzi radzi sobie dobrze i oszczędza, a są źli.

Strażnik podniósł dzbanek leżący przy zwłokach, powąchał i wypił resztę.

- Obrzydliwe. - Wallas się wzdrygnął. - Nawet nie użył kubka.

- „Mentor” - powiedział Andry, ruszając przed siebie mroczną ulicą. - Powiedziałaś „mentor”, Wallasie. Co to jest mentor? To ktoś taki jak majster?

- Niezupełnie, bardziej jak stary i doświadczony rzemieślnik zaprzyjaźniony z kimś, kto właśnie startuje w zawodzie. Ktoś, kto daje dobry przykład raczej, niż uczy.

- Mentor... - Andry się zamyślił, uderzając nowo nabytym instrumentem o dłoń.

- Velander poprosiła mnie o pomoc, a ja nic nie zrobiłem.

- Pomoc? Sądzę, że powinna ograniczyć picie, a to może zrobić bez niczyjej pomocy.

- Wracam do baraków, Wallasie. Idziesz?

- O tak. Po raz pierwszy od czasu, gdy uciekłem z pałacu w Palionie, będę się mógł wyciągnąć na łóżku.

- Widocznie zapomniałaś o łóżku madame Jilli.

- Ach, no tak.

- I o łóżku Melier na „Ptaku Burzy”.

- Cóż, tak.

- I o łóżku Jelene w Harrgh.

- Jelene, owszem.

- I...

- Och, zamknij się.



Większy przenośny krąg był serią znaków na bardzo stromym, nachylonym dachu akademii. Budynek stał na osi północ-południe, więc był równoległy do

Smoczego Muru. Godzinę trwało przymocowanie precyzyjnie odmierzonych drewnianych belek nad dokładnie wyznaczonymi punktami na dachówkach i umieszczenie w najniższym miejscu, w rynnie, kawałków toreańskiego szkła, tak by krąg był skierowany w stronę świetlnego promienia na horyzoncie. Pięcioro wtajemniczonych miało nieco niestabilne, ale umożliwiające rzucanie zakłóć pozycje.

- Jak wielu innych jest w to jeszcze zaangażowanych? - zapytała Terikel. Zorientowała się już, że studenci byli zakwaterowani po dwóch lub trzech.

- Proszę mi wybaczyć, ale kiedy wróci pani przyjaciółka? Potrzebujemy pięciu wtajemniczonych - powiedziała Riellen.

- Niech ją szlag! - krzyknęła Terikel.

- Pani...?

- Nieważne. Wspominaliście o innych z waszej grupy.

- Holbok i Allaine. Allaine powinien właśnie kończyć w Nóżkach Królowej. Jeśli chcecie, skoczę po niego, ale w tym czasie może wrócić pani Velander...

- Velander zrobi, co zechce. Sprowadźcie Allaine'a.

Minęło kolejne pół godziny, zanim Riellen wróciła z młodzieńcem, który przypominał ubrany w tunikę kij od miotły zakończony szopą czarnych włosów. Zostawiła też notatkę pod drzwiami pokoju Holboka, który mieszkał w tym samym budynku co Allaine.

- Holbok ma dobre serce, ale jest nieco powolny - powiedziała do Terikel, gdy Wilbar pokrótce opowiadał sytuację Allaine'owi. - Jest znakomity w wynajdywaniu argumentów, lecz dojście do konkluzji zajmuje mu cały dzień.

- Nie mogę uwierzyć, że jest członkiem grupy spiskowców - skomentowała Terikel.

- Och, ale jego wnioski są bardzo trafne. Problem polega na tym, że on nie lubi być poganiany.

- To może być problem wtedy, gdy trzeba działać, przekraczając reguły, przepisy i prawo, które źli ludzie stworzyli na swój użytek.



Długą chwilę stał w ciemnej stajni, zanim się odezwał. Zdarzało się, że wiedziony odruchem pomagał ludziom w tarapatkach, ale w tym wypadku został poproszony o pomoc, - to było dla niego zupełnie nowe doświadczenie.

- Velander! - zawołał, nie zbliżając się jednak.

Velander odrzuciła pokrywę skrzyni bagażowej, usiadła, potem wypłynęła jak

mroczna kropla rtęci i stanęła obok wozu.

- Prosiłaś mnie o pomoc i pomagam ci - rzekł.

- Pomagasz? Jak?

- Próbuję być twoim mentorem - odparł, nieco ubarwiając prawdę. - Nie piję. A w każdym razie się nie upijam.

Nie był do końca pewien, dlaczego tak bardzo ograniczył picie. W końcu szlachcice piją tyle samo co inni, ale robią przy tym o wiele mniej hałasu.

- Naprawdę? - Velandier nie mogła uwierzyć.

- Tak.

Odwróciła wzrok. To także dla Andry'ego była nowość. Zazwyczaj Velandier sprawiała, że inni opuszczali oczy.

- Ja piłam... tylko raz - powiedziała niechętnie.

- Ten raz nazywał się Transfer. Miał czterdzieści jeden lat i tańczył gigę, kiedy grałem na moim nowym fleciku w Smoczym Oddechu. Oswoił szczura i dał mu na imię Kryl, karmił go kawałkami sera. Kiedyś prowadził stragan na targu, ale ciężki wóz rozjechał jego wózek, a towar rozkradziono, więc zaczął handlować kradzionymi rzeczami. Nie miał wielkiego wyboru. Niepowodzenia złamały jego ducha, jednak zostało w nim trochę radości życia. Krzywdził innych o wiele mniej, niż sam został skrzywdzony.

- Wystarczy! - krzyknęła Velandier, ale nie spojrzała Andry'emu w oczy. - Po co to robisz?

- Przestrzegaj naszej umowy.

- Nie było umowy.

- Poprosiłaś o pomoc.

- Nie mówiłaś nic o żadnej umowie! - Velandier tupnęła tak mocno, że złamała deskę w podłodze.

Andry wzdrygnął się, zaskoczony i przestraszony, ale się nie cofnął.

- Dobra, mówię to teraz. Ja zupełnie przestanę pić, jeśli ty będziesz się trzymała z dala od niewinnych pijaczków.

- Przestanieś zupełnie?

- Tak. To będzie bardzo trudne. Już sobie wyobrażam, wszyscy moi kumple piją w karczmie, a ja tylko gram.

- Trudne? Bardzo trudne?

- Tak. Umowa stoi?

Velander spojrzała Andry'emu w oczy, ale nie próbowała go spieszyć.

- Tak, mamy umowę: będę mogła zabić, jeśli ty upijesz się w karczmie. Przykro mi z powodu... Transfera. Teraz.

- Laron powiedział, że możesz żywić się krwią psów i wilków.

- Faj, to jakby wino zamienić na ocet.



Mając już po jednym wtajemniczonym przy każdym kamieniu, Terikel i studenci jeszcze raz wypowiedzieli zaklęcia i stworzyli swoje sobowtóry. Maleńkie figurki usiadły niepewnie na kawałkach szkła, potem podniosły rączki i wyczarowały eteryczne promienie, które falującymi spiralami poleciały poprzez miasto w stronę tęczy na zachodnim niebie.

Tym razem Terikel przewodziła grupce, więc zaklęcia poszły sprawniej. Mętlik energii eterycznej w centrum uformował się w kształt głowy.

- Krąg Centras donosi o kolejnych zakłóceniach w głównym promieniu. Reszta kręgów, proszę o raporty.

Głos słyhać było głośno i wyraźnie. Może aż za głośno. Terikel zdziwiła się, że przechodzący stróż nie zwrócił uwagi na dziwne światła i głosy dochodzące z dachu akademii.

- Krąg Septire: Wszystko w porządku.

- Krąg Logiar: Zauważono zakłócenia, ale bez następstw.

- Krąg Centras: Wszystko w normie.

- Krąg Wasteland: U nas spokój.

- Krąg Alpine: Zaobserwowaliśmy zakłócenia i uważamy, że to rodzaj samowyladowania.

- Krąg Centras: Krąg Alpine, powtórzcie.

- Krąg Alpine: Zakłócenia mają formę silnego pulsowania, które powoli zamiera. To mogą być zakrzywienia w podstawie eteru, których nie zauważono w trakcie budowy Smoczego Muru.

- Krąg Centras: Mówicie, że te zakłócenia są naturalne, Alpine?

- Krąg Alpine: Taka jest nasza teoria.

Zakłócenia, pomyślała Terikel. Wrzuć kamień do jeziora i zobaczysz zakłócenia. Uderz nieautoryzowanym zaklęciem w Smoczy Mur, a także możesz zobaczyć zakłócenia. Wydawało się dziwne, że mały i słaby krąg mógł wywołać taki efekt w potężnym Smoczym Murze, ale powierzchnia jeziora zostanie zakłócona, kiedy wrzuci

się do niej malutki kamyk.

Obrazy promieni kontrolnych migotały w oczach Terikel, gdy kamienne kręgi tworzące łańcuch długi na pół świata po kolei zdawały raport pozostałym. W sposobie myślenia o Smoczym Murze Terikel było coś dziwnego, jednakże ponieważ promienie były w jej zasięgu, powinna chcieć po nie sięgnąć. To mogłoby ściągnąć na nią uwagę, ale mając kilka promieni, mogłaby się bronić, wykorzystując siłę samego Smoczego Muru. Wszystko to wydawało się tak proste do opanowania, że wyglądało na pułapkę.

Było to jak wielka bitwa galer napędzanych tysiącami wiosł, chociaż każda z nich mogła sama sterować. Terikel wypowiedziała zaklęcie i dzięki niemu uzyskała promień, który umiejscowił się ponad pozostałymi. Tym razem przybrał kształt głowy starszego mężczyzny, który wyglądał na bardzo przestraszonego.

- *Mel'si dar, tik-le trras asgir.*

Terikel знаła ten język. To był larmentalski, toreański język naukowy. Wszystkie wykłady na Uniwersytecie Larmentalskim były prowadzone po larmentalsku, a ona studiowała tam dziesięć lat temu. *Trras*. „Zaatakuj” albo może „uderz w nich”. *Asgir*. „Intruzi”...

- Przerwijcie połączenie, uciekajcie! - krzyknęła, porzucając swoją figurkę i kawałek szkła. - Oni nas widzą.

Zsunęła się po pochyłym dachu, uderzyła o rynnę i przeleciała nad nią, ale wylądowała w krzakach, które rosły po obu stronach głównego wejścia. Spojrzała w górę; Riellen ześlizgiwała się po linie przywiązanej przez Velander, tuż za nią zjeżdżał Wilbar. Allaine uderzył w rynnę i zdążył się jej złapać. Rynna oderwała się, opuszczając chudego studenta delikatnie na ulicę. Wokół Terikel spadł istny deszcz dachówek, a wraz z nim Maeben runął w krzaki.

- Szybko, do alejki! - krzyknęła Terikel, z trudem wyplątując się z gałęzi.

Mimo że właśnie zaliczyli ekspresową ewakuację z dachu dość wysokiego budynku, poza paroma sińcami nikomu nie stało się nic złego.

- Co jest? - wydyszał Wilbar, gdy już skryli się w cieniu.

- Coś... w Smoczym Murze - szepnęła Terikel. - Mnóstwo promieni kontrolnych. Smoczy Mur musi zostać zniszczony!

- Co? Dlaczego? - zachłysnął się Wilbar.

- Każdy może całkowicie zapanować nad tą energią - odszepnęła Terikel, chwytając go za kołnierz. - Jest dużo gorzej, niż sądziłam. Teraz wiem, że muszę to zniszczyć, a wkrótce będę wiedziała, jak to zrobić.

- Ktoś idzie! - ostrzegła ich Riellen.

W mroku dojrzeli jakąś postać w płaszczu i kapeluszu z długim, wystrzępionym piórem. Postać wyjęła z kieszeni klucz i podeszła do drzwi akademii.

- Holbok! - krzyknął Maeben. - Tutaj, schowaj się!

- Bracia, gdzie jesteście? - odpowiedział Holbok, rozglądając się. - Notatka mówiła, że czas ukrywania się już przeminął.

- Nie kłóć się! - zawył Wilbar. - Chodź, bo jeszcze ktoś cię zobaczy...

- Ale bracia, notatka mówiła, że tej nocy możemy zniszczyć władzę akademii...

Oślepiający błysk pochłonął dach i krąg na nim w czasie tak krótkim, że nie zdołałby go zmierzyć żaden naukowiec świata. Eksplozja była ogłuszająca. Kurz zawirował w powietrzu jak gęsta mgła, a fragmenty rozgrzanych dachówek i cegieł spadały na ziemię jak gęsty grad.

Terikel upadła na kolana. Poprzez pył dostrzegła ogień w resztkach budynku akademii, a niewiele z niego zostało. Przedarła się przez gruzy. Spod dużego fragmentu ściany, który w całości runął na ulicę, wystawała para nóg.

- Musicie się jak najszybciej spakować i uciekać! - krzyknęła Terikel do skulonych studentów.

- Najpierw musimy znaleźć Holboka! - stwierdził Wilbar.

- Od kolan w górę Holbok ma teraz grubość mniej więcej karty pergaminu.

- Mój dom się pali! - wrzasnęła Allaine, patrząc w głąb ulicy. Niestety, kilka innych domów także stało w ogniu, ich mieszkańcy uciekali w panice, nawet wyskakiwali przez okna.

- Mniej o jedno miejsce, do którego musimy wstąpić - powiedziała Terikel. - Ruszcie się!

Miasto gwałtownie się ożywiło. Bito w dzwony i gongi, dęto w trąby na alarm, a ludzie biegali po ulicach z wiadrami i drabinami.

- Podejrzewam, że rodzina królewska będzie chciała szybko wyjechać - mówiła Terikel. - A jeśli nie, to będę musiała przekonać księżniczkę, żeby wyjechała niezależnie od wszystkiego. Chętnie zaoferowałabym wam miejsce w orszaku, ale się obawiam, że nawet ja będę miała problemy z wyjazdem.

- Ty?! - wykrzyknął Wilbar. - Ty i rodzina królewska?

- To długa historia. Nawet część klasy rządzącej nie lubi klasy rządzącej. A może któryś z baronów nam udzieli schronienia.

Nagle wokół nich nocne niebo rozświetliły ulotne złote motyle.

- Wilbar, co ty wyprawiasz? - zdenerwowała się Terikel.

- Wysłałam autony z informacją, że winna tego okrucieństwa jest klasa rządząca.

- Czas na agitację rewolucyjną już minął, jest pora na próbę przetrwania. Nie rzucaj żadnych zaklęć, w zasadzie nie rób nic, dopóki ci nie pozwolę. Jasne?

- Tak, siostró rewolucjonistko.

- Będziemy potrzebowali wozu, aby zabrać wszystkie nasze rzeczy - wysapała Riellen, która nie przywykła do wysiłku fizycznego.

- Zabierzcie pieniądze, po jednym kocu, coś do obrony, plecak i jedną zmianę ubrania - poleciła Terikel stanowczo, gdy dotarli do dużej, ale nędznie wyglądającej gospody. - I wszystko, co znajdziecie do jedzenia...

Dysk oślepiającego białego blasku otoczył okno Wilbara na trzecim piętrze. Pokój Wilbara eksplodował. Wybuch zmienił pozostałą część gospody w pylistą kulę ognia, która rozrzuciła płonące szczątki po okolicy.

- Poprawka, zabieracie ciuchy, które macie na sobie, oraz życie - powiedziała Terikel.

- Musieli w końcu zdecydować, że warto się zająć naszym małym kręgiem! - krzyknął Wilbar.

- Sądziłam, że to oczywiste - odparła Riellen.

Żadne ze spotkań czy eksperymentów Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków nie było przeprowadzone w pokoju Riellen, ponieważ do dormitorium Clovesserskiej Szkoły Dyplomacji, Obycia i Etykiety nie wpuszczano mężczyzn. Terikel i Riellen weszły, spakowały do plecaka książki, które Riellen zabrała z akademickiej biblioteki, potem zrolowały w kocu notatki z klątwami, zaklęciami i teoriami spiskowymi, zapasowe zwierciadła, małą lunetę i kuszę wielkości dłoni Terikel.

- Narzędzie obrony osobistej. Zapewnia swobodę poruszania się w pełnym przemocy zmaskulinizowanym społeczeństwie - wyjaśniła zakłopotana dziewczyna.

- Nie masz żadnych ubrań?

- W poduszce.

Poduszka na łóżku była wypchana zapasowymi ubraniami i bielizną, bo Riellen nie zwracała sobie głowy kupowaniem poduszki. Wybiegły na ulicę, gdzie czekali na nie Wilbar, Maeben i Allaine.

- Co teraz? - zapytał Wilbar.

- Uciekniemy z miasta i spróbujemy przeżyć - odparła Terikel.
 - Czy moglibyśmy uciekać nieco wolniej? - wysapał Allaine, który miał bardzo kiepską kondycję fizyczną.
 - Wiem, gdzie jest wóz i koń - powiedziała Terikel. - Które z was potrafi powozić?
- Nie podniosła się żadna ręka.
- Wygląda na to, że księżniczka będzie musiała uciekać beze mnie - mruknęła prezbiterka.



Największą wadą Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków było to, że jego członkowie nie byli wystarczająco paranoidalni. W tym samym czasie w mieście działało nie mniej niż trzydzieści różnych grup i organizacji o tajemniczych lub niebezpiecznych zamiarach. Braterstwo Ochrony Kamiennego Kręgu nie wiedziało, że Smoczy Mur był odpowiedzialny za dwie eksplozje w mieście, więc odpowiedziało atakiem na pracowników akademii w ich domach. W wyniku miotania kul ognia i autonów bojowych wkrótce większą część miasta opanowały pożary, potem przybyły oddziały milicji i dołączyły do walki, niszcząc zakłęcie swoją zakończoną żelazem bronią. Strażnicy dróg szykowali się do wymarszu, a księżniczka Senterri wsiadała do karety. Widząc strażników w szyku, w zbrojach i z bronią, miejscowy baron pomyślał, że zadarł z dziedziczką świętej pamięci cesarza, więc wysłał swoich strażników na ulice, aby zajęli się każdym, kto zmierzałby w kierunku jego małego pałacyku. Ci z Palionu, którzy polowali na Terikel, sądzili, że strażnicy dróg ich atakują, więc zebrali kilka innych frakcji z miasta przed ostateczną rozgrywką.

Andry i Wallas dotarli do garnizonu na czas, by zobaczyć, jak strażnicy dróg wyjeżdżają, eskortując królewską karete.

- Wyjeżdżają bez nas! - lamentował Wallas, gdy Andry zepchnął go z drogi.
- Gdybyś był księżniczką, na pewno by zostali. Teraz rób, jak ci mówię. Weź mój plecak, idź do baraku, zbierz nasze rzeczy. Spotkamy się przy stajniach.

Zanim Wallas wrócił, Andry osiodłał swojego wierzchowca i zaprzągnął konia. Wallas wrzucił bagaże na wóz. Wtedy niespodziewanie ze skrzyni bagażowej podniosła się Velandar, nasyczała na Wallasa i z powrotem zamknęła za sobą pokrywę. Za ich plecami wystrzeliła salwa płonących strzał, trafiła w baraki garnizonu.

- Nie moglibyśmy jej tu zostawić? - zapytał Wallas, gdy Andry dosiadał konia i wyciągał topór.

W tym momencie do stajni wpadli Terikel i ocalali członkowie Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków, bliscy omdlenia z wysiłku.

- Możecie nas wszystkich zabrać? - wysapała prezbiterka. - Królewski orszak właśnie wyruszył i potrzebujemy transportu.

- Na wiosła przewoźniczki, kim są ci ludzie?

- Możecie wszystkich zabrać?

- Wsiadajcie. Uwaga na Velander.

Na ulicach trwały ostre walki, ale nikt nie był pewien, kogo powinien atakować. Wóz przebył już kilka ulic, kiedy ktoś z tłumu, który tworzyli głównie miejska milicja i miejscy bandyci, krzyknął, że trzeba go zatrzymać. Liczne ręce chwyciły za burty i wtedy znowu Velander się podniosła, złapała jakiegoś człowieka za włosy, szponami rozchlastała mu gardło. Stojący za nim zbyt długo zwlekał z ucieczką. Velander wciągnęła go do skrzyni. Wrzaski nie trwały długo, ale były skuteczną zachętą dla tłumu do przepuszczenia wozu.

Coś olbrzymiego przepłynęło w górze ku pałacowi. Chwilę później strumień rozgrzanej do białości plazmy i eterycznych zakłęb polał się na największy budynek w Clovesser.

- A teraz smoki! - wrzasnął Wallas. - Co się dzieje? To była taka miła mięścina, kiedy tu przyjechaliśmy.

Wyjechali na niewielki plac otoczony przez płonące budynki. Smok unosił się nad sześcioma jeźdźcami i przewróconym powozem. Jeźdźcy byli ubrani identycznie jak Andry.

Przez umysł Andry'ego przeleciało wiele myśli, żadna szczególnie rozsądna. Zajrzał do wozu. Terikel i studenci tłoczyli się tuż przy ławeczce dla woźnicy, a Velander wysysała krew z uczestnika rozruchów, którego złapała kilka ulic wcześniej. Andry odwrócił topór i styliskiem uderzył wampirycę w tyłek.

- Zostaw go! Tej nocy jesteś mi coś winna!

Velander nie zareagowała, więc walnął ją w głowę. Zaskowytała.

- Pijaczka! - wrzeszczał Andry. - Zostaw go i stawaj do walki! Zawrócił konia i dał mu ostrogę. Koń zdradzał wyraźną niechęć do szarży. Trzech zwiadowców zaatakowało smoka. Jaskrawobiały strumień trafił ich dowódcę; potem smok ruszył w kierunku powozu, ignorując pozostałych zwiadowców. Potężnymi szczękami oderwał

dach powozu i zajrzał do środka. Ewidentnie mu się nie spodobało to, co zobaczył, bo wypłuł kolejny strumień ognia, zamieniając powóz w kupę zwęglonych i dymiących szczątków, a kostki brukowe w basen roztopionej skały.

Po takim ataku smoki potrzebują kilku sekund, aby odnowić swoją możliwość zionięcia ogniem. Wiele rzeczy wydarzyło się w ciągu następnych kilku sekund. Andry zaatakował go od tyłu. Smok machnął łbem i przewrócił Danola wraz z koniem. Velander zostawiła swoją ofiarę i wyskoczyła z wozu. Andry dotarł do smoka i ciał go w grzbiet. Uderzył w coś, co wydało tylko głuchy dźwięk, a energia wybuchła wokół stalowego topora. Dwa kolejne cięcia i ostrze pokonało dziwny, włóknisty materiał, który Terikel później określiła jako mieszaninę włókien i zakłęb. Metalowa broń może go przebić, ale pod warunkiem że kilkakrotnie uderzy się w to samo miejsce. Andry trafił ostrzem w mocno skoncentrowaną energię eteryczną przy trzecim uderzeniu. Energia eteryczna i żelazo nie przenikają się w ogóle, więc efektem był wybuch, który wyrwał mu topór z dłoni. Smok zaryczał, bardziej z gniewu niż z bólu i zionął strumieniem ognia. Andry zrobił unik. Płomień, ominąwszy o włos jego głowę, rozbił się o ściany najbliższych domów, podpalając te, które jeszcze nie płonęły.

Wielki łeb z otwartą paszczą zawisł tuż nad Andrym - i wtedy coś ciemnego zaszamotało się na smoczym karku, przyłgnęło do niego, zrobiło nacięcie tam, gdzie przez skórę prześwitywał delikatny niebieski blask, a potem ugryzło. Smok zawył, zatoczył się i rozłożył skrzydła. Ich rozpiętość była większa niż szerokość placyku. Wallas wycofał wóz w boczną uliczkę. Smok uniósł się w powietrze, machnął trzy razy skrzydłami, zamarł i spadł ciężko, miażdżąc kilka budynków. Pióropusz dymu i iskieł wskazywał miejsce, gdzie poszła główna siła uderzenia.

Wóz wyłonił się z uliczki. Terikel przykładała kuszę Riellen Wallasowi do ucha. Przez plac biegł zwiadowca Danol. Studenci wciągnęli go do wozu. Krzyknął z obrzydzeniem, bo wylądował na szczątkach ostatniego posiłku Velander.

- Wyrzuć trupa! - polecił Andry w popularnym sargolskim, języku, który, jak niedawno wyrzeszczał mu sierżant, był używany w czasie bitew. - Wallas, jedź drogą na zachód! - dodał po diomedańsku, zapewne dlatego że sierżanta nie było w zasięgu słuchu. - Gdzie delegat Porter? - zapytał znowu w popularnym sargolskim, gdyż któryś ze zwiadowców mógł donieść na niego, że używa niewłaściwego języka.

- Jest kupą zwęglonych szczątków w kałuży roztopionej skały! - powiedział jeden z czterech konnych zwiadowców.

- Kim jesteś?

- Essen, panie.

- Wszyscy jedźcie za wozem! - krzyknął Andry.

- A co z panem?

- Muszę odszukać... - zaczął Andry, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego sargolskiego słowa znaczącego w przybliżeniu: „demon”, „bestia” lub „zabójczy, pijący krew potwór”. - Dame! Muszę odszukać moją znajomą damę! - Zawrócił konia i pojechał w stronę kolumny dymu i iskier, która oznaczała miejsce, gdzie Velander spadła razem ze smokiem.

Do tej pory jego koń doszedł do wniosku, że mimo straszliwych wydarzeń ostatnich kilkunastu minut przeżył i nie odniósł praktycznie żadnych obrażeń, więc ma teraz dobrą okazję pokazać właścicielowi, co dla niego zrobił. Jednakże z wielką ulgą zatrzymał się posłusznie, gdy Andry ściągnął mu cugle przed płonącym magazynem, gdzie spadł smok. Chłopak zsiadł, przywiązał wodze do zniszczonego ogrodzenia i zaczął wdrapywać się na stertę gruzów, gdzie wyraźnie widać było kształt leżącego smoka. Kształt, ponieważ nie było widać ciała.

- Velander!

Nie dostał odpowiedzi. Próbował ustalić, gdzie leżała głowa smoka, ponieważ ślady po jego ogonie i karku były bardzo podobne, jeśli nie wiedziałeś, co znajduje się na końcu. Coś poruszyło się w małej kupce gruzu i Andry poszedł w tamtym kierunku. Znalazł Velander wyłaniającą się spod sterty połamanych desek. Miała podarte ubranie, oczy jej świeciły białym blaskiem, była posiniaczona, podrapana i brudna. Wlokła za sobą ciało ubrane w zbroję.

- Velander! - krzyknął Andry.

- Andry, nie widzę cię - powiedziała, a z jej ust buchnął blask.

- Stój, idę do ciebie.

Andry zobaczył, że zbroja, którą wyniosła z ruin, jest rozerwana na karku, a w środku są tylko krwawe strzępy.

- Powiedz, czy czarodziej żyje? - zapytała Velander.

- Nie, jego głowa trzyma się na miejscu tylko dzięki resztkom zbroi. Kto to był?

- Szklany smok.

Dopiero teraz Velander zostawiła swoją ofiarę. Andry własnym płaszczem okrył ogłuszoną i poobijaną wampirzycę, a potem pomógł jej zejść ze sterty gruzów.

- To beznadziejne, będziemy musieli wywalczyć sobie drogę ucieczki z miasta, a zdolny do walki jestem tylko ja - mruknął, podsadzając ją na siodło.

Za jego koniem ustawiło się rzędem czterech zwiadowców i wóz. Do tej pory Terikel trzymała Wallasa za kark, a małą kuszę skierowała mniej więcej na wysokość jego nosa.

- Pospiesz się, niech cię cholera, wóz jest nieprawidłowo zaparkowany! - wrzasnął Wallas, gdy Andry stanął, zagapiwszy się ze zdziwienia.



Madame Jilli spojrzała na kolejkę w przesmyku, następnie pospiesznie przejrzała rejestr przeniesień, przypomniała sobie kilka nazwisk, a potem odłożyła rejestr na podłogę obok siebie i otworzyła streszczenia żywotów.

- Falzer Rikel, D'brz-Thrth, znany także jako Lavolten, Holbok Harz, Transfer, będziecie razem płynęli na tamten brzeg - powiedziała. - Jakież sprzeciwy?

Duchy zmarłych popatrzyły po sobie nawzajem i potrząsnęły głowami.

- Żadnych? Cieszę się. Proszę wchodzić do łodzi i siadać na dnie. Szczęściarz z pana, panie Transfer, pan zajmie ławeczkę na końcu.

Madame Jilli przeczytała streszczenia i odepchnęła łódź jedną ręką.

- Więc zginąłeś przygnieciony spadającą ścianą, Holbok? Gdzież ten świat zmierza, skoro już nawet chodzenie po ulicach nie jest bezpieczne... Transfer, ojej, krwiożerczy potwór rozerwał ci gardło. Założę się, że poszło szybko i czysto, jak w przypadku młodego Holboka. D'brz-Thrth - o bogini, czarodziej zamieniony w szklanego smoka i w wieku sześciuset lat! My, przewoźniczki, nie widzimy tu wielu takich jak ty, nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła o tym opowiedzieć przy herbatce w Bibliotece Dusz. I Falzer, o bogowie, znowu ofiara krwiożerczego potwora.

Płynęli przez mrok, który rozjaśniały tylko pasma mgły, aż zobaczyli czerwony blask przedzierający się poprzez ciemność. Usłyszeli odległe krzyki, potem na brzegu pojawiły się rozmazane, straszne, gestykulujące postacie. Wtedy przewoźniczka wiosłem uderzyła Falzera i posłała za burtę. Gdy wynurzył się na powierzchnię ciemnej wody, rąbnęła go końcem wiosła w plecy.

- Zgwałciłeś prostytutkę, prawda?! - krzyknęła. - Teraz będziesz miał okazję się przekonać, jak to jest, kiedy ktoś cię przewraca i pieprzy wbrew twojej woli!

Mimo braku twarzy trzy duchy wydały z siebie coś w rodzaju śmiechu. Madame Jilli w końcu wyciągnęła wiosło i zakręciła nim ponad tyłem łodzi. D'brz-Thrth nie zdawał sobie sprawy, że dzieje się coś niedobrego, aż wiosło zatoczyło pełny krąg i go uderzyło. Wleciał do wody.

- Próbowałeś zabić mojego ukochanego, durny smoku! - Walnęła go wiosłem w

głowę, gdy zaczął się szamotać, próbując się wydostać na atramentową płyciznę. - I spaliłeś jego dowódcę! Przekazuję go wam, wy na brzegu!

Demony pozdrowiły ją serdecznie, a madame Jilli posłała im całusa.

- Za każdym razem, dopóki pracujesz, skarbie, będziesz tu mile widziana! - krzyknął demon, który machał pękiem kajdan jedną ręką, a w drugiej miał rozgrzane do białości widły.

Madame Jilli zaczęła wiosłować, gdy tylko jej dwaj wrzuceni do wody pasażerowie dobrnęli do brzegu. Holbok i Transfer przytulili się do siebie i wcale nie było im do śmiechu.

- Chyba powinniśmy tu wysiąść? - zapytał Holbok niepewnie.

- Nie, wy jedzicie do Arkadii. Siedzicie spokojnie, ta łódź nie jest zbyt stabilna. Nienawidzę gwałcicieli. A jeśli chodzi o bezpieczeństwo Andry'ego, cóż, jestem nieco przewrażliwiona na tym punkcie.

Wróciła po kolejne dusze do przewiezienia, które czekały na swoją kolej.

- Porter! - zawołała. - Na razie tylko ty. Wsiadaj! - Odepchnęła łódź od brzegu. - Byłeś dowódcą mojego ukochanego, Andry'ego Tennonera.

- Andry?! - krzyknął zaskoczony duch. - Nigdy nie mówił, że Śmierć była jego dziewczyną.

- Och, jestem tylko przewoźniczką i byłam żywa, gdy Andry mnie znał. To długa historia, ale możemy popłynąć do Arkadii przez Piekielną Przystań, jeśli chcesz jej wysłuchać. Jak się Andry ostatnio miewał?

- Byłem jego dowódcą krótko. Bardzo krótko. Raptem kilka godzin.

- Och, to żaden problem, większość mężczyzn w moim życiu zostawała w nim tylko na godzinę czy dwie. Powiedz mi, jak tam moje kochanie?

- Hm... ach, no... wiesz, ma taki mały sztylet. Wyjątkowy, rodzaj sztylecika dla kobiet.

- Ojej, on wciąż za mną tęskni!



Późną nocą zwiadowcy zatrzymali się, aby dać wypocząć koniom i zgromadzić zapasy. Chociaż ujechali już osiem kilometrów, za nimi wciąż wyraźnie widać było płonące miasto. Andry objął konia za szyję, dziękując mu za lojalność w czasie walki. Kiedy wierzchowiec dał mu wyraźnie do zrozumienia, że wolałby się paść niż przyjmować dalsze podziękowania, Andry usiadł, podpierając głowę rękami.

- Panie delegacie Tennonier!

Andry spojrział w górę i zobaczył Essena stojącego w pełnej uszanowania odległości, salutującego i wyprężonego na baczność.

- Nie jestem delegatem - odparł Andry.

- Owszem, jest pan, błagam o wybaczenie za zaprzeczanie pańskim słowom. Ludzie czekają na pańskie rozkazy.

- Rozkazy? - zapytał Andry, niepewny, czy dobrze zrozumiał sargolskie słowo.

- Pańskie rozkazy. Porter był naszym delegatem do Straży Dróg, ale on nie żyje. Wybraliśmy pana na jego miejsce.

Tłumaczenie zajęło Essenowi trochę czasu. Zwiadowcy mieli prawo wybierania własnego rzecznika, zwanego delegatem. W czasie jazdy wybrali Andry'ego. Wydawało się, że ktoś, kto zaatakował smoka uzbrojony jedynie w topór, nadaje się na to stanowisko. Opowiedział także, co się wydarzyło przed przybyciem Andry'ego.

- Kiedy strażnicy dróg wyjeżdżali z miasta, nad głowami zauważyli smoka - mówił.

- Trudno było go przegapić - stwierdził Andry.

- Kapitan Gilvray zdecydował, że księżniczka Senterri przesiądzie się na konia i kazał przewrócić jej powóz. Z inicjatywy delegata Portera zostaliśmy, aby bronić powozu, jak gdyby księżniczka wciąż w nim była. Kiedy pan pojechał, aby ratować swoją znajomą, zebraliśmy się z chłopakami i zrobiliśmy małe głosowanie.

- Co? Byliście pod dowództwem kogoś, kto podjął takie głupie ryzyko?

- Tak, panie delegacie.

- Och. Cóż, kto jest najstarszy stopniem w grupie?

- Pan, panie delegacie.

- Ja?

- Pan, panie delegacie.

- Jesteśmy zgubieni - mruknął Andry cicho, niemniej jednak sam się zmobilizował. - Dobrze więc, opatrzmy rannych i ruszamy. Do Glasbury jest niedaleko, tam będzie bezpieczniej.

- Panie delegacie, czy mogę zadać pytanie?

- Pytaj.

- Jak pańskiej znajomej udało się sprawić, że smok spadł?

- Siedziała na nim.

- Błagam o wybaczenie, ale tam był tylko demon owinięty wokół smoczej szyi i przegryzający mu gardło. Nie miał kobiety w pazurach ani nigdzie indziej.

- Ten demon to właśnie moja znajoma. Zwiadowco Essen, będę wdzięczny, jeśli nie będziesz się do niej odnosił jak do demona.

Ma już i tak wystarczająco kiepskie mniemanie o sobie, dodał Andry w myślach.

Po dokładnych badaniach przeprowadzonych przez Terikel okazało się, że wiele ran zostało przeoczonych. Prawie godzinę robiła, co mogła, aby opatrzyć wszystkich, mając przy tym do dyspozycji jedynie nieco wina i pasów płótna oderwanych z odzieży. Velandier leżała zawinięta w koc i nie chciała mieć z nikim nic wspólnego. Andry zdecydował, że jeśli ma zostać dowódcą tej grupy, powinien zostać opatrzony ostatni.

Wszyscy byli już gotowi do drogi, kiedy Terikel się nim zajęła. Andry obserwował migające światła Smoczego Muru na zachodnim horyzoncie, aby łatwiej znieść ukłucia bólu, gdy tanim winem przemywała jego oparzenia.

- Co wiesz o Smoczym Murze? - spytała, zawiązując końcówki ostatniego bandaża.

- To magiczne zaklęcie do wyciągnięcia energii z burz toreańskich, które zatapiają nasze statki i niosą ze sobą zbyt wiele deszczu, pani.

- Tak, z grubsza biorąc, masz rację - odpowiedziała Terikel, zaskoczona prostą trafnością jego odpowiedzi. - Te niezwykle silne burze powstają od czasu, gdy w ubiegłym roku spłonął kontynent Torei.

- Nawet ja o tym słyszałem. Mówiła pani, że pochodzi z Torei. Co tam się stało, jak? Czy pani tam wtedy była?

- Och, byłam tam, nie mylisz się i uciekłam z największym trudem. Zaczęła się tam wtedy wojna, a siły było równo rozłożone. Jeden z przywódców użył starożytnej, czarodziejskiej broni zwanej Srebrzyśmiercią, sądząc, że jest to rodzaj maszyny oblężniczej. Nie wiedział, że jej moc jest o miliony razy większa niż jakiegokolwiek katapulty na świecie. Broń wymknęła się spod kontroli. Co nie spłonęło, to się roztopiło. Kilku bardzo odważnych ludzi zniszczyło Srebrzyśmierć, zanim narobiła jeszcze większych szkód, ale temperatura, która zniszczyła Toreę, spowodowała poważne zmiany klimatu. Czarodzieje Lemtasu, Acremy i Scalticaru wzniesli siedemnaście kamiennych kręgów i tchnęli w nie moc magicznymi zaklęciami. Kręgi leżą wzdłuż linii biegnącej z północy na południe przez pół świata. Ich połączona moc wywołała te piękne, lecz niebezpieczne światła na zachodnim niebie i oczekuje się, że zabierze nieco mocy burzom toreańskim, po prostu jak obracające się powoli

młyńskie koło.

- Wydaje się warte ryzyka - powiedział Andry. - Ale dlaczego my tu jesteśmy?

- Nikt nigdy dotąd nie zgromadził połączonej energii eterycznej pod kontrolą najpotężniejszych czarodziejów na trzech kontynentach. No, w każdym razie nie od pięciu tysięcy lat. Ja zajmuję się liczbami, Andry. Wzory Smoczego Muru były dziwne i niepokojące, a czarodzieje na pytania odpowiadali tylko machaniem ręką i obietnicami. Jestem metrologanką, mierzę różne rzeczy i zadaję trudne pytania.

- Jakie na przykład? - zapytał Andry.

- Gdzie podzieje się energia, która zostanie wyciągnięta z burz?

- W niebie?

- Oficjalnie nie, ale faktycznie tak. Może być tam zmagazynowana, a potem zrzucona jak ogień piekielny na ludzi, którzy zostaną uznani za wrogów. Tak się zdarzyło dziś wieczorem i było wymierzone we mnie.

- Przecież miasto podpalili buntownicy, czarodzieje i smoki! - krzyknął Andry.

- Ci nieudolni głupcy pomogli rozprzestrzenić ogień, ale rozpoczęli czarodzieje ze Smoczego Muru. Wiedzieli, że ktoś ich namierzył i wkrótce otrzymają raport, że nie udało im się mnie zabić.

- Nie mogę w to uwierzyć, pani. Jaką szkodę może wyrządzić światło na niebie?

- Andry, kiedy budynek akademii eksplodował jak melon uderzony młotkiem, stałam obok. Szłam do gospody, z którą stało się to samo. Oni próbowali mnie zabić i byli skłonni poświęcić setki ludzi, aby ten cel osiągnąć. Bardzo mnie to niepokoi.

- Teraz to i ja zacząłem się niepokoić - powiedział Andry, nie na żarty przestraszony.

- Wiem, jak to zatrzymać, ale nie wiem, jak powstrzymać tysiąc moich kolegów, wtajemniczonych czarodziejów, którzy znowu uruchomili Smoczy Mur. Gorsze jest... ach, dosyć o moich problemach. Czy jutro dotrzemy do Glasbury?

- Konie są zmęczone i głodne, ale będziemy je poganiać.

Zwiadowcy mówią, że jesteśmy o osiem kilometrów od miasta, ale wolałbym nie jechać prostą drogą ze względu na miejscowych szpiegów. Wybierzmy boczne drogi i objeźdźmy Glasbury, żeby dostać się do niego od północy. Czyli będzie do pokonania z pięćdziesiąt kilometrów. Jeśli zrezygnujemy ze snu, wyjedziemy zaraz i zaryzykujemy zajeżdżenie koni, może uda nam się tam dotrzeć jutro wieczorem.

- Co za ulga być w godnych zaufania rękach.

Andry stracił dech, zupełnie jak po ciosie w splot słoneczny. Jednak o

najważniejszej kwestii nie zapomniał.

- Zanim wyjedziemy, czy mogę pani zadać pytanie?

- Jestem ci to winna i o wiele więcej.

- Słyszałem opowieści i ballady o demonach, widmach i żywiących się ludzkim mięsem potworach, ale nigdy nie słyszałem, żeby któryś z nich miał problemy alkoholowe. Jaki problem ma Velander?

Zaskoczona Terikel patrzyła w ognisko.

- Velander jest martwa, ale utrzymuje się w swoim obecnym stanie, pijąc krew i czerpiąc esencję eteryczną z innych. Najchętniej z ludzi, ze zwierząt tylko kiedy nie ma wyboru.

- Nie o to pytam. Słyszałem, że Laron uczył ją żerować jedynie na złych ludziach, ale teraz ona poluje wyłącznie na pijaków.

- Andry, zadziwiasz mnie. Odkryłeś sekret, którego nie potrafiła rozwikłać Cesarska Tajna Policja.

- Lubię słuchać, proszę pani, a ludzie lubią mówić. Zwłaszcza ludzie, którzy się boją.

- Andry, Velander jest potworem i ma powściągliwość umierającego z głodu wilczura. Problem polega na tym, że w niej jest wciąż coś z dawnej Velander i ta część jest przerażona tym, co robi. Poluje na pijaków, aby w ich krwi znaleźć zapomnienie, bo nie może znieść tego, czym się stała, lub tego, co robi. Laron i księżniczka Senterri próbowali ją nauczyć samokontroli. Laron i księżniczka sypiali w tym czasie ze sobą i... Andry! Jak ty to robisz? Nie powinnam ci tego mówić!

- Więc nie rób tego, pani.

- Powiązę ze sobą kilka zaczętych wątków, ale nic więcej! Laron uratował Senterri, kiedy została uprowadzona przez handlarzy niewolników, więc jest zrozumiałe, że była mu niezwykle wdzięczna.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Teraz Laron i księżniczka musieli się rozstać, ponieważ Senterri poślubiła Cossarena dla władzy, względów politycznych i tytułu królowej Logiar.

- No tak, ludzie robią takie rzeczy. Czy Velander kiedykolwiek spała z Laronem?

- Przyjmij lekcję oglądy. Powinieneś zapytać, czy była z nim w zażyłości. A odpowiedź brzmi: nie. Laron się nią opiekował, ponieważ była słaba, samotna i bezradna. Teraz ona nie jest już bezradna, a on ma własne problemy.

Rozdział 5

Smokoptak

Glasbury nie zaczynało się nagle, powstawało stopniowo z coraz liczniejszych wiosek, które łączyły się w patchwork domów, warzywników, targowisk, tawern i świątyń. W miarę narastania ruchu ulice stawały się coraz węższe. Po południu zwiadowcy i wóz wjechali w obręb starych murów miejskich. Pałac dominował na tle nieba i tam się skierowali. W baraku pałacowego garnizonu złożyli oświadczenie, że wybrali Andry'ego na delegata i wydano mu dwie czerwone gwiazdki do przyszycia na płaszczu.

- Jedną z przodu, żeby wrogowie mieli w co celować, drugą z tyłu, żebyśmy my mieli do czego strzelać - powiedział Essen. - Umie pan szyć?

- Tak, nauczyłem się na pokładzie „Ptaka Burzy”. Żeglarze muszą dużo szyć, zwłaszcza w czasie burz toreańskich.

Zwiadowcy zadali koniom siana, a potem na stryszku stajni zjedli placki kupione w pobliskiej tawernie. Przy świetle ceramicznej lampy Andry przyszył do płaszcza oznaczenia drugiej od końca rangi w sargolskich oddziałach ochotniczych. Zaczął też zaszywać rozcięcia, przepalenia i rozdarcia w odzieży, które powstały w czasie walk w Clovesser. Na dole rozległ się trzask, gdy ktoś zaczął wspinać się po drabinie. Chwilę później pojawiła się głowa kapitana Gilvraya. Zwiadowcy stanęli w pozycji na baczność.

- Spocznij, panowie - powiedział Gilvray w popularnym sargolskim.

Usiedli, ale swobodny nastrój zniknął bezpowrotnie. Gilvray oparł się plecami o

belkę.

- Delegacie Tennonner, przeczytałem wasz raport o walce ze smokiem w obronie pustego powozu.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Zdajecie sobie sprawę, że wasi ludzie nie dostali pozwolenia, by poświęcić swoje życie jako przynęta zamiast księżniczki?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Piszecie w tym raporcie, że delegat został zabity przez uczestników rozruchów, gdy wy spotkaliście oddział. Wtedy zostaliście wybrani na jego następcę. Potem smok wylądował, a wyście znaleźli przewrócony powóz księżniczki i postanowili bronić go, jak gdyby księżniczka ciągle w nim była - aby umożliwić jej ucieczkę. Smok was zaatakował, spalił powóz na popiół i wzbił się w powietrze, sądząc, że zabił księżniczkę.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Jesteście cholernym kłamcą, delegacie Tennonner.

- Tak jest, panie kapitanie.

Zwiadowcy wiercili się zakłopotani, nie wiedzieli gdzie oczy podziać.

- Ochotnik Wallas z Królewskiej Straży Dróg zeznał, że nadjechaliście w chwili, gdy poprzedni delegat bronił przewróconego powozu przed atakami smoka, zobaczyliście jego śmierć, odpędziliście smoka i uratowaliście zwiadowców. Smoka zabiła jakaś czarodziejska istota.

- Ale w tym wypadku wdowa po delegacie nie dostałaby renty, ponieważ on zginął, łamiąc rozkazy, panie kapitanie - wyjaśnił Essen.

- Czy dostaliście pozwolenie na otwarcie jadaczki, zwiadowco Essen? - zapytał zimno kapitan Gilvray.

- Nie, panie kapitanie.

Gilvray odwrócił się do Andry'ego.

- Czy Wallas jest kłamcą?

- Jest rekrutem, panie kapitanie. Nowym rekrutem, który zaciągnął się, ponieważ jest lepszy w machaniu chochlą niż toporem.

- Ach, więc Wallas jest zwykłym kucharzem, zbyt niedoświadczonym, aby ocenić, co tak naprawdę zaszło?

- Tak jest, panie kapitanie.

Gilvray przez kilka chwil rozważał sytuację.

- Wierzę, że ochotnik Wallas powinien otrzymać małą zachętę, aby w przyszłości oceniał wydarzenia bardziej trafnie. Może dziesięć batów?

- Myślałem o pięciu, panie kapitanie.

- Dobrze, będzie pięć. Więc to wy złamaliście rozkazy, zarządzając obronę powozu.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Nakładam na was grzywnę w wysokości srebrnego wasala. Zapłacicie mi w stosownym czasie.

Każdy ze zwiadowców natychmiast zaoferował Gilvrayowi srebrnego wasala. Andry zapłacił z własnej sakiewki.

- Może powinniście wysłać te pieniądze wdowie po delegacie Porterze - powiedział kapitan, biorąc monetę Andry'ego. - Mam tutaj rozkazy dla Tennonera, Essena, Costigera, Danolariana, Hartmana i Sandera. Życzę wszystkim dobrej nocy, panowie. Aha, delegacie Tennonera, upewnijcie się, że wyczyściliście topór, którego użyliście do ataku na smoka, kiedy... hm, wypełnialiście rozkazy.

Jeszcze zanim kapitan Gilvray opuścił stajnię, Andry złamał pieczęć na małym pakiecie i znalazł tam zaproszenie na bal wydawany następnej nocy na cześć księżniczki Senterri.

- Napisane własnoręcznie przez Haraldena, króla miasta Glasbury i Księstwa Środkowego oraz wasala najświetniejszego cesarstwa sargolskiego - przeczytał Andry na głos.

- A niech mnie, król wie o moim istnieniu! - krzyknął Costiger.

Okazało się, że na bal zostali zaproszeni wszyscy żołnierze, którzy walczyli w Clovesser w obronie księżniczki. W ciemnych barakach rozległy się odgłosy chłosty i krzyki Wallasa, gdy zwiadowcy zleźli ze stryszku, rozebrali się do naga i zaciekle szorowali swoje mundury. Costiger aż gwizdnął, gdy zobaczył plecy Andry'ego.

- Wychłostano pana kiedyś, panie delegacie! Był pan winny?

Andry zastanowił się szybko i uznał, że sugestia doznanej niegdyś krzywdy nie powinna przynieść mu szkody.

- Powiedziałem, że byłem winny, więc byłem winny.

- Wziął pewnie pan winę za jakiegoś przyjaciela, prawda?

- Powiedziałem, że byłem winny.

- Niech pan teraz posłucha. Jeśli jeszcze raz weźmie pan na siebie winę za jednego z nas, obiję panu gębę. Zrozumiał pan?

- Ach, to by było wbrew regulaminowi.

- Mam gdzieś regulamin. Po prostu niech pan pamięta. - Costiger podniósł płaszcz, który nie był już czarny. - Coś jest nie tak z moim płaszczem - zdziwił się.

- To samo jest z naszymi - dodał Essen. - Naprawdę mają kolor oliwkowej zieleni.

Costiger wylał podejrzenie czarną wodę i zaczął naciskać rączkę pompy.

- Delegacie, ile batów pan wtedy dostał?

- Pięćdziesiąt.

- A ja dwieście - powiedział Costiger, z dumą pokazując Andry'emu plecy.

- Wziąłeś winę za kogoś? - spytał Andry, ostrożnie dobierając słowa.

- Nie, nasikałem do śpiwora oficerowi.

- Mówią, że po setnym uderzeniu przestaje się je czuć.

- Czuje się, tylko inaczej i to gorzej.

Było już po północy, gdy wreszcie skończyli łatanie, czyszczenie i polerowanie i postanowili trochę się przespać.

- Hej, Essen! - usłyszał Andry gdzieś z ciemności.

- Tak, Costi?

- Czuję się, jakbym dziś w nocy miał stoczyć dziką i krwawą walkę.

- Ja też.

- Co mam powiedzieć, jeśli król się do mnie odezwie?

- Śmieć się z jego dowcipów i mów do niego: królu.

- Prawidłowy zwrot to: wasza wysokość - powiedział Andry. - Teraz odpocznijcie, chłopaki. Nie spaliśmy dwa dni. Czekają nas tylko tańce. Wejście mamy gratis, a wszyscy poza nami będą bardzo bogaci.



Następnego ranka Wallas urządził zwiadowcom bardzo przyspieszony kurs etykiety balowej. Był dość obolały, bo chociaż dostał tylko pięć batów, chłoszczący go był szczególnie biegły i każdym uderzeniem przeciął mu skórę.

- Przecież ja opisałem tylko to, co widziałem - upierał się Wallas.

- Ktoś inny widział inaczej - powiedział Essen. - I temu komuś innemu kapitan uwierzył.

- Jeśli kiedykolwiek się dowiem, kto to był, będzie dostawał przypalone kotlety i wodnistą zupę do końca służby. No dobrze. Costiger, jeśli podejdzie do ciebie mężczyzna z czerwoną rękawiczką, ukloni się i weźmie cię pod ramię, co zrobisz?

- Dam mu w dziób. Mama ostrzegła mnie przed...

- Nie, nie, nie! Ten mężczyzna to wysłannik damy, która chciałaby z tobą zatańczyć. Musisz pozwolić mu zaprowadzić się na parkiet, a kiedy cię damie przedstawi, musisz ją zapytać, czy uczyni ci zaszczyt i ofiaruje następny taniec.

- Och! A jeśli ona się zgodzi, to co? - zapytał Costiger niespokojnie.

- Bierzesz do łapy swój program, sprawdzasz, jaki będzie następny taniec i czy znasz jego kroki. To będzie bal wojskowy, jednakże ponieważ jest wydawany na cześć bohaterskich żołnierzy, tańce będą wystarczająco pospolite.

- Och, a kim będą ci bohaterowie?

- To my, głupku! Dlatego będą galopki, reele, gonione i skakane, czyli tańce, które żołnierze i ich dziewczki są w stanie zatańczyć.

- Znam je wszystkie.

- No to mamy z głowy jeden problem z setki, które nas nurtują. Pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć jednak zaczyna mnie martwić.

Do wczesnego popołudnia zwiadowcy prezentowali się o wiele lepiej. Przecwiczili tańce przewidziane w programie dołączonym do zaproszenia, a że do etykiety placu apelowego byli przyzwyczajeni, Wallas zaczął ich uczyć znośnego zachowania się przy stole. Andry postanowił urządzić im wyczerpujący trening szermierczy, słusznie rozumując, że jeśli się czymś zajmą, nie będą się tak denerwowali. Potem wyszorowali się wzajemnie w końskim korycie, porównując swoje blizny i ślady po chłóście. Sander wymieszał mydło do prania ze startym na proszek kadzidłem, żeby uzyskać pachnący szampon do włosów. Po myciu Costiger odkrył, że ma włosy brązowe, a nie czarne, a Essen zdziwił się, że jego włosy się kręca.



Velander obudziła się, a raczej stała się bardziej świadoma. Energia eteryczna brzęczała i tańczyła w ciemności wokół niej, kłębiąc się, wysuwając niebieskie i pomarańczowe promienie. Ona była w ich środku, w małej kuli próżni. Promieni były dziesiątki, setki, tysiące, miliony. Wiązka promieni łączyła ją z pulsującą masą energii. Velander miała wrażenie, jakby po gorącej kąpieli weszła do bardzo zimnego pomieszczenia, a ciepło parowało z jej skóry. Stoję naga zbyt długo i umrę z zimna, pomyślała. Zaczęła teraz czerpać ciepło z siły życiowej swojej ostatniej ofiary, krzepiło ją, mimo że ulatywało w ciemność i było wchłaniane przez chłód.

Promienie energii wciąż tańczyły i migotały. Velander nie lubiła myśleć o tym, jak wygląda. Mnóstwo promieni oderwało się i zostało pożartych przez drapieżniki tak

dziwaczne, że nie miały nazw nawet w czarodziejskich tekstach. Drapieźniki takie jak ona. Jakiś mężczyzna szedł alejką, chwiejąc się niepokojąco i przepaszając każdą ścianę lub drzwi, z którymi się zderzał. Bliżej, bliżej. Na ulicy nie było nikogo innego, a ona obserwowała go spod zacienionego wykusza okiennego. Bliżej, bliżej. Pragnienie zaćmiewało jej myśl, że nie zna tego człowieka. Prymitywne, zwierzęce pragnienie. Laron uczył ją czegoś. Nie mogła sobie przypomnieć czego. Tylko pragnienie było ważne. Haniebne pragnienie. Pragnienie słodkiego smrodu alkoholu zmieszanego z krwią i energią eteryczną.

Ręką zakończoną długimi wysuwanyymi szponami chwyciła pijaka za kark, wciągnęła w cień pod wykuszem okiennym. Ciepłe ciało przeciwko lodowatym ustom, eteryczne kły zanurzające się w słodyczy krwi i alkoholu, mrowienie eterycznych płomieni życia. Chrzęst kości i chrząstek, zmysłowy dreszcz, gdy pod wpływem jej uścisku słabła samotanina, jak gdyby była morskim wężem wciągającym żeglarza pod wodę lub kotem chwytającym bezbronno gołębia.

Wiła się w myślach, zrywając kilka promieni łączących ją z rdzeniem jej siły życiowej. To rzuciło ją o ścianę eterycznego ognia. Ból wybuchnął wszędzie, ból wpadania do roztopionego ołowiu, ból wymazywania z pamięci myśli, że jest się potworem, ból karania się za wypuszczenie z rąk ostatnich wystrzępionych nici, które łączyły ją ze śmiertelnymi ludźmi, ze wszystkimi uczuciami i wartościami. Resztki życia przycisnęły Velandera do ściany energii, ale tym razem walczyła o wolność. Oderwała promienie palące bólem, jasnoniebieskim i fioletowym bólem.

Tam, gdzie się unosiła, czas nie istniał. Czowała się zupełnie bezbronna. Kula ognia wciąż tu była... ale teraz pojawiło się co najmniej trzydzieści sześć kolejnych promieni. Przywierały do jej skóry. Przywierały do niej! Poprzednio jedenaście promieni łączyło ją z poprzednim życiem. Teraz było ich już prawie czterdzieści.

- Gdzie jest demon? - usłyszała głos Essena, jednego ze zwiadowców.

- Leży w skrzyni wozu - odparł ktoś, pewnie Wallas. - Lubi spać, kiedy Miral jest poniżej horyzontu.

- Niepokoi mnie czas, kiedy Miral jest wysoko. Widziałem, co zrobiła ze smokiem.

- Nie powinna być głodna przez jakiś czas. Smok jest bardzo sycący.

- Skąd wiesz? Jadłeś kiedyś jakiegoś?

- Jestem kucharzem. My wiemy takie rzeczy. A teraz jestem śliczną młodą dziewczyną z klasy społecznej niższej niż twoja. Jak poprosisz mnie do tańca?

- Eee... Hej, na boginię Fortunę, ślicznotka z ciebie. Skoczmy na piwko?

Wallas wydał z siebie długie westchnienie.

- Przepraszam, najbardziej czarująca i najpiękniejsza pani, ale czy uczyni mi pani ten zaszczyt?

- Zaszczycz czego?

- Nie pytaj! Pomyśl, że to nieprzyjemny rozkaz od dowódcy.

- Słuchaj, nie umiem tańczyć galopki.

- Przecież znasz melodię, głupku! Słyszałem, jak grałeś ją na rebeku Andry'ego dziś rano.

- No tak, ale nigdy jej nie tańczyłem.

- Ach, to idzie tak jak „Fale Bantrioku”, tylko w połowie zmieniasz ręce. Udawaj, że jestem dziewczyną, podaj mi lewą rękę, a prawą obejmij moje plecy... au! Pamiętaj o moich ranach po bacie, głupku!

- To bardzo krępujące.

- Zamknij się i skup. Dwanaście podskoków w tę stronę, obrót i zmieniamy ręce... auuu! Pamiętaj o moich plecach! Teraz idziemy w tamtą stronę, rozdzielamy się, przytrzymaj moją lewą dłoń nad głową i podskakuj dookoła mnie aż do następnej powtórki.

- Chyba załapałem. Jestem ci bardzo wdzięczny, Wallasie. Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczył?

- Och, gotowałem dla paru ważnych osób, widziałem wiele balów i wielu tancerzy.

Velander słyszała ich głosy zanikające w miarę, jak się oddalali. Nie powinnam być w stanie tego usłyszeć, pomyślała. Coś się zmieniło od chwili, kiedy zabiła smoka. Przepłynęło do niej, gdy uczepliła się jego karku, gdy jej kły zagłębiły się w miękkim ciele między łuskami szklistej zbroi tkanej z eterycznych promieni. Potem spadali. Energia eteryczna zalała ją, mimo że nie była to energia, którą się żywiła, energia, która dawała siłę życiową. Smok wydawał się ogromną kukielką z promieniami jak sznurki. Znalazła i zabiła czarownika, gdy struktura runęła... ale wszystko inne nie było żywe, więc nie mogło zaniknąć jak siła życiowa jej zwykłych ofiar.

Smoki. Czym były? Zewnętrzna skorupa eterycznej skóry, eteryczne skrzydła, ogromne ilości eterycznej energii, a w tej energii co? Omal nie zemdląła, gdy spłynęła na nią dawka czystej energii ze szklanego smoka. Andry coś do niej mówił, a ona była ślepa. Czy wciąż jest ślepa? Dowie się, kiedy Miral wstanie ponad horyzont. Nie! Jest

przytomna, więc Miral musi być wysoko. To oznacza, że jest ślepa i sparaliżowana. Nie może się poruszać. Wszystko wokół niej jest... brakowało jej słów, aby to opisać. Istnienie, tożsamość, pusty dom, kufer pełen ubrań, dokumenty do przekroczenia granicy, zdane egzaminy, doświadczenie miłości, poniżenia, chciwości, nienawiści, tęsknoty, ciekawości, ambicji... Velander była sama w życiu martwego mężczyzny.

Zabierz moje wspomnienia, zostaw mnie w jakimś mieście na odległym kontynencie, czy Velander będzie wciąż istniała i będzie żywa? Wampirzyca była świadoma, ale nie miała możliwości podtrzymywania swojej siły życiowej. A to było siłą życiową bez świadomości. Piekło pustej siły życiowej, siły życiowej, która wystarczyłaby dla miasta, a jednak nie mogła się tym nasycić. To było coś jak... tkanina?

Dźwięki docierały do niej z daleka. Odgłosy z kuźni, krzyki przekupniów na straganach, wrzaski sierżanta szkolącego rekrutów w sztuce walki na topory.

- Wallasie, Andry, miłego popołudnia! - dobiegł ją z oddali młodzieńczy głos Laron.

- Miłego popołudnia - odparł Wallas.

- Jak się macie?

- Bardzo bolą mnie ślady po chłóście - poskarżył się Wallas.

- Po pięciu batach? Studenci akademii dostawali gorsze lanie za brak czarodziejskich zadań domowych.

Popołudnie, pomyślała Velander. Miral wciąż jest poniżej horyzontu. Więc dlaczego się obudziłam i jestem w pełni świadoma? Przyciągnęła się znowu ponad kulę promieni, zawahała, a potem delikatnie ją musnęła. Błyskawice bólu przesłoniły jej wszystko, aż krzyknęła bezgłośnie. Stopniowo odzyskała postrzeganie otoczenia. Policzyła promienie. Pięćdziesiąt siedem. Gdy ostatnio liczyła, było mniej niż pięćdziesiąt. Czowała zapach pleśni w pobliżu. To prawdopodobnie mój zapach, pomyślała. Jak wiele promieni daje życie? Dziesiątki tysięcy? Miliony? Każdy z nich i wszystkie razem sprawiały ból jak rozgrzane do białości igły wbijane pod paznokcie. Aż skuliła się ze strachu przed tym, co mogło nadejść.

☉☉

- Velander ciągle jest w skrzyni wozu? - zapytał Laron.

- Tak - odparł Andry. - Niedobrze z nią.

- Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło - powiedział Laron. - Kiedyś myślałem, że mógłbym pchnąć ją na tę samą ścieżkę, którą ja idę.

- Ty? Ale ty jesteś żywy, twoja krew jest gorąca.

- Nie zawsze tak było. Wiele lat byłem wampirem, jak Velander. Siedemset lat temu metrologanki przeprowadziły pewne doświadczenie. Sięgnęły do innego świata po eteryczne urządzenie i skopiowały obraz potwora. To byłem ja. Przeniosły go do martwego ciała. Uciekłem i odtąd włóczę się po waszym świecie jako nieśmiertelna istota, która żywi się krwią i siłą życiową. Od siedmiu stuleci mam czternaście lat, nie zmieniam się. Nadałem imiona każdemu pryszczowi na mojej twarzy, ten na podbródku nazywa się Pustella, a ten na lewym policzku Pultic.

Poklepał coś, co wydawało się czystym powietrzem przed jego czołem i pojawił się srebrzysty diadem z gwiazdą otoczoną promieniami. Pośrodku gwiazdy był owalny zielony klejnot. Andry nie mógł dojść, co wydaje mu się w tym takie dziwne.

- Tylna część zielonego kamienia jest przedłużeniem mojego mózgu - zaczął tłumaczyć Laron - chociaż on nie całkiem istnieje, więc nie sprawia mi to bólu ani nawet przykrości. Moja... moja dusza mieszka w tym zielonym kamieniu. Zdejmij mi diadem, a moje ciało umrze. W zeszłym roku zostałem uwięziony w... w bardzo skomplikowanej czarodziejskiej maszynie. Miała nieprawdopodobną moc. Moc, która zniszczyła Toreę...

- Pierścienie Mirala! - krzyknął Andry.

- ...i moc przywrócenia mojego ciała do życia. I oto jestem tutaj, żywy.

- Byłeś jak Velander, chociaż nie byłeś żywy? Nieszczęsna istota pijąca krew pijaków, jak pozostali z nas piją kufel piwa?

- Nie całkiem, chociaż nie byłem zupełnie szczęśliwy także. Po śmierci przestrzegałem kodeksu rycerskiego i to uchroniło mnie przed staniem się potworem. Pokusa, by traktować ludzi jak bydło rzeźne, była wprost nieodparta, ale ją zwalczyłem. Velander nie jest... taka silna. Uczyłem ją, aby żerowała na prostakach, bez których większość miast i miasteczek mogłaby się obejść, ale po jakimś czasie zaczęła się zmieniać. Jest rozpaczliwie nieszczęśliwa jako wampir, Andry, bardziej niż ja byłem.

- Dlaczego mnie to nie zaskoczyło?

- W pewien sposób jest miłsza niż ja, ale to sprawia, że jej trudniej być potworem. Urządzenie, które przywróciło mi życie, zostało zniszczone, więc nie można zmienić jej losu. Teraz Velander odkryła, że krew pijaków ją pociesza, a nawet daje nieświadomość na jakiś czas.

- Zauważyłem.

- Ona się myli. Powiedziała mi, że wciąż wybiera na ofiary kryminalistów i okrutników, ale ja wiem lepiej, jaka jest prawda, ty zresztą też. Pewnego dnia będę zmuszony zakończyć jej egzystencję.

- Kiedy to się stanie?

- Kiedy zniknie resztką Velander i zostanie tylko potwór. Obawiam się, że już niedługo.

- Panie, chciałbym jej pomóc. Obiecałem jej nie pić, dopóki ona powstrzyma się od zabijania ludzi.

- Zawarłeś pakt z Velander?

- Tak.

- Przestałeś pić, żeby udzielać jej moralnego wsparcia?

- Tak i powiem panu dlaczego. Oddałbym wszystko za pełen dzban. Ale... to może zabrzmieć trochę dziwnie, ale... ona jest moją dziewczyną.

Laron przez chwilę milczał, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Zdziwiająca. Andry, byłeś brudnym, pijanym żeglarzem, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem, a teraz nie pijesz, masz stopień w armii cesarstwa sargolskiego, dowodzisz pięcioma zwiadowcami, masz takie maniery, że nigdy bym nie pomyślał, że to będzie możliwe i dostałeś zaproszenie na bal u księżniczki. Ta przemiana zajęła ci tylko... na wszechmocnych bogów! Osiemnaście dni!

- To nic wielkiego, panie Laronie. Jak wielu pijaków, którym rozdarło gardła, znalazłoby w sobie siłę na porzucenie pijaństwa, gdyby im dano szansę? Pan dał mi szansę, teraz ja próbuję dać ją Velander. Wie pan, co powstrzymuje mnie przed podpaleniem jej, gdy Miral jest poniżej horyzontu i ona śpi?

- Powiedz mi.

- To, że ona jest taka, jaki ja byłem i może sama postanowi sobie wywalczyć drogę powrotu.

- Tobie było łatwiej niż jej, Andry.

- Tak pan myśli? Nie piłem wina od Clovesser i w tej chwili pragnienie napicia się sprawia, że boli mnie głowa, język płonie, mam zwydy. Rozumiem, że...

Z oddali ktoś zawołał Andry'ego i zapytał o wosk do wásów.

- Lepiej już pójdę - powiedział Andry.

- Twoi ludzie traktują ten bal bardzo poważnie.

- Tak samo jak ja. Będzie pan tam?

- Nie. Terikel chce, żebym ją eskortował w jakieś niebezpieczne miejsce. To

dobra wymówka, żeby się wymigać od balu.

- Powinna jej towarzyszyć Velander?

- Velander dowiodła, że nie jest godna zaufania. W Clovesser kosztowało to życie studenta.

- Tylu zginęło w Clovesser, dziwię się, że zauważył pan akurat ten zgon.

Rozległo się jeszcze bardziej ponaglące wezwanie Andry'ego, ktoś pytał, jak, do cholery, używa się grzebienia.

- Muszę iść, muszę przed balem się ogolić. Oby godziny mroku ci sprzyjały.



Velander już się nie kulila. Zebrawszy siły przeciwko promieniom, rzuciła się na otaczającą ją pulsującą masę. Doznała bólu, jakby tysiąc batów uderzyło ją w jednej chwili, bólu, jakby po tysiącu batów ktoś posypał ją solą, a potem znowu wymierzył jej tysiąc batów. Gdy wróciły jej zmysły i mogła policzyć wychodzące z siebie promienie, naliczyła ich ponad sto, więc rzuciła się na otaczający ją eter jeszcze raz.



Do zachodu słońca zwiadowcy skończyli zaszywać rozdarcia, rozcięcia i wystrzępienia w mundurach, które były teraz czyste i suche, potem wyczyścili buty. Okazało się, że muszą ponownie wyszorować paznokcie. W końcu czysti i elegancy szli przez podupadłą część śródmieścia do pałacu, dyskutując w podnieceniu i spekulując, czy jakaś kobieta będzie chciała z nimi tańczyć. Po kwadransie wrócili do baraków po zapomniane zaproszenia.

Terikel i Laron mieli w tym czasie mniej szczęścia. Glasburska Akademia Sztuk Eterycznych i Nauk była administrowana przez prefekta, wtajemniczonego dziewiątego stopnia, wszyscy pozostali starsi studenci i wykładowcy wyjechali miesiąc wcześniej, jako część załogi kręgu Alpine. Młodszych studentów wysłano do domów, a personel sprzątający i kuchenny zwolniono.

- Jest coś bardzo niepokojącego w tym, że siedemsetletnia instytucja nagle zawiesza działalność, ot tak - powiedział Laron, gdy wraz z Terikel szli do pałacowego skrzydła dla gości. - Działała przez siedem wieków, tak samo jak ja, ale teraz jest jak śmiertelnie chory staruszek.

- Zgadzam się - odparta Terikel. - Czuję się, jakby to był koniec świata.

- Uczona Terikel, naprawdę myślisz, że to jest koniec świata? Smoczy Mur i to wszystko, co dzieje się przez niego?

- Ludzkie dzieła są ulotne, a świat jest duży. Zniszczenie całego wymaga dużo

pracy.

- Machina eteryczna stworzona dzięki naukom i sztuce sprzed wielu lat stopiła Toreę w bardzo krótkim czasie.

- Tak, legendarna Srebrzyśmierć. Dzięki tobie i Wensomer już nie istnieje.

- Ale teraz nasi czarodzieje zbudowali inną bardzo niebezpieczną machinę eteryczną. Czy nie obawiasz się, że staną się tak potężni, że nasz biedny mały świat tego nie wytrzyma?

- Obawiam się tego, Laronie i obawiam się jeszcze kilku ludzi.

- Więc co zrobimy?

- Podejmiemy nadzwyczaj drastyczne działania.

- Czyli?

- Nie będę mówiła we własnym imieniu. Jest pewna grupa ludzi. Mają plany, które pozwolą im przejąć kontrolę nad Smoczym Murem. Ci ludzie uważają, że tylko oni są godni zaufania i nikt poza nimi. Moja mała frakcja chce zniszczenia Muru.

- Kim oni są?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Rozgrywam swoją część i mam nadzieję, że ci, którzy są nade mną, wiedzą, co robią.



Kiedy w tawernie organizowane są tańce, paru pijących gra, kilku innych rusza do gigi czy reela z dziewczkami i kelnerkami, a właściciel zaciera ręce z zadowolenia, ponieważ w lokalu jest dużo ludzi i są coraz bardziej spragnieni. Kiedy tańce się urząda na placu targowym, sponsor instaluje się przy stole z beczułką, na ławce przysiada trzech czy czterech muzykantów, a impreza sama się rozkręca. Na zabawie w sali ludowej tańczy się te same tańce co na placu, różnica jest taka, że przy wejściu do sali stoi ktoś, kto pobiera opłatę za wstęp. Muzykanci grają w zamian za piwo i od czasu do czasu kilka miedziaków. Pary tańczą, samotni chodzą tu i tam, próbując wzbudzić czyjeś zainteresowanie seriami dziwnych i subtelnych spojrzeń, mrugnięć, uśmiechów i gestów. Kategoria gestów rozciąga się od ukłonów i wyciągnięcia ręki w stronę potencjalnej partnerki przez przypadkowe wylanie na nią napoju aż po odważne zagajenie rozmowy. Wszyscy znają swoje role, a zasady są ograniczone do minimum.

Bal to jednakże zupełnie inna sprawa.

Kolejni lokaje i służący prowadzili Andry'ego i zwiadowców ciągiem sklepionych przejść i korytarzy. Niemal bez przerwy pytali ich o nazwiska, a potem

odfajkowywali je w swoich papierach. Za nimi szli strażnicy w złożonych kolczugach i z bogato zdobioną bronią.

- Rzecz by można, iż chcą się upewnić, że nie zwiniemy jakiegoś towaru i nie zwiejemy - powiedział Andry do Essena, ale w tym momencie Essen już przeszedł przez kolejne drzwi, prowadzony przez człowieka ubranego chyba wyłącznie w złote szamerunki.

Człowiek ten zaraz wrócił po Andry'ego.

- Stój z podniesionym wzrokiem, kiedy będzie wyczytywane twoje nazwisko, a potem pozwól się poprowadzić wysłanej po ciebie hostessie - mówił, prowadząc Andry'ego przez drzwi, za którymi bezpowrotnie przepadł Essen.

- A pan kim jest? - zapytał Andry.

- Heroldem wprowadzającym, oczywiście! - wykrzyknął ten człowiek z niekłamanym zdumieniem w głosie.

Zatrzymali się przed wielkim podwójnym portalem, przed którym stali dwaj ubrani wyjątkowo cudacznie i kosztownie strażnicy. W komnacie za drzwiami było ciasno od szlachciców. Herold wprowadzający stuknął trzy razy laską w podłogę i paplanina tłumu nieco przycichła.

- Król ma przyjemność przedstawić... delegat zwiadowca Andry Tennonner z Królewskiej Straży Dróg, poddany następcy tronu Alberinu, a obecnie w służbie cesarskiego regenta.

Wybuchł grzeczny aplauz, potem Andry się zorientował, że idzie przez salę z kobietą, której sposób bycia nie pozwoliłby na żadne spoufalania nikomu - wojownikowi, czarodziejowi, nawet królowi. Zauważył także, że kobiety i dziewczęta patrzą na niego. Zaczął żałować, że nie uczesał włosów jeszcze raz i nie użył nowego rzemyka do ich związania.

Mimo zdenerwowania i skupienia na konwenansach i protokole zwiadowcy szybko odkryli, że bal, impreza skomplikowana towarzysko, jest zaplanowany i zaprogramowany ze zdumiewającą dokładnością i dbałością o szczegóły. Zaproszenia znowu sprawdzono im przy wejściu, potem zostali przechwyceni przez szefa sali, który poprowadził ich do stolika, gdzie serwowano drinki. Andry poprosił o pusty kielich i taki mu wręczono. Następnie zabrano ich do grupy strażników, w której był również Wallas. Przedstawiono ich sobie wzajemnie, mimo że już się znali i pozostawiono na chwilę, aby sobie pogawędzili. Kilka minut później przyszli do nich posłańcy z zaproszeniami na pogawędkę od różnych mężczyzn i kobiet ze średniej i

wyższej klasy towarzyskiej Glasbury; większość z nich nigdy nie rozmawiała z żołnierzem poniżej rangi porucznika. Posłańcy doskonale potrafili podtrzymywać zamierającą konwersację, więc wszyscy mieli wrażenie, że pogawędka jest życzliwa i ożywiona.

Zaczęły się tańce. Kobiety, które najbliżej ochotnika były w chwili, gdy przestępowały go, kiedy pijany leżał na ulicy, teraz wysyłały do nich swoich posłańców z zaproszeniami do tańca, a zwiadowcy czuli, że ta noc będzie absolutną katastrofą, o której trzeba jak najszybciej zapomnieć. Kobiety zdawały sobie sprawę, że żołnierze z niższej klasy społecznej są silni, szczupli i zaskakująco nieśmiali, a zwiadowcy i ochotnicy dowiedzieli się, że szlachcianki mają dar rozwiewania czyichś obaw.

- Laron powiedział mi, że to wszystko, czym one się zajmują, więc są w tym dobre - wyjął Andry Costigerowi w trakcie jednej z przerw.

- A zmywanie i w ogóle? - spytał sceptycznie Costiger. - Co z gotowaniem, szorowaniem podłóg, chodzeniem na targ i trzymaniem urwisów w ryzach?

- Mają do tego służących.

- Jakich służących? - zapytał Costiger, który słyszał to słowo od czasu do czasu, ale nie zastanawiał się, co ono znaczy.

Herold przy drzwiach stuknął laską trzy razy i gwar nieco przycichł.

- Król ma przyjemność przedstawić... kapitan Laron Aliasar z Królewskiej Straży Dróg, bohater walk z Clovesser. Kapitan Aliasar przeprosza za spóźnienie spowodowane koniecznością eskortowania wysoko postawionej damy dworu cesarskiego.

Szmer dużej liczby szepczących dziewczyn i kobiet dowodził, że Laron jest odważny, romantycznie przystojny, z dobrej rodziny i bardzo, bardzo młody. Posłańcy kilkunastu dam ruszyli w jego stronę, gdy szef sali prowadził go do stolika z napojami.

- Andry, jak się bawisz? - zapytał nagle zbyt znajomy głos i Andry zaczął salutować kapitanowi Gilvrayowi, jeszcze nim skończył odwracać się w jego kierunku.

- Wspaniały wieczór, panie kapitanie! - odpowiedział krótko.

- Odpręż się, Andry, po przejściu przez te drzwi powinniśmy się zachowywać jak koledzy.

- Tak jest, panie kapitanie!

- Młody Laron dopiero co zrobił wielkie wejście. Wysoko urodzone córki i matki pobiegly za nim jak psy za lisem.

- Fortuna go lubi, panie kapitanie.

- Tak, ale mało o nim wiemy. Przejrzałem księgę genealogiczną i znalazłem tylko jedną wzmiankę o Laronie Aliasarze. Pochodzi z ubiegłego miesiąca i mówi, że został on zwolniony ze służby u cesarza Scalticaru Północnego. Dziwne. Byli inni Aliasarowie w rejestrach z wcześniejszych okresów. Pięćset lat temu jakiś Aliasar przybył ze Scalticaru Północnego, spędził tu rok lub dwa, wyróżniając się na różne sposoby, a potem wyruszył w drogę, napisano: „jak zawsze na północ”.

- Może to rodowa tradycja?

- Może. Widzisz, lubię wiedzieć coś o ludziach, z którymi służę. Weźmy na przykład ciebie, Andry. Nie wiem nawet, w jakim jesteś wieku, ale założę się, że masz siedemnaście lat.

- Dziewiętnaście, panie kapitanie. Tak myślę.

- A którego dnia się urodziłeś?

- Nie wiem, ale pięć lat temu dziadek chciał usprawiedliwić swoje pijaństwo w ostatni dzień trzeciomiesiąca, więc powiedział, że są moje urodziny, a rodzina urządziła niezłą hulanke.

- Ach, tak - powiedział Gilvray, spokojnie podchodząc do tak niezwykłego sposobu wyznaczenia dnia urodzin. - Po raz pierwszy jesteś tak daleko od domu?

- Niezupełnie, popłynąłem kiedyś suchą barką w górę rzeki od Alberinu.

- Suchą barką?

- Kiedy drewniane barki są odholowywane z powrotem w górę rzeki, wiele z nich potrzebuje naprawy i wtedy układa się je na dwóch innych. Jej szyper i załoga podróżują wraz z nią, po drodze dokonując napraw. W ten sposób barka nie musi zostawać w doku. To nieopłacalne, wie pan. Ja jeździłem na koniach holujących, odkąd skończyłem dziewięć lat. Trzy dni w górę rzeki, spanie na pokładzie, reperowanie barki, dzień w Ahrag, pomoc w załadunku, potem dwa dni z powrotem, obrabiając drewno i ciosając kołki do takielunku.

- Ach, pomocnik cieśli.

- Gdyby nie sztormy, które pozatapiały wszystkie duże statki, może osiągnąłbym to stanowisko. A potem zostałem siłą zamustrowany i... cóż, naprawdę zostałem pomocnikiem cieśli.

- Potrafisz więc jeździć konno?

- O tak, jeździłem na koniach holujących barki przez dziewięć lat, powiedziałem przecież. Jeździłem na nich w trakcie holowania i trenowałem je pod koniec dnia.

- Potrafisz wykorzystać swój topór, by osiągnąć niezłe efekty.

- Coś w tym rodzaju. Lepiej władam miarą, najlepszy jestem, gdy chwycę topór tuż poniżej ostrza i używam jako miary.

- Oczywiście. Widziałem, jak stanąłeś przeciwko Laronowi i dwóm tuzinom jego ludzi na wiejskim targu, a wyszczerbiony topór za twoim pasem mówi mi, że stanąłeś nawet przeciwko szklanemu smokowi. Umiejętności żołnierskich można się nauczyć, Andry. Odwagi nie.

- Dziękuję, panie kapitanie.

- Ilu ludzi zabiłeś?

- Żadnego.

- Żadnego?! - krzyknął Gilvray zaskoczony.

- Żadnego, panie kapitanie.

- Ale jeśli okaże się, że stoisz przeciwko komuś, kto zasłużył na śmierć, co wtedy?

- Jak dotąd nie spotkałem człowieka, który by zasłużył na śmierć, ale jeśli będę musiał zabić, zrobię to.

- Zadziwiające. Większość wojowników przechwala się, jak wiele trupów ma na koncie. Jesteś jednym z najlepszych żołnierzy, jakich widziałem, mimo to jesteś dumny z tego, że nikogo nie zabiłeś. Twoi zwiadowcy chyba darzą się sympatią.

- Skoro pan tak mówi, panie kapitanie.

- Nie zgadzasz się z tym? - zapytał Gilvray, słysząc zwątpienie w głosie Andry'ego.

- Nie, ale... nieważne.

- Powiedz.

- Jestem na służbie od siedmiu dni, a jeszcze mniej w tym oddziale. Żaden ze zwiadowców nie służy krócej niż rok. Mam za małe doświadczenie, więc jeśli zostanę na stanowisku delegata, możemy wszyscy zginąć.

- Ale wielu zaciągających się przychodzi do służby jako oficerowie, bo rodzice kupili im stopień.

- Mówię panu otwarcie, jakie jest moje zdanie.

- Doprawdy? Nie słyszę tego zbyt często... ale cenię szczerość. Ludzie wysoko postawieni zbyt rzadko słyszą szczerą opinię od ludzi o niższej randze, którym zależy na awansie. Twoi zwiadowcy zachowują się bez zarzutu dziś wieczorem.

- Wszyscy na swój własny sposób są szlachetni.

- Doprawdy? Gdyby było teraz głosowanie na delegata, na kogo oddałbyś swój

głos?

- Na Essena, panie kapitanie. Jest szanowany, doświadczony i wszyscy go lubią. Podejmuje słuszne decyzje i jest cholernie dobrym muzykantem.

- Ale delegat nie ma uprawnień dowódczych, on jedynie wykonuje rozkazy kapitana Straży Dróg.

- Błagam o wybaczenie, ale pana przez większość czasu tu nie ma, a zwiadowcy pytają delegata, co pan rozumiał przez ten czy inny rozkaz.

- A, tak, interpretacja, tu masz rację. Hm, jesteś albertińczykiem. Czy nie zachodzi tu konflikt, jeśli chodzi o lojalność?

- Scalticar Północny i cesarstwo sargolskie nie są w stanie wojny, panie kapitanie, ale jeśli to się kiedykolwiek wydarzy, oczekuję, że zostanę zwolniony ze służby dla Sargolu.

Gilvray skinął głową, potem uśmiechnął się i rozejrzał.

- Rozmowa z tobą to przyjemność, Andry, ale muszę już iść. Baw się dobrze.

Gdy tylko Andry został sam, podszedł Laron, a tuż za nim ciągnął tłumek posłańców oraz dziewcząt i kobiet, którym służyli.

- Proszę, panowie, zróbcie nieco miejsca. Muszę porozmawiać z delegatem Tennonem o ochronie księżniczki. - Laron odwrócił się do Andry'ego i wywrócił oczami. - Tak naprawdę nie muszę z tobą rozmawiać, po prostu chcę trochę odetchnąć.

- Ma pan szczęście, mnie do tańca proszą tylko starsze damy - wyznał mu Andry.

- Bo jesteś postrzegany jako nisko urodzony. Sprawdzają twoje maniery, zanim pozwolą córkom wysłać do ciebie posłańca. Nikt nie osiągnie stopnia kapitana, jeśli nie pochodzi z dobrej rodziny, więc mam fory na starcie. Za pół godziny będziesz miał takie same problemy jak ja. Co porabiają twoi zwiadowcy?

Andry się rozejrzał. Stali grupką niedaleko, byli zagadywani przez różne kobiety i wszyscy wyglądali na przestraszonych.

- Oni... dobrze się spisują w tej... potyczce. W każdym razie kapitan Gilvray chyba tak sądzi.

- Porządny człowiek z tego Gilvraya - zgodził się Laron. - Jego ojciec, mistrz cesarskich łowów, nie był arystokratą, ale szlachcicem pochodzenia alpenińskiego, utalentowanym myśliwym, a jego znajomość etykiety i manier zawstydziliby herolda. Według mnie księżniczka go lubi. Daj mu jeszcze dziesięć lat, a zostanie kasztelanem.

- Zasługuje na uśmiech losu, panie kapitanie - powiedział Andry.
- Przestań z tym panem kapitanem, Andry, to ja, Laron. Wracając do Gilvraya, kiedyś dostanie ziemię i będzie bogaty. A wiesz co? Na szlachectwo najlepszy jest test łaźniowy.
- Mówisz o braniu kąpieli, nawet kiedy nie potrzeba? - zapytał Andry, który nie był pewien, czy dobrze usłyszał.
- To też, ale zobacz ich nagich w łaźni, a ludzie jak kapitan Gilvray nie zapomną o dobrych manierach. Wpuść między nich plebejusza i każdy od razu rozpozna, kto jest szlachcicem, a kto pochodzi z gminu.
- Wallas jest uważany za szlachcica i nawet może nim być... - zaczął Andry.
- Wyjątki, zawsze są wyjątki. Terikel mi powiedziała, że dowiedziała się od ludzi, pomińmy nazwiska, że Wallas był wcześniej mistrzem królewskiej muzyki.
- Śmieszny pomysł, panie kapitanie, eee, chłopie, to jest Laronie.
- Zastanów się. Jego rodzice byli piekarzami, którzy doszli do bogactwa dzięki ciężkiej pracy i szczeremu sprytowi. Wydali fortunę na edukację syna, a Wallas im odplacił, wydeptując sobie ścieżkę na cesarski dwór. Załatwił nadanie herbu rodzinie i przedstawił ojca samemu cesarzowi... ale wciąż nie może zdać testu łaźniowego. A tak przy okazji, gdzie on jest?
- Tam, z jakąś damą wyglądającą na zamożną.
- Hrabina Bellesarion! - wykrzyknął Laron.
- Znasz ją?
- Jest miejscową współpracowniczką księcia Valiosa, który jest trzeci w kolejce do cesarskiego tronu.
- Tak? Łajdak ma się dobrze, więc... masz na myśli dwór w Palionie? - sapnął Andry.
- Nie, ona ma uszy i oczy szeroko otwarte i wysyła długie listy do księcia.
- Ale Wallas chce ją poderwać swoimi zwykłymi bzdurnymi gadkami o tym, że jest cesarskim agentem lub kimś w tym stylu.
- No, to może mieć poważne następstwa. Hrabina Bellesarion zna każdego dworskiego szpiega w cesarstwie, jak również większość szpiegów z klasy kupieckiej i plebejskiej. Jeśli pomyśli, że Wallas jest jakimś nowym agentem na żołdzie księżniczki Senterri, jutro z rana pchnie kuriera z bardzo szczegółowym listem do Palionu, a jeśli Wallas naprawdę zrobi na niej wrażenie, wyśle magicznego ptaka.
- Niech Wallasa trafią szlag i cholera! - mruknął Andry, zauważając, jak

rozszerzyły się oczy hrabiny Bellesarion, gdy Wallas poważnie jej coś tłumaczył.

- Powiedziałbym raczej: Niech ten głupek wreszcie zmadrzeje! - zasugerował Laron.

Nagle Wallas uklonił się i odszedł od hrabiny. Ona skierowała się ku dobrze ubranemu i znacznie od niej starszemu mężczyźnie, przystanęła, porozmawiali chwilę, potem on ją wyprowadził za drzwi przesłonięte czerwoną kurtyną i zaraz pojawił się znowu. Po drugiej stronie pokoju Wallas przerwał rozmowę ze służącą i razem poszli w kierunku drzwi dla służby.

- Wzniosłość i śmieszność w tej samej komnacie - powiedział Laron. - To był hrabia Igon Bellesarion. Jest bardzo zazdrosnym typem, więc hrabina starannie się zabezpiecza po rozmowie z kimś nieznanym. Wątpię, czy lista genealogiczna wzmiankuje tę dziewczkę, którą Wallas...

- Wallasem rządzi fiut, a nie mózg - warknął Andry. - Sfinalizowanie spotkania z dziewczką z pewnością zajmie mu kwadrans.

Prowadzący bal ogłosił następny taniec.

- Szykuj się, posłańcy nadchodzą - ostrzegł Laron.

Andry szybko znalazł się w parze z jedną z dziewcząt, a ona wyjaśniła mu, że jej mamusia już z nim tańczyła. Dziewczyna miała na imię Murellis, miała śliczną twarzyczkę, zadarty nosek, złociste loki spięte srebrnym grzebieniem.

- Słabo znam sargolski popularny! - zachichotała. - Tańczę z bohaterskim żołnierzem. Jakie to podniecające! Prawie tak samo jak być porwaną z powozu przez zuchwałego rozbójnika.

- Moim zadaniem jest polować na rozbójników, panienko.

- Mógłbyś przybyć jako mój wybawca i zarąbać go toporem, jak to zrobiłeś ze smokiem i wsadziłbyś mnie na swojego konia i objąłbyś mnie swoimi silnymi ramionami, żebym była bezpieczna.

- Pani marzenia są... pełne emocji, młoda damo - powiedział Andry niezręcznie.

Nagle zdał sobie sprawę, że hrabina nie wróciła na parkiet. Ani Wallas ze swoją dziewczką służącą. Minęły już dwa tańce, oba dość długie i powolne.

- Co jest za tymi drzwiami z czerwoną kurtyną? - zapytał swoją partnerkę.

- Och, ale pan jest zuchwały! - Murellis zachichotała.

- Co pani ma na myśli?

- Nie wie pan?

- Pierwszy raz jestem w tym pałacu - zapewnił ją Andry.

- To pokój wypoczynkowy. Tam odpoczywają damy, uciekając od hałasu i gorąca sali balowej, kiedy są zmęczone. Łatwe męczenie się jest bardzo modne.

- Wypoczynkowy? - Andry'ego aż zatkało, bo poprzednie podejrzenia nagle z siłą tabunu koni przeleciały przez jego głowę.

- Pokażę panu, jak to się robi: Och, jej, czuję się taka słaba, czy może mnie pan odprowadzić do pokoju wypoczynkowego, zwiadowco Andry?

Prosto z parkietu poszli do drzwi za czerwoną kurtyną. Znaleźli się w szerokim korytarzu, w którego ścianie było dwanaście identycznych drzwi, wszystkie poza jednymi otwarte. Murellis poprowadziła go do najbliższych, zamknęła je i przekręciła klucz. Uruchomiła niewielki zegar, a potem objęła Andry'ego ramionami za szyję i zbliżyła usta do jego ust. Z wprawą, której nie można osiągnąć bez intensywnej ćwiczeń, pociągnęła go na tapczan, namiętnie całując raz za razem i wijąc się pod nim.

- To takie podniecające! - zapiszczała. - Jestem w pokoju wypoczynkowym i mam między nogami plebejskiego bohatera.

Tak i rozdziela nas jakieś dwadzieścia warstw ubrań i falbanek, pomyślał Andry.

- Ale z pewnością ludzie będą gadali - ostrzegł ją.

- Och nie, ty zostaniesz tu tylko przez chwilę, nie będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, aby posunąć się zbyt daleko. Poza tym moja matka cię poznała, więc wszystko jest w porządku. Oczywiście mogła się pomylić w ocenie, wtedy mógłbyś zdrzeć mi spódnicę i zrobić dziecko, ale jesteś honorowym plebejuszem, więc nigdy byś nic takiego nie zrobił.

- O tak, właśnie taki jestem - zapewnił ją Andry, przesuając się na krawędź tapczanu.

- Mógłbyś w uczciwy sposób mnie zaspokoić, po prostu robiąc to.

Ujęła jego dłoń i wciągnęła pod spódnicę, między uda. Andry zdał sobie sprawę, że drży spazmatycznie i zaczyna się pocić. Co by pomyślała Velande? - zastanowił się, a potem pomyślał: Co mnie obchodzi, co by pomyślała Velande?

- Teraz będę mogła powiedzieć prawdę, że byłam z tobą blisko. Bo przecież leżałeś między moimi nogami, zrobiłeś to, a mimo to medyk mojej matki będzie mógł przysiąc, że wciąż jestem dziewicą. Zaraz pójdziesz, nie możesz tu być zbyt długo. Ja zostanę i będę się rozkoszować wspomnieniem tej chwili.

Andry podniósł się, ale Murellis wskazała mały zegar na ścianie, który odmierzał interwały i dzwonił co pięć minut. Upłynęła dopiero jedna minuta.

- Zostań, mamy jeszcze trochę uczciwego czasu - wyszeptwała.

Andry stał i rozglądał się. Zauważył sznur od dzwonka z frędzlem na końcu i pod spodem tabliczkę z napisem KUCHNIA. Po dwóch minutach Murellis wydyszała: „Idź!”. Przekręcił klucz i wyszedł. Murellis natychmiast zatrzasnęła za nim drzwi. Andry oparł się o ścianę i myślał przez chwilę: Przynajmniej dostałem więcej niż obietnice, które składały Jelene i madame Jilli. Nagle otworzyły się drzwi na końcu korytarza i wyszła z nich służąca, która wcześniej zniknęła z Wallasem. Spojrzała na Andry'ego, zajrzała do najbliższego otwartego pokoju, zmieszała się i uciekła.

Andry miał sztylet od madame Jilli przy sobie. Podszedł do innych zamkniętych drzwi. Były solidne, ale w panelach ścian znalazł szparę, włożył tam czubek sztyletu, lekko popchnął i zajrzał przez otwór. Zobaczył parę białych nóg kołyszących się w powietrzu, a między nimi dwa włochate pośladki. Mężczyzna, który zabawiał się z kobietą - mogła nią być tylko hrabina - miał plecy poznaczone śladami po pięciu uderzeniach batem.

Andry pomaszerował do sali balowej i stanął oko w oko z matką Murellis.

- Dwie i pół minuty, młody człowieku - oznajmiła, uśmiechając się szeroko i ściskając jego ramię. - To było jednocześnie uczciwe i pochlebne z twojej strony.

- Jakiego czasu pani się po mnie spodziewała? - wyjąkał Andry.

- Nie wiesz? Cóż, ćwierć minuty jest uważane za afront, minuta jest jedynie grzeczna, dwie minuty uczciwe, trzy trochę niegrzeczne, cztery to limit właściwego zachowania, a pięć to już skandal.

- Murellis jest uczciwą, choć bardzo ponętą dziewczyną.

- Tak, wielu młodych mężczyzn jej nadskakuje, ma duże powodzenie.

Dlaczego nie jestem zaskoczony? - pomyślał Andry. Cóż, czyli tak robią to szlachcianki. To całkowicie różni się od zachowania dziewczek, które w tawernach Alberinu siadają facetom na kolanach.

Skończył się taniec. Andry podszedł do pierwszego zwiadowcy, jakiego udało mu się zauważyć - tak się złożyło, że był to Essen. Reszta oddziału szybko zgromadziła się dookoła nich, niektórzy jeszcze z partnerkami w ramionach. Zamierzał wysyczyć Essenowi do ucha: „Muszę coś zrobić z Wallasem!”, ale nie zdążył.

- Czcigodni panowie, czy mogę zamienić z wami słowo? - zapytał ktoś.

Ani Andry, ani żaden z jego ludzi nawet się nie odwrócili, bo nie byli przyzwyczajeni do tego, by ktoś tak się do nich zwracał. Umundurowany poślaniec, który do ramienia miał przypięte kilka pętli ze złotego sznura, podszedł do Andry'ego

i złożył płytki ukłon.

- Czy pan delegat Andry Tennoner? - zapytał.

- Owszem - rzekł Andry ostrożnie, świadom, że nie jest zobowiązany do okazywania szacunku cywilom poniżej pewnej rangi.

- Jej królewska wysokość księżniczka Senterri życzy sobie pana poznać. Proszę uprzejmie stanąć w gotowości i powiedzieć swoim ludziom, żeby stanęli za panem.

Andry błyskawicznie stanął na baczność, a szuranie butów upewniło go, że zwiadowcy ustawiają się w szeregu za jego plecami. Księżniczka podeszła do nich przez tłum, opierając się na ramieniu wicehrabiego Cosserena, a eskortował ich kapitan Gilvray. Każdy w sali odwrócił się, żeby popatrzeć, co się będzie działo. Wszelkie rozmowy zamarły.

- Delegacie Tennoner, znany także jako „zwierzak”, z niecierpliwością oczekiwałam na spotkanie z panem - powiedziała księżniczka, która nagle wypełniła Andry'emu cały wszechświat i sprawiła, że czas stanął w miejscu. Zdołał zauważyć, że miała czarne włosy, splecione w luźne warkocze i spięte na kształt pętli i że była piękna w raczej zmysłowy niż klasyczny sposób.

- Wasza wysokość jest wielce łaskawa - odpowiedział, nagle zdjęty strachem, że pęcherz może go zawieść.

- Przeczytałam raport o tym, jak bronieś mojego pustego powozu, by oszukać smoka. Delegacie Tennoner, jesteś bardzo odważnym zwierzakiem. Świadczy o tym już fakt, że ciąłeś smoka toporem i przeżyłeś. Ostrze twojego topora jest częściowo stopione, a rękojeść zwęglona. Mogę zobaczyć ten topór?

Andry podał broń księżniczce. Chwyliła koniec rękojeści i nieświadomie stanęła na chwilę w pozycji bojowej. Potrafi walczyć na topory, pomyślał Andry.

- Nadzwyczajne - powiedziała Senterri. - Powinnam powiesić ten topór na ścianie w mojej nowej sali tronowej w Logiar. Mogę go zatrzymać?

- Wasza wysokość, jestem zaszczycony.

- Ale będziesz potrzebował nowego topora - powiedziała, oddając topór Andry'ego lokajowi. - Nie mogę pozwolić, abyś walczył w mojej obronie, posługując się butelką piwa. Kapitanie Gilvray?

Gilvray wręczył jej własny topór. Na ostrzu było wyryte godło Straży Dróg.

- Czy mógłbym z całym szacunkiem przypomnieć waszej wysokości, że tylko członkowie Straży Dróg mogą nosić broń z tym godłem? - powiedział Gilvray.

- Ach, oczywiście, a tylko rycerze mogą zostać przyjęci do Straży Dróg. Ale czy

delegat Tennoner jest człowiekiem honoru, kapitanie Gilvray?

- Ma wiele cnót, wasza wysokość. Potrafi grać, śpiewać, tańczyć, czytać, pisać, rozmawiać na tematy nauk ścisłych i magicznych, zachowywać się zgodnie z etykietą i dobrymi manierami. Zna trzy języki.

- Cnoty i szlachetność czynią go szlachcicem, kapitanie Gilvray, nawet jeśli ludzie uważają go za zwierzaka. Delegacie Tennoner, klęknijcie.

Andry upadł na oba kolana. Topór opadł, ostrzem skierowany do góry.

- Delegacie Tennoner, powstaniesz z prawem używania herbu. Powstań, zwiadowco rycerzu Andry Tennonerze. - Teraz księżniczka zwróciła się do Essena. - Zwiadowco Essen, uklęknij. Doszło do mojej wiadomości, że moi lojalni zwiadowcy potrzebują doświadczonego dowódcy, aby interpretował rozkazy przekazywane oddziałowi przez delegata, który jest niedoświadczony, chociaż odważny. Niniejszym wprowadzam stanowisko sierżanta oddziału zwiadowców Straży Dróg i mianuję ciebie pierwszego na to stanowisko. Powstań, sierżancie Essen Essaren.

Zebrani zaczęli klaskać, gdy Essen wstawał; on i Andry stanęli blisko siebie i odebrali długi, bardzo długi aplauz. Księżniczka odeszła kilka kroków, a potem nagle się odwróciła.

- Och, rycerzu Tennoner, to należy do pana - powiedziała, rzucając topór Gilvraya. Andry złapał go pewnym ruchem i znowu zgiął się w ukłonie.

Gdy Senterri odeszła, Essen chwycił go za ramię.

- Dziękuję panu, dziękuję z całego serca - szeptał. - Postaram się zasłużyć na pańską dobrą opinię.

- Ja? Ja nic nikomu nie powiedziałem - odparł Andry cicho, a pokój wirował mu przed oczami. - Ktoś inny musiał zauważyć twoje zdolności i talenty, to wszystko... Czeka! Jesteś teraz wyższy rangą niż ja.

- Ona uczyniła nas częścią szwadronu! - zauważył Bander. - Zostaliśmy włączeni do samej Straży Dróg!

- No... tak - powiedzieli razem Andry i Essen.

- Panie sierżancie, mamy pozwolenie na zalenie się w trupa? - zapytał Danol.

- Zezwalam, ale dopiero po balu - odpowiedział Essen.

Reszta wieczoru zleciała błyskawicznie. Wallas pojawił się znowu na parkiecie, a Andry zauważył, że hrabina także wróciła do towarzystwa i rozmawiała z mężem. Gdybyż on tylko wiedział, pomyślał Andry. Gdybyż także matka Murellis wiedziała...

- Andry!

Andry'emu niemal ugięły się kolana, gdy usłyszał za sobą głos Murellis. Odwrócił się i ukłonił jednym ruchem.

- Muszę cię przeprosić, przegapiłam nadanie ci herbu - powiedziała cicho, ujmując jego ramię.

- Och, nie było na co patrzeć - odparł Andry.

- Mama powiedziała, że gdyby wiedziała wcześniej, dałaby ci trzy i pół minuty ze mną.

Lista rzeczy, które można zrobić przez trzy i pół minuty, przeleciała Andry'emu przez głowę, ale nic nie powiedział.

- Muszę jechać z mamą do rezydencji barona Coriata na zaręczyny mojej siostry, ale za trzy dni powinnam być z powrotem. Mama mówi, że musisz przyjść do nas na popołudniową herbatkę i możemy spędzić ze sobą dwadzieścia minut razem, sami. Wiesz, co to oznacza?

- Ja... oczywiście wiem, ale mamy rozkaz wymarszu za dwa dni.

- Naprawdę? Jaka szkoda! Cóż, może będziesz tędy wracał?

- Trudno powiedzieć. Zostałem przydzielony do garnizonu w Logiar na pięć lat.

- Pięć lat, ojej! Ale do tego czasu ja pewnie zostanę wydana za mąż za jakiegoś dzieciinniałego starca, a ty będziesz mógł wspiąć się przez okno do mojej sypialni i dać mi dziecko i chłopiec będzie wychowywany jak wielki pan, ale to będzie twój syn i będzie silny i przystojny i bardzo odważny. Och, Andry, już nie mogę się doczekać.

- O tak, ja też.



Dopiero o trzeciej nad ranem zwiadowcy opuścili pałac. Zdecydowanie dziwne było to, że żaden się nie upił. Byli dumni, że wcielono ich do Straży Dróg i postanowili udowodnić, iż potrafią zachować się z wdziękiem i godnością.

- Więc ten lalusz podchodzi do mnie i mówi: Proszę mnie nie bić, tylko wziąć pod ramię - śmiał się Costiger, otwierając bramę. - A ja mu na to, że wszystko w porządku, wiem, że pewna dama chciałaby poprosić mnie do tańca, ale nie mogę tego zrobić z powodu różnic klasowych. Na uśmiech Fortuny, powinniście zobaczyć jego twarz!

- Bardzo dobrze - skomentował Andry.

- A cóż to takiego „różnice klasowe”? - zapytał Costiger.

- Ta stara raszpla złapała mnie za tyłek - dziwił się Hartman. - Jasny gwint, zrobiła to!

- Ta stara raszpla jest warta trzysta złotych koron rocznie, tak mówiła jej służąca, z którą tańczyłem - powiedział Danol. - Poza tym nie wyglądała na starszą od ciebie.

- Trzysta złotych koron?! - krzyknął Hartman.

- Jej świętej pamięci mąż robił w browarnictwie - powiedział Danol.

- Powinieneś złapać za tyłek ją. - Costiger się roześmiał. - Wtedy może byś dostał zaproszenie do jej posiadłości.

- Na herbatkę - dodał Danol.

- W jej łóżku - zasugerował Costiger.

- Dała mi coś na pamiątkę. - Hartman wymachiwał karteczką.

- To nie pamiątka, to zaproszenie - rzekł Andry.

- Co? Przynieś lampę. Kto potrafi czytać?

- Daj mi to - westchnął Andry. - Baronowa Polkinghans-Clunes z posiadłości Swallow Ale... ma zaszczyt zaprosić zwiadowcę Hartmana ze Straży Dróg... na herbatę... ciastka... o trzeciej po południu... a może tu jest po północy?

- Po północy - powiedział Danol, zaglądając Andry'emu przez ramię.

- Najpierw znajdź mydło i napełnij końskie koryto! - krzyknął Sander.

Całe mydło zużyli przed balem, więc Hartman poprowadził grupę na włamanie do pralni. Andry, przyświecając sobie lampą, poszedł do stajni i zaczął pompować wodę do końskiego koryta, mamrocząc do siebie: „To jest noc, o której mogliby pisać bardowie”.

- Andry? - usłyszał głos Velander.

Odwrócił się powoli. Stała przy wozie, wyglądała źle.

- Andry, to ty?

- Nie widzisz?

- Nie. Jestem ślepa.

Otworzyła oczy i wytrysnął z nich niebiesko-biały blask. Zamknęła oczy.

- Velander, co się z tobą stało?! - krzyknął Andry.

- Eter smoka mnie zatruł. Nie widzę. Z trudem się poruszam. Wstałam, umyłam się, oczyściłam. Znalazłam jakieś ubranie w wozie. Chciałam być czysta. Och! Masz na sobie... zapach kobiety.

- Tańczyłem z kilkoma. Jak to na balu. Ale co z tobą?

- Zapomnijmy o tym, proszę. Dziewczyna była miła?

- Miła, ale... nieinteresująca. - Andry nie był pewien, skąd biorą mu się te słowa,

lecz wydawały mu się właściwe. - Księżniczka nadała mi prawo posiadania herbu, a Essena awansowała na sierżanta. Zwiadowcy zostali wcieleni do Straży Dróg. To dla nas wielki sukces.

- Miło mi. Przyjmij gratulacje.

- Dziękuję.

- Właśnie się umyłam. Wyszorowałam zęby, kły, wszystko. Umyłam włosy.

- Gdybyś zrobiła to wcześniej, mogłabyś pójść na bal jako moja para, na moim zaproszeniu było napisane, że mogę kogoś ze sobą zabrać.

- Ja?! - Velander wstrzymała oddech, na mgnienie otworzyła swoje lśniące oczy.

- Dlaczego nie? Nie było tam żadnej kobiety, która wyglądałaby lepiej od ciebie.

Problem Andry'ego polegał głównie na tym, że podczas rozmowy z kobietą nawet nie wiedział, co lub kiedy ma powiedzieć. Velander skuliła ramiona. Wyglądała na chorą, ale też na poruszoną.

- Andry, zawarliśmy umowę. Pamiętasz?

- Tak, na balu piłem jedynie lemoniadę.

- Ty przestajesz pić, ja nie poluję więcej... na ludzi.

- Taka była umowa. Dlaczego pytasz?

- Ja jej przestrzegam. To wszystko.

- A ja szanuję cię za to, że próbujesz. Wiem, jakie to trudne.

- Jesteś odważny. Zrobisz coś dla mnie?

- Jeśli będę mógł.

- Podejdź bliżej.

Zdjęty strachem Andry jednak zrobił krok naprzód. Velander powoli przesunęła rękami po jego piersi i chwyciła go w zatrważająco mocny uścisk. Zmusił się do objęcia jej, była rzeczywiście zimna, twarda i dygotała, bo toczyła walkę ze ślepym instynktem, który kazał zabijać i pożerać. Jej uścisk stał się mocniejszy. Jej nadgarstki trzeszczały na jego plecach. Policzek przyciśnięty do policzka Andry'ego był zimny i twardy jak rynna albertińskiej tawerny o północy w zimie... ale pachniała mydłem, a w jej oddechu była woń mięty.

I nagle Velander się cofnęła.

- Dziękuję - wyszeptała.

Mając tę ciężką próbę za sobą, Andry poczuł większą ulgę, niż gdy poradził sobie z przyjęciem herbu z rąk księżniczki bez palnięcia jakiegoś głupstwa. A teraz bez

lęku objął Velander ramieniem.

- W Clovesser, kiedy pożywiałaś się na wozie, uderzyłem cię, a ty... spojrziałaś na mnie.

- Pamiętam.

- Byłaś naprawdę zła.

- Przerwałeś mi posiłek. To niebezpieczne.

- Tak, ale nie zaatakowałaś mnie, zaatakowałaś szklanego smoka. Dlaczego?

Velander zeszywniała, a potem omal nie upadła. Przez dłuższą chwilę wstrzymywała oddech, jak gdyby próbowała zebrać się na odwagę.

- Bo cię kocham - szepnęła w końcu.

Andry uświadomił sobie, że drzwi za nim się otworzyły, a odgłos kroków na pokrytej słomą podłodze nagle ucichł. Nie mogąc uciec w tej chwili, pomyślał, próbując przygarnąć Velander bliżej. Wyglądało to, jakby chciał przytulić kamienny posąg. Palcami gładził jej zimne i mokre włosy.

- Słyszę zwiadowców - szepnęła.

- Co z tego? - odszepnął Andry.

Nie śmierdzi, pomyślał. Mydło, zapach mięty w jej oddechu... Pocałował ją. Jej usta nie były już zimne, przejmowały ciepło. Czuł pod wargami twardość eterycznych kłów; delikatne promienie jego siły życiowej połączyły go z Velander. Odsunął się, ale bardzo powoli, żeby nie poniżyć Velander na oczach zwiadowców. Promienie napięły się, zamigotały, potem pękły. Wargi go zapiekły i zaraz zdrętwiały. Velander odwróciła się w stronę osłupiałych zwiadowców.

- Nigdy nie pojmiecie, jaki to odważny, dobry człowiek - powiedziała.

- Proszę wybaczyć, pani, ale my to wiemy - rzekł Essen.

- Zwłaszcza teraz - dodał Costiger.

Velander przyciągnęła Andry'ego do siebie, aż jej kły połaskotały go w ucho i szepnęła:

- Pójdę już. Pójdę w ogień piekielne. Myśl o mnie. Odwróciła się, po omacku znalazła wóz, spróbowała się na niego wspiąć. Nie udało jej się.

- Pomóż - poprosiła cicho.

Andry podłożył splecione dłonie pod jej stopę i podsadził ją. Velander wśliznęła się na wóz i pod plandekę, nie czyniąc absolutnie żadnego hałasu. Andry upadł. Zwiadowcy rzucili się ku niemu.

- Żyje pan, delegacie? - dopytywał się Danol.

- Jestem wyczerpany - szepnął Andry.
- Dziewczyny potrafią wykończyć człowieka - powiedział Costiger.
- Muszę się przespać - wymamrotał Andry i w jednej chwili głęboko zasnął oparty o koło wozu, trzeba go było zanieść na pryczę.

Pół godziny po tym, jak wszyscy wynieśli się ze stajni, Terikel wysliznęła się z cienia w pobliżu wozu. Nie pozwoliła sobie na szloch, dopóki nie odeszła wystarczająco daleko, ale po jej twarzy spływały łzy.



Laron w Królewskiej Przyjemności zamówił wino i wypił trzy kielichy jeden za drugim, monety na zapłatę wyczarowując z powietrza lub z dekoltu kelnerki. Służąca była zaskoczona, ale i zaintrygowana. Ten kapitan Królewskiej Straży Dróg wyglądał bardzo młodo. Wiedziała, że tej nocy odbył się bal i podejrzewała, że jakieś spotkanie mogło potoczyć się wbrew planom.

- Nieszczęśliwy w miłości, panie? - zapytała, przysuwając się do stołu.
- Niezupełnie, młoda damo - odparł Laron, wychylając następny kielich.
- Więc jaki jest powód twojego smutku?
- Mojego smutku? - Laron roześmiał się, balansując pustym kielichem, który postawił sobie na głowie. - Mój smutek bierze się stąd, że najlepszy i jedyny na świecie przyjaciel mnie opuścił.
- Umarł?
- Tak.
- Ach, przykro mi. Poległ w bitwie?
- Coś w tym rodzaju.
- Biedny młody wojownik - powiedziała, przeczesując palcami jego włosy.



Kapitan Gilvray nie pozwolił sobie na luksus udania się na spoczynek, dopóki cała kompania, którą dowodził, nie tylko nie opuściła sali balowej, ale nie wróciła do swoich pokoi, kwater i baraków po drugiej stronie kompleksu pałacowego. Zajrzał do księgi wyjść. Adnotacja przy nazwisku Larona brzmiała: W TOWARZYSTWIE/KOBIETA/SŁUŻĄCY/NA ZEWNĄTRZ. Uśmiechnął się ponuro. Ktoś wreszcie doszedł do siebie po rozstaniu z Senterri, pomyślał. W końcu z zapaloną świecą otworzył drzwi swojej kwatery, wszedł ostrożnie, rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnych intruzów, następnie zaryglował drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą Terikel.

- Jak się tu dostałaś?! Gdzie byłaś?

- Jestem czarodziejką - powiedziała ze śladem zniecierpliwienia w głosie, uznając, że jest to wystarczające wytłumaczenie.

- Jeśli księżniczka się dowie, stracę godność w jej oczach.

- Niewykluczone. Na korytarzu ustawiłam zakłęcia tak, że pozwalały przejść tobie, ale u wszystkich innych powodowały niepokój i złe przeczucia.

Nastała długa chwila ciszy, w czasie której żadne z nich nawet się nie poruszyło.

- No i cóż? - zapytała Terikel.

- No i cóż? - jak echo powtórzył Gilvray.

- Nie zapytasz mnie, po co tu przysłam?

- Po co?

- Potrzebuję bezpiecznego przejazdu do Alpenfast.

Gilvray podszedł do łóżka, włożył świecę do lichtarza i zaczął zdejmować buty.

- Dlaczego przychodzisz do mnie? Z wielkim trudem zapewniłem bezpieczny przejazd księżniczce Senterri, choć miałem pod komendą całą Straż Dróg.

- Pochodzisz z Alpennien, a Alpenfast leży tuż nad granicą z Alpennien, w pobliżu Karunsel. Senterri ma spędzić trzy dni w Karunsel, bo to jest pierwsze duże miasto, które odwiedza na swoich nowych ziemiach. Trzy dni, kapitanie Gilvray. Możesz pojechać za mną do Alpenfast, upewnić się, że bezpiecznie przekroczyłam mury miejskie i wrócić do Karunsel na czas, aby poprowadzić Senterri i Straż Dróg dalej według planu.

- Jechać konno dzień i noc, nie śpiąc, zmieniając konie w każdym mieście... to da się zrobić. Ale dlaczego ja?

- Nie zgrywaj przede mną niewiniątka, kapitanie. Sprawdzam każdego, z kim mam do czynienia. Jestem kapłanką z zakonu metrologanek, zapomniałeś? Wiem, jak się to robi. Jesteś potomkiem alpennieńskiego szlachcica, schwytanego trzy pokolenia wcześniej, zabranego do Palionu, ale nigdy niewykupionego. Inny odłam twojej rodziny przejął posiadłości i kasztelanię, ale twoja linia zachowała tytuł. Cesarstwo sargolskie rzeczywiście uznało twój tytuł, ale ci, którzy zagarnęli twoją ziemię rodzinną, złożyli przysięgę lenną cesarstwu, więc cesarstwo jest zadowolone i zostawia każdego z tym, co ma.

- To prawda - przyznał Gilvray. - Jeśli któraś strona z linii wyróżnia się, druga dostaje poparcie cesarstwa. Ja wyłamałem się z tego kręgu, stworzyłem sobie nowe nazwisko i otrzymam ziemię w Capefangu, nadane mnie samemu. Formalnie

zrezygnowałem z roszczeń do ziem moich przodków w ubiegłym miesiącu.

- A to spowodowało rozkwit wielkich pokładów dobrej woli ze strony kasztelanii alpennieńskich. Masz zaproszenie do odwiedzania ich, kiedykolwiek zapragniesz, więc je odwiedź wraz ze mną. Mógłbyś przedstawić mnie jako swoją kochankę i mówić, że chcesz mi pokazać posiadłości przodków.

- Trudno będzie sprzedać ludziom tę historię, pani. W Straży Dróg mamy mało prywatności, a każdy się śmiertelnie nudzi i szuka okazji do plotkowania. Gdybyśmy byli kochankami, szybko by to zauważono.

Terikel usiadła na drugim krańcu łóżka, podniosła nogę i przesunęła nią po nogach Gilvraya. Jego oczy się rozszerzyły, ale nie uczynił żadnego ruchu.

- Dajmy im powód do plotkowania, kapitanie, będzie to bardzo przyjemne dla nas obojga.

- Pani... jesteś pociągająca i piękna, ale swoje serce oddałem...

- Księżniczka wie o tym! - powiedziała stanowczo Terikel. - Wie również wicehrabia Cossereen i pan Laron. Rozmawiałam z nią, jest skłonna nadać ci małą kasztelanię w pobliżu Logiar, jeśli zobaczy, że przestałeś się w niej kochać. Masz tytuł, a wkrótce możesz mieć ziemię. Potrzebujesz tylko kochanki.

- Ona... księżniczka chce, żebym ulokował swe uczucia gdzie indziej? - wyszeptał.

- Potrzebuje tego, a nie chce.

Gilvray wyciągnął rękę, podniósł stopę Terikel, zawahał się, a potem pozwolił jej nodze opaść z powrotem na swoje nogi. Terikel uśmiechnęła się i był to szeroki, zdecydowanie zapraszający uśmiech. Pstryknęła palcami i płomień świecy zgasł.

- Twoje zaklęcia stróżujące mogą utrudnić służącym, plotkarzom i innym wścibskim odkrycie nas - zauważył Gilvray, gdy objęli się w ciemności.

Terikel wydmuchnęła eteryczny promień w złożone dłonie i zaczęła kształtować autona. Przybrał on formę małego, świecącego smoka, który rozjaśnił jej twarz niebieskim światłem, gdy szeptała do niego jakieś słowa po toreańsku. Po słowie, którym mogło być „Leć!”, wypuściła go z rąk, a on poszybował w kierunku drzwi, na moment przylgnął do drewna, a potem przez nie przeniknął. Do pokoju wróciła ciemność. Gilvray zaczął rozsznurowywać bucik Terikel.

- Czuję się jak zdrajca - powiedział, leniwie pieszcząc palce jej stopy. - Senterri jest władczynią mojego życia.

- Naprawdę robisz to dla niej.

- Wciąż czuję się jak zdrajca. Nigdy, przenigdy nie zdradziłem mojego oddania księżniczce.

- To dobrze, nieco poczucia winy doda pieprzu naszym igraszkom, mój pełen ognia kapitanie. Zaufaj mi.



Następnego ranka Essen podpisał Hartmanowi przepustkę. Andry zgłosił się do zbrojowni, gdzie otrzymał kolczugę, zielone spodnie i kaftan, zieloną pelerynę z królewskim herbem, nagolenice i hełm z dużym wgnieceniem. W czasie gdy się przebierał, kowal wyklepał hełm. Pozwolono Andry'emu zatrzymać wałacha, na którym jeździł, więc nie musiał sobie radzić z ogierem bojowym. Essen przyszywał trzy czerwone gwiazdki sierżanta do naramienników kaftana.

- To nie w porządku, że tylko ja dostałem kolczugę, panie sierżancie - powiedział Andry. - Każdy ze zwiadowców powinien taką mieć.

- Kolczuga jest gównem warta, Andry. Nie zatrzyma ostrza topora czy grotu strzały.

- Ale to wciąż nie w porządku.

- Musimy szybko się poruszać. Ciężka kolczuga może się przyczynić do śmierci swojego właściciela.

Andry wśliznął się w kolczugę, podniósł topór i wykonał kilka chaotycznych wymachów.

- Ciężka na ramionach, ale nie jest prawdziwym brzemieniem.

- Jak troski tego świata, Andry. Jak się czuje twoja... dziewczyna?

- Niezbyt dobrze, panie sierżancie.

- Kochacie się?

- Tak.

- Więc ona jest szczęściarą i ty także. Między księżniczką Senterri i wicehrabią Cossereń nie ma miłości. Mówili mi, że ona każe mu się bzykać sześć razy każdej nocy, a potem spać na podłodze za drzwiami swojej komnaty.

- Jestem pewny, że to nieprawda.

- Cóż, czasem nie na podłodze, ale na ziemi przed jej namiotem.

- Zawsze spałem na ziemi pod gołym niebem. Nie miałem namiotu.

- A w czasie balu, Andry, ta z kręconymi włosami. Czy ty ją...?

- Nic poważnego, panie sierżancie. Mam ukochaną, której jestem wierny.

- Zimna jak lód, pije krew i jest martwa.

- Ale mnie potrzebuje. Jest ślepa, chora i musi przesypiać całe dnie i noce w brudnej skrzyni. Mówią, że miłość jest ślepa, sierzancie Essen.

- Więc pewna hrabina z pewnością potrzebuje okularów. Wallas przechwalał się każdemu, kto chciał słuchać, jak to wepchnął służącą do jednego z pokoiów wypoczynkowych, ale to był tylko trik, bo w sąsiednim pokoju czekała hrabina.

- Nikt jeszcze nie wydarł mu serca tylko dlatego, że jest za małe i nie można go znaleźć - wymamrotał Andry. - Więc co mam robić, skoro miłość jest tak beznadziejna?

- Och, nie każda miłość jest beznadziejna. Kapitan Gilvray i prezbiterka Terikel najwyraźniej dzielili łóżce ostatniej nocy.

Andry'ego zatkało. Zaciśnął zęby, żeby opanować drżenie głosu.

- Tak? Są dobraną parą. Niech im Fortuna sprzyja.

- Zagramy jakąś melodyjkę, chłopie?

- Jasne. Chcesz wypróbować flecik? Ja zagram na rebeku. „Zielonego sierżanta”?

- Nie jestem taki zielony, chłopcze. Wiesz co, ułożmy razem nową melodię ku czci kapitana i jego damy.

- Dobra, dajmy jej tytuł „Marzenie kapitana Gilvraya”.



Kiedy oddział wyjeżdżał następnego dnia, Velandier była troskliwie ukryta w wozie, którym powoził Wallas. Sześć wozów tworzyło tabor Straży Dróg, a Senterri jechała w nowej karecie, otrzymanej od miejscowego władcy. Wallas stał się popularny w oddziale, ponieważ bardzo dobrze gotował. Fakt, że został wychłostany, także przysparzał mu szacunku w oczach zwiadowców i ochotników.

W trakcie przerwy na popas Andry odbywał lekcje władania toporem i lancą, a potem sierżant i Laron uczyli go protokołów i etykiety. Wallas pomagał w tej edukacji, w zamian Andry zaczął uczyć go podstaw jazdy konnej. Lekcje wydatnie były utrudniane przez narzekania Wallasa.

- Gdybyś dostawał pięć batów za każdym razem, gdy o nich mówisz, do tej pory dostałbyś ich już pięć tysięcy - niecierpliwiał się Andry.

- Czuję się, jakbym dostał pięć tysięcy.

- Mógłbyś już przestać? Ja dostałem pięćdziesiąt batów, ale nie jęczę o tym bez przerwy.

- Tak, ale ja dostałem za niewinność!

- Czy to sprawiło, że bardziej cierpiałeś?

- Oczywiście!

- Rozchmurz się, kobiety będą cię uwielbiały, jeśli będziesz twardy.

- Twardy? Z pięcioma nędznymi batami?

- Mogę załatwić...

- Nie!

- Wallasie, co powiedziałaś o nas hrabinie?

- Ach, hrabina! Sądziłem już, że nigdy nie zapytasz. Bramy rajy otworzyły się pod jej spódnicą, w ogóle nie nosiła bielizny. Taka jest teraz moda w Glasbury.

Miałem okazję się o tym przekonać, pomyślał Andry, ale milczał.

- Ach, Andry, jej mąż jest już na to za stary, jak mi powiedziała, a myśl o tym, żeby przespać się z bohaterem walk o Clovesser, tak rozbudziła w niej namiętność, że...

- Zapytałem, co jej powiedziałaś, a nie jaka była!

- Och, słodkie głupstwa i zwykłe podkolorowane skrawki prawdy.

- Aha, że jesteś dworzaniem w przebraniu, ta podróż nie jest czymś, czym się wydaje, ma wiele wspólnego ze Smoczym Murem i kamiennymi kręgami i że zostałeś wysłany z misją pomszczenia śmierci cesarza i że Senterri zamierza zrobić o wiele więcej, niż tylko przejąć władzę w Logiar i że wstrząśnie cesarstwem aż do jego fundamentów, ponieważ ustanowi w Logiar nowe centrum władzy na południu i...

- Podśluchiwałeś!

- Nie musiałem. Jesteś przewidywalny jak wschód słońca, ale nawet w części nie tak piękny. Wallasie, czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli ona uwierzy nawet w jedną dziesiątą tych bzdur, których jej naopowiadałeś, może z tego wyniknąć całkiem poważna wojna?

- Co! Nigdy! Któż by ją potraktował poważnie?

- Księżę Valios, trzeci w linii do cesarskiego tronu Sargolu, na początek! Hrabina jest jednym z jego najbardziej zaufanych szpiegów!

Wallas otworzył usta do odpowiedzi i zostawił otwarte w czasie, gdy jego umysł przetwarzał możliwe konsekwencje, jakie mogły wyniknąć z jego żarcików. Działo się to w ciągu lekcji jazdy. Koń szedł stępą, prowadzony przez Andry'ego. Wallas miał usta ciągle otwarte. Wleciała w nie mucha. Zamknął usta, parsknął i wypluł muchę.

- Mogło się szczęśliwie zdarzyć, że hrabina chciała jedynie pofiglować z pretensjonalnym głupkiem - rzekł Andry po chwili.

- Jeśli jest tak dobrze znana jako szpieg, mogła pomyśleć, że próbuję jej wcisnąć fałszywe informacje - zasugerował z nadzieją Wallas. - Wtedy prawdopodobnie zignoruje wszystko, co jej powiedziałem.

- A jeśli w to uwierzyła, wtedy - jak nam kiedyś powiedziała prezbiterka Terikel - konsekwencje będą łatwe do przewidzenia.



Oddział przejechał sto kilometrów do granicy Fertelianu i Capefangu w ciągu jednego, bardzo forsownego dnia, potem tempo stało się prawie leniwe. Senterri odwiedzała każdego lokalnego władcę i chciała być widziana przez wszystkich. Capefang był najbardziej na południe wysuniętym skrajem cesarstwa. Jego wschodnią część stanowiła żyzna równina, zachodnią - góry. Logiar, stolica, leżał w południowo-zachodnim krańcu kontynentu. Był położony tak na uboczu, że nigdy nikt go nie najechał. Senterri zboczyła z trasy, by podbić nowe prowincje swoim urokiem, ale zadanie nie było trudne. Żaden członek rodziny królewskiej nie podróżował tą drogą od ponad wieku, a tamten szczególny książę kroczył na czele armii i zostawił za sobą tysiące zabitych. Potem poprowadził swoich ludzi w góry, by zaatakować jakiegoś watażkę i słuch po nim zaginął.

Smoczy Mur był oddalony tylko o sto pięćdziesiąt kilometrów, pomarańczowo-niebieski pas na dziennym, a ciągły blask nienaturalnego zachodu słońca na nocnym niebie. Velandier nie ruszała się z wozu, była cicha i niewidoczna. Nikt nie sprawdzał, co się z nią dzieje. Przeszkadzanie Velandier mogło prowadzić prostą drogą do stania się jej kolacją. Paru ludzi twierdziło, że jest chora i kona z głodu. Większość miała nadzieję, że to prawda.

W pewnych sprawach jednakże należało przeprowadzić śledztwo. Grupę miejscowych bandytów schwytano na próbie dostania się przemocą do więzienia w lokalnym garnizonie. Senterri i jej orszakowi powiedziano, że smok długi na trzydzieści metrów połykał bandytów w całości. Wysłana w eskorcie zwiadowców do zbadania sprawy Terikel stwierdziła, że przerażeni bandyci przesadzają.

- Długie na półtora metra ślady i połamane gałęzie drzew świadczą o tym, że smok miał tylko dziewięć metrów wysokości - relacjonowała Senterri, Laronowi i Gilvrayowi.

- Dziewięć metrów! - powtórzył Laron, wyobrażając sobie potwora.

- Szkice zrobione na podstawie ustnych opisów świadków wskazują, że ma dwumetrowy dziób, małe, krótkie skrzydła i długą szyję. Obejrzyjcie rysunek.

Szkic został puszczoney w obieg. Jak oczekiwała Terikel, księżniczka i dwaj kapitanowie wyglądali bardziej na zadziwionych niż przestraszonych.

- Wygląda, jakby był rysowany przez osobę, która w szkole nie była zbyt dobra w rysowaniu smoków - powiedział Gilvray.

Essen z pięcioma strażnikami dróg, mający sprawdzić drogę przed nimi, dojechali jedynie do sterty odchodów. Przypuszczali, że to gigantyczna kupa, ale okazała się trzema zmumifikowanymi zwłokami, które rozpadły się pod dotknięciem. W tym momencie zwiadowca odmówił pojechania nawet kroku dalej.

- Nigdy nie widziałem takich zwłok - opowiadał wstrząśnięty Andry'emu i pozostałym zwiadowcom po powrocie i zdaniu relacji Gilvrayowi. - Mieli na twarzach wyraz absolutnego przerażenia.

- Podejrzewam, że też bym wyglądał na niezadowolonego, gdybym został zmuszony do oglądania gigantycznego ptaka od środka - rzekł Danol.

- Mówią, że takie potwory wypędził z gór Smoczy Mur - powiedział Sander. - Dziewka z tawerny, z którą wczoraj rozmawiałem, powiedziała, że zwierzęta ze zdolnościami eterycznymi go nie lubią.

- Dlaczego? - zapytał Andry.

- Podobno odbiera im od razu całą ich energię eteryczną, panie delegacie. Pękają, jakby uderzył w nie piorun.

- Widziała to na własne oczy?

- Nie, ale ona zawodowo zajmuje się także zabawianiem samotnych podróżnych płci męskiej, a w ubiegłym tygodniu jeden z nich był asystentem czarodzieja szóstego stopnia. Opowiadał, że jego mistrz stał prawie dokładnie pod magiczną kurtyną opadającą z nieba. Wyczarował autona w formie szczura i wysłał go przez Smoczy Mur. Auton eksplodował.

- Zaklęcia to sprawiły?

- Raczej zaklęcia i szczur łącznie. Wszyscy zostali ochlapani jego szczątkami.

- Eksplodujący szczur? A co z czarodziejem?

- Wy tłumaczył to zdarzenie, że magia spowodowała pęknięcie szczura. Czarodziej może przechodzić przez kurtynę eteru, nie wywołując żadnego efektu. Spróbuj jednakże puścić przez nią ptasiego autona sterowanego zaklęciem, a dostaniesz trochę zwęglonych piór i pieczony drób rozrzucone na sporym obszarze. Zwykły ptak może swobodnie przez nią przelatywać, tak mówił ten czarodziej. Potem sam przez nią przeszedł.

- Nie gadaj - powiedział Andry. - Ten asystent dostał pewnie duży rachunek w pralni?

- Eee, stał dość daleko w trakcie drugiej demonstracji.

Doroczna migracja goblinów przez góry została odwołana. Mieli tu swoich wysłanników, obserwowali.

Rozdział 6

Smocza szkoła

Piątego dnia po opuszczeniu Glasbury oddział Straży Dróg dojechał do miejsca, skąd miał w zasięgu wzroku góry Capefang. Były to góry młode, miały krawędzie ostre, pozbawione łagodnych, zaokrąglonych stoków, a szczyty pokryte wielkimi czapami śniegu. Zachodni wiatr niósł od nich przenikliwe zimno. Za górami widać było wspaniałą pomarańczową kurtynę Smoczego Muru ukoronowaną wielką tęczą.

Jechali główną drogą południowo-zachodnią i tam zobaczyli oddział miejscowej milicji skupiony dookoła pięciu ciemnobrązowych, cylindrycznych brył na poboczu. Dwie z tych brył to była martwa krowa z cielęciem, ale trzy wyglądały na ubrane. Gilvray zatrzymał konia i pochylił się, aby porozmawiać z dowódcą milicjantów, podczas gdy Essen, Andry i Terikel badali zwłoki. Essen zaczął cicho podśpiewywać:

*Była stara dama,
Co połknęła krowę.
Nie pytajcie, jak
Połknęła tę krowę...*

- Dwumetrowy dziób ułatwił robotę - powiedziała Terikel, szturchając patykiem rozsypujące się ciało.

Podeszli Gilvray i dowódca patrolu milicji, który machnął toporem w kierunku

jednego z ciał.

- To był Blondarian Gwałciiciel - wyjaśnił. - Nazywali go tak z powodu jasnych włosów. Teraz są brązowe. Poszukiwany w tych stronach za rabunki i gwałty. Utrzymywał się głównie z napadów, ale bardziej lubił gwałcić.

- Ci dwaj pozostali to jego ludzie? - zapytał kapitan Gilvray.

- Trudno powiedzieć, ale to możliwe. Był jeszcze czwarty, złapaliśmy go w zeszłym miesiącu i sędzia kazał go powiesić.

- Ten smokoptak jest większy niż ten z północy - powiedziała Terikel, porównując jakieś rysunki. - Ślady mają ponad sto osiemdziesiąt centymetrów długości.

- Zastanawiam się, jak wiele ich tu jest.

- Co najmniej trzy, jak wynika z moich pomiarów. Wydaje się, że polują w nocy i jedzą tylko to, co znajdą na otwartej przestrzeni. Czyli krowy, cielęta, owce, pasterzy, bandytów na nocnych wypadach i rabusiów zasadzających się na nocnych podróźnych.



Andry spędzał dużo czasu z trzema dowodzącymi Strażą Dróg szlachciami, ponieważ był łącznikiem między nimi a zwiadowcami. Zauważył wyraźne napięcie między Senterri i Cosserenem, ale także między kapitanem Gilvrayem i Laronem. Obaj kapitanowie jechali zawsze przy powozie Senterri, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali. Przypuszczał, że powodem jest zazdrość. Laron najwyraźniej nigdy nie przespał się z Terikel, ale teraz było oczywiste, że puścił wodze fantazji. Cosseren jechał zawsze przed powozem. Lubiał udawać, że dowodzi, więc zazwyczaj wyglądał na zadowolonego, przynajmniej do czasu postoju. Senterri wyglądała na nieszczęśliwą przez cały czas.

Ósmego wieczora po opuszczeniu Glasbury, krótko po zachodzie słońca, Andry odpoczywał na swojej macie pod kocem, który wcześniej okrywał jedno z łóżek w Wesołym Przybytku Madame Jilli. Velandier wyśliznęła się ze skrzyni wozu i szukając rękami po omacku, znalazła Andry'ego leżącego między kołami.

- Obramowany falbanką żołnierski koc? - zauważyła. - Dziwne.

- Prezent od madame Jilli z Palionu za ocalenie Terikel - roześmiał się Andry sennie. - Bardzo ciepły.

- Jesteś sam?

- Nikogo nie ma w pobliżu.

- Dobrze. Chciałam ci powiedzieć, że... kiepska kochanka ze mnie. Zimna, chora, martwa, ślepa. Każdego dnia słabsza. Spójrz w moje usta. Kły zanikają, prawie już ich nie ma. Szpony także.

Pewnego dnia zostanie ze mnie kupka pyłu. Kupka pyłu, diadem i zielony kamień. Wtedy rozbij kamień obuchem topora.

- Rozmawiałem z Laronem, on także nosi taki diadem. Powiedział...

- Że zawiera duszę. Jeśli się go rozbije, dusza odejdzie.

- Velandar, nie!

- Obiecuj mi.

- Więc naprawdę chcesz, żeby to się skończyło?

- Tak. Z twojej ręki.

Widać było, że Velandar cierpi i jest coraz słabsza. W Glasbury nie wydarzyło się żadne przerażające morderstwo, nie było rozdartych gardeł, żadnych zakrwawionych zwłok na ulicy. Zapewne stąd się brały dolegliwości Velandar.

- Jeszcze coś. - Wyciągnęła ku niemu lodowato zimną i bezwładną dłoń. - Kocham cię, ale... jeśli jakaś miła dziewczyna powie, że jej się podobasz, powiedz tak.

- Velandar! Nie...

- Naprawdę kiepska ze mnie kochanka. Ale cię kocham. Seks jest bardzo przyjemny, uwierz mi.

- Różni ludzie już mi to mówili.

- Więc zrób to z jakąś dziewczyną, dla mnie! Nie jestem zazdrosna. Kiedyś byłam. To mi zmarnowało życie.

Nawet Andry wiedział, że nie ma właściwej odpowiedzi w tych okolicznościach.

- Velandar, połóż się koło mnie.

- Ale... co ty robisz?!

- Przykrywam nas kocem.

- Nie! Żadnego seksu! Nie panuję nad sobą, kiedy to robię. Zabiję cię.

- Tak podejrzewałem, ale jeśli kompletnie ubrani tylko się przytulimy i będziemy po prostu spać, nic złego się nie stanie.

- Brak mi słów - powiedziała Velandar wzruszona.

Leżeli w ciszy przez jakiś czas, Velandar z głową na piersi Andry'ego, słuchając synkopowanego bicia jego serca. Nagle podniosła swoją tunikę, wzięła jego dłoń i poprowadziła do swojej piersi, miękkiej, gładkiej, ale lodowato zimnej.

- Niewiele, ale to wszystko, co bezpiecznie mogę ci dać. Problemy, problemy,

nic, tylko przekłete problemy!

- Wszyscy mają problemy - odparł Andry. - My mamy także miłość.

- Prawda. Inni mają wiele problemów, ale bez miłości.

- Zauważyłem, że Laron i ten drugi kapitan nie rozmawiają ze sobą - powiedział Andry.

- Kapitanowie są zakochani w księżniczce. Wicehrabia się z nią kocha. Czasami. Kapitanowie cierpią.

- A co do nich czuje księżniczka Senterri? - zapytał Andry, który nagle przestał rozumieć cokolwiek tak dalece, że czuł się jak mysz wrzucona do studni.

- Uwiodła Larona. Uratował ją, kiedy była niewolnicą. Była wdzięczna.

- To zrozumiałe.

- Próbowała Larona kochać. Ja też próbowałam... nie udało się.

- Ale... ale wydaje się, że ona ma wszystko! Jest piękna, dobrze wychowana, bogata!

- Laron jest... jak stary zrzęda.

- Przecież ma tylko piętnaście lat.

- Ma siedemset lat.

- Mówił mi o tym, ale nie wierzę.

- Uwierz. Senterri to miła dziewczyna, młoda, piękna, ale bez rozumu.

- Naprawdę? Myślałem, że jest bardzo mądra.

- He, he! Ma dobre serce, ale kurzy mózdzek. Mężczyźni o to nie dbają. Laron był wszędzie, robił wszystko. Jest zmęczony. Do niej, do mnie nie ma cierpliwości. Jest zmęczony życiem. Jak bardzo stary człowiek.

- To ma sens - powiedział Andry po chwili namysłu. - Trudno z Laronem dyskutować. On ma zawsze rację.

- Tylko młody człowiek może wierzyć w miłość, Andry. Ty i ja jesteśmy młodzi. Laron nie. Andry, chcę ci powiedzieć coś osobistego. Proszę, bądź dyskretny. Proszę.

- Obiecuję.

- Najpierw tobą gardziłam. Potem cię tolerowałam. Potem podziwiałam. W trzydzieści dni ze śmierdzącego, pijanego żeglarza zmieniłeś się w kogoś, kto dostał herb od księżniczki. Nie pijesz dla mnie. Andry, pójdę za twym przykładem. Zajrzyj w moją duszę, zobaczysz zło. Zobaczysz słabość i głupotę. Wstyd mi. Laron się poddał. Senterri myśli, że nie warto się mną przejmować. Pozwoliłam sobie... jakie to wyrażenie? Zjechać po równi pochyłej. Nie myłam się, byłam brudna, polowałam na

pijaków. Teraz coś z sobą zrobiłam.

- Ale zamorzysz się głodem.

- Mogę żywić się krwią zwierząt. Albo nawet nie. Teraz pytanie. Powóz spalony, zostali tylko zwiadowcy i są zapędzeni w róg. Atakujesz szklanego smoka, żeby ocalić zwiadowców. Potem wracasz po mnie, brudnego, pijanego potwora.

- To był mój obowiązek...

- Jądra!

- Chyba miałaś na myśli jaja.

- Tak, jaja sobie robisz! Jaki był prawdziwy powód?

Andry dotąd się nad tym nie zastanawiał. Przywołując powoli w pamięci szczegóły tej historii, zauważył, że ręka, którą obejmował pierś Velander, zupełnie zdrętwiała mu z zimna.

- Cóż... to było w alberiińskiej przystani dla barek, pracowałem na rusztowaniu. Zobaczyłem dokera szczującego pitbullem zagonioną w kąt kotkę z kociętami. Zanim udało mi się tam dotrzeć, kotka i maluchy już nie żyły. Ona mogła uciec, jak to kot, wiesz, ale została z dziećmi. Zadźgałem psa, a potem pobitem się z dokerem. Zmiażdżyłem mu łokieć, więc już nigdy nie mógł pracować w dokach. A potem zmusiłem go, żeby zjadł swojego psa. Na surowo. Teraz myje podłogi w Świdraku Okrętowym i nie patrzy nikomu w twarz. Kiedy rzuciłem się na szklanego smoka, stałem się taką kotką, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Ach, więc jesteś człowiekiem-kotem?

- Ja... tak.

- Ja też.

- Więc mamy wiele wspólnego. - Andry się roześmiał. - Chciałbym cię prosić, abyś za mnie wyszła, ale musisz mi obiecać, że nie wychowamy naszych dzieci na demony.

- Obiecuję - powiedziała po prostu Velander.

Nastąpiła długa cisza. Nawet ktoś bardzo wygadany musiałby się mocno zastanowić, co na to odpowiedzieć, pomyślał Andry.

- Andry, mam wszystko. Jesteś przystojnym mężczyzną, leżysz ze mną, proponujesz małżeństwo. Kocham i jestem kochana. Mam wszystko, czego mogłabym chcieć. Teraz chcę się zmienić. Wstyd... Wciąż zabijam. W snach. Każdego dnia coraz gorzej.

- Velander, jeśli jest coś, co mogę zrobić, powiedz mi.

- Wszystko, co możesz zrobić, właśnie robisz.



Gilvray i Terikel zniknęli prawie natychmiast po tym, jak Straż Dróg dotarła do Karunsel. Było to niezbyt dyplomatyczne, ponieważ drugiej nocy Senterri wydawała bal dla uczczenia swego przybycia na nowe ziemie. Wyznaczyła Laroną na dowódcę Straży Dróg w zastępstwie nieobecnego Gilvraya, co było obliczone na wkurzenie tego drugiego, kiedy wróci. I z pewnością jej się udało, ale Gilvray potraktował to jako karę za romans z Terikel i zniósł z pokorą. Ponieważ tym razem nie dokonali niczego bohaterskiego, ani strażnicy, ani zwiadowcy, ani ochotnicy nie zostali na bal zaproszeni. Laron, najstarszy stopniem oficer, był wyjątkiem, ale poszedł bez partnerki, rozmawiał grzecznie z każdym, kto go zagadnął, odrzucił wszystkie propozycje tańca i wyszedł wcześniej.

W poranek po balu Andry i Wallas pojechali wozem na targ, aby uzupełnić zapasy. Do tej pory talenty kulinarne Wallasa zostały docenione, więc awansował w hierarchii na kucharza Senterri i miał długą listę zakupów plus trochę srebra na zapłatę.

- Dobra oliwa, nigdy nie za dużo karunselskiej oliwy - powiedział, ładując na wóz sześć wielkich dzbanów.

- Zwłaszcza jeśli zostaniesz w niej ugotowany za zdradzenie sekretów powszechnie znanemu szpiegowi - rzekł Andry.

- Mógłbyś zamknąć ten temat? Co jeszcze... Olej do lamp zmieszany ze sproszkowanym minderytem.

- Olej do lamp z minderytem?

- Odstrasza komary, kiedy pali się go na wolnym powietrzu i daje bardzo miły zapach. Księżniczka specjalnie o niego prosiła.

Wallas znowu zniknął w tłumie na targu, zostawiając Andry'ego, by pilnował wozu. Kilku podejrzanie wyglądających typów kręciło się w pobliżu, a Andry zauważył, jak odwracają wzrok, ilekroć spojrzy w ich kierunku. Żałował, że nie zabrał ze sobą Costigera, aby pilnował tyłów.

- Bracie Tennonier!

Andry tak intensywnie się rozglądał w poszukiwaniu podejrzanych typów starających się wyglądać niewinnie, że przegapił nadejście czterech faktycznie niewinnych postaci - nawet mimo to, że jedna z nich nosiła okulary i prawie bez przerwy trzymała rękę przy ustach.

- Wilbar, jesteś mi potrzebny! - krzyknął. - Chodź tu szybko, siadaj plecami do mnie i uważaj na hołotę.

Wilbar wspiął się na wóz, a podejrzane typy natychmiast gdzieś się wyniosły.

- Bracie, słyszeliśmy, że przyjechała księżniczka i mieliśmy nadzieję, że będziesz z nią - wyjaśnił Wilbar.

- I prezbiterka Terikel - dodał Maeben, podskakując w miejscu i machając rękami, jak gdyby prosił o pozwolenie na oddalenie się i pójście na stronę.

- Nie mamy pieniędzy - powiedziała prosto z mostu Riellen. Była ubrana jak chłopiec i miała krótko ostrzyżone włosy. - Może prezbiterka zdobędzie dla nas pozwolenie na podróżowanie do Logiar ze Strażą Dróg.

- Co?! - krzyknął Andry. - Grupa studentów rewolucjonistów podróżująca w orszaku osoby, która jest piąta w kolejności do cesarskiego tronu?

- Nie jesteśmy przeciwko władzy królewskiej, tylko klasie rządzącej czarowników - tłumaczył Allaine.

- Jesteśmy bardziej przeciwko czarownikom niż przeciwko rodzinie królewskiej - dodała Riellen.

- Możemy jej bronić! - krzyknął Maeben, wymachując długim nożem.

- Na pewno nie macie zamiaru zrobić czegoś nieodpowiedniego w kamiennym kręgu? - zapytał podejrzliwie Andry.

- Chcemy wstąpić do akademii w Logiar - powiedział Wilbar. - Brat Maeben powiedział, że możemy wszyscy zatrzymać się u jego rodziców. Mieszkają tam.

- Słuchajcie, ja tu nie decyduję, a pani Terikel wyjechała wraz z kapitanem Gilvrayem dwie noce temu. Pogadam z pełniącym obowiązki dowódcy, ale jeśli on się nie zgodzi, to będzie koniec sprawy.

Trzy godziny później zakupy zostały ukończone przy entuzjastycznej pomocy studentów. Wallas był zachwycony, mając ludzi, którymi mógł komenderować i bardzo chciał, żeby studenci mogli z nimi pojechać, ale ponieważ był na samym dole hierarchii, nie miał nic do gadania. Andry zaprowadził Wallasa i studentów do pałacowego skrzydła dla gości, gdzie kwaterował Laron.

- Wystawny luksus, efekt ciemnienia wieśniaków - wymamrotał Wilbar, gdy wspinali się po wyfroterowanych schodach, które wznosiły się spiralnie nad podłogą przepięknie dekorowaną obrazem magicznego powstania pierwszych szklanych smoków.

- I jakie przekręcanie faktów historycznych! - wyszczała Riellen.

- Dosyć tego! - warknął Andry. - Jeśli chcecie prosić o przysługę, zachowujcie się grzecznie.

Skręcili w szeroki, wyłożony dywanem korytarz i stanęli przed drzwiami, nad którymi na złotym haku wisiał herb Laron. Podnosząc pięść, by zapukać, Andry usłyszał dobiegające spoza nich gniewne głosy.

- Powinnam wciąż być pod eskortą straży! - denerwowała się księżniczka w diomedańskim.

- Stosujemy się do pewnych zasad! - odkrzyknął Laron. - W kwestiach bezpieczeństwa przeważa opinia dowódcy Straży Dróg!

- Mogę mianować nowego dowódcę!

- Więc zrób to... wasza wysokość.

Zapadła cisza tak brzemienista w znaczeniu, że powinna pojawić się akuszerka. Andry z ociąganiem zapukał do drzwi.

- Wejść! - powiedział Laron od razu, gorliwie korzystając z możliwości zmiany tematu.

Andry nacisnął mosiężną klamkę i otworzył szeroko drzwi. Laron, księżniczka i jedna z jej dam stali w szeregu, w równych odstępach, wszyscy zwrócenii twarzą w jego kierunku.

- Wejdz, wejdz, nie mamy tu żadnej uroczystości, po prostu sobie rozmawiamy - mówił Laron nieco za głośno. - Andry, poznałeś już jej królewską wysokość księżniczkę, ale nie spotkałeś jeszcze jej damy dworu. Chciałbym ci przedstawić najświetniejszą Dolvienne, posiadaczkę tytułu Obrońcy Królewskiej Komnaty i bardzo możliwe, że kolejnego dowódcę Straży Dróg. W czym mogę ci pomóc?

Andry uklonił się księżniczce, odmawiając w myślach modlitwę do boga rzeki Alber, żeby stojący za nim studenci mieli dość rozsądku i również się uklonili.

- Panie kapitanie, chciałbym zameldować, że zgłosiło się kilku ochotników do pomocy milicjantowi trzeciej klasy Wallasowi Bakerowi przy przygotowywaniu królewskich posiłków w czasie podróży, panie kapitanie!

- Studenci? - zapytał cicho Laron.

- No, panie kapitanie! To jest, tak jest, panie kapitanie!

- Nie ochotnicy?

- Nie, panie kapitanie.

- Straż Dróg jest oddziałem ochotniczym, zwiadowco Tennonier. Tylko strażnicy i regularni żołnierze cesarza mogą towarzyszyć księżniczce.

Andry zauważył, że Senterri patrzy celowo w jego stronę, ale nie na niego. Och, nie, rozpoznała Wallasa, pomyślał Andry. Jak długo będziemy umierali gotowani w oliwie?

- Panie kapitanie! Wyjaśniałem Wallasowi trzeciej klasy Bakerowi, że jest w milicji, panie kapitanie!

- Czekaj! - Senterri wciąż wpatrywała się w kogoś za plecami Andry'ego. - Czy to nie wy jesteście studentami, którzy pomogli moim zwiadowcom uciec z Clovesser?

- O tak, najłaskawsza i najmądrzejsza wasza wysokość - powiedział Wilbar z za Andry'ego.

- Przyjmijcie moje przeprosiny, nie zdążyłam się jeszcze wam odwdziżyć. Czego pragniecie? Po złotej koronie dla każdego, pisemnej rekomendacji na dwór diuka Karunsel? Może czegoś innego?

- Pozwolenia na przyłączenie się do twojego orszaku w drodze do Logiar, najsprawiedliwsza i jaśnie oświecona wasza wysokość.

- To wszystko? Oczywiście możecie podróżować ze mną, jako moi goście. Jeśli zyczyć sobie pomagać mojemu utalentowanemu kucharzowi, jestem pewna, że dodatkową nagrodą będzie dla was nauczenie się paru cudownych sztuczek kulinarnych. Czy to jest zgodne z regulaminem, kapitanie Aliasar?

- Tak, wasza wysokość - odpowiedział Laron beznamiętnie.

Wyszli z kwatery Larena. Senterri w milczeniu skinęła palcem i zaprowadziła ich do komnaty dla królewskich gości. Stała wraz z Allaine'em przy wielkim, sięgającym podłogi lustrze. Oboje byli równi wzrostem, ale nie posturą, bo gdyby młodzieńcowi dodać piersi i biodra, ważyłby dwa razy więcej. Jego włosy były identyczne w kolorze z kruczoczarnymi warkoczami księżniczki, lecz sięgały mu tylko do ramion i nie były myte od ucieczki z Clovesser.

- Chyba obetnę włosy, Dolvienne - powiedziała Senterri z namysłem. - Jak ci na imię, młody człowieku?

- Allaine Alec...

- Wasza wysokość, proszę o pozwolenie oddalenia się wraz z trzeciej klasy ochotnikiem Wallasem Bakerem - rzekł Andry, desperacko próbując usunąć z jej pokoju największego plotkarza w cesarstwie. - Czwarty wóz taborowy wymaga załadowania przed jutrzejszym wymarszem.

- Baker, idź. Tennonner, zostajesz.

Kiedy Wallas wyszedł, Senterri wydała rozkazy:

- Allaine, wykąp się, potem Dolvienne umyje ci włosy, a później będzie je szcztokowała i perfumowała dotąd, aż nikt nie będzie ich w stanie odróżnić od moich. Następnie włożysz którąś z moich najładniejszych, najluźniejszych sukien, a Dolvienne nauczy cię chodzić i poruszać się jak ja. Wszyscy w orszaku poza Dolvienne mnie denerwują, chciałabym spędzać więcej czasu w lepszym towarzystwie na wozach taborowych. Najciekawszi ludzie, jakich poznałam, są plebejuszami. Czasami myślę, że szlachcice mają zatrutą duszę... Ale dosyć filozofowania. Allaine, będziesz występował jako ja i w ten sposób zdobędziesz dla swoich przyjaciół prawo do podróżowania pod moją opieką. Zgadzasz się?

- Tak, wasza wysokość - odpowiedział Allaine natychmiast.

- Doskonale. W zamian przez dwa tygodnie będziesz plotkować o tym i o owym z piękną Dolvienne w zaciszu luksusowej, nowiutkiej królewskiej karocy. A teraz wszyscy poza Allaine'em możecie odejść.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie dotarli znowu do spiralnych schodów.

- Najmądrzejsza i najłaskawsza wasza wysokość? - zapytała Riellen jadowicie.

- Jest księżniczką ludu! - upierał się Wilbar. - Sama to powiedziała, pragnie wrócić do ludu, by odzyskać czystość...

- Najsprawiedliwsza i jaśnie oświecona wasza wysokość? - przerwała mu Riellen.

- Cisza! - syknął Andry. - Księżniczka Senterri ma kaprys zabrać was w podróż do Logiar. Jeśli ma również kaprys zmienić imię, ubranie i... i...

- Płć? - podpowiedział Maeben.

- Tak, płć Allaine'owi, to znaczy, że tak ma być. I dopóki nie dotrzemy do murów Logiar, żadnych kłótni. Zamknąć się, chyba że pozwolę wam się odezwać!



Karunsel leżało u stóp niskich, ale stromych gór Capefang. Przekraczającym bramę miejską strażnikom dróg towarzyszyła serdeczna owacja mieszkańców. Senterri, jak zwykle, była okryta cienkim szalem, który chronił jej wrażliwą skórę przed słońcem, widać było tylko piękne czarne włosy. Machała wdzięcznie ręką, jadąc przez osiedle nędznych chałup, które rozciągało się między pierścieniami murów miejskich.

Gilvray wrócił tego ranka i chociaż wyglądał na bardzo zmęczonego, przejął dowództwo nad oddziałem. Oznajmił, że Terikel zdecydowała się pozostać z czarodziejami i kapłanami w Alpenfast. Laron wówczas zakrył dłonią usta, aby ukryć

uśmiech. Zwiadowców wysłano naprzód, jak zwykle, wraz z krytym wozem, który Wallas nazywał wozem smakosza. Kiedy księżniczka miała obozować na otwartym polu, wyprzedzali oddział straży oraz królewski powóz i organizowali obóz w wyznaczonym miejscu. Namioty, łóżka polowe, zadaszienia i ciepły posiłek czekały już, gdy przyjeżdżała reszta grupy. W powozie Allaine, grający rolę Senterri, prowadził rozmowy z Dolvienne.

- Wtedy Riellen i ja odeszliśmy z Clovesserskiego Związku Wyzwolenia Czarodziejów i stworzyliśmy Popularny Ruch Wyzwolenia Wiedzy Czarodziejkiej, ale po miesiącu, gdy nie udało nam się zwerbować żadnych nowych członków, połączyliśmy się z Nowym Studenckim Sojuszem do spraw Stosowanych Teorii Populistycznych - który miał trzech członków - i przekształciliśmy się w Zespół do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków.

- Musisz być bardzo mądry, skoro pamiętasz te wszystkie skomplikowane nazwy - zauważyła Dolvienne.

- Pani mi pochlebia! - powiedział zmieszany Allaine.

- To jest uważane za uprzejmy konwenans w kręgach dworskich. Osoba o mojej pozycji musi...

- Nie, nie, nie! Pani pozycja jest wytworem klasy rządzącej.

- Czym jest?

- Powinna pani powiedzieć, co pani naprawdę sądzi.

- Co ja sądzę? Kogo obchodzi, co ja sądzę?

- Pani opinia jest równie ważna jak moja, księżniczki, prezbiterki czy delegata zwiadowców i... kto ma najniższy status klasowy? To jest najniższy status klasowy, jak pojmuje go klasa rządząca?

- Ochotnik Wallas Baker.

- O tak, jego opinia też. A jaka jest pani opinia, pani Dolvienne?

- Moja opinia? O czym?

- O tym, o czym rozmawialiśmy... och, tak... Pani opinia o mnie, kiedy nie próbuje pani mi pochlebić.

- Sądzę, że naprawdę jesteś mądry i pełen dobrych intencji.

- Dziękuję.

- I bardzo naiwny. Opowiedziałeś mi właśnie o zdradzie i planach obalenia monarchii. Mogłabym złożyć raport i zostałbyś powieszony...

- Nie, nie, nie, nie! Pałac królewski to symbol cesarstwa, ale prawdziwa siła

tkwi w opiniach populistów.

- W czyich opiniach?
- W opiniach populistów. W opiniach tych, którzy zostali wybrani przez ludzi.
- Jakich ludzi?
- Wszystkich ludzi!
- Nawet wieśniaków?
- O tak.
- Szaleństwo! Wieśniacy to głupcy.
- Więc tylko rządzący i szlachta są mądrzy?

Dolviene pomyślała przelotnie o księżniczce, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Niektórzy bardziej niż inni. Ale wszyscy wieśniacy są głupi.
- Ja też jestem głupi?
- Nie - odparła Dolviene z powagą. - Ty mógłbyś być nawet rycerzem, gdybyś nauczył się walczyć.

- Mój ojciec był kowalem, a matka prała cudze rzeczy w rzece.

- Doprawdy? Więc jesteś w połowie rzemieślnikiem, a w połowie wieśniakiem. Może powinieneś zostać sierżantem i wrzeszczeć na wieśniaków. Sierżant Allaine, jak to ładnie brzmi.

- Nie! Każdy może być każdym! Zasługi i opinia populisty powinny być decydujące. Pani, ty powinnaś być księżniczką.

- Niedorzeczność! Nie mam talentu do rządzenia.

- Mniej talentu niż twoja księżniczka?

Dolviene musiała się nad tym zastanowić. Nikt nigdy wcześniej nie przypisywał jej talentu do rządzenia, chociaż księżniczka prawie zawsze pytała ją o zdanie - a jeśli nie posłuchała rady, wynikały z tego wstyd, nieszczęście, klęska i nawet katastrofa.

- Mów dalej - powiedziała Dolviene.

- Mam kilka pamfletów, tutaj, pod spódnicą, wszystkie napisałem własnoręcznie. - Allaine podnosił kolejne warstwy tkaniny, falbanek i falban i nerwowo je przeszukiwał.

- Hm, interesujące.

- Jeszcze ich nie czytałaś.

- Chciałam powiedzieć, że masz ładne nogi.

- Oto kres bezpiecznych terytoriów - powiedział Gilvray do Cossereana i Larona, gdy przekraczali bramę Karunsel. - Przed nami równina zalewowa rzeki Rwącej, a dziewięćdziesiąt kilometrów stąd leży fort Nieszczęście.

- Który w rzeczywistości jest całkiem miłym fortem - powiedział wicehrabia Cosserean - ale pewni podróżnicy wpadli w taką depresję po drodze, że kiedy tam dotarli, nazwali go...

Głos mu zamarł pod wpływem odwróconej ku niemu ponurej twarzy.

- Przez dziewięćdziesiąt kilometrów będziemy jechali po otwartym terenie, bez możliwości ukrycia się - kontynuował Gilvray.

- Rzeka Rwaça jest granicą protektoratu alpenińskiego, najmniej stabilnego regionu cesarstwa. Zamierzam dotrzeć do fortu jutro. Droga stąd do fortu Nieszczęście jest trudna i musimy jedną noc przy niej obozować.

- Moja żona wyraziła na piśmie życzenie, aby... - Cosserean rozłożył kartę papieru i zerknął na nią - złożyć uszanowanie dowódcy fortu i wypić z nim herbatę, a potem wyruszyć do miasta Olvermay i spotkać się z diukiem Olvermay. Zgadza się z tym.

- Raporty umyślnych komendanta garnizonu w Karunsel sugerują, że trzy lub cztery brygady z Alpennien operują w tej okolicy - powiedział Laron.

- Czy kwestionuje pan mój rozsądek, kapitanie? - oburzył się Cosserean.

- Pański rozsądek absolutnie nie podlega kwestii, mój panie - odparł Laron.

Cosserean zmarszczył brwi, próbując ustalić, czy został obrażony. Gilvray odchrząknął.

- Misja eskortowania prezbiterki Terikel do Alpenfast spowodowała, że nie miałem okazji zapoznać się z zarządzeniami i raportami wywiadu, kapitanie Laron. Muszę polegać na twoim osądzie, czy droga przed nami jest bezpieczna dla księżniczki. Ale moglibyśmy się zatrzymać i zawrócić do bram Karunsel, które leży tylko kilkaset metrów za nami.

- Ta decyzja zależy od pana - odparł Laron.

- Ode mnie, kapitanie Laron?

- Od pana, kapitanie Gilvray. Jechał pan siedemdziesiąt kilometrów przez terytorium Alpennien, główną drogą do centrum Zjednoczonych Kasztelanii. Skoro operowały tam trzy lub cztery brygady, powinien je pan widzieć. Czy widział pan jakieś ślady dużej liczby wyszkolonych jeźdźców w wojowniczych nastrojach?

- Nie, kapitanie.

- W takim razie możemy jechać bezpiecznie. Jeźdźcy wysłani z Logiar nie donieśli o niczym szczególnym, więc droga przed nami jest pusta. Pan mówi, że nie spotkał włączających się brygad alpenińskich, gotowych do śmignięcia przez most na Rwącej i dokonania porwania w chwili, gdy będziemy zbyt daleko od Karunsel, by zawrócić.

- ...mój rozsądek absolutnie nie podlega kwestii - mamrotał do siebie Cosseren, który nie słuchał rozmowy. - A ja pytam, kapitanie Aliasar, dlaczego odnosi się pan do mojego rozsądku lub kto mógłby go kwestionować?

- Honor i upokorzenie są bardzo istotne dla ludzi gór - powiedział Laron do Gilvraya, ignorując wicehrabiego. - Jeśli ktoś poniży członka sargolskiej rodziny panującej, zyska na honorze. Górskie prowincje zjednoczą się pod jego dowództwem. Zjednoczone mogą zablokować wszystkie górskie szlaki z Baalder do Logiar i pobierać opłaty za przejazd. To mogłoby wywołać wojnę albo stać się przyczyną rozpadu cesarstwa.

- Którą z tych możliwości by pan wołał, wicehrabio? - zapytał Gilvray.

- Hm... właściwie żadną z nich - powiedział Cosseren.

- Senterri kiedyś została porwana i uczyniono z niej niewolnicę - ciągnął Laron.

- Przez to jacyś watażkowie mogliby pomyśleć, że jest słaba. Mogliby porwać ją znowu i wtedy już by wiedzieli, że jest słaba.

- Ale to się nigdy nie zdarzy, oczywiście - powiedział Gilvray stanowczo.



Daleko z przodu, na wozie smakosza, Senterri i Riellen siedziały na pakunkach, a Maeben i Wilbar towarzyszyli Wallasowi na ławeczce woźnicy. Wallas przysłuchiwał się rozmowie, ale starał się trzymać twarz odwróconą, aby nie widziała jej księżniczka. Na nieszczęście dla niego wcale nie księżniczka zdominowała rozmowę.

- Chociaż zaliczam się do wtajemniczonych ósmego stopnia, naprawdę mam umiejętności jak przy stopniu dziewiątym - powiedziała do księżniczki Riellen. - Czy kiedykolwiek słyszałaś o szklanym suficie, wasza wysokość?

- Nie, ale wyobrażam sobie, że roztrzaskałoby go pierwsze gradobicie.

- Termin jest tylko analogią, wasza wysokość. Oznacza, że istnieje niewidzialna bariera, która powstrzymuje utalentowane kobiety przed osiągnięciem wysokich stanowisk w dziedzinach zdominowanych przez mężczyzn.

- Jak na królewskim dworze w Palonie - westchnęła Senterri, ale zaraz inna myśl odwróciła jej uwagę. - Ach, ale chciałabym móc wznieść się jak ptak ponad

szklane sufity czy dachy. Chciałabym popatrzeć z góry na moje nowe ziemie.

- Twoje oczy mogą szybować, wasza wysokość, chociaż stopy nie oderwą się od ziemi.

- Jak to?

Riellen zdjęła swoje grube okulary i przetarła szkła rękawem.

- Magiczny ptak, auton z wstawionym okiem.

- Co to jest?

Studentka westchnęła. Wyjaśnienie czegokolwiek skomplikowanego Senterri mogło zająć sporo czasu, demonstracja byłaby lepsza niż tysiące słów. Włożyła okulary, rozejrzała się za Andrym i zawołała, by podjechał bliżej.

- Bracie Tennoner, księ... to jest moja siostra rewolucjonistka...

- Brat! - odpowiedziała Senterri.

- Mój brat rewolucjonista chce, abym wyczarowała wspaniałego ptaka, przez którego oczy mógłby obserwować ziemię. Czy zechciałbyś zdobyć dla mnie żywego ptaka?

- Ośmielani się twierdzić, że któryś ze zwiadowców będzie mógł to zrobić. Porozmawiam z sierżantem.

Andry pogalopował do zwiadowców i zasalutował.

- Widzicie kruki, które krążą nad nami? Niech któryś strąci jednego ptaka, nie zabijając go, dla studentki, która jedzie na wozie smakosza. Chciałaby przeprowadzić jakąś próbę z magicznym autonem.

Essen załadował kawaleryjską kuszę obitym miękką tkaniną bełtem ze spiralnie ułożonymi lotkami, wyjętym z kołczana przy siodle. Podniósł broń do ramienia i strzelił, pozornie nie celując. Ogłuszony kruk runął z nieba jak kamień.

- Zanieś ptaka księżniczce, chłopcze, a potem oddaj mój bełt do polowania na ptaki - powiedział Essen.

- Jak się pan o niej dowiedział?! - krzyknął Andry.

- Wiedzieć to powinnośc zwiadowcy.

Riellen wypowiedziała zaklęcie, które oplątało kruka świecąca niebieską siecią i zniknęło pod jego piórami. Następnie poprowadziła magiczne promienie do zamkniętych oczu Senterri. Wypowiedziała kilka kolejnych zaklęć, których Andry nie do końca zrozumiał, i wyrzuciła ptaka w powietrze. Kruk załopotał energicznie skrzydłami, wzniósł się wysoko, lecąc po spirali. Stał się kropką ledwo widoczną na niebie.

- Widzę Straż Dróg rozciągniętą wzdłuż drogi! - pisnęła Senterri zachwycona. - Co za widok! Widzę pasące się owce, kilka szałasów pasterzy i miasto... moje miasto! Cudownie! Och, ta równina jest całkiem płaska i zupełnie nudna! Polecę moimi oczami nad góry, chcę zobaczyć śnieg.

Riellen musiała się bardziej koncentrować wraz ze wzrostem odległości. Przez jakiś czas panowała cisza. Wszystkie zmysły Riellen, poza mową i słuchem, były zaangażowane w prowadzenie magicznego kruka.

- Widzę most nad rzeką, a koło niego wielu jeźdźców - powie działa Senterri. - To bardzo wartka rzeka i płynie w głębokiej rozpadlinie. Jaki szeroki most! Trzech, nie, czterech jeźdźców może po nim jechać obok siebie.

Riellen wysłała ptaka dalej i zauważyła, że setki jeźdźców czekają na swoją kolej przed mostem. Zauważyła także, że na drugim brzegu jeźdźcy rozdzielają się na dwie kolumny, jedna zmierza na północ w stronę Karunsel, druga na południe, jakby bez celu.

- Dzieje się coś dziwnego - powiedziała Riellen, zataczając koło magicznym krukiem.

- Coś nudnego - poprawiła ją Senterri. - Ci nudni Alpennieńczycy noszą te swoje nudne mundury.

- Alpennieńskie mundury? - zdziwiła się Riellen.

- O tak, nawet ja znam się na umundurowaniu. Wojownicy z Karunsel noszą piękną czerwień, strażnicy dróg ciemny niebieski lamowany czerwienią...

- Muszą ich być setki, tysiące! - krzyknęła Riellen, podlatując krukiem nieco wyżej, aby mieć lepszą perspektywę.

- Nie mogą zagrozić setce strażników dróg, dziewczyno - powiedział Wallas z ławeczki woźnicy. - Nie mają dowódców.

- Ale czy oni w ogóle powinni tam być?

- A skąd ja mam wiedzieć! - zdenerwował się Wallas. - Nie jestem żołnierzem.

- Przepraszam, przepraszam! - krzyczał Maeben, machając rękami w powietrzu.

- Dostajesz żołd, nosisz mundur, złożyłeś przysięgę, więc to znaczy, że jesteś...

- Zwiadowco Tennonner, potrzebujemy cię tutaj! - zawołał Wallas.

Andry podjechał do wozu kucharza i wysłuchał chaotycznego raportu. Wszyscy się przekrzykiwali.

- Cisza!!! - wrzasnął i kazał mówić Riellen, która opisała scenę znad Rwęcej.

- Przy moście mnóstwo żołnierzy! - opowiadała, mając wciąż zamknięte oczy. -

Jadą drogą, czwórkami. Setki z nich już się przeprawiły i są podzieleni na dwie grupy. O, jakiś budynek zaczyna się palić.

- Jesteś pewna, że to żołnierze? - zapytał Andry.

- Dosiadają koni, noszą mundury i kolczugi, trzymają w rękach długie kije z ostrymi czubkami. Kilka setek już przekroczyło Rwącą i wjechali na terytorium Capefangu. Może pięć albo siedem setek w każdej grupie.

- To są dwie brygady! - krzyknął Andry.

- Będę musiała wysłać bardzo poważną skargę do alpennieńskich kasztelanów!

- powiedziała Senterri stanowczo.

Popełniła błąd, otwierając oczy. Zerwała w ten sposób kontakt z ptakiem autonem i spowodowała krótki, ale mocny niebieski błysk, który oślepił ją na chwilę. Riellen nawiązała kontakt, zamknęła mocno oczy i przyłożyła palce do czoła.

- Jest tam jastrząb, trochę niżej niż ja, leci w linii prostej w kierunku Straży Dróg i królewskiego powozu - powiedziała. - To może być szpiegowski auton, jak mój.

- Chcę znowu widzieć! - marudziła Senterri, ale Riellen ją zignorowała.

- Alpennieńczycy wkrótce odetną królewskiemu powozowi drogę powrotną do Karunsel - oznajmiła.

- Pieprzyć powóz, co z nami?! - załkał Wallas.

- Te słowa pachną zdradą! - krzyknęła Senterri, wciąż oślepiąca i niepewna, kto to powiedział.

- Nie mamy szans - powiedziała Riellen. - Jadą szybko, nie zdążymy wrócić do miasta. Most jest teraz pusty, wszyscy żołnierze objadają nas od północy i południa.

- Wszyscy żołnierze, panienko? - zapytał Essen, który podjechał z boku i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

- Nikt tam nie został. Chyba zaatakowali strażnicę przy moście. Pali się i widzę kilka ciał na ziemi.

- Gdzie jest alpennieński jastrząb auton?

- Chwileczkę... wciąż leci na północ, w kierunku oddziału Straży Dróg i królewskiego powozu.

- Widział cię?

- Trudno powiedzieć, chyba nie.

- Możesz go zabić?

- Zabić?! Nie umiem walczyć jako człowiek, a cóż dopiero jako ptak.

- Poza tym jastrzębie zabijają kruki! - krzyknął Maeben, machając rękami.

- Co by się stało, gdybyś zanurkowała krukiem i z dużą prędkością uderzyła w jastrzębia? - zapytał Essen.

- To samo co z tobą, gdybym spadła na ciebie z dużej wysokości. Żadne z nas nie wyszłoby z tego z całymi kośćmi.

- Więc zanurkuj swoim autonem w jastrzębia, teraz!

- Zgoda, ale będziemy wtedy dość dobrze widoczni.



W chwili gdy dwie kropki na niebie zderzyły się z jasnym błyskiem, Gilvray, Laron i Cosseren zobaczyli zbliżający się oddział Straży Dróg i królewską karocę.

- Tam, chmura kurzu na południu! - krzyknął Gilvray. - Na północy też! Ani nie uciekniemy, ani nie możemy już zawrócić do miasta.

- Widzę proporzec brygady - powiedział Laron, wysiliwszy wzrok.

- Bardzo szybko udało ci się to stwierdzić - zauważył Cosseren.

- Więc dwie brygady - rzekł Gilvray. - Po pięciuset ludzi każda, ale tylko jedna jedzie w naszym kierunku. Wicehrabio Cosseren, czy powiedziałby pan, że każdy ze strażników dróg jest wart pięciu żołnierzy z każdej innej formacji?

- W rzeczy samej, kapitanie.

- Nie pięciu, dwóch, ale tylko być może - przerwał Laron.

- Więc zawrócimy do Karunsel, otaczając powóz klinem - zdecydował kapitan Gilvray. - Wróg będzie się musiał trochę rozciągnąć, a wtedy uderzymy, przedrzemy się i dowieziemy księżniczkę bezpiecznie do bram miasta. - Obrócił konia i wzniosł topór. - Strażnicy dróg, formować klin, osłaniać powóz! Utrzymywać tempo powozu, kierujemy się w stronę bramy miejskiej. Woźnica, jedź prosto w stronę miasta, galopem. Strażniku Calliar, odegrajcie sygnał na trąbce. Formować szyk!

Zapanował intensywny tumult, ale świetnie wyszkoleni ludzie i konie szybko przeformowali szyk, zanim Calliar skończył niszczyć zakodowane notatki.

- Przygotować się i na mój rozkaz oddział galopem naprzód! - krzyknął Gilvray.



- Na wszystkie kręgi piekielne, co się dzieje?! - wrzasnęła Dolvienne, wyglądając przez okno powozu. - Zawracamy do miasta!

- Może o czymś zapomnieliśmy? - zasugerował Allaine.

- To szyk klina!

- Skąd wiesz? Dla mnie to wygląda jak bardzo dużo koni.

- Tamci myślą, że księżniczka jest w powozie! Ale ona jest daleko za nami i

zawróci, gdy zobaczy, co się święci. Jeśli uciekniemy przed niebezpieczeństwem, ona w nie wpadnie!

Allaine wyjrzał przez przeciwległe okno do tyłu. Zobaczył tylko kurz.

- Nikt nas nie ściga.

- Dlaczego uciekamy?! - krzyknęła Dolvienne do nikogo konkretnie. - Strażnicy! Strażnicy! Do mnie!

Nie zwrócili na nią uwagi. Zaczęła wychodzić przez okno karocy.

- Ależ pani, czy to jest dozwolone? - zapytał Allaine, ale że był lepszy w myśleniu niż w działaniu, nie zrobił nic, żeby ją zatrzymać.

Dolvienne stanęła na schodku z boku powozu i wciągnęła się na ławeczkę woźnicy.

- Woźnico! Co się dzieje?! - krzyknęła.

- Wydano rozkaz galopu do miasta, pani! - odkrzyknął.

- Dlaczego?

- Rozkaz to rozkaz, nie ma co dyskutować, pani.

- Na pewno coś widziałeś! Siedzisz wyżej na swojej ławce niż strażnicy na koniach.

- Tylko kurzawę od zachodu, pani.

- Kurz? Tylko kurz? Kto go wzbija?

- Nie widziałem, pani.

Dolvienne przez kilka chwil rozważała fakty. Kurz, ale nikogo nie widać. Tak wielka kurzawa mogła być spowodowana tylko przez dużą liczbę koni. A Senterri była daleko z tyłu, nie chronili jej strażnicy.

- Woźnico, musimy zawrócić, księżniczki nie ma w powozie! - krzyknęła Dolvienne.

- Widziałem, jak wsiadała, proszę pani.

- Nie ta, ta prawdziwa jest na wozie smakosza.

- Proszę pani, to nie jest pora na żarciki.

Dolvienne chwyciła lejce i zeskoczyła na ziemię.

Konie zostały wprowadzone w ostry skręt. Zbyt ostry. Straciły grunt pod kopytami, powóz obrócił się, wpadł w poślizg, potem przewrócił się i rozleciał, konie wraz z dyszlem poleciały na bok.

Klin strażników zatrzymał się, przeformował i zawrócił. Podniesiony z ruin karocy woźnica był ogłuszony, poobijany, ale nie odniósł większych obrażeń.

Dolviene krwawiła z licznych zadrapań, ponieważ konie pociągnęły ją po żwirze, ale mogła stanąć o własnych siłach. Woźnica był trochę blady, całkiem przytomny i wściekły.

- Kapitanie, wyrwała mi lejce...! - zaczął krzyżeć, gestykulując w stronę Dolviene nad czwórką koni, które albo były już martwe, albo właśnie dogorywały.

- Księżniczka Senterri jest na wozie smakosza! - krzyknęła Dolviene do Gilvraya.

- Co?! Mówisz poważnie?! - spytał Gilvray, rozglądając się jednocześnie za nadjeżdżającymi Alpennieńczykami.

- Zajrzyj do powozu!

Sierżant zeskoczył z konia. Znalazł ciało Allaine'a pod połamanymi deskami. Suknia była księżniczki, ale twarz z pewnością nie.

- Student, panie, nie żyje.

Gilvray myślał bardzo szybko. Senterri z pewnością jest na wozie kucharza, a zwiadowcy oczywiście będą chcieli odwieźć ją z powrotem do miasta. Może to się udać, jeśli alpenieńska brygada zostanie zajęta walką. Jest szansa, że wóz taborowy przemknie w zamieszaniu - zwłaszcza jeżeli nikt nie zada sobie trudu, aby dokładnie zbadać ciało w szczątkach powozu.

- Wicehrabio Cosseren, pan tu zostanie, będzie eskortował wóz kucharza i swoją żonę, jak tylko tu dotrą, do bram miasta! - krzyknął Gilvray.

- Tak, ale dlaczego...

- Kapitanie Laron, uderzymy na flankę wrogiej brygady. Strażnicy dróg, ustawie się w szeregu, twarzą na zachód! - krzyknął Gilvray, wskazując kierunek machnięciem swojego topora bojowego.

- Zamierzacie atakować?! - krzyknął Cosseren. - Beze mnie?!

- Tak, uderzymy na skrzydło wroga! - rozkazał Gilvray.

- Ja tu jestem dowódcą! - krzyknął Cosseren, zajeżdżając drogę Gilvrayowi.

Wydawało się, że Gilvray przewidział taki obrót sytuacji, bo jego kusza była już napięta i załadowana.

- Sierżancie, na koń, weźmiecie uzdę wierzchowca wicehrabiego i będziecie go trzymali, aż nadjedzie wóz smakosza. Na mój rozkaz, galopem za mną!

Strażnicy ruszyli. Podniosła się taka chmura pyłu, że sierżant w trudem dojrzał najpierw wściekłego, ale bezsilnego Cosserena, a potem na południu wóz kucharza. Cosseren wyciągnął sztylet i cisnął w sierżanta. Rzut był kiepski, jednak rękojeść

trafiła sierżanta w oko. Cosseren nawet się nie obejrzał na żołnierza, którego tym ciosem zrzucił z konia i pognał w kierunku wozu kucharza.

Dolviene pokuśtykała w stronę konia sierżanta, potem podprowadziła go do woźnicy, zdejmując po drodze spódnicę.

- Co, do wszystkich kręgów piekielnych... - zaczął woźnica.

- Dawaj portki, bo oskarżę cię o próbę uprowadzenia księżniczki! - wrzasnęła.

Woźnica miał do wyboru - albo nie wypełni rozkazów osoby upoważnionej przez księżniczkę i zostanie oskarżony o zdradę, albo zdejmie spodnie. Wybrał to drugie rozwiązanie. Po zabraniu ogłuszonemu sierżantowi topora i peleryny Dolviene się przebrała, z trudem wspięła na siodło i spojrzała na południe. To, co zobaczyła, zaskoczyło ją bardzo. Przez kilka sekund myślała intensywnie, potem załadowała kawaleryjską kuszę sierżanta i ruszyła za strażnikami dróg.



Gilvray i Laron prowadzili oddział jadący skróconym galopem, a kiedy Gilvray ocenił poprawnie odległość po długości lanc nieprzyjaciela, rozkazał przejść do pełnego galopu. Odległość między dwoma oddziałami malała - i w końcu po przeszywającym okrzyku Gilvraya: „Królewscy strażnicy dróg, do mnie! Do ataku!”, jeźdźcy pomknęli jeszcze szybciej.

- Wicehrabia Cosseren... - zaczął Laron, ale słowo „uciekł” zamarło mu na ustach. W ogniu walki mogłoby to zostać zrozumiane jako rozkaz do odwrotu.

Gilvray krzyknął: „Na nich!”, wskazując toporem Alpennieńczyków.

Cosseren właściwie wyprzedzał linię atakujących strażników dróg, ale w końcu dowodził. Nieprzyjacielska brygada zwolniła zaskoczona. Strażnicy nie uciekali w popłochu, by schronić się w mieście, oni atakowali! Laron zdał sobie sprawę, że trzyma topór opuszczony, podczas gdy reszta jeźdźców miała broń podniesioną, gotową do walki. Czując się dziwnie zmieszany, uniósł topór. Nieprzyjacielski oddział był czarną masą, która przerażająco rosła z każdym krokiem, podnosiła kurz, a jej broń lśniła w promieniach słońca. Gdy kapitan Gilvray wzniósł topór, królewscy strażnicy podnieśli swoje kawaleryjskie kusze, które trzymali w lewej ręce, i strzelili, gdy go opuścił. Strzały uderzyły w nieprzyjaciela, konie runęły, pociągając za sobą inne konie; potem odległość gwałtownie skurczyła się i odsłoniła alpenieńskich konnych łuczników. Grad strzał wyleciał z zaatakowanego oddziału alpenieńskiego i uderzył w szereg strażników. Cosseren zachwiał się w siodle, ale nie spadł z konia. Chwilę później przeorał nieprzyjacielską flankę, a strażnicy wbili się za nim.

Konie są wystarczająco mądre, aby nie zderzać się z innymi końmi w pełnym galopie; raczej szukają luk w szeregach nieprzyjaciela. Konie Straży Dróg właśnie to zrobiły i w efekcie strażnicy znaleźli się w środku flanki rozciągniętej brygady, siekąc toporami i kłując lancami Alpennieńczyków, gdy przejeżdżali między nimi. Niektórzy nawet przejechali „na wylot” przez szeregi wroga; zawrócili więc, aby znowu włączyć się do walki. Laron zablokował toporem cios Alpennieńczyka i odbił jego topór, który trafił w hełm jego pobratymca. Laron znowu zaatakował, odpierając cios znacznie silniejszego wojownika, którego broń zatoczyła szeroki łuk i trafiła ostrzem w jego własnego wierzchowca. Koń wierzgnął i runął na ziemię. Laron w ostatniej chwili odwrócił się w stronę innego Alpennieńczyka, który właśnie przebił lancą jednego ze strażników i jego ostrze uderzyło u podstawy karku, gdzie kończyła się kolczuga nieprzyjaciela.

Straż Dróg mniej lub bardziej osiągnęła zamierzony cel w pierwszych minutach starcia. Nie więcej niż dziesięciu Alpennieńczyków wywalczyło sobie drogę i dojechało do wraku powozu. Tam zastali woźnicę i sierżanta walczących w obronie wraku, strzelających z zapasowej kuszy, która była w skrzyni powozu. Po kilku minutach walki do dwóch obrońców dołączyli kawalerzyści z miasta. Razem zwycięsko obronili resztki powozu i martwe ciało studenta magii przebranego za księżniczkę.



Na środku równiny stał wóz i furmanka. Ludzie na nich nie narzekali na nudę, chociaż nie byli atakowani. Essen rozkazał Costigerowi zejść z krytego wozu i wsiąść z powrotem na konia. Konie ciągnące furmankę, chłaśnięte batem, pogalopowały główną drogą na południe, tak jakby ktoś próbował przedrzeć się przez drugą brygadę alpennieńską i wydostać na otwartą przestrzeń.

- Panienko Riellen, czy jest panienka pewna, że na moście nad Rwącą nie było Alpennieńczyków? - zapytał Essen.

- Nawet jeśli tam jacyś zostali, to niewielu.

- Więc uwaga wszyscy! Kierujemy się na most, galopem, utrzymując tempo wozu. Po drugiej stronie zerwiemy z mostu tyle desek, aby uniemożliwić Alpennieńczykom szybki pościg, potem zjedziemy z drogi i ukryjemy się na wzgórzach, gdzie nie pojedzie za nami kawaleria.

- A co z wozem? - zaniepokoił się Wallas.

- Co z wozem, panie sierżancie - poprawił go Andry.

- Zostawimy wóz i konie - powiedział Essen.

- To znaczy, że znowu będę musiał iść pieszo... panie sierżancie? - załkał Wallas.

- Ochotniku Baker, macie drugie wyjście, zostać przy wozie i zginąć. Na most! Galopem!



Ludzie, którzy krytykują taktykę zastosowaną w jakiejś bitwie, zazwyczaj robią to z wygodnego punktu widzenia na przebieg walki na mapie w kronice historycznej. Mają czas, by szczegółowo rozważyć, jaki mógł być najkorzystniejszy przebieg wydarzeń. W trakcie prawdziwej bitwy magiczne ptaki szpiegowskie są atakowane przez inne magiczne ptaki, spada grad strzał, a wszystko rozgrywa się niepokojąco szybko. Wszędzie unosi się pył, ludzie postępują tak jak nikt rozsądny w normalnych okolicznościach, a ludzie odgrywający najważniejsze role giną.

Do czasu, gdy Essen zorganizował ucieczkę zwiadowców i wozu smakosza przez most, dzięki sierżantowi, woźnicy i jeźdźcom z miasta droga do bramy miejskiej została właściwie oczyszczona z nieprzyjaciela. Essen jednakże o tym nie wiedział, wiedział natomiast, że droga za mostem jest bezpieczna. Nikt się nie spodziewał, że księżniczka Senterri będzie uciekała do kraju, z którego wyjechali ci, którzy ją ścigali. Alpennieńczycy pognali zablokować południowy odcinek drogi, którym, jak sądzili, ktoś mógłby spróbować się przedrzeć, więc byli na właściwym miejscu, aby przechwycić pozbawioną woźnicy furmankę. Przez cały ten czas żołnierze z drugiej brygady i strażnicy dróg wysyłali się nawzajem na tamten świat.



Dolvienne była bardzo rozsądną młodą kobietą, ale nawet ją wprowadziło w zmieszanie zachowanie różnych grup na równinie rzeki Rwącej tego ranka. Widziała odległą furmankę pędzącą na południe i wóz taborowy pod eskortą zwiadowców jadący co koń wyskoczy na zachód. Doszła do słusznego wniosku, że Senterri jest na wozie, a nie w furmance. Niesłusznie natomiast wywnioskowała, że zwiadowcy prowadzą wóz w kierunku pola bitwy, gdzie strażnicy dróg mogli mu przynajmniej zapewnić jakąś ochronę. Dlatego ominęła długą, rozciągniętą linię walki, gdzie na każdego strażnika dróg przypadało aż pięciu żołnierzy alpennieńskich, więc Królewska Sargolska Straż Dróg została unicestwiona i wrogowie nie mieli z kim walczyć.

Czterech Alpennieńczyków wyrwało się, aby złapać Dolvienne, poprawnie uznając - widząc długie włosy, których zapomniała spiąć - że jest kobietą w

przebraniu, może księżniczką z przefarbowanymi włosami. Przecież schwywanie księżniczki było głównym celem ich wyprawy. Kapitan Gilvray także przerwał walkę i ruszył za tymi czterema. Jeden strzelił z łuku, celując w konia Dolvienne, lecz trafił ją w prawe udo. Podjechali bliżej. Chcieli złapać ją żywcem, ale Dolvienne nie miała w planach niewoli.

Odcięli jej drogę. Zwolniła i zaczęła, aż jeden z żołnierzy zrówna się z nią i chwyci jej konia za uzdę, a wtedy strzeliła z kawaleryjskiej kuszy sierżanta. Bęłt przebił się przez kolczugę i wyszedł ramieniem. Żołnierz wrzasnął i odjechał, próbując wyciągnąć pocisk z ciała. Dolvienne wrzuciła kuszę do sakwy przy siodle i chwyciła topór. Kapitan Gilvray wciągnął w walkę dwóch żołnierzy, trzeci podniósł łuk, ale zagapił się na walczących kolegów i dostał toporem. Strzała poleciała gdzieś na oślep. Żołnierz ze złamaną ręką i strzaskanym łukiem uciekł, zanim Dolvienne zdążyła ponownie się zamachnąć.

Obejrzała się na Gilvraya, akurat gdy spadał z siodła, próbując uwolnić ostrze topora, które uwięzło w kolczudze przeciwnika. Podjechał drugi z Alpennieńczyków, Gilvray uwolnił topór i podniósł ramię, by zablokować cios, ale ostrze przebiło jego hełm. Alpennieńczyk uniósł topór do kolejnego ciosu - i w tym momencie Dolvienne trafiła go toporem w hełm, zrzuciła z konia i ogłuszyła. Gilvray chwiał się na nogach, buchająca krew zalała mu twarz.

- Kapitanie, do mnie! - krzyknęła Dolvienne.
- Nie widzę! - zawył Gilvray, podnosząc zakrwawioną rękę.
- Proszę wsiadać, kapitanie!
- Nie widzę! Na pierścieniu Mirala, jestem ranny!
- Tu jest moja dłoń, niech pan wsiada na mojego konia.

Po wieczności rozpaczliwego wdrapywania się przy pomocy Dolvienne, która nigdy nie przypuszczała, że jest tak silna, Gilvray wpełzł na siodło. Chwycił się lęku jedną ręką, drugą przyciskał krwawiącą ranę. W oddali reszta brygady porzuciła niedobitki straży i kierowała się do wraku powozu. Laron kazał Calliarowi zagrać na trąbce sygnał, by zwołać ośmiu ocalałych strażników. Dolvienne przejechała obok ciała Cosserena, z którego sterczało sześć strzał. Właściwie żeby go zabić wystarczyła jedna, wystająca z oczodołu.

- Strażnicy dróg zebrani, panie kapitanie! - krzyknął Laron, ale Gilvray nie widział nic i właśnie zaczynał odczuwać skutki szoku.

- Został ranny - wyjaśniła Dolvienne niepotrzebnie.

- Przejmuję komendę! - krzyknął Laron, podnosząc topór.

- Księżniczka jest na wozie, kapitanie - powiedziała Dolvienne, wskazując w kierunku mostu.

Nagle Laron się zorientował, co Essen zamierza zrobić. Droga była pusta, wóz już prawie dotarł do celu i istniała bardzo mała szansa, że do obrony mostu pozostawiono niewielu ludzi.

- Strażnicy dróg, do mostu! - krzyknął Laron.



Wallas przynaglał konie i przeklinał je, że nie mogą jechać szybciej. Jego życie było mało warte. Przechodził kryzys poczucia własnej wartości.

- Jestem grubym dupkiem i miernym muzykaniem - powiedział głośno, niemal bez przerwy strzelając lejcamy. - Mogę przyrządzić ze śmieci pyszne potrawy, używając tylko cynowej patelni i paleniska, ale kto by chciał jeść pyszne potrawy, mając na karku dwie brygady konnych kopijników?

- Cóż, ja na pewno nie! - wrzasnął Wilbar, przekrzykując dudnienie kół i łomot końskich kopyt.

- Nie jestem głodny! - krzyknął Maeben, machając rękami w powietrzu.

Senterri i Riellen wyrzucały z wozu worki mąki i warzyw, aby zmniejszyć ciężar ładunku.

- Tylko ten wóz i konie stoją między nami i tysiącami zbuntowanych Alpeńczyków! - łkał Wallas, jak gdyby sam sobie chciał przypomnieć, co się dzieje wokół niego.

- Alpeńczykami rewolucjonistami! - poprawiła go Riellen.

- Mogą wziąć nas na straszliwe tortury, a potem zabić - lamentował Wallas.

- Gorzej, mogą wziąć nas na straszliwe tortury, a potem zostawić przy życiu - zauważył Maeben.

- Oni tylko mnie chcą schwytać! - krzyknęła Senterri. - Jestem warta wielkiego okupu.

Wallas zastanowił się nad tym, co wydawało się jedynym pozytywnym aspektem tej sytuacji. Mogli po wpłaceniu okupu zostać odesłani do paliońskiego odłamu sargolskiej rodziny królewskiej... gdzie on sam znalazłby się w opałach, gdyby rozpoznano go jako byłego mistrza królewskiej muzyki, a wtedy... Cóż, tortury i śmierć z rąk barbarzyńców z gór nie są w końcu takie straszne, zdecydował.

- Uciekamy, aby ocalić twój honor, wasza wysokość! - krzyknął do Senterri

Wilbar. - Mam rację, Wallasie?

- Jesteś materiałem na oficera! - odpowiedział Wallas.

Konie nie były przyzwyczajone do takiego tempa ciągnięcia wozu, ale udało im się osiągnąć coś zbliżonego do galopu. Z tyłu po prawej stronie Wallas widział walczących jeźdźców; jak przypuszczał, to strażnicy dróg wciągnęli żołnierzy w bitwę. Po lewej tuman pyłu w powietrzu wskazywał położenie drugiego nieprzyjacielskiego oddziału, który zawrócił po tym, jak przechwycił furmankę i nikogo na niej nie znalazł. Zwiadowcy wysunęli się naprzód i przez chwilę Wallas myślał, że go porzucili. Potem zauważył, że most jest już niedaleko, a przed wjazdem stoi kilku jeźdźców. Przeklął sam siebie za to, że nie wyrzucił ładunku z wozu wcześniej. W końcu ktoś teraz chciałby coś zjeść? Ciężkie dzbany z olejem do gotowania, oliwą do lamp i wzmocnionymi nalewkami leczniczymi były bezpiecznie przywiązane - ani Senterri, ani Riellen nie potrafiły rozplątywać węzłów, sądząc po przekleństwach i krzykach dobiegających z tyłu wozu.

Po dojechaniu do mostu zwiadowcy starli się z dziesięcioma żołnierzami z gór, którzy zostali, aby zabezpieczać drogę ucieczki. Wallas kierował wozem tak, by ominąć potyczkę. Jeździec, który wyglądał jak Hartman, wdał się w wymianę ciosów na topory z nieprzyjacielem. Wtedy od tyłu podjechał inny żołnierz i wbił mu ostrze piki w plecy. Wallas zobaczył, jak zwiadowca wiotczeje i spada z konia, ale głowa jego zabójcy poleciała w ślad za nim, ścięta przez kogoś tak krzepkiego, że mógł to być tylko Costiger.

- Na lunaświaty, jak szybko można zabić człowieka - wymamrotał Wallas do siebie, zastanawiając się, jak długo sam może umierać. Dostrzegł zbliżającą się następną grupę jeźdźców i przez chwilę właściwie się poddał. - Jesteśmy zgubieni! - krzyknął, a lejce zaczęły wysuwać mu się z rąk.

- Strażnicy dróg! - wrzasnęła Senterri.

Wallas natychmiast poczuł, jak odradza się w nim zainteresowanie ucieczką i skierował wóz do kamiennego domu celników, którego dach stał w ogniu. Gdy mijali budynek, zobaczyli ciała celników i żołnierzy garnizonu, ale brama do drogi na zachód stała otworem, chociaż drewniane sklepienie nad nią posyłało w bezchmurne niebo dym i płomienie, a płonące fragmenty spadały na drogę. Wallas poprowadził przez nią wóz. Rzucił za siebie szybkie spojrzenie na równinę i wydało mu się, że nieprzyjaciele biegną ze wszystkich stron. Zauważył także, że wóz się pali, a Riellen i Senterri próbują zgasić ogień pustymi workami. Essen przejechał obok, wskazując most

toporem.

- Wallas, zatrzymaj się na środku mostu! - krzyknął.

Droga zwęziła się i przeszła w most. Wallas znalazł się ponad kotłującymi się i grzmiącymi bystrzami Rwącej. Przed nim Essen zatrzymał konia, odwrócił się i podniósł topór. Gest mógł oznaczać: „Zatrzymaj się!”, ale równie dobrze: „Zabiję cię, jeśli się nie zatrzymasz!”.

Wóz zablokował tylko połowę mostu, lecz Wallas zdał sobie sprawę, że mógłby zablokować całą szerokość i w ten sposób zatrzymać pościg, gdyby udało mu się odwrócić wóz bokiem i prowadzić walkę zza niego. Zaciągnął hamulce i kazał wszystkim wysiadać.

- Co robisz? - zapytał Wilbar.

- Essen chce nas ocalić! - krzyknął Wallas. - Odwracamy wóz.

- Nie, głosujmy! - powiedział Wilbar.

- Zdrada! - wrzasnęła Senterri. - Rozkazuję wam wszystkim robić to, co każe Essen.

Kilka cięć toporem i konie zostały uwolnione z uprzęży, a Senterri i Riellen odprowadziły je na stronę zachodnią. Essen podniósł gwizdek do ust i wydał trzy krótkie dźwięki. Wallas próbował sobie przypomnieć, co ten sygnał znaczy. „Szybko do mnie”, „ładować”, „uciekać” czy „przerwa na obiad”? Zwiadowcy i strażnicy właśnie oderwali się od Alpennieńczyków i ruszyli na most.

- Studenci, potraficie walczyć? - zapytał Essen.

- Wolimy negocjować - wyjaśnił Wilbar. - Może jeszcze nie jest za późno na rozpoczęcie rozmów i...

- Idź do kobiet, a jeśli ktokolwiek im zagrozi, spróbujcie dostać się do drogi.

Zwiadowcy dojechali do mostu i Essen machał do nich, stojąc obok wozu. Tuż za nimi gnała Dolvienne ze strzałą w udzie, za nią siedział kapitan Gilvray. Wallas rozpoznał kapitana po pelerynie, bo jego twarz była zalana krwią. Na końcu galopowali strażnicy, ocalało ich tylko ośmiu. Gdy minęli wóz, Essen odblokował koła i zaczął go obracać. Zwiadowcy zeskoczyli z koni i skierowali swe kawaleryjskie kusze ponad płonącym wozem w stronę Alpennieńczyków.

„Płonącym”. Na to słowo Wallas doznał przebłysku inspiracji, jakby zobaczył jasny meteor na niebie, z którego zniknął Miral i lunaświaty.

- Twój topór! - zażądał, potem bronią Essena rozciął sznury mocujące dzbany oleju jadalnego i do lamp.

- Nie możesz teraz myśleć o ratowaniu pieprzonej oliwy... - zaczął Essen, ale Wallas rozbił dzban pod wozem. I następny. Teraz Essen zrozumiał, o co mu chodzi. Zaczął rozbijać naczynia o deski mostu. Wallas usłyszał dźwięk alpennieńskiego rogu. Kilkuset jeźdźców gromadziło się na wschodnim brzegu.

- Wystarczy, teraz w nogi! - krzyknął Essen, rzucając kawałek płonącej płachty na rozlany olej. Płomienie buchnęły i rozprzestrzeniły się na most. Wtedy Andry odepchnął Wallasa. Essen próbował go zatrzymać, ale Andry uderzył go pięścią w twarz i pobiegł. Skoczył przez płomienie i ze skrzyni wozu, z płataniny ubrań i innych bagaży wyciągnął bezwładne ciało. Wallas zdał sobie sprawę, że on i Essen zapomnieli o Velander. Andry i dziewczyna zaczęli się palić. Pozostali szybko obiegli płonący wóz, przewrócili go, aby zdusić płomienie. Dwoje wypadło z wozu na zachodnią stronę mostu. Na środku wielu jeźdźców z gór zsiadało z koni. Paru zaczęło rąbać barierki, a pozostali gasili ogień lub spychali wóz lancami. Jeden owinął ręce płaszczem i próbował odblokować hamulce wozu.

- Musimy ich zatrzymać! - krzyknął Laron, zsiadając z konia. - Za nimi są dwie brygady. Wszyscy z koni i na mój rozkaz...

Wielkie naczynie z oliwą, które Wallas przeoczył, wybuchło w płonącym wozie, zrzucając nieprzyjacielskich żołnierzy z mostu i zdmuchując barierki po obu stronach. Most ciągle się palił.

- Czy może pan wyczarować kule ognia, panie delegacie? - zapytał Essen, spiesząc do Larona.

- Mogę zrobić jedną małą, ale potem nie będę się do niczego nadawał.

- Proszę spojrzeć pod most! - krzyknął Andry do kogokolwiek wyższego rangą, kto mógłby usłyszeć.

Wszyscy spojrzeli, z wyjątkiem Gilvraya, który zemdlał i spadł z konia Dolvienne, oraz Velander, która przez cały czas była nieprzytomna. Podpory mostu stały w płomieniach.

- Nasączone czymś, co powstrzymuje gnicie drewna - powiedział Essen. - Skapujący płonący olej musiał je zapalić.

- Wszyscy, którzy mają kusze, ładować je i strzelać do Alpennieńczyków! - krzyknął Laron. - Powstrzymać ich przed atakiem na most, zanim drewno do reszty spłonie.

Zaczęli strzelać. Nawet trębacz Calliar wziął kuszę z juków przy siodle konia Dolvienne. Kilka strzał poleciało w ich kierunku, ale łucznicy wroga byli rozproszeni

między kopijnikami i brakowało im koordynacji. Przybyli szlachcice poprzędzani przez jeźdźca niosącego proporzec, zaczęli wykrzykiwać rozkazy i organizować kawalerzystów. Zajęło im to dwie minuty, a przez ten czas ogień z kusz osłabł. Alpennieńczycy zaatakowali.

Ze dwadzieścia lat wcześniej jakimś cieśli zapłacono za zastąpienie kilku nadgniłych belek zdrowym drewnem. Jednakże wykonawca użył do tego taniego drewna sosnowego i pokrył go impregnatem, aby ten fakt zamaskować - oraz pobrać ekstra opłatę za specjalne materiały zabezpieczające. Kiedy alpennieńscy żołnierze wjechali na most, sosnowe belki nie były jeszcze przepalone, ale ciężar sześciuset koni wraz z jeźdźcami - to dla nich było zdecydowanie zbyt wiele. Środek mostu się zawalił. Zwiadowcy i strażnicy wiwatowali, potem wycelowali kusze w dowódcę oddziału alpennieńskiego, jego chorążego i kapitana - którzy byli teraz uwięzieni po zachodniej stronie.

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby rzucili broń i zsiadli z koni, a potem poproszę o pański topór! - krzyknął Laron w popularnym sargolskim.

- Komu mam zaszczyt się poddać? - zapytał alpennieński dowódca.

- Kapitan Aliasar, w służbie księżniczki Senterri, nowej regentki Logiar i całego Capefangu.

- Czy jest pan szlachcicem, kapitanie?

- Czy gdybym nie był szlachcicem, byłbym kapitanem?

Dowódca wydał rozkaz, potem zsiadł z konia i poddał się Laronowi. Jednakże gdy Laron odbierał proporzec brygady, wokół niego zaczęły świstać strzały wystrzelone przez rozwścieczonych Alpennieńczyków z drugiej strony mostu.

- Wycofać się za zakręt - rozkazał i pojechali.



Najpierw trzeba było się zająć rannymi, a ranni byli wszyscy. Użyto igieł z igielnika, który Andry otrzymał od Jelene, a do dezynfekcji potrójnie destylowanego wina, którego garniec miał Costiger w jukach przy siodle; bandażę wycięto z ubrań.

Wallas odkrył, że ma niewielką ranę od lancy na nodze i natychmiast zemdłał. Andry miał dwa złamane żebra, a także głęboką ranę ciętą od kącika prawego oka aż do szczęki. Priorytetem jednakże było zaszycie rany na głowie Gilvraya, następne w kolejce - usunięcie strzały z nogi Dolvienne. Laron miał przeszkolenie medyczne, a Essen wiedział co nieco o łątaniu ran na polu walki, więc na nich dwóch spadła większość pracy. Senterri siedziała na ziemi obok Andry'ego i namoczonym w winie

gałgankiem przemywała mu ranę, gdy czekał na swoją kolej do opatrzenia. Z drugiej strony Andry'ego siedziała Dolvienne, uciskała swoje udo i starała się nie patrzeć na sterczącą z niego strzałę.

- Powiedziano mi, że strażnicy, którzy są tutaj, to jedyni, którzy ocalili z całego oddziału - powiedziała Senterri matowym głosem, jak gdyby nie mogła pojąć tego, co właśnie powiedziała.

- Trudno powiedzieć, wasza wysokość - odparł Andry. - Niektórzy mogli zostać wzięci do niewoli lub leżą ranni.

- Czy ktoś widział wicehrabiego Cosserena? - zapytała Senterri.

- Ja widziałam - powiedziała Dolvienne. - Wyglądał na martwego.

- Martwy! - krzyknęła Senterri, wsadzając Andry'emu gałganek w oko. - Czy jesteś tego pewna?

- Miał w oku strzałę i nie ruszał się.

Senterri zakryła rękami twarz, brudząc ją krwią Andry'ego. Essen przyszedł z miejsca, gdzie opatrywał Gilvraya.

- Wasza wysokość, zaopiekuj się kapitanem, to przyniesie ci ulgę w bólu - powiedział z ukłonem.

- Zaopiekować się nim? Jak?

- Umyj mu twarz, odganiaj muchy, podawaj mu wodę, po prostu bądź przy nim, wiesz.

Poszła do Gilvraya, gdy Essen badał strzałę sterczącą z uda Dolvienne.

- Końska strzała, to znaczy weszła i utknęła. Kapitanie Laron, pomożesz mi?

Laron trzymał ręce Dolvienne, a Andry leżał w poprzek na jej nogach, gdy Essen wycinał tkaninę wokół rany. Potem wyjął grot strzały z zadziorami, ale była to długa i krwawa operacja, która sprawiła Dolvienne prawdziwe katusze. Andry'emu wydawało się, że trwa to całą wieczność. W końcu Essen podał wyciągniętą strzałę Andry'emu, polał ranę winem i ją zaszył.

- Nie wyrzucaj grotu - szepnęła Dolvienne, gdy Laron ocierał jej zroszone potem czoło.

Andry złamał strzałę i włożył grot w jej dłoń. Potem on trafił pod igłę. Stracił poczucie czasu, ocknął się dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim i leżał między Dolvienne a Gilvrajem.

- Czy takie cięcie przez twarz boli? - zapytała go Dolvienne; Gilvray wciąż był nieprzytomny.

- Nawet w połowie nie tak bardzo jak jej zszywanie - odparł Andry.
- Sądziłam, że rana po strzale jest mała i schludna, ale już tak nie myślę.
- Czy potrzebuje pani czegoś? - Andry się podniósł. - Muszę przeprowadzić spis, co nam zostało.

- Zwiadowco, nie jesteście w stanie stać prosto, dajcie sobie spokój z obowiązkami.

- Wszyscy są ranni - zauważył Andry.

- A co z ochotnikiem Wallasem?

- Ocknął się tylko na chwilę, popatrzył na rannych ludzi, z wymiotował i znowu zemdlął. Zostawię panią, proszę wybaczyć.



Andry zameldował się Laronowi, gdy już ostatni ranny został opatrzony. Mieli dwudziestu trzech ludzi i osiemnaście koni. Ośmiu strażników i czterech zwiadowców było na tyle sprawnych, że mogło pełnić służbę, pięciu innych mogło jechać, mając za plecami cięższe rannych kolegów. Posłania, pieniądze i racje żywności były w ilościach minimalnych. Laron zameldował o tym Senterri, a ona zarządziła zebranie. Właściwie wszyscy byli na miejscu, by wysłuchać, co ma do powiedzenia, ponieważ leżeli na ziemi i dochodzili do siebie.

- Może nie na wiele wam się przydam, ale ciągle jestem waszą władczynią - powiedziała Senterri. - Oznajmiam, że ustanawiam Królewską Straż Capefangu. Będzie się składała ze Straży Dróg z Palionu, Straży Pałacowej z Logiar i zwiadowców, którzy bronili mnie dzisiaj. Wszystkie trzy jednostki pozostaną odrębne i niezależne oraz utrzymają swoje nazwy w obrębie Straży Królewskiej.

- Więc właściwie nie jesteśmy strażnikami, ale oficjalnie jesteśmy w Straży Królewskiej - szepnął Essen do Andry'ego.

Andry bardzo wymownie wzruszył ramionami.

- Strażnicy, możecie nie być zadowoleni z tego, że plebejusze będą dzielili z wami status elity - mówiła dalej Senterri - ale bez tych plebejuszy byłabym teraz alpenieńskim więźniem. Pewnie się zastanawiacie co dalej. Kapitanie Laron?

Ludzie popatrywali na siebie nawzajem. Nikt z nich nie wysiłał jakoś szczególnie głowy, ale oczywiście pytanie „Co dalej?” wymagało natychmiastowej odpowiedzi.

- Alpenieńczycy przerzucą most linowy przez rzekę jeszcze dziś - ostrzegł Laron.

- Zbudowanie mostu wytrzymałego na tyle, by przejechały po nim konie, zajmie co najmniej kilka dni - zauważył jeden ze strażników.

- Ale wystarczy, że przeprowię nim tylko szczupłych, silnych, zdrowych mężczyzn, w pełni uzbrojonych. Większość naszej broni jest zniszczona i zostały tylko dwa tuziny bełtów do kusz na nas wszystkich. Nie mamy zapasów, a co gorsza pieniędzy. Im dłużej zajmie nam droga do Logiar, tym większa możliwość, że nas schwytają lub umrzemy z ran.

- Więc może ruszajmy? - zapytała Senterri.

- Za pół godziny. Tyle zajmie nam przygotowanie do wymarszu. Czy jest jeszcze coś?

Było. Senterri przeszła od strachu do gniewu.

- Po pierwsze, wszyscy będziemy się posługiwać popularnym sargolskim - powiedziała, odwracając się do trzech jeńców. - Niektórzy z moich ludzi są plebejuszami i chcę, żeby wszyscy rozumieli, co do siebie mówimy. Teraz mówcie, co spowodowało, że zerwaliście stary układ i wznieciliście rebelię?

Księżniczka była wściekła. Miała wiele siniaków oraz cięcie na ramieniu, które znowu zaczęło krwawić. Na ostrzu kawalerskiego topora, który trzymała w dłoni, była krew.

- Żądam zwrotu mojego dziedzictwa, żyznych dolin skradzionych mi w wyniku niesprawiedliwego układu... Żle! Zaczę jeszcze raz!

Alpennieński dowódca zamrugął z niedowierzaniem.

- Moi ludzie wyrosli na biednych i jałowych górskich pastwiskach, zostaliśmy zmuszeni do...

- Kapitanie Aliasar, jak pan myśli, jakie szanse na przeżycie ma mężczyzna w zbroi, ze związanymi rękami, który pomaszeruje do końca mostu i spadnie do rzeki?

- Znikomo małe, wasza wysokość. Utonąłby w kilka chwil.

- Chciałabym przeprowadzić eksperyment.

- Doprawdy, wasza wysokość?

- Tak. Myślę, że roztrzaska się o skały lub umrze z wychłodzenia, zanim miałby okazję utonąć. Użyjmy dowódcy jako testera.

- Prawdopodobnie złamalibyśmy jakiś okropnie ważny traktat o traktowaniu jeńców - zauważył Laron.

- Och, mój drogi, myślisz, że on się poskarży regentce Logiar?

- Podejrzewam, że tę skargę regentka mogłaby wyjątkowo przeoczyć - uznał

Laron.

Dowódca zadygotał, a potem najwidoczniej podjął jakąś pospieszną decyzję.

- Nie jestem lojalny wobec żadnej ze stron konfliktu o władzę w Palionie - rzekł spokojnie.

- Więc prawda powinna mi się spodobać, nawet jeśli nie całą poznam - stwierdziła Senterri. - I pamiętaj, że wiem coś o intrygach w pałacu królewskim, bo jestem księżniczką i tak dalej. Jeśli się zorientuję, że kłamiesz, cóż...

- Pytaj - powiedział dowódca i zabrzmiało to tak, jakby nie mógł się już doczekać przesłuchania.

- Kim jesteś?

- Carasern, kasztelan Mountfortu.

- Kto uknuł plan rebelii, w której brałeś udział?

- Królewski wysłannik z Palionu. Obiecano mi, że zostanę baronem niższej rangi, jeśli cię schwytam. Miałem także zabić czarodziejkę o czarnych kręconych włosach i dziwnym akcencie. Ma około trzydziestki, a nazywa się Terikel Arimer.

- Zabić czarodziejkę? Dlaczego?

- Podobno jakaś frakcja chce jej użyć do przejęcia Smoczego Muru. Można go wykorzystać do podpalenia naszych zamków i miast. Smoczy Mur przebiega dokładnie nad moimi włościami.

Senterri i Laron wymienili spojrzenia.

- Opisz tego wysłannika - polecił Laron.

- Widziałem go tylko w półmroku.

- Opisz go - nakazał Gilvray bardziej stanowczo.

- Był wysoki, szeroki w ramionach, miał wystające brzuszysko.

- Jak był ubrany? - zapytała Senterri.

- Brunatny płaszcz, brązowe buty do konnej jazdy. Miał kaptur na głowie. Nie widziałem twarzy.

- Zastanów się, dobrze ci radzę - ostrzegła go Senterri, wskazując ręką zrujnowany most.

- Podbródek! Widziałem jego podbródek! Gładko wygolony.

- Opisz sposób, w jaki cię pozdrowił - rozkazała Senterri.

- Jak mnie pozdrowił? Eee...

- Zastanów się bardzo głęboko - dodał Laron.

- Eee, trochę w zniewieściały sposób. Podniósł obie ręce do twarzy, dłonie

złożone wnętrzami, potem rozłożył szeroko lewą, podczas gdy prawą powtórzył pierwszy gest. Potem się uklonił.

Senterri pomyślała chwilę i ujęła Laroną pod ramię.

- Pozdrowienie książęcego posłańca, ale to może nic nie znaczyć - powiedziała, odprowadzając go na bok, aby porozmawiać bez świadków.

- Bardzo możliwe, że to znaczy wszystko - odparł Laron. - Obie ręce rozłożone szeroko oznaczają posłańca cesarza lub następcy tronu. To zawęży nam podejrzanych do czterech książąt i trzech księżniczek. Jednakże kto był posłańcem? Pałac jest pełen wysokich, ogolonych, brzuchatych wojowników w średnim wieku.

- Prawdopodobnie dlatego wybrano go na posłańca. Lecz mógł to być ktoś z innej grupy, kto próbował sprawić wrażenie, że spiskuje któregoś z książąt.

- Wątpię. Kasztelan był w Palionie cztery miesiące temu, odwiedził pałac królewski. Myślę, że znał tego człowieka z otoczenia księcia. Musiał mieć naprawdę dobry powód, żeby wysłać dwie brygady przeciwko oddziałowi Straży Dróg. Nad nami powiewał proporzec, ludzie z miasta mogli zobaczyć to zdarzenie. To był akt zbrojnej rebelii, po prostu wojny. Kasztelan niczego by nie zyskał, wojując z całym cesarstwem sargolskim.

- Chyba że był pewien, że cesarstwo nie będzie chciało brać odwetu! - stwierdziła Senterri.

- Zgadza się. Więc wasza wysokość myśli, że stoją za tym nasi ludzie?

Senterri z Laronem wróciła do nieprzyjacielskiego dowódcy i konnych żołnierzy.

- Dziękuję, pańskie informacje były nadzwyczaj pomocne - powiedziała uprzejmie. - Jest pan moim jeńcem i kiedy przybędę do Logiar, dostanie pan do wyboru albo złożenie mi przysięgi wierności, albo zapłacenie okupu. Kapitanie Laron, chciałabym, aby Straż Królewska była jak najprędzej gotowa do wymarszu.



Hartman spojrzał na długi rząd wojowników podchodzących do białej łodzi. Nawet w drodze do Mrocznych Krain szlachcice mają pierwszeństwo, pomyślał.

- Czy zwiadowca Hartman jest tu jeszcze?! - zawołała kobieta w czerwonej sukni, która sterowała łodzią.

Duch Hartmana podniósł rękę.

- Czy spotkałeś mojego ukochanego, Andry'ego Tennonera? - spytała przewoźniczka.

- Co takiego?! - krzyknął Hartman, roztrącając zaskoczone duchy szlachciców. - Przecież jesteś Śmiercią!

- Jak on się czuje? - zapytała madame Jilli, pomagając mu wsiąść do łodzi. - Czy znalazł już sobie nową ukochaną?

- Cóż, coś w tym rodzaju. Ona ma nadludzką siłę i lodowatą krew, ale z miłości do niego zaprzestała już rozrywania ludziom gardel i picia ich krwi.

- Naprawdę? - pisnęła madame Jilli, odpychając łódź od brzegu. - Cudownie! A tak przy okazji, nie nazywaj mnie Śmiercią, bo ludzie będą się mnie bali.



Wallas odbywał przedłużoną lekcję jazdy konnej i gwałtownie powiększała mu się liczba otarć od siodła. Ranni nie byli zadowoleni z ostrego tempa narzuconego przez Laroną, ale nie dyskutowali. Essen przewidywał, że naprawa mostu zajmie nieprzyjacielowi trzy dni. Gdy tylko jeźdźcy ich dogonią, wszystko rozegra się szybko, ponieważ Straż Dróg nie była już zdolna do walki. Jednakże Essen w swoich obliczeniach nie wziął pod uwagę tego, że konni ochotnicy z pobliskiego miasta mogli przekroczyć bramy i zaatakować zdanych na własne siły Alpennieńczyków, a tak się stało, więc gdyby Senterri z eskortą pozostała w pobliżu mostu, mogła zostać uratowana zaraz po tym, jak jej lojalni poddani przerzucili przez rzekę most sznurowy.

Zarządzono odpoczynek, gdy resztki zmierzchu blakły przyćmione blaskiem Smoczego Muru. Byli w pobliżu niewielkiej ufortyfikowanej tawerny, ale w środku widzieli alpenieńskich lojalistów, więc pozostali na polu, gdzie pasły się ich konie. Stał tu opuszczony wóz. Andry szybko ustalił, że tylko oś jest pęknięta. Mógł ją naprawić przy blasku ogniska.

Laron rozkazał wszystkim, by spali aż do świtu, kiedy ponownie ruszą w drogę. Właściciel gospody był poddanym kasztelana i mógł donieść o nich pościgowi. Po kilku godzinach Andry skończył nową oś, mimo że był ranny i wyczerpany. Blask nad górami wskazywał, że wschodzi Miral, więc wiedział, że minęła północ.

- Powinieneś się przespać, bo jutro będzie na to mała szansa - doleciał go głos Gilvraya gdzieś z niedaleka.

- Zbyt wiele myśli, panie kapitanie - odparł Andry, rozglądając się w ciemności za dowódcą.

- To była twoja pierwsza bitwa? - zapytał Gilvray, wstając ostrożnie i podchodząc powoli.

- Tak, pierwsza.

- Mimo to walczyłeś dzielnie. Strażnik Palver powiedział mi, że pokonałeś dwóch Alpennieńczyków, którzy go schwytali, a ja na własne oczy widziałem, jak walczysz.

- Brałem udział w wielu bójkach.

- Ja walczyłem w jedenastu prawdziwych bitwach. Kilka z nich było większych niż ta wczorajsza, ale żadna nie była wręcz.

Andry nie odpowiedział. Cisza się przeciągała.

- Opuściłem Palion z prawie setką strażników, przeżyło nas tylko dziewięciu.

- I nas, zwiadowców, pięciu, i kapitan Laron... no i ochotnik Wallas.

- Tak, to razem szesnastu, ale tylko dziewięciu strażników. Straciliśmy dziewięć razy po dziesięciu zabitych wczoraj, Andry. Nawet utrata jednego z nich byłaby uważana za niepowetowaną stratę w innych moich bitwach. Pamiętam imię każdego. Każdy był dzielny, niezależnie od tego, czy żyje, czy poległ.

- Ochrona księżniczki musi być dla pana bardzo ważna, panie kapitanie.

- O tak i nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich strażników, żywych czy martwych. To kwestia honoru. W zeszłym roku księżniczka Senterri została uprowadzona i nie mogliśmy nic na to poradzić. Straż Pałacowa pilnowała pustych komnat, a my, strażnicy dróg, pojechaliśmy na pustynię, ale znaleźliśmy tylko fałszywe tropy. Przez cały ten czas księżniczka była w rękach łowców niewolników. Jeden z jej braci i jego regularni żołnierze przynieśli wiadomość, że ona żyje. Uciekła bez naszej pomocy. Zdecydowała się zostać w obcym kraju, pomagać innym zbiegłym niewolnikom i ludziom w potrzebie. Potem wróciła... Tym razem byliśmy obecni, gdy znalazła się w niebezpieczeństwie i tym razem uratowaliśmy jej honor. Będzie dobrą regentką, kiedy dotrzemy do Logiar. Jednak po śmierci Cosserena nie jest już królową.

- Kto to jest regent, panie kapitanie?

- Regent panuje, kiedy prawowity monarcha jest zbyt młody, zbyt głupi lub zbyt leniwy. W wypadku Capefangu rodzina panująca zawarła przymierze z alpenieńskimi watażkami osiem lat temu. Rebelię stłumiono, a monarcha Capefangu został wydziedziczony, ale pojawił się pretendent do tronu, wicehrabia Cosseren. Kiedy Senterri go poślubiła, ogłoszono ją królową Capefangu zgodnie z prawem sargolskim.

- Świetnie jeździł konno i machał toporem.

- Większość swojego dwudziestoczteroletniego życia uczył się jazdy konnej i szermierki pod okiem największych mistrzów cesarstwa. Był najlepszy w walce na topory w Straży Dróg, dużo lepszy ode mnie. Z sześćdziesięciu pojedynków nie przegrał żadnego. Dwa razy walczył z Laronem, raz ze mną.

- Czy mogę być tak zuchwały i zapytać, kto wyzywał na pojedynek?

- Och, Cosseren, za każdym razem. Jeśli miałeś opinię dobrego w walce na topory, chciał udowodnić, że nie jesteś lepszy od niego, więc znajdował jakiś pretekst, by zmusić cię do pojedynku.

- Mnie nie wyzywał, chociaż pokonałem na topory pana Larona.

- Ale ty jesteś cudzoziemskim najemnikiem o podejrzanym pochodzeniu. Mógłbyś nawet... - Gilvray przyłożył palec do warg i mrugnął - ...być niskiego pochodzenia. Mogłeś cię go w twarz i zwyciężyć. Musiałby przez resztę życia chodzić ze szramą i wyjaśniać, jak jakiś brudas o owłosionym tyłku, gnojek z Alberinu okazał się lepszy od niego. Blizna ode mnie byłaby blizną od kapitana Straży Dróg, powodem do chwały.

- Czy był równie dobry w prawdziwej walce, panie kapitanie?

- Nie ulega kwestii, że był odważny, ale i nieprawdopodobnie głupi. Pijany leżący w rynsztoku w czasie oberwania chmury ma więcej rozsądku niż Cosseren.

- Z pewnością nie, panie kapitanie. Księżniczka Senterri go wybrała.

- Księżniczka go nie wybrała, ona po prostu podpisała kilka zwojów, złożyła przysięgę i położyła się do królewskiego łóżka... Najwidoczniej przeszkrobał coś w małżeńskiej sypialni, co straszliwie zdenerwowało księżniczkę. Cóż, może Fortuna nie zawsze jest okrutna dla zakochanych.

Andry niemal natychmiast uchwycił podtekst zawarty w słowach kapitana. Wahał się przez kilka chwil, potem uznał, że normalny protokół został zawieszony, a może kapitan Gilvray nawet oczekuje na to bardzo oczywiste pytanie.

- Mogę zapytać, czy pan kocha księżniczkę?

- Uwielbiam ją od dwóch lat, czyli odkąd jestem w jej służbie. Ale zrozumiałem powody, dla których poślubiła wicehrabiego Cosserena. Dostała własne królestwo w obrębie cesarstwa. Inni wysyłali tysiące ludzi na pola bitew, aby zyskać swoje małe państewko. Teraz on nie żyje... ale ja nie mam królestwa, które mógłbym jej ofiarować.



- Wallasie! - syknął Andry.

Wallas zachrapał, potem przewrócił się na drugi bok.

- Wallasie, śpisz? - zapytał Andry, zdzierając z niego pled.

- Ze wszystkich pytań, jakie mogłeś mi zadać, to jedno muszę określić jako...

- Czyli nie śpisz. Potrzebuję pomocy w założeniu kół na nową oś.

- Niech szlag trafi twoje koła.

- Tym wozem mógłbyś jechać jutro, gdyby koła były na miejscu. Przed chwilą rozmawiałem z kapitanem Gilvrayem. Powiedział mi, że jeśli wóz nie będzie gotów na rano, wyjeżdżamy o świcie i go zostawiamy.

- Niech cię szlag, Andry, więc ci pomogę.

Wallas był silny i w przeciwieństwie do reszty członków ich grupy nie odniósł większych obrażeń. Wkrótce udało im się osadzić i zaczopować prawe koło. Z lewym poszło im równie szybko.

- Ależ gehennę przeżyłem wczoraj na końskim grzbiecie - westchnął Wallas, siadając na ziemi i patrząc na wóz w zielonkawym świetle Mirala.

- Nieważne, jak pomyślny byłby obrót wypadków, Wallasie, ty zawsze znajdziesz jakiś powód do narzekania - zauważył Andry, siadając obok niego. - Co wiesz o kapitanie Gilvrayu?

- Masz na myśli tego kapitana Straży Dróg?

- Na bogów lunaświatów! Jest tutaj tylko jeden kapitan Gilvray. Jest tylko jeden z większym rozcięciem na głowie niż moje.

- Och, on jest prawnikiem alpennieńskiego watażki, który trafił do Palionu w kajdanach osiemdziesiąt lat temu, po wielkiej rebelii w 3061 roku. Jego rodzina jest w służbie cesarstwa sargolskiego od trzech pokoleń.

- Zauważyłem tarcia między nim a Cosserenem...

- Nie wspominaj o tym, jeśli nie chcesz paroma słowami wkurzyć kogoś, kto jest trzydzieści rang i klas wyżej od ciebie.

Już to zrobiłem, pomyślał Andry.

- A teraz są tarcia między nim i Laronem.

- Ach tak, Laron. Śliczny chłopiec, który walczy jak żbik, a ma doświadczenie i manieri bardzo starego mężczyzny. Odegrał ważną rolę w ucieczce księżniczki z rąk handlarzy niewolników; potem był jej towarzyszem, kiedy przez jakiś czas wiodła żywot plebejuszki, bo szukała prawdziwej siebie. Są tacy, którzy mówią, że wzięła go sobie na kochanka.

- Czy to prawda?

- Prawdopodobnie nie. Chociaż... wicehrabia Cosseren był wystarczająco głupi, by się poskarżyć, że jego żona nie była dziewicą.

- Z trudem mogę uwierzyć, że poślubiła kogoś takiego jak Cosseren - powiedział Andry, potrząsając głową.

- Ha! Ten człowiek może i wyglądał na inteligentnego, ale to wszystko zaaranżował cesarz. Senterri chciała być niezależna, a ojciec wykorzystał to, by ją ściągnąć z powrotem. Regencja Logiar i tytuł królowej obiecywały znaczną niezależność, dała się skusić. Wróciła na dwór w Palionie, została koronowana na królową i ogłoszona regentką przez samego cesarza zaraz po ślubie z wicehrabią Cosserenem, który był pretendentem do tronu Capefangu i...

- To już wiem.

- Cesarz został zamordowany godzinę później...

- To też wiem. Więc jaka jest teraz, po śmierci Cosserena, sytuacja księżniczki... wiesz, z kapitanem Laronem?

- Laron jest jej osobistym czarodziejem, nawet mimo że zdobył niski, dziewiąty stopień wtajemniczenia. Chłopiec ma zaświadczenia o inicjacji z jakiejś akademii w Diomedzie, ale nic poza tym. Bez rangi, bez przeszłości, bez rodziny. Mówi, że wszystko stracił, kiedy Torea spłonęła. Bardzo dogodne było to spłonięcie Torei. Dla bardzo wielu ludzi. Sądząc po jego manierach i postawie, prawdopodobnie jest jakimś szlachcicem.

Sądząc po jego manierach i postawie, pomyślał Andry. A sądząc po moich manierach i postawie...?

- Co się z nami stanie, jak myślisz, Wallasie? - zapytał Andry, nagle czując się bardzo zmęczony.

- Nasze perspektywy są dość dobre. Jeśli nie przejdiesz na emeryturę z mniej niż tysiącem hektarów ziemi i małym zameczkiem, będę bardzo zaskoczony.

- A ty?

- Och, ja zostanę twoim giermkim, będę mieszkał w twoim domu. Nie mogę za bardzo się afiszować, nie z moją kartoteką, prawda? Możemy stać się wielką siłą na dworze w Logiar, z twoją odwagą i moim talentem do intryg, namiętności i polityki. Ja...

- Intrygi, namiętności i polityka! - westchnął Andry.

- Wiem o tym sporo, zresztą plebejusze także to robią. Tylko że dworzanie nie plotkują o plebejuszach, a bardowie o nich nie śpiewają.

Andry milczał. Wallas myślał z początku, że szuka właściwej odpowiedzi; potem zdał sobie sprawę, że zwiadowca po prostu śpi.

- Typowe - wymamrotał. - Budzi mnie, a potem idzie spać. Teraz ja nie będę mógł zasnąć. Dobrze chociaż, że znowu mamy wóz.



Następnego ranka zwinęli obóz, gdy słońce było jeszcze poniżej horyzontu. Gilvray zwołał ich przed wymarszem. Wyglądał na bardzo słabego, Costiger musiał go podtrzymywać, ale chciał, by grupa była świadoma, że wszystkie reguły muszą być przestrzegane.

- Chciałbym ogłosić, że dziś wczesnym rankiem jej królewska wysokość na czas podróży do Logiar wyznaczyła kapitana Laron na dowódcę Straży Królewskiej - zaczął. - Uczyniła tak, aby w czasie trwania tej niebezpiecznej podróży komendę sprawował oficer, którego stan zdrowia jest najlepszy. Kapitan Laron teraz wygłosi do was parę słów.

Laron wstał. Mówił szybko, jakby bał się publicznych występów.

- Jest nas niewielu, ale po wczorajszej bitwie wątpię, czy Alpennieńczycy ruszą za nami, przeprawiwszy na drugi brzeg rzeki mniej niż setkę ludzi i koni. To im zajmie trochę czasu, ale musimy liczyć się z tym, że będą wkrótce za nami. Kiedy tu dojadą, ludzie z tej ufortyfikowanej gospody, która jest za wami, powiedzą im, ilu nas jest i w jakim stanie. Dlatego proszę, abyście ukryli bandaże, siedzieli prosto w siodłach i wyglądali jak gotowi do następnej bitwy. To sprawi, że pościg stanie się ostrożniejszy, a więc wolniejszy. Chcę także dodać, że wszystkie ważniejsze decyzje będę konsultował z kapitanem Gilvrayem i jeśli cokolwiek ze mną się stanie, kapitan przejmuje dowodzenie.

Gdy reszta dosiadała koni, Essen wziął Laron na bok. Wskazał głową w kierunku ufortyfikowanej gospody.

- Wszyscy nie żyją - powiedział cicho.

Laron zauważył, że z komina nie unosi się dym. Zadrżał.

- Nie rozumiem - powiedział, chociaż miał wrażenie, że zrozumiał.

- Proszę pójść i samemu się przekonać.

Strona dachu niewidoczna z ich obozu została wyrwana, a mnóstwo grubych belek było połamanych.

- Stałem na straży, to się stało dwie godziny przed świtem - wyjaśnił Essen, gdy szli w stronę budynku. - Przyleciał smokoptak. Był wielki jak wieża, ale bardzo cichy.

Unosił się przy ścianie gospody i wsadził łeb przez strzechę do środka. Widziałem, jak wyciągnął pięciu nieszczęśników i połknął. Potem odleciał.

- Dlaczego nie podniosłeś alarmu?

- Nasze ogniska były zgaszone, ludzie leżeli cicho i bez ruchu. Pomyślałem, że najlepiej nie wszczynać paniki, bo mogłaby zwabić smokoptaka.

- Dobra decyzja, sierżancie Essen - przyznał Laron.

Weszli do tawerny przez dziurę w dachu. Olbrzymi zabójca zabrał tylko ludzi, wszystko inne pozostawił nietknięte.

- Niech Wallas przyprowadzi tutaj wóz, ale powiedz mu, że ludzie uciekli stąd w nocy - powiedział Laron. - Załadujcie wszelkie zapasy, jakie zmieszczą się na wóz. Muszą nam wystarczyć na tydzień podróży.

- Wydaje się, że te ptaki podążają za nami - powiedział Essen.

- Ja też to zauważyłem. Może ktoś posyła je naszą drogą, może ktoś ma nadzieję, że zaatakują także nas, a może one nie są inteligentniejsze, niż był wicehrabia. Ten smokoptak zaatakował gospodę, gdzie zazwyczaj zatrzymują się podróżni. Może powinniśmy unikać gospód. Może, może, zawsze tylko może.



Pokonali tego dnia duży odcinek krętej górskiej drogi, chociaż gdy Laron patrzył na mapę, okazało się, że posunęli się do przodu żałośnie mało. Essen znał tę trasę bardzo dobrze, ponieważ służył w tych stronach pięć lat wcześniej. Pierwotny plan zakładał marsz główną drogą, przejazd przez serce południowoalpennieńskich kasztelanii i dalej na południe do Logiar. Wtedy zawsze mieliby pod dostatkiem pastwisk dla koni, a ludzie z gospodarstw i wiosek by sądzili, że grupa to oddział jakiegoś alpenieńskiego watażki, jego eskorta i jeńcy. Żaden z bandytów nie ośmielił się zaatakować tak licznej i dobrze uzbrojonej grupy, ale Laron zaczynał się martwić, że wszystko szło zbyt łatwo. Zastanawiał się, czy ktoś nie próbuje dać im fałszywego poczucia bezpieczeństwa.

- Trzeba tylko, żeby jakiś grubianin rozpoznał naszych jeńców i lokalna milicja alpenieńska ruszy prosto na nas - powiedział Essenowi. - Czy moglibyśmy ukryć ich na wozie?

- Po drodze miniemy co najmniej pięć fortów celnych. W każdym wóz zostanie przeszukany.

- Nie mogę pozwolić ich zabić, nie mogę ich wypuścić, więc musimy znaleźć inną drogę do Logiar. Jest taka?

- Jest, przez Alpenfast. Tam są świątynie Zwierciadła Niebios.
- Alpenfast. To niezależna kasztelania alpennieńska, o ile pamiętam.
- Zgadza się. Mogą zażądać, abyśmy uwolnili jeńców przed wkroczeniem na ich ziemie, ale nas nie zaatakują. Alpenfast leży głęboko w górach i do czasu, gdy jeńcy dotrą do najbliższego dużego miasta i podniosą alarm, my będziemy już w bezpiecznej odległości.
- Nie ma innej drogi do Logiar?
- Nie, jeśli nie potrafi pan fruwać.
- Więc jedziemy przez Alpenfast... ale nie mów o tym nikomu, dopóki nie zjedziemy z tej drogi.



Trzeciego dnia Essen skierował ich na wąski szlak na południowy zachód. To wywołało wiele komentarzy w grupie, a większość uważała, że źle wybrał, biorąc pod uwagę nawierzchnię drogi.

- Gdyby ta droga była statkiem, szczury by z niej uciekły - powiedział Andry, lawirując między głazami, wyrwami i krzakami porastającymi środek traktu.
- Wygląda na to, że tą drogą nikt nie podróżował od tysiąca lat - marudził Wallas. - Dlaczego ludzie przestali jej używać?
- Może jakiś pajac spalił most?
- Odwołaj to! Podpalając most, nie miałem zamiaru podać nas jako głównego dania na jakimś nędznym przyjęciu dla górskich sępów.
- Zastanów się, co mówisz. Od dłuższego czasu nie widziałem żadnych sępów ani orłów.
- Nie ma tu nic do jedzenia - zrzędził Wallas. - Warto byłoby coś upolować, zapasy się kurczą.

Laron zatrzymał grupę, a zwiadowcy zawrócili, by zamieść ślady i końskie kupy kawałek od miejsca, gdzie zjechali z głównego traktu. Droga przypominała ścieżkę do gospodarstwa, więc była duża szansa, że pościg ją przegapi. Było tu mniej trawy dla koni, ale powinno jej wystarczyć na jakiś czas. Od czasu do czasu dostrzegali wiejską zagrodę z dymem snującym się z komina, lecz nikt nigdy nie wychylił nosa, aby ich pozdrowić.

- Wyobraź sobie życie tutaj - powiedział Andry. - Dzień drogi do najbliższej tawerny.
- A najbliższy przyzwoity targ w Karunsel - dodał Wallas.

Dziwnie opustoszały szlak zawiódł ich wysoko na tereny, gdzie nawet sporadyczne zagrody zmieniły się w sporadyczne zrujnowane zagrody. Potężna lśniąca kurtyna światła, jaką był Smoczy Mur, rozciągała się nad nimi tak blisko, że obramowująca ją tęcza zdawała się wisieć tuż nad ich głowami i była tak jasna jak Miral. O tej porze Miral wschodził około ósmej rano, a zachodził parę godzin po zachodzie słońca. W południe dwudziestego ósmego dnia piątomiesiąca dojechali do porządnie zbudowanego masywnego muru. Miał co najmniej osiemnaście metrów wysokości i przecinał dolinę oraz szlak, którym jechali. U jego podstawy były podwójne wrota z drzewa żelaznego, a wyryty nad nimi napis głosił, że oto dotarli do ALPENFAST.

Jeszcze zanim dojechali do muru, otworzyła się lewa część wrót, w których stał strażnik w hełmie z polerowanej stali i lśniącej kolczudze.

- Kto jedzie? - zapytał oficjalnie w dworskim sargolskim.

- Kapitan Aliasar w imieniu księżniczki Senterri z sargolskiego domu panującego prosi o udzielenie schronienia przed atakiem alpennieńskich rebeliantów.

- Zwykle podróżni nie jeżdżą tym szlakiem - odparł strażnik. - Tylko najeźdźcy i bandyci przychodzą od strony gór. Dlatego zbudowaliśmy ten mur.

- Wybraliśmy tę drogę, by uciec naszym prześladowcom, nie mieliśmy wyboru. Proszę nas wpuścić. Większość z naszych towarzyszy jest ciężko rannych.

- Widzę, że macie trzech jeńców.

- Tak, są z brygady, która zaatakowała nasz oddział.

Strażnik cofnął się, ale nie zamknął bramy za sobą. Upłynęło kilka minut i wrócił.

- Kapitanie Aliasar, mogę zaoferować pańskiej grupie schronienie w imieniu mojego pana, lecz Alpenfast to miejsce, gdzie panuje zawieszenie broni i pokój. Wasi jeńcy muszą zostać puszczeni wolno.

- Księżniczka Senterri zna obyczaje i zasady panujące w waszej społeczności. Zgadza się na puszczenie Alpennieńczyków wolno.

- W takim razie wjeżdżajcie, jesteście serdecznie zaproszeni.

Do wieczora dojechali do samego Alpenfast. Mniejszy niż miasto, ale większy niż klasztor, przypominał zbiór świątyń rozrzuconych na terenie kampusu uniwersyteckiego. Został wzniesiony nad jeziorem Zwierciadło Niebios. Wieczór był akurat niezwykle piękny, góry odbijały się w wodzie jak w lustrze.

- Tu rezydują etheorenowie - wyjaśnił Laron, gdy ścieżką wyłożoną kostką z czerwonego granitu zbliżali się do jeziora. - To kapłani, którzy poświęcili się studiowaniu sił eterycznych i firmamentu. Są tutaj od ponad czterech tysięcy lat.

- Ich świątynie i pałace na wodzie są dziełami sztuki same w sobie - powiedziała Dolvienne.

- Reprezentują jedenaście najważniejszych stylów i szkół architektonicznych, po jednym z każdej z acremańskich cywilizacji, które powstały i upadły, w czasie gdy etheorenowie cicho wiedli swe zwykłe życie i badania.

- To jest styl, w jakim buduje się sargolskie pałace - odezwał się z wozu Wallas, wskazując budynek, w którym dominowały krzywizny, daszki i wielkie łukowate okna.

- Pewnego dnia cesarstwo przeminie, a pałac wciąż będzie nadawał się do zamieszkania - rzekł Laron.

- Dobrze się tu żyje - westchnął Andry. - Gdzie można się zgłosić na mieszkańca?

- Oni są całkowitymi abstynentami i przestrzegają zasady dożywotniego celibatu.

- Och! Dobrze się składa, że jesteśmy tu tylko przejazdem.

- Sądziłem, że przestałeś pić, Andry.

- Niemal, ale wciąż lubię towarzystwo pijaków. Poza tym mam ukochaną.

- To najbardziej ekstremalne użycie tego słowa, jakie mógłbym sobie wyobrazić - zachnął się Wallas.

- Nie masz pojęcia, co naprawdę znaczy to słowo.

- Ona zagłodziła się do tego stopnia, że nie jest już w stanie nawet się ruszać.

- Tak i za to ją szanuję. Robi to dla mnie.

- Nigdy nie zagłodziłbym się dla żadnej kobiety.

- Wallasie, czy chciałbyś być posiłkiem, którym ona przerwie swój post?

- Cóż, urzekają mnie różne małe geściki, którymi zakochani udowadniają sobie oddanie, oczywiście. Ucałuj ją ode mnie, Andry.

- Jeśli dowie się, że to od ciebie, wątpię, czy się zgodzi.



Trafili pod opiekę kapłanów-medyków, gdy tylko dotarli do pałacu gościnnego, który etheorenowie zbudowali pięćset lat wcześniej. Wielu członków oddziału miało gorączkę, w rany wdała się infekcja. Co dziwne, najciężej ranny Gilvray szybko dochodził do zdrowia. Po kolacji Laron oficjalnie przekazał mu z powrotem

dowództwo nad oddziałem. Kapłani nalegali, żeby Alpeńscy nie wyjeżdżali przed księżniczką i jej oddziałem, tak więc nikt nie zyskiwał przewagi.

Późnym wieczorem Senterri, Dolvienne, Laronowi i Gilvrayowi podano sycony miód z korzeniami. Pili na kamiennym balkonie zawieszonym nad brzegiem jeziora.

- Woda jest jak lustro, w którym przeglądamy się gwiazdy - powiedział Gilvray.

- Wygląda jak dziura w ziemi, przez którą widać drugie niebo - dodała Dolvienne.

- Kapłani powiedzieli, że mamy szczęście. - Laron podszedł do kamiennej balustrady i popatrzył w dół na jezioro. - Burze toreańskie zazwyczaj sprawiają, że powierzchnia jest lekko wzburzona. Może Smoczy Mur rzeczywiście je osłabia.

- Czy nie do tego miał służyć? - zapytała Senterri.

- Zgadza się, wasza wysokość, ale wiele wynalazków ma daleko mniejsze możliwości, niż zamierzali to ich twórcy.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, rozkoszując się luksusem przerwy w podróży i możliwością zajęcia wygodniejszego miejsca niż siodła, skały, trawa i ławeczka wozu. Raptownie się ochłodziło, wieczór zmieniał się w noc. Dolvienne zadrżała i Gilvray podał jej swoją pelerynę.

- Zastanawiam się, jak wielu strażników i żołnierzy z gór zginęło w tej bitwie - powiedziała Senterri do nikogo konkretnego.

- Kapitan Laron szacuje, że około dziewięćdziesięciu strażników, jeden zwiadowca i student zostali zabici lub zaginęli - stwierdził Gilvray. - Prawdopodobnie trzystu Alpeńców poległo lub zostało tak ciężko rannych, że spadło z konia. Oceniam, że sześćdziesięciu kolejnych zginęło, gdy runął most.

- Tak wielu? - zdziwiła się Senterri, która nigdy wcześniej nie widziała prawdziwej bitwy.

- W całej historii nigdy jeden oddział nie zmusił do ucieczki całej brygady. Strażnicy, którzy polegli, będą bohaterami pieśni minstrelów i ochotników przez wieki.

- Jednak to straszliwa cena, jaką przyszło nam zapłacić tylko za to, żeby ocalić mój honor.

- Wszyscy byliśmy zaszczytni, mogąc zapłacić tę cenę, wasza wysokość. Dzięki temu mogliśmy choć w części zmazać hańbę, jaka nas okryła, gdy porwali panią handlarze niewolników.

- Mimo to czy jestem naprawdę wolna? Jesteśmy w alpeńskich górach, a najwidoczniej Alpeńscy wzniesli rewoltę.

- Jest pani wciąż pod ochroną strażników, chociaż mają tylko dziesiątą część swojej dawnej siły.

- To prawda - westchnęła Senterri. - Wolę raczej mieć przy sobie ciebie i twoich ośmiu strażników niż dziewięć brygad kopijników, kapitanie. Czy odprowadzi nas pan do naszych komnat?

- Oczywiście, wasza wysokość.

Gilvray podał ramię księżniczce, potem pomógł wstać Dolvienne. Kuśtykała między nim i Senterri, obejmując ich rękami za szyję. Laron obserwował, jak odchodzą, potem odwrócił się w stronę jeziora. Nikt nie wspomniał o wicehrabim Cossereenie, pomyślał, tylko ja raz. Cóż, jedno wspomnienie jest lepsze niż żadne.



Velander zabrano do szpitala, gdzie pielęgniarki ją wykapały i położyły do łóżka. Bardzo je zaintrygował fakt, iż jest lodowato zimna, a jej serce nie bije, lecz Andry im powiedział, że to normalne. Jej eteryczne kły i szpony były ukryte, co zaoszczędziło mu kłopotliwych wyjaśnień. Kiedy kapłan-medyk podniósł wampirzycy powiekę, zaświecił spod niej niebieski blask.

- Jestem Selveris, medyk - powiedział kapłan, gdy Andry wszedł do pokoju. - Była przytomna przez chwilę, gdy ją badałem, teraz nie reaguje.

- Jej stan jest nieco... niepokojący - powiedział Andry ostrożnie.

- Niepokojący? Według wielu racjonalnych testów jest martwa, a mimo to porusza się i mówi. I ten blask w jej oczach!

- Co pan zaleci? - zapytał Andry. - Jutro musimy wyjechać.

- Nie ulega kwestii, że Velander tutaj byłoby najlepiej. Jest tu mile widziana, jak długo...

- Żyje?

- Zamierzałem powiedzieć: jak długo sobie życzy. Nie mogę dla niej zrobić nic więcej, ale sądzę, że bardzo by jej pomogło, gdybyś został z nią przez noc. Nocna pielęgniarka przyniesie ci krzesło, więc będziesz siedział wygodnie.

- Nie chciałbym nadużyć...

- Kapitan Laron mówił mi, że jesteś jej bardzo bliski.

- Ja...- Andry poczerwieniał i umilkł.

- Czy powiedziałem coś złego? Przykro mi.

- Ja... Velander znaczy równie wiele dla kapitana i jest... eee...

- Kolejna niefortunna sytuacja?

- Eee... tak! Tak. Eee... jak to kolejna?

- Ludzie często mówią lekarzom to, czego nie powiedzieliby nawet swoim ukochanym. Zwłaszcza jeśli tego lekarza prawdopodobnie nie spotkają już więcej. Andry, w ogólnej liczbie sfrustrowanych emocjonalnie związków ta grupa ludzi ma takie problemy, od których skręciłyby mi się włosy - gdybym miał jakieś włosy oczywiście. Zostań ze swoją dziewczyną, chłopcze. Przyślę ci krzesło.

Medyk skłonił się i odszedł. Andry usiadł na łóżku Velander i ujął jej dłoń. Skórę miała chłodną, ale suchą.

- Andry - szepnęła.

- Vel, obudziłaś się!

- Wszystko słyszałam. Jesteś ranny?

- Tylko w twarz.

- Mogę dotknąć?

Andry przyłożył jej palce do szramy na swoim prawym policzku.

- Robi wrażenie. Musi wyglądać... zawadiacko. Robić wrażenie na dziewczynach.

Andry delikatnie przycisnął usta do jej czoła, a potem do warg. Delikatne fiołkowe włókienko eteru rozciągnęło się między ich ustami i pękło, gdy się wyprostował.

- Chcę robić wrażenie tylko na tobie.

Pielęgniarka przyniosła rozkładane trzcinowe krzesło i postawiła je obok łóżka, lecz Andry dalej leżał z dłonią na piersi Velander. Nie słyszał bicia serca.

- Było źle w czasie bitwy? - zapytała Velander, gdy pielęgniarka odeszła.

- Tak.

- Zabiłeś kogoś?

- Nie. Hartman i ja walczyliśmy jako zespół. Ja angażowałem przeciwnika w walkę, a on zajeżdżał go od tyłu i zabijał. Dopóki sam nie został zabity.

- Nie zabiłeś nikogo?

- Nikogo.

- Nawet przypadkiem, Andry?

- Walilem obuchem topora, gdy tylko mogłem.

- Dlaczego?

- Bo byli żywi.

- Ale oni próbowali cię zabić!

- No tak, ale wiesz... Wszyscy mieli dziewczyny, rodziny i przyjaciół, lubili skoczyć na kufelek, może nawet zamierzali stać się lepsi. Każdy miał swoje życie i miejsce w życiu innych. Nie byłem w stanie tego przerwać.

- Andry, to zadziwiające. Chcesz się uczyć wytwornych manier, aby stać się lepszym... ale ty już jesteś lepszy. Lepszy niż wszyscy. Niż ja.

- Nie bądź głuptaskiem, Vel.

- Nie, Andry, posłuchaj mnie. Pewnych ludzi, których spotkasz na swojej drodze, będziesz musiał zabić. Aby przeżyć, trzeba być złym.

- Mówisz, że powinienem był zabijać ludzi w czasie bitwy?

- Mówię, że ty myślisz, że wszyscy ludzie są tacy jak ty. Dobrzy. A ja mówię, że są źli. Większość nawet gorsza.

- Vel, czy zanim umarłaś, kiedykolwiek kogoś zabiłaś?

- Tak. Była wojna.

- Och, więc prawdopodobnie uważasz, że jestem słaby i głupi.

- Nie. Myślę, że jesteś najlepszym człowiekiem na całutkim świecie. Podziwiam cię. Uwielbiam. Zabicie smoka mnie zmieniło, ale... spotkanie ciebie zmieniło mnie bardziej.

Andry głaskał ją po spiczastych uszach, po włosach. Przez chwilę milczeli, ciesząc się swoim towarzystwem w ciszy.

- Laron powiedział, że jesteś kapłanką z zakonu metrologańskiego. To dobrzy ludzie. Badają gwiazdy, chociaż pomagają ludziom z rysztoła.

- Bardzo piękny opis.

Przykrył jej dłoń swoją.

- Velander, jeśli dojdiesz do siebie, myślisz, że moglibyśmy być razem?

Z widocznym wysiłkiem Velander splótła swoje palce z jego palcami.

- Byłoby miło... ale nie będzie. Andry, lubisz Terikel, prawda?

- O tak, jest wielką i uczoną damą - odparł Andry ostrożnie.

- Nie! Czy lubisz ją... jak dziewczynę?

- Co? Jest prezbiterką całego zakonu metrologańskiego i jedną z największych czarodziejek na świecie. Nie mógłbym nawet marzyć o potrzymaniu jej za rękę.

- Terikel się martwi. Bardzo. Wydaje rozkazy, ciężko pracuje, znosi straszliwe cierpienia, wszystko dla ogólnego dobra. Czasem znosi też okropnych ludzi dla ogólnego dobra. Bądź blisko niej, Andry. Gdy będzie potrzebowała, wesprzyj ją. Jeśli to zrobisz, będzie mi łatwiej przejść do Mrocznej Krainy.

- Nie, Velander! Ty jesteś moją dziewczyną, to byłoby sprzeczne z honorem.

- Honor? - Velander zaśmiała się cicho. - Głupiutki chłopczyku, mówisz jak Laron.



O szóstej nad ranem Andry'ego, śpiącego niespokojnym snem przy łóżku Velander, obudziło potrząsanie. Stał nad nim Laron z palcem przy ustach.

- Chodź ze mną - szepnął, a potem wyprowadził go na zewnątrz.

- Jeszcze nie świta, kapitanie - powiedział Andry, gdy szli klasztornym krążankiem, którego filary porastało dzikie wino. - Coś się stało?

- Jesteś zaproszony na śniadanie. To będzie bardzo miłe śniadanie, podane na kamiennym balkonie nad jeziorem, gdy słońce wysyła pierwsze promienie między szczytami na wschodzie i nad wodami Zwierciadła Niebios, niebieskimi jak niebo i otulonymi mgłą. Ufam, że podadzą chrupiący chleb i wspaniałe miód, a do picia chłodne mleko miętowe. Niestety, będzie nam towarzyszyć kilku ludzi, którzy pragną stłuc się nawzajem na miazgę, a potem wywalić tę miazgę przez balkon do jeziora - odległego o dwadzieścia siedem metrów notabene. Ci ludzie będą porównywali pewne opowieści, widzisz, a szczegóły tych historii mogą do siebie nie pasować.

- Kim są ci ludzie?

- Kapitan Gilvray, księżniczka Senterri, pani Dolvienne i jeszcze parę innych osób. Obserwator, tutejszy generał, zgodził się wydać orzeczenie, a jego urzędnik dochodzeniowy będzie zadawał pytania.

- Orzeczenie?

- To coś, co robi sędzia pokoju, kiedy ludzie pozywają się nawzajem. Posłuchaj, mnie poinformowano z wiarygodnego źródła, że nie zabiłeś dotąd ani jednego człowieka oraz że jesteś jeszcze prawiczkim.

- Wallas! - wymamrotał Andry.

- To prawda?

- Mam wystarczająco mało prywatności jako zwiadowca, kapitanie, czy nie mogę trzymać ludzi w niewiedzy co do tych spraw?

- Pewnie zostaniesz poproszony o wzięcie udziału w rzucaniu bardzo niebezpiecznych eterycznych zaklęć. Jeśli kogoś zabiłeś lub figlowałeś z kimś, twoje ciało przeszyje ból nie do zniesienia, jakby rozgrzane do białości igły wbijano w każdy skrawek twojej skóry. Pytam jeszcze raz, czy kiedykolwiek zabiłeś kogoś lub współżyłeś z kimś?

- Czy Wallas kiedykolwiek się o tym dowie?

- Nie.

- Więc odpowiedź brzmi nie i nie.

Przeszli następne trzydzieści kroków, zanim Andry chwycił Larona za ramię i go zatrzymał.

- Czy mogę zadać niestosowne pytanie?

- Możesz na nie dostać niestosowną odpowiedź, ale pytaj, jeśli chcesz.

- Przyjmijmy, że chłopiec kocha wielką damę, a inna dziewczyna kocha jego.

Dziewczyna naprawdę go potrzebuje, a on daje jej całą miłość, ale swoje najgłębsze uczucia trzyma w sekrecie, żeby nie zranić uczuć dziewczyny i żeby nie skomplikować życia wielkiej damie. Czy on postępuje właściwie?

Laron przez chwilę obserwował Andry'ego swoimi zielonymi, płonącymi jak latarenki oczami.

- Pozwól, niech zgadnę. Ty jesteś chłopcem, Velandier dziewczyną, a Senterri wielką damą?

- Wolałbym nie odpowiadać, panie, ale czy pan mógłby mi odpowiedzieć?

- Tak, Andry, postępuje właściwie. Chłopiec poświęca całe swoje szczęście dla dziewczyny, mógłby nawet dla niej umrzeć. To naprawdę szlachetnie. Jeśli przez cały ten czas potajemnie kocha wielką damę, to jest jeszcze szlachetniejszy. To się nazywa miłość dworska i wymyślono ją w innym świecie bardzo dawno temu. Ja wprowadziłem tutaj tę ideę, więc w pewnym sensie nie mogłeś zapytać lepszej osoby o radę w tym temacie.

- Więc tylko ludzie szlachetni tak postępują?

- O tak i dziękuję ci za to, kim jesteś dla Velandier.

- Och, panie...

- Ani słowa więcej! Ja też opiekowałem się nią, kochając inną w sekrecie, nie masz więc monopolu na szlachetność, Andry. Teraz już chodźmy, jeśli pozwolisz, bo pewni ważni i nerwowi ludzie czekają na nas w całkiem uroczym miejscu.

Piękno otoczenia zapierało dech w piersiach, jedzenie i napoje podano proste, ale niezwykle smaczne, a atmosfera była napięta jak pajęczyna wielkiego, włochatego i potwornie wściekłego pająka. Wśród siedzących przy stole Andry zobaczył Terikel i natychmiast zauważył, że nie wyglądała na zadowoloną. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał, jakby wcale nie chcieli rozpoczynać działań wojennych, dopóki nie skończą jeść. Słońce rozjaśniło szczyty, z kamiennego stołu uprzątnięto tace, a wszyscy

wpatrzyli się we wspaniałej urody budynku, jezioro, krajobraz i otaczające góry. W końcu przybyli generał obserwator i urzędnik dochodzeniowy. Andry z zaskoczeniem odkrył, że medyk, Selveris, był także generałem obserwatorem - a tym samym najważniejszą osobą w całym Alpenfast. Tutejsi mieszkańcy nosili brązowe szaty z kapturem i sandały, więc wygląd absolutnie nie wskazywał na pozycję społeczną. Urzędnik był rudym, łysiejącym mężczyzną w drucianych okularach.

- Zorientowałem się, że panuje między wami wielka niechęć - zaczął Selveris, stając u szczytu stołu. - Coraz to dochodzi do krzyków, walki i wzajemnego obrzucania się zaklęciami. Raz jedwabna szata jednego z gości została zamieniona w pył, co wywołało oburzenie i konsternację naszych kapłanów.

- Którzy nigdy nie widzieli nagiej kobiety - dodał urzędnik.

- Rzadko ingerujemy w sprawy naszych gości, ale w tym wypadku gościmy głowę państwa, ważnych dowódców wojskowych i prezbiterkę zakonu naukowego. Niektórzy z was mogą nas szpiegować, może nawet planować atak. W interesie wielu osób leży, aby prawda została odkryta. Nikt nie odejdzie stąd, dopóki nie dowiemy się prawdy.

Dookoła stołu rozległo się niechętne mamrotanie. Selveris cofnął się o krok, dopuszczając do głosu swojego kolegę.

- Nazywam się Malecniar. - Urzędnik dochodzeniowy złożył lekki ukłon i zatarł ręce. - Potrzebuję dwojga ludzi, kobiety i mężczyzny, którzy nigdy nie zabili i których dziewictwo jest bezsporne. Ochotnikami są Dolvienne i Andry, tak?

Dolvienne i Andry wstali.

- Czy chcielibyście zadać jakieś pytania, nim zaczniemy? - spytał Malecniar.

- W waszej świątyni muszą być setki męskich prawiczków, którzy nigdy nie zabili nikogo - powiedział Andry. - Czemu potrzebujecie akurat mnie?

- Nie przeszedłeś wtajemniczenia i dlatego wolimy współpracować z tobą, a nie z kapłanami Zwierciadła Niebios. Wyżej wtajemniczeni mogą czasem wpływać na zaklęcia, naginać prawdę. Moja droga Dolvienne, czy masz jakieś pytania?

- Nigdy świadomie nie zabiłam, uczony urzędniku, ale jeśli ktoś, z kim walczyłam, umarł później od ran, czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, wystarczy zamiar i świadomość. Coś jeszcze? Wspaniale, więc możemy zaczynać. Wy oboje weźcie się za ręce i stańcie u szczytu stołu, kiedy będę rzucał zaklęcie prawdy.

Andry nie miał wiele do czynienia z kobietami i zdziwił się bardzo, że dłoń

Dolviene jest ciepła i miękka. Malecniar wypowiedział słowa zaklęcia w złożone ręce, potem zaczął wytwarzać energię eteryczną. Uformował z niej fioletową kulę wielkości ludzkiej głowy.

- Połóżcie wasze wolne dłonie na zaklęciu prawdy - powiedział, trzymając kulę przed nimi.

Kiedy Andry i Dolviene dotknęli kuli, przeniknęła ich ramiona i przez skórę pod ubraniem, aż pokryła ich piękną, fioletową siateczką. Andry nie czuł nic poza lekkim swędzeniem.

- Cóż, bardzo obiecująco - ucieszył się Malecniar. - Zaklęcie jest kompletne, a żaden z ochotników nie umarł w niewysłowionych męczarniach, więc możemy zaczynać. W tym stanie ani Andry, ani Dolviene nie mogą wypowiedzieć kłamstwa. Co więcej, Andry może wyczuć, kiedy kłamać będzie mężczyzna, a Dolviene może powiedzieć to samo o kobietach. Na przykład, Andry, co naprawdę myślisz o mnie?

- Jest pan zbyt miły jak na urzędnika dochodzeniowego - powiedział Andry mimowolnie.

- Och, dziękuję ci. Widzicie, jak działa to zaklęcie. Dzięki niemu nie musimy wzywać ludzi, którzy torturują i straszą innych ludzi, aby zmusić ich do mówienia prawdy.

- Więcej, potrzebujemy kogoś uprzejmego i sympatycznego jak Malecniar, bo prawda zwykle jest przykra - dodał Selveris.

- Dolviene, powiedz nam, co naprawdę myślisz o swojej pani, księżniczce Senterri.

- Jest głupim, rozwydrzonym bachorem, który mądre decyzje podjął tylko dzięki moim radom, ale owymi kapryсами doprowadził do śmierci tysięcy ludzi i...

- Wystarczy - powiedział urzędnik, machając ręką. - Tak, tak, dusicie w sobie wiele nieprzyjemnych myśli o sobie nawzajem. Wasza wysokość, czy mógłbym zapytać, co pani czuje do kapitana Gilvraya?

Senterri opierała się przez kilka chwil, ale wewnętrzny przymus mówienia był jak ostatnia sekunda przed kichnięciem - bardzo nieprzyjemna, dopóki się nie ulegnie.

- Jest zbyt poważny. Nic na to nie poradzę, że się z nim drażnię. Wiem, jest we mnie zakochany, mężczyźni muszą się we mnie zakochać, zanim wstąpią do Straży Dróg. W przebraniu pojechałam na wozie kucharza, żeby kapitanowi dokuczyć. A teraz się dowiedziałam, że mnie zdradził, chciał wydać Alpennieńczykom. Jak ktoś,

kto mnie kocha, mógł zrobić coś takiego?

- Dzięki, wasza wysokość, może pani spocząć - powiedział urzędnik. - Kasztelanie, pan następny.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam to wszystko - wymamrotała drżąca i spocona Senterri.

- Kasztelanie, niech pan nam powie, kim pan jest - powiedział urzędnik.

- Kasztelan Emtellian z Windover, dowódca brygady, którą wystawiłem własnym kosztem.

Po tym oświadczeniu nastąpiła głucha cisza. Urzędnik pierwszy się pozbierał.

- A co może pan powiedzieć o swoich układach z kapitanem Gilvrayem? - zapytał.

- Zaoferowałem mu opuszczony zamek Cloudfall wraz ze stoma hektarami ziemi, trzema farmami i dobrymi pastwiskami, jeśli wyda księżniczkę Senterri w moje ręce. Zgodził się i razem opracowaliśmy plan schwywania jej, gdy z eskortą Straży Dróg opuści Karunsel.

- Ty łajdaku! - wysyczała Senterri, patrząc z furią na Gilvraya, ale on nie otworzył oczu i nie odezwał się ani słowem.

- Rozumiem. Chcieliście ją porwać dla okupu? - zapytał urzędnik.

- Nie, chciałem ją poślubić i zjednoczyć wszystkie ziemie alpenneńskie z Capefangiem.

Laron otworzył usta.

- Imponujące. To dawałoby ci władzę nad połową ziem cesarstwa i trzecią częścią jego populacji. Ale Senterri była już mężatką.

- Najważniejszą sprawą było doprowadzenie do bohaterskiej śmierci wicehrabiego Cosserena.

- Kasztelanie, może pan wrócić na swoje miejsce. Teraz kapitan Gilvray. Proszę podejść i stanąć przed zaklęciem prawdy.

Gilvray szedł, jakby wchodził na szafot. Oczy miał mocno zaciśnięte.

- Panie kapitanie, niech nam pan opowie o przebiegu swojej służby.

- Służyłem na dworze w Palionie jako paź od trzeciego roku życia, siedem lat byłem ochotnikiem, zaczynając od stopnia chorążego. W Straży Dróg jestem od dwóch lat.

- Co pan czuje do księżniczki?

- Uwielbienie. Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia. Myślałem, że skrycie

czuła coś do mnie i kiedy wyszła za mąż, omal nie umarłem ze zgrzyoty.

- Czy miał pan zamiar ją zdradzić?

- Nie, zmierzałem posłać Cosserena przeciwko Alpenńczykom na czele oddziału Straży Dróg, sam odprowadziłbym bezpiecznie powóz księżniczki z powrotem do Karunsel. Ona zostałaby wdową, ja trwałbym przy niej, a ten ohydny, głupi wieprz Cosseren nie bezcześciłby jej dłużej. Jej uczucie do mnie mogłoby się rozwinąć.

- Do ciebie? - Senterri się zaśmiała. - Oficerzyny bez ziemi i majątku?

- Żyłem nadzieją. Nadzieja to wszystko, co ma wojownik. Ma nadzieję, że na polu walki ominą go strzały, nadzieję na awans, nadzieję, że wpadnie w oko bogatej kobiecie.

- A w jakim celu przekraczał pan granicę najbardziej niespokojnej i zbuntowanej prowincji w całym cesarstwie? - zapytał urzędnik.

- Prezbiterka metrologanek mnie poprosiła, abym ją eskortował. Sypialiśmy ze sobą od pobytu w Glasbury i czułem, że mam wobec niej dług wdzięczności.

- Ty zdrajco! - wrzasnęła Senterri. - Uwielbiałeś mnie, a mimo to...

- Miałem tuziny kochanek, odkąd wstąpiłem do Straży Dróg. Zamykałem oczy i udawałem, że każda z nich to ty. Terikel...

- Powiedział, że byłem pierwsza! - krzyknęła Terikel, zrywając się na równe nogi.

Laron zakrył oczy dłońmi i potrząsnął głową. Senterri uśmiechała się z przymusem przez chwilę, a potem wbiła wzrok w wody jeziora.

- Terikel mnie poprosiła, żebym eskortował ją do Alpenfast, w czasie gdy księżniczka bawiła w Karunsel. Przyjechałem tu z nią, sam, spotkałem się z kasztelanem Emtellianem i wróciłem.

- Dziękuję, kapitanie Gilvray, może pan usiąść - rzekł Malecniar. - Drodzy państwo, jak widzieliście do tej pory, zakłęcie prawdy jest tylko dla ludzi bardzo odważnych... lub tych, którzy nie mają wyboru. Prawda boli, a wy nie możecie kłamać. Każdy widzi, kim naprawdę jesteście i nie jest to piękny widok. My, kapłani, poddajemy się takiemu badaniu raz w tygodniu i dzięki temu zachowujemy dużą pogodę ducha mimo ciężkich przeżyć. Terikel, teraz twoja kolej.

Prezbiterka metrologanek zaczęła się wiercić i wydawała się niemal kurczyć w oczach.

- Nie jestem pewna, czy podołam - powiedziała cicho.

- Właśnie zobaczyłaś, jak inni odsłaniają przed nami swe myśli. Musisz zrobić to samo. Nie masz wyboru w tej kwestii.

- Nie! O pewnych sprawach...

- Spójrz na balkony wokół. Te postacie przy barierkach to nie są gargulce, tylko wojownicy, kapłani z kuszami gotowymi do strzału. Każdy z nich może trafić w jabłko zawieszane na sznurku z odległości stu metrów w wietrzny dzień. Jeśli wskażę na ciebie, w twojej piersi utkwą trzydzieści beltów w chwili krótszej, niż potrzeba na nabranie oddechu. W maszynie prawdy wszystko musi pozostawać w równowadze, nawet ja na końcu podejść do niej i będę odpowiadał na twoje pytania, jeśli zechcesz. Chodź, nie opieraj się. To doświadczenie może zmienić twoje życie.

Terikel podchodziła do zakłącia dużo dłużej niż inni, a gdy Andry i Dolvienne ujęły jej dłonie, aby zamknąć krąg, zacisnęła mocno powieki.

- Prezbiterko Terikel, cóż mogę powiedzieć? - zaczął urzędnik. - Wiem, przez co musisz przechodzić, moja droga i zaufaj mi, postaram się przeprowadzić to delikatnie. Dlaczego uwiodłaś kapitana Gilvraya? Czy tylko żeby zapewnić sobie bezpieczny przejazd przez ziemie alpenneńskie i dostać się tutaj?

- Nie... miałam osobiste powody.

- Zadziwiające. Opierasz się, mimo że masz jedenasty stopień wtajemniczenia. Widziałem tylko wtajemniczonych trzynastego stopnia, którzy robili to równie dobrze. Powinnaś zwrócić się o powtórny egzamin, ale nie o to teraz chodzi. Co to były za inne powody?

Terikel miała na czole koraliki potu, drżała z napięcia. Otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku.

- Prawda będzie łatwiejsza - powiedział urzędnik.

- Lubię go...

- Kłamstwo! - krzyknęła Dolvienne.

- To się nie skończy, dopóki nie wyznasz nam prawdy - podpowiedział jej urzędnik.

Terikel zaczęła płakać. Jej łzy miały różowawą barwę. Ich kolor stawał się coraz ciemniejszy. Potem dostała krwotoku z nosa.

- Aby zdradzić! Chciałam zdradzić! Pragnęłam zdradzić! - wybuchnęła.

- Kto miał zostać zdradzony i jaka była natura tej zdrady?

Terikel wyglądała na bardziej zrelaksowaną, jakby zdecydowała się poddać temu, co nieuniknione.

- Właśnie zdrada, zdrada moich własnych zasad. Zdrada jest dla mnie jak silna i ostra przyprawa. Zdradziłam Rovala, człowieka, który był mi tak drogi. Uwodziłam... innego mężczyznę, aby zabrał mnie tutaj. Z moim bardzo pięknym, serdecznym i eleganckim Rovalem seks był spokojny, czarujący i piękny, nasycony uczuciem, zaufaniem i wzajemną czułością. Ale... nie, skończmy już.

- Mów dalej.

- Ale przespałam się... z moim sponsorem... i później z szyprem. To był intensywny, wspaniały błysk ekstazy pełnej zła i winy, o tak, a kiedy ubierałam się rano, przepełniały mnie wyrzuty sumienia, lecz zawsze pragnęłam kolejnej takiej nocy. Szyper został zabity przez morskie smoki, ale spotkałam Gilvraya, ach, i wiedziałam, że to elegancki człowiek, który eskortowałby mnie z uprzejmości, gdybym go tylko poprosiła. Wyjazd do Alpenfast był pretekstem, aby go uwieść, aby Roval przeklinał wspomnienia o mnie, gdyby się o tym dowiedział. Poczucie winy i ryzyko dawało mi tak niewiarygodną rozkosz...

- Wystarczy, Terikel, nie o to....

- Uwiercie mi, pierwszy raz oddałam się mojemu sponsorowi w metrologańskiej świątyni w Alberinie, w noc przed wypłynięciem. Moja kapłanka, Justiva, zawróciła Rovala, który szedł zobaczyć się ze mną, słyszałam jego głos w oddali. Pytał, dokąd jadę i dlaczego mu nie powiedziałam, że wyjeżdżam, i to były jego ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam. Justiva odpowiedziała, że pojechałam do najbliższego kamiennego kręgu, on pognał natychmiast do kręgu Septire. Nie zdawał sobie sprawy, że krąg Logiar leży bliżej Alberinu, chociaż trzeba przepłynąć przez przesmyk Dismay. A ja w tamtej chwili leżałam w ramionach innego mężczyzny. Kapitan Gilvray uwielbia księżniczkę i tak jest lepiej, bo zdrada była obopólna. To się zdarzyło po balu...

- Andry i Dolvienne, uwolnijcie ją! - krzyknął urzędnik i Terikel upadła prosto w jego ręce. - Dobrze, dziękuję i przepraszam - powiedział, sadzając ją na krześle. - Popełniłem błąd, powinienem był pamiętać, że mówiłaś, iż powód był natury osobistej. Powinienem określić granice, których przekroczenie mogłoby cię poniżyć. Słyszysz już dużo gorzej. Uczony Selverisie, jakie jest twoje zdanie?

- Popełniłeś poważną gafę, uczony inkwizytorze. Kiedy przerwiesz zaklęcie prawdy, zostanie przyniesiony kozioł i pejcz i otrzymasz sto jeden uderzeń.

- Nie ma takiej potrzeby - wydyszała Terikel. - To raczej ja zasłużyłam na baty.

- Moim obowiązkiem jest unikanie takich błędów, pani. Kiedy jakiś popełnię,

dostają pouczenie, aby to się nie powtórzyło. Powinienem próbować dojść do prawdy związanej ze sprawami stanu, nie próbując cię złamać. - Malecniar zwrócił się do pozostałych.

- Pomyślcie o waszych najgłębszych i najnikczemniejszych sekretach i pomyślcie, że mogą je wyśledzić. Jeśli ktokolwiek z was chociażby mruknie jakieś okrutne lub złośliwe słowo o najwspanialszej i oddanej Terikel, kara kolejnych stu jeden batów będzie niewielką ceną za pomszczenie jej honoru.

- Widziałem, jak już to kiedyś zrobił - powiedział Selveris. Urzędnik odwrócił się do Terikel.

- Czy jest pani gotowa stanąć ponownie przed zakłębieniem prawdy?

- Tak - szepnęła i bez pomocy podeszła do Andry'ego i Dolvienne.

- Po co przyjechałaś do Alpenfast? - zapytał inkwizytor.

- Aby się dowiedzieć, w jaki sposób można zniszczyć Smoczy Mur - odparła ochryplym głosem.

- Dlaczego chcesz, aby został zniszczony?

- Ponieważ zbyt wielka ilość energii znalazła się w rękach głupich, okrutnych, chciwych lub ambitnych ludzi.

- Głupi, ambitny, chciwy, okrutny, sądzę, że możemy zaliczyć do tej grupy niemal każdego, kto chodzi po tym świecie. Osobiście sądzę, że Smoczy Mur jest przerażającą bronią podobną do Srebrzyśmierci, która spaliła Toreę. Różnica polega na tym, że Srebrzyśmierć pozostała po starożytnej, bardzo uzdolnionej kulturze i raz zniszczona nie może zostać odbudowana. Smoczy Mur może być odbudowany i znamy głównych mocodawców. Jak można go zniszczyć, najuczeńsza Terikel?

- Kiedy żołnierz spotyka się z wrogiem na polu walki, walczy, nawet jeśli wie, iż będzie musiał walczyć z pięćdziesięcioma kolejnymi. Walczy, mając nadzieję, że ostateczne zwycięstwo będzie po jego stronie. Mimo że mam niewielu sojuszników, wierzę, że ostateczne zwycięstwo należy do nas.

- Co cię interesuje w polityce cesarstwa sargolskiego?

- Nic. Nienawidzę go i chcę wracać do domu.

- Czego pragniesz od nas, alpenfastczyków?

- Przedstawienia mnie jednemu z trzech najstarszych szklanych smoków: Nauczycielowi, Egzaminatorce albo Sędziemu.

- Nic więcej?

- Nic więcej.

- Dziękuję, pani, możesz spocząć. Kiedy przyjdzie czas na moją karę chłosty, będzie pani mogła wymierzyć mi tyle batów, ile uzna pani za stosowne.

Terikel objęła inkwizytora i przytuliła.

- Nie ma potrzeby, abyś został ukarany za to, kim jestem.

- Nie za to zostanę ukarany - odparł Malecniar. - Kasztelanie, proszę ponownie podejść do zakłęcia prawdy. Proszę mi zaufać, nie będę panu zadawał żadnych osobistych pytań, o ile nie są powiązane ze sprawami politycznymi. Wystarczy mi sto jeden batów, nie marzę o większej karze. Aha, prezbiterko Terikel, zostanie pani przedstawiona najstarszemu szklanemu smokowi.

Emtellian wyglądał na zupełnie zrelaksowanego, gdy ponownie stanął pomiędzy Andrym i Dolvienne.

- Od jak dawna pan i Senterri planujecie ucieczkę?

- Od roku - powiedział kasztelan, zanim zdążył wpaść w panikę. Siedzącym wokół stołu aż zaparło dech z zaskoczenia.

- Proszę nam opowiedzieć o was.

- Nie ośmielisz się! - krzyknęła Senterri, podrywając się z krzesła.

- Proszę usiąść, wasza wysokość - powiedział urzędnik spokojnie. - Nie będę drugi raz prosił.

- Zrób, co mówi - rzekł Gilvray.

Księżniczka zrezygnowana usiadła.

- Senterri i ja spotkaliśmy się jakiś czas temu, kiedy przybyłem na dwór w Palionie, aby odnowić moje śluby wierności lennej cesarzowi - opowiadał Emtellian. - Poczuliśmy do siebie wzajemną skłonność, ale nie było szansy na to, by cesarz zaaprobował nasz związek. Ona wyruszyła do Diomedii w przebraniu, przypuszczalnie po to, aby wziąć lekcje tańca brzucha. Ja też tam pojechałem, przebrany za niewolnika. Chciałem ją porwać, a potem przewieźć przez pustynię w moje ojczyste góry. Miało wyglądać na to, że uratowałem ją z rąk handlarzy niewolników. Senterri by utrzymywała, że została zniewolona przez handlarzy, a ja - że pomściłem jej honor, zabijając ich. Zgodnie z zasadami ocaliłbym jej honor, żeniąc się z nią, ponieważ zabiłem tych, którzy ją zhańbili.

- Ale zanim pan to zrobił, porwali ją prawdziwi handlarze niewolników?

- Tak. Zawiodłem i wiecie, co jej się przydarzyło. Byłem zdruzgotany, kiedy poślubiła Cossereana. Planowałem wyzwanie go na pojedynek z jakiegoś wymyślnego powodu i miałem nadzieję, że go zabiję. Kocham ją...

- Dziękuję, to wystarczy, może pan odejść. Senterri, proszę ponownie się zbliżyć do zaklęcia prawdy.

Senterri podeszła buntowniczo, ale i ze strachem.

- Co pani czuje do kasztelana? - zapytał Malecniar.

- Kiedy nie przyjechał do Diomedy, tak jak to planowaliśmy, sądziłam, że...

- Nie mówi całej prawdy! - krzyknęła Dolvienne.

- Proszę spróbować odpowiedzieć jeszcze raz, wasza wysokość - powiedział inkwizytor.

- Przepraszam, Emtellianie. Nigdy nie tęskniłam za tobą, jestem głupia, próżna i zepsuta. Los sprawił, że zostałam naprawdę porwana, zanim ty zdołałeś przybyć do Diomedy. Kiedy Laron i jego demon mnie uratowali, byłeś bardzo daleko. To prawda, co powiedziała prezbiterka Terikel, jest coś niezwykle pociągającego w akcie zdrady. Po tym... nie mogłam do ciebie wrócić. Wtedy ojciec zaproponował, żebym wyszła za tego idiotę Cosserena. Zrobiłam to, żeby ukarać samą siebie. Hrabina Bellesarion przekazała mi twoją wiadomość na balu w Glasbury. Wtedy zaświtała mi nadzieja, że może jeszcze mamy przed sobą przyszłość.

- Dziękuję, wasza wysokość. Proszę państwa, z pewnością przyniesie wam ulgę informacja, że skończyłem. Zanim przyjmę karę za to, co zrobiłem Terikel, dam wam wszystkim możliwość skorzystania z zaklęcia prawdy.

- Uczony panie, dlaczego ja nie zostałem przesłuchany? - zapytał Laron.

- Potrafię rozpoznać niewinnego świadka, gdy zobaczę. Niewinnego w tej sprawie oczywiście. Możesz jednakże, jeśli chcesz, złożyć zeznanie, ale jeszcze nie teraz. Dolvienne będzie mówiła pierwsza.

- Nigdy więcej nie chcę widzieć na oczy księżniczki Senterri - powiedziała Dolvienne. - Kapitanie Gilvray, pogardzam nią za to, co panu zrobiła.

- Dziękuję. Zwiadowco Tennonner, co chciałby pan nam powiedzieć?

- Chciałbym, żeby Velandier wyzdrowiała. Jeśli ktoś z was może jej pomóc, proszę, niech to zrobi. I chciałbym, żeby moja prawdziwa miłość zmasała z siebie wstyd po tym, co wydarzyło się dzisiaj.

- Twoją prawdziwą miłością nie jest Velandier! - krzyknął Laron.

- Nie, jest nią...

- Stop! - krzyknął urzędnik. - Andry, utrzymaj jej imię w tajemnicy; to nie jest nasza sprawa. Terikel, podejdź tutaj i mów, jeśli chcesz.

- Moim jedynym życzeniem jest zniszczyć Smoczy Mur. - Terikel mówiła

spokojnym, pewnym głosem. - Niech szlag trafi was wszystkich, wasze romanse i intrygi. Świat zmierza do najniższych kręgów piekieł w ekspresowym tempie, a was to gównem obchodzi.

- Kapitanie Gilvray?

Gilvray podszedł powoli, jakby mocno o czymś rozmyślając.

- Pani Dolvienne, tydzień temu uratowałaś mi życie na polu bitwy. Jesteś odważna, pełna wdzięku, inteligentna, zaradna i piękna. Moje serce należy do ciebie na wieki, nieważne, czy coś do mnie czujesz, czy nie i przeklinam siebie samego za to, że dotąd się na tobie nie poznałem.

- Może pani odpowiedzieć.

- Kapitanie, czuję coś do ciebie od dnia, w którym wstąpiłeś do Straży Dróg - wyznała Dolvienne cicho.

- Kasztelanie, pana kolej.

- Laronie, za to, że sypiałeś z moją ukochaną, zabiję cię. Za to, że uratowałeś ją z rąk handlarzy niewolników, dam ci jeden dzień, nim zacznę cię ścigać. Senterri, masz moją miłość, o ile jej chcesz. Inkwizytorze, dziękuję panu. Kapitanie Gilvray, jest pan najlepszym dowódcą, z jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się walczyć. To wszystko.

- Laronie? - zapytał urzędnik.

Laron skłonił się zakłębieniu prawdy, zanim zaczął mówić.

- Uczona Terikel, dawno temu twój były kochanek Roval był moim najlepszym przyjacielem, moim jedynym przyjacielem. Mam nadzieję, że wrócę do Alberinu, ponieważ sądzę, że on będzie potrzebował przyjaciela, kiedy się dowie, co zrobiłaś. To wszystko, uczony inkwizytorze.

- Wasza wysokość, dzięki wam odwieka się moja chłosta - powiedział Malecniar. - Możesz mówić, jak długo chcesz.

- Żałuję, uczony inkwizytorze, ale mam niewiele do powiedzenia. Przyjmij wyrazy wdzięczności. Zmusiłeś mnie, bym w pół godziny dorosła. Dolvienne, Gilvray, skazuję was na śmierć za zdradę. Daję wam dzień, zanim wyślę za wami strażników. Kasztelanie Emtellian, moje serce należy do ciebie. Nie mam nic więcej do dodania.

- Zakłębienie prawdy ma dziwny urok - stwierdził inkwizytor. - Ludzie są tak ciekawi, jakie tajemnice skrywają inni, że robią się ślepi na własne sekrety. Pierwsze doświadczenie z zakłębieniem prawdy jest zazwyczaj dobrowolne. Drugie jest... bardzo rzadkie.

Kiedy przesłuchanie się zakończyło, Malecniar ponownie stanął u szczytu stołu

i złożył przed sobą dłonie.

- Nim zakłęcie prawdy się rozwieje, chciałbym was o coś poprosić. Ostatniej nocy dwie osoby z waszej grupy przyłapano w naszej bibliotece, gdyż swoją niezdarnością uruchomiły pilnującego autona. Czy pozwolicie mi je przesłuchać?

Wszyscy obecni się zgodzili. W rzeczywistości odczuli pewną ulgę, że to, co przed chwilą przeszli, spotka teraz kogoś innego. Dwóch kapłanów wprowadziło do komnaty Wilbara i Riellen. Po krótkich wyjaśnieniach, jak działa zakłęcie prawdy, postawiono przed nim Riellen.

- Dlaczego nas szpiegujecie? - zapytał inkwizytor z o wiele mniejszą dozą cierpliwości w głosie niż poprzednio.

- Zamierzamy wyzwolić wiedzę z oligarchicznych zakonów naukowych i oddać ją ludowi - odparła Riellen.

- Dla kogo pracujecie?

- Dla Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków.

- Kto poza tobą jest w tym... zespole?

- Wilbar i Maeben.

- Dlaczego Maebena nie było z wami?

- Stwierdził, że matka go nauczyła, by nie nadużywać gościnności gospodarzy i został w swoim pokoju. Powiedziałam mu, żeby przestał się wygłupiać z takimi górnośrednioklasowymi i dolnogórnoklasowymi poglądami na temat honoru, kiedy stawką jest prawo ludu do wiedzy, ale kazał mi się odpieprzyć i wyraził nadzieję, że zostaniemy złapani.

- Lud jest zbyt głupi, nawet żeby schronić się przed deszczem - powiedział Emtellian.

Wilbar przed zakłęciem upadł na kolana.

- Nie potrzebuję korzystać z zakłęcia prawdy! Żyję dla księżniczki Senterri i chcę dla niej umrzeć! - krzyknął. - Spojrzenie na nią zmieniło moje życie, wyrzekam się na zawsze rewolucyjnych intryg, nie miałem odwagi powiedzieć o tym Riellen i Maebenowi, ale teraz mówię całą prawdę i tylko prawdę i oświadczam, że uwielbiam nawet pył, po którym stąpa księżniczka...

- Wystarczy, proszę, odejdź! - krzyknął inkwizytor, wyciągając rękę nad jego głową.

- Wasza organizacja wygląda na wywrotową - zauważyła Senterri, patrząc spod oka na Riellen. - Jeśli kiedykolwiek przyłapię was poza granicą Alpenfast, zostaniecie

powieszeni za zdradę. Wilbarze, od tej chwili jesteś pod moją opieką i patronatem.

Urzędnik rozwiązał zakłęcie prawdy, a Dolvienne natychmiast wyrwała rękę z dłoni Andry'ego i opadła bezwładnie w ramiona kapitana Gilvraya. Senterri była już w ramionach Emtelliana. Terikel ścierała sobie z twarzy krew przy użyciu serwetki i mleka miętowego. Laron podszedł do Andry'ego.

- Czas wyruszać, chłopcze, chyba że chcesz się rozerwać oglądaniem chłosty.
- Więc tym zajmują się na dworze lepsi od nas? - wymamrotał Andry.
- Na to idą twoje podatki. Zapomniałem spytać, jak się czuje Vel.
- Odchodzi, ale już się pożegnaliśmy.
- Myślisz, że chciałaby porozmawiać ze mną, zanim znowu ucieknę?
- Chyba tak.



Laron uciekł później tego ranka z Riellen, Dolvienne i Gilvrayem. Maeben zdecydował, że ma powołanie do kapłaństwa i przyszedł do Andry'ego, aby oddać mu swoje ziemskie dobra przed złożeniem ślubów nowicjatu. Dobra obejmowały trochę szat, w które nikt by się nie wcisnął, kilka skradzionych książek, trochę srebrnych i miedzianych monet, koc i nóż.

- Słyszałem, że zwiadowcy zostaną wysłani w pościg za kapitanem Gilvrayem i panią Dolvienne - powiedział Maeben.

- Po to jesteśmy - odparł Andry. - Znajdą się w zasięgu naszego wzroku jeszcze przed końcem dnia, więc Straży Królewskiej i ludziom kasztelana będzie łatwo ich schwytać. Wydaje się, że obrali dziki, ale bezpośredni trakt do Logiar, więc i my tam pojedziemy.

- Sądziłem, że lubiłeś kapitana.
- To prawda, ale jestem żołnierzem, a Senterri jest moją najwyższą przełożoną.
- Andry, słyszałem też, że Terikel wyrusza ze zwiadowcami.

- Tak i Wallas też. Senterri opowiedziała mu, co przytrafiło się inkwizytorowi, a potem obiecała posadę pałacowego kucharza. Wallas z niecierpliwością czeka, kiedy będzie mógł urządzić ucztę z okazji jej przyjazdu do Logiar. Maebenie, muszę iść do zwiadowców, ponieważ w południe wyjeżdżamy. Dbaj o Velander.

- Obiecuję. A ty dbaj o siebie, Andry.

Rozdział 7

Smoczy strach

Drugiego dnia po opuszczeniu Alpenfast zwiadowcy zaczęli widywać dziwne, okrągłe szkliste kałuże, wokół których rozrzucone były kości.

- Szklane smoki w okolicy - oznajmił Essen, zsiadając z konia, aby podnieść piękny, kosztowny topór, który ciągle trzymała szkieletowa ręka wystająca ze szklistej kałuży.

- Jak dotąd ich nie zauważyłem - odparł Andry, przyjmując od niego broń.

Przekroczyli brodem szeroką, choć płytką rzekę, potem przez jakiś czas jechali wzdłuż jej brzegu. Szlak wił się przez płaską, trawiastą równinę między górami.

Essen jechał przy Andrym, który powoli opowiadał mu całą historię związaną z zakłębieniem prawdy. Przekazywał mu także zasady dobrego wychowania, których nauczył się od Larona i Wallasa.

- Nie pomył sztywności z dostojnością, kiedy spotkasz kogoś po raz pierwszy. Sztywny może być każdy, jak choćby Wallas. Dostojności trzeba się nauczyć.

- Od kiedy to ja jestem sztywny?! - krzyknął Wallas z wozu.

- Od czasu ostatniej kobiety, która nie dała ci w twarz, gdy lubieżnie na nią spojrzalesz - rzekł Essen.

Wszyscy poza Terikel i Wallasem ryknęli śmiechem. Andry kontynuował lekcję.

- Naprawdę dystyngowani ludzie nie muszą niczego udowadniać, a wytworne manieri przychodzą im bez trudu.

- Dystyngowani nie przechwalają się? - zapytał Essen.

- Laron powiedział, że przechwałki nie dodają człowiekowi żadnej wartości. Zaufanie i niewymuszone maniery powiedzą ludziom więcej niż godzina gadania na swój temat.

- No to o czym gadać?

- Przede wszystkim o osobie, z którą rozmawiasz. Spraw, by czuła się ważna.

Z oddali doleciało bicie dzwonu. Był to niski, dźwięczny odgłos odbijający się echem po górach.

- Co to za dźwięk? - zapytał Andry.

- Wielki dzwon - odparł Essen.

- Ale co oznacza?

- Ten dzwon obwieszcza, że w Alpenfast ktoś zmarł - powiedziała z rozpaczą siedząca na wozie Terikel.

- Velander od dawna była na skraju śmierci. Skąd mogą mieć pewność, że naprawdę odeszła?

- Mają większe kwalifikacje niż my, by to osądzić, Andry. Pozwól jej odejść, ale kochaj wspomnienie o niej.



Późnym popołudniem Terikel poprosiła o postój. Znajdowali się na małej, porośniętej trawą łączce, a droga zwężała się zaledwie na szerokość wozu i znikwała w górach przed nimi. Terikel powiedziała, że nazywają się Taloncrag. Po drugiej stronie drogi była przepaść, której głębokość Essen oceniał na co najmniej kilometr.

- Costiger, Danol, sprawdźcie u podnóża gór, czy nie zaczaili się bandyci - rozkazał Essen. - Zostańcie tam, dopóki nie przejedziemy, a my zaczekamy z waszymi końmi po drugiej stronie. Pani, ile czasu pani potrzebuje?

- Dwa dni.

- Dwa dni?! Nie mogę pani dać więcej niż noc.

- Zdołam odnaleźć drogę powrotną do Alpenfast sama, ale mam jedną prośbę. Czy mógłby pan zwolnić Andry'ego, żeby zagrał kilka melodii? To bardzo ważne.

Essen zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Andry, Danol i ja potrafimy grać, lecz jesteśmy zwiadowcami i otrzymaliśmy rozkaz ścigania kapitana i jego damy.

- Czy dobrze słyszałem, że ktoś mówił o muzyce? - zapytał Wallas. - Tak się przypadkiem złożyło, że mam przy sobie lirę i nie jestem zwiadowcą.

- Zgoda, ale zakneblujcie mu gębę, żeby nie śpiewał ballad! - Essen się

roześmiał. - Więc dobrze, pani, ale wóz pojedzie z nami, ponieważ jest łakomym kąskiem dla bandytów. Zostawię wam dwa konie, dla pani i Wallasa. Wallasie, wypiszę ci przepustkę, ale kiedy przestaniesz być pani potrzebny, masz dołączyć do nas.

- Och, to się rozumie, panie sierzancie - rzekł Wallas z ukłonem.



Przywiązawszy konie, tak aby nie rzucały się w oczy, zwiadowcy ruszyli zwięzającą się drogą otaczającą góry. Zbliżał się wieczór. Terikel poprosiła Wallasa, by rozpałił ognisko i poczekał na nią. Byli powyżej linii lasu i mieli do dyspozycji niewiele opału poza chrustem i drobnymi gałązkami.

- Czy mam zagrać jakąś melodię lub pieśń, uczona Terikel? - zapytał Wallas, sięgając po lirę.

- Jeszcze nie teraz - odparła Terikel, dorzucając gałązek do ogniska. - Dam znać, kiedy przyjdzie właściwa pora.

- Ach, zawsze jest właściwa pora na muzykę! Sztuką jest wybieranie właściwej pory na konkretną muzykę. Choćby ta sytuacja. Siedzimy sami w tej głuszy. Jaki czas czy miejsce byłyby lepsze, aby zagrać romantyczną pieśń miłosną?

- Wallasie, kiedy będę potrzebowała muzyki, powiem ci. Koniec tematu.

- Ale...

- Kiedy będę potrzebowała muzyki, powiem ci!

- A co z moją zapłatą?

- Zapłatą?

- Zadałem sobie sporo trudu, aby zapewnić ci muzykę. Dlaczego miałbym jechać sam, gonić swoich towarzyszy? Przecież masz na mnie ochotę. Oboje wiemy, co to znaczy, oczywiście.

- Oczywiście?

- Cóż, dobrowolnie zgłosiłem się na ochotnika do tego niebezpiecznego przedsięwzięcia, ponieważ sądziłem, że chcesz się ze mną przespać, aby znowu poczuć intensywną rozkosz zdrady. Natychmiast to zrozumiałem, mam otwarty umysł i...

- Wallasie, potrzebuję melodii jako części... sygnału. Ja nie potrafię grać na żadnym instrumencie. Bez ciebie jestem zgubiona.

- Och, więc ma pani problem. Z czystej galanterii mogę tu zostać do rana, aby pomóc ci przetrwać nocne niebezpieczeństwa, ale muszę dostać zapłatę, wynagrodzenie dla barda i takie tam.

Uśmiechnął się porozumiewawczo. Terikel przyłożyła dłonie do czoła, zamknęła oczy i przez chwilę się zastanawiała.

- Dobrze więc, Wallasie, ale to nie będzie miało nic wspólnego z rozkoszą zdrady. Potrzebuję wyłącznie melodii, losy świata zależą od tej melodii i dostanę tę melodię. Wszystko, co do ciebie czuję, to łagodna... nie, wielka odraza, ale jestem też pełna odrazy do siebie samej, więc jest mi wszystko jedno. Chodź, chcę to mieć za sobą, odrób swoją plugawą pańszczyznę.

- Pani, pani! - wykrzyknął Wallas, machając lirą. - To nigdy nie jest pańszczyzna, przyrzekam ci...

Wystrzelony z kuszy bełt wyrwał mu z ręki instrument z głośnym hukiem. Wallas wrzasnął i podniósł ręce do góry. Terikel miała podciągniętą tunikę i sięgała właśnie do sznurówek swoich jeździeckich spodni, w tej pozycji zastygła.

- Pomyślałem, że możesz potrzebować mężczyzny, aby stał na straży, pani - rozległ się głos Andry'ego. - Nie jest to umiejętność, z której słynąłby Wallas. Z talentu muzycznego również, więc przywiozłem mój rebek i będę grał za darmo.

- Andry? - drżącym głosem zapytał Wallas, powoli opuszczając ręce.

- To ja.

- Nie możesz być tutaj!

- Ale jestem.

- Jesteś zwiadowcą. Dostałeś rozkaz ścigania Gilvraya i Dolvienne.

- Zdezzerterowałem.

- Co takiego?! Jesteś zazdrosny!

- Pani, jestem tu, aby grać i aby cię strzec - powiedział Andry. - Jeśli chcesz trochę zabawić się z Wallasem, mogę zapewnić wam nieco prywatności.

- Wolałabym raczej pocałować ślimaka! - warknęła Terikel, opuszczając tunikę.

- Ja... tylko chciałem uczciwej zapłaty i... sądziłem, że prezbiterka szukała...

Zamilkł, bo przesunął się nad nimi wielki cień. Leczące w górze stworzenie przechyliło się, zawróciło, zmierzyło ich uważnymi, błyszczącymi oczami, mimo że było o trzysta metrów nad nimi.

- Smok! - kwiknął Wallas.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem - zareplikował Andry, także ze sporą dozą niepokoju w głosie.

- Teraz potrzebuję muzyki! - powiedziała Terikel.

- On zniszczył moją lirę! - załkał Wallas.

- Szczęśliwy strzał - rzekł Andry, biorąc do ręki rebek. - Zacznę od „Smoków Alberinu”.

- W Alberinie nie ma żadnych smoków - stwierdził Wallas wciąż wpatrzony w niebo.

- Są. Kamienne, na bramach miejskich - wyjaśnił Andry, rozglądając się, czy nie nadchodzą jacyś ludzie.

- Mówią, że ich oddech jest gorętszy od rozżarzonej do białości stali. Mówią, że ich skrzydła mają sześćdziesiąt metrów rozpiętości.

- Mówią, że potrafią mówić - dodał Andry. - I że są mądrzejsze od nas.

- Kimkolwiek są ci oni, są dobrze poinformowani - powiedziała Terikel. - To wszystko prawda.

Po zatoczeniu kilku kół smok sfrunął na krawędź skały, pod którą się schronili. Posiedział tam chwilę, a potem zniknął.

- Prosiłam, żebyś zaczął grać, Andry - przypomniała Terikel.

- To go upewni, że nie mamy wrogich zamiarów.

- Ja też będę grał - zdecydował Wallas, podnosząc lirę z trawy.

- Popatrz tylko! Zniszczona! Bełt rozbił ramę.

- Fortuna kierowała moją ręką - uznał Andry i zaczął grać.

- Pięknie grasz, Andry - powiedziała Terikel. - Jeśli smok nie spali nas na popiół, może będziesz znany jako zaklinacz smoków.

- Zaklinacz smoków? - sapnął Wallas. - Gdybym miał instrument, na którym mógłbym zagrać, ja także zdobyłbym sławę zaklinacza smoków?

- Dotknij mojego rebeku, a utnę ci jaja i rzucę smokowi na pożarcie - zagroził Andry, nie przerywając gry.

Terikel wskazała coś nad ich głowami. Smok wrócił.

- To było zaproszenie do rozmowy. Taki kod. Krążenie, odpoczynek na skale, potem patrzenie w dół na nas, gdy gra muzyka.

- Wielki drań - westchnął Andry. - Ta półka skalna musi być ze trzysta metrów nad nami.

- Smoki nigdy niczego ludziom nie ułatwiają - powiedziała Terikel.

- Czyli musimy się wspinać? - jęknął Wallas.

- Tak. Mamy nad sobą smoka, który chce rozmawiać. Musimy się tam wspinać.

- Czy smok poczuje się urażony, jeśli niektórzy z nas pojedą konno? - zapytał Wallas.

- Słyszał naszą muzykę i wie, że chcemy się z nim spotkać. Jeśli zobaczy, że ktoś odjeżdża, potraktuje to jako obrazę.

- Mimo to jadę!

Andry musiał go ściągnąć z konia i zostawić związanego na ziemi. Wallas wrzeszczał, miotał przekleństwa i błagał. Andry znowu zaczął grać.

- Smokowi podoba się twoja muzyka - powiedziała Terikel, zbierając swoje rzeczy do tobołka.

- Skąd wiesz?

- Wciąż żyjemy mimo okazywanego przez Wallasa braku szacunku. Chodź, czas rozpocząć wspinaczkę. Co kilka minut będziemy robić przystanki i grać.

Andry przeciął Wallasowi więzy, potem ruszył za Terikel, która odszukała ścieżkę biegnącą w górę zbocza. To dało Wallasowi chwilę, aby zdecydować, że niedobrze byłoby zostać samemu. Problemem stał się wybór towarzystwa. Uczona prezbiterka najwyraźniej wiedziała, jak postępować ze szklanymi smokami, ale zwiadowcy mieli tę zaletę, że byli daleko stąd.

- Terikel powiedziała mi, że rzuciła zaklęcie na końskie uzdy - rzucił Andry przez ramię. - Dotkniesz którejś, a twoja ręka spłonie.



Jakiś czas po zachodzie słońca Terikel zezwoliła na krótki odpoczynek. Wallas rozważał, czy w próbie ucieczki byłoby coś złego, ale doszedł do wniosku, że smok potrafi latać szybciej, niż biegają ich konie. Terikel usiadła w pewnym oddaleniu, medytując i wytwarzając wokół głowy grupę pól eterycznych.

- Co za paskudztwo - zrzędził Wallas, jedząc drewnianą łyżką kolację, na którą złożyły się pokruszone orzechy, suszone owoce i woda.

- Szkoda, że nie jest ciepłe - odparł Andry. - Kiedy pływałem po morzu...

- ...Całe jedzenie było przesiąknięte zimną słoną wodą. Właściwie to nie pogardziłbym odrobiną soli.

Jedli w milczeniu. Terikel siedziała z boku, bez ruchu. Andry podniósł rebek i zaczął grać.

- Popatrz w niebo! - rzekł Andry, nie przerywając grania.

- Wiem, tam jest Smoczy Mur.

- Ale połowa nieba stoi w światłach!

Wallas dał się namówić i spojrział w górę. Smoczy Mur nie świecił już ponad ich głowami, przesunął się nieco na zachód.

- No i co?

- Tego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Zastanawiam się, do czego służy tak naprawdę.

- Gdybym to wiedział, mógłbym zostać ważnym czarodziejem.

- Ale nie zaprzątasz sobie tym głowy zbyttnio?

- Andry, czasem myślę, że odzywasz się tylko po to, by usłyszeć brzmienie swojego głosu.

Wallas owinał się kocem, poszedł pod skalny nawis, położył się i odwrócił plecami. Andry przestroił rebek i zagrał jeszcze kilka melodii, aby upewnić smoka, że ciągle są tutaj i mają przyjazne zamiary. Terikel zakończyła medytację, podeszła do Andry'ego. Przez kilka chwil bawiła się swoimi włosami, splatając je w małe warkoczyki. Wreszcie się odezwała:

- To nie jest dobry moment, Andry, ale chodzi o Wallasa...

- Tak?

- Należą ci się moje podziękowania. I wyjaśnienia.

- Nie trzeba, pani.

- Proszę! Graj dalej, nie chciałabym, żeby Wallas mnie podsłuchiwał, jeśli się przypadkiem obudzi. Dziesięć lat temu byłam piękną młodą kapłanką, świeżo przyjętą do zakonu. Uzyskałam najwyższe oceny z teorii zaklęć i praktycznego ich rzucania w całej historii zakonu metrologańskiego. Jednakże ówczesna prezbiterka chciała zdobyć zaufanie pewnego hrabiego. Nie był szczególnie czarujący ani przystojny, lecz należał do grona osób, którym powierzano liczne sekrety. Dostałam polecenie... bycia miłą dla niego, polecenie od samej prezbiterki.

Andry westchnął. Nie chciał tego słuchać.

- Wolę dobrą, uczciwą walkę, pani.

- Jeśli zadajesz się ze świniami, zaczynasz śmierdzieć świńskim gównem, Andry. Odnosiłam sukcesy w tej nikczemnej małej walce. Prezbiterka była tak zadowolona, że zaczęła posyłać mnie do łóżek kolejnych sługusów coraz to innych frakcji, którzy sami nic nie znaczyli, ale znali różne ważne sekrety. Ze dwadzieścia uwiedzeń później zauważyłam, że pociągają mnie tragiczni faceci, a podnieca zdrada. Wtedy zaprzyjaźniłam się z pełną ideałów młodą studentką Velandera. Nazywała mnie nawet swoją siostrzaną duszą i był to największy osobisty zaszczyt, jaki mógł kogoś spotkać w zakonie metrologanek. Tej nocy, gdy Velandera miała zakończyć rytuał wstąpienia do zakonu, a ja miałam jej towarzyszyć w całonocnym czuwaniu,

prezbiterka rozkazała mi uwieść pewnego mężczyznę. Bardziej potwora niż człowieka, ale zrobiłam to. Poczucie winy i rozkosz miotały mną jak wiatr suchym liściem.

Andry grał teraz melodię pełną pasaży i tryli, która doskonale zagłuszała jej słowa przed niepowołanymi uszami.

- Senterri powtórzyła Wallasowi, co powiedziałaś, trzymając zakłęcie prawdy - powiedział. - Wallas chwalił się tym przede mną. Uważam, że dlatego przedstawił ci dzisiaj taką propozycję.

- Ten człowiek jest wstrętną ropuchą, ale uniosłam przed nim tunikę, zanim się zjawił. Zmusił mnie do uległości. To boli.

- Chyba nie tak bardzo! - roześmiał się Andry. - Znam Wallasa, nie zadowoliliby się niczym mniej niż... konsumpcją...

- Mówi się „skonsumowaniem”.

- No tak. Mam na myśli to, że cokolwiek innego odczuwałby jak porażkę. Nie wygrałabyś z nim.

Terikel rozpuściła włosy, potem skuliła się i otoczyła rękami kolana.

- Andry, Velandar mnie znienawidziła za to, co jej zrobiłam, ale kiedy nauczyła się, że świat potrafi być okrutny, wybaczyła mi. Jestem ci bardzo wdzięczna, Andry, ale nie chcę cię ranić...

- Ani słowa więcej, pani - rzekł krótko. - Spotkałem zbyt wiele kobiet, które mówiły, że chcą mnie chronić. Byłaś gotowa położyć się z Wallasem, nawet gdyby nie chciał nic za muzykę, ale nie ze mną. Owszem, nie mam wykształcenia, lecz nie jestem głupi. Kobiety myślą, że jestem zabawką i zachowują swoje miłe słówka dla innych. Kochałem Velandar, bo poprosiła mnie o pomoc. Poprosiła mnie, niechlujnego Andry'ego z bukłakiem wina w jednej i kradzionym rebekiem w drugiej ręce. A inną pokochałem, bo ona... Ale nie, nie chcę o tym mówić. Teraz pójdę spać, bo jutro szykuje się ciężki dzień.

Prezbiterka zadrżała. Ciemne łzy potoczyły się po jej policzkach. Andry natychmiast przestał grać.

- Pani! Twoje łzy znowu są krwawe.

- Zakłęcie prawdy pokaleczyło mnie wewnątrz, kiedy mu się opierałam, to wszystko. Andry, teraz cię zostawię samego. Idę do Wallasa spełnić jego plugawe żądanie, aby był jutro moim grajkiem.

Andry wzruszył ramionami.

- Jak pani chce. Velandar prosiła, abym pani strzegł, ale jeśli ma pani inne

plany, będę trzymał się z daleka. Proszę jednak pamiętać, ja gram za darmo.

- Jesteś także prawiczkim, Andry. Szklany smok pożre cię, bo lubi subtelną siłę życiową jak twoja. Wallas będzie bezpieczny. To właśnie próbowałam ci powiedzieć przed chwilą.

- I to wszystko? - Andry się roześmiał. - Więc niech pani zostawi tę wstrętą ropuchę, tam gdzie leży. Będę grał dla smoka, a jeśli mnie zaatakuje, będę z nim walczył.

- Zginiesz! - krzyknęła Terikel.

- Być może. Kogo to obchodzi? Spotkałem już kiedyś przewoźniczkę. Niezła laska.

Znowu zaczął grać. Terikel wciąż siedziała skulona. Ciemne łzy spływały jej po twarzy i plamiły suknię. Powoli wyprostowała się, przeciągnęła, potem wyszeptła zakłęcie i zaczęła formować je w złożonych dłoniach. Andry spodziewał się czegoś złego, paskudnego i niebezpiecznego, więc był mile zaskoczony, gdy się okazało, że zakłęcie wygląda niegroźnie. Czarodziejka wstała i popatrzyła z góry na Andry'ego, trzymając zakłęcie w dłoniach.

- Muszę pójść na chwilę do Wallasa - oznajmiła.

Jak ten facet to robi? - zapytał sam siebie Andry. Ona go nienawidzi, ale mimo to woli raczej kochać się z nim niż dać mi chociaż całusa.

Terikel mocno kopnęła Wallasa w tyłek. Wallas kwiknął i spróbował usiąść, ale rąbnął głową w nawis skalny.

- Chciałam, żebyś to widział - powiedziała do niego Terikel i zaczęła wyciągać promienie z trzymanego w dłoni zakłęcia, wciskała je w skałę ponad i obok Wallasa. Wzór zaczynał przypominać wielką pajęczynę.

- Co robisz? - zapytał Wallas podejrzliwie.

- Jak tylko to skończę - szepnęła - mam szczerą nadzieję, że Andry i ja zrobimy użytek z naszych pierwszorzędowych cech płciowych, przy odrobinie szczęścia poświęcimy też nieco uwagi cechom drugorzędowym. Nie potrzebuję widowni. Weź sobie do serca moją radę i nie dotykaj tej sieci.

Wypuściła zakłęcie i rozciągała włókna od jednego brzegu skały do drugiego, zamykając w ten sposób wejście do małej jaskini, w której uwięziła Wallasa. Zakłęcie samo tknęło sieć, aż uformowało nieprzejrzystą tkaninę. Terikel wróciła do Andry'ego, który już dawno przestał grać.

- Co z nim zrobiłaś? - zapytał.

- To zaklęcie zazwyczaj powstrzymuje różne paskudne stwory przed wtargnięciem do obozu. W tym wypadku zatrzymuje paskudnego stwora w obozie.

- Mam nadzieję, że nie zachce mu się sikać.

Terikel uklękła, odebrała Andry'emu smyczek i rebek. Położyła je ostrożnie na marnej górskiej trawie.

- Andry, poniżyłam pewnego wstrętnego typu, który bardzo mnie pożąda - powiedziała. - Proszę, bądź jutro moim grajkiem.

Andry uśmiechnął się, podciągnął kolana pod brodę i je objął, tak jak Terikel kilka minut wcześniej.

- Będę zaszczycony.

Nagle od strony jaskini Wallasa doleciał wrzask bólu.

- Ktoś dotknął zaklęcia - domyśliła się Terikel. Popatrzyła na Andry'ego oczami, w których była noc. - Nie chcę, żebyś jutro zginął - szepnęła. - Wiesz, co to oznacza, co musimy zrobić.

Uśmiechnęła się słodko i poświęciła Andry'emu dużo uwagi.

- To bardzo krępujące - powiedział Andry. - Los stroi sobie ze mnie żarty.

Nagle Terikel się odwróciła.

- Zapomniałam, że w Alpenfast zobaczyłeś mnie z najgorszej strony. Muszę budzić w tobie odrazę, rozumiem.

- Nie, nie tak...

- Szkoda, bo... cóż, kiedy ponownie wkroczyłeś w moje życie w wiosce Harrgh, byłam szczęśliwa. Tak się zmieniłeś! Jesteś jak Laron, tylko dużo młodszy i świeższy. Postanowiłam przespać się z tobą. Masz dziewiętnaście lat. Ja miałam dziewiętnaście lat, kiedy prezbiterka kazała mi się zhańbić po raz pierwszy. Przy tobie, myślałam, będę mogła udawać, że znowu jestem młoda i niewinna, ale za długo zwlekałam. Kiedy zbliżyłeś się do Velandar, wiedziałam, że Los chce mnie ukarać za moją przeszłość. Niewinność nie była mi pisana.

- Co ty mówisz! - krzyknął Andry.

- O tak, jesteś naprawdę cudowny i nic nie może zabić twojej niewinności. Wszyscy moi kochankowi byli okropni. Dobrze, Roval nie był okropny, ale kochałam go bardziej jak matka, jak kwoka. Byłam zbyt nieśmiała, żeby się do ciebie zbliżyć, przecież jestem starsza. Nie uśmiechasz się, ale może litujesz się nade mną. To jeszcze gorsze. Rozumiesz?

Andry wziął ją za rękę.

- Tak, rozumiem. Kocham wielką damę, ale wciąż się obawiałem, że okaże się taka jak inne i pośle mnie do diabła w uprzejmych, dyplomatycznych słowach. Wolałem żyć nadzieją i nie mieć nic niż zostać odprawiony. Przy zakłęciu prawdy omal nie wypowiedziałem imienia mojej miłości, pamiętasz? To imię brzmi: Terikel.

- Chcesz powiedzieć, że podróżowaliśmy przez połowę Acremy, marząc o sobie nawzajem i nie było nic, co mogłoby nam przeszkodzić aż do Glasbury?! - krzyknęła Terikel.

- No tak.

Terikel puściła jego rękę i zaczęła masować sobie skronie.

- Pewnego dnia chciałabym zostać boginią.

- Dlaczego, pani?

- Ponieważ chcę skrócić Przeznaczeniu jego wredny kark za to, co nam zrobiło!

Objęła Andry'ego i siedzieli, dotykając się czołami, w pomarańczowym blasku, a potem upadli na posłanie i zaczęli się rozbierać. W pobliżu rozległ się stłumiony wrzask, kiedy Wallas ponownie dotknął więżącego go zakłęcia.



Andry obudził się po ostatniej z wielu ważnych lekcji, które dała mu Terikel. Zdał sobie sprawę, że ludziom, którzy śpią razem, jest o wiele cieplej, niż gdy śpią oddzielnie. Leżał, trzymając ją w ramionach, dopóki się nie przebudziła.

- Więc teraz już wiesz - szepnęła.

- Obywanie się bez tego będzie jeszcze gorsze - westchnął.

- Subtelny, ale wielki komplement. Dziękuję. Uszczęśliwiłeś mnie, dałeś mi siłę przed podjęciem kilku trudnych decyzji. Zmierzę się z nimi przez wzgląd na ludzi takich jak ty, dobrych, troskliwych. No, ubierajmy się, a potem kopniemy Wallasa.

Kiedy już byli ubrali, Terikel przykucnęła przed nawisem skalnym, pod którym uwięziła Wallasa. Wbiła palce w sieć zakłęcia pieczętującego wyjście. Zniknęło z cichym pyknięciem. Kopniakiem w zadek obudziła Wallasa.

- Wstawaj, próżniaku! Czas kontynuować wspinaczkę.

- Tak, mam, ja zaraz... gdzie, co... Już jest rano! - krzyknął Wallas.

- Przez tę noc uczyniłam Andry'ego nieapetycznym dla smoków. Jak również uwięziłam ciebie tutaj, czyli możesz czuć się naprawdę poniżony.

- Jest bardzo taktowna w tej kwestii - dodał Andry.

Wallas próbował udawać pogardę, ale wyglądał jedynie na zdenerwowanego i nieco załamane.

- Wkrótce będzie mgła - oznajmiła Terikel, podnosząc swój plecak. - To sprawka czarów smoka. Musimy ruszać.

- A co ze śniadaniem? - zaprotestował Wallas.

- Zapomnij o śniadaniu - poradził mu Andry. - Kobiety wolą szczupłych, uwierz mi.

Już po kilku minutach od rozpoczęcia wspinaczki opadła na nich gęsta mgła. Słońce zniknęło, zrobiło się bardzo zimno.

- Zatrzymamy się i zagrasz dla smoka - powiedziała Terikel. Andry zagrał reela i poszli dalej. Wkrótce mgła tak zgęstniała, że Wallas z trudem mógł dostrzec swoją dłoń trzymaną tuż przed twarzą.

- Jest zimno - rzekł, mając nadzieję, że usłyszy jakąś odpowiedź i upewni się, że pozostali go nie opuścili.

- I trudno oddychać - dodał Andry.

- Mnie również. Na dużej wysokości powietrze jest rozrzedzone, to utrudnia oddychanie.

- Nie wierzę!

- Uważasz, że gadam głupstwa?

- Nie, ale pod wodą nie możesz oddychać i w górach nie możesz oddychać... Interesujące. Nie mogę się doczekać, aby opowiedzieć o tym chłopakom w Bargeyards.

- Zauważyłeś jeszcze coś?

- Co?

- Tu jest echo, jak w jaskini.

- To musi być bardzo duża jaskinia.

- Tak, jesteśmy w jaskini - powiedziała Terikel. - Ograniczcie paplanie do minimum.

Mgła wokół nich ciemniała. Nagle rozjaśnił ją niebieski blask. Terikel wypowiedziała zaklęcie i stworzyła małą kulę światła, która kołysała się tuż nad jej głową. Teraz mgła zaczęła rzednąć. Na pobliskiej skalnej ścianie zobaczyli namalowanego węzowatego potwora z wielkimi skrzydłami.

- Smok! - sapnął Wallas.

- He, masz smak? - zażartował Andry, stukając Wallasa smyczkiem w żołądek. - Chwytasz?

- Smok! Magiczne zwierzę zionące ogniem, pożerające ludzi. Nie nauczyłeś się

niczego w szkole w Alberinie? Co miała znaczyć ta aluzja?

- Czy możecie obaj się zamknąć? - warknęła Terikel. - Andry, idź powoli i nie przestawaj grać.

Szli za nią w głąb wielkiej jaskini. Najwidoczniej była niegdyś miejscem kultu. Podłogę pod stopami, całkiem płaską, pokrywały kolorowe wzory. Pod ściany zepchnięto szczątki starożytnych kolumn i posągów. Spod gruzów świeciły oczy jakichś stworzeń. Jedyne nienaruszone posągi przedstawiały trzy wielkie jaszczurki ze skrzydłami, siedzące na ogonach. Wyrzeźbiono je z jasnoniebieskiego szkła, tylko oczy były ciemne i patrzyły pusto. Delikatny blask wydobywał ich zarys z ciemności, a Andry zauważył, że krawędź każdego stawu i każdej łuski była podkreślona linią tak białą, aż jarzyła się w mroku. Potwory przypominały posągi z czarnego kamienia, które strzegły jednej z bram miejskich w Alberinie, ale tamte były raptem wielkości konia. Głowy tych posągów sięgały połowy wysokości jaskini, a szponiaste zakończenia zwiniętych skrzydeł dosięgały niemal sklepienia. Na ścianie za nimi była wyryta inskrypcja. Andry uświadomił sobie, że może dostrzec starożytne litery przez szklane posągi.

- To smoki - powiedział Wallas. - Prawdziwe nie są tak wielkie jak te i nie świecą.

- Zauważyłeś to? - zapytał Andry.

- Co?

- Posąg po lewej właśnie poruszył ogonem.

Przed nimi Terikel właśnie się zatrzymała i aktywowała zaklęcie. W powietrzu zmaterializowała się głowa i ramiona alpenfastskiego kapłana, który wyrecytował wiadomość w imieniu Terikel. Pod koniec jego obraz zaczął migotać. Prezbiterka metrologanek skłoniła się nisko każdemu z trzech olbrzymich posągów. Oczy środkowego zapłonęły niebiesko-białym światłem, potem gwałtownie zamrugały.

- To jest żywe! - wydusił z siebie Wallas cienkim, zduszonym głosem, co najmniej dwie oktawy wyższym niż zwykle.

Andry chciał stać się niewidzialny dla szklanych smoków. Obawiał się, co to będzie, jeśli któryś zdecyduje się na spacer lub zionięcie ogniem. Środkowy smok otworzył paszczę, a gdy chrząknął, co zabrzmiało jak odgłos dalekiego gromu, spomiędzy jego kłów buchnęło niebieskawe światło.

- Założę się, że niedawno jadł curry - pisnął Andry dziwnie wysokim głosem.

- Jestem zaszczyczona, mogąc cię spotkać, Nauczycielu - powiedziała Terikel po

diomedańsku, kłaniając się środkowemu smokowi. Potem ukloniła się pozostałym dwóm. - I Sędziego i Egzaminatorkę.

Smok znowu poruszył szczękami i znowu huk wypełnił jaskinię.

- Dwaj ludzie za mną to także śmiertelnicy - wyjaśniła Terikel.

Andry zdał sobie sprawę, że olbrzymi smok, złożony z niebieskiej nicości, przemówił. Postanowił bardziej uważać, co sam powie, gdy następnym razem otworzy usta.

- Ten chudzielec koło mnie jest moim muzykantom i wojownikiem - przedstawiała ich Terikel. - Ten drugi to mój kucharz. Obaj mają dobre maniery.

- Muzykantom i wojownikiem? - zapytał smok głosem grzęjącym jak grom.

- Tak. Jest człowiekiem lojalnym i godnym zaufania. Smok pochylił się z wolna, obejrzał Andry'ego i Wallasa.

- Nie jestem prawiczkim! - kwiknął Wallas.

- Ani ja... to znaczy ja też nie od ostatniej nocy - wybelkotał Andry.

- Ty sprośny chłystku! - warknął Wallas. Nagle przypomniał sobie męczarnie, jakie przeszedł ostatniej nocy, a zapomniał o smoku. - Ale ja robię to częściej.

- Tak i czasami nawet z kimś - odparował Andry, zirytowany tym, że Wallas nagle zwalczył strach przed smokiem.

- To było tanie i prymitywne! Akurat wiem, że robiłeś to tylko raz.

- Nie, pięć razy i... Och! Przepraszam, pani.

Terikel zakrywała oczy dłońmi i kręciła głową. Smok wyburczał do niej kilka słów, niezrozumiałych dla Andry'ego.

- To nie wygląda zbyt obiecująco - odparła Terikel. Smok powiedział coś jeszcze.

- Nie zauważyłam, ale ja żyję dopiero od trzydziestu lat. Rozległ się grzmot, najwyraźniej pytanie.

- Mam na myśli to, że ty studiowałaś nauki eteru przez wiele tysięcy i rozwinęłaś umiejętności, o których ja nawet nie słyszałam.

Kolejny grzmot także zakończył się tonem pytającym.

- Smoki mają pewne wspólne zainteresowania z metrologankami. Jestem prezbiterką zakonu metrologańskiego.

- Nie ma już metrologanek.

Andry w szybkim tempie rozwijał umiejętność wyławiania słów z grzmotów, które wydawała olbrzymia istota.

- Kilka z nas było poza Toreą, kiedy uległa zniszczeniu - odparła Terikel. - Odbudowałyśmy nasz zakon w Alberinie i mamy misje w Sargolu.

- Wielu z nas zginęło na Torei - powiedziała Egzaminatorka. - Tę katastrofę spowodowali ludzie. Teraz znowu ludzie wmieszali się w moce, których potęgę ledwo rozumieją. Gdyby Smoczy Mur był skuteczną maszyną do kształtowania wiatrów i rządzenia deszczami, szklane smoki zbudowałyby ją już dawno.

- Dlatego tutaj jestem - odparła Terikel.

- Nie zdradzimy ci żadnych sekretów machin eterycznych.

- Nie chcę sekretów, potrzebuję tylko waszych obserwacji dotyczących wiatrów. Jesteście stworzeniami wiatrów, znacie je lepiej niż śmiertelnicy kiedykolwiek poznają. Powiedzcie mi, czy wiatry się zmieniły? Czy po reaktywacji Smoczego Muru są jakieś różnice?

- Czy koło młyńskie spowolniło szalejące ulewy? Terikel pomyślała chwilę.

- Faktycznie, ale w bardzo niewielkim stopniu.

- W ten sam sposób Smoczy Mur spowalnia wiatry, ale jeśli zostanie użyty przeciwko burzom toreańskim, wywoła masowy przybór wód.

- Czy czarodzieje nie zdają sobie z tego sprawy?

- Tylko głupiec mógłby o tym zapomnieć, ale oni są głupcami, skoro najpierw reaktywowali Smoczy Mur.

Terikel pospiesznie przejrzała w myślach listę pytań.

- Czy burze toreańskie się nasilą?

- Właśnie minęły swój punkt krytyczny - odparł Nauczyciel. - Za pięć lat klimat wróci do takiego stanu, w jakim był przed spaleniem Torei.

- Możesz podać mi wyniki pomiarów?

- Smoki nie robią pomiarów. Znamy siłę wiatrów, bo w nich latamy. Widzimy chmury, które są bardzo daleko i odczuwamy ciepło lub jego brak o wiele bardziej precyzyjnie niż wy, śmiertelnicy. Wszystko zapamiętujemy i dzięki temu możemy przewidzieć, co będzie w przyszłości. Burze słabną, ale już słabły, zanim uruchomiono Smoczy Mur. Machina ma w tym tylko jedną pięćdziesiątą udziału.

- Jedną pięćdziesiątą? Nie warto było zawracać sobie głowy.

- Zgadza się.

- Więc Smoczy Mur jest bezużyteczny - stwierdziła Terikel.

- Smoczy Mur jest bardzo użyteczny, ale nie służy do zmieniania pogody.

- Jako broń? - zapytała Terikel, zadając kolejne pytanie ze swojej listy.

- Śmiertelnicy, doskonale wiecie, że to jest broń. Smoczego Muru użyto, by zaatakować was, gdy jechaliście tutaj. Po co przybyliście do nas?

- Aby ujawnić, że Smoczy Mur jest bronią. Aby zapytać, jak unicestwić go na zawsze.

- Wszyscy, którzy w tym biorą udział, wiedzą, że to jest broń. Wiele przenośnych kręgów podłącza się do niego każdego dnia, ludzie się go boją. Istnieje także spisek, który zamierza wykorzystać go jako broń.

- Istnieją dziesiątki takich spisków, wkrótce będą ich setki.

- Setki? - zapytała Egzaminatorka. - Możesz wymienić chociaż jeden?

- Wysoki Krąg Scalticarskich Wtajemniczonych chce użyć go do zniszczenia świątyń Sceptyków, Niezależnego Zakonu Myślących Inaczej oraz Populistycznego Frontu Czarodziejskiego, jak również osłabienia własnego sprzymierzeńca, Sargolskiego Zarządu Wtajemniczonych. Sargolski Zarząd Wtajemniczonych pragnie wykorzystać go do zlikwidowania Wysokiego Kręgu i przejęcia pozbawionych przywódców lokalnych świątyń, a tym samym objęcia kontroli nad wtajemniczonymi na całym nowym kontynencie. Dalej...

- Wystarczy, dziękuję - powiedziała Egzaminatorka.

- Wiem jeszcze o trzydziestu pięciu - westchnęła Terikel. - Czasami się zastanawiam, czy na świecie są jeszcze ludzie, którzy nie spiskują.

- Owszem, są, ale nie oni zbudowali maszynę eteryczną zdolną zamieniać całe królestwa w sterty popiołu i zwęglonych szczątków.

Terikel potrząsnęła głową i wpatrzyła się w podłogę jaskini.

- Doskonale, wydaje się, że dochodzisz do bardzo ważnego wniosku - zauważyła Egzaminatorka.

- Tak, dziękuję, chyba tak - powiedziała Terikel.

- A teraz porozmawiajmy o zniszczeniu Smoczego Muru. Przedtem powinniśmy przyjąć bardziej wygodne formy. Prosimy o chwilę cierpliwości.

Egzaminatorka powoli położyła się na podłodze jaskini. Najpierw zaczęły jej maleć i znikać skrzydła, potem reszta ciała zszarzała i zamigotała. Baryłkowata pierś zapadła się w kłębie iskier; a potem już stała przed nimi schludna staruszka, wyglądając na sobie spódnice. Ukłoniła się gościom. Andry odniósł wrażenie, że próbowała im dodać otuchy, ale z jej ust i oczu wydobywał się delikatny blask. Oba pozostałe smoki przechodziły taką samą przemianę.

- Sędzia i Nauczyciel wkrótce dołączą do nas. - Egzaminatorka wzięła Terikel

pod ramię i poprowadziła ją do najbliższej ściany, w której pojawiły się drzwi.

Andry i Wallas podążyli za nimi do małego, przytulnego pokoju z wygodnymi fotelami, które otaczały niski stoliczek. Staruszka podniosła imbryk i dmuchnęła delikatnie w jego stronę. Woda natychmiast zaczęła wrzeć.

- Czy wszyscy piją herbatkę? - zapytała Egzaminatorka.



Sędzia i Nauczyciel przybyli w chwili, gdy Egzaminatorka zaparzyła herbatę, ale Sędzia zauważył, że nie ma kruchych ciastek, więc wrócił po nie. Egzaminatorka podeszła do Wallasa i Andry'ego.

- Przystojniaku, przeleciałeś sto trzydzieści siedem kobiet - powiedziała z lekkim sarkazmem w głosie, a i z oczywistym rozbawieniem.

- Brudny, sprośny wieprz! - wykrzyknął Andry.

- Muzykancie, ty do dzisiejszej nocy byłeś prawiczkim.

- Dziewica! - zarechotał Wallas. - Księżniczka Senterri powiedziała mi, że nie jesteś wystarczająco męski, aby bzyknąć kobietę.

- Sto trzydzieści siedem! - krzyknął Andry. - Dlaczego tak wiele? Czy żadna nie chciała pójść z tobą do łóżka drugi raz?

- Panowie, panowie... - próbowała ich mitygować Egzaminatorka.

- Każda, z którą spałem, wie, że nikt nie może się ze mną równać - parsknął Wallas.

- Każda, z którą spałeś, nie była w stanie patrzeć potem przez miesiąc na mężczyzn - odgryzł się Andry.

- Panowie, proszę! - krzyknęła Egzaminatorka. - Więc, Andry, ostatniej nocy zrobiłeś to po raz pierwszy?

- Tak - wyszeptał Andry.

- Szkoda. Dlaczego zdecydowałeś się to zrobić?

- Ponieważ pani Terikel powiedziała, że mnie pozresz, jeśli pozostanę... niewtajemniczony.

- „Pozreć” to bardzo mocne słowo - powiedziała Egzaminatorka. - „Delektować się” jest bardziej stosowne.

- Co? Delektowanie się to coś, co robisz, zanim kogoś pozresz?

- Och, nie. Mogłabym się zabawić z tobą jakieś cztery tysiące lat temu, ale nie teraz. Rozumiesz, niedoskonałości ciała i takie tam...

- Poczęstuj się, muzykancie? - Sędzia podszedł do Andry'ego z tacą.

- Dziękuję - odparł Andry, biorąc kruche ciasteczko.
- Moje zmysły podpowiadają, że dobrze się poznaliście z Terikel ostatniej nocy.
- Panie... smoku Sędzio, skąd wiesz?
- Jeśli coś wydarzyło się niedawno, wystarczy sam zapach, który po kilku dniach się ulatnia, ale są inne różnice. Trudno wyjaśnić to ludziom, ale każdy smok może... delektować się różnicami.
- Jest pan rozczarowany?
- Ja? Dlaczego?
- Bo nie jestem już smaczny i nie będziesz już mógł mnie zjeść?
- Za jakiego smoka mnie uważasz? - Oddech Sędziego nagle stał się tak gorący, że na tunice Andry'ego pojawiły się ślady przypalenia. - Miałbym zjeść ciebie?! Człowieka?!
- Ja... co?
- Dla ciebie jedynym zagrożeniem jest Egzaminatorka, ale jej gust się już dawno zmienił.
- Och. Przepraszam, bez urazy.
- Jeść ludzi, cóż za pomysł! - Sędzia odwrócił się, kręcąc głową.
- Po drugiej stronie pokoju Terikel rozmawiała z Nauczycielem.
- Przybrał postać wysokiego, chudego mężczyzny z permanentnie wyszczerzonymi w uśmiechu zębami.
- Prezbiterko, jesteś zmartwiona. Czy mogę zrobić coś, by ci pomóc?
- Smoki zwykle chcą zapłaty. Nie mam nic, co mogłabym ci dać.
- Masz coś bardzo cennego do zaoferowania, ale nie zdajesz sobie sprawy, co to jest. Smoki to zdobyły, ludzie zrobili. My widzimy, że jesteś kimś absolutnie bezcennym.
- Nie rozumiem.
- Oczywiście. Muzykant ceni cię za życzliwość, jaką okazałaś mu ostatniej nocy i wie, że jesteś kimś ważnym i że wiele studiowałaś. Ale nie rozumie, kim jesteś, kapłanką, uczoną czy czarodziejką.
- Żeby zrozumieć uczonego, trzeba samemu być uczonym.
- Właśnie. I tylko smoki mogą dostrzec, kim jesteś.
- Nie... nie podoba mi się znaczenie, jakie może się w tym kryć - powiedziała Terikel.
- Zostawmy to na razie. Czy potrzebujesz pomocy w zniszczeniu Smoczego

Muru?

- Nic nie mogłoby mi sprawić większej radości.

- Więc przygotuję bardzo specjalne zaklęcie.

- Co?! - krzyknęła Terikel z niedowierzaniem. - Tak po prostu?

- Nie, wcale nie. To mnie bardzo osłabi, a ty prawdopodobnie umrzesz. Twoje cierpienie będzie gorsze niż w najgorszych koszmarach, a jeśli przeżyjesz, zmienisz się na zawsze.

Terikel rozważała to w milczeniu. W końcu pokiwała głową, aby pokazać, że zamierza stawić czoło wszystkiemu, co nadejdzie.

- Jakie masz inne prośby?

- Czy mógłbyś uzdrowić ludzkie serce? - Terikel posmutniała. - Czy mógłbyś zmienić przeszłość?

- Ani jedno, ani drugie.

- Czy możesz wyleczyć bardzo chorą dziewczynę?

- Jak chorą?

- Umarła kilka miesięcy temu. Może żywić się tylko krwią i eteryczną siłą życiową śmiertelników. Krew ma lodowatą, jej serce nie bije. Teraz jest nawet jeszcze bardziej martwa.

- Dla mnie to zupełnie normalne. Moje serce przestało bić pięć tysięcy lat temu.

- Ale ona nie chce już trwać w tym stanie, chce znowu być żywa. Woli raczej umrzeć z głodu niż znowu kogoś zabić i jest już bardzo słaba.

- Czy to ta, której ziemskie imię brzmiało Velandar?

- Tak. Jest moją najbliższą przyjaciółką i Andry ją kocha.

- Kocha? Musi być bardzo wyrozumiała. Och! Ale ty i muzykant... Więc ona także musi być bardzo wyrozumiała.

- Zobaczysz się z nią? Może zdołasz jej pomóc.

- Już się z nią widziałem. Jej niebiańskie imię brzmi Siłaczka.

Nagle Terikel straciła panowanie nad sobą i roztrzaskała filiżankę o podłogę.

- Stary głupcze!!! - wrzasnęła. - Ktoś potrzebuje pomocy, a ciebie stać tylko na gierki słowne!

Nauczyciel pstryknął palcami i obaj, Andry i Wallas, w mgnieniu oka przestali istnieć.



Andry rozpoznał brzeg, rzekę i panujące wkoło ciemności krainy na granicy

życia i śmierci. Rozpoznał też błyszczącą białą łódź, podobną do albernińskich najmniejszych promów rzecznych, ale przewoźniczka była inna. Co nie znaczy, że mu nieznana.

- Madame Jilli?! - krzyknął, gapiąc się na czerwoną suknię i to, czego nie zakrywała.

- Andry, co ty tutaj robisz?! - odkrzyknęła madame Jilli przez ciemną wodę. - Nie jesteś wpisany do streszczeń ani do rejestru.

- Sądzę, że ciągle jestem żywy.

- Więc co tutaj robisz?

- Trudno powiedzieć, rozmawiałem ze szklaną smoczycą Egzaminatorką, a potem znalazłem się tutaj. Ale pani żyje.

- Cóż, właściwie nie. Lecz jestem przewoźniczką.

- Wygląda pani wspaniale.

- Dziękuję, sama sobie zaprojektowałam tę suknię. Odwraca uwagę klientów. Umarli nigdy nie bywają mili. Przewoziłam Portera i Hartmana, prosili, by cię pozdrowić, kiedy cię znowu zobaczę.

- Co u nich?

- Cóż, są martwi, jak można się domyślić. Miło zobaczyć kogoś żywego.

Łódź wylądowała na czarnym żwirze na brzegu rzeki. Andry wziął od madame Jilli tyczkę, potem pomógł jej wyjść na ląd. Objęli się. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach żywą, ciepłą kobietę. Podejrzewał, że to jego umysł podpowiada, co powinien poczuć.

- Ty niegrzeczny mały chłopczyku! - madame Jilli się roześmiała, biorąc od niego tyczkę. - Nie byłbyś w stanie wyobrazić mnie sobie w ten sposób, gdybyś nie był już z dziewczyną.

- Tak, to prawda - wyznał Andry.

Madame Jilli wyciągnęła tyczkę w kierunku grupy cieni, które stały lub siedziały na brzegu rzeki.

- Za chwilę wracam. O, widzę, że wpadł mój stary i bardzo drogi przyjaciel - powiedziała z wdziękiem.

Andry zauważył, że zmieniła uchwyt na tyczce na taki, jakim trzyma się okuty kij; potem bez żadnego ostrzeżenia wymierzyła cios w pachwinę ducha wyglądającego na grubszego niż inne.

- Łajdaku! Podstępnie się wśliznąłeś do mojego łóżka ze swoimi kłamstwami i

dworskim bełkotem, podczas gdy moim ostatnim kochankiem mógł być Andry! - wrzasnęła, wpędzając zgiętego z bólu Wallasa do ciemnej rzeki.

Olbrzymia głowa z jarzącymi się szparkami oczu pojawiła się ponad powierzchnią wody i zawyła: „Nie wolno pływać w zaświatach!”.

Wallas zatrzymał się, przenosząc wzrok z potwora na madame Jilli, próbując zdecydować, które z nich jest bardziej przerażające.

- Jeśli spróbuje ruszyć w kierunku brzegu, Chavarleonie, pożryj go! - krzyknęła z brzegu madame Jilli, stojąc na szeroko rozstawionych nogach i groźnie wznosząc tyczkę.

Licznie zgromadzone na brzegu duchy zaczęły bić brawo. Madame Jilli ukloniła się i posłała im całusa.

- O bogini, teraz czuję się wspaniale - oznajmiła, biorąc Andry'ego za rękę i prowadząc na wysoki brzeg, gdzie ze śmiertelną cierpliwością siedziało i czekało na przeprawę więcej duchów.

- Jesteś pewna, że wolno ci uderzyć ducha? - zapytał Andry.

- To element mojego stylu. Jak długo Pan Zmiana nie narzeka, mogę z nimi robić, co mi się podoba. Jest bardzo miły, polubiłbyś go. Poza tym Wallas jeszcze nie jest martwy... ale dosyć o Wallasie. Słyszałam od Hartmana, że teraz twoją dziewczyną jest Velander.

- Tak - powiedział ostrożnie Andry - ale ona jest bardzo chora, ona jest martwa... właściwie to bardziej martwa niż zazwyczaj. Wkrótce będzie jedną z twoich klientek.

- Nie ma jej w moich streszczeniach i rejestrze. Nie smuć się.

- Madame Jilli, wiem, że ją straciłem, a tak bardzo chciałem, żebyśmy byli razem. Muzyka tawern Alberinu, taneczne festyny na ulicach Nabrzeża i Bargeyards. Chciałem grać, ona by tańczyła, chciałem nauczyć ją gry na lirze, abyśmy mogli grywać razem. A... a po nocy spędzonej z Terikel...

- Terikel! Nie, nie chcę ci przerywać, mów dalej.

- Ja... chciałem jej pokazać, jak to jest budzić się w czyichś ramionach po nocy spędzonej tak blisko, że... Ach, madame Jilli, jestem niewykształcony, brak mi pięknych słów, aby to opisać. Chcę, żeby Vel była szczęśliwa, to wszystko.

Wyjął z tobołka rebek i zaczął grać wiązanek reeli. Wiele duchów stojących w pobliżu rzeki tańczyło, inne klaskały. Andry grał długo. Przestał, kiedy madame Jilli położyła mu rękę na ramieniu.

- Andry, masz zadanie. Wróć do Alberinu i czekaj na Velandera.

- Ale ona jest w Alpenfast, martwa. To znaczy jest martwa i nie może się poruszać, w przeciwieństwie do chodzących zmarłych.

- Och, ona może podróżować, Andry. Wiem to od osoby, która jest dobrze poinformowana.

- Ale dlaczego Alberin?

- Bo to twój dom, a Velandera nie ma domu.



Andry i Wallas wrócili do życia. Madame Jilli patrzyła, jak wielki czarny kształt zanurza się w wody rzeki; potem pochyliła się i położyła dłoń na ramieniu duszy siedzącej obok niej.

- Velandera, słyszałaś wszystko - powiedziała miękko. - On cię kocha, pragnie cię i nawet teraz wie, co będziecie robili po przyjemnym wieczorze w tawernie.

- Taka jestem zmęczona - powiedział duch. - Cały czas zmęczona.

- Znalazłaś się na granicy mojego małego królestwa, ale jeszcze nie przekroczyłaś linii. Masz powód, aby tam wrócić. Chcesz tutaj zostać na całą wieczność?

- Taka jestem zmęczona, odpoczywam tutaj.

- Możesz żyć. Z Andrym. Czy to nie jest warte odrobiny wysiłku?

- Andry... zawiodłam go.

- Wcale nie. Ja zawiodłam Andry'ego. Ty wciąż masz szansę.

Madame Jilli poszła z powrotem do swojej łodzi, gdzie wezwała po imieniu duchy, pomogła im wejść na pokład i odpłynęła. Rzuciwszy okiem na brzeg, zauważyła, że tam, gdzie wcześniej siedziała Velandera, teraz była tylko ciemność.



Terikel gapiła się na miejsce, gdzie przed chwilą byli Andry i Wallas.

- Jestem głupi, nie jestem człowiekiem - rzekł Nauczyciel. - Ani nie bawię się w słowne gierki. Twoja przyjaciółka Siłaczka się zmienia. Nie możesz tego dostrzec, ale kiedy jakaś jej część słabnie, inna część się wzmacnia. Jeśli zdecyduje się wrócić znowu do życia... każdy wrażliwy smok powinien zmienić jej ciało w popiół, dopóki jest bezbronna. Ona mnie przeraża, a nie jestem zbyt wrażliwy.

Terikel była niespokojna i zawstydzona. Nauczyciel nie tylko znał Velandera, ale też się jej obawiał. Nauczyciel, szklany smok.

- Nie jesteś wrażliwy?

- Jestem romantykiem. Romantycy zabijają rywali w pojedynkach o ukochaną. Wrażliwi ludzie mogą zabić kogoś tylko dlatego, że przy jedzeniu trzyma nóż w lewej ręce, a nie w prawej. Moim zdaniem z dwojga złego romantycy są mniej szkodliwi. Ale jestem romantycznym smokiem, a to nie to samo co romantyczny człowiek... żeby to zrozumieć, musiałabyś być smokiem. Miałem nadzieję, że Siłaczka zgaśnie, lecz teraz nie jestem tego taki pewien. Wrażliwe smoki denerwują mnie prawie tak samo jak wrażliwi ludzie. Siłaczka zabiła bardzo wrażliwego smoka, więc raczej ją lubię.

- Nauczycielu, zgubiłam się zupełnie.

- Chcesz, żeby Siłaczka żyła. Ocalę ją, jeśli ona chce być ocalona. Będzie mogła jeść gotowaną rzepe, smażoną rybę, nadziewane pieczone szczury czy co tam jadają śmiertelnicy. Jeśli kiedyś muzykant weźmie ją w ramiona, będzie ciepła - oczywiście pod warunkiem że zechcesz popatrzeć w inną stronę, moralność bardzo się zmieniła przez ostatnie pięć tysięcy lat. Olgez V'Irau zmusiła mnie do dwuletnich zalotów, nim za mnie wyszła, to było bardzo stosowne w tamtych czasach.

Terikel potrzebowała chwili, żeby to zrozumieć.

- Cudownie! - krzyknęła, niemal nie wierząc, że to usłyszała. - Czego żądasz ode mnie w zamian?

- Zniszcz Smoczy Mur.

Znowu sens przez moment docierał do Terikel.

- Zniszczyć Smoczy Mur? - krzyknęła. - Tak! Tak, tak, tak! To dlatego, do cholery, jestem tutaj! Gdybym tylko wiedziała jak... Dobrze, powiedz mi jak. Chyba sądzisz, że potrafię to zrobić, jestem otwarta na wszelkie sugestie.

- Leć na wschód tak długo, aż nie będziesz mogła już lecieć dalej.

- Leć? Ale...

- Nie przerywaj. Na równiku znajdziesz kamienny krąg Counter. Połóż to na centralnym megalicie.

Nauczyciel uniósł pięść i powoli wyprostował palce. Na jego dłoni leżała czarna kula wielkości jabłka, której powierzchnia kłębiła się i Terikel nie widziała jej wyraźnie.

- Teraz stój spokojnie, nie mam zamiaru czynić ci lubieżnych awansów.

Szklany smok przyłożył kulę do jej piersi, tuż ponad biustem. Tkanina tuniki zaczęła się tlić, uniosły się pasemka dymu. Terikel nie mogła oddychać, jakby w jej piersi eksplodował wielki worek szpilek. Nagle odczuła ulgę, zaczerpnęła powietrza i podniosła rękę do piersi. Pod nadpaloną suknią jej skóra nie była uszkodzona.

- Boginie! - szepnęła Terikel.

- Ostatnim razem, kiedy dotykałem kobiety w tym miejscu... Palion był rybacką wioską zamieszkaną przez trzydzieści dusz, nie licząc sześciu świń, jedenastu owiec i krowy. Dostałem za to w twarz.

- Coś ty mi zrobił?

- Udało mi się to zaoszczędzić przez tysiąc lat. Słuchaj uważnie, dam ci teraz słowa zaklęcia, dzięki któremu będziesz mogła z tego skorzystać, gdy będziesz w potrzebie, oraz wydostać to, gdy znajdziesz się u celu swojej podróży.

Terikel słuchała, powtarzając zaklęcie wiele razy, zanim Nauczyciel uznał, że się go nauczyła.

- Powinnaś wkrótce ruszać - stwierdził - głównie dlatego że my musimy iść. Nie ma sensu przebywanie w smoczej jaskini, gdy nie ma w niej smoków, z którymi można rozmawiać, prawda? Chociaż... jeszcze jedno.

- Tak?

- Twoje niebiańskie imię brzmi Pierzastoskrzydła.

Nauczyciel wykonał skomplikowany, płynny ruch. Wallas i Andry pojawili się z powrotem. Obaj wyglądali na zdenerwowanych, ale Wallas był znacznie bardziej zdenerwowany niż Andry. Podeszła do nich Egzaminatorka strzepująca okruszki z kołnierza swojej szaty.

- Andry, bardzo ładnie dla nas grałeś. Sędzia i ja postanowiliśmy cię wynagrodzić, spełniając twoje życzenie. Poproś o coś.

- Proszę o wyleczenie Velandera i przywrócenie jej do życia, pani - powiedział Andry od razu.

- Otrzymałam wiadomość, nie pytaj jakim sposobem. Velandera przełamała kryzys kilka minut temu i dochodzi do siebie. Nie musimy więc spełniać tego życzenia.

- Będzie żyła?! - krzyknął Andry.

- Zakładając, że wrócisz do Alberinu, tak.

- Skąd pani wie? Ona jest w Alpenfast... Alberin! Skąd pani może wiedzieć? To był sen... naprawdę sen?

- Jeśli to był ten sam, w którym i ja byłem, to był koszmar - stwierdził Wallas.

- Velandera robi się teraz coraz słabsza, ponieważ robi się coraz silniejsza - powiedziała Egzaminatorka.

- Nie rozumiem.

- Nie próbuj. Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?

- Co jeszcze? Ach, czy moglibyście uwolnić prezbiterkę Terikel od demona zdrady?

Terikel spurpurowiała i zdusiła w sobie okrzyk protestu. Nawet Wallas wyglądał na zakłopotanego.

- Nie mogę - rzekł Sędzia.

- To już zrobione - dodał Nauczyciel.

- Co?! - krzyknęła Terikel.

- Tylko ona o tym nie wie - stwierdziła Egzaminatorka. - Co powiesz na jeszcze jedną próbę, młody człowieku? Naprawdę mi się podobasz. Dwie prośby i obie na korzyść innych ludzi. Możemy ci zdradzić, gdzie ukryto starożytne skarby, podnieść twój stopień eterycznego wtajemniczenia do dziesiątego lub jedenastego stopnia w kilka tygodni... - Egzaminatorka kościstą ręką ujęła dłoń Andry'ego. - Spróbuj jeszcze raz.

Andry głęboko się namyślił. Wallas wyjął z kieszeni herbatnik i zaczął go chrupać.

- Już zrobione? - wymamrotała Terikel cicho, drapiąc się w głowę.

- Czy moglibyście uwolnić Wallasa od jego demona? - zapytał Andry.

Wallasowi wyleciała z ręki resztką herbatnika. Terikel chytrze się uśmiechnęła.

- On ma ich wiele - powiedziała Egzaminatorka. - O którym myślisz?

- Na wszystkie kręgi wszystkich piekieł, co ty wyprawiasz, Andry?! - jęknął wystraszony Wallas.

- Och... od najgorszego - odpowiedział Andry.

- Jestem bardzo przywiązany do moich demonów - bełkotał Wallas. - Są dla mnie źródłem wielkiego zadowolenia.

- Jego okropne ballady? - zapytała Egzaminatorka.

- Słyszałaś którąś? - sapnął Wallas.

- O tak, kiedy nie przesiaduję tutaj, zajmując się tym, co zwykle robią smoki, czasami zmywam kufle w różnych tawernach, Sędzia zamiata schody w Alpenfast, a Nauczyciel zajmuje się trochę ogrodnictwem tu i tam.

- To bardzo uspokaja - dodał Sędzia. - Zamiatasz sobie schody, patrzysz na Zwierciadło Niebios, myślisz o czymś głęboko, potem schodzisz o stopień niżej i też go zamiatasz.

Andry spróbował sobie przypomnieć twarz starszego dozorca z pałacu, w

którym mieszkał w Alpenfast. Wallas dobrze pamiętał starą kobietę, nazywaną Smoczym Oddechem, która zbierała puste kufle w Clovesser. Terikel znowu zaczęła masować sobie skronie.

- Moja droga - powiedziała Egzaminatorka - fakt, że jesteśmy bardziej uczeni, niebezpieczni i potężni niż cała milicja cesarstwa sargolskiego, nie oznacza, że nie możemy być małostkowi i trochę dziwaczni.

- To pozwala ogólnie podchodzić do życia w bardziej zrównoważony sposób - rzekł Sędzia.

- Czy możesz coś zrobić z problemem Wallasa z kobietami? - zasugerował Andry.

- Co?!! - wrzasnął Wallas. - Nie! Lubię mój problem z kobietami, daje mi wielką pociechę. Za nic! Ręce precz ode mnie!

Sędzia i Nauczyciel chwycili Wallasa pod łokcie i zadarli mu tunikę. Egzaminatorka powoli uniosła kościstą, zwiędniętą rękę. Czarną kuleczką o rozmiarze groszku rzuciła w Wallasa. Trafiła w okolice pachwiny, zostawiając dużą wypaloną dziurę z przodu spodni.

- Spaliłaś go! - zaszlochał Wallas.

- O nie, nic tak okrutnego. Przypatrz się bliżej, wygląda ślicznie.

W miejscu penisa Wallasa była teraz mała falbaniasta główka, podejrzliwie patrząca świdrującymi oczkami. Miała długą, chropowatą szyję i odwróciła się, by pytająco popatrzeć na Wallasa. Wysunęła rozdwojony na końcu języczek.

- Zabierzcie to ze mnie!!! - wrzasnął Wallas, cofając się, aż uderzył plecami w ścianę.

- To część ciebie - powiedziała Egzaminatorka.

- Wygląda jak Sędzia w niemowlęctwie - dodał Nauczyciel.

- Zawsze podobała mi się rola obrońcy moralności publicznej - rzekł Sędzia. - Może to była nieświadoma intencja tego, co zrobiła Egzaminatorka.

- Niech mnie boginie! - westchnęła Terikel, pochylając się, by zbadać magiczną protezę Wallasa.

Mały smok otworzył paszczę i Zasyczał. Terikel odskoczyła. Egzaminatorka chwyciła jej dłoń, zanim go dotknęła, a smok wypluł strumień iskier. Miały wściekle purpurowy kolor.

- Gdybym była śmiertelną kobietą, te iskierki uządliłyby mnie boleśnie - wyjaśniła Egzaminatorka. - Jak go nazwiemy?

Wallas nie miał żadnych sugestii, stał oparty o ścianę i mamrotał coś bez sensu.

- Coś, co będzie dobrze pasowało do Wallasa... - zastanawiała się Terikel.

- Willy! - krzyknęła Egzaminatorka. - Wallas i Willy. Wallas ma swojego własnego małego Willy'ego. Wierny Willy Wallasa.

- Willy nie lubi nikogo poza tobą - odezwał się Nauczyciel do ciężko zrozpaczonego Wallasa - więc trzymaj go z dala od innych ludzi, bo jak nie, narobi ci wstydu.

- Potwory! - krzyczał Wallas. - Jesteście skończonymi potworami!

- Cóż, to prawda, jesteśmy w końcu szklanymi smokami - powiedziała Egzaminatorka.

- Jak długo Willy będzie z Wallasem? - zapytał Andry.

- Och, na moje zaklęcia daję dożywotnią gwarancję - zapewniła go Egzaminatorka.

- Dożywotnią?! - Wallas zemdlął.

- Chcę was ostrzec, zanim się rozejdziemy - rzekł Nauczyciel. - Czternastu alpenińskich jeźdźców ukryło się w odległości strzału z łuku od waszych koni. Prawdopodobnie mają rozkaz zabicia was.

- Nas?! - wykrzyknął Andry. - Sądziłem, że księżniczka i kasztelan byli... przyjaźnie nastawieni.

- Byli, ale Terikel ślubowała zniszczyć Smoczy Mur.

- Dlaczego to kasztelana obchodzi?

- Cały region Alpennien jest przecięty na pół przez Smoczy Mur. Rebelia miała miejsce po jego zachodniej stronie, a sargolski gubernator i milicjanci zostali rozgromieni. Ci z zachodniej strony gorączkowo budują zamki, mury i tworzą armie. Kiedy Smoczy Mur ostatecznie runie, zaatakują wschodni region Alpennien - góry Capefang. Co gorsza, Wilbar właśnie uczy alpenińskich czarodziejów, jak przygotowywać przenośne kręgi i to jest prawdziwe nieszczęście.

- Ale co z kasztelanem? - zapytał Andry. - On jest zakochany w księżniczce Senterri.

- Tym lepiej. To, co było rebelią, zmieni się teraz w wojnę o sukcesję. Kasztelan ogłosi, że poślubił dziedziczkę tronu sargolskiego. Czterech braci Senterri już gromadzi armie do walki przeciwko sobie. Kasztelan tylko czeka, aż osłabią się i wytracą w walkach, a potem wyśle własne wojska, aby zdobyć tron w imieniu Senterri. Ich pierwszy syn zostanie następnym cesarzem. Jeśli Terikel zniszczy Smoczy Mur

zbyt szybko, sekret alpennieńskiej armii przestanie być tajemnicą, żołnierze nie będą jeszcze odpowiednio wyszkoleni, w pełni wyekwipowani ani wystarczająco liczni, aby pokonać armie książąt.

- A książęta nie spędzą wystarczająco dużo czasu na bratobójczych walkach - dodała Egzaminatorka.

- To też. Musimy znowu zamienić się w smoki i zająć smoczymi sprawami, więc żegnajcie i niech Fortuna wam sprzyja.



Troje śmiertelników wkroczyło w mgłę. Andry szedł z trudem, mając przewieszzonego przez ramię nieprzytomnego Wallasa. Słońce było teraz poniżej najwyższych szczytów, do zachodu została mniej niż godzina.

- Jak jaszczurki mogą mówić? - Andry zapytał Terikel, gdy z mozołem odnajdywali ścieżkę w dół. - I czemu wyglądali jak ludzie?

- Smoki nie są jaszczurkami, są takie jak my - powiedziała Terikel.

- Nie mogę tego pojąć.

- Jest pewne zaklęcie, dostępne tylko dla wtajemniczonych jedenastego stopnia, nieliczni je opanowują. Nazywa się Powietrzny Spacer. Czarodziej wytwarza parę skrzydeł, wyobrażając je sobie w chwili wypowiedzenia formuły. Wtajemniczony, który potrafi rzucić to zaklęcie, może używać tych skrzydeł do latania. Mnie się to kiedyś udało. Raz. W Alberinie jest uczona Wensomer, która słynie z tego zaklęcia. Zademonstrowała je w czasie wizyty w królewskim pałacu w Palionie. Wyczarowała skrzydła rozpiętości sześćdziesięciu metrów i zabrała cesarza na plecach na przejażdżkę nad pałacem. Cesarzowa nie była tym zachwycona, ale cóż mogła zrobić?

Wallas zajęczał. Terikel wyjęła topór zza paska i uderzyła go trzonkiem w głowę.

- O czym to ja mówiłam? A tak, Powietrzny Spacer jest pierwszym etapem na długiej drodze do stania się smokiem.

- Stania się smokiem? Człowiek staje się smokiem?

- Szklanym smokiem, ściśle mówiąc, nie takim pospolitym smokiem, który jest jaszczurką posiadającą umiejętność zionięcia ogniem.

- Więc te smoki, które zatopiły „Ptaka Burzy”, to takie zwykłe smoki?

- Zgadza się. Szklane smoki to czarodziejki i czarodziejki, których mistrzostwo w Powietrznych Spacerach zawiodło zbyt daleko. Przez lata nauczyli się wikłać w coraz więcej zaklęć, aby nadać sobie lepsze do latania kształty. Rzucali zaklęcia, latali i

podskakiwali całe dni. W końcu po latach mogli zaniechać rzucania zaklęć. Podobno z latania czerpią prawdziwe oświecenie i spokój, dlatego postanowili nigdy nie wracać do ludzkiej postaci. Dostali obsesji na tle gromadzenia energii eterycznej i siły życiowej, często kontrolowanie energii. Ich fizyczne ciała zostały zawieszane w czasie i wieku, uwikłane w eteryczne struktury. Mogą żyć przez stulecia i dłużej. Kiedy jesteś smokiem, inaczej się zachowujesz. Przestajesz być sobą. Zmień zachowanie, a zmienisz człowieka. Wciąż mają mowę i rozum, ale ich zachowania można określić jako nadzwyczaj drobnomieszczańskie i bardzo chłodne.

- Więc te istoty w jaskini były ludźmi? - zapytał Andry.

- Tak.

- Ale miały po pięć metrów wysokości! Potem zmienili się w... ludzi.

- Te małe ciała, które widziałeś, to ich prawdziwe ciała. Może „prawdziwe” to nie jest dobre słowo, ale niech zostanie. Nauczyciel, Sędzia i Egzaminatorka są najstarszymi szklanymi smokami, mają ponad pięć tysięcy lat.

- Wyglądali na bredzących szaleńców - powiedział Andry.

- Są tak mądrzy i potężni, że z własnej woli przybierają ludzkie kształty, aby mieć lepszą perspektywę na świat.

- Więc stali się szklanymi smokami, aby wznieść się ponad ograniczenia, jakie narzuca bycie człowiekiem, i wznieśli się tak bardzo ponad bycie człowiekiem, że chcą przybierać ludzkie kształty.

- Trywializujesz.



Gdy do Smoczego Muru podłączył się setny przenośny krąg, Sergal był już wystarczająco zdesperowany, aby rozważyć użycie zaklęcia Ognistego Wiatru. Nie żeby w liczbie sto widział coś specjalnego; po prostu była dość znaczna i podkreślała powagę sytuacji. Prawie trzy tysiące czarodziejów było teraz uwięzionych w energii Smoczego Muru i w każdej chwili któryś z nich mógł odkryć, że po pierwsze, nikt ich tak naprawdę nie kontroluje i po drugie, że każdy z nich ma dostęp do wszystkiego. Wszystko oznaczało ciągle powiększającą się ilość energii.

Jedyną nadzieją Sergala był Ognisty Wiatr. Wiedział o nim tyle, że jest to sposób na odprowadzenie energii ze Smoczego Muru. Jeśli Smoczy Mur straci odpowiednią ilość energii, może runąć. Zaklęcie o światowym zasięgu może runąć. Nie ma wiele czasu, musiał ciągle sobie przypominać. Nie ma czasu w ogóle. Wypowiedział zaklęcie Ognistego Wiatru.

Sergal był w kamiennym kręgu Centras, gdy Ognisty Wiatr wyrwał się ze Smoczego Muru. Czarodzieje Smoczego Muru nie byli jedynymi świadkami narodzin Ognistego Wiatru. Miliony ludzi na wszystkich kontynentach widziały tęczę, która uwieńczyła Smoczy Mur, błyszcząc i falując ponad nim. Nad tęczą świeciła linia narastającego niebieskiego blasku, który migotał złośliwie.

Świecący niebieski promień oddzielił się od Smoczego Muru z błyskiem, który oświetlił trzydzieści cztery królestwa. Niebieska linia z wolna popęzła ku gwiazdom. Była wyraźna, ale wcale nie miała grubości. Mieszkańcy pustynnego miasta Zaimek widzieli, że niebieski promień wystrzelił wprost z kamiennego kręgu Centras.



Terikel i Andry siedzieli na wąskiej półce skalnej w promieniach dogasającego zachodu słońca. Bardzo zmęczony po niesieniu Wallasa Andry wylał sobie na głowę pół bukłaka wody. Odzyskawszy przytomność, Wallas rozejrzał się, a potem sprawdził pewne partie swojej anatomii, aby się upewnić, że to, co zachowało się w jego pamięci, było tylko złym snem. Uzyskawszy pewność, że nie, zaczął wrzeszczeć, ciskać się, bełkotać. Terikel i Andry musieli go związać i zakneblować.

Potem zjedli, przez chwilę analizowali, co wydarzyło się w jaskini; następnie rozmowa zesłała na Smoczy Mur. Wisząca w powietrzu nad nimi machina eteryczna lśniła i migotała na niebie w świetle gasnącego dnia.

- I to coś jest bronią - powiedziała Terikel, zerkając do góry na Smoczy Mur. - Bardzo potężną bronią. Może zniszczyć całe królestwa.

- To budzi niepokój - rzekł Andry, rozumiejąc ważność całej sprawy, ale nie jej szczegóły.

- Kontrolowanie wiatrów? Położenie kresu burzom toreańskim? Bzdury! Cele Smoczego Muru są znacznie większe.

- Błagam o wybaczenie, pani, ale burze toreańskie są bardzo wielkie.

- Właśnie. To daje nam pojęcie, jak naprawdę wielkie może być zagrożenie ze strony Smoczego Muru. Problem polega na tym, że każdy monarcha, czarodziej i watażka na trzech kontynentach ma inne zamiary w stosunku do Smoczego Muru, a wszyscy mogą powiedzieć, że mają go pod kontrolą. Pozwalają na to przenośne kręgi.

- Więc byle ćwok może zostać bogiem? - Andry czuł, że traci grunt pod nogami.

- Zły pomysł. Wiemy, co potrafią niektóre ćwoki. Pomysł tylko, bóg Wallas. Kto by na to pozwolił?

- Ludzie, którzy chcą doprowadzić do upadku wszystkich. Podejrzewam, że

szklane smoki maczają w tym wszystkim ręce... lub szpony.

- Więc co mamy robić? - zapytał Andry. - Czy mogę jakoś pomóc?

- To zależy tylko ode mnie. Muszę załatwić pewną sprawę. Trudną sprawę.

- Jaką sprawę, pani?

- Coś, co sprowadzi na mnie wielkie problemy.

- Większe niż te, w których jesteś teraz?

- Nieskończenie większe. - Wskazała cienką niebieską linię poruszającą się wolno po niebie i oddalającą się od Smoczego Muru. - Na mnie i na każdego czarodzieja ze Smoczego Muru. Sądzę, że ta niebieska linia poruszająca się po niebie w kierunku gwiazd okrąża nasz świat raz w ciągu każdego dnia. Przyjmując, że zatacza pełny krąg, oznacza to, że przelatuje nad każdym miastem, zamkiem, podwórcem, mostem i garnizonem. Jak również nad każdą akademią. Jeśli zniszczy to wszystko, co pozostanie?

- Drogi, gospodarstwa i żadnych panów... proszę o wybaczenie, pani.

- Andry, Andry, ostatniej nocy kochaliśmy się, potem spaliśmy razem - zachnęła się. - Proszę, nie zapominaj o tym i mów mi Teri.

- Przepraszam, pani... to znaczy Teri.

- Mały dodatek do twojej wypowiedzi, jeśli się nie obrazisz.

- Nie możesz mnie obrazić, pa... Teri.

- Brak panów oznacza zarówno brak dobrych, jak i złych panów. Skrzyknie się paru bandytów, ograbi i spali farmy, zhańbi kobiety, wymorduje mężczyzn. Ich przywódca jest panem. Inni bandyci zobaczą, że dobrze im się żyje i dołączą do nich. Po miesiącu masz już dużo zrujnowanych gospodarstw, małego watażkę i pięćdziesięciu uzbrojonych bandziorów. On także jest panem, Andry, decyduje o życiu albo śmierci. Wolisz jego czy następcę tronu Alberinu?

Andry śmiał się rozbawiony. Rzucił kamyczki ponad krawędzią skały w ciemność.

- Tak, brak panów to brak zasad, masz rację - powiedział w końcu. - Tym nam zagraża Smoczy Mur, prawda? Społeczność czarodziejów może robić, co jej się podoba, bo nie ma zasad, które by ich ograniczały. Problemem jest to, że mają znacznie więcej siły niż paru bandytów.

- Więc co, przyłączymy się do nich? - powiedziała Terikel zawadiacko.

Roześmiali się, jednak Andry nie miał już uśmiechu na twarzy, gdy pomagał jej się podnieść.

- Zanim wyruszymy, chcę powiedzieć... nie zrozum mnie źle...

- Dopóki mi nie powiesz, nie mogę zrozumieć również dobrze.

- Cóż, wiesz, Vel jest moją dziewczyną, ale kocham ciebie. Martwię się o ciebie. Jesteś jak młody chłopiec, który wchodzi w uliczkę pełną zbirów, ponieważ trzeba się z nimi rozprawić, a to jest bardzo...

Tak mocno chwyciła go w objęcia, że stracił dech.

- Mogę to zrobić, ponieważ pewien chłopiec zrobił coś takiego dla mnie - szepnęła. - Obawiam się, że kocham cię tak, jak chciałabym kochać Rovala. Nigdy nie byłam dla niego wystarczająco dobra, ale ty i ja jesteśmy tego samego pokroju.

Potem przejrzała swój bagaż, wyjęła z niego książkę, trochę biżuterii i szpilek do włosów oraz kilka amuletów eterycznych. Wręczyła to wszystko Andry'emu.

- Książka jest dla ciebie na pamiątkę. Resztę rzeczy sprzedaj, pochodzą z Torei, więc są unikatami.

- „Podstawowe zaklęcia i rzucanie uroków dla uzdolnionych amatorów” - przeczytał Andry.

- Czytałam to, aby poprawić swoją znajomość alberinińskiego, ale to dobry elementarz dla kogoś tak bystrego jak ty - wyjaśniła. - Wkrótce cię opuszczę, Andry. Mam wiele na głowie, lecz będzie mi się lepiej walczyło, jeśli ktoś się rozejrzy za pewnym moim przyjacielem. Kiedy wrócisz do Alberinu, czy mógłbyś mieć oko na Rovala?

- Przrzekam ci to, Teri.

- Także w Alberinie mieszka Wensomer, też ma problemy. Proszę, spróbuj jej pomóc. To znakomita czarodziejka, a jej umiejętność tańca brzucha jest... zadziwiająca.

- Zgoda.

- I zabierz Larona do Alberinu. Wensomer i Roval to jedyni przyjaciele, jacy mu zostali na tym świecie.

- Tak zrobię.

- Wiesz, co się stanie teraz?

- Tak. Dostaniesz ode mnie prezent. Wszystkie moje racje żywnościowe. - Wręczył jej dwie torby. - Pożyczę od Wallasa, on ma tego mnóstwo.

- Andry, ja... ja nie rozumiem.

- Widzę, że zamierzasz umrzeć dziś wieczorem i w ogóle. Wrogowie martwych ludzi nie jadą za nimi, nawet ja to wiem. Urządzą wielki pokaz żalu i rozpacz.

Dostrzegam znaczenia ukryte między słowami.

- Cieszę się, że nie jesteś moim wrogiem, Andry, jesteś zawsze o krok z przodu. I dziękuję. Tam, gdzie się wybieram, nie ma żywności.

Kiedy podnieśli się, by wyruszyć, Andry machnął kciukiem w kierunku Wallasa. Chociaż wciąż związany i zakneblowany, leżał i spał.

- Nie mam ochoty go nieść dalej. Co z nim zrobimy?

- Znam pewne techniki uzdrowicielskie i uroki, rzucę czar na jego umysł, aby ukryć wspomnienia związane z Willym. Tym zaklęciem uspokaja się zgwałcone dziewczęta i maltretowane dzieci.

- Jak długo będzie działało?

- Aż mu się zachce sikać.



Wallas był w stanie znowu iść. Nie pamiętał, co się stało w jaskini szklanych smoków. Dzięki temu uszli spory kawałek, a późnym wieczorem mieli dotrzeć do miejsca, w którym zostawili konie. Andry zatrzymał się i spojrzał w dół na pastwisko.

- Konie wciąż tam są - powiedział.

- Prawie sobie życzyłem, żeby szklane smoki je pożarły - zrzędził Wallas. - Nie wiem, co gorsze, chodzić i mieć obolałe nogi, czy jechać konno i mieć otarcia od siodła.

- Ktoś je przestawił.

- Nie bądź stuknięty, przecież je widzę.

- Liny, do których są przywiązane, zostały przeniesione tylko o trzy metry, ale wystarczająco, aby konie stały zawsze w miejscu, które oświetla Smoczy Mur.

- Jesteś pewien?

- Jestem cieślą! Mam dobre oko do miar i linii.

- Powiedziałeś, że Terikel rzuciła zaklęcie stróżujące na końską uprząż - nagle przypomniał sobie Wallas.

- Kłamałem - rzekł Andry. - Smoki miały rację. Ktoś tam na nas czeka.

- Czekają, aby nas zabić? - zapytał Wallas ponuro.

- Czekają, aby zabić mnie - powiedziała Terikel.

- A, to w porządku. - Wallas nagle się ożywił. - Więc nikt nie ściga mnie ani Andry'ego.

Andry objął ramieniem Terikel, potrząsając głową.

- Niezależnie od okoliczności, pani, spędzisz ostatnią noc ze mną. Jesteś teraz

moją dziewczyną. Wallasie, możesz się odpieprzyć, jeśli masz ochotę.

- Konie są obserwowane, a Logiar jest o dziesięć dni marszu stąd! - zaprotestował Wallas.

- Zgadza się, a obserwatorzy są osiłkami, którzy chcą zrobić nam coś bardzo bolesnego - zauważył Andry.

- Nie zrozum mnie źle, ale oni chcą jedynie pani Terikel - powiedział Wallas. - Mógłbym zejść na dół, powiedzieć im, że wy dwoje wciąż rozmawiacie ze smokami i odjechać. Dogoniłbym zwiadowców, a oni by tu wrócili i zrobili porządek z Alpeńczykami.

- Wallasie, oni na pewno sądzą, że każde z nas wie, jak zniszczyć Smoczy Mur, bo byliśmy na górze u smoków - tłumaczyła Terikel. - Zostałbyś zastrzelony.

- Nie możesz tego wiedzieć! - zripostował Wallas.

- Dobrze, idź. - Terikel dała Wallasowi kawałek białego materiału.

- Z drugiej strony, wszyscy wiemy, że ci okrutni żołnierze z nizin społecznych mają skłonność do pochopnego wyciągania głupich wniosków - westchnął Wallas, odrzucając tkaninę.

- Wiedzą, że nie ruszymy się nigdzie bez koni. - Andry patrzył teraz na drogę okalającą góry. - Ale my możemy wejść tam, gdzie nie dostaną się konie. Czekać tutaj.

Zniknął gdzieś na pół godziny.

- Mają swoje i nasze konie, ale jeśli chcą na nich jechać, mogą udać się tylko tam, gdzie wejda zwierzęta - rzekł po powrocie. - My możemy się wspinać.

- Wspinać? - zapytał Wallas. - Masz na myśli powrót do smoków i ich jaskini? Wątpię, czy będą szczęśliwe.

- Nie w górę, dookoła. Droga przecinająca te góry staje się bardzo wąska. Doskonała na zasadzkę.

- Dlaczego miałyby nas to obchodzić? Przecież możemy zrobić zasadzkę tutaj!

- Najważniejszym słowem jest „wąska”, a nie „zasadzka”, Wallasie - powiedział Andry.



Cztery godziny zajęło im pokonanie gór, a krótko przed północą dotarli do drogi po drugiej stronie. Nieprzyjemny incydent wydarzył się, gdy Wallas poczuł potrzebę oddania moczu, a Terikel musiała ponownie rzucić na niego zaklęcie niepamięci, by przywrócić mu zmysły, ale na szczęście obserwatorzy byli zbyt daleko,

żeby coś usłyszeć. Po minięciu odcinka, gdzie z jednej strony była pionowa skała, a z drugiej przepaść, droga wychodziła na małą łąkę.

- Jak dotąd idziemy nawet zgodnie z ustaleniami - powiedział Andry. - Zaczekajcie tutaj.

- Dlaczego po prostu nie uciekniemy? - zapytał Wallas. - Minie dzień lub więcej, zanim sobie zdadzą sprawę, że nie wracamy z góry.

- Ale wtedy ruszą za nami. Mają konie, a konie mogą biec cztery czy pięć razy szybciej niż my iść - lub, jak w twoim wypadku, kuśtykać. Pani, zostań tutaj, aż usłyszysz głośny łoskot, wtedy policz do trzystu. Jeśli do tego czasu nie dołączymy do ciebie, uciekaj do Logiar. Wallas, idziesz ze mną.

- Ale nie zamierzamy robić niczego bohaterskiego, prawda? - zapytał Wallas.

- Gdybym miał coś takiego w planach, nie brałbym ciebie.

Andry wziął Terikel w ramiona, a ona w odpowiedzi uściśniła go z niespodziewaną siłą.

- To zaszczyt być darzonym uczuciem przez ciebie, pani - wyszeptał Andry.

- To zaszczyt być twoją dziewczyną, zwiadowco - odszepnęła.

- Żegnaj.

Ruszyli cicho, kuląc się i trzymając w cieniu. Andry prowadził pod górę ścieżką wąską i stromą, czasem ledwo można było znaleźć uchwyt dla rąk. Wallas oświadczył, że dalej nie idzie, gdy dotarli do skalnej ściany wznoszącej się na trzydzieści metrów ponad drogą.

- Więc zaczekaj tutaj - szepnął Andry.

- Nie będziesz potrzebował mojej pomocy?

- Nie. Przyprowadziłem cię tutaj, żeby nie zostawić pani sam na sam z tobą.

Wallas siedział cicho przez chwilę; potem wyjrzał za krawędź urwiska. Droga na dół była przygnębiająco długa, a Terikel poza zasięgiem wzroku, w cieniu. Pomyślał o samotnym schodzeniu z powrotem i zbudzeniu w niej podejrzeń, iż zdradził Andry'ego. Zdecydował, że próba zejścia na dół bez pomocy Andry'ego jest z góry skazana na porażkę. To była wysoka cena, którą płacił za zaloty do Terikel. Usiadł i zamknął oczy.

- Jestem tutaj, sam, w środku gór Capefang - mówił sam do siebie. - Otoczony przez gigantyczne smoki i wrogich jeźdźców, z resztką jedzenia, bez konia i bez perspektywy rychłego dotarcia do cywilizacji. Cóż jeszcze mogłoby mi się przytrafić?

Coś, w co wmieszana była jaskinia szklanych smoków, zaczęło mu kielkować w

głowie, ale zupełnie tego nie mógł przywołać w pamięci.

- Możesz się śmiać - dodał z nagłym westchnieniem. - Któż mógłby pomyśleć, że mistrz królewskiej muzyki zostanie doprowadzony do takiego stanu? Powiniennem zagrać na lirze i zaśpiewać lament... ale zostałbym zastrzelony. Co za ironia! Upadłem nisko między najwyższymi szczytami Acremy! Hm, to dobry wers na początek ballady...

Zaczął układać kolejne wersy.



Terikel spojrzała ponad krawędzią drogi. Dno przepaści ginęło w cieniu daleko, daleko w dole. Zdjęła podróżną pelerynę, a potem pozbyła się kolczugi, pochylając się i pozwalając jej spłynąć jak jakiejś egzotycznej, robionej na drutach cieczy. Zepchnęła ją z krawędzi urwiska, mimo że kolczuga kosztowała równowartość kilku lat pracy wysoko wykwalifikowanego rzemieślnika.

Teraz Terikel przejrzała swoją odzież, związując ciasno wszystkie sznurówki. Nożem zrobiła małe nacięcie na dłoni i spryskała drogę kilkoma kroplami krwi. Ze swego bagażu wybrała kilka rzeczy, potem najadła się i napiła do syta. Pracując ostrożnie, ale z pośpiechem, zrobiła owalny pakunek, zawijając w płaszcz wszystko, co zdecydowała się zatrzymać. Położywszy swoją torbę i topór na ziemi, zarzuciła pakunek na ramiona.

To, co musiała zrobić, normalnie zajmowało jakieś pół godziny, może nieco dłużej, ale ona miała tylko parę minut. Trochę czasu poświęciła na sporządzenie plecaka ze sznura i owalnego pakunku, potem w złożone dłonie wypowiedziała podstawę zaklęcia i uformowała je w kształt, który oplótł się wokół jej bagażu.

Znowu wypowiedziała podstawę zaklęcia i tchnęła siłę życiową w niewyraźnie świecący pakunek. Z jego środka zaczął wyrastać kolec. Im bardziej kolec rósł, tym mniej świeciło skomplikowane zaklęcie. Z każdym oddechem czuła się coraz słabsza i miała świadomość, że gdyby teraz ktoś przypadkiem tu przyszedł, znalazłby śmiesznie łatwą ofiarę. Gdy kolec rósł, pojawił się lekki wietrzyk, a ona wiedziała, że każdy wiatr może jej uniemożliwić dalsze działanie. Tylko szczęściu zawdzięczała to, że w górach tak długo trwał okres spokoju burz toreańskich, ale przypomniawszy sobie, że czasem dzięki szczęściu powstają lub upadają cesarstwa. Kolec miał ponad piętnaście metrów, nim zdecydowała, że nie może dłużej ryzykować.

Półowa tego, co powinno być, a plecak jest nieuczciwym złamaniem zasad, ale nie ma tu żadnego egzaminatora, który mógłby mnie oblać, pomyślała.

Bardzo ostrożnie przeniosła plecak nad głowę, potem sięgnęła w górę i rozdzieliła kolec na dwie części, które zaczęły się rozszerzać. Kiedy rozłożyły się na czterdzieści pięć stopni, połączyła eteryczne skrzydła z zakłębieniem oplatającym bagaż na jej plecach. Potem kontynuowała rozkładanie skrzydeł. Gdy brakowało im zaledwie pięciu stopni do uzyskania linii prostej, zakończyła proces.

W tej chwili była całkowicie bezbronna, jak motyl przez kilka minut, które upływają od wydostania się z kokonu do całkowitego rozwinięcia skrzydeł, ale Fortuna była dla niej łaskawa. Teraz czarodziejka musiała skoczyć. W myślach sprawdziła listę zadań, którą układała od czasu opuszczenia Palionu. Wydawało się, że o niczym nie zapomniała, a okoliczności wyglądały lepiej, niż mogła mieć nadzieję. Powinna być uważana za zmarłą, gdy zniknie i nikt na nią już nie będzie polować.

Wstała, czując, jak jej prawie niewidzialne skrzydła utkane z eteru łapią powiewy prądów powietrznych i ciągną ją do tyłu. Musiała skoczyć niezwłocznie, zanim jakiś silniejszy podmuch wiatru wytrąci ją z równowagi. Skoczyła. Po kilku metrach złapała wznoszący prąd powietrzny, który poderwał ją i oddalił od skalnej ściany. Była w ciemnym ubraniu, więc w mroku, na tle nocnego nieba i cieni odległych szczytów była praktycznie niewidoczna. Uderzył ją prąd powietrzny. Zimny prąd powietrzny. Gwałtownie wyssał ciepło z jej ciała. Zamarzłaby na śmierć przed upływem godziny, ale nie potrzebowała godziny w powietrzu.



Gdzieś w oddali głośno huknęło. Wallas się obudził. Ziemia pod nim zadrżała. Trzęsienie ziemi, pomyślał, zastygając na moment ze strachu. Znów zapadła cisza. Może to było tylko malutkie trzęsienie ziemi, uznał. Wrócił myślami do układanego lamentu. Zaczął go sobie recytować.

- Czas w drogę - dobiegł go z góry głos Andry'ego.
- Co mamy zrobić? Słyszałem głośny huk.
- Powinieneś przestać jeść kapuśniak - powiedział Andry, wychodząc z cienia.
- Co to był za hałas?
- Jaki hałas? - Andry podniósł swój plecak.
- Zatrząśł ziemią.
- Ach, ten hałas.
- To mógł być smok.
- Nie wiem. Ciekawe, czy smoki puszczają baki. Wyglądają na eleganckie.
- Mów z sensem! - warknął Wallas, gdy zaczęli schodzić. - To ty tak

hałasowałaś?

- Nie aż tak, nie puszczam takich głośnych bąków.

- Andry! Co się naprawdę stało?

- Bez paniki. Wspiąłem się powyżej drogi, gdzie przecina ją wąski jar i spuściłem skalną lawinę. Kilka głazów było wręcz gotowych do przewrócenia. Teraz droga jest zatarasowana skałami i oczyszczenie jej zajmie dzień lub dwa.

- Lawina? Nawet ja mógłbym obejść zator, wspinając się po skałach.

- Ty tak, ale nie konie. Zanim nasi wrogowie będą mogli przeprowadzić tamtędy wierzchowce, muszą usunąć kamienie. Dopiero wtedy za nami ruszą, a to daje nam spore szanse na ucieczkę. Gdzie jest pani?

Zeszli na drogę. Szczyty, których nie oświetlał Smoczy Mur, lśniły zielonym blaskiem. Miral świecił jasno po wschodniej stronie horyzontu i droga, na której została Terikel, była jasno oświetlona przez otoczonego pierścieniami pana świata. Wallas ostrożnie ruszył ku krawędzi przepaści. Znalazł bagaż i topór. I nic poza tym.

- Pani Terikel, musimy ruszać! - krzyknął.

Krzykami nie przyciągnął uwagi prezbiterki, za to Andry błyskawicznie znalazł się koło niego.

- Uciszyć się, do ciężkiej cholery! - syknął. - Gdzie ona jest?

- Tu jest bagaż, ale jej nie ma.

Andry szybko sprawdził najbliższy teren.

- Nic dookoła... nic! Jest jeszcze coś!

- Co?

- Tutaj, na drodze, niedaleko krawędzi. Ciemne, kleiste, zimne.

- Co? Ciemne, kleiste, zimne? Mów z sensem. Gadasz, jakbyś wyszedł z tawerny po całonocnym picciu.

- To krew! - Zasyczał Andry.

- Krew?!

- Wszystko wokół jest nią zachlapanie. Wygląda, jakby ktoś pchnął ją nożem. Ale ona z nim walczyła.

- Z kim?

- To musiał być jeden z Alpeńczyków pozostawionych na straży przy mojej lawinie. Pani! Gdzie jesteście?!

- Czy dostanę nagrodę, jeśli powiem, że pewnie tam, na dole? - powiedział Wallas wskazując krawędź urwiska.

- Drań próbował ją zabić.

- Drań wykonał przy tym dość dobrą robotę.

- Ale pociągnęła go za sobą w przepaść. - Andry zdołał powstrzymać szloch. -

Umarła w ramionach jakiegoś przeklętego Alpennieńczyka...

- I ty nazywasz mnie beznadziejnym poetą? - zadrwił Wallas.

- Chłopcze, otrząśnij się! Musimy uciekać.

Andry wychylił się poza krawędź. Wallas także spojrzął w dół, ale szybko się wycofał i zamknął oczy.

- Może ona leży jeszcze żywa tam na dole, może spadła na miękkie krzaki - upierał się Andry.

- Nie bądź stuknięty! - powiedział Wallas, odciągając go od krawędzi.

- Muszę coś zrobić.

- Schodzenie tam zajęłoby ci pół dnia i wymagałoby ze dwóch kilometrów liny.

- Gdybym chociaż mógł cokolwiek dojrzeć! - krzyknął Andry.

- Jest tak ciemno, że nie znalazłbym własnych jaj nawet z pomocą psa tropiącego.

- Żaden pies tropiący nigdy nie podejdzie w pobliże moich jaj... - zaczął Wallas.

- Cicho! Co to?

W oddali dały się słyszeć głosy. I szczekanie.

- Alpennieńczycy! - załkał Wallas. - I mają psy jajo... to jest psy tropiące.

- Żegnaj, dziewczyno i niech Fortuna ci sprzyja! - Andry rzucił ostatnie spojrzenie w przepaść. - Wallasie, uciekamy!

Wallas był gotowy do drogi w trzy minuty. Potem biegł przez kolejny kwadrans. Przed upływem godziny był zdolny do szybkiego marszu, a o świcie już tylko kuśtykał. Czar górskiego wschodu słońca i przepiękną kurtynę migoczącego światła Smoczego Muru na zachodzie skrył poranny opar. Nie zatrzymali się na śniadanie, jedli w drodze.

- Czy nie moglibyśmy wspiać się na skały ponad drogą i ukryć? - błagał Wallas.

- Pamiętasz psy tropiące?

- Ale to beznadziejne! Nie dotrzemy do granicy, nawet jeśli będziemy się tak mordować aż do wieczora.

- Tak, ale może natkniemy się na jakąś farmę, gdzie będą mieli konie. A teraz powłócz szybciej nogami.

- Nie, stańmy na chwilę. Nie sikałem od niepamiętnych czasów.

To musiało w końcu się stać, pomyślał Andry. Wallas podniósł tunikę i ponownie odkrył wypaloną w spodniach dziurę, a potem od okolicznych skał odbił się echem potworny wrzask przerażenia.



Dla Velander splecenie jej sił życiowych ze smokokształtnym zaklęciem było niemal tak samo bolesne jak trauma ocierania się o liczne kanały kontrolne zaklęcia i formowanie się przypadkowych połączeń. Jest różnica między naprawdę pełną mściwością walką na pięści a poddawaniem się dokładnemu masażowi. W obu wypadkach w grę wchodził ból, ale masażowi towarzyszy świadomość, że leży on w jak najlepszym interesie masowanego.

- Zauważysz, że twoje ciało staje się stopniowo coraz słabsze - powiedział Nauczyciel. - Powodem tego jest fakt, że nie wiemy, co mamy robić. Jesteś pierwszą istotą ze swojego gatunku, która przybyła tutaj.

- A gdzie jest „tutaj”? - zapytała Velander głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Ciągłe jesteś w Alpenfast, w tym samym łóżku. Tyle że łóżko zostało przeniesione na dach, więc będziemy się tobą zajmować bez powodowania szkód we wnętrzach i sprzętach.

- Nie mogłabym niczego zniszczyć - jęknęła Velander. - Mam zaledwie tyle siły, żeby mówić.

- Przez jakiś czas byłaś martwa. Nie ma się jednak czym niepokoić.

Velander usiłowała się roześmiać.

- W pewnym sensie każdy z nas jest trochę taki jak ty - ciągnął Nauczyciel. - Tylko rośliny mogą przetrwać, nie czerpiąc siły życiowej z innych istot. Kiedy śmiertelnicy jedzą orzechy, rzepę, ciasto z bakaliami czy kurze udko, czerpią siłę życiową z innych. Byłaś na krawędzi śmierci, a nawet na pewien czas nieco przekroczyłaś tę granicę, więc potrzebujesz trochę... czy mogę powiedzieć brutalnie?

- Krwi żywego człowieka.

- Tak, tak, a teraz umierasz z głodu, ponieważ nienawidzisz tego, czym się stałaś, jednak pewna część ciebie jest poza twoją kontrolą i nie jesteś jej nawet świadoma. Wchłonęłaś zaklęcie, które zmienia śmiertelnika w smoka, moja droga. Wiele lat zajęło stworzenie go, a twórca znakomicie nad nim panował przez lata. Nagle ty je przejęłaś i nie masz pojęcia, co robić. Świadomość poza świadomością je kontrolowała, ale teraz musimy przekazać cugle w twoje ręce. Jednakże jest bardzo

wiele cugli.

- Rozumiem szczegóły, lecz nie mogę pojąć całości - wyznała Velander.

- Spójrz na mnie. Jestem szklanym smokiem.

Velander otworzyła oczy, spojrzała - i zdała sobie sprawę, że widzi! Piękno Alpenfast ją obezwładniło. Był wczesny poranek, świątynie i inne budynki błyszcząły na górskich zboczach jak drogocenne kamienie wyrastające z czarnej wulkanicznej skały. Zwierciadło Niebios odbijało jarmarczne kolory chmur, błądy dysk Mirala świecił słabo na jaśniejącym niebie, a Smoczy Mur wznosił się przejrzystym klifem naprzeciw niej. Komuś, kto długo był ślepy, ten widok zapierał dech w piersi. Velander poczuła, że gdyby już nie leżała, to by upadła, zemdlała. Orzeźwiający wietrzyk zwiastował nadciągającą burzę, w powietrzu był jakiś ostry chłód. Velander uświadomiła sobie, że jest na dachu.

Nauczyciel - wysoki, chudy mężczyzna - stał obok niej. Uśmiechnął się, jego skóra pokryła się delikatną siateczką świecąca niebieskim blaskiem. - Jestem smokiem - powiedział. - W Alpenfast wszyscy są albo szklanymi smokami, albo studentami, kandydatami na smoki, albo kandydatami na smoki, którym się nie powiodło. Och, śmiertelnicy myślą, że są kapłanami, ale tak jest lepiej, bo wielu bohaterów chciałoby tu przyjechać w poszukiwaniu smoka do zabicia. Patrz teraz. Mogę rozciągnąć tę siatkę na mojej skórze tak, by zamienić się w smoka z ogromnymi skrzydłami, ale musiałbym połknąć nieco skał, żeby wiatr mnie nie porwał, gdyż energia nie ma ciężaru.

- Nie ma?

- Cóż, niektórzy ze szklanosmoczych teoretyków rozłożyliby skrzydła ze zgrozy, słysząc to stwierdzenie, lecz potrzebowałabyś kilku stuleci studiów, zanim byłabyś w stanie wszystko zrozumieć. Sednem jest to, że masz eteryczny potencjał, by być smokiem, ale masz też problem z wizerunkiem. Bardzo poważny problem z wizerunkiem. No i jesteś nie do końca żywa, a to także dla mnie precedens. Zawróciłem cię z krainy śmierci. Terikel mi powiedziała, że Laron ściągnął cię tutaj i doprowadził do obecnego... stanu, tak, to jedyne słowo, jakim można to określić. On doprowadził cię do stanu wampira, ale ja zamierzam przywrócić ci życie.

- Życie? - z trudem wykrztusiła Velander.

- Tak, tak, ciepła krew, puls, spożywanie posiłków w tawernach zamiast gości, to wszystko, ale tylko gdy Miral zajdzie. Kiedy Miral będzie wysoko, będziesz taka jak ja.

- Czyli przez jakiś czas będę smokiem?

- Szklanym smokiem, tak, z jedną bardzo istotną różnicą i jest to bardzo niebezpieczną różnica. Mogę sobie narobić wrogów w kręgu szklanych smoków, ale ponieważ już teraz mam na pieńku z kilkoma z nich, więc popatrzę, jak Matka Natura karze ich za głupotę.



Przed południem Wallasowi z butów sączyła się krew i zostawiała ciemną ścieżkę w pyłe drogi przy każdym kroku. Nie natknęli się na żadną farmę ani podróżnego, nie widzieli też śladu zwiadowców.

- Niech cię szlag! - syczał Wallas raz za razem.

- Willy to nie było to, co miałem na myśli - bronił się Andry.

- A co takiego miałeś na myśli?

- Chciałem, by szklane smoki sprawiły, żebyś był miłszy dla kobiet.

- Ale ja byłem miły dla kobiet. Nadzwyczaj miły.

- Lub żeby nawet zamieniły cię w dziewczynę...

- Dziewczynę?!

- Żebyś mógł poczuć swój styl uwodzenia od innej strony.

- Potwór!

- Zastanawiam się, co osiągnęliśmy dzięki pobytowi w jaskini szklanych smoków - powiedział Andry.

Wallas podniósł tunikę i wskazał Willy'ego.

- Poza tym - dodał Andry.

- Nim! - podkreślił Wallas stanowczo.

- Willy może być kobietą - wysunął przypuszczenie Andry.

- Penis rodzaju żeńskiego?!

- Dobra, dobra, on. Ale chciałbym zrozumieć, czego dowiedziała się Terikel. Dzięki temu moglibyśmy kontynuować jej zadanie.

- Ty mógłbyś. Ja zamierzam wrócić i zostać pałacowym kucharzem w Logiar. Czy możemy się zatrzymać przy tych skałach? Muszę znowu sikać.

Andry usiadł i pociągnął łyk wody z bukłaka, a Wallas zniknął za skałą.

- Fuj, ciągle nie mogę się zmusić do dotknięcia tego paskudztwa - zrzędził.

- Nie prosz mnie o pomoc - zastrzegł się Andry.

- Willy słucha poleceń, sam wylazi przez rozporek.

- O, może powinien zostać ochotnikiem.

- Zastanawiam się, czy mógłbym go nauczyć żonglować...



Wczesnym popołudniem usłyszeli odległe szczekanie psów. Do tej pory Wallas ciężko wspierał się na Andrym, który zauważył, że byłoby szybciej, gdyby Wallas szedł na czworakach.

- Ogary! - wydyszał Andry.

- Może szukają twoich jaj - odparł Wallas.

- Mała szansa, żeby szukały moich! - zareplikował Andry.

- Słyszałeś, Willy? On jest zazdrosny, ponieważ ma pospolite, zwykłe jaja.

- W końcu potrafię używać swoich do...

- Sto trzydzieści siedem, pamiętasz? - sapnął Wallas. - To już koniec, mają nas!

- Nie, musimy tylko znaleźć jakieś miejsce, gdzie ukryjemy się i przeczekamy do nocy. Może uda nam się ukraść konia.

- Gdybym wykorzystał twój plan w jednej z moich ballad, najsilniejsi faceci leżeliby na ziemi ze śmiechu - odparł Wallas.

- Myśląc w ten sposób, możesz umrzeć, siedząc.

- Ty... masz rację. Tam, w górze, ta sterta kamieni na wzgórzu.

Kamienie okazały się starożytną kaplicą. Zbudowano ją jako dość porządną bastion, solidnie zabezpieczony i z szerokim polem widzenia. Bardzo korzystne było to, że leżała na stromym stoku, na który konie mogłyby się wspiąć tylko z dużym trudem. Jeźdźcy pojawili się na drodze, Andry naliczył czternastu, dokładnie jak ostrzegali ich smok. Mieli jednego ogara, który poprowadził ich po tropie prosto do kaplicy. Andry'emu udało się zabić psa czwartym strzałem z kawaleryjskiej kuszy.

- W końcu bez ogara nigdy by nas nie znaleźli - powiedział.

- Kogo to obchodzi, skoro właśnie nas znaleźli! - jęknął Wallas. Jeźdźcy się zbliżali, jednak ich łuki nie miały takiego zasięgu jak kusza Andry'ego. Rezultatem kolejnych jedenastu strzałów był jeden bełt w udzie Alpennieńczyka i drugi w zadzie któregoś z koni. Zraniony koń wierzgnął i przypadkowo trafił w żołnierza z tyłu, łamiąc mu nogę.

- Przygotowują się do ataku na nas - rzekł Andry, wystrzeliwując kolejny pocisk.

- Oszczędzaj bełty, zostało nam już tylko dziewięć - przypomniał mu Wallas.

- A masz! Trafiłem jednego w nogę.

- Jestem pewien, że to wszystko zmieni. Ja... Słyszałeś to?

- Co?

- Rodzaj ryku.

- Daleka burza. Wiatr się wzmaga, przygania chmury. Zbliżało się siedmiu toporników. Zbici w gromadę, zasłaniali się tarczami. Łucznicy rozbiegli się na różne strony. Andry przykucnął i czekał, trzymając naładowaną kuszę. Pagórek był zbyt stromy na gwałtowny atak, ale wróg mógł mieć przenośne osłony. Andry odskoczył i wystrzelił z kuszy, potem zrobił unik, gdy kilkanaście strzał poleciało w jego kierunku.

- Miej na nich oko, Wallasie. Musimy się dostać do Poziomej Skały.

- To jest Pozioma Skała - rzekł Wallas szeptem. Podnieśli wspólnie duży kamień.

- Liczę do trzech - zapowiedział Andry. - Raz, dwa, trzy!

Głaz ważył jakieś czterdzieści kilogramów i nabrał imponującej szybkości. Uderzył w żołnierza pośrodku grupy toporników, a że ich tarcze były połączone, ten jeden pociągnął czterech innych na ziemię. Trzech usiłowało przypuścić atak na pozbawioną dachu kapliczkę.

Andry chwycił dwa topory - swój oraz Terikel - i zaatakował pierwszego Alpenińczyka. Łucznik strzelił do niego, ale w zamieszaniu trafił w pośladek jednego z własnych towarzyszy. Trzeci zaatakował Wallasa, uderzył tarczą i nogą podciął mu kolana. Wallas upadł na plecy. Alpenińczyk postawił mu stopę na brzuchu, zamachnął się toporem - a wtedy Willy spod tuniki Wallasa zionął strumieniem rozżarzonych iskier, które podpaliły nogawkę spodni nieprzyjaciela i zatopił kły w jego pięcie. Topornik z wrzaskiem odrzucił broń, a wtedy Wallas ciął go w kark jego własnym toporem. Andry i trzeci Alpenińczyk przestali walczyć, gapili się na Willy'ego. Wallas jeszcze raz zamachnął się toporem i odrąbał wrogowi głowę.

Założywszy alpeniński hełm, Andry sprawdził, co robią pozostali nieprzyjaciele. Okazało się, że dokonywali przegrupowania przed zbrojną wycieczką, tym razem z silniejszym wsparciem łuczników.

- To za panią, wy popieprzeńcy! - wrzasnął wyzywająco. - Tak, kolejnych też załatwię, gratis! Chodźcie, chodźcie, który następny?!

- Nie zachęcaj ich, gówniarzu! - mitygował go Wallas.

Strzały zabrzęczały o skałę.

- Tak, świetnie! - krzyczał Andry. - Zmarnujcie wszystkie strzały, dobra nasza!

- Na miłość boską, Andry, słuchaj, co mówię! - Wallas zmienił swoją nadpaloną tunikę na odzież zdartą z zabitego Alpenińczyka. - O, patrz! Miał mieszek wypchany

srebrem.

Nagle echem rozległy się krzyki. Alpennieńczycy obejrzeni się i zamarli na chwilę. Andry także się odwrócił i zobaczył olbrzymiego ptaka, który pędził drogą na nogach wyższych niż domy w Alberinie. Alpennieńczycy się rozproszyli. Dwóch rannych, którzy zostali przy koniach, wgramoliło się na wierzchowce i pognało na południe, jak najdalej od drogi. Ptak chwycił najbliższego z uciekających pieszo. Złapał go za głowę, potrząsnął mocno i wyrzucił w powietrze zdekapitowane ciało. Następną ofiarę przeciął na dwoje.

- To nasz szczęśliwy dzień - powiedział Andry.

- Co?! - Wallas nie mógł oderwać wzroku od krwawych ochłapów, które pozostały z łuczniaka.

- Jeden ze smoków przybył, aby nas uratować.

- Wcale nie wygląda jak smok.

- Myślę, że to smocze dziecko.

- Smoki nie miewają dzieci, czarodzieje się zamieniają w smoki, zapomniałeś?

- Cóż, może jakiś czarodziej zamieniony w smoka uczy się chodzić, zanim nauczy się latać.

- Jesteśmy zgubieni!

- Pomyśl chwilę, Wallasie. Ze wszystkich obecnych tutaj tylko my mamy się gdzie ukryć.

Łucznicy zbili się w gromadę i wysyłali salwę za salwą w kierunku zbliżającego się ptaka. Każda strzała trafiała w cel, ale żadna nie wyrządziła mu widocznej szkody. Potwór ociężale przeszedł nad zrujnowaną kapliczką, w której ukrywali się Andry i Wallas; potem okolicę wypełniły przeraźliwe krzyki i jęki, gdy dotarł do łuczników. Wallas zakrył sobie oczy. Andry wymiotował.

- Bądźmy cicho, bardzo cicho - szepnął Wallas.

Ptak połknął człowieka, którego właśnie udało mu się złapać. Miał ośmiometrowej długości wężowatą szyję, jego korpus przypominał olbrzymią baryłkę piwa na kilkumetrowych bocianich nogach. Krótki ogon tworzyło kilka wystrzępionych piór. Para mizernych skrzydeł wyglądała, jakby została dodana dla dekoracji.

Dwaj Alpennieńczycy, którzy wskoczyli na konie, gdy tylko zobaczyli ptaszysko, zatoczyli wielką pętlę i jechali teraz na wschód. Ptak popatrzył na nich, obejrzał się na przerażone, ale mocno spętane konie, chyba zastanawiał się przez chwilę, a potem

zaryczał, co zabrzmiało jak wydłużony huk pioruna i pognał za jeźdźcami.

- Zbiegniemy do koni, weźmiemy dwa, resztę puścimy wolno i pędzimy na zachód - powiedział Andry. - Jakieś pytania?

- Gng! - odparł Wallas.

Ciała, fragmenty ciał i porzucona broń poniewierały się dookoła, gdy Andry i Wallas wygramolili się z ruin kaplicy i pokuśtykali do koni. Wybrali najłagodniejszego dla Wallasa, a Andry wziął wierzchowca, który biorąc pod uwagę okoliczności, wydawał się mieć najmocniejsze nerwy.

Do wieczora dotarli na granicę Alpennien. Pokazali swoje papiery, dali łapówkę i wyjaśnili, że próbują dogonić oddział zwiadowców. Strażnik graniczny im powiedział, że zwiadowcy przekroczyli granicę dzień wcześniej. Andry zorganizował transakcję barterową, wymieniając wyczerpane alpenneńskie konie bojowe, czterdzieści srebrnych wasali i rzut okiem na Willy'ego na dwa świeże wierzchowce.

- Czy nie powinniśmy byli uprzedzić ich o smoczątku? - powiedział Wallas, gdy już przejechali granicę.

- Naprawdę sądzisz, że będą chcieli oglądać jego dokumenty?

Droga skręciła prawie prosto na południe, jechali nocą, przy świetle Smoczego Muru. Wczesnie rano następnego dnia Wallas przekonywał rolnika, że ich spocone, zmęczone konie są uczciwą zamianą na dwa świeże, podczas gdy Andry trzymał kuszę wymierzoną w środek czoła farmera. Żona i córka gospodarza patrzyły na to z przerażeniem.

- Chcecie tylko moich koni? - zapytał rolnik, który zaczął sobie uświadamiać, że to rodzaj targowania się.

- Zostawimy ci nasze, są wystarczającą zapłatą za twoje wypoczęte - powiedział Andry.

- Więc honor mojej żony i córki nie jest zagrożony?

- Ja nie chcę, on nie może - odparł Andry.

- Czy powiedziałaś im, że jestem eunuchem? - dopytywał się Wallas, który robił się coraz bardziej wrażliwy na tym punkcie. - Ha, mam tutaj coś, co jest znacznie bardziej interesujące!

Podniósł przód tuniki. Willy Zasyczał na farmera, potem wypuścił strumień płomieni i iskier w kierunku żony i córki gospodarza jako ostrzeżenie, aby trzymały się z daleka. Obie kobiety zemdlały. Rolnik z oczami wielkości spodków wyciągnął palec w stronę Wallasa, ale nie mógł wykrztusić z siebie słowa, chociaż próbował.

- Sami widzicie, jaki wstyd mi przynosi - powiedział Andry, opuszczając kuszę. - Chodź, Wallasie, jedziemy.



Terikel nie odleciała daleko po skoku do przepaści. Poszukiwanie prądów wznoszących zawiodło ją kilka kilometrów od Taloncrag, ale gdy tylko zyskała wysokość, zawróciła. Miała takie same potrzeby jak wszystkie inne smoki. Szukała osłoniętego od wiatru płaskiego terenu do lądowania i dogodnego spadzistego stoku do startów. Z góry ujrzała dwie figurki wędrujące pieszo na zachód oraz odnotowała fakt, że droga była zablokowana przez lawinę głazów, których parę minut wcześniej jeszcze nie było. Zatoczyła krąg nad Taloncrag, potem wyprostowała nogi, wytraciła prędkość i wylądowała na osypisku przed jaskinią szklanych smoków.

Nikt z pieczary nie wyszedł ani żeby rzucić wyzwanie, ani żeby ją powitać. Było tak, jak podejrzewała. Smoki zastawiły pułapki i zaklęcia ostrzegające przed tymi, którzy przybywają na nogach, ale nie przeciw gościom z powietrza.

- Błagam o wybaczenie, nie zabawię tu długo - powiedziała na wypadek, gdyby ktoś słuchał. Potem zrzuciła skrzydła z ramion i zabrała się do pracy.

Wyszeptała słowa zaklęcia i uformowała spletaną sieć jarzącą się delikatnym blaskiem. Uniosła ją i mocno przycisnęła do czubka głowy. Rozciągnęła siateczkę na ramiona. Ciągnęła dalej, okrywając siateczką cały tułów, a potem wypchnęła oba ramiona na zewnątrz. Siateczka uformowała rękawy i rękawiczki na tkaninie jej ubrania. Jeszcze raz szarpnęła w dół i wkrótce całe jej ciało pokrywał lekko świecący trykot. Zanim skończyła, zrobiło jej się gorąco. Zaklęcie samo w sobie nie grzało, ale było tak idealnym izolatorem, że zrozumiała, iż wkrótce zacznie się gotować w ciepłe własnego ciała.

Była owinięta ciepłymi futrami i z gazy zrobiła osłonę na oczy. Na tym wszystkim miała trykot z zaklęcia, który nie przepuszczał ciepła. Wykorzystała nawet rolkę pergaminu z notatkami, zwijając go na kształt dzioba, aby ogrzać powietrze, którym będzie oddychała. Bez eterycznej siateczki zamarzłaby w godzinę, ale bez zimnego powietrza umarłaby z przegrzania jeszcze szybciej. Latając, czuła się doskonale. Rozpostarła skrzydła, powoli i ostrożnie, potem podeszła do krawędzi urwiska przed jaskinią. Przed nią były naprawdę wstrząsające przeżycia, ale wiedziała, że musi stawić im czoło - mimo że nie do końca je rozumiała. Jednakże najpierw musiała załatwić prywatną sprawę.

- Tylko na chwilę, Rovalu, ale przybędę, aby cię ujrzeć - szepnęła. - Tak,

zostawiłam cię, lecz... Andry jest przyzwoity, nie taki jak inni. Musieli ci nagadać o mnie. Stanę przed tobą z moim wstydem.

Skoczyła.

Po sprawdzeniu Taloncrag zawróciła i poleciała równoległe do Smoczego Muru, pomarańczowej kurtyny energii eterycznej. W ciągu niespełna godziny obejrzała obszar, którego sprawdzenie konno zajęłoby cały dzień. Wyszukując prądy wznoszące, nie zapominała o tym, by nie zbliżyć się zanadto do pomarańczowej kurtyny.

Wyżej przed nią kolumna niebieskiej sieci wymieszana z pomarańczowym światłem powietrznej kurtyny ciągnęła się od ziemi aż do tęczy wieńczącej Smoczy Mur. Oznaczała krąg Logiar położony o dwa kilometry od wybrzeża. Obejrzawszy się, Terikel stwierdziła, że warstwa chmur robi się coraz grubsza. Wkrótce nawet Smoczy Mur zaciemniły chmury burzowe, a wiatr wzmógł się niepokojąco. Żadne ustawienie skrzydeł nie mogło zapobiec znoszeniu Terikel na wschód. Jej oczom ukazał się sam krąg, a znając rozmiary jego poszczególnych części, Terikel oszacowała, że jest półtora kilometra nad i pięć kilometrów od niego.

Gdy prześlizgiwała się nad wodą, wiatr, który przedarł się przez Smoczy Mur, uderzył w nią z całą siłą. Wiedziała, że znosi ją na wschód, a Scalticar leży na południu. Trzysta kilometrów na południe, dla ścisłości. Ustaliła kierunek wiatru i przechyliła skrzydła, aby dodać nieco kierunku południowego swojemu lotowi na wschód. Burza zaćmiła właśnie blask Smoczego Muru. Deszcz zaczął i Terikel zaczęła odczuwać dotkliwe zimno. To był dopiero początek kłopotów, wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Skrzydła nie ważyły, ale woda i lód mogły nadać im ciężar przekraczający jej własny, a wtedy by spadała z nieba.



Deszcz ustał, niebo zaczęło się przejaśniać. Terikel kompletnie zatraciła poczucie czasu i odległości. Nie wiedziała nawet, czy w dalszym ciągu znajduje się nad lądem. Zaczęła dostrzegać kształty fal poruszających się pod nią. Były bardzo duże, z rodzaju tych, które burze toreańskie ciskały przez przesmyk Dismay.

W oddali pojawiały się i upadały groźne białe kolumny. Stawiając czoło nieznanemu, Terikel zawsze miała się na baczności, ale cokolwiek to było, najwidoczniej było sześćset metrów poniżej niej. To coś więcej niż zwykle kolumny morskiej piany, zdała sobie nagle sprawę. Coś cienkiego i mrocznego zostawało po każdym rozbryzgu bieli. Góra Morskiego Smoka! Te fale rozbijały się o Morskiego Smoka; ostatni raz widziała go z pokładu „Ptaka Burzy”. To oznaczało, że jest blisko

Scalticaru Północnego, w tym miejscu wybrzeże Scalticaru Północnego skręcało na południe.

Terikel ostro zakręciła. Skrzydła ustawiła prawie pionowo, więc opadała w dół, ale jednocześnie nabierała prędkości. Ta prędkość niosła ją na południe. Mijały minuty. Morski Smok był coraz bliżej. Pięćdziesięciometrowe fale rozbijały się o niego, wyrzucając w powietrze słupy piany, których wysokość przekraczała najwyższy gmach, jaki kiedykolwiek zbudowali ludzie.

Horyzont zaczynał się przecierać. Scalticar Północny, pomyślała Terikel. Myśl o triumfie rozgrzała ją, lecz zaraz poczuła lęk. Była za nisko, aby nabrać prędkości przez nurkowanie. Mniejsza prędkość oznaczała również mniejszą przebytą drogę. Terikel ponownie opadła, tym razem o kilkanaście centymetrów mijając wierzchołki fal. Szczyty na wybrzeżu Scalticaru Północnego były coraz bliżej, ale w tej chwili znowu wiatr zaczął ją znosić. Ponownie wzniosła się, tym razem wybierając prąd powietrzny o przeciwnym kierunku. Wzleciała nad poziom chmur. Ustaliła swoje położenie według słońca, a potem zanurkowała.

Było już południe, gdy w końcu zaprzestała prób dostania się na stały ląd. Była nad niezmierną przestrzenią wody. Łódź, pomyślała. Gdybym dostrzegła jakąś łódź, mogłabym wylądować na pokładzie i zapłacić za rejs do Scalticaru Północnego. Do zmierzchu walczyła z wiatrem, który znosił ją na wschód, ale nie ujrzała żadnej łodzi. Uznała swoją porażkę i zaczęła się wznosić.

- Rovalu! Próbowałam! - powiedziała w kierunku zachodniego horyzontu, po czym zawróciła na wschód i poleciała z wiatrem.

Używanie tego zakłączenia wykluczało odpoczynek. Gdyby zasnęła, runęłaby iluzja skrzydeł. Terikel miała przed sobą otwarty ocean i odległe południowe wybrzeże martwego kontynentu Torei. Na południu, znacznie bliżej, leżała wielka wyspa Zurlan. Siedemset kilometrów, przypomniała sobie Terikel. To oznaczało noc bez snu i przebijanie się na południe przez zachodni wiatr. Wpatrywała się w ciemność, odgadując kierunek lotu tylko po kierunku wiatru, który wiał jej w twarz.

Rozdział 8

Smocze piskłę

Andry i Wallas dogonili oddział zwiadowców, gdy Logiar był już w zasięgu wzroku. Ledwo zdążyli opowiedzieć o śmierci Terikel i o potwornym piętnastometrowym ptaku, a już dojechali do bram miasta.

- Jakie masz plany? - zapytał Andry'ego Wallas, kiedy dotarli już do baraków garnizonu.

- Znowu jestem zwiadowcą.

- Mówiłeś, że zdezerterowałeś.

- Kłamałem. Przekonałem sierżanta Essena i dał mi przepustkę, abym mógł pilnować Terikel.

- Nie potrzebowała ochrony! Miała mnie.

- O tak, właśnie dlatego wziąłem przepustkę. Teraz sierżant postanowił, że dwa dni spędzimy w miejskich tawernach, wtapiając się w tłum i szukając zbiegów. Technicznie jesteś członkiem oddziału zwiadowców, jako pomocnik, więc idziesz z nami.

- A co mam robić, jeśli zauważę zbiega?

- Siedź cicho i nie mów nikomu.

- Dobra. Więc wypijemy kufelek na koszt księżniczki?

- Na mnie nie licz.

- Co? Zamierzasz iść do tawerny i nie wypić nawet kufelka?

- Zgadza się.

- Ale zawsze piłeś kufelek. Nawet kiedy cię spotkałem, to był tylko kufelek.
- Obiecałem Velander...
- Nie ma już Velander. Dlaczegoż nie miałbyś wypić kufelka na cześć jej pamięci?

- Ona by wolała, żebym odmówił kufelka na cześć jej pamięci.
- Daj spokój! Łyknij kufelek, zaśpiewaj sprośną piosenkę i uszczypnij jakąś dziewczkę w pośladek.

Andry roześmiał się, potem trącił Wallasa w ramię.

- Dziwne. Z jednej strony jestem ja, starający się ćwiczyć eleganckie maniery, a z drugiej ty, dumny ze swego nieokrzesania. Po zastanowieniu sędzę, że Velander jest mi winna jedną noc w tawernie.

- Tu cię mam!

- Nie, nie, uważałem, że zachowam ją na jakąś specjalną okazję.

- Specjalną okazję? Właśnie przeżyliśmy podróż, przy której najbardziej ekscytujące opowieści bardów wyglądają jak spokojny dzień w mało uczęszczanej świątyni i co? Fakt, że żyjemy, nie jest według ciebie wart świętowania?

- To jak dziewictwo, Wallasie. Nie trać go zbyt pochopnie, bo możesz to zrobić w naprawdę wyjątkowy sposób.

- No, ta uwaga była wyjątkowo nie na miejscu.



Zwiadowcy swoją pierwszą noc w Logiar spędzili na koszarowych pryczach - odsypiali podróż. Wstali dopiero po południu. Essen rozkazał im się umyć i włożyć najlepszą odzież, jak gdyby faktycznie wybierali się gdzieś wieczorem w poszukiwaniu dobrej zabawy. Podzielił ich na dwuosobowe zespoły, a Andry'ego przydzielił do siebie. Kiedy przekraczali bramę garnizonu, pożyczył od niego grzebień.

- Dzięki, chłopcze, muszę wyglądać jak najlepiej na przepustce - powiedział i popatrzył w górę.

Wznoszący się nad miastem Smoczy Mur zajmował pół nieba.

- Gdzie się pan nauczył diomedańskiego, panie sierżancie? - zapytał Andry.

- Mieszkałem tam, chłopcze. Pięć lat w nadgranicznym garnizonie, na północ od Saltberry. Nazywał się Czerwony Kamień.

- Och, doprawdy? Jako kto?

- Najemnik.

- Wallas mówił, że Czerwony Kamień został zajęty przez sargolskich

najeźdźców w czasie wojny o Senterri. Przysięgał, że wszyscy diomedańscy obrońcy zostali straceni.

- Zgadza się, nawet mimo że handlarze niewolników, którzy ją porwali, nie pochodzili z Diomedey.

- Sądziłem, że najemnicy na żołdzie Diomedey pierwsi położyli głowy pod topór.

- Bo tak było, chłopcze, ale ja pochodzę z Alberinu. Byłem zakuty w kajdany, dopóki Sargolczycy nie zdecydowali, co ze mną zrobić. W końcu dowiedzieli się, że to nie Diomedańczycy porwali Senterri. Trzymaj swój grzebień, dziękuję.

- Naprawdę jest pan alberinczykiem, panie sierżancie?

- Tak, urodziłem się na Kowalskim Wzgórzu. Byłem czeladnikiem u kowala aż do dnia, gdy kuszy zrobionej przez mojego majstra użyto do zabójstwa. Kiedy przyszedłem do pracy pewnego poranka, zastałem spalony sklep i zwłoki majstra na ulicy. Bez głowy. Głowa była nabita na tyczkę, którą trzymał jeden z członków ochotniczej milicji. Inni milicjanci rozmawiali z okolicznymi mieszkańcami, a ja pomyślałem, że może wypytują o tych, którzy pracowali w warsztacie Łuki Bowmana.

- Łuki Bowmana? - zapytał Andry, rozczesując włosy. - Jest taka piosenka, „Wystrzałowy Borry Bowman”.

- Tak, znam ją. Oczywiście później pałac ogłosił, że prawdopodobnie nieco się pośpieszono, zabijając nie tylko mordercę, ale również jego rodzinę, kołesiołów od kieliszka, krawca, kowala i producenta beltów. Ale wtedy ja byłem już najemnym doboszem w garnizonie Lacer. Minęło trzynaście lat i służyłem przez ten czas w sargolskim oddziale zwiadowczym, alearskim patrolu pustynnym, diomedańskiej milicji rzecznej i nawet u właścicieli winnicy Gladenfalle. Kiedy cesarz zdał sobie sprawę, że prawie cała załoga garnizonu Czerwony Kamień została wymordowana, postanowił uhonorować jakoś tych, którzy przeżyli. Jego Królewska Straż Dróg w ciągu ostatniego roku trzykrotnie wpadła w zasadzkę i została rozbita, więc zdecydował, że potrzebują oddziału zwiadowców, aby badali drogę przed głównym oddziałem. Teraz wiesz już wszystko.

- No i jest pan sierżantem zwiadowców. Niezły awans jak na człowieka z niższej klasy.

- Tak, ale nigdy nie będę szlachcicem, chłopcze.

- A chciałby pan?

- Czyż nie pragną tego wszyscy?

- Zastanawiałem się nad tym. Być szlachcicem to brzmi pięknie, ale proszę

przypomnieć sobie tych szlachciców ze Straży Dróg. Czy poza kapitanami i sierżantem któryś z panem rozmawiał? Rozmawiał w sensie: „Jak ci leci, chłopie?”. Nikt i nigdy, jestem gotów się założyć. Równie dobrze moglibyśmy być psami, tyle samo by z nami gadali. Przysłuchiwałem się, jak rozmawiają między sobą, mimo woli, bo oni, gdy widzieli plebejuszy w pobliżu, zaczęli mówić głośniejszym głosem, aby zrobić na nas wrażenie. Panie sierżancie, jakie oni pletli głupoty! Ile złotych koron są warci ich ojcowie. Kto ze szlachty zaprosił ich na poranną herbatę lub na kolację i ile razy. Ile kosztowały ich zbroje, który mistrz wykuł im topór i ile okien w ich rodzinnych posiadłościach jest oszklonych.

- Zastanów się, chłopcze, oni są towarzystwem, jakiego także ja bym poszukiwał.

- Są nudni. Żyją tylko po to, żeby imponować jeden drugiemu. Mają taką obsesję na punkcie robienia wrażenia, że zapominają żyć naprawdę.

Essen roześmiał się, ale pokiwał głową.

- Więc cała twoja praca nad dobrymi manierami przez ostatnie tygodnie pójdzie na marne, chłopcze?

- Nie. Nauczyłem się wiele o szlachetności, a to różnica. Wielu chłopaków jest szlachetnych na swój własny sposób. Pan i pozostali zwiadowcy jesteście szlachetni.

- Nie wiedziałem o tym, chłopcze.

- Proszę zaufać moim słowom, panie sierżancie.

Gdy dochodzili do pierwszej tawerny z listy Essena, włosy Andry'ego były już starannie uczesane i związane z tyłu.

- Ta karczma leży w pobliżu uczelni dla czarodziejów - powiedział sierżant. - Zagramy i zaśpiewamy parę kawałków ze studentami, łykniemy nieco mądrości w dobrym towarzystwie i napijemy się dobrego piwa. Studenci lubią rozmawiać o dalekich krajach, które znają tylko z książek. Wypiłem już wiele darmowych drinków za opowieści o moich podróżach i wojnach...



- To musi być Logiarska Akademia Studiów Eteryčných dla Szlachetnie Urodzonych - powiedział Andry, gdy razem z Essenem zatrzymali się przed ozdobionym gargulcami portalem w wysokim murze.

Brama była zamknięta, ale obok niej stała drabina.

- Drabina jest przykuta do muru - zauważył Andry.

- Zgadza się, studenci by nie chcieli, żeby jakiś łachmyta ją ukradł - powiedział

Essen.

- Po co zamykać studentów i zostawiać im drabinę?

- Żeby mogli pobierać nauki.

W wąskim zaułku niedaleko odszukali Dzban Natchnienia. Sącył się z niego śpiew, a gdy weszli, okazało się, że piwo jest dobre, ale do jedzenia mogą zamówić tylko soloną kiełbasę lub ciastka z owocami. Następna godzina upłynęła im bardzo przyjemnie, grali na fleciku i rebeku, a studenci tańczyli z dziewczętami. Akurat zrobili sobie przerwę na kufelek, gdy nagle Andry usłyszał znajomy, poważny i bardzo przenikliwy głos wybijający się z ogólnej paplaniny.

- Bracia, przyjaciele, spytacie pewnie, kim jestem, ale powinniście raczej zapytać, kim jest klasa rządząca. Otóż to nowa regentka i jej wkrótce małżonek. Zapamiętajcie moje słowa, bracia, jej droga do tronu nie była najuczciwsza.

- Czy to nie ta studentka z Clovesser? - powiedział Essen.

- Tak, Riellen. Co ona mówi?

To zdrada stanu! - odparł Andry. - O nie, w dodatku rozpowszechnia pamflety. Nie zamierza jej pan chyba aresztować?

- Skąd! Czy kogoś zainteresował ten dzieciak bez grosza wygadujący głupoty?

- Cóż, widzę takich paru. Proszę spojrzeć w kierunku drzwi.

- Milicjanci - szepnął Essen. - Kilku jeszcze musi być na zewnątrz; dwóch przy drzwiach, po jednym przy każdym oknie, to standard przy aresztowaniu.

- Więc, panie sierżancie?

- Więc co, Andry?

- Co zrobimy?

- Trzymając się litery prawa, powinniśmy pomóc przy aresztowaniu, chłopcze.

- Co pan rozkaże, panie sierżancie?

Essen w zamyśleniu tarł podbródek, patrząc na Andry'ego. Wydawało się, że w wyrazie jego twarzy szuka jakiegoś subtelnego sygnału.

- Czy kiedyś złamałeś prawo dla odrobiny dobrej zabawy, chłopcze?

- Zgadza się.

- Gotówes zrobić to jeszcze raz?

- Tak jest, panie sierżancie! Czy mogę podzielić się z panem desperackim planem?

- Pozwolenie udzielone.

- Proszę Riellen zatkać buzię i wyprowadzić ją stąd. Ja czymś zajmę

milicjantów.

- Spotykamy się Pod Piórem i Dzbanem za piętnaście minut - odparł Essen. - I daj mi swój rebek, nie chcemy przecież, żeby uległ zniszczeniu.

Andry podszedł do jednego z milicjantów, podniósł kufel i powiedział swoim ograniczonym sargolskim, z bardzo mocnym akcentem alberiińskim:

- Bracie, dobrze, że cię widzę. Napijesz się, co? Oby Fortuna sprzyjała księżniczce Senterri!

Milicjant odruchowo podniósł pałkę, potem zauważył gwiazdki delegata na tunice Andry'ego i rozpoznał mundur zwiadowcy. Może to ktoś ważny, prawdopodobnie bohater, zdecydowanie cudzoziemiec, wygląda na dobrze opłacanego najemnika i ma coś wspólnego z nową księżniczką regentką, przeleciało mu przez głowę.

- Czołem, zwiadowco, nie mogę, jestem na służbie.

- Obowiązkiem każdego lojalnego Sargolczyka jest wypicie za zdrowie księżniczki!

- Tak, tak, za chwilę. Podejdz do baru, a ja przyjdę po...

- Pij teraz, bo uznam cię za zdrajcę! - wrzasnął Andry, chwycił milicjanta za ramię i obrócił, jednocześnie podcinając mu nogi.

Drugi milicjant sięgnął po topór, lecz Andry wyciągnął własny topór zza głowy i zatoczył jego rękojeścią krótki łuk, gdy jego przeciwnik dopiero próbował zmienić chwyt. Cios ostrym, kosztownym ostrzem topora mógł zabić, natomiast uderzenie rękojeścią, kawałem drewna długim prawie na metr, unieszkodliwiało przeciwnika na jakiś czas. Trzonek topora Andry'ego trafił w hełm milicjanta. Hełm był tani i bardzo lekkiego typu, zrobiony ze świńskiej skóry i metalowych opasek, zaprojektowany bardziej jako symbol władzy, a nie do ochrony. Niemal cała siła pędu trzonka topora została przeniesiona przez hełm na czaszkę i jego właściciel runął na ziemię. Do tej pory pierwszy milicjant zdołał pozbierać się z podłogi, ale Andry zamachnął się i z całej siły rąbnął go w żołądek. Ponieważ milicjant zgiął się z bólu, dla równowagi Andry uderzył go w potylicę.

Dwaj kolejni milicjanci weszli przez frontowe drzwi, ale zostali wypchnięci przez falę uciekających w panice studentów. Obaj dzierżyli w jednej ręce topór, a w drugiej pałkę. Andry wykorzystał lukę między studentami, włożył tam trzonek topora i uderzył trzeciego z milicjantów w dołek. Czwarty zrozumiał do tej pory, że ten pijany zwiadowca pokonał właśnie trzech członków Logiarskiej Milicji Miejskiej, nie

odnosząc przy tym nawet zadrapania. Odwrócił się i próbował uciekać. Andry sięgnął ponad głowami studentów i wymierzył cios w standardowy hełm Miejskiej Milicji. Hełm oraz jego właściciel runęli na ziemię.

Piąty milicjant obserwował całe zajście przez okno i postanowił, że uda się na poszukiwanie wsparcia.



Kiedy Andry dotarł do tawerny Pod Piórem i Dzbanem, zastał tam już Danola i Sandera rozmawiających z Riellen i Essenem.

- Z przyjemnością melduję, że jeden wróg zmuszony do ucieczki, czterech unieszkodliwionych z minimalnymi obrażeniami, żadnych ofiar cywilnych - powiedział Andry, salutując Essenowi.

- Do diabła, co tu się dzieje?! - krzyknął Danol.

- Andry i ja rezygnujemy ze służby jako najemni zwiadowcy - odparł Essen.

- Co? Nie możecie tego zrobić... panie sierżancie! Byłem kiedyś urzędnikiem w kancelarii prawnej, znam przepisy.

- Tak, ale my możemy zrezygnować, Danolarianie. Czy nasza rezygnacja zostanie przyjęta, to już inna sprawa.

- Dlaczego rezygnujecie? Jesteście bohaterami.

- Obiecałem komuś, że zabiorę kogoś innego do Alberinu - rzekł Andry. - W dodatku po tym, co usłyszałem przy zaklęciu prawdy, wolę raczej trzymać się z dala od księżniczki.

- Tak, dość dobrze znamy tę historię - powiedział Essen. - Każdego z przepytanych obchodziło to, co wyznają pozostali, by spróbować znaleźć usprawiedliwienie dla siebie. Księżniczce nie chcą służyć nawet chwili dłużej. Dziewięciu na dziesięciu strażników dróg poległo w obronie jej honoru, a teraz ona sypia z nieprzyjacielskim dowódcą i zawarła z nim sojusz przeciwko własnym braciom. Za tydzień czy dwa możemy zginąć w wojnie z nimi, a za kolejny tydzień znów będą się wzajemnie zapraszali na kolacyjki. Poza tym lubię obu kapitanów i nie mam zamiaru polować na nich tylko dlatego, że księżniczka ma taki kaprys. Dolvienne służyła jej wiernie przez wiele lat, a teraz nawet ona musi uciekać. Jak długo potrwa, zanim księżniczka zwróci się przeciwko nam? Mam tego dosyć.

- Będziecie dezerterami, jeśli nie zjawicie się na jutrzejszym apelu - zauważył Danol.

- Dezerterami! - krzyknął Sander. - Obaj!

- Zgadza się - stwierdził Essen. - Lecz dopiero jutro, kiedy nie zameldujemy swojego powrotu dowódcy garnizonu.

- Ale, ale, co z nami, pozostałymi zwiadowcami? - zapytał Sander. - Stracimy sierżanta i delegata! Kto będzie nami dowodził, kto będzie przemawiał w naszym imieniu?

- Zostaje was trzech, wybierzcie nowego delegata - powiedział Essen.

- A co ze mną, bracie? - zapytała Riellen, która właśnie uznała, że nawet rewolucjoniści muszą być mili dla żołnierzy, którzy wykazują obiecujące oznaki trzymania ich z dala od łap klasy rządzącej.

- Mamy zamiar znaleźć jakieś ciche miejsce i ustalić najlepszy sposób nierzucania się w oczy, przeżycia, a może nawet dostania się do Alberinu - odparł Essen. - Jeśli obiecasz, że darujesz sobie wykłady o rewolucji i kolportowanie pamfletów, możesz się udać z nami.

Andry, Essen i Riellen opuścili tawernę, ale nie uszli jeszcze zbyt daleko, gdy nagle obaj zwiadowcy sięgnęli po topory.

- Odgłos biegnących stóp za nami, Andry - powiedział Essen.

- Odwracamy się i walczymy, panie sierżancie? - zapytał Andry.

- To nie będzie konieczne - uspokajała ich Riellen. - To Sander i Danol.

Sander i Danol dołączyli do nich. Przez jakiś czas maszerowali w milczeniu.

- Czy ktoś mógłby napisać rezygnację również dla mnie, panie sierżancie? - zapytał Sander.

- Ja to zrobię, panie sierżancie - zaoferował się Danol.

- Zapomnijcie o tym sierżancie, chłopcy, teraz jesteśmy zwykłymi dezertkami - zauważył Essen.

- Muszę przyznać, że jestem bardzo zadowolona z faktu, iż wstąpili panowie do Zespołu do spraw Ujawniania Czarodziejskich i Ukrytych Spisków... - zaczęła Riellen.

- Mylisz się, dziewczyno - przerwał jej Andry. - To ty wstąpiłaś do Pierwszego Oddziału Zwiadowców Dezertków Księżniczki Regentki. Oczywiście jeśli chcesz uniknąć roli gwiazdy w publicznym widowisku, na które złoży się bardzo krótkie spotkanie z bardzo silnym panem z bardzo dużym toporem jutro rano.



Costigera znaleźli Pod Prosięciem w Worku, ale zameldował, że Wallas nie dotarł na spotkanie z nim przy bramie garnizonu. Andry i Essen wyjaśnili, że zdecydowali się na dezercję, oraz zaprosili Costigera do współudziału.

- Panie sierżancie, za pozwoleniem, może nie jestem szczególnie bystry, wie pan, ale to jest jasne nawet dla mnie. - Costiger zdjął czapkę i podrapał się w głowę. - Tylko dlaczego dezercja?

- Ponieważ sprzeciwiamy się polowaniu na troje wspaniałych, odważnych i dobrych ludzi, którzy sprzeciwili się władzy królewskiej - powiedział Essen.

- Poza tym księżniczka Senterri nie jest naszym władcą - dodał Andry. - Wszyscy pochodzimy z Alberinu. Naszym monarchą jest książę, następca tronu.

- Ale czy następca tronu nie jest trochę dziwaczny? - zauważył Danol. - Czy pomyśleliście, dlaczego cesarz Scalticaru Północnego odmówił koronowania go na króla po śmierci jego ojca?

- Nie - przyznał Andry, którego wiedza i zainteresowania tematami politycznymi przed przybyciem do Sargolu były zerowe.

- Ten człowiek to dziwadło. W zeszłym roku wydał bankiet, na którym wszystkie potrawy serwowano, używając jako zastawy nagich ładacznic, a wszyscy goście musieli przyjść przebrani za koty. Wolno było mówić wyłącznie „miau”. Kara za złamanie tej zasady obejmowała misę śmietanki, miotełkę z piór i duży dzwon.

Znowu zapadła cisza, każdy w myślach starał się stworzyć własny obraz bankietu u następcy tronu Alberinu.

- Nigdy nie wypowiedział wojny - powiedziała Riellen.

- He, he! - roześmiał się Danol. - W Alberinie panuje całkowity pokój od czasu śmierci jego ojca. Wszyscy władcy w całym Scalticarze żyją w strachu, że wykreśli ich z listy gości zapraszanych na orgie.

Riellen odchrząknęła. Pięciu mężczyzn spojrzało na nią. Nagle speszona, zdjęła okulary i zaczęła wycierać je rękawem.

- Cóż, porównując dwoje monarchów, których widziałam w ciągu ostatnich kilku tygodni, sądzę, że następca tronu jest raczej sympatyczniejszy - oznajmiła.

Założyła z powrotem okulary. Pięć otaczających ją głów pokiwało zgodnie.

- Pójdę z wami - zdecydował Costiger. - Nie byłem w domu od lat.

- Więc postanowione - rzekł cicho Essen. - Wracamy do Alberinu.

- Jak? - zapytał Danol. - Przeprowadziłem dochodzenie już przy okazji sprawy kapitanów i Dolvienne, gdy sądzono, że też tam uciekli. Wszystkie duże statki zatoniły lub są tak uszkodzone, że zatoną, jeśli się odważą wyjść w morze. Zostało jedynie kilka łodzi rybackich, a one nie mogą wypływać poza obręb portu Logiar.

- Prędzej przepłynę przesmyk Dismay w wannie, niż będę dłużej służył

Sargolowi - stwierdził Essen.

- Ja też - dodał Andry.

- Słuchajcie, jestem tylko naukowcem, z niewielkim doświadczeniem w kwestiach praktycznych - powiedziała Riellen - ale moim zdaniem sześć osób w jednej wannie to nieco za dużo, nawet na podróż po porcie przy pięknej pogodzie. Ostatni pogodny dzień w przesmyku Dismay był... hm, cóż, chyba w ogóle się nie zdarzył.

Andry nagle rąbnął pięścią w stół. Wszyscy spojrzeli na niego, ale siedział w milczeniu, z otwartymi ustami i bardzo zamyślony.

- Co ci przyszło do głowy, chłopcze? - spytał Essen.

- Możemy przepłynąć się przez przesmyk Dismay - szepnął Andry. - Potrzebujemy tylko wanny.

- Ja żartowałem!

- A tu gdzieś prawdopodobnie jest odpowiednia wanna - ciągnął Andry.

- Żart - zaczęła tłumaczyć Riellen - to coś zabawnego. Należy się śmiać, a nie traktować tego poważnie.

- Czy kiedyś wam opowiadałem o wraku „Przewoźnik”? - zapytał Andry.

Skupili się bardziej wokół stołu.

- To był powód, dla którego mój tata przestał wypływać na morze i pracować jako cieśla okrętowy. „Przewoźnik” był wielkim statkiem handlowym o głębokim zanurzeniu. Wpadł w sztorm przy wschodnim wybrzeżu Scalticaru. Wielkie fale przewalały się przez pokłady i zerwały pokrywy luków. Statek zaczął tonąć. Tata wyskoczył i sądził już, że zginie, gdy nagle wśród rozmaitych szczątków zobaczył dryfującą wannę. Podpłynął do niej i wdrapał się do środka, a wodę, która była na dnie, wylał, czerpiąc ją złożonymi dłońmi. Wiecie co?

Pięć głów się pokręciło przecząco.

- Nie musiał już więcej wylewać wody, aż w końcu fale wyrzuciły go na brzeg Scalticaru dwa dni później. Statek był zbyt duży i ciężki, więc musiał przedzierać się przez fale, ale wanna się na nich unosiła.

- W dalszym ciągu uważam, że wanna będzie nieco zatłoczona... - zaczęła Riellen.

- Nie wanna! - upierał się Andry. - Wanienkowata mała łódź.

Wystarczająco mała, aby unosić się i opadać na wielkich falach, a nie walczyć z nimi. Mówiłeś, Danolu, że na wodzie wciąż są małe łodzie rybackie.

- Skoro to możliwe, dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł? - zdziwił się Essen.

- Ze zwykłego strachu? - zasugerował Danol.

Nagle Riellen zamachała nad stołem rozłożonymi szeroko dłońmi. Postanowiła, że skoro ma zostać członkiem oddziału wojskowego, powinna wnieść jakiś godny wkład. Wypatrywanie grożącego niebezpieczeństwa i alarmowanie zdolnych do walki bardziej leżało w jej możliwościach niż sama walka, więc mianowała się nieoficjalnym wartownikiem.

- Widziałam kogoś w oknie. Patrzył zza krawędzi okiennicy. Miał hełm milicjanta.

- O nie! Znowu! - westchnął Andry.

- Nie wykonujcie żadnych gwałtownych ruchów - ostrzegł Essen.

- Drzwi się otwierają, wchodzi jeden milicjant - powiedziała Riellen. - Patrzy na nasz stół...

- To Wallas! - Andry odetchnął z ulgą.

Wallas wcisnął się na koniec ławki. Andry pomyślał, że ludzie przychodzą do tawerny, aby się napić i będzie wyglądało podejrzanie, jeśli jego towarzysz nie będzie miał przed sobą kufła. Wallas chwycił szklanicę Andry'ego, wypił i odstawił ją przed sobą.

- Zostałem rozpoznany! - wyjaśnił bez tchu. - Poznano, że jestem Milvariosem z Tourlossen, jak tylko się ogoliłem i utrefiłem włosy. Mistrz królewskiej muzyki i królewski zabójca cesarzy. Bum!

- Zabiłeś przywódcę klasy rządzącej? - sapnęła pełna respektu Riellen.

- Co dokładnie się wydarzyło? - zapytał Essen.

- Wziąłem kąpiel, włożyłem piękne szaty, aby podkreślić moją nową fryzurę i muskularne ciało. Przecież kazaleś nam się przygotować na wieczorne wyjście.

- Powiedziałem: na noc w tawernach, a nie na dworze królewskim w Logiar - odparł Essen. - Mów dalej.

- Ledwo wyszedłem na korytarz, kiedy spotkałem herolda z dworu w Palionie. Wrzasnął, jakby zza rogu wypadły na niego wszystkie demony piekieł i rzucił się do ucieczki. Ja uciekłem w przeciwnym kierunku, prosto do swojego pokoju. Resztki zgolonej brody przykleiłem sobie do twarzy, a nowe piękne szaty cisnąłem w ogień. Potem wyszedłem na dwór i zapytałem sierżanta, co to za zamieszanie. Przez godzinę pomagałem mu szukać samego siebie. W końcu uznano, że herold upił się winem, które podano do kolacji, ale ja jestem tutaj spalony. Moja broda już odpada. - Przeciągnął dłonią po policzku i pokazał rękę wybrudzoną klejem zmieszany z

włosami. - Nie mogę ukrywać się tak długo, aż wyrosnie mi nowa.

- Matka zawsze ostrzegęła mnie przed chłopcami, którzy mają włosy na dłoniach - powiedział Andry.

Wallas chyba nie znał tego ludowego przesądu, do którego zrobił aluzję Andry, ale słusznie przypuszczał, że był to przytyk, bo wszyscy obecni alberńczycy ryknęli śmiechem.

- Umie pan żeglować, panie sierżancie? - zapytał Essena Andry.

- Służyłem na pokładzie galery jako marynarz, chłopcze. Pomagałem przy takielunku, żaglach i takie tam.

- Lepsze kwalifikacje niż większości tu obecnych. A ty, Wallasie? Czy faktycznie kiedykolwiek byłeś na morzu?

- Grałem na pokładzie królewskiej barki na rzece Palion w trakcie różnych uroczystości i znam na pamięć osiem sonat Wodnej Muzyki Elberrili.

- Zwykle „nie” by wystarczyło - powiedział Danol. - Ja byłem żeglarzem i służyłem w marynarce Tor... Diomedey.

- Ktoś jeszcze? - zapytał Essen. - Nie? Więc mamy dwóch żeglarzy i cieślę okrętowego. Przydałby się nawigator.

- Możemy jakiegoś złapać! - krzyknął Andry. - Wyszło na dobre mnie, wyjdzie i komuś innemu.

- Znam się nieco na astronomii - powiedziała Riellen, unosząc rękę.

- Doceniam ofertę, ale wątpię, czy przekraczając przesmyk w czasie burzy, będziemy widzieli duży kawałek nieba. Potrzebujemy kogoś, kto rozpozna kierunek z wiatru czy fal.

- Powinniśmy przejść się do doków - stwierdził Andry. - Tylko my dwaj, pan sierżant i ja. Znajdziemy tam wielu nawigatorów.

- Tak zróbmy - zdecydował Essen. - Reszta zostaje tutaj i nie pakuje się w żadne kłopoty. Riellen! Jeśli spróbujesz tutaj wywołać jakieś ruchy rewolucyjne, osobiście cię zamorduję.

- Panie delegacie, czy wciąż macie zwój, który dostaliście od księżniczki? - zapytał Danol. - Ten, który dała wam na balu w Glasbury?

- Tak, mam go w kieszeni kurtki. Po co ci potrzebny?

- Taki mały kaprys.



Andry i Essen szli powoli przez stocznię na krawędzi portu w Logiar bardzo

zdeprymowani. W ogóle nie znaleźli dużych jednostek. Kilka mniejszych stateczków było we wczesnych stadiach budowy. Wiele średniej wielkości statków przedarło się przez wielkie fale i porywiste wiatry u wejścia do portu, ale żaden nie był większy od karaki. Wszystkie leżały na plaży i nie robiono nic, by zapobiec ich zniszczeniu, poza zatankowaniem szpar, by woda nie ciekła na głowy mieszkającym w nim ludziom. W tych statkach deskowanie wyschło i jeśli nie miały zatonać zaraz po spuszczeniu ich na wodę, wymagały solidnego uszczelnienia i smołowania.

Wiał bardzo silny wiatr i siekł drobny, nieprzyjemny deszczyk. Przy wejściu do portu o falochron rozbijały się sześciometrowe fale, wyglądające jak przypływ w przyspieszonym tempie. Molo zostało wzmocnione, aby przystosować je do nowych warunków atmosferycznych. Było tu przycumowanych kilka łodzi rybackich, ale żadna nie wyglądała na wystarczająco dużą do pokonania przesmyku, nawet przy dobrej pogodzie.

- Tam jest jedna nieco większa. - Essen wskazał szkuner z dwoma masztami do żagli lugrowych i o baryłkowatym kadłubie. Żaglowiec kołysał się na falach, ale przed uderzeniami o krawędź nabrzeża chronił go gruby odbijacz z lin. Z kambuzowego komina na jednej z burt wznosiła się cienka strużka dymu.

- Ktoś jest na pokładzie, a jednostka wygląda na dostatecznie dużą, aby zabrać na pokład dziesięć dusz - powiedział Andry.

- Wejźmy tam i zapytajmy.

Wskoczyli na pokład, gdy łódź była na szczycie fali. Na dźwięk ich kroków odsunął się jeden z paneli w przybudówce na tylnym pokładzie. Wyjrzał ktoś niepokojąco wiekowy.

- Spieprzajta! - burknął, ale nie poparł swoich słów pokazem broni ani magicznych zaklęć.

- Dzień dobry - pozdrowił go Essen w sargolskim powszechnym.

- Chcielibyśmy wynająć pański piękny szkuner na rejs po porcie.

- Co? Teraz?!

- Chcemy zrobić wrażenie na pewnej pani.

- Cóż, nie mogę wam pomóc - warknął stary.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Bo nie jestem jego właścicielem! - Stary wydał z siebie serię kaszlnięć, które mogły być śmiechem.

- Ty łapiesz, o co mu chodzi? - zapytał Essen Andry'ego po albertińsku.

- Wygrażał nam, a potem rzucił marny dowcip i wiemy teraz, że nie jest właścicielem tej łodzi. Rozejrzyjmy się.

Szkuner okazał się trochę nędzny, ale całkiem zdatny do żeglugi. Stary mieszkał na nim za dnia, a noce spędzał na jednym ze statków na plaży. Szyper i bosman spędzali noce na brzegu, w dzień odsypiali na pokładzie. Teraz był wieczór.

- Moglibyśmy poczekać, aż wrócą - zasugerował Essen.

- Niby tak, ale powinniśmy szybko opuścić Logiar - odparł Andry.

- Jeśli będziemy mogli wynająć tę pełnomorską balię, w pierwszej kolejności powinniśmy się zatroszczyć o zapasy na czas rejsu.

- To prawda, ale potrzebujemy tylko jedzenia na tydzień i kilku baryłek wody.

- Jednak w taką pogodę nocny targ będzie zamknięty.

- Zatem jakiś właściciel gospody będzie musiał nam sprzedać niezbędne zapasy ze swojej piwniczki. Lepiej pryskać teraz, dopóki nie musimy uciekać zarówno przed milicją księżniczki, jak i kaucją za wynajem łodzi.

- Wystarczy, przekonałeś mnie - rzekł Essen. - Dozorco, gdzie znajdziemy właściciela łodzi?

- Szyperem i właścicielem jest Norrieav - wymamrotał stary. - Czarny Acremańczyk z północy. Hazlok jest bosmanem. Ma jedno oko, złamany nos, brakuje mu kilku zębów i palca u jednej ręki. Znajdziecie ich chlejących w Wesołym Kuflu.

Wrócili na pokład, potem, gdy szkuner był na szczycie fali, zeskoczyli na nabrzeże. Andry się obejrzał.

- „Mroczny Księżyc” - odczytał wypisaną na burcie nazwę statku.

- Powinniśmy byli zapytać, jak dotrzeć do Wesołego Kufla - powiedział Essen, klepiąc się w czoło dłonią. - Skoczę z powrotem na łódź.

- Wiem, gdzie to jest. Zbierzmy pozostałych i idźmy tam.

- Skąd wiesz, gdzie to jest? - zapytał Essen.

- Pamięta pan starą piosenkę z forkasztelu?

Wesoły Kufel, niezłe draki,

Najlepsze bójki w starym Sargolu.

Na rogu Asher i Down Street.

Aby uniknąć wrażenia dużej i podejrzanej wyglądającej grupy, postanowili, że Andry, Essen i Wallas wejdą do Wesołego Kufla pierwsi. Barman spojrział na nich

krzywo, potem wrócił do równomiernego rozmazywania brudu wokół cynowego kufla. Służąca łypnęła na nich z ławki za barem, ale nawet nie próbowała się podnieść. Miała aparycję, która mogłaby każdego sierżanta szukającego rekrutów skłonić do zaoferowania jej srebrnego wasala i pięcioletniej służby wojskowej; w ręce trzymała ułamaną rękojeść topora. Zakazane typy, prawdopodobnie dawni marynarze, zaczęły między sobą szeptać, szturchać się, rechotać.

- Widzicie kogoś podobnego do opisu? - zapytał Andry.

- Ten prostak z łodzi powiedział, że Norrieav jest czarnym Acremańczykiem z północnych królestw - odparł Essen.

- Widzę dziewięciu czarnych Acremańczyków.

- Hazlok ma tylko jedno oko.

- Tutaj jest co najmniej siedmiu jednookich... czekaj. Tam siedzi jakiś jednooki, który rozmawia z czarnym Acremańczykiem.

Podeszli do stołu, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Acremańczyk był nieźle pijany. Jego towarzysz odchylił głowę, wciągał piwo nosem i wypuszczał je okiem, płynęło mu po policzku jak strumień łez. Piwo leciało mu także z pustego oczodołu. Acremańczyk klaskał.

- Szyper Norrieav, jak przypuszczam? - zapytał Andry pogodnie po diomedańsku.

- Spadaj, jestem splukany - wymamrotał szyper i poleciał głową naprzód, niepokojąco mocno waląc czołem w blat stołu.

- Zatem ty musisz być bosmanem Hazlokiem - powiedział Andry.

Strumyk piwa płynący z oczodołu Hazloka zmniejszył się, potem zaczął kapać, aż wreszcie ustał.

- To mój szyper i jest mi dłużny - wybełkotał Hazlok nieco bardziej sensownie.

- Brzydaj jeszcze jest w stanie mówić - poinformował Wallas.

- Kogo nazywasz brzydalem? - Hazlok spróbował wstać.

- Chama, który wisi mu kasę - rzekł szybko Andry.

- Aha, więc to nie ja - oznajmił Hazlok, opadając z powrotem na ławę.

- Możemy postawić ci kolejkę? - zaproponował Essen.

Hazlok kiwnął głową. Andry i Wallas przysiedli się do stolika, a Essen gestem przywołał służącą. Ostentacyjnie go zignorowała.

Do tawerny weszła Riellen, zajęła miejsce w pobliżu drzwi, by nie dać sobie odciąć drogi ucieczki. Przyciągnęła kilka taksujących spojrzeń i wywołała falę

szeptów, szturchnięć i rechotów.

- Masz łódź do wynajęcia? - zapytał Andry. - Szkuner?

- Najlepszy szkuner na wodzie - oznajmił Hazlok. - Lub pod nią.

- To nie brzmi zachęcająco - powiedział Wallas.

- Nie widziałeś tej łodzi, a ja widziałem - odparł Andry. - Mój dobry Hazloku, jaką kwotę chciałbyś za wynajęcie swojego doskonałego szkunera na krótki rejs?

- Rejs po porcie - pięć srebrnych wasali. Gdziekolwiek indziej - nie ma dosyć pieniędzy na całym świecie.

- Całkiem rozsądnie. Czy mówisz również w imieniu szypra Norrieava?

- Oczywiście - wybełkotał Hazlok. - On nie może mówić. Norrieav chrząknął.

- Przyjmę to za „tak” - uznał Andry.

Hazlok kiwnął się do tyłu i spadł, waląc potylicą w podłogę. Andry i Wallas wciągnęli go z powrotem na ławę i sprawdzili, czy żyje.

- Dokładnie jak w noc po wypłacie w Bargeyards - powiedział Andry.

- Jak również bardzo zbliżone do kolacji Gildii Muzyków - uzupełnił Wallas.

Otworzyły się drzwi. Wszyscy podnieśli głowy i łypnęli wilkiem. Andry i Wallas także popatrzyli w tamtym kierunku. Wszedł Laron. Większość zebranych odwróciła wzrok. Kilku gapiło się nadal i wymieniało szept, szturchnięcie i rechoty. Laron zauważył Andry'ego i Hazloka. Posłał im sztywny ukłon, a potem podszedł do baru. Powiedział coś. Barman i służąca go zignorowali. Bez żadnego ostrzeżenia Laron zdzielił barmana pięścią w twarz. Cios nie wywarł żadnych efektów edukacyjnych. Laron opuścił pięść, wybrał kilka cynowych kielichów, duży dzban wina i rzucił monetę na bar. Podszedł do stołu, przy którym siedzieli Andry, Essen i Wallas.

- Przykro pić samemu - oznajmił. Usiadł, utracił szyjkę dzbana i nalał hojne porcje.

Wszyscy stuknęli się kielichami. Andry odstawił swój na stół nietknięty. Wallas wypił kilka łyków. Laron wysączył wino duszkiem i znowu sobie nalał. Przez chwilę panowała cisza.

- Aresztujcie mnie! - zażądał Laron. - Ale oczekuję dobrej walki. Ta tawerna słynie z najlepszych bójek w całym imperium sargolskim.

- Jest o tym nawet piosenka - powiedział Wallas. - Chcecie, bym zaśpiewał?

- Odpieprz się - rzekł Andry.

- Bądź kulturalny! - krzyknął Wallas.

- Więc... odcudzołóż się.

- Właśnie zdezerterowaliśmy - wyjaśnił Essen.

Wszyscy obecni w tawernie, poza barmanem i służącą, posłali im szczególnie długie taksujące spojrzenie.

- Słuchajcie, nie jestem taki pewien, czy próba przekroczenia przesmyku Dismay nie jest bardziej niebezpieczna niż pozostanie tutaj - powiedział Wallas cichutko.

- Przekroczyć przesmyk Dismay?! - krzyknął Laron. - Zabawne! Ja też chcę przeprowadzić się przez przesmyk Dismay. Przyszedłem tutaj, by odszukać pewnego szypra. Głupie zadanie, jesteśmy pewni, że nie żyje, ale obiecałem przyjaciołom... - Laron wychylił pół kielicha. - Miło mieć przyjaciół, prawdziwych przyjaciół. Jestem bez pieniędzy, mam na karku milicję, za moją głowę wyznaczono nagrodę, ale mam przyjaciół.

- Pan jest pijany - oznajmił Wallas.

- Właśnie zaklepaliliśmy sobie szkuner... - zaczął Andry.

- Wspaniale! Kiedyś byłem nawigatorem.

- Świetnie! - ucieszył się Andry. - Ja byłem żeglarzem i cieślą, Wallas kucharzem, a ci dwaj tutaj to szyper i bosman. Essen i Danol znają się na żeglarskim rzemiośle.

Laron podniósł głowę Norrieava i spojrzał mu w twarz. Potem zerknął ponad krawędzią stołu na Hazloka.

- Znam tych ludzi. Służyłem z nimi. Na „Mrocznym Księżycu”.

- Właśnie ten szkuner stoi gotowy w porcie - powiedział Essen.

- Wspaniale! Świetny mały szkuner. Ma wiele... - Laron konspiracyjnie zniżył głos - dodatkowych zalet.

Drzwi znowu się otworzyły. Weszło dwóch mężczyzn ubranych jak zurlańscy wojownicy. Byli nieuzbrojeni. Razem z nimi wszedł niski, obdarty człowieczek. Rozejrzał się, a potem coś szepnął tym dwóm. Pokazał palcem zwiadowców, a potem przedziutko opuścił tawernę. Dwaj Zurlańczycy podeszli do stołu. Jeden z nich wyjął małą, podniszczoną książeczkę, sprawdził coś, potem się uklonił.

- Dobry wieczór. Jestem Akiro. To mój brat Aziro. Odbywamy właśnie tournée bójek po tawernach Acremy. Słyszeliśmy, że jesteście wielkimi bohaterami. Ocaliliście księżniczkę. Czy zgodzicie się na małą bójkę?

- Być może - powiedział Laron życzliwie. - Za chwilę. - Pociągnął z kielicha. - Siadajcie. Napijcie się?

- Przed bójką nie pijemy - powiedzieli chórem Akiro i Aziro, ale usiedli.

- Słuchajcie, myślę, że naprawdę powinniśmy już iść - odezwał się Wallas nerwowo. - Ten lokal nie budzi zaufania.

- Bądź dzielny, jesteś w końcu mistrzowskim zabójcą i zabiłeś cesarza! - krzyknął dobroduszenie Laron. - Za twoją głowę wyznaczono nagrodę pięciuset złotych koron, żywego albo martwego... a może to było pięć tysięcy?

- Zamknij się! - syknął Wallas, kuląc się i zasłaniając twarz dłońmi.

- Dlaczego?! - wrzasnął Laron. - Powinieneś być dumny jako budzący strach morderca! Pamiętasz, kiedy podrywałeś tę damulkę-szpiega w Glasbury? Wyznałeś jej wszystkie sekrety i niemal zabiłeś księżniczkę regentkę!

- Niczego takiego nie zrobiłem!

- A nie zabiłeś członka Straży Tronowej w Palionie?

- To była dla ciebie bułka z masłem - odpowiedział Andry.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza. Riellen tak się skuliła, że prawie złożyła się wpół. Pozostali goście patrzyli na nich z przerażeniem. Jeden ukradkiem otworzył okiennice, lecz się przekonał, że okno za nimi jest okratowane od zewnątrz. Barman i służąca pozostali obojętni.

- Panowie, panie, proszę... - zaczął Essen.

- A ponieważ ja służę w Królewskich Siłach Specjalnych, mamy większą szansę wygrać - oznajmił Laron.

- Ooo! - zdumieli się Akiro i Aziro.

- Słyszeliście o nas?

- Najwięksi wojownicy świata! - krzyknął Akiro. - Koniecznie musimy stoczyć bójkę!

- Czemu nie? Ty ze mną, a Wallas będzie walczył z twoim bratem.

Zanim Wallas spostrzegł zagrożenie, Aziro zrobił krok naprzód, kopnął go kolanem w krocze... i gwałtownie próbował cofnąć nogę z przeszywającym piskiem, który wydawał się zbyt wysoki, aby mógł go wydać mężczyzna. Willy zatopił kły w jego kolanie, zionąc snopem iskier. Zaraz schował się z powrotem pod tunikę Wallasa. Aziro wił się na podłodze, próbując ugasić płonące spodnie.

- Wreszcie coś, czego nie widuje się co dzień - powiedział barman, a służąca zatarła ręce uradowana.

Essen podszedł do barmana i wręczył mu złotą koronę. Barman ją przyjął.

- Kiedy my tutaj załatwiamy naszą małą transakcję, moi zwiadowcy poszli do

twojej spizarni, aby ukraść nieco zapasów - oznajmił Essen. - To jest zapłata.

Barman podrzucił monetę w powietrze. Wylądowała w dekolcie służącej, która nawet nie mrugnęła.

- Muszę się z tobą bić, człowieku z KSS! - krzyknął Akiro i rzucił się na Larona.

Laron zrobił delikatny unik, schylił się, chwytając jednocześnie rękę atakującego. Zurlańczyk przetoczył się przez jego plecy i wyleciał w powietrze, uderzając w grupę przerażonych gości Wesołego Kufła. Ci w ślepej panice zaczęli kopać i bić Akira. Aziro w dymiących spodniach skoczył na pomoc bratu. Essen jak pasterz zebrał swoje stadko i wyprowadził je z tawerny.



Od razu po wyjściu z tawerny Laron w towarzystwie Andry'ego poszli po Dolvienne i Gilvraya. Po kwadransie całą dwunastką weszli na pokład, wnosząc baryłkę wina, baryłkę wody, torbę solonej kiełbasy i pięć skrzyń czegoś, co Costiger uznał za suchary. Kiedy Wallas zobaczył rozmiary „Mrocznego Księżyca”, próbował uciec, ale został złapany i obezwładniony. Żeby wnieść go na pokład, potrzeba było wszystkich pięciu zwiadowców. Wiekowy dozorca, który pilnował „Mrocznego Księżyca” w dzień, stał chwiejnie na nabrzeżu, obojętny na wiatr i deszcz. Danol stał obok niego, czekając na polecenie rzucenia cum. Zwiadowca wcisnął staremu srebrnego wasala i pakiet papierów w kościstą dłoń.

- Weź to i oddaj dowódcy garnizonu - powiedział, przekrzykując wiatr.

- Rzucaj cumy! - krzyknął Andry.

Danol odwiązał ostatnią linę od pacholka i wskoczył na pokład. Gdy „Mroczny Księżyc” zaczął odchodzić od nabrzeża, Danol oddał zwój, który Andry dostał od Senterri.

- Po ci to było? - zapytał Andry.

- Podrobiłem zwolnienia ze służby dla wszystkich zwiadowców. Podpisane przez samą księżniczkę. Cholernie dobra podróbka jej pisma i podpisu.

Andry trzymał ster, a Essen i Danol stawiali mały sztormowy żagiel.

- Do wyjścia z portu będziemy potrzebowali pomocy Larona - stwierdził Andry.

- Laron śpi pod pokładem, razem z szyprem i bosmanem - zameldował Danol. -

Dolvienne i Gilvray są w głównej kabinie. Kapitan jest bardzo zmęczony po podróży, rana na jego głowie nie wygląda najlepiej.

- Więc weź Costigera, wynieście Larona tutaj i wylejcie mu na łeb wiadro wody.

- Po co jest nam potrzebny? Czy pan nie może sterować?

- Mogę, ale tylko on potrafi nawigować. Ja potrafię obchodzić się z takielunkiem i sterować, ale to nie wszystko. Dawajcie tutaj Larona i obudźcie go!

Poprzez wycie wiatru doszedł ich odległy, lecz wciąż robiący wrażenie ryk.

- To znowu smokoptak! - krzyknął Andry. - Módlcie się do jakichkolwiek bogów, w jakich wierzycie, by nie potrafił pływać.



Leżąca na skrzyni wozu Velander była tak słaba, że z trudem mogła unieść okrywającą ją matę. Zsunęła się na drogę; ledwo mogła ustać na nogach. Egzaminatorka spojrzała na nią z ławki woźnicy. Sędzia stał przy koniach, drapiąc je za uszami, a Nauczyciel karmił je jabłkami.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - zapytała Egzaminatorka.

- Andry... jest w pobliżu? - wydyszała.

- Przeprowadziłem dochodzenie - rzekł Nauczyciel. - Powiedziano mi, że wybiera się do Wesołego Kufła, by znaleźć łódź do pokonania przesmyku Dismay. Chcesz się z nim zobaczyć, prawda?

- Wesoły Kufel. Jak się tam dostać?

Nauczyciel dał jej wskazówki i pokuśtykała mroczną, mokrą od deszczu ulicą.



Rollaric i Shylaren śledzili ją z pewnej odległości, obliczonej tak, by nie zaniepokoić ofiary zbyt wcześnie. Velander skręciła z uliczki na most na rzece Loriaken. Teren na drugim brzegu był niebezpieczny nawet dla samotnego mężczyzny. Zatrzymała się przy kamiennej barierce i zapatrzyła w ciemną wodę.

- Co ona robi, Rol? - zapytał Shylaren.

- Nic. Może chce ze sobą skończyć?

- Oj, niedobrze. Nie okradliśmy jej jeszcze.

- Masz słuszość. Jak skoczy do wody, prawa do obrobienia trupa będą mieli rzeczni zbóje.

- Lepiej ruszajmy.

Na swoje nieszczęście nie zauważyli, że na jej skórze migocze i błyska magiczna sieć.

- Piękna noc, miła pani! - powiedział Shylaren.

Rollaric pobiegł dalej i odciął jej drogę ucieczki.

- Może szukasz jakiejś roboty albo zajęcia? - zagadał. - Bo miałbym dla ciebie coś.

Velander chyba ich nawet nie zauważyła. Rollaric zaszedł ją od tyłu, jedną ręką chwycił za ramię, drugą otoczył jej szyję. Był doświadczonym ulicznym zabójcą, stosował ten chwyt mnóstwo razy, wiedział więc, jaka może być reakcja. Napadnięci zazwyczaj chwyтали za duszące ich ramię i próbowali zmniejszyć ucisk na swoje gardło. Potem próbowali odgiąć rękę napastnika albo wykręcić się z morderczego uścisku. Velander faktycznie chwyciła jego rękę, ale Rollaric się nie spodziewał, że popchnie do tyłu, w jego kierunku. Zanim Shylaren zdążył się połapać, Rollaric przeleciał przez całą szerokość mostu, uderzył w barierkę po drugiej stronie i wypadł, pociągając za sobą Velander.

Shylaren pobiegł za nimi i wyjrzał przez barierkę, ale było zbyt ciemno. Zobaczył tylko przewróconą do góry dnem łódź tuż pod powierzchnią wody - a może na jej powierzchni. Nie, to coś unosiło się w powietrzu... gigantyczny dziób, większy niż koń i jarzące się niebieskim blaskiem ślepią! Głowa potwora uniosła się ku skamieniałemu Shylarenowi, a z rzeki wylaniało się coraz więcej i więcej węzowatej szyi. Rozległ się ryk tak niski, że prawie niesłyszalny. Potwór chwycił Shylarena w dziób, wyrzucił go w powietrze, złapał i połknął.

Dwóch nocnych strażników wyszło z mrocznej uliczki na krawędź mostu, idąc zygzakiem, obejmując się ramionami, bo teoretycznie cztery nogi są bardziej stabilne niż dwie.

- Tak, to na pewno był grzmot - wybełkotał ten z prawej.
- Będzie lać, więc chodźmy do Głowy Królowej - odparł jego kompan.
- Właśnie zaczyna padać.

Zatrzymali się, uświadomiwszy sobie, że patrzy na nich oko umieszczone w głowie z dziobem większym niż niejedna łódź wiosłowa. Z rzeki wciąż wylaniały się kolejne odcinki węzowatej szyi, a za nią korpus wielkości budki strażnika. Wyłoniła się też noga, a pokryta mułem, trójpalczasta stopa stanęła na kamiennym moście. Kamieniarz, który zmarł trzysta lat wcześniej, mógł być bardzo dumny ze swojej pracy, ponieważ most wytrzymał ciężar dwudziestotonowego smokoptaka, który ciężko gramolił się z rzeki.

- Idę! - zagrzemiał głos w łamanym diomedzańskim z szyi dłuższej niż najdłuższa piszczałka organowa, jaką kiedykolwiek zrobiono w Acremie.

- Uważaj, bo cię zatrzymamy - wydusił z siebie strażnik po prawej.
- Nie gadaj do tego, Passor. Przecież takie coś nie może istnieć - powiedział jego towarzysz.

Wielki ptak przeszedł nad strażnikami i skręcił w uliczkę za nimi. Zaulek był zbyt wąski, ale po przejściu potwora zrobił się dużo szerszy.



Rollaric i Shylaren gapili się z pewną obawą na kobietę w czerwonej sukni, która stała przed nimi w białej łodzi. Trzymała tyczkę do wiosłowania jak pałkę.

- Napadliście na moją przyjaciółkę Velander, prawda? - powiedziała niskim, groźnym głosem. - Cóż, Rollaricu i Shylarenie, to będzie bardzo rozrywkowa podróż.



Velander była ledwo świadoma siebie, przebywając w ciele, które mniej więcej przypominało smoka. Nigdy nie była dobra w rysowaniu smoków i miała problem z prawidłowym zachowaniem proporcji. Na przykład jej skrzydła miały zaledwie szerokość podwójnego łóżka, a drobne detale smoczego pyska i głowy przekraczały jej wyobraźnię, więc po prostu uformowała ptasi dziób. Ogólna wielkość była jednakże inną kwestią. To wcielenie wyposażała w nogi dużo dłuższe niż wszystkie wcześniejsze, które stwarzała w stanie półświadomości, więc oczy miało piętnaście metrów nad poziomem gruntu. Ciało było złożone z czystej energii eterycznej, ostrożnie wetkanej w zakłęcie sprężające przez czarodzieja, którego zabiła w Clovesser i dlatego nie ważyło więcej niż ludzkie ciało Velander i mogło być z łatwością porwane przez wiatr. Zapobiegła temu, wypełniając je wodą. Woda miała też amortyzować ewentualne ciosy czy pociski.

W wyniku terapii, jaką przeprowadził Nauczyciel, świadomość Velander teoretycznie była w stanie kontrolować smocze zakłęcie. Smok mógł żywić się czymkolwiek, lecz wymagał ogromnych ilości pokarmu. Wszystko, co Velander mogła zrobić, to odwrócić się we właściwym kierunku i spróbować się upewnić, że na drodze nie ma żadnych przypadkowych świadków, kiedy straci panowanie nad swoją głową. Poruszanie się po Logiar było sporym problemem. Nie знаła dobrze jego ulic, a teraz w dodatku próbowała odnaleźć drogę z wysokości piętnastu metrów. W nagłym przypływie inspiracji zniżyła się prawie do poziomu ulicy i skulona szła zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od Nauczyciela. Łatwiej było jej orientować się w położeniu, ale wprawiała w konsternację przechodniów. Widok piętnastometrowego potwora nadchodzącego z oddali był wystarczająco niepokojący. Natknięcie się zniecka na tak monstrualny łeb na poziomie ulicy powodowało reakcję „wrzeszcz i uciekaj”.

Wesoły Kufel pojawił się w zasięgu jej wzroku. Wyprostowała się i spojrzała z

góry na łupkowy dach. Gdy przyłożyła do niego głowę, doszły ją odgłosy jednej ze słynnych bójek. Przebiła głową dachówki, otworzyła dziób i ryknęła. Do tej pory zdążyła już się przekonać, że najlepszy efekt osiąga się wtedy, gdy ofiary zastygną ze strachu. Akiro, Aziro i stali bywalcy zamarli. Velander przyłożyła oko do wybitej dziury i przyjrzała się twarzom gapiącym się na nią z dołu. Andry'ego tam nie było.

- No, czegoś takiego nie widuje się co dzień - powiedział barman i nawet służąca lekko kiwnęła głową w kierunku Velander.

Jak na komendę, klienci Wesołego Kufla wypadli z tawerny. Dwóch krzepkich marynarzy dobiegło do drzwi, wyrwało je z zawiasów, nie zwracając sobie głowy szukaniem zasuwki i uciekło między dziewięciometrowymi nogami Velander. Wielki doker wyskoczył przez zamknięte okno, wywalając okiennice, framugę i kraty za jednym zamachem. Pozostali uciekali przez piwnicę, chowali się za plecami służącej, a nawet wyrabiali lub kopniakami utorowali sobie drogę przez ściany.

Velander zauważyła, że dwóch gości zostało z tyłu. Akira przygniotły ciężkie belki dachowe, a Aziro gorączkowo starał się brata uwolnić. Kiedy wzięła głęboki wdech, wciągane metry sześciennego powietrza zadźwięczały jak w gigantycznych piszczałkach organowych.

- Ślamazary! - ryknęła, a natężenie dźwięku rozbiło butelki i szyby w sąsiedztwie.

W tym momencie Aziro doznał takiego przyływu sił, że odrzucił belki przygniatające brata, podniósł go i uciekł.

- Nie powiedziałbym, że są ślamazarni - powiedział barman do Velander.

- Zgadza się, zwawsi niż zwykle - zgodziła się służąca.

- Gdzie... jest... Andry? - zapytał potwór bardzo grubym głosem wydostającym się z wielkiego dzioba.

- Jeśli to jeden z żeglarzy, którzy byli tu wcześniej, poszedł do doków - powiedział barman.

- Aby odpłynąć - dodała służąca.

- Do Alberinu w Scalticarze - podsumował barman.

Ostatni z gości, którzy bawili tego wieczora w Wesołym Kuflu, wyszedł z ukrycia dopiero jedenaście tygodni później, ale upłynęły aż dwa lata, zanim usłyszano znowu o braciach Akiro i Aziro. Kupiec handlujący metalami szlachetnymi doniósł, że pracują w kopalni złota na północnym wschodzie Acremy. Ten sam kupiec powiedział też, że nigdy, przenigdy nie wychodzą na powierzchnię.

Velander podniosła głowę i wyprostowała się do pełnej wysokości. Poruszanie się po ulicach i poszukiwanie konkretnego budynku dla kogoś o piętnastu metrach wzrostu stanowiło problem, lecz zlokalizowanie miejskich doków było niezwykle łatwe. Puściła się w niezdarny kłus i po kilku minutach była już na nabrzeżu. Na wodzie kołysał się stateczek z postawionym sztormowym żaglem. Molo runęło pod jej ciężarem. Dobrnęła do brzegu, wyjąc z frustracji i bólu. Patrzyła na wrota portu, gdzie zmierzał „Mroczny Księżyc” i krzyczała imię Andry'ego. Jej głos jak odgłos grzmotu rozlegał się echem przez dobry kwadrans.

- Czy już skończyłaś, moja droga? - odezwał się za jej plecami Nauczyciel w martwym języku larmentalskim.

Bez żadnego ostrzeżenia smokoptakowe wcielenie Velander pękło, uwalniając jakieś dwadzieścia ton cuchnącej rzecznej wody oraz ciało Velander, jak również zwłoki Rollarica i Shylarena.

- Oj. oj, jesteśmy nieźle pokręconą osóbką - powiedziała Egzaminatorka, brodząc przez rozlaną wodę i pomagając Velander usiąść.

- Dlatego tu jestem - sapnęła Velander, trzęsąc się z zimna i żalu.

- Czas zakończyć twoją naukę - stwierdził Nauczyciel.

- Kim jestem? - zapytała Velander.

- Nie jesteś nikim w zupełności. Niezupełnie szklanym smokiem, niezupełnie człowiekiem, nie całkiem żyjesz, ale tylko trochę nie żyjesz.

- Jesteś kobietą - powiedziała Egzaminatorka. - Mniej więcej.

- Co za ulga - odparła Velander. - Ale chcę być żywa.

- Już ci to tłumaczyliśmy, możesz być jedynie na wpół żywa - rzekł Nauczyciel.

- On ma na myśli, że żywa przez połowę czasu - wtrącił się Sędzia. - Doprawdy, Nauczycielu, czyż nie wiesz, że złe wyrażanie się i gramatyka mogą być powodem wojny? A teraz, Velander, pozostaje jeszcze kwestia twojego wcielenia. Kim chciałabyś zostać? Możesz być częściowo żywa, ale również możesz być smokiem. Zabiłaś szklanego smoka i wypiąłaś jego energię eteryczną. To rzecz absolutnie bez precedensu i teraz masz umiejętności, których nauczenie się zabrałoby komu innemu jakieś dwa tysiące lat. Czy chcesz być smokiem?

- Tak, chyba tak.

- Musisz wykazać więcej zaangażowania.

- Tak, chcę tego - powiedziała Velander stanowczo. - Chcę być szklanym smokiem, tak żebym mogła być żywa dla Andry'ego.

We troje wciągnęli ją na skrzynię wozu, potem Sędzia i Nauczyciel ustawili stelaż i naciągnęli plandekę dla ochrony przed deszczem. Usiedli przy Velander na snopkach słomy. Wóz ruszył ku bramie miejskiej.

- Masz dwadzieścia jeden lat - powiedział Nauczyciel. - Przeszłaś dziewięć poziomów inicjacji, trzydzieści dni temu zabiłaś szklanego smoka, wysysając jego siłę życiową.

- Jednego z tych głupich młodych, aktywnych politycznie smoków - dodał Sędzia. - To był Wojownik Pogromca Wiatru, jak sobie przypominam.

- Lavolten w waszym nazewnictwie, Velander. Dobrze się stało, że się go pozbyliśmy.

- Jak śmiertelniczka mogła wypić zaklęcie przemiany w smoka, to jest jego siłę życiową? - zapytał Nauczyciel. - Zwykłego człowieka by to zabiło.

- Nie byłam śmiertelna ani nie byłam żywa - wyjaśniła Velander.

- Ach, teraz przypomniałem sobie precedens - powiedział Nauczyciel. - Laron. Był martwy, mógł chodzić jedynie, kiedy Miral był wysoko, czerpał krew i siłę życiową od istot żywych. Po raz pierwszy spotkałem go dwa wieki temu. Czarujące maniery, chociaż nosił idiotyczną brodę, aby ukryć trądzik. Ale on mówił, że jest jedyną istotą tego rodzaju. Skąd ty się wzięłaś?

- Laron mnie stworzył.

- O rany! Mam nadzieję, że nie zamierzasz za niego wyjść - odezwała się Egzaminatorka z ławeczki woźnicy.

- Nigdy! - krzyknęła Velander i zaczęła szlochać. - Och, Andry, ty nawet nie wiesz, że ja znowu żyję!

- Andry - westchnęła Egzaminatorka. - Taki szlachetny młody człowiek.

Stanęli przed bramą miejską; podszedł strażnik w pelerynie od deszczu.

- Bramy miejskie zamknięte aż do odwołania - powiedział.

- Zapewne chcesz dostać coś do ręki za otwarcie bramy - odparła Egzaminatorka w popularnym sargolskim.

- Całe złoto świata nie zmusi mnie do otwarcia bramy - powiedział stanowczo strażnik. - Tu gdzieś czają się potwory.

- Potwory? - Egzaminatorka raczej się zaciekawiła, niż przestraszyła.

- Sądzę, że on mówi o nas - rzekł siedzący za jej plecami Sędzia.

- Jakże tam z nas potwory! Jesteśmy bardzo szanowani i chcemy jedynie wyjechać z miasta wraz z naszą studentką.

Strażnik wziął się pod boki.

- Spieprzajcie do jakiegoś zajazdu i czekajcie na obwieszczenia. Zastępca regenta ogłosił stan oblężenia i dopóki on nie zdecyduje...

Egzaminatorka wstała, otworzyła usta i zionęła strumieniem rozżarzonej do białości plazmy w stronę bramy. Towarzyszył temu dźwięk, którego nie dałoby się odtworzyć bez bardzo zaawansowanej technologii lub wielkiego zjawiska nadprzyrodzonego. Dyżurny sierżant wybiegł na dwór i zobaczył, że strażnik podnosi się z ziemi, a wóz wytacza się przez bramę. Pobiegło za nim sześciu kuszników. Z podwójnych wrót pozostały cztery dymiące kikuty na rozpalonych zawiasach, na których z sykiem parowały krople deszczu.

- Na wszystkie kręgi piekielne, co tu się stało?! - krzyknął sierżant. - Kusznicy, naciągać cięciwy i ładować bełty!

- Taka staruszka na wozie... - zaczął strażnik.

- Co? Piłeś w czasie służby, człowieku?

- Nie, ale...

- Leć za tym wozem! Zatrzymaj go!

- Nie zrobię tego nawet za całe złoto Acremy, panie sierżancie.

- Odmawiasz wykonania rozkazu?!

- Nie, panie sierżancie. Po prostu nie zbliżę się do tego wozu.

- Sam go zatrzymam, ale ciebie podam do raportu. Kusznicy, wziąć na cel ten wóz! Gotowi...

Jeden z kuszników zauważył, z jaką szybkością strażnik odskoczył daleko w bok. Podjął błyskawiczną decyzję, rzucił kuszę i także odskoczył. Kiedy się obejrzał, w miejscu, gdzie stał sierżant i pięciu strażników, była długa, owalna kałuża płynnej skały otoczona rozżarzonymi kostkami brukowymi.

- To prawdopodobnie metoda Matki Natury na eliminację durnych jednostek - szepnął strażnik.

- I powolnych - dodał kusznik.

Na wozie szklane smoki wyjaśniały Velander postawioną diagnozę.

- Uciekłaś w połowie kuracji - westchnął Nauczyciel. - Mieliśmy jeszcze wiele do zrobienia.

- Tak, zwłaszcza z tymi promieniami siły życiowej, które, jak sądziłaś, cię zaatakowały - powiedział Sędzia. - To było zaklęcie przemiany w smoka tego głupiego Wojownika Pogromcy Wiatru.

- Aktywisty politycznego - dodała Egzaminatorka z ławeczki woźnicy.
- One wybiórczo przyczepiły się do twojej duszy - ciągnął Nauczyciel. - Niektóre odpowiadały za dobre fragmenty siły życiowej, inne za smutne. Powinniśmy to powtórzyć, tym razem właściwie, jak również dodać wszystkie pozostałe.
- Ale to bardzo boli - poskarżyła się słabo Velander.
- Tak, lecz tym razem to będzie się działo pod kontrolą. Po tym staniesz się szklanym smokiem, tak jak my.
- Choć nie całkowicie takim samym jak my - dodał Sędzia.
- Ale jestem pewna, że nadal zostaniemy przyjaciółmi - zapewniła ją Egzaminatorka.



Tak jak przewidywał Andry, „Mroczny Księżyc” unosił się i opadał na wielkich falach, które nim miały. W ciągu pierwszej godziny po opuszczeniu portu stracili dwa sztormowe żagle, a do świtu - większość takielunku, tak że statek nie całkiem był zdalny do dalszej podróży.

Laron powtarzał, że musiał być bardzo pijany, kiedy decydował się na tę podróż. Wallas przywiązał się do forkasztelu i mógł wymiotować za burtę do woli, a Riellen nieustannie pytała, kiedy wreszcie umrą. Udało im się w końcu sklecić wytrzymały takielunek z trzymetrowego kikuta głównego masztu, rei przywiązanej do tegoż kikuta i relingu oraz potrójnie złożonego żagla przymocowanego do tej konstrukcji. Laron uświadomił wszystkim, jak ważne jest trzymanie kursu na południe i że aby to zrobić, należy jedynie pilnować, by wiatr był od sterburty.

Kiedy Norrieav i Hazlok się przebudzili, próbowali się zbuntować i zakuć wszystkich pasażerów w kajdany, ale Laron zwrócił im uwagę, że nawet gdy wszyscy pracują przy wylewaniu wody, naprawach i sterowaniu, to i tak z ledwością wystarcza ludzi do utrzymania statku na kursie. Drugiego dnia po wypłynięciu oznajmił, iż nie ma pojęcia, czy przepłynęli dziesięć mil, czy sto, lecz prawdopodobnie wciąż znajdują się w przesmyku Dismay. Trzeciego dnia zostawił Danolę, Costigera, Riellen i Hazloka próbujących utrzymać drążek sterowy i zszedł pod pokład, aby sprawdzić, jak czują się leżący w izbie chorych. Do tej pory całe wnętrze statku zamieniło się w izbę chorych. Kiedy wypływali, najbardziej chorą osobą na pokładzie był Gilvray, ale teraz pełnił funkcję medyka i desperacko borykał się z przypadkami ran, wychłodzenia, hysterii, wyczerpania, choroby morskiej i ślepej paniki, próbując sprawić, by obecna załoga szkunera była zdolna do służby na pokładzie lub wypompowywania wody.

- Jakie ma pan obrażenia? - zapytał, gdy Laron pojawił się na schodach razem z solidną porcją morskiej wody.

- Żadne, o których warto by mówić - odparł Laron, przekrzykując huk fal, jęk desek i wycie wiatru. - Jak sobie radzisz?

- Zawsze chciałem być medykiem, ale mój ojciec stwierdził, że to zawód dla osoby z niższej klasy. Skończyłem jednak wszystkie kursy medyczne w Akademii Oficerskiej Milicji Imperialnej, więc...

- Nie, miałem na myśli, jak ty się czujesz?

- Nie gorzej niż wszyscy pozostali.

- Aż tak źle? Cóż, musimy zamienić słówko. Mam dwie wiadomości, dobrą i złą. Dobra jest taka, że sądząc po kształcie fal, jesteśmy już dość blisko Scalticaru Północnego.

- Zła wiadomość musi być naprawdę zła, aby przyćmić tę dobrą - odparł Gilvray.

- I jest. Te gigantyczne fale zaczną się załamywać na płytszej wodzie. Wcześniej czy później któraś załamie się nad „Mrocznym Księżycem”.

- I wtedy wszyscy zginiemy?

- I wtedy możemy mieć jedną szansę na tysiąc, jeśli pompy utrzymają najniższy możliwy poziom wody we wnętrzu statku. Poślij wszystkich, kogo tylko będziesz mógł, do pomp. Ja wracam na górę.

- Słyszeliście, co powiedział! - krzyknął Andry, który właśnie pełnił służbę przy pompie. - Zbierzcie wszystkie siły.

- Nie ty, Andry - powiedział Norrieav, który był przywiązany do zaimprovizowanej koi. - Idź do steru, będą tam wkrótce potrzebowali kogoś silnego. Ja obejmę dowództwo nad obsadą pomp.

Wszyscy na tylnym pokładzie przywiązali się do relingów i innych części statku wyglądających na solidne. Sześcioro z nich było przy rumplu, utrzymując „Mroczny Księżyc” z wiatrem mniej więcej na sterburcie. Nagle Laron wskazał głową coś przed nimi.

- Łąd! - krzyknął. - Góry! Scalticar Północny! Jesteśmy zbyt blisko!

- Sądziłam, że chcieliśmy znaleźć się tak blisko, byśmy mogli wyjść na brzeg - powiedziała Riellen, przekrzykując wiatr.

- Nie, chcieliśmy trzymać się środka przesmyku, aż byśmy minęli Morskiego Smoka, a potem kluczyć, szukając schronienia przy wschodnim wybrzeżu kontynentu.

Tam są fale wysokości zaledwie namiotu. Bylibyśmy w stanie wpłynąć do portu albertińskiego od wschodu może po tygodniu.

- Co się stanie teraz? - zapytał Andry.

- Gigantyczna fala załamie się nad nami, a wtedy wszyscy utoniemy. Jesteśmy zbyt blisko przylądka Północna Ostroga, najbardziej na północ wysuniętej części Scalticaru.

- Czy mówi pan o gigantycznych falach, takich jak ta?! - krzyknął Costiger, pokazując coś palcem.

Wszyscy popatrzyli w tamtym kierunku. Na zachodzie cały horyzont podnosił się, zaginał i obramowywał pianą.

- Skręcajcie! Skręcajcie trzy stopnie na lewą burtę! - krzyknął Laron. - Musimy ustawić się rufą, bo Fortuna pomyśli, że jesteśmy kiepskim żartem.

„Mroczny Księżyc” obrócił się powoli, ale wszyscy poczuli wstrząs, gdy szkuner zanurkował w dolinę przed gigantyczną falą. Potem znowu zaczął się wznosić.

- Nie patrzcie! - rozkazał Laron.

Wszyscy spojrzeli. I pożałowali, że spojrzeli. W tej chwili bowiem „Mroczny Księżyc” opadał pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a ten kąt ciągle się zwiększał.

- Jeśli przechylimy się jeszcze bardziej, jesteśmy martwi! - krzyknął Laron.

- Sądzi pan, że teraz nie jesteśmy martwi? - załkała Riellen, przyłgnąwszy do rumpla i nogi Danola.

- Trzymajcie się mocno, załamuje się nad nami!

„Mroczny Księżyc” pozostał na kilu nawet wtedy, gdy zwały się na niego tysiące ton wody. Nagle wszystko ucichło i wtedy zdali sobie sprawę, że znaleźli się pod powierzchnią. Riellen odpadła od drążka steru. Usiłowała nie słuchać głosu, który jej powtarzał, że już nie żyje, biorąc pod uwagę okoliczności - i nagle znowu byli na powierzchni, a morze kipiało wokół. Danol wciągnął Riellen za linę, którą była przywiązana.

- Chwyć się bocznej siatki! - krzyknął, gdy turbulencje cisnęły nią o pokład.

Wspięła się na burtę, a szkuner znowu zaczął opadać.

- Do diabła, co tu się wyprawia?! - wrzasnął Norrieav przez otwarty bulaj.

- Zamknij ten pieprzony bulaj! - odwrzasnął Laron, a potem dodał: - I nie przestawajcie pompować!

- Mamy tu wody po jaja, piętnaście minut zajmie wypompowanie...

- Masz minutę lub mniej, zamknij teraz ten bulaj!

Prowizorycznie przymocowany żagiel został porwany przez wodę, więc tym razem mieli dużo lepszy widok, gdy „Mroczny Księżyc” wspinał się na fali, a potem leciał prosto w dół.

- Z pięćdziesiąt węzłów prędkości - powiedział Laron, ale nikt go nie słuchał.

Szkuner zaczął robić obrót, woda przelewała się przez śródpokład.

- Lewa burta, dwa stopnie - rozkazał Laron, ale właśnie fala z rykiem zwała się z góry.

Wydawało się, że byli pod wodą przez bardzo długi czas, a kiedy wydostali się na powierzchnię, statek był dużo bardziej zanurzony. Bulaj znowu otworzył się z trzaskiem.

- Niech cię szlag, Laron, mamy tu wody po szyję! - krzyknął Norrieav. - Jest jej za dużo, żeby pompy działały, chyba że wyniesiemy je na pokład.

- Zróbcie to, a następna fala zmyje je za burtę!

- Następna zatopi nas tak czy tak!

- Więc przyprowadź wszystkich na pokład i ich przywiąż. A potem zamknij to pieprzone okno.

W chwili gdy ci spod pokładu przywiązywali się, „Mroczny Księżyc” zaczynał się wspinać.

- Kiedy znowu opadnie, policzcie do stu, poczekajcie, aż płuca nie będą mogły już wytrzymać i wtedy poluzujcie węzły na linach - polecił Norrieav. - Jest szansa, że niektórzy z nas mogą przeżyć fale i skały i dopłynąć do brzegu, ale zostańcie na łodzi jak długo się da i... o Matko Naturo, czy wszystkie były takie wielkie?! - krzyknął, odwracając się w kierunku rufy.

- Pięć stopni na prawą burtę! - zawołał Laron. - Pięć, niech was cholera! Pięć!

- Zbyt ciężko! - wrzasnął Costiger. - Siła...

- Pięć! Idę wam pomóc.

- Twoja lina! - krzyknął Norrieav. - Zmyje cię!

- Pięć stopni na prawą burtę! - Laron nie zwracał na niego uwagi.

Ta fala była inna. „Mroczny Księżyc” wspinał się dłużej. Po stronie sterburty ukazały się góry, a piana rozpryskiwała się wysoko w powietrze, kiedy morze uderzało o skały i pobliski brzeg. Andry nagle zdał sobie sprawę, że woda za rufą nie jest już wyższa od „Mrocznego Księżyca”. Płynęli szybko i nagle zobaczył długą, głęboką zatoczkę, gdzie wielkie bałwany zmieniały się w małe fale. Wszyscy zaczęli wiwatować i rozsypywać węzły lin.

- Scalticar! - krzyknął Costiger. - Dla nawigatora Larona trzy razy hura!



Regionalny port Falgat leżał u wejścia do zatoki, ale dowleczenie się na miejsce postoju piętnaście mil dalej zajęło „Mrocznemu Księżycowi” resztę dnia. Pompy pracowały przez cały czas, a każdy, kto nie pracował przy pompach, wyczerpywał wodę w inny sposób, ale mimo to poziom wody prawie się nie zmniejszał. Wczesnym wieczorem dotarli do doków. „Mroczny Księżyc” został powoli podprowadzony do jedynej pochylni. Rzucono liny i szkuner wjechał na pochylnię na rolkach. Z jego kadłuba strumieniami wyciekała woda.

- Zbyt wiele uszczelnień wymyło - powiedział Norrieav, kiwając głową. - Biedna łajba jest wrakiem. Naprawa będzie kosztowała prawie tyle samo co jej zbudowanie.

- Ale wszyscy dotarliśmy tu cali i zdrowi - rzekł Laron.

- Myślałem, że nie żyjesz, a po tym, co zrobiłeś z moją łodzią, prawie chciałbym, aby tak było.

- Zapłacimy za rejs, w dodatku będziesz mógł zachować resztki zapasów.

- Och tak, a to ledwo pokryje koszt cumowania i opłaty za pochylnię.

Norrieav ruszył do budynku kapitanatu portu. Essen i Andry podeszli do Larona.

- Ta łajba powinna zatonać co najmniej ze dwa razy - powiedział Andry. - Ja tego nie rozumiem. Było tak, jakby sama Fortuna trzymała szkuner od spodu i nie dawała mu pójść na dno.

- To nie Fortuna - odparł Laron. - Ten szkuner jest zanurzalny, zaprojektowany tak, by tonął i wyskakiwał na powierzchnię. Żadna inna łódź nie mogłaby pokonać przesmyku.

- Słucham, kapitanie?

- Zanurzalna łódź szpiegowska. Może być zatopiona, w celu ukrycia jej pod wodą, a potem podniesiona na powierzchnię.

- Kapitanie, bajki pan opowiada.

Laron poklepał dłonią jedną z dziwnych, małych kwadratowych klap w kadłubie. Była zamknięta, a woda wypływała ze szczelin dookoła niej.

- Tak, Andry, opowiadam bajki. Pani Fortuna była tak okropnie dla nas łaskawa, więc lepiej nie nadużywajmy jej uprzejmości w najbliższym czasie.

Dołączyli do nich Gilvray i Dolviene. Chociaż ugiwały się pod nimi nogi, to jednak mieli uśmiechy na twarzach.

- Cóż, szyper Norrieav będzie teraz bogaty i szczęśliwy - powiedział Gilvray.

- Czemu tak mówisz?

- Ma sporo skrzyń z korą medikaru w ładowni. Były dobrze uszczelnione owczymi jelitami, więc nie uległy zniszczeniu. Tylko odrobinę zużyłem do opatrunków w trakcie podróży.

- Kora medikaru? - zdziwił się Laron. - Costiger powiedział, że to były suchary.

- Costiger nie potrafi czytać - wtrącił się Andry. - Skrzynie wyglądały dokładnie jak te, w które zazwyczaj pakuje się suchary. Pewnie właściciel Wesołego Kufla wziął je od kogoś jako zapłatę za rachunek.

- Medikar to roślina z dalekiej północy Acremy, z tropików - wyjaśnił Gilvray. - Jest stosunkowo tania, ale ponieważ Scalticar jest odcięty od tamtych terenów przez burze toreańskie, jej cena z pewnością wzrosła. Wziąłem pewną ilość z otwartej skrzyni. Dałem po trochu każdemu zwiadowcy i każdemu z pozostałych pasażerów. Szyper i tak będzie bogaty, myślę, że się nie pogniewa.

Laron popędził do biura kapitanatu, aby zanieść Norrieavowi dobre wieści, a pozostali zaczęli dyskusję, gdzie spędzić najbliższą noc.

- Warto jak najprędzej iść do Alberinu i sprzedać naszą korę medikaru, zanim dojadą tam skrzynie Norrieava i zaleją rynek - zasugerował Essen.

- Pan tu dowodzi, panie sierżancie - odparł Andry.

- Nie, nie ja, chłopcze. Jesteśmy teraz najemnikami bez przydziału i jesteśmy równi. Ty jesteś Andry, a ja Essen. Pochodzisz z Alberinu?

- Tak, mam tam rodzinę.

- Więc idziesz z nami? Inni też chcą tam się udać.

- Chcę iść z tobą. A teraz poszukajmy czegoś gorącego do jedzenia.



Essen poprowadził Larona, Gilvraya i Dolvienne do Falgat. Riellen szła ze zwiadowcami, a Wallas włókł się z tyłu. Szedł niepewnie, jednak szedł. Zatrzymali się w gospodzie Widok na Ocean, z której można by ujrzeć fale tylko wtedy, gdyby ktoś wspiął się na dach, ale nikt z nich nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany patrzeniem na wodę.

- Cóż, Alberin leży dziewięćdziesiąt kilometrów stąd, przez górzyste, choć możliwy do przebycia teren - powiedział Andry, gdy zebrali się wokół paleniska w głównej sali. - Trzy dni piechotą.

- Zgadza się, to mała miejscina, bez żadnych perspektyw - przytaknął Essen.

- A ja mówię, żebyśmy pojechali - odezwał się Wallas.

- Pojechali? - zapytał Andry. - Czym? W razie gdybyś nie zauważył, niemal wszystkie pieniądze wydaliśmy na wynajęcie „Mrocznego Księżyca”.

- I nie jesteśmy już w milicji Sargolu - dodał Essen. - Nie możemy zwyczajnie poprosić o konia i go dostać.

- Sprzedam tutaj moją korę medikaru - powiedział Wallas. - Za to można kupić konia.

- Tak, ale w Alberinie ją sprzedasz dwudziestokrotnie drożej - zauważył Essen. - Szyper Norrieav już sprzedał trzy kawałki miejscowym kupcom, by zapłacić za remont „Mrocznego Księżyca”. To nasyciło rynek tutaj, a w Alberinie wciąż jest popyt.

- Chciałbym, abyśmy wyjechali jutro i podróżowali razem - rzekł Andry.

- A ja chciałbym najpierw odpocząć - powiedział Wallas. - Mamy dość pieniędzy, by spać pod dachem i jeść przez tydzień.

- Tak, to była bardzo męcząca podróż - zgodził się Gilvray.

- Andry, mogę zamienić z tobą słowo na osobności? - zapytał Laron.

Podeszli do lady i poprosili stojącego za nią młodzieńca, by obsłużył resztę grupy siedzącą przy palenisku. Kiedy zostali sami, Laron przysunął się do Andry'ego.

- Muszę odwiedzić Szkołę Wojowników - rzekł cicho. - To po drodze do Alberinu. Tam was opuszczę.

- Obiecałem komuś, że odwiozę cię do Alberinu - odparł Andry.

- Doprawdy? - powiedział Laron. - A kto to był?

- Ktoś, kto uważał, że jesteś tam potrzebny.

- Terikel?

- W Alberinie jest Roval, jak mi powiedziała. On teraz bardzo potrzebuje przyjaciela.

- Ale ja mam bardzo ważną sprawę do załatwienia w Szkole Wojowników - upierał się Laron. - Od tego mogą zależeć losy świata, uwierz mi.

- Skoro nie interesują cię losy przyjaciela, jak możesz mówić o losach świata? - Andry popatrzył Laronowi w oczy.

Laron spojrzał na pozostałych. Byli weseli, szczęśliwi. Większość uciekła przed wyrokiem śmierci, dwoje było zakochanych, a zwiadowcy po wielu latach znaleźli się blisko domu. Wszyscy wkrótce będą mieli sporo pieniędzy i z niecierpliwością oczekują spokojnego życia.

Wallas wstał i rozłożył ramiona, biorąc głęboki wdech.

*Pod skalnymi zboczami Taloncrag
Schroniliśmy się, straciwszy nadzieję
Na ucieczkę. Byliśmy przyjaciółmi,
Andry, Wallas i Terikel.*

Zaklinacz smoków... Aaa!

Costiger wylał swoje piwo Wallasowi za koszulę.

- Dobrze, Andry, jedź ze mną jutro do Szkoły Wojowników - powiedział Laron, bijąc brawo Costigerowi, który złożył głęboki ukłon. - Jeśli w szkole zdecydują, że jestem im potrzebny, to koniec dyskusji. Jeśli nie, jadę do Alberinu razem z tobą.

Wśród pozostałych rozpętała się dyskusja, która zajęła cały wieczór. Postanowiono jechać razem. Powodem była wizja podróży w dużej, dobrze uzbrojonej grupie, jak również perspektywa przybycia do Alberinu, zanim tamtejszy rynek zostanie zalany korą medikaru.



Po Szkole Wojowników pozostał tylko jeden ślad. Był to kamienny łuk przy zjeździe z głównej drogi, niedaleko trzydziestego kamienia milowego od Alberinu. Wykuto na nim napis SZKOŁA WOJOWNIKÓW podkreślony przez skrzyżowane topory. Zwieńczenie łuku miało kształt wielkiego oka. Za nim było pole ruin, z których gdzieś w niebo strużka dymu. Niektóre z solidniej skonstruowanych budowli zachowały jeszcze coś ze swojego pierwotnego kształtu, a najmniej zniszczonymi obiektami były drogi.

- Smoki - powiedział Essen.

- Pieprzone smoki - zaklął Costiger.

Andry przeszedł pod łukiem i ruszył między ruiny.

- Andry Tennonerze, tam jest niebezpiecznie! - krzyknęła za nim Dolvienne w albertińskim z mocnym akcentem.

Zatrzymał się na krawędzi spalenizny, przyklęknął i wyciągnął rękę.

- Ciepłe, wciąż ciepłe - powiedział. - To się stało bardzo niedawno.

- Powinniśmy już ruszać - rzekł Laron. - Cokolwiek to zrobiło, może tu wrócić.

- Wątpię. Nic tu nie wróci. - Andry wstał. - Chociaż rozejrzyjmy się tutaj i zameldujmy.

- Komu mam zameldować?! - krzyknął Wallas. - Matce Naturze? Przepraszam,

Matko Naturo, ale jedno z mniejszych bóstw nierozważnie bawiło się piorunami, wiesz i szlag trafił teren wielkości pokaźnego miasta, a jego mieszkańcy zamienili się w dym i nie bardzo im się to spodobało.

- Andry ma rację, powinniśmy się przynajmniej dowiedzieć tyle, ile się da - stwierdził Laron, jakby chciał wkurzyć Wallasa. - Kapitanie Gilvray, czy zechciałby pan zabrać ludzi i zorganizować obozowisko na noc? Andry i ja zostaniemy tutaj, dopóki będzie widno.

- Ja również się przydam - powiedziała Riellen.

- Co? Nie, to zbyt niebezpieczne!

- Andry dopiero co powiedział, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa.

- Tu jest zbyt niebezpiecznie dla kobiety.

- Co sprawia, że jako kobieta nie mam tu nic do roboty? - zapytała ze złością.

- Nie jesteś tak silna jak my i nie potrafisz walczyć.

- A ty nie jesteś naukowcem.

- Jestem dyplomowanym czarodziejem. - Laron nerwowo grzebał po kieszeniach i wyciągnął pomięty, nieco przemoczony zwój.

- Zobacz, Akademia Madame Yvendel w Diomedzie.

- A jak długo studiowałaś nauki ścisłe? - upierała się Riellen.

- Ja specjalizowałam się w naukach ścisłych i...

- Pozwól jej zostać, Laronie - powiedział Andry.

- Ale ona...

- Z mojego ograniczonego doświadczenia wiem, że kobieta pracująca w męskim zawodzie jest zwykle trzy razy bardziej efektywna niż mężczyzna. Chodź, dziewczyno, pójdziesz ze mną.

Ziemię pokrywał popiół, ale pod nim była krucha, szklista warstwa.

- Czarodzieje wojownicy rzucali zaklęcia bitewne - szepnął Andry do Riellen. - Chyba rzucili jakieś niewłaściwe.

- Lub wróg rzucił prawidłowe - odparła Riellen.

- Coś podobnego stało się w Clovesser. Czy to dzieło Smoczego Muru?

- Tak zapewne jest i ja to stwierdzę - powiedziała Riellen. Andry dopiero teraz zauważył, że ona robi pomiary krokami.

Gdzieś tam leżały zwęglone ciała lub krwawe szczątki. Wokół panowała niezmacona cisza. Andry przypuszczał, że okoliczne ptaki i zwierzęta padlinożerne nie miały jeszcze odwagi zbliżyć się do tego miejsca. Riellen doszła do przeciwległego

krańca spalonego terenu, podniosła jakiś zwęglony patyk i kawałek łupka i coś pisała. Zaczęła iść z powrotem.

- Czy nie chcesz zmierzyć czegoś jeszcze? - zapytał Andry.

- Właśnie to robię. Jeśli zrobię połowę tych kroków, dojdę do centrum. Jeśli wyjdę ze środka pod właściwym kątem, będę mogła określić, czy spalony teren ma kształt koła, czy elipsy.

- To ważne?

- Tak. Elipsa będzie znaczyła, że ogień pochodził ze Smoczego Muru, a koło - że spadł z góry.

- Co to jest elipsa?

- Coś takiego jak owal.

- A co to jest owal?

Okazało się, że spalony teren miał kształt doskonałego koła. Riellen zrobiła dużo kolejnych notatek, potem zwróciła uwagę Andry'ego na skałę.

- Zobacz, jest zeszkliwiona na szczycie i równomiernie dookoła. Wszystkie skały, jakie widziałam, były takie same. Ogień miał źródło dokładnie nad nimi, w jednym punkcie i bardzo wysoko. To było prawdopodobnie jedno krótkie zionięcie. Długie zamieniłoby ludzi w popiół, a ciała są tylko częściowo zwęglone. Skały nie zostały stopione, mają po prostu cienką warstwę szkliva na wierzchu.

- Więc co mogło to zrobić? - zapytał Andry.

- Nie Smoczy Mur, po nim zostałyby eliptyczny ślad na ziemi, a skały byłyby zeszkliwione po zachodniej stronie. Nie był to także smok, bo nawet największy smok potrzebowałby więcej niż jednego zionięcia, aby narobić tyle zniszczeń.

- Ale w jaki sposób jesteś w stanie określić, że stało się to w jednej chwili?

- Po układzie ciał. Ci ludzie zajmowali się codziennymi sprawami, żaden z nich nie ma w ręce broni. Wojownicy i uczniowie nawet nie wiedzieli, co w nich uderzyło.

- Więc nie wiemy, co tego dokonało, za to wiemy, co tego nie dokonało. - Andry gestem przywołał Larona.

- To był Smoczy Mur - powiedziała Riellen.

- Ale właśnie mówiłaś...

- Spójrz, to kawałek kamienia ze szczytu zachodniej ściany Akademii Clovesserskiej. - Riellen wyjęła z torby ułamek piaskowca. - Podniosłam go w czasie ucieczki, był tak gorący, że musiałam owinąć go szalem. Teraz odłamałam kawałek kamienia od bloku piaskowca tutaj i porównałam głębokość stopionej warstwy.

Głębokość zeszkliwionej warstwy na obu kamieniach była identyczna. Podszedł Laron. Riellen robiła kolejne notatki na swoim łupku.

- Cóż, z rozmiaru zniszczeń wnioskuję, że musiało ich dokonać stado smoków - stwierdził Laron.

Andry poczuł, że ten elegancki oficer się zmieszał, gdy Riellen zaczęła opowiadać mu o swoich obserwacjach. Wykształcenie, ranga, bogactwo, władza i nawet wytworne maniery nie mają znaczenia, gdy w grę wchodzi racja lub jej brak. Więc po co zawracać sobie głowę szkołami i po co uczyć się dobrych manier? Ta myśl Andry'ego zaniepokoiła.

- Przykro mi, że wszyscy twoi znajomi zginęli - powiedział do Larona, gdy Riellen zakończyła swoje wyjaśnienia.

- Wszyscy odeszli - powiedział Laron głosem bez emocji. - Poza Rovalem, ale on jest wewnętrznie martwy.



Reszta grupy rozbiła obóz w pobliżu farmy, której właścicielem były KSS. Jeden z wieśniaków akurat na dworze rąbał drewno, gdy szkołę dosięgło zniszczenie. Opisał skwierczący trzask, przed którym był błysk. Przypominało to błyskawicę i piorun. Chmura dymu podniosła się prosto w niebo. Zdarzyło się to poprzedniego dnia, niebo nad budynkami szkoły było czyste i nie widać było na nim smoków. W szkole byli zebrani niemal wszyscy członkowie KSS z kontynentu. Zgromadzenie naczelnej rady miało dyskutować o sytuacji związanej ze sceptykami.

- Więc sceptycy sprawiali problemy KSS? - zapytał Laron. - Trudno w to uwierzyć, byli przecież zakonem agnostycznych kapłanów, którzy poświęcili się studiom nad naukami ścisłymi. Nie stanowili dla nikogo militarne zagrożenia.

- Tak czy inaczej coś w ciągu jednej nocy spaliło ich świątynie na popiół - powiedział wieśniak.

- Co?! Przecież było ich co najmniej dwanaście!

- Zgadza się, panie, dlatego właśnie wojownicy zebrali się w szkole. Coś strasznego się w kraju panoszy. Ja twierdzę, że to sprawka Smoczego Muru.

- Andry i ja pospieszymy do Alberinu z samego rana - rzekł Laron, gdy wieśniak odszedł. - Musimy powiedzieć o tym milicji. Jeśli pozostali chcą iść z nami, będą musieli dotrzymywać nam tempa.

Laron spodziewał się argumentu o konieczności przegłosowania tej propozycji, ale stało się inaczej. Riellen pokazała w górę.

- Lepiej im o tym powiedz - stwierdziła.

Chmury nad nimi rozproszyły się i ukazały się gwiazdy. Ukazała się także cienka, ostra i intensywna linia niebieskiego światła.

- Po raz pierwszy zauważyłem ją w Taloncrag, ale od tamtej pory niebo było zasnuwane chmurami - odezwał się Andry. - Teri... to jest Terikel martwiła się nią.

- Porusza się wolno w stronę przeciwną niż gwiazdy - powiedziała Riellen - a oceniając kąt, pod jakim się znajduje na niebie, mogę szacować, że przecina Smoczy Mur na wysokości kręgu Centras, na równiku.

- Łączy się ze Smoczym Murem, a mimo to rozciąga się nad całym światem - zdał sobie sprawę Laron. - Rozciągała się również nad...

- Nad terenami należącymi do KSS i świątyniami sceptyków - dokończyła za niego Riellen. - To coś może przenosić ogień ze Smoczego Muru w dowolne miejsce na świecie. Nikt nie jest bezpieczny.



Wybrzeże Torei było z początku lekkim odbarwieniem na horyzoncie. Terikel się do niego zbliżała niesiona wiatrem, który pchał ją na wschód przez cały dzień. Z wolna traciła wysokość i próbowała skojarzyć to, co widzi, z zapamiętaną mapą. Nad kontynentem unosił się dziwny blask i nie było widać ani śladu zieleni. Zauważyła wzgórze na wybrzeżu, potem pasmo górskie położone dalej w głębi lądu. Wzgórze było pokryte siatką linii, niektóre z nich wrzynały się w morze. Małe miasto z portem i kamiennym molo. I samotne wzgórze. Zantrias.

Teraz był wieczór. Gdy w zeszłym roku po raz ostatni widziała Zantrias - kwitnące, tętniące życiem miasto - był poranek. Zrobiła koło nad runami, miotana burzowym wiatrem, stopniowo opuszczała się spiralą nad wzgórzem, na którym rozpoznawała pozostałości metrologańskiej świątyni. Była już trzy doby w powietrzu, usypiała, potem gwałtownie się budziła. Zaśniesz na zbyt długo i stracisz obraz swoich skrzydeł, mówiła sobie za każdym razem. A z obrazem stracisz również skrzydła... Teraz, gdy miała pod sobą inny widok niż tylko wodę, jej umysł wyzwolił się z pajęczyny wyczerpania. Przeleciała nad ceremonialnym dziedzińcem świątyni, gdzie kandydaci do zakonu przechodzili różne próby. Palenisko w kształcie wielkiej kamiennej dłoni wciąż tam było, chociaż od potwornego ognia, który zniszczył Toreę, skała złuszczyła się i popękała. Terikel przypomniała sobie, że ostatnią osobą, która odbyła tu swoje próby, była Velander. Poszybowała nad port, nad kamienne nabrzeże, gdzie w czasie zakonnych prób Velander cumował „Mroczny Księżyc”. Na całej

długości pokrywała je warstwa migotliwego szkliwa, jak jakaś choroba skóry. Tu był przycumowany „Mroczny Księżyc”... Niechętnie wspominała, że była wtedy w ramionach szypra Ferana, gdy Velander przechodziła ciężką próbę. Ówczesna prezbiterka rozkazała jej opuścić bratnią duszę, Velander i uwieść szpiega.

Gdybym mogła cofnąć czas i wrócić do tamtej chwili, powiedziałabym starej torbie, żeby sama wykonała „najdelikatniejszą misję”, powiedziała sobie Terikel, mając nadzieję, że faktycznie tak by było.

Wspomniała absolutnie czyste niebo za zakratowanymi okienkami głównej kabiny „Mrocznego Księżycy” w ten piękny poranek. Nic nie zapowiadało bliskiego kataklizmu. W pół godziny port przestał istnieć razem z całym kontynentem. Ludzie na pokładzie „Mrocznego Księżycy” ocalili tylko dlatego, że statek mógł pójść pod wodę i był hermetyczny. Velander biegła całą drogę ze świątyni po wykonaniu matematycznych obliczeń zagrożenia, jakie niesła Srebrzyśmierć. Laron potraktował jej ostrzeżenie poważnie i „Mrocznemu Księżycowi” udało się uciec przed kręgiem ognia na dno portu. Od tamtej pory widok spokojnego, słonecznego, cichego poranka budził w Terikel niepokój.

Teren pod nią był obrazem jednolitego zniszczenia, mimo to chciała wylądować. To było jak wizyta na cmentarzu. Wspomnienia atakowały ze zdwojoną siłą, a duchy domagały się wiecznego odpoczynku. Foki i podobne do żółwi arkarelle leżały na kamiennym nabrzeżu, tym samym, po którym przechadzały się obie z Velander - i po którym biegła potajemnie pewnej nocy, trzymając za rękę Ferana, nie zdając sobie sprawy, że to są jej ostatnie kroki na Torei.

Muszę znowu postawić stopę na Torei, nie mogę zostać z całym tym gównem, które bruka moje wspomnienia, pomyślała ze złością. To takie samo dobre miejsce jak każde inne, aby wylądować, przespać się i przeczekać burzę.

Rozglądała się za szerokim, płaskim miejscem do lądowania, kiedy naraz jej wzrok przykuł jakiś ruch w ruinach. Biegająca postać, która zniknęła za rogiem. Kolejna postać przemknęła w cieniu. Więc Zantrias ma mieszkańców, pomyślała Terikel. Byli to prawdopodobnie łowcy fok, może wyrzuceni na brzeg przez burze toreańskie. Wiedziała, że z tej odległości przypomina niewielkiego smoka. Łowcy fok woleli unikać takich stworzeń. Małe były znane z tego, że są gorsze niż duże, bo zawsze głodne siły życiowej. Czarodzieje w głębi duszy przedstawiali być ludźmi i niektórzy z nich modlili się o cokolwiek żywego, z czego mogliby czerpać siłę. Ale jeśli łowcy fok nie wiedzieli nic na temat smoków, Terikel w ich pojęciu była po prostu

samotną, wyczerpaną kobietą z magicznymi skrzydłami.

Lądowanie w ruinach nagle okazało się złym pomysłem, spanie tam w ogóle nie wchodziło w rachubę, a przecież musiała się przespać. Sen oznaczał utratę magicznych skrzydeł, więc potrzebowała spokojnego miejsca na odpoczynek. Nieco odosobnionego, daleko w głębi lądu, bez ludzi grzebiących w zwłokach Torei. Burza toreańska nadciągnęła od strony morza i wiatr stał się zbyt porywisty na bezpieczne lądowanie. Terikel wykorzystwała prąd wznoszący nad Zantriasem, aby zyskać wysokość, potem poszybowała w głąb lądu. Zachowanie przytomności stało się problemem od drugiego dnia w powietrzu, a teraz było już bardzo poważnym problemem. Dalej, nad lądem Torei będzie wiele okazji do wylądowania, zdjęcia zaklęć i odpoczynku. Nie była szczególnie głodna, ponieważ w czasie lotu miała ze sobą prowiant. Teraz też uwolniła jedno ramię i sięgnęła do torby z jedzeniem. Zużyła jedynie połowę żywności, ale bukłak z wodą był już prawie pusty.

Świt już nastawał, gdy przestała się wznosić i była teraz powyżej warstwy chmur. Znowu coś zjadła, bardziej dla zajęcia się czymś niż z głodu. Wielki, zielony, otoczony pierścieniami dysk Mirala był teraz na zachodzie, garbaty lunaświat wisiał wyżej na niebie i świecił jaśniej. Terikel zrobiła w myślach przegląd planów i problemów. Prześni może jakieś dwa dni, zanim przygotuje się do pokonania Oceanu Nieskończonego. Woda już jej się skończyła, ale na Torei znajdzie wiele świeżej wody w skalnych sadzawkach. Problem polegał na tym, że na Torei nie było nic poza świeżą wodą, a jej zostało prowiantu jedynie na trzy dni.

Leć głodna, głód pozwoli ci zachować świadomość, powiedziała sobie.

Ocknęła się bez skrzydeł.

Była we wczesnej fazie opadania na ziemię po chwili nieświadomości. Błyskawicznie rozciągnęła zaklęcie pomiędzy rękami i tchnęła w nie nowy kolec eteryczny. Kolec po rozdzieleniu nie mógł się wydłużyć, więc od tego, jak długi zdąży urosnąć, zależała rozpiętość skrzydeł. Miał może jakieś półtora metra, gdy Terikel wleciała w szczyt chmury burzowej. Potrzebowała dziesięć razy dłuższych, aby móc się wznieść, ale przed uderzeniem o ziemię z ledwością mogła osiągnąć połowę tej długości.

Więcej czasu, choćby trzy minuty! - błagała Przeznaczenie.

W świście powietrza, w kompletnych ciemnościach zdecydowała, że jakikolwiek plan, nawet marny, jest lepszy niż ślepa panika. Rozdzieliła kolec, gdy miał jedynie cztery i pół metra. Czarodziejskie skrzydła rozpościerały się powoli w strumieniu

pędzącego powietrza i wciąż miały kształt płytkiej litery V, gdy z trudem zakładała na ramiona paski plecaka. Po kolejnej minucie szybowała w płytkim locie nurkowym.

Gdy przebijała się przez warstwę chmur, zamigotały błyskawice. Rozbłyśki oświetlały szczyty górskie niedaleko pod nią. Zaczęła szukać jakiegoś płaskiego miejsca. Była już dobrze poniżej najwyższych szczytów, gdy nawigując tylko dzięki światłu błyskawic, odszukała dosyć płaski, biały obszar i zaczęła się do niego zbliżać z dużą prędkością.

Niech to będzie śnieg, niech to będzie dużo miękkiego śniegu! - modliła się żarliwie.

Rozdział 9

Dziewczyna smok

Był już wieczór, gdy Laron przeprowadził grupkę uciekinierów przez ostatnie pasmo wzgórz, które oddzielało ich od Alberinu. Stanęli przy zrujnowanej wieży, pomiędzy miastem i górami Ridgeback. Alberin rozpościerał się na ciemnej równinie nad oceanem jak dywan pokryty błyszczącymi iskierkami, które z wolna wypalały dziurki w jego tkaninie i wydzielały smużki dymu.

- Trudno uwierzyć, że to Alberin - powiedział Andry do Essena. - Nigdy nie widziałem go z tej strony.

- Przecież ty też się tu urodziłeś, nieprawdaż?

- Tak, ale widziałem tylko okolicę doków i rzekę po drodze do Ahrag. Widziałem tę wieżę z oddali i myślałem, że mieszka tu jakiś wielki książę. Nigdy nie przypuszczałem, że jest zrujnowana. Teraz patrzę na Alberin z jej pobliża jak jakiś wielki pan, który właśnie wrócił z wojny do domu. I jesteśmy w domu! Naprawdę jesteśmy w domu!

- Ty jesteś w domu! - wymamrotał Wallas. - To nie jest mój dom. I wciąż wydaje się bardzo daleko. Skurcze w moich łydkach dochodzą już prawie do ud.

- Czuć zapach krzewów muskenu i sosen! - Andry wziął głęboki oddech. - Nawet nie jestem w stanie wyrazić, jak wielką przyjemność mi to sprawia.

- Dlatego my, poeci, mamy rację bytu - stwierdził Wallas. - Dlatego ja...

Pięciu zwiadowców jednocześnie sięgnęło po topory i wymierzyło ostrza w jego głowę.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł go Andry.

- Ja tu kiedyś byłem i wiem, że do miasta jest trzy godziny marszu - powiedział Laron. - Ruszajmy już.

Ścieżka biegła w dół z boczka, ale jak doskonale wiedział Wallas, tak wcale nie było lepiej. Wspinaczka obciążała mięśnie nóg, lecz schodzenie nadwerężało stawy.

- Więc co zrobimy teraz? Co z pieniędzmi, jedzeniem, schronieniem, pić, miłymi miękkimi bandażami i łagodzącym balsamem na moje stopy?

- Przy Bramie Rzeczej jest Biuro Monetarne i Materiałów Szlacheckich - rzekł Andry. - Nigdy go nie zamykają, ponieważ barki z głębi łądu przybywają o najróżniejszych godzinach. Możemy tam sprzedać korę medikaru, potem przeprowić się promem przez rzekę do Nabrzeża, a tam jest mnóstwo tawern i prywatnych kwater.

- To wszystko brzmi zbyt pięknie, aby mogło być prawdą - rozmarzył się Wallas.

- Jakie są teraz dziewczęta z Nabrzeża, Andry? - zapytał Costiger. - Minęło dziewięć lat, odkąd... no wiecie...

- Podjąłeś działania militarne w obcym kraju? - podpowiedział mu Danol ze śmiechem.

- W Alberinie zawsze jest mnóstwo dziewcząt - powiedział Andry.

- Dziewczęta! - westchnął Wallas, ale Willy natychmiast gniewnie Zasyczał pod jego tuniką. Wallas klepnął się dłonią w czoło.

- No tak! Wiedziałem, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Alberin był położony wokół zatoki, która chroniła go od fal, sztormów, nieprzyjacielskich flot i zwykłych rabusiów labiryntem łąch piasku. Jedyne kanału żeglownego strzegła wieża Trebuchet, ufortyfikowana budowla na ławicy piaskowej, najeżona machinami miotającymi ogień piekielny. Służyła także za latarnię morską. Południowo-wschodni kwartał miasta leżał na wzniesieniu, znajdował się tam pałac, większe świątynie, posiadłości szlachty i domy zwykłych bogaczy. Południową część tej dzielnicy zajmował pas warsztatów szanowanych rzemieślników; potem była rzeka Alber, która dzieliła miasto. Na północ od Alberu było tętniące życiem, przemysłowe serce Alberinu. Tu był jedyny most łączący obie części miasta. Przez rzekę można się też było przeprowić wieloma promami. Władze miasta celowo nie budowały więcej mostów - dbały o to, by przenikanie się warstw społecznych w Alberinie nie było łatwe.

W Bramie Rzeczej wymienili wszystkie posiadane pieniądze na scaltcarskie

srebrne noble, a kora medikaru miała w Alberinie bardzo dobrą cenę. Ci z grupy, którzy nie posiadali żadnych dokumentów, kupili po komplecie każdy, potem wszyscy wsiedli na prom. Wallas pierwszy wskoczył na pokład, padł na kolana i ucałował drewnianą ławeczkę, zanim usiadł.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zdziwił się Andry, siadając obok niego.

- Bo to coś zawiezie mnie tam, gdzie chcę dotrzeć i nie będę musiał iść pieszo - wyjaśnił Wallas, zamykając oczy w czystej rozkoszy i kładąc głowę na ławeczce naprzeciwko.

Dolviennie i Gilvray usiedli po lewicy Andry'ego, a on pokazywał im różne budowle miasta, gdy przewoźnik wprowadził prom w powolny ruch, odpychając się od brzegu długim kijem.

- Więc to jest ten słynny dziesięciometrowy kij, którym ludzie nie dotykają różnych rzeczy - odezwał się Wallas, otwierając oczy.

- Nie, to tyczka - rzekł Andry. - Jest lżejsza.

- Powiedziałeś, że tu jest tylko jeden most - odezwała się Dolviennie.

- Zgadza się, pani. Niedaleko zakola rzeki. Nazywany Mostem, ponieważ jest tylko jeden.

- Więc żeby przekroczyć rzekę, wszyscy muszą przechodzić po nim?

- Niekoniecznie, jest dużo promów. Większość z nich to niewielkie łódeczki, wiosłowe lub pychowe. Przewoźnicy śpią na nich, pod brezentem. Można ich w każdej chwili obudzić, dać miedziaka i poprosić o przewiezienie. Spójrz, tam widać kilka, które dobijają do brzegu. Wytworni ludzie mieszkają na stronie południowej, biedna hołota, jak ja, na północnej. Właśnie mijamy Bargeyards, stamtąd pochodzę.

- A dokąd płyniemy?

- Do miejsca, gdzie rzeka dopływa do portu. Nabrzeże jest biedną częścią nobliwej części południowej, gdzie bogaci udają się, aby...

- Śpiewać, pić i zachowywać się niegrzecznie?

- Tak. Ale to dzielnica bezpieczna. W pewnym sensie. Po drugiej stronie rzeki jest dzielnica Nigdy i to jest biedna część biednej części miasta. Chyba dlatego nazywa się ją Nigdy, że to nigdy nie jest dobry pomysł, by tam się udać, zwłaszcza po zmroku.

- Czyli jest tam nieprzyjemnie? - zapytał Gilvray.

- Niebezpiecznie, to lepsze słowo. Metrologanki zbudowały na Nabrzeżu swoją świątynię, ale ja nigdy tam nie byłem. Gdzie zamierzasz się udać, Wallasie?

- Och, Nabrzeże brzmi jak nazwa miejsca dla mnie. Myślałem o zatrudnieniu

się jako kucharz wyspecjalizowany w gotowaniu potraw sargolskich.

- Tak, to mądra decyzja. Spróbuj w Latarniku, na końcu ulicy Stoczniowej. Grają tam dużo muzyki sargolskiej i mają tanie pokoje. Ja i chłopaki po pracy wsiadaliśmy na prom, kupowaliśmy tam placek i piwo, graliśmy aż do nocnego dzwonu, potem wynajmowaliśmy pokój i spaliśmy na podłodze. Pewnej nocy spało nas piętnastu w jednym pokoju.

- Dość niesmaczne - skomentował to Wallas. - Zamierzam podnieść poprzeczkę moją kuchnią, przyciągając lepszą klientelę.

- Po kilku piwach wszystko smakuje tak samo - powiedział Andry.

Nikt nie zauważył niewielkiej zmiany, jaka zaszła w Wallasie, od kiedy wjechali do Alberinu, a zmiana ta dotyczyła jego pewności siebie. Był wreszcie w dużym mieście, gdzie nikt go nie poszukiwał, nikt go nie znał. Miał dosyć pieniędzy, by przez kilka tygodni wieść wygodne życie, widział również perspektywy na znalezienie pracy. A to wszystko oznaczało, że przestał być zależny od Andry'ego i zwiadowców. Zaczął sobie przypominać mnóstwo uraz i zniewag, a za większość z nich odpowiadał Andry.

- Przypuszczam, że jakaś dziewczyna na ciebie czeka - burknął ponuro Wallas, świadom, że w tym mieście Willy będzie jego kulą u nogi.

- Nie, Velander była moją jedną i jedyłą - rzekł Andry z tęsknotą w głosie.

- A co z Terikel?

- Terikel?! - krzyknęli Laron, Gilvray i Dolvienne chórem.

- Ona tylko czyniła mnie smokoodpornym - wyjaśnił Andry, wstydliwie zasłaniając oczy.

- Słyszałam o wielu sposobach na uwiedzenie prawiczka - powiedziała Dolvienne - ale ten jest całkiem nowy.

- Nie zaproponowała, że mnie uczyni smokoodpornym - wymamrotał Wallas.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - zastanawiał się Laron.

- Więc byłeś niewierny Velander - stwierdził Wallas drwiąco.

- Jeśli okazałem się słaby, to z powodu zbyt długiego przebywania w twoim towarzystwie - odparował Andry. - Teraz Vel nie żyje i nigdy się o tym nie dowie. Duch mojej ukochanej odszedł.

- Ukochanej? Śmierdziała jak dywan pozostawiony przez rok pod stertą śmieci, pleśniejących, gnijących, butwiejących. A jej oddech! Cuchnął jak odpadki pod rzeźnią, jak padlina wymieszana ze stęchlą krwią.

- Andry, czy przed nami jest przystań promowa na Nabrzeżu? - zapytała

Dolviene, która zauważyła, że wymiana zdań z sarkastycznej pogawędki zmienia się w niebezpiecznie osobiste zniewagi.

- Wiesz, dlaczego Vel nie rozdarła ci gardła i nie wypła twojej krwi? Bo miała dobry smak! - krzyknął Andry, ignorując pytanie Dolviene.

- A wiesz, dlaczego zadawała się z tobą? Bo jesteś tak samo brudny i cuchnący jak ona! - odciął się Wallas.

- Odszczekaj to! W moim domu w Bargeyards każdego ranka myliśmy się dziegciowym mydłem i zimną wodą. Zmienialiśmy odzież raz w tygodniu, czasami nawet dwa razy!

- Prostactwo małpuje zwyczaje wyższej klasy. Twoje dziewczyny uczyły się dobrych manier i zwyczajów, dopiero kiedy ludzie tacy jak ja odwiedzali je w burdelu, potem szły do domu i opowiadały swoim mężczyznom...

Andry z całej siły rąbnął Wallasa pięścią w krocze. Willy natychmiast przepalił tunikę i zatopił małe kły w jego ręce. Nie chcąc dotykać Willy'ego, Andry uderzył Wallasa w twarz wolną ręką.

- Przestańcie! - krzyknęła Dolviene, starając się ich rozdzielić.

- Słuchaj, Willy, będę go tłukł dotąd, aż mnie puścisz! - wrzeszczał Andry, tłukąc Wallasa raz za razem.

Byli już w centrum zainteresowania wszystkich na promie, wliczając w to przewoźnika. Prom uderzył w kamienie nabrzeża z siłą wystarczającą do przedziurawienia kilku desek poszycia i zaczął tonąć. Pasażerowie wygramolili się na brzeg, na ulicę Stoczniową.

- Teraz wiem, dlaczego matka nigdy mi nie pozwalała się bawić ze wstrętnymi bachorami z pospólstwa! - powiedział Wallas, trzymając swój tobolek na wysokości Willy'ego jedną ręką, a drugą próbując zatamować krwotok z nosa.

- Oby to coś nie było jadowite - syczał Andry, tuląc do siebie prawą pięść, która także krwawiła.

- Jadowity? Co za chamstwo! - warknął Wallas, pozostałym życzył dobrej nocy i poszedł do Latarnika.

- Świątynia metrologanek jest na drugim końcu ulicy - powiedział Andry. - Jeśli złożycie datek, prawdopodobnie będziecie mogli zatrzymać się tam na noc. Kto jest za tym?

Laron podniósł rękę; potem Gilvray i Dolviene.

- Też tam pójdę. - Riellen powoli uniosła rękę ostatnia. - Ale chciałabym

sprawdzić, gdzie w tym mieście znajduje się jakaś akademія dla czarodziejów.

- Więc spotkamy się u metrologanek - rzekł Andry. - Może zajmą się tam moją ręką.

- Ja ze zwiadowcami wypiję kufelek w Latarniku - powiedział Essen.

- Będziemy udawali cudzoziemców, dopóki się nie przekonamy, czy jesteśmy poszukiwani - wyjaśnił Costiger.

- Chyba uciekłem z obawy, że moje życie byłoby nudne i wyglądałoby tak: urodziłem się, dorosłem, nauczyłem handlu, ożeniłem - stwierdził Sander.

- Dołączę do was trochę później - obiecał Andry. - Nie wyciągałem mojego rebeku z torby i nie woskowałem od dłuższego czasu, więc mam zamiar zrobić to teraz.



Przy drzwiach świątyni paliły się zielone lampy na znak, że tu udziela się pomocy medycznej. Powitała ich kapłanka Justiva. Uciekinierzy szybko zostali zaprowadzeni do pokoiw gościnnych, ale Andry został w holu z Justivą. Po zbadaniu śladów ugryzień na jego dłoni i wysłuchaniu wyjaśnień, jak do nich doszło, zapewniła go, że eteryczne istoty magiczne, takie jak Willy, nie bywają jadowite.

- Chciałbym pani coś dać - powiedział Andry, wręczając jej pakiecik. - To kora medikaru, przywieźliśmy ją z Acremy.

- Kora medikaru?! - krzyknęła Justiva. - Jest warta mnóstwo pieniędzy, nawet taki mały kawałek.

- Około sześciu nobli, jak szacuję.

- Andry, nie wiem, jak ci podziękować. Brak mi słów. To bardzo hojny dar.

- Znałem kilka metrologanek, pani. Były wspaniałymi kobietami, więc pomyślałem, że jeśli wszystkie jesteście tak wspaniałe, tą korą pomożecie biednym i potrzebującym.

- Znałeś metrologanki? - Justiva nagle spowaźniała. - Czy jedna z nich nazywała się Terikel?

- Tak, a moją dziewczyną była Velander.

- Velander?! Słyszałam, że nie żyje.

- Zgadza się.

- I była twoją dziewczyną?

- Tak.

- Dziewczyna, taka od trzymania się za ręce, całowania i siedzenia blisko siebie,

patrzenia sobie w oczy?

- Tak, pani, wiem, że wielu ludzi sądzi, że Velandier była nieco trudna, ale ja poznałem ją z lepszej strony. A teraz już sobie pójdę.

- Poczekaj. To znaczy, możesz tu zostać na noc, jeśli potrzebujesz miejsca do spania. Mam mnóstwo pytań...

- Dziękuję bardzo, pani, ale muszę iść do Latarnika, zagrać kilka nowych melodii z chłopakami, a potem przespać się na wyrku aż do świtu. Moi znajomi są już pewnie w łózkach i nie byliby zachwyceni, gdybym ich obudził. Może odpowiem na pani pytania innym razem.



- Czy oprócz wojowników sił specjalnych i sceptyków jest tu dzisiaj jakiś inny martwy? - zapytała madame Jilli, gdy jej łódź ponownie przybiła do brzegu.

- Zginąłem bez walki - mruknął duch wspaniale umięśnionego wojownika.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - powiedział sceptyk, siadając za nim.



Wallas miał fart, o jakim nawet nie śmiał marzyć. Kiedy wszedł do Latarnika, okazało się, że kucharz choruje, a lokal jest pełen głodnych gości. Zrozpaczony właściciel natychmiast zaangażował Wallasa, który - w fartuchu zasłaniającym dziurę w tunice wypaloną przez Willy'ego - znalazł się przed żelaznym paleniskiem pięć minut po przekroczeniu progu tawerny.

Godzinę później w głównej sali byli też Andry i Essen, grali najnowsze melodie sargolskie. Po Nabrzeżu rozniosły się pogłoski, że tej nocy Latarnik jest szczególnie dobrym miejscem, przyciągając tłumy. Przypadkiem zdarzyło się, że minstrel następcy tronu przechodził tamtędy, wracając do domu po nocnej schadzce, a skusiły go zapachy. Wstąpił do Latarnika zjeść coś. Po kolacji poprosił o przedstawienie mu szefa kuchni, a tak się złożyło, że znał stolnika następcy tronu Alberinu. Wallas dostał zaproszenie do pałacowych kuchni na następny dzień.



O dziesiątej następnego ranka, na godzinę przed tym, jak Wallas miał wyruszyć do pałacu, żona właściciela tawerny wprowadziła do kuchni Andry'ego.

- Ten biedny chłopiec został wyrzucony z domu - wyjaśniła Wallasowi - a tak ładnie grał ostatniej nocy. Daj mu kawałek chleba z serem i coś gorącego do picia.

Wallas był zbyt zaciekawiony, aby wracać do nieprzyjemnych wspomnień z podróży promem, i zaoferował koledze stołek przy palenisku. Andry zaś bardzo chciał

się komuś wyżalić.

- Nie było mnie sześćdziesiąt dni! Mama akurat pakowała kanapki do pracy dla taty i mojego rodzeństwa, kiedy wszedłem... cóż, nigdy nie uwierzysz.

- Nie stwierdzę tego, dopóki mi nie opowiesz - powiedział Wallas, odwracając przypiekające się na blasze grzanki.

- Cisnęła we mnie deską do mięsa, zanim zdążyłem się przywitać. - Pokazał Wallasowi siniak, jaki nabiła mu na przedramieniu owa deska. - Potem zaczęła wrzeszczeć, że co sobie myślę, do diabła, co robiłem tak długo, a kiedy próbowałem jej wytłumaczyć, rzuciła się na mnie z nożem kuchennym. Charakterna ta moja mamusia. Nie lubi żeglarzy, od kiedy jeden z nich uwiódł i rzucił moją siostrę Florrey...

- Więc uciekłeś? - przerwał Wallas.

- Eee, nie, jeszcze byłem daleko od drzwi. Zablokowałem jej rękę trzymającą nóż, zrobiłem unik i przewróciłem ją. Poleciała do tyłu, upadła na stół i... złamała...

Wallasa zatkało.

- Co jej złamałeś? - wydukał.

- Źle mnie rozumiesz. Wyłamała nogę od stołu i znowu się na mnie rzuciła, więc uciekłem do drzwi. Wtedy zjawił się mój tata z toporem w dłoni. Uniknąłem ciosu, jakby rąbnąłem go pięścią w twarz i uciekłem na ulicę.

- Jakby rąbnąłeś go pięścią w twarz? - powtórzył Wallas przez zaciśnięte zęby.

- Cóż, walnąłem go naprawdę mocno. No nie do wiary! A przywiozłem szesnaście srebrnych sargolskich wasali i pięć Scalticarskich srebrnych nobli. To więcej niż mógłbym zarobić przez sto dwadzieścia dni na przystani.

- Mówiłeś, że nie masz pieniędzy, kiedy wylądowaliśmy w Falgat - przypomniał mu Wallas.

- Nie miałem pieniędzy, żeby kupić ci konia.

- Musiałem znieść dwa dni marszu, żeby się tu dostać! - wrzasnął Wallas z nieukrywaną wściekłością.

- Ale przez to zgubiłeś nieco wagi i teraz wyglądasz świetnie. Będziesz się podobał dziewczynom.

- Co mi z tego? Willy pilnuje mojej cnoty. Chociaż... będę lepiej wyglądał przed następcą tronu. Zobaczę go za godzinę i mam szansę zostać jego kucharzem.

- Więc on szuka sargolskiego kucharza?

- Najwidoczniej. Zastanawiam się, czy nie potrzebuje kapelmistrza.

- Nie proponuj mu tego, bo może zwymiotować.
- Nie oczekiwałem od ciebie niczego więcej prócz sarkazmu. Jakie masz teraz plany?
- Zamierzam upić się w trupa. Velandar była mi winna jedną noc w mieście. Idziesz ze mną?
- Przepraszam, ale mogę mieć wtedy bardzo ważne zadanie kulinarne w samym pałacu. Zabierz ze sobą zwiadowców.



Świątynia metrologanek mieściła się u stóp Wzgórza Pałacowego, niedaleko od głównej świątyni miasta, Universalu. Jednakże metrologanki były na krawędzi Nabrzeża, podczas gdy Universal stał przy długiej, prostej alei, która przecinała miasto, przekraczała rzekę jako Most i przebijała mury miejskie jako Brama Rzeczna. Architektura świątyni metrologanek sugerowała, że zbudowano ją stulecia wcześniej, a słowa MILICJA PORTOWA, słabo widoczne pod warstwą białego wapna, świadczyły, że nie pełniła funkcji świątyni w czasach okupacji.

Ostatni odwiedzający w siódmym dniu szóstomiesiąca przybył na chwilę przed tym, jak dzwon na wieży Universalu zaczął wybijać północ. Diakonisa odpowiedzialna za gości pochodziła z tych okolic i wstąpiła do zakonu kilka miesięcy wcześniej. Odwiedzająca była młoda, średniego wzrostu, miała ciemne włosy gładko zaczesane do tyłu. Co dziwne, nie wyglądała jak ulicznice, które były zwykłymi gośćmi metrologanek o tej porze - zazwyczaj napadnięte lub pobite. Poza peleryną od deszczu miała na sobie czarny płaszcz o nieco wojskowym kroju, czarną spódnicę do pół łydki i czarne buty do jazdy konnej. W ręku trzymała kapelusz z piórami. Takie ubranie było stosowne w miejscu cieplejszym i mniej deszczowym niż Alberin.

- Muszę zobaczyć urzędującą prezbiterkę - powiedziała po diomedańsku.
- Jest północ, szlachetna Justiva śpi - odparła diakonisa. - Czy potrzebujesz schronienia?
- Nie.
- Więc mogę cię umówić na spotkanie na jutro. Jak się nazywasz?
- Szlachetna Velandar Salvaras, ostatnio przebywałam w Zantriasie i Helionie.

Nie upłynęła nawet minuta, a Velandar znalazła się w wysoko sklepionej komnacie, gdzie szlachetna Justiva pospiesznie odkurzała tron. Było to drewniane krzesło z udrapowaną na nim tkaniną. Velandar odchrząknęła uprzejmie. Justiva podskoczyła, upuściła szmatkę od kurzu i usiadła na tronie Terikel.

- Szlachetna Velander, zaskoczyłaś nas - powiedziała po zantriańsku.

- Mówmy po diomedańsku, jeśli mogę prosić. - Velander się ukloniła. - Próbuję pogłębić moją znajomość tego języka.

- Ale ja znam diomedański bardzo słabo, szlachetna Velander. Lepiej zostańmy przy zantriańskim.

Ustaliwszy język rozmowy, obie milczały. Szlachetna Justiva założyła ręce na piersi, potem je opuściła i położyła na podłokietnikach krzesła. Velander stała z dłońmi złożonymi przed sobą. Miała nadzieję, że wygląda na zrelaksowaną, więc starała się stać nieruchomo. Justivę zaswędziła prawa ręka. Złożyła dłonie, potem z powrotem umieściła ręce na podłokietnikach i mocno się ich chwyciła.

- Uczona i szlachetna Terikel Arimer wyznaczyła mnie na urzędującą prezbiterkę! - wypaliła.

- Poddaję się twojej władzy. - Velander znowu się ukloniła.

To znacznie osłabiło efekt wypowiedzi Justivy, która szykowała się do zaciętej walki, a tu nikt nie chciał walczyć. O co tutaj chodziło?

- Cóż, to miło - powiedziała, a w jej tonie wciąż pobrzmiwała agresja. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jestem kapłanką metrologańską. To metrologańska świątynia. Jesteś moją prezbiterką.

- Och. To miło... miło, że myślisz o powrocie do metrologanek. To znaczy, chcesz być metrologanką.

Świadoma, że nie powiedziała jeszcze nic sensownego, Justiva umilkła i zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Velander z szacunkiem stała przed nią. Starsza kapłanka, która poddawała się władzy Justivy... tu musiał być jakiś haczyk.

- Oczywiście zajmiemy się tobą - zadeklarowała urzędująca prezbiterka.

- Dziękuję - powiedziała Velander, znowu się kłaniając.

- Uczona Terikel często o tobie mówiła przed swoim wyjazdem do Acremy - ciągnęła Justiva. - Mówiła, że się zmieniłaś. Wysłałaś jej wiele listów. Donosiłaś w nich, że się... zmieniłaś. Bardzo zmieniłaś, mam na myśli.

- Tak, zmieniłam się.

Justiva wzięła głęboki oddech.

- Czy wiedziałaś, że uczona Terikel nie żyje?

- Tak.

- Powiedziano mi, że ty także nie żyjesz! - krzyknęła Justiva i przygotowała się

na jakąś miazdzącą ripostę.

- Tylko czasami - odparła cicho Velander.

Justiva przetarła twarz dłońmi, potem pomasaowała sobie skronie. Takiej reakcji na stres nauczyła się od Terikel. Velander stała bez ruchu.

- Musimy wybrać nową prezbiterkę.

- Tak.

- Ach, dlatego wróciłaś.

- Nie.

Justiva nie wierzyła, że możliwa jest inna odpowiedź niż „tak”. Jej cierpliwość i dyplomacja się wyczerpały.

- Szlachetna Velander, czego chcesz?! - krzyknęła. - Nie mamy oszczędności, zostało nam zaledwie tyle pieniędzy, że wystarczy na jedzenie. Uczona Terikel doprowadziła zakon na skraj bankructwa, wydała wszystkie pieniądze na wynajęcie „Ptaka Burzy” na rejs do Sargolu.

- Mogę ofiarować zakonowi dwadzieścia złotych koron sargolskich - powiedziała Velander, wyjmując sakiewkę z kieszeni płaszcza.

- Och... dziękuję. - Justiva sprawdziła zawartość mieszka. W środku było dwadzieścia monet. Złotych.

- Nie zamierzam tutaj nocować. Czy możesz zaakceptować ten warunek? - zapytała Velander, kłaniając się nisko, z rękami wciąż złożonymi przed sobą.

- Eee, tak... tak. - Justiva czuła przemożną potrzebę wyjścia i położenia się w jakimś cichym miejscu z wilgotnym kompresem na oczach. - Możesz odejść. Audiencja skończona.

- Nie, nie skończona.

- Doprawdy?

- Musisz zapytać mnie, czy chciałabym jeszcze czegoś.

- Och, tak. Oczywiście. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? Justiva popełniła błąd, pozwalając swojej linii obrony upaść zbyt szybko i teraz nie wiedziała, jak to naprawić.

- Jak się dowiedziałaś, że Terikel nie żyje? - zapytała Velander.

- Laron mi powiedział.

- Laron! On jest w Alberinie?

- Tak, nawet pod tym dachem. Przyjechał jakąś godzinę temu.

- Urzędująca prezbiterko, czy mogę zadać pytanie osobiste?

- Osobiste? Przecież ledwo się znamy... to jest przecież ty prawie nic o mnie nie wiesz.

- Osobiste, dotyczące Laroną.

- Laroną? O nie, nigdy nie miałam z nim romansu... to znaczy, nigdy nie miałam z nim nic wspólnego.

- Rozumiem, że masz na myśli wspólne sprawy?

- Tak... cóż, nie, to znaczy pomijając dzień dzisiejszy. On śpi z nami... z naszymi kapłankami... to znaczy, tutaj, sam. Ma się zobaczyć z jakimiś ważnymi ludźmi w sprawie Smoczego Muru. Jutro.

- Ja również. Czy ktoś przybył z Laronem?

- O tak, kilku miłych ludzi. Medyk o imieniu Gilvray i jego pielęgniarka Dolvienne zatrzymali się tutaj... i jeszcze Riellen, studentka. Miła dziewczyna i bardziej uczona niż wszyscy tutaj obecni razem, ale niektóre jej poglądy są...

- Powodem, aby powiesić ją pod zarzutem zdrady?

- Tak.

Velander pomyślała chwilę. Grupa Laroną dotarła do Alberinu i zatrzymała się w świątyni. Andry'ego nie było. To niepokojące. Andry żył. Prawdopodobnie. Mówił dużo o tawernie Latarnik. Zdecydowała, że później to sprawdzi.

- Urzędująca prezbiterko, kiedy odbędą się wybory?

- Wybory? Jutro, jak sądzę. Wszyscy, którzy mają prawo głosu, są już w Alberinie.

- Powiedz mi, o której się odbędą, a ja się stawię. Będę głosowała na ciebie, oczywiście, jestem pod wrażeniem tego, jak przewodzisz zakonowi.

Ten komplement to już było dla Justivy zbyt wiele. Zsunęła się z tronu, ukryła twarz w dłoniach i zasłochala. Velander, która oczekiwała dokładnej pory wyborów, stała w pozie pełnej szacunku, z rękami złożonymi przed sobą.

- Ja? Przewodzę? - wyszeptała Justiva pomiędzy jednym szlochem a drugim. - Trzy lata temu byłam ulicznicą na wyspie Helion, szłam do łóżka z marynarzami za dziesięć miedziaków w dni powszednie i piętnaście w dni świąteczne. Co się teraz zmieniło? Nie mam nawet dziesiątej części wiedzy Terikel, nie jestem godna być poduszką na jej tronie. Po prostu staram się, by zakon metrologanek trwał, nie daję im żadnych wskazówek. Velander, w głębi serca wiem, że to ty powinnaś zasiąść na tronie i kierować metrologankami.

Velander potrząsnęła głową.

- One ciebie kochają, a mnie się boją. Dla ciebie mogłyby umrzeć, ale nie dla mnie. - Pomogła się podnieść Justivie. - To wszystko, co miałam do powiedzenia, szlachetna prezbiterko. Proszę, wróć do łóżka. Mam pokój w pobliskim Marzeniu Flisaka. Nie mów nikomu, że jestem w Alberinie.

- Dobrze, nikomu. Ale słuchaj... zostanę prezbiterką tylko wtedy, jeśli ty zgodzisz się doradzać mi w najważniejszych sprawach. Będziesz przełożoną prezbiterki, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Zgoda. - Velander uściśnęła jej dłoń i ruszyła w stronę drzwi. - Oto moja pierwsza rada. Rozpocznij przenoszenie stąd ludzi, archiwum, dokumentów i wszelkich wartościowych rzeczy do jakiegoś bezpiecznego, ukrytego miejsca. Zorganizuj małą klinikę dla biednych w jakimś sklepie, a te budynki niech stoją puste.

- Zaraz każę ludziom rozpocząć pakowanie - powiedziała Justiva. - Wszystkie najważniejsze rzeczy zostaną stąd zabrane do jutra, a część metrologanek już teraz kwateruje gdzie indziej.

Po raz pierwszy tej nocy Velander poczuła się zaskoczona.

- O, a dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ słyszałam, że świątynie sceptyków zostały zrównane z ziemią. Większość ludzi gada, że bogowie ukarali sceptyków za to, że w nich nie wierzyli. Może to i prawda, ale oni zajmowali się naukami ścisłymi, tak jak my. Uznałam, że my również możemy się znajdować na liście kogoś potężnego, kto nie lubi nauk ścisłych, więc zaczęłam rozpraszać zakon po Alberinie.

Justiva otworzyła przed gościem drzwi. Velander ukloniła się jej, wysła na ulicę, potem zatrzymała się i odwróciła.

- Może zabrzmi to obraźliwie, urzędująca prezbiterko, ale nigdy, przenigdy więcej nie chcę słyszeć od ciebie, że nie jesteś mądrą i wspaniałą przełożoną zakonu! - powiedziała stanowczo i pomaszerowała w dżdżystą, wietrzną ciemność.



Uczony Garris, rektor Alberińskiej Akademii Filozofii Eteryicznych, posiadał łóżko, ale kwestią dyskusyjną było, czy kiedykolwiek spędził w nim trochę czasu. Każdej nocy po kolacji siadał przed kominkiem z notatkami, książkami i zwojami, i czytał. W końcu tam zasypiał, zazwyczaj około północy. Służąca przychodziła około pierwszej w nocy, otulała go pledem, dokładała kłód do kominka, a potem szła na górę do jego sypialni i przesypiała resztę nocy w wielkim i luksusowym łóżu naukowca.

- Garrisie!

Imię rozbrzmiało jak złowróżbny syk. Garris gwałtownie się przebudził, poprawił okulary do czytania i rozejrzał się. Krople żywicy ściekające z kłód w palenisku wydawały z siebie wściekły syk, gdy spadały w płomień. Garris dobrze znał ogień. Czasem drewno paląc się strzelało groźnie, rozsypując chmury iskier. Kiedy indziej wydzielalo gryzący dym rozchodzący się po pokoju. Innym razem guzek w szczapie okazał się żelaznym grotem strzały, który wbił się w drzewo trzydzieści lat wcześniej i w nie wrósł. Raz Garris widział nawet małego drzewnego duszka, który pojawił się wśród płomieni, uwolniony z ciała martwego drzewa. Chochlik pomachał do niego i zniknął w czeluści komina. Chichocząc do siebie, Garris zaczął z powrotem mościć się do snu.

- Garrisie, jesteś w niebezpieczeństwie.

Uznał, że powinien sprawdzić za swoim krzesłem, potem tego pożałował. W ciemności unosiła się blada twarz. W powietrzu pojawił się zapach soli kąpielowych i olejku muskenowego. Twarz podpłynęła bliżej, a pod nią ukazało się ciało kobiety w spódnicy do pół łydki i butach do jazdy konnej, co było dość niespotykane w Alberinie. W zapiętej pelerynie ta kobieta wyglądała jak młody chłopak, ponieważ na głowie miała kapelusz z czarnym piórem. Teraz Garris wyczuł w powietrzu jeszcze inny zapach. Nieokreślony, ale przywodzący na myśl sklepy z tkaninami, naftalinę i ubrania prosto ze sklepu. Mówiła po diomedańsku, z obcym akcentem.

- Kim pani jest? - zapytał Garris.

- Mam na imię Siłaczka - odparła Velandier.

- Piękne, silne imię. Co mogę dla pani zrobić, pani Siłaczko?

- Wczoraj mijałam Szkołę Królewskich Sił Specjalnych. Spalona. Wypalone koło. Świątynie sceptyków - wypalone koła. Akademia Wysublimowanych Wizji Eteryčných - cała spalona. Świątynia Matki Ziemi w górach Ridgeback - wypalone koło. Widzi pan prawidłowość?

- Widzę, że zwiedziła pani kawałek świata.

- Myślę, że palone są przybytki nauki. To też jest przybytek nauki. Gdy wąż ukąsi w palec i nic nie zrobisz, możesz umrzeć. Możesz odciąć całe ramię... ale czy wąż na pewno był jadowity? Jaka jest twoja decyzja?

- Hm, w takiej sytuacji sięgnąłbym do książki „Co to za wąż?” jako do humanitarnej alternatywy. Humanitarnej dla mnie, oczywiście, he, he.

- Macie taką książkę dla akademii?

- Hm, nie. Ale zaraz, co tu trzeba zrobić? - Garris odsunął krzesło. - Mówisz o

odcinaniu ramienia... To brzmi poważnie. Czyli co, powinienem ogłosić ćwiczenia planu postępowania w razie katastrofy? Wiesz, ewakuować personel, studentów, kolekcję win z dobrych roczników, książek, zapisków, magicznych amuletów i machin i tak dalej?

- Nie. Ewakuować tylko ludzi i książki. Nie ma czasu na resztę.

- Ale, ale, posłuchaj, młoda damo. Wkradasz się tutaj, opowiadasz niepokojące teorie, próbujesz mnie namówić do przeniesienia całej akademii wraz z ważnymi gośćmi, a jakie masz dowody?

- Metrologanki przeniosły się wczoraj. Przełożona Justiva pomoże ci w ewakuacji książek.

- Metrologanki się przeniosły? Cóż, to jest precedens, jak sądzę, ale... wdrożyć plan postępowania w razie katastrofy to poważny krok...

- Spłoniecie. Poważny krok?

- Musielibyśmy przenieść siedem tysięcy książek!

- Wkrótce, być może, będzie to jedyna biblioteka w Scalticarze.

- Ale dlaczego? Jakie jest źródło zagrożenia?

- Nie mogę tego zdradzić, lecz dowody mówią same za siebie! Akademia są palone.

- Moja droga młoda damo, gdybyś mi powiedziała: „Ukryj się, na korytarzu jest głodny wilk!”, mógłbym potraktować cię poważnie, ale ty mówisz jedynie: „Ukryj się lub wydarzy się coś okropnego”. Dziękuję za troskę, lecz akademia niech pozostanie tu, gdzie jest. Mamy dziewięćdziesięciu gości, samych starszych czarodziejów.

- Co? Kogo?

- Dysydentów, czarodziejów, którzy nie dołączyli do Smoczego Muru. Odbywa się konferencja. Kilku z nich żyje tylko dlatego, że przybyli tutaj, ich świątynie i akademia zostały zniszczone.

- Konferencja? - Velander nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, konferencja pod hasłem „Dysydenci i przeciwnicy Smoczego Muru”. Jest tu pięciu sceptyków, dwóch z Akademii Wysublimowanych Wizji Eteryicznych, wysłannicy matki przełożonej Świątyni Matki Ziemi...

- Pod jednym dachem?

- W dormitoriach, które mieszczą się w trzech skrzydłach, ale tak, pod jednym dachem.

- Kto zwołał tę konferencję? Pan?

- O nie, ja tylko siedziałem tutaj, rozmyślając o sprawach eterycznych, a ludzie zaczęli się zjeżdżać. Powiedzieli mi, że zwołałem konferencję, a ja, cóż, nie miałem serca im wyjaśniać, że tego nie zrobiłem. Dzisiaj cały dzień układałem program i załatwiałem wyżywienie, a dziekan zaklęć stosowanych zabrał ich na wycieczkę po rzece Alber w konwoju promów.

Velander miała o czym myśleć, gdy opuściła akademię. Ktoś zwołał konferencję, więc zebrali się wszyscy czarodzieje, którzy półoficjalnie lub oficjalnie nie są zaangażowani w Smoczy Mur. Zebrali się na małym terenie, mniejszym niż tereny Szkoły KSS.



Nabrzeże nie było całkiem bezpieczne, lecz przestępcy tutaj starali się być dyskretniejsi niż ci z dzielnicy Nigdy. Poprzez mglistą mżawkę Velander zauważyła, że śledzą ją trzy osoby, potem dwie. Ulica się wiała - jej pierwowzorem była biegnąca obok palisady ścieżka wydeptana przez stada owiec tysiące lat wcześniej. Samotny przechodzień szedł z naprzeciwka. Kiedy się zbliżył, wyciągnął topór i trzymał go przed sobą, tworząc rodzaj szlabanu.

- Cześć, chłopcze, Milicja Nabrzeża. Uciekasz? Coś przeszkobałeś?

- Nie - odpowiedziała Velander.

- Zatem nie będziesz miał nic przeciwko temu, że postoisz tu i poczekasz, gdy ja będę sprawdzał, czy nikt cię nie ściga.

- Nikt mnie nie ściga.

W rzeczy samej nikt za nią nie szedł.

- Jesteś dziewczyną! - krzyknął nagle milicjant.

- Przebraną za chłopca. To nowa moda w Sargolu - odparła, rozglądając się ostrożnie. W słabym świetle ulicznej latarni pojawiły się teraz dwie grupy ludzi.

- Ach, kogo my tu mamy?! - krzyknął milicjant. - Spiesz tu czterech i jeszcze czterech chłopaków, może ścigają złodziejkę?

Chwycił ją za ramię, ale uniosła rękę i przekręciła, wyzwalając się z uścisku. Dwie grupy teraz zbliżały się ku nim z dwóch stron, więc umknęła w boczny zaułek, ale okazał się ślepy.

- Tylko minuty, tylko pieprzone minuty - mruzczała do siebie, wyciągając topór. Machnęła nim, by sprawdzić, jak teraz leży w dłoni - nie była przyzwyczajona do wymachiwania bronią bez swej dawnej nadnaturalnej siły. Dziewięciu mężczyzn zgromadziło się przy wylocie zaułka. - Minuty, tylko pieprzone minuty - szeptała,

podnosząc i opuszczając topór. Ktoś parsknął śmiechem. Mężczyźni podeszli, zachowując ostrożność. Nie szukali awantury, tylko ofiary, a tu jako bonus trafiła im się dziewczyna.

Podeszli bliżej. W zaułku było mroczno. Velander cięła toporem, trzymając go oburącz. Poczula, jak przecina coś, potem coś jeszcze. Usłyszała przekleństwo.

- Fortuno, Fortuno, nie opuszczaj mnie teraz - powiedziała głośno w zantriańskim.

- Cudzoziemka - rzekł ktoś po alberiińsku.

- Takie są gorące.

- Daj mi siłę wojownika, gdy będę zadawała cios.

- Otoczyć ją!

Następny cios Velander trafił w pałkę, ale potem ktoś wtoczył się jej pod nogi. Przewróciła się, upuściła topór - z brękiem upadł na bruk. Napastnicy przytrzymali jej nogi, chwycili za spódnice. Krzyknęła, uderzyła głową w pochylający się nad nią kształt w ciemności. Coś chrupnęło; ból czoła sprawił, że świat zawirował jej przed oczami. Znowu krzyknęła i wtedy ją zakneblowali kawałkiem szmaty. Ciężar mrocznej postaci przygniatał ją do ziemi.

W pobliżu ktoś roztrzaskał butelkę.

- To straszne. Coś powinno się zrobić z takimi jak wy. Wszyscy napastnicy zamarli. Velander także. Na końcu zaułka stał ktoś obramowany blaskiem światła z ulicznej latarni palącej się gdzieś dalej na ulicy. Chwiał się na nogach.

- Dwunastu na jednego, a ten jeden jest kobietą. Myślicie, że jesteście tacy dzielni? Chodźcie, teraz jest jeden więcej przeciwko wam.

Velander nie znała alberiińskiego. Pijany schylił się i podniósł jej topór. Roztrzaskana butelka połyskiwała w jego drugiej ręce. Dwóch napastników ruszyło żywo, by wziąć go w kleszcze, ale gdy tylko się zbliżyli, nieznajomy wykonał gwałtowny unik, co sprawiło, że cios pierwszego napastnika zatoczył pełny łuk i trafił kompana. Rozległ się głuchy trzask, gdy rękojeść topora zderzyła się z czaszką; potem drugi z napastników został przyciśnięty do ściany.

- Ty pieprzony mięczaku! - ryknął pijany. - O, przepraszam! Dobry wieczór, panienko, piękna noc...

Trzech kolejnych napastników ruszyło w stronę pijanego, którego tożsamość stała się dla Velander nagle całkiem oczywista. Rozległa się seria uderzeń drewna o drewno oraz ciężkich, miękkich i zduszonych łomotów. I znowu samotna, chwiejąca

się postać stała obramowana blaskiem u wlotu zaułka.

- Do wszystkich diabłów, wykończmy go! - warknął mężczyzna przytrzymujący rękę Velander.

Wszyscy trzej puścili ją natychmiast i pobiegli, ale Velander wykręciła się i skoczyła za nimi, chwytając dwie odziane w spodnie nogi. Nogi należały do dwóch różnych ludzi i obaj runęli jak dłudzy. Głośny łomot oznaczał, że jej wybawca dokończył dzieła, uderzając końcem rękojeści topora w żołądek trzeciego zbója i poprawiając ciosem w potylicę. Z ostatnim właśnie się mocował, towarzyszyły temu głucho uderzenia ciał o ceglane ściany. Velander zobaczyła głowę uderzającą o mur; potem znowu tylko jednego człowieka stojącego u wejścia do zaułka. W końcu udało się wyciągnąć szmatę z ust.

- Znam trochę diomedański - powiedziała.

- O, ja też - usłyszała dobrze znany głos. - Nic się panience nie stało?

Andry, pomyślała Velander. Andry żyje. Jakoś nie mogła pogodzić się z myślą, że stanie przed nim mokra, potargana i brudna i oznajmi mu, że także żyje, chociaż podległa transformacji, która wciąż jeszcze wprawiała ją w zakłopotanie.

- Godność ucierpiała, honor ocalony - odparła, mając nadzieję, że on nie rozpozna jej głosu.

- To najlepsze, co mogło się stać. Proszę podać mi rękę i chodźmy stąd.

Wyszedłszy z zaułka, w mdłym świetle ulicznych latarni Velander ostatecznie się przekonała, że jej wybawcą jest Andry. Trzy ostrożne ulicznice stały bezczynnie w pobliżu, pod daszkiem, kryjąc się przed mżawką.

- Drogie panie uliczne, właśnie rozwiązałem problemy, które miała ta dama - wyjaśnił Andry, po czym upadł na kolana i zwymiotował dużą ilość cuchnącego alkoholem płynu.

Jedna z kobiet podniosła jego topór, a potem wraz z koleżankami podeszły bliżej. Andry zwinął się w kłębek na ziemi, w deszczu, jakby umościł się tam na noc. Velander pogłaskała go po głowie.

- Mówicie po diomedańsku? - zapytała. Ulicznice pokiwały głowami. - Zaopiekujcie się nim. To dobry człowiek, odważny. Ja poszukam pomocy.



Kilka minut później przechodziło tamtędy dwóch członków nabrzeżnej nocnej straży z latarnią na tyczce. Jedna z dziwek chwyciła Andry'ego za nogi i próbowała go odciągnąć, ale kiedy jej koleżanki uciekły, także wzięła nogi za pas. Andry został sam,

w deszczu, na ulicy, wciąż zwinięty w kłębek i śpiący twardo. Obok niego leżał topór Velander.

- O rany, on ma topór! - powiedział strażnik z latarnią.

- Jak każdy dupek w Alberinie. - Jego towarzysz szturchnął Andry'ego czubkiem buta. - Zobaczmy, co to za typ. Diomedańskie ząbkowanie, trzy otwory w ostrzu, ćwierć krzyża na rękojeści... ejże, na dole jest pokryta krwią!

Strażnik z latarnią pochylił ją, aż niemal dotknęła bruku.

- Hej, spójrz tutaj, pod nim jest krew, tu deszcz nie dotarł. W pobliżu musiało zdarzyć się morderstwo.

Podeszli do wylotu zaułka. Po pierwszym szoku jeden zaczął dmuchać w gwizdek, drugi oglądał ciała.

- Mroczni Komandosi. A tu jest Jarrin Jastrząb, mistrz Bractwa Zaczepiających i Napastujących.

- Stowarzyszenie Ulicznice o Północy wniosło na nich tyle skarg, że już miałem tego dość.

- A kim jest ten prostak, który ich poszatkował?

- Cudzoziemski strój. Żołnierz chyba.

Ogromny cień przesunął się nad nimi i usiadł na pobliskim dachu, cicho, bez hałasu, jednie lekko skrzypnęły deski i chrupnęły dachówki. Owinął skrzydła wokół siebie, tak że na pierwszy rzut okaz przypominał ciemną wieżę z parą świecących oczu. Jednak nikt tego nie zauważył. Inni strażnicy nadbiegli ostrożnym truchtem i wkrótce zaułek był ich pełen. Para jarzących się oczu patrzyła badawczo, gdy dziewięć ciał ładowano na wóz, a na stertę trupów wrzucono Andry'ego.



Selford nie był ani zaskoczony, ani zaniepokojony, kiedy w czasie śniadania z Parchenem, królewskim księgowym, otrzymał zwój z pilną wiadomością.

- Toreanka, a oprócz tego kapłanka metrologańska - zauważył Parchen, przeglądając zwój.

- Sprawa najwyższej wagi... zapewnić wszelkie udogodnienia... przybywa o dziesiątej - czytał Selford. - Cóż, metrologanki robią wiele dla leczenia hołoty, a oprócz tego zajmują się edukacją. Dobrze będzie przyjąć tę hrabinę.

- Czy ona jest prawdziwą hrabiną?

- Tak sędzę. Pewnie jakaś rodzina miała zbyt wiele córek, zmusiła więc jedną do wstąpienia do zakonu i wysłała za morze, aby się jej pozbyć. Potem ten łajdak

uruchomił maszynę eteryczną...

- Srebrzyśmierć.

- Tak, która stopiła Toreę aż do litej skały, więc hrabia i wszyscy jego dziedzice zamienili się w brązowy dym i teraz ona jest hrabiną. Sadzę, że powinniśmy być dosyć oficjalni. Zbierz z sześciu trzeźwych służących i powiedz panie Flez, aby podała herbatę i ciasteczka w zachodniej galerii.



Justiva poradziła Velander, aby napisała do następcy tronu, ale nie były zaskoczone, gdy z pałacu przyszła informacja, iż książę jest niedysponowany i spotka się z nimi Selford, królewski minstrel. Gęganie nudnych dworzan zmieniło przyjemność picia herbaty i jedzenia ciasteczek w wyjątkowo nudne pół godziny; potem przybył Selford i wygłosił krótkie przemówienie powitalne w imieniu następcy tronu. Dworzanie się ulotnili, zostawiając Selforda samego z dwiema kapłankami.

- Mam prośbę - zaczęła Velander.

- Czy to coś naglącego? - zapytał Selford, unosząc brew. - Rozumiem, że zakon jest bliski bankructwa, więc mam kilka pomysłów, o których chciałbym z wami porozmawiać.

- Proszę, aby aresztował pan wszystkich czarodziejów w Alberinie i zamknął ich w głębokim lochu - powiedziała poważnie Velander.

- Co?! - krzyknął zaskoczony Selford, zanim nagle zdał sobie sprawę, że mógł to być żart. - Hrabino, ja... och, przypuszczam, że chciałaby pani, abym przeszukał także ich domy i akademie?

- Tylko żeby zabrać książki i je ukryć - odparła Velander, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Ale dlaczego?

- Niebezpieczeństwo.

- Hrabino, hrabino! - Minstrel się roześmiał. - Będzie musiała pani podać księciu lepszy powód do podjęcia takich działań. Czarodzieje mogą być bardzo niebezpieczni, kiedy się ich zdenerwuje, nie róbmy sobie z nich wrogów bez przyczyny.

- Aha. Więc będziemy mieli mały skandal, ostrzegam.

- Nie ma lepszego miejsca dla skandali niż królewski dwór w Alberinie, hrabino. - Selford mrugnął porozumiewawczo. - Mamy takie skandale, o których inne królestwa nawet nie mogą marzyć.

- Justivo... - Velandier skinęła na prezbiterkę metrologanek.

- Kilka miesięcy temu Terikel, poprzednia prezbiterka, miała romans z księciem - powiedziała Justiva niepokojąco pewnym siebie tonem. - W zamian za podpisanie zgody na wynajęcie metrologankom ostatniego dużego statku w Alberinie na bardzo niebezpieczną podróż, zgodziła się zabawić księcia w łóżku przez kilka godzin.

- Ach, waluta miłości jest częściej w użyciu niż złoto i srebro.

- Poproszono mnie, abym pilnowała, żeby nikt im nie przeszkadzał.

- Cóż za niewdzięczne zadanie, być obecnym przy amorach innych! Ja ciągle robię to dla księcia.

- Kiedy wyszedł, poszłam za nim.

Selford otworzył usta i tak zastygł.

- Byłam kiedyś ulicznicą, panie, zwykłą dziwką - ciągnęła Justiva. - Umiem poruszać się dyskretnie po ciemnych ulicach. Księżę wszedł wejściem dla dostawców do Całonocnego Salonu Ziołowych Remediów i Specjalnych Masaży Madame Featheringly, a dokładnie siedemnaście uderzeń pulsu później pan wyszedł frontowymi drzwiami. To czas wystarczający do przebycia długości budynku.

- Komu o tym powiedziałaś? - wyszeptał Selford.

- Aż do ostatniej nocy nikomu. Hrabina Velandier powiedziała mi, że czarodzieje i akademicy mieszkający obecnie w Akademii Alberińskiej są w wielkim niebezpieczeństwie, jednak nie zdołała ich przekonać do wyjazdu, nie chcieli słuchać jej ostrzeżeń. Opowiedziałam jej o twojej przygodzie z prezbiterką Terikel.

- Słuchaj, następca tronu nie może być wszędzie w tym samym czasie - tłumaczył Selford - więc wyznacza ludzi...

- Ostatniej nocy w wieży cytadeli zebrał się Pałacowy Komitet do spraw Dostaw i Infrastruktury - powiedziała Velandier.

- Tak jest napisane na pałacowej tablicy ogłoszeń - rzekł Selford z pewnością siebie osoby, która atakuje smoka drewnianym mieczem i ma nadzieję, że smok jest krótkowidzem.

- Podśluchiwałam pod oknem.

- Pod najwyższym położonym oknem najwyższej wieży pałacu?

- Mam sześćdziesięciometrowe skrzydła, a szyję dłuższą niż ten pokój. Proszę sprawdzić na murach, zostały ślady pazurów. Byłam tam. Podśluchiwałam. Opowiedzieć krótko, o czym była mowa?

- Nie! Nie, nie, nie! Lepiej będzie, jeśli natychmiast spotkamy się jeszcze z kimś. Tędy, drogie panie, chwilę potrwa, zanim wszyscy się zbiorą.



Zorganizowanie spotkania zajęło dokładnie tyle czasu, ile było trzeba, aby wspiąć się na szczyt wieży cytadeli i zamknąć w małym, skąpo umeblowanym, ale przytulnym pokoju. Selford wyjrzał przez okno, obejrzał ślady licznych zadrapań na kamieniach. Rozległo się pukanie do drzwi i królewski minstrel wprowadził podejrzenie wyglądającego niskiego człowieka ze spiczastą bródką i łysą głową. Przybysz taszczył wielką księgę oprawną w skórę. Za nim dobrotliwie wyglądająca kobieta o siwych włosach niosła tacę z imbrykiem, trzema filiżankami i talerzem ciasteczek. Oboje bardzo się zdziwili na widok Velander i Justivy.

- Szanowne panie, poznajcie Parchena - powiedział Selford. - Parchen jest królewskim księgowym. Panna Flez niesie tacę z herbatą. Parchenie, panno Flez, poznajcie Justivę, przełożoną zakonu metrologańskiego. Hrabina Velander jest także kapłanką metrologańską, jak również szklanym smokiem.

Parchen i panna Flez potrzebowali chwili, by to sobie przyswoić.

- Czy powinnam przynieść jeszcze dwie filiżanki? - zapytała panna Flez.

- Proszę sobie nie robić kłopotu - powiedziała Justiva.

- Odchudzamy się - stwierdziła Velander.

- Jeszcze tylko jedną osobę przedstawię... - Selford zerwał pokrowiec przykrywający coś, co jak przypuszczały Velander i Justiva, było nieużywanym meblem.

Zmumifikowane ciało następcy tronu patrzyło przed siebie szklanymi oczami. Selford przysunął krzesło z księciem do okrągłego stolika na środku pokoju, ale musiał jeszcze wyjść poszukać krzeseł dla Velander i Justivy. Do chwili jego powrotu panna Flez naląła herbaty członkom Pałacowego Komitetu do spraw Dostaw i Infrastruktury. Selford zamknął drzwi na klucz i wypił łyżeczek herbaty. Velander przyjęła ciasteczko, którym poczęstowała ją panna Flez. Justiva złożyła ręce i patrzyła na Selforda.

- Więc? - powiedziała.

- Następca tronu umarł pięć lat temu, zadławił się truskawką w czekoladzie - zaczął Selford.

- Mojego wyrobu - dodała panna Flez.

- W czasie mojego pierwszego z nim spotkania po śmierci jego ojca - powiedział

Parchen. - Uznał, że pałacowa księgowość jest nudna, więc postanowił obejrzeć występ nowego minstrela i zonglera, kiedy ja mówiłem.

- Ja przyniosłem lutnię, ale nie wiedziałem, że będę musiał również zonglować - ciągnął Selford. - Więc wziąłem kilka truskawek w czekoladzie panny Flez i zonglowałem nimi. Za każdym podrzutem łapałem jedną w usta i zjadałem.

- Nie mów mi, że książe kazał ci wrzucić truskawkę jemu do ust - odezwała się Justiva.

- Tak było - powiedzieli chórem Selford, Parchen i panna Flez.

- I udławił się.

- Tak.

- Ale to był wypadek. Dlaczego nikomu nie powiedzieliście?

- Spotkanie ze mną - rzekł Parchen.

- Ja zonglowałem - rzekł Selford.

- Moimi truskawkami w czekoladzie - dodała panna Flez.

- Ówczesny dowódca straży pałacowej nie był miłym człowiekiem - wyjaśnił Selford. - Poprzedni król umarł po tym, jak schlał się w trupa i spadł ze schodów, kiedy próbował zrobić wielkie wejście na bal ambasadorów, schodząc spiralną klatką schodową. Dowódca kazał stracić królewskiego podczaszego, szefa kuchni, piwnicznego i degustatora, jako odpowiedzialnych za śmierć króla.

- Dostarczyliście mu mnóstwo wina i mógł pić do woli? - zapytała Justiva.

- Dokładnie tak. Zamierzaliśmy udawać przez kilka dni, że książe żyje, a w tym czasie stworzyć jakiś pretekst do posłania dowódcy na śmierć, ale wykonanie okazało się dość trudne. Upłynęło pięć miesięcy, zanim ukląkł przed katowskim pieńkiem. W tym czasie Parchen ukończył kurs wypychania zwierząt, bo książe zaczął się rozkładać.

- Ja od lat karmiłam stada kotów na ulicach Nabrzeża - wtrąciła panna Flez - więc nikt się nie dziwił, gdy wynosiłam z pałacu cuchnące kawałki mięsa.

- Kiedy wyznaczono nowego dowódcę straży, mieliśmy problem, jak uzasadnić niezwykley stan księcia - ciągnął Parchen. - Wypchanego mogliśmy układać w różnych pozach. Ludzie widzieli go leżącego w łóżku, drzemiącego w fotelu i siedzącego na spotkaniach Pałacowego Komitetu do spraw Dostaw i Infrastruktury. Potem w plecy wstawiliśmy mu dźwignię, tak że mógł z blanków machać do tłumów przy okazji świąt państwowych.

- Nie mogę uwierzyć, że żaden z dworzan czy ambasadorów niczego nie zauważył. - Justiva pokręciła głową.

- Cóż, wydawałem naprawdę wspaniałe ucztę - odparł Selford. - Po pięciu czy sześciu ucztach w tygodniu dworzanie i inni notable rzadko byli w stanie zauważyć cokolwiek. Parchen jest tak dobrym księgowym, że dług państwowy został spłacony w ciągu roku, a cesarz Scalticaru Północnego przyznał księciu medal za osiągnięcia ekonomiczne. Panna Flez miała baczne oko na wszelkie pałacowe spiski, więc mogliśmy wygnać, stracić lub przekupić każdego konspiratora, zanim narobił szkód. I tak to trwało miesiące, lata...

- Więc swój złoty okres Alberin zawdzięcza minstrelowi, księgowemu i herbaciarce? - odezwała się Velandar, która siedziała z tyłu z zamkniętymi oczami i końcami palców masowała sobie skronie.

- Zasadniczo tak - powiedział Selford. - Jestem tego samego wzrostu i budowy co książę, więc zapuściłem taką samą brodę, jak on miał i postarałem się, żeby miłosne schadзки księcia odbywały się w całkowitej ciemności.

- Ja jadłem jego potrawy - wyznał Parchen. - Ale ja nie piję, więc winem zajmowała się panna Flez.

- Lubię czasem wypić sobie kropelkę - dodała panna Flez.

- Dosyć! - Justiva zakryła oczy dłońmi. - Pozwólcie mi streścić sytuację, jak ją zrozumiałam. Następca tronu Alberinu zmarł pięć lat temu i przez cały ten czas wy troje zarządzacie królestwem, organizujecie orgie, jecie jego potrawy, sypiacie z jego kochankami, delektujecie się jego najlepszymi winami i od czasu do czasu odkurzacie jego trupa.

- Tak, można to ująć w ten sposób - powiedział Parchen.

- Wspaniale. A zatem Pałacowy Komitet do spraw Dostaw i Infrastruktury, znany także jako następca tronu Alberinu, aresztuje wszystkich obecnych w Alberinie czarodziejów miejscowych, czarodziejów gości i studentów magii. Zorganizuje także konfiskatę i przeniesienie ich bibliotek do miejsc, których listę zostawię wam przed wyjściem. W zamian ja zachowam wasz sekret.

- I to wszystko? - zapytał Parchen. - Nie chcecie złota, tytułów, zaszczytów, ziemi?

- Ja nie chcę - odparła Justiva. - A ty?

- Jeśli można! - Velandar podniosła rękę. - Mam małą prośbę.



Andry z wolna się budził i odczuwał przy tym coraz większy ból. Bolały go zębra, wydawało mu się, że stracił kilka zębów, w głowie mu łupało, a w ustach czuł

paskudny posmak. Kiedy spróbował otworzyć oczy, okazało się, że jedno ma mocno opuchnięte.

- O kurde - zajęczał cicho. - Wszystko mnie boli... Oj, chyba się z kimś tłukłem. Może zostałem zatłuczony na śmierć.

Usiadł i rozejrzał się dookoła; okazało się, że jest w małej, pustej celi. Miała wąskie dębowe drzwi, a światło wpadało przez małe zakratowane okienko.

- O-ho, zamknęli mnie na wartowni. Znowu. - Walnął pięścią w drzwi. - Ej, jest tam kto na służbie?

- Co?

- Obudziłem się.

- No to co?

- Za co tu siedzę?

- Zabiłeś dziewięciu.

- O kurwa! - krzyknął Andry, ześlizgując się po ścianie celi, aż usiadł na podłodze.

Kilka minut później rozległ się stukot i szcęk zamka. Dwaj strażnicy w kolczugach i szkarłatnych płaszczach wyprowadzili Andry'ego do powozu, przy którym czekało sześciu strażników.

- Czy mógłbym pożyczyć od pana grzebień i umyć twarz, zanim stanę przed obliczem sędziego pokoju? - zapytał Andry strażnika, który wraz z nim wsiadł do powozu.

- Nie mam grzebienia, a ty nie staniesz przed sędzią pokoju.

Nie przed sędzią pokoju, pomyślał Andry. Potem zauważył, że powóz zaczyna wjeżdżać na Wzgórze Pałacowe. Czyli wyrok zostanie wydany przez sędziego królewskiego. To zazwyczaj rezerwowano dla zatwardziałych kryminalistów, ale skoro zabił dziewięć osób, pewnie jest zatwardziały. Powóz wjechał główną bramą na pałacowy dziedziniec i podjechał pod boczne wejście. Andry'ego poprowadzono do środka i w dół po trzech kondygnacjach schodów. Wkrótce znalazł się w pałacowych lochach przed dwoma zakapturzonymi osiłkami, królewskim katem Igonnierem oraz jego pomocnikiem. Zaraz przyszedł niski, łysy człowiek ze spiczastą bródką. Rozwinął jakiś zwój.

- Andry Tennonerze z Bargeyards, następca tronu się dowiedział, że zamordowałeś dziewięciu obywateli na Nabrzeżu ostatniej nocy.

- Panie, ja...

- Cisza! Zostajesz skazany na śmierć przez ścięcie głowy na placu targowym Nabrzeża w najbliższy bezdeszczowy dzień.

- O kurwa!

- Jednakże jego królewska wysokość wyraża wolę ponownego rozpatrzenia twojej sprawy, pod warunkiem że zostaniesz członkiem straży pałacowej. Zgadzasz się?

- Czy to podchwytliwe pytanie?

- Uznam to za „tak”. Strażniku Tennonera, oto srebrny nobel od księcia, tu podpisz zwój. Gratuluję, książę ogłosił cię bohaterem za uwolnienie miasta od dziewięciu notorycznych przestępców bez ponoszenia kosztów procesu. Igonnierze, Torfenie, macie dziesięć minut, aby go wyszorować, wyszykować i ubrać w mundur strażnika. Odbędzie się krótka ceremonia ku twojej czci, Andry Tennonera, a nie możemy pozwolić, aby następca tronu czekał.

Pozbawieni okazji do ścięcia mu głowy, Igonnier i jego pomocnik sprawili, aby proces kąpieli był dla Andry'ego bardzo nieprzyjemny. Rozebrali go do naga, wrzucili do niecki, która zazwyczaj służyła do tortur wodnych i wyszorowali kawałkami szorstkiego kamienia. Ubranego w mundur strażnika eskortowali przez dziewięć kondygnacji schodów do wschodniego skrzydła, do komnaty recepcyjnej.

Ze czterdziestu dworaków, wyglądających na ciężko skacowanych, czekało w komnacie. Sierżant popchnął Andry'ego w stronę mężczyzny około trzydziestki. Ten nie wyglądał na chorego z przepicia. Biło od niego coś w rodzaju majestatu. Miał faliste czarne włosy i pięknie utrefioną brodę. Ubrany był w kaftan w kolorze burgunda. Wyglądał jak następca tronu z portretu, który wisiał w większości albeirińskich tawern. Pozostali obecni w komnacie okazywali mu szacunek, lecz coś było nie tak. To nie może być następca tronu, pomyślał Andry. Książę ma reputację dekadenta tak dobrze mi znaną z ballad Wallasa, a ten tutaj wygląda prawie normalnie

Herold uderzył w podłogę trzymaną w dłoniach ceremonialnie wyglądającą laską, która mogła wywodzić się od jakiejś starożytnej broni sprzed trzech tysięcy lat.

- Przedstawiam gwardzistę królewskiego, rycerza Andriana Tennonera, który w Sargolu otrzymał herb z rąk Senterri - czarny topór ze stopionym ostrzem na jasnozielonym polu, wcześniej odznaczył się w Sargolskiej Milicji Cesarskiej, służbach zwiadowczych, w osobistej służbie królewskiej.

Rozległy się oklaski i entuzjastyczny tupot. Herold ponownie uderzył laską w

podłogę. Większość twarzy skrzywiła się na ten dźwięk.

- Niech wszystkim będzie wiadome, że o ósmej godzinie po południu dwunastego dnia szóstomiesiąca roku bieżącego zwiadowca Tennonner, sam, ocalił osobę i honor szlachtetnej damy napadniętej przez bandę znaną jako Mroczni Komandosi, zabijając wszystkich dziewięciu członków.

Kolejny wybuch aplauzu, jak gdyby Andry zagrał dobrą gigę na rebeku. O choroba, dziewczyna z zaułka, pomyślał Andry, któremu wspomnienia z minionej nocy zaczęły z wolna się klarować. To dlatego zadarłem z tymi zakapiorami, oni ją napadli. Herold uderzył laską w podłogę po raz trzeci.

- Niech będzie wiadome w całym królestwie, że zwiadowca Tennonner otrzymał herb w podziękowaniu od następcy tronu i tym samym ma prawo nosić tytuł Miejskiego Bohatera.

Człowiek w burgundowym kaftanie podszedł do Andry'ego.

- Następcą tronu nie mógł pojawić się osobiście, przesyła wyrazy ubolewania, za dużo dekadencji ostatniej nocy, cha, cha, cha. Jestem Selford, jego minstrel. Książę poprosił, abym podziękował ci za uwolnienie Alberinu od Mrocznych Komandosów oraz za uratowanie czci i życia hrabiny.

Andry nie wiedział, jak powinien się do Selforda zwracać. Owszem, dobrze znał innego królewskiego muzykanta, lecz kwestia formalnego tytułu takiej osobistości nigdy nie została podniesiona.

- Jestem zaszczycony, panie. - To wydało się Andry'emu najbardziej odpowiednie.

- Nastaly złe czasy. Motłoch napada na szlachtę, ludzie mają różne pomysły. Książę nie lubi ludzi, którzy mają pomysły. Taki Smoczy Mur był bardzo złym pomysłem. Czarodzieje zawładnęli światem! Zaraz inżynierowie będą próbowali przejąć władzę, po nich może nawet prawnicy.

- Z pewnością nie, panie.

- Jeśli ktokolwiek cię zapyta, powiesz, że wstąpiłeś do straży pałacowej wczoraj - powiedział Selford prawie szeptem. - Antydatowałem twój zwój werbunkowy. Oczywiście dostaniesz żołd za jeden dzień więcej.

- Panie?

- Następcą tronu będzie lepiej wyglądał, mając w swojej straży pałacowej wybawcę cudzoziemskiej hrabiny.

- Hrabina?

- Twoim pierwszym zadaniem będzie ochrona hrabiny, którą uratowałeś ostatniej nocy... tylko postaraj się nie zabijać tylu łotrzyków, jeśli ona znowu znajdzie się w tarapatkach.

- Hrabina, panie? - Andry w końcu zdał sobie sprawę, że znowu uratował kogoś ważnego.

- Tak, a ona mówi tylko po diomedańsku... znasz ten język?

- Znam.

- Wspaniale, czyli nie będę musiał wynajmować dla was tłumacza. Hrabino Velander Salvaras z Zantriasu, musi pani koniecznie poznać gwardzistę królewskiego, rycerza Andry'ego Tennonera.

Andry'emu wydawało się, że Velander zmaterializowała się w palenisku obok Selforda, chociaż ona po prostu wyszła zza minstrela. Była ubrana tak samo jak w nocy. Na jej kaftanie błyszczał podwójny rząd srebrnych guzików. Faliste, długie do ramion włosy spięła grzebieniem o srebrnych zębach. Była z Justivą, kapłanką metrologańską.

- Gwardzisto Tennoner, mężny i szlachetny... - Dygnęła przed nim. - W pańskich rękach będę szczęśliwa.



Nikt przed Terikel nie widział ruin Larmentelu z wysokości trzech kilometrów. W świetle słońca, które było już niemal na poziomie horyzontu, lśniły na tle cieni rozległe, koncentryczne, okrągłe fale szkliva. Po gwałtownym opadnięciu kilka nocy wcześniej Terikel przespała się w lodowej jaskini, budziła się, by coś zjeść i znowu szła spać. Kiedy ponownie wzbiła się w powietrze, słońce stało dość wysoko i rzucało błyski na drobne fale na wodzie pomiędzy kręgami szkliva. Tu i tam przysadziste wybrzuszenia psuły perfekcję rozległej panoramy pierścieni, jak kikuty skamieniałych drzew. To były kolumny świątyń i pałaców, niegdyś dumy Larmentelu.

- Nieszczęsny Larmentelu, na co ci przyszło? - powiedziała cicho Terikel. - Gdzież są twoje piękne wieże uniwersytetu, twoje pałace tak białe, że wyglądały jak zbudowane z bloków zamrożonego mleka?

Mieszkała w Larmentelu przez dwa lata, zanim wstąpiła do zakonu metrologanek i uzyskała dyplom na miejscowym uniwersytecie z najwyższą oceną w dziesięcioleciu. To godne podziwu miasto teraz też było piękne, lecz w inny sposób, jak urodziwa muszla w szklanej wazie: przepiękna, ale martwa.

W samotności miała czas na spokojne przemyślenie paru kwestii. Nauczyciel z

pewnością dał jej wielką dawkę energii wraz z zaklęciem, którego miała użyć do zniszczenia kamiennego kręgu na krańcu świata. Mógł przekazać jej sto lat swojej zmagazynowanej energii; miał pięć tysięcy lat i sporo mocy zaoszczędził. Mógł podarować jej nawet zapasy z tysiąca lat. Użyła tej energii do stworzenia wielkich skrzydeł, a może do machania nimi. Ile jej zostało? Myślała także o anatomii ptaków.

Burza w końcu ucichła, trzeba było znowu przygotować się do lotu. Terikel stworzyła magiczną siatkę, czyli kostium termiczny, oraz nowe kości mostka, które ptakom umożliwiają machanie skrzydłami. Po kilku próbach częściowo wydobyła zaklęcie Nauczyciela z piersi i przywiązała je do siebie dwunastoma elastycznymi promieniami. Na koniec przyszła pora na ponowne wygenerowanie magicznego kolca, a Terikel pozwoliła mu wyrosnąć na pełne trzydzieści metrów, zanim rozpostarła skrzydła. Przywiązała promienie do skrzydeł i zrobiła kilka próbnych wymachów. Jeden potężny skurcz eterycznych promieni dał tyle energii, że oderwała się od ziemi, po pięciu machnięciach nowymi skrzydłami wzniosła się ponad szczyty gór. Skręciła na północ i spokojnie, majestatycznie poleciała do Larmentelu.

Chyba nie wyglądam jak szklany smok, ale w końcu nie jestem szklanym smokiem, pomyślała, obserwując swój cień przemykający po lśniącej powierzchni Torei.

Larmentel. Tutaj Srebrzyśmierć wymknęła się spod kontroli. Najpiękniejsze miasto Torei było teraz zastygłymi, koncentrycznymi falami szklawa kilkukilometrowej średnicy, które z wolna wypełniały się wodą deszczową. Laron i Velander kiedyś przyjechali tutaj po kataklizmie, a Terikel chciała w jakiś sposób dołączyć do ich małego, elitarnego klubu. Jej marzenie się ziściło, już postawiła stopę na toreańskiej ziemi, chociaż technicznie biorąc to był śnieg. Martwy Larmentel był dziwnie piękny, a to budziło niepokój.

Wkrótce skręciła znowu na wschód, ale tym razem nie próbowała wzbijać się wyżej. Mocno i ciężko machała skrzydłami, używając energii Nauczyciela do napędzania elastycznych promieni. Rzeka Bax błyszczała w słońcu, różniąc się fakturą od srebrzystego, matowego, szklatego krajobrazu. Terikel minęła miejsce, gdzie rzeki Bax i Dioran się łączyły, potem zobaczyła stopione miasto leżące na obu brzegach Dioranu. Tu przybił do brzegu „Mroczny Księżyc” - tak mówił Laron. Nad tą częścią Torei świeciło słońce. Terikel nie mogła się powstrzymać od ironicznej myśli, że na kontynencie, który był źródłem burz toreańskich, panowała teraz ładniejsza pogoda niż w Alberinie.

Zachodni wiatr osłabł i Terikel leciała dużo wolniej. Ujrzała Zatokę Wysp - wyspy wyglądały jak blade, wypolerowane opale rozłożone na ciemnoniebieskim aksamicie morza. Zmrok zapadał już nad przylądkiem Klawlan, gdy przekroczyła linię wybrzeża, chociaż na jej wysokości wciąż jeszcze świeciło słońce. Ustawiła zakłęcie budzik. To był jej nowy wynalazek, irytujące, ale użyteczne zakłęcie, które regularnie wymawiało jej imię, przypominając, aby nie zasnęła.

Minęła przylądek i znalazła się nad niezmierną pustką Oceanu Nieskończonego. Nigdy nie pojechała na Klawlan przed zniszczeniem Torei. Był to obszar rolniczy, a na wsi, gdzie nie ma uniwersytetów, rzadko można spotkać czarodzieja. Czowała, że powinna zapamiętać tę podróż, ale niewiele już było widać, bo wszystko w dole skryło się w ciemności.



Następca tronu Dalzori przestał być dekadentem tyranem, choć jeszcze nie tak dawno z zapalem się oddawał denerwowaniu współczesnych kronikarzy i przyszłych historyków. Mówiono, że wstaje o świcie i w przebraniu chodzi po pałacu, sprawdzając, czy wszyscy zachowują się poprawnie.

Selford zwykle zaczynał dzień w lochach pod pałacem. Kazał wyprowadzać z cel politycznych przeciwników Dalzoriego i prowadził ich do dawnej sali tortur na godzinę ćwiczeń aerobiku. Więźniowie nadal uważali, że jest to sala tortur. W końcu pozwalano im wrócić na drzemkę, nie jedyną w tym dniu. Dalzori mawiał, że lubi, kiedy jego więźniowie dobrze się czują.

Plotkowano, że książę Dalzori co rano bierze kąpiel w marmurowej wannie na środku królewskiej sali jadalnej, ale nikt tego nie widział. Ci z dworzan, którzy albo byli już na nogach, albo nie znaleźli jeszcze drogi do łóżka, jedli śniadanie i dyskutowali o wymyślnych daniach, rzadkich winach, ciekawych dekadentkich wyczynach i czasem nawet o sprawach państwowych.

Dalzori śniadania jadał sam, zazwyczaj ograniczając się do jajecznicy i siekanej cebuli na pełnoziarnistej grzance. Czasami, kiedy czuł szczególnie silną potrzebę dekadencji, smarował sobie grzankę masłem. Lubiał od rana karać, więc czytał protokoły, potem przy pomocy swojego księgowego Parchena wydawał wyroki. Dworzanie, którzy mieli być wykluczeni z nocnych orgii, byli wyczytywani po śniadaniu. Czasami za wyjątkowe przewinienie sprawca mógł być wygnany z pałacu nawet na miesiąc, ale tak drastyczna kara była niezwykle rzadka. Dalzori chciał, aby postrzegano go jako zwolennika dyscypliny, a nie jako sadystę.

Dzięki rozmaitym przymiotom był władcą bardzo skutecznym mimo niekonwencjonalnych poglądów na administrację. Potrafił czytać dwa razy szybciej niż inni, dodawać i mnożyć liczby w pamięci szybciej niż wykwalifikowany urzędnik z liczydłami, pamiętał nazwiska, miejsce pochodzenia, sympatie polityczne i skandale lepiej niż nadworny genealog i potrzebował tylko dwóch, trzech godzin snu na dobę. A przede wszystkim miał tak bogaty plan dnia, że nikt nie potrafił za nim nadążyć.

Tego dnia wiadano, że Dalzori udał się gdzieś w przebraniu, podczas gdy Selford próbował dań przygotowanych przez sargolskiego kucharza, którego odkrył w Latarniku noc czy dwie wcześniej. Potrawy były naprawdę doskonałe. Z miejsca kucharza zatrudnił. Herold właśnie uderzał laską w podłogę, aby wszyscy się uciszyli.

- Przedstawiam byłego milicjanta Wallasa Bakera, poprzednio w służbie cesarstwa Sargolu - ogłosił herold, a wyglądający na bardzo zaniepokojonego Wallas znalazł się na centralnym podwyższeniu. Selford wstał i zaczął go wolno obchodzić.

- Więc, Wallasie Baker, jesteś wysoki, silny, zdrowy i chudy - zaczął, a dworzanie przerwali śniadanie i rozmowy. - Jest takie powiedzonko: „Nigdy nie ufaj chudemu kucharzowi”.

- Za pozwoleniem...

- Tak?

- To bardzo głupie powiedzonko.

- Doprawdy? Cóż, przeprowadziłem dyskretne śledztwo na twój temat, ponieważ lubię wiedzieć wszystko na temat książęcego personelu. Otrzymałem długi i interesujący raport. Punkt pierwszy twierdzi, że twój penis został przemieniony w małego smoka o imieniu Willy, a drugi, że Willy ma wysokie standardy moralne. Dbaj o twoją cnotę i generalnie dobre samopoczucie. Heroldzie, kopnij go w krocze.

Herold wszedł na podest i spełnił polecenie. Rozległ się pełen oburzenia syk, a spod tuniki Wallasa wystrzelił strumień ognia, iskier i dymu. Herold wrzasnął, próbował się cofnąć, a potem zleciał z podwyższenia, zostawiając w szczękach Willy'ego pozłacaną cizemkę z koźlej skórki. Willy wypluł but i schował się z powrotem pod tuniką. Dworzanie uprzejmie zaklaskali. Strażnik przydeptał tłącą się cizemkę i rzucił ją heroldowi, którego stan wahał się między potężną histerią a załamaniem nerwowym.

- Wspaniale, książę otrzymał dowód potwierdzający dzikie i fantastyczne opowieści - powiedział Selford. - A zatem czytam dalej... byłeś niegdyś Milvariosem z Tourlossen, mistrzem królewskiej muzyki na cesarskim dworze w Sargolu. Nuda. Ach,

tu jest napisane, że nieoficjalnie byłeś najgorszym bardem na kontynencie Acremy, a możliwe, że i na całym świecie. To brzmi obiecująco.

- Naprawdę?! - krzyknął Wallas.

- Po czwarte, podobno zamordowałeś cesarza Sargolu.

- „Zamordowałeś” to zbyt mocne słowo.

- To był nudny człowiek pozbawiony wad. Tacy na przykład rozpoczynają wojny, które równają całe miasta z ziemią i zostawiają za sobą miliony ofiar jedynie dlatego, że drugi władca zachowuje się jak, cóż, nasz książę. Wynająłeś zabójcę czy własnymi rękami?

- Pan nie rozumie.

- Tu nie wchodziły w grę szczytne idee, nieprawdaż? - Selford nagle stał się niepokojąco podejrzliwy.

- Była w to zaangażowana cała grupa - powiedział Wallas powoli, nagle zdając sobie sprawę, że książę i cesarz mogli nie być w najlepszych stosunkach.

- Zatem najemnik, doskonale! Książę nienawidzi idealistów, oni są nieprzewidywalni. Zainteresuje się mordercą włączającym się do gospodarki rynkowej. Dalej... powszechnie znany lubieżnik, kłamca, tchórz i nudziarz.

- To także raczej zbyt mocne słowa.

- Mimo to punkt dziesiąty mówi nam, że wykazałeś się niezwykłą odwagą w bitwie na moście nad Rwącą. O rany, ja nigdy bym się na to nie zdobył.

- Ale jestem dezertorem. Porzuciłem służbę w osobistej straży samej księżniczki Senterri.

- Doprawdy? Obiecujące. Książę będzie chciał to zweryfikować, oczywiście. Dalej... pomogłeś kilku ludziom uciec przed szklanym smokiem w Clovesser.

- Tylko dlatego że pociski z kusz świszczą wokół moich uszu.

- A co z przebyciem przesmyku Dismay w małym szkunerze?

- Wierzgającego i wrzeszczącego wniesiono mnie siłą na pokład. Robiło to pięciu silnych...

- Och, wspaniale, to z pewnością wiele tłumaczy. Punkt trzynasty będzie jednak trudny do wyjaśnienia. Długo podróżowałeś w towarzystwie prezbiterki Terikel i jej nie uwiodłeś.

- Próbowałem, ale obraziła się i zakłębieniem mało nie oderwała mi ręki. Widzi pan to oparzenie...

- Ha, równie dobrze może pochodzić od rozgrzanego oleju do smażenia. Musisz

bardziej się postarać, żeby mi zaimponować, Wallasie Baker.

- Na wielkim balu dla księżniczki Senterri w Glasbury w trzy minuty uwiodłem pomoc kuchenną i hrabinę Bellesarion.

- Och tak, czytałem jej raport przyniesiony przez ptaka autona, ale nie wymieniała nazwisk. Czy to ty byłeś „hojnie obdarzony, ale pozbawiony smaku”?

- Mogła odnieść takie wrażenie na mój temat.

- Wspaniale, wspaniale! Pasujesz. Przygotuję kontrakt dla ciebie w ciągu najbliższej godziny i... ach, prawie zapomniałem. Czy masz jakieś doświadczenie w nadzorowaniu pracy kucharzy? Będziesz musiał przygotowywać całe bankiety od czasu do czasu, powiedzmy co dwa, trzy dni.

- Nadzorowałem kapele i orkiestry smyczkowe.

- Nieważne, muzykanci i kucharze zawsze są tacy sami. Zatem wracaj do kuchni, Wallasie. Lokaj przyniesie ci kilka zwojów do podpisania, razem z menu na bardzo specjalny bankiet dziś wieczorem.



Następnym punktem w kalendarzu następcy tronu była nie tyle noc zabójców, ile herbatka z uprowadzonymi. Wszystkich starszych czarodziejów, kler i uczonych, którzy zostali w mieście, schwytano w jednym dobrze skoordynowanym nalocie i pod strażą doprowadzono do pałacowych pokoi gościnnych i lochów - gdzie w swoich pokojach i celach znaleźli doskonałe wino oraz pasztet z gęsich wątróbek na pikantnym chlebkę ryżowym. Tym, którzy próbowali rzucać jakieś paskudne zaklęcia, założono ciasne kagańce. Potem zaprowadzono ich do pałacowej sali tortur, akurat w czasie gdy rozpoczynały się popołudniowe zajęcia z aerobiku i gimnastyki odchudzającej. Godzinę później więźniowie potulnie skryli się w swoich celach, a Selford rozmawiał z mistrzem kreatywnych tortur, Igonnierem.

- Nie jestem całkowicie pewien, dlaczego musieliśmy aresztować wszystkich uczonych, ale zastanawiam się, co mogłoby być dla nich tak okropne, że gorsze niż to - stwierdził Selford.

- Dla Garrisa... może złożona z kobiet komisja dochodzeniowa wypytyująca o jego życie seksualne? - zasugerował Igonnier.

- Wątpię, czy on w ogóle ma jakieś życie seksualne. A przynajmniej nie takie, w którym uczestniczy jeszcze druga osoba.

- Tak... Proszę wyobrazić go sobie w sytuacji zaklęcia prawdy przed całym dworem.

- O, powinniśmy to zrobić.

- Najważniejsza tutaj jest dama Wensomer Callientor, jedyna znana na świecie wtajemniczona trzynastego stopnia, która odrzuciła mianowanie na wtajemniczoną trzynastego stopnia. Z nią nie będzie łatwo.

- Księżę jej nienawidzi - rzekł Selford stanowczo. - Połowa miasta uważa, że ona wydaje lepsze uczyty niż on.

- Cóż, ma wspaniałe listy uwierzytelniające: nadwagę, lenistwo, brak ambicji, upodobanie do wysokich, smukłych wojowników o dużych zdolnościach seksualnych i jeszcze większe upodobanie do ciastek z kremem, różnych wyszukanych dań oraz dobrych win. Ulubione rozrywki i słabostki to jedzenie, taniec brzucha, seks, kosztowna jedwabna bielizna, która zasłania z grubsza jedną pięćsetną jej ciała, oraz wylegiwanie się na poduszkach o kształcie pewnych części anatomicznych i czytanie naukowych traktatów o zapomnianych czarodziejskich zaklęciach.

- Nie martw się o nią, już postanowiłem o jej losie - powiedział Selford.

- Spośród wszystkich aresztowanych ona jest dla mnie największą zagadką. Pozostali to czarodziejskie niedobitki, zdziwaczali geniusze, zawodowi odszczepieńcy, kapłańskie zera i akademicy uciekinierzy od uczciwej pracy. Wensomer jest jednocześnie potężna i błyskotliwa, dlatego mówi się, że to ona zniszczyła Srebrzyśmierć, starożytną eteryczną broń, która unicestwiła Toreę. Nie jest taka jak pozostali.

- Jest także jedyną starszą wtajemniczoną w całym Scalticarze, która może nazwać Wielką Radę Najwyższych Wtajemniczonych z Kręgów bandą żalonych onanistów. Tak się zdarzyło, gdy próbowali rozkazać jej, aby dołączyła do wtajemniczonych uruchamiających Smoczy Mur. Wierzę, że jej zaklęcie-posłaniec miało formę gadających pośladek i jak sądzę, tamci mogą pragnąć zemsty za obrazę.

- Im, mającym boską władzę i w ogóle, to może się wydawać nieważne.

- Nie, oni się jej boją. Pamiętaj, to ona zniszczyła Srebrzyśmierć, inną niezwykle potężną maszynę eteryczną.



Po gotowaniu, próbowaniu, wrzeszczeniu na pomocników kuchennych i wpadaniu w histeryczne ataki złości Wallas był bliski wyczerpania, a wieczorny bankiet dopiero się rozpoczął. Lokaje wynosili ciężko wyładowane półmiski i dzbany, z powrotem przynosili wstępne raporty o wielkim uznaniu biesiadników. Wallas wybrał sobie dzban najlepszego wina, utracił mu szyjkę, klapnął na ławkę i wylał wino

mniej więcej w kierunku swoich ust. Odrzucił na bok puste naczynie, które roztrzaskało się o krawędź paleniska.

Właściwie nie planował szpiegować dworu, ale chciał zobaczyć, jak ludzie się bawią i jak jedzą potrawy przez niego przygotowane. Powoli wstał z ławki, chwiejnie wszedł do pałacowej pralni, krzyknął, by napełniono mu kadź gorącą wodą, i wszedł do niej w ubraniu. W trakcie następnej godziny stopniowo się rozbierał, potem zadzwonił na lokaja i wysłał go po zapasowe ubranie i ręcznik. Kiedy służący wrócił, z nadgorliwości popełnił błąd, próbując wyłowić mokre rzeczy Wallasa z kadzi. Willy wystawił główkę nad powierzchnię wody i zionął ogniem. Lokaj uciekł z wrzaskiem, a przy okazji zirytował Wallasa, ponieważ zostawił ręcznik poza zasięgiem jego rąk.

Wallas już się ubrał, kiedy nagle przypomniał sobie o żywym fragmencie swojego wyposażenia i sięgnął do tobołka. Nie zakładał ochraniacza od przybycia do Alberinu, ale czuł, że czas znowu go użyć. Willy miał talent do zrażania towarzystwa. Ochraniacz to była metalowa miseczka o nieco sercowatym kształcie, zagięta na krawędziach do wewnątrz i mająca paseczki do umocowania jej we właściwym miejscu. Wallas spuścił spodnie. Willy łypnął niepewnie na ochraniacz. Bywał zamykany w tym już wcześniej.

- Będziesz miał łatwiejsze życie - zapewnił smoczka Wallas. - Pamiętaj, to powstrzymało tych okropnych ludzi, którzy mieli chrapkę na moje najintymniejsze i najwrażliwsze części ciała. Powstrzymało ich na długo wcześniej, nim zaistniała konieczność, byś musiał ich poparzyć czy ugryźć.

Willy nie był w stanie się uśmiechnąć, ale z rezygnacją dał się uwięzić.

- Dzięki temu zaoszczędzę fortunę, którą musiałbym wydać na nowe spodnie i tuniki - wymamrotał Wallas, zawiązując tasiemki mocujące ochraniacz.

Wspiął się na schody prowadzące do sali bankietowej. Zaczął rozróżniać krzyki poprzez muzykę i zwykły szmer śmiechów i rozmów. Krzyczała jakaś kobieta, udręczona dusza, ktoś w krańcowym cierpieniu. W dodatku krzyczącemu chyba skrzepowano szczękę drutem. Nad główną salą była galeria, na której strażnik dworskiego parkietu czuwał nad przebiegiem wszystkich przyjęć, orgii i uczt. Strzegło go czterech wartowników, na wypadek gdyby ktokolwiek niepowołany próbował wtargnąć na galerię, aby użyć jakiejś broni z tego idealnego punktu obserwacyjnego.

Wallas zapukał do drzwi i po kilku chwilach strażnik je otworzył.

- Ach, mój drogi kuchmistrzu, zapraszam. Doskonałe potrawy, doskonałe. Zwłaszcza potrawy do tortur.

- Potrawy do tortur?! - Wallasa zatkało.

- Tak, tak, są dziełem sztuki. Wejdz, sam zobacz.

Kobieta przywiązana była do krzesła stojącego na okrągłym podwyższeniu, tak że wszyscy dworzanie mogli ją widzieć ze swoich stolików. Była ubrana w kostium tancerki tańca brzucha, przed nią stała duża świnia, którą na czerwonej skórzanej smyczy trzymał herold. Zwierzak pożerał ostatni talerz ciastek z orzeszków ziemnych, z których Wallas był szczególnie dumny. Herold zastukał laską w podłogę.

- Miodowo-śmietankowe lody i tarta czekolada na kokosowym makaroniku - oznajmił, a dworzanie zaczęli klaskać.

Grupa lokajów jednocześnie wniosła i postawiła na stołach talerze, ale jeden talerz odkryto i postawiono na podłodze. Świnia zaczęła łapczywie pożerać makaronik, kobieta znowu wrzeszczała w straszliwej męce przez kaganiec z drutu, a dworzanie śmiali się i klaskali.

- Ach, ten księżę Dalzori czasem przechodzi samego siebie - powiedział strażnik z uznaniem.

Oniemiały Wallas wędrował wzrokiem od stolika do stolika, przyglądając się dziwnie ubranym, a czasem rozebranym biesiadnikom. Każdy zdradzał oznaki nadmiernego apetytu. Uśmiechnięty Seford siedział na tronie, ubrany w stonowany czarny jedwab, sącząc wodę ze szklanki. Wallas obejrzał się na kobietę, która nagle wydała mu się znajoma. Miała resztki dobrej figury - była trochę niż więcej solidnie zbudowana.

- Kto to jest? - zapytał Wallas cicho.

- Wielka czarodziejka Wensomer - odparł strażnik.

- Ale, ale, co ona przeskrobała?

- Wydała zbyt wiele uczt i balów, które uważano za lepsze od wydawanych przez księcia. Najdalej za miesiąc sama przyzna, że popełniła wielki błąd, świnia pójdzie na rożen, a uczona Wensomer zostanie zaproszona na ucztę.

Wallas opuścił galerię z mętlikiem w głowie. Z jego dossier wynikało, że jest łajdakiem i tchórzem, lecz przezorny minstrel wolał mu pokazać los Wensomer. Zmusił Wallasa do zastanowienia.



Było już niezłe po zmroku, gdy Andry i Velander zdecydowali się w końcu wstać z łóżka, umyć się i ubrać. Andry zauważył, że ona pachnie wodą różaną i sokiem z owoców muskenu, a jej ubranie jest tak czyste, iż ma jeszcze ślady po złożeniu, i nie

jest pogniecione.

- Laron uratował mnie przed śmiercią. Pokazał mi, jak przetrwać. Ty ocaliłeś mnie przed życiem półtrupa. Sprawileś, że chce mi się żyć. Znowu. Dziś wieczorem dostaniesz coś specjalnego.

- Coś bardziej specjalnego od tego, co robiliśmy przez cały dzień? Niemożliwe!

- Teraz jestem dziewczyną. Kiedy Miral wzejdzie, będę smokiem. Choć martwa, będę chodziła, mówiła, będę ciepła, a to wszystko dzięki energii eterycznej. Smok będzie miał moją postać. Smok w kształcie Velandera. Albo może smok w kształcie smoka.

- Oj, czy może chcesz mnie zabić? - Andry nie próbował udawać, że się nie boi.

- Smoczy mentor powiedział, że nie. A teraz po prostu idźmy ulicą, trzymajmy się za ręce, wstąpmy do tawerny. Uwielbiam słuchać, jak grasz.

- Mój rebek! Essen powiedział ostatniej nocy, że się nim zaopiekuje, kiedy ja nieco chwiejnie trzymałem się na nogach.

- Zatem znajdziemy Essena. Mamy czas.

Rozdział 10

Smocze narodziny

Pogoda w tropikach nie była zła, tylko niestabilna. Terikel minęła wybrzeże Torei na wysokości sześciu kilometrów, niesiona prądem powietrznym na wschód, z lekkim odchyleniem w kierunku północnym. Pod nią cumulusy zbijały się powoli w grubą warstwę chmur burzowych. Terikel wiedziała, że chmury burzowe mogą podnieść się na wysokość, na której ona nie będzie miała czym oddychać.

Latanie w postaci smoka było jak jazda konna. Człowiek kierował znacznie większą siłą, niż miał w swych mięśniach, a jednak nie było to trudne. Było bardzo podobne do leżenia w łóżku. Terikel pomyślała o czarodziejach, którzy nauczyli ją zaklęć i umiejętności niezbędnych do poruszania się w powietrzu. Wensomer miała problem z tuszą, nie lubiła wstawać przed południem, traktowała kwestie związane z jedzeniem i piciem niezwykle poważnie. W pewnym sensie wydawała się ostatnią osobą, po której można by się spodziewać chodzenia w powietrzu; teraz Terikel zdała sobie sprawę, że to bardzo łatwe i przyjemne. Wręcz usypiało. Niestety nie można było zasnąć, bo wtedy niekontrolowane mentalnie części zaklęcia by się rozwiały w pół godziny. Jeśli czarodziej leciałby bardzo wysoko, miałby jeszcze dość czasu na wygenerowanie nowych skrzydeł, ale i tak wiele by ryzykował.

- Terikel!

Zaklęcie budzik świergotało jej imię co piętnaście minut. Niebo ciemniało, słońce chowało się za horyzont. Chmury pod nią rozświetliły się refleksami czerwieni, pomarańcza, różu i złota, a błyskawice odległej burzy błyskały bielą, fioletem i

czasami zielenią. Przechyliła się leniwie, by spojrzeć na zachód słońca, zatoczyła koło i wróciła na poprzedni kurs.

- Terikel!

Pod nią kolory nieba blakły, ale wciąż rozjarzały je błyski piorunów. Była w strefie tropików, a Wensomer mówiła, że chmury burzowe mogą wznieść się na wysokość... Terikel z trudem przypomniła sobie liczbę. Dwadzieścia kilometrów. To dwukrotnie wyżej niż poziom, na którym mogła oddychać i trzy razy wyżej niż jej obecny pułap. Można było je ominąć, ale nie przelecieć nad nimi.

Na niebie widać było teraz gwiazdy i Lupana. Terikel wzięła na nie zamiary i skorygowała kurs. Przed nią był bezmiar oceanu, zanim osiągnie Dacostię. Ocean Nieskończony był naprawdę ogromny, rozciągał się na połowę średnicy świata. Niewiele tego obszaru było znane i naniesione na mapy, żeglarze się tam nie zapuszczali. Nawet jeszcze przed burzami toreańskimi nie słyszano o nikim, kto by go przepłynął. Lot był łatwy i przyjemny, ale miał trwać długo i tu mogły się czaić różne pułapki.

- Terikel!

Będzie pierwszą istotą ludzką, która przeleci nad środkową częścią Oceanu Nieskończonego. Burze przemieszczały się nad wodą, na której nie było nawet najmniejszej wyspy, ryczały nad Oceanem Okcydańskim i wylądowywały się w przesmyku Dismay. A to były zwykłe burze. W czasie burz toreańskich fale i pogoda w przesmyku przechodziły wszelkie wyobrażenia, nie wspominając już o zwykłych pomiarach.

Terikel znowu zerknęła na gwiazdy, skorygowała kurs lekkim pochyleniem skrzydeł, potem pozwoliła sobie na pierwszą z wielu krótkich drzemek, które musiały jej wystarczyć na następne osiem dni.

- Terikel!

Drgnęła gwałtownie, budząc się. Chyba jej się śniło, że ma skrzydła. Potem znowu zasnęła.



Po pięciu dniach lotu Terikel zauważyła blask Smoczego Muru. Był wczesny wieczór, chmury całkiem zasłaniały ocean. W świetle zachodzącego słońca wyglądały jak wielki las świecących, purpurowych drzew, a Terikel znowu przygotowywała się do serii krótkich drzemek, kiedy zauważyła, że cały horyzont się jarzy.

Przez chwilę była zupełnie zdezorientowana. Czy poleciała na zachód zamiast

na wschód? Przechyliła się gwałtownie i spojrzała na pozycję słońca. Połowa dysku była ukryta za chmurami. Zatoczyła koło. Niebo po przeciwnej stronie wciąż się jarzyło. To był pomarańczowy blask, zafalszowany nieco barwami zachodzącego słońca.

- Terikel! - zapiszczało zakłęcie budzik, ale już go nie potrzebowała.

Zaczęła zataczać dużo większe koło. Może była zdezorientowana i pomyliła wschód z zachodem słońca. Mijały kolejne minuty, w końcu zobaczyła słońce tonące w chmurach na horyzoncie. Wykorzystując gwiazdy, ustaliła swój poprzedni kierunek. Blask na wschodzie się nie zmieniał. To nie był blask zachodzącego słońca. Nie widziała nigdy Smoczego Muru z tak wysoka, a mimo to wciąż wyglądał znajomo - ogromna tęcza wieńcząca kurtynę pomarańczowego światła. Jeśli to faktycznie Smoczy Mur, machina eteryczna... ale to nie miało sensu. Zgodnie z teorią o obwodzie świata powinna być dokładnie po jego przeciwległej stronie, a nie z powrotem nad Acremą. Niebieska linia pełza wolno przez niebo ponad nią, doczepiona do Smoczego Muru.

W Terikel odezwała się metrologańska kapłanka. Kiedy masz wątpliwości, mierz to, co możesz zmierzyć. Wzięła namiary z kilku jaśniejszych gwiazd i dwóch lunaświatów. Wynikało z nich, że jest dwanaście stopni na północ od równika, czyli ponad pustyniami północnej Acremy, nieco na północ od kręgu Wasteland. Rozważała zejście poniżej poziomu chmur, ale wtedy nie miałyby się czym kierować. W zupełnej ciemności pustynia wyglądała tak samo jak ocean: jednolita czerń. Ale pionowa kolumna niebieskiej energii wystrzelała z kręgu Wasteland i przez chmury mogła iść aż do Smoczego Muru. Byłaby więc punktem odniesienia. Terikel mogłaby podążyć wzdłuż Smoczego Muru na południe, wylądować na pustyni w pobliżu kręgu Centras, złożyć skrzydła i dostarczyć prezent od Nauczyciela.

Zatoczyła szerokie, leniwe koło, zawróciła na południe i nieco zniżyła lot. Na tej wysokości wiały niezbyt silne wiatry zachodnie. Była dziesięć stopni od równika i nie widziała kolumny niebieskiej, jarzącej się energii z kręgu Wasteland. To oczywiście nie było możliwe. Kamienne kręgi leżały w odległości równej dziesięciu stopniom szerokości geograficznej od siebie. Ale też ona nigdy nie była w kręgu Wasteland, więc może został założony w złym miejscu i nikt tego nie zauważył.

Mijały godziny, a nie zdrzemnęła się ani razu. O świcie była o pięć stopni na północ od równika. Smoczy Mur wciąż świecił na niebie, zachodni wiatr zniósł ją bliżej niego. Próbowwała lecieć równoległe do maszyny eterycznej. Poniżej

rozpościerała się zwarta warstwa chmur, aż po horyzont, we wszystkich kierunkach. Kiedy niebo się rozjaśniło, pomarańczowa kurtyna Smoczego Muru nieco przybladła na tle błękitu dnia, lecz nawet później, w południe, była widoczna.



Terikel zdecydowała się na zejście poniżej poziomu chmur tylko raz w ciągu dnia. Wydmy piaskowe w dzień wyglądały odmiennie od fal oceanu i poruszały się bez porównania wolniej. W ten czy inny sposób mogła określić swoją pozycję. Wysokość osiągnęła z wysiłkiem i nie było łatwo potem z niej zejść, chociaż teraz czuła się w powietrzu znacznie pewniej, niż kiedy próbowała przekroczyć przesmyk Dismay. Wtedy potrzebowała wiele czasu, aby podjąć jakieś decyzje.

Zejście z wysokości sześciu kilometrów do jednego zajęło jej godzinę, a większość drogi przebijała się przez chmury. Trafiła w deszcz. Dodatkowe obciążenie dla skrzydeł mogło poważnie zaważyć na możliwości ponownego wzniesienia się w górę. Wokół chmury kłębiły się szarym, perłowym mrokiem, nasączone wilgocią podmuchy wiatru uderzały w skrzydła. Jeśli była właśnie nad górami, a ich szczyty tonęły w chmurach... mogłaby nawet nie wiedzieć, w co uderzyła.

Kiedy w końcu przebiła się przez warstwę chmur, była zaledwie sześćdziesiąt metrów nad powierzchnią wody.

Ocean. Na tym obszarze o długości tysiąca kilometrów nie powinno być wody. Przez myśl jej przeleciało, że może to kawał pustyni zalany przez wodę, ale fale wyglądały na oceaniczne, a nie takie, które mogą powstawać na płytkim śródlądowym akwenu. Tyle przynajmniej nauczyła się podczas podróży „Mrocznym Księżycem”, „Megazoidem” i „Ptakiem Burzy”. Zaczęła powoli machać skrzydłami, aby zyskać wysokość. Wymach! Rozległ się syk i trzask energii eterycznej, kiedy dar Nauczyciela ściągał promienie podtrzymujące zakłęcie na jej piersi. Uspokój się! - nakazała sobie. Skrzydła się unosiły, a jej ciało opadało. Wymach! Ciężar smaganych deszczem i ociekających wodą sześćdziesięciometrowych skrzydeł bardzo utrudniał lot. Na szczęście wkrótce trafiła w piękną pogodę. Dopiero późnym popołudniem znowu wleciała w chmury. Kierowała się ku blaskowi na wschodzie. Była nie więcej niż piętnaście kilometrów od Smoczego Muru. Trzysta pięćdziesiąt uderzeń skrzydłami, jak policzyła. Jak wiele energii eterycznej to wymagało? Ile jeszcze zostało z daru Nauczyciela?

Podsumowując sytuację, próbowała doszukać się sensu w niemożliwych faktach. Prawdopodobnie była nad oceanem, w miejscu gdzie nie powinno być

oceanu. Ewentualnie była o pół świata od miejsca, w którym chciała być. Tam gdzie miał znajdować się krąg Wasteland, o dziesięć stopni od równika, nie było kolumny niebieskiego światła. Jedyne możliwe wnioski - Smoczy Mur nie znika na biegunach, ale nieprzerwanie opasuje świat. Jednakże to nie pozwala zgromadzonej w nim energii się rozproszyć. Jeśli na połowie świata nie ma kamiennych kręgów kontrolujących Smoczy Mur, to jest on jak wirujące koło ze szprychami tylko na połowie obwodu. Może szybko wpaść w wibracje i rozlecieć się na kawałki. Choćby jedna szprycha po drugiej stronie znacznie by ustabilizowała całość. Czy pośrodku Oceanu Nieskończonego jest jakaś szprycha? Powinna znajdować się dokładnie na równiku, ponieważ niebieska linia przecinająca niebo właśnie w niego była wycelowana.

I nagle w oddali pojawiła się kolumna niebieskiego światła. Wynurzała się z chmur i rozciągała aż do tęczy obrzeżającej Smoczy Mur. Terikel wiedziała już, że jest blisko równika. Kamiennie kręgi zapewniały równowagę i stabilność - ale stabilność czego? Energia nie mogła być przekazana na ziemię ani skrzydłom wirującym w powietrzu. Dwa równikowe kręgi oznaczały, że wirujący pierścień jest zakotwiczony w dwóch miejscach i obraca się między nimi. A więc mógł gromadzić energię bez wpadania w wibracje, które wywołałaby zbyt duża koncentracja energii. Gdyby energię można było bez ograniczeń akumulować... wtedy prawdopodobnie nie byłoby limitu, który można by zgromadzić w Smoczym Murze. Terikel znowu skryła się w warstwie chmur.

Okazało się, że kamienny krąg Counter leży na wyspie. Po jej wschodniej stronie był płaski teren wielkości małego miasteczka i tam właśnie umieszczono kamienny krąg. W pobliżu wyspy nie zakotwiczono żadnego statku, a na niej nie widać było żadnych innych budowli. Jakiś ruch prawie dokładnie pod Terikel przykuł jej uwagę. Wielkie cielsko przypominające rybę gwałtownie wyskoczyło ponad powierzchnię wody, otworzyło ogromną paszczę, a potem z powrotem zanurkowało. Ptaki morskie z tej wysokości wyglądały jak kropeczki, więc Terikel oceniła, że potwór miał jakieś sześćdziesiąt metrów długości. Żaden statek nie mógł wytrzymać ataku tak wielkiej bestii; jeśli po drugiej stronie Smoczego Muru było ich więcej, żaden statek nie mógł zbliżyć się do wyspy. To oznaczało, że do wyspy mogły dotrzeć tylko szklane smoki i morskie ptaki. Smocze zakłęcie było dobrze widoczne dla tych, którzy stali po stronie mroku, oni wpadali w dziwny trans, opuszczali ciało i doświadczali widzenia eterycznego świata. Wszyscy, którzy byli teraz w kamiennych kręgach, stali po

mrocznej stronie, więc żaden smok nie mógł się zjawić bez uprzedzenia. Przecież smoki były zbudowane z czystej energii eterycznej. W porównaniu z nimi skrzydła Terikel wykorzystywały tylko odrobinę energii, ale czy ci na wyspie mogli go zauważyć?

- Koniec będzie tak szybki, że nawet się nie zorientuję - szepnęła do siebie i skierowała się ku wyspie, ku szerokiej plaży z czarnego piasku u podstawy zachodniej strony stożka wulkanicznego. Szybowała z wiatrem południowym. Zwolniła, opadła, zawisała w powietrzu jak mewa, potem łagodnie wylądowała na piasku.

To było moje piąte lądowanie i najlepsze, pomyślała. Zaczęła zwijać czarodziejskie skrzydła. Mżył niewielki deszczyk, ale ustał, gdy zaczęła wspinać się na szczyt wulkanu. Wyspa była niewielka. Tu i tam rosło parę krzewów, ale żadnych drzew. Smród siarki unosił się w powietrzu, nieprzyjemnie gorącym i wilgotnym.



Ponad godzinę szła po wulkanicznym żużlu, nim zobaczyła krąg. Tworzyły go szklane smoki. Były cztery koncentryczne kręgi, ale zamiast kamieni w odpowiednich miejscach siedziało po szesnaście szklanych smoków. Promienie niebieskiego światła wznosiły się spiralami z ich pleców, z miejsc gdzie zazwyczaj wyrastają skrzydła, splatając się w kształt kolumny. Delikatny blask eterycznej kurtyny - Smoczego Muru - rozciągał się na północ i południe.

Było tu wiele zagadek, ale również wiele odpowiedzi. Lokalizacja kręgów nie jest optymalna, pomyślała Terikel. Czemu są położone tak daleko od miast? Czarodzieje bardzo lubią komfort. Ale tutaj było największe miejsce noclegowe szklanych smoków w Acremie i Torei. Zatem znalazła się odpowiedź na pytanie o lokalizację. Ta wyspa musiała leżeć dokładnie po drugiej stronie globu, ponieważ umieszczono tu krąg kontrolujący.

Energia, która zasila krąg, pochodzi ze smoków, myślała Terikel. Koniec końców miało to sens. Krąg, który leży tak daleko na oceanie, jest jak wielki lewar podłożony pod ogromną, ciężką skałę. Nawet dziecko może ją podnieść. Na szczęście żaden statek czy obcy smok nie może dotrzeć na wyspę, a ci, którzy założyli krąg, nie sądzili, że jest jakiś inny sposób, aby się tu dostać. Jej zakłęcie skrzydeł było zbyt delikatne, by mogło zostać zauważone przez smoki, a z chwilą zdjęcia zakłęcia skrzydeł i zakłęcia ochrony przed zimnem stała się niewidzialna z magicznego punktu widzenia. Było jeszcze zakłęcie, które dostała od Nauczyciela, ale sporą jego część wykorzystwała do machania skrzydłami, reszta była szczelnie zapieczętowana. Teraz

miała wypowiedzieć kilka słów zaklęcia uwalniającego.

Spojrzała na niewielki teren pokryty lawą. Nie było tam żadnej możliwości ukrycia się, ale ktokolwiek obserwował to miejsce, prawdopodobnie nie był w stanie dostrzec człowieka. Wierzę w to czy mam nadzieję? - zastanowiła się. Ruszyła. Nic się nie stało. Dotarła do najbliższej luki między smokami tworzącymi zewnętrzny krąg. Weszła w bladoniebieskie światło, poczuła mrowienie skóry. Szklane smoki były nieco wyższe od niej, wyglądały jak świecące, przezroczyste posągi. Minęła kolejny krąg. Usłyszała syczący chrzęst i poczuła, że zapach ozonu w powietrzu zaczyna przewyżzać smród siarki z wulkanu.

Co się stanie, kiedy uwolnię zaklęcie? - zastanawiała się. Może w zaklęciu Nauczyciela tkwi energia eteryczna gromadzona przez tysiąc lat. Byłoby jednak znakomicie widoczne dla smoków, które opowiedziały się po mrocznej stronie... Wkroczyła do wewnętrznego kręgu szklanych smoków. Ostatni krąg był już niedaleko. Wiedziała, że musi uwolnić zaklęcie; to było nieuniknione. Nauczyciel miał ponad pięć tysięcy lat i jego motywy były nie tylko nieznanne, ale prawdopodobnie również niezrozumiałe. Postanowiła mu zaufać, wierzyć, że cenil jej życie bardziej niż łucznik troszczący się o los strzały.

Stała przed smokiem siedzącym w centrum. Nie miał na sobie eterycznej zbroi, a jego smocze zaklęcie było bardziej przejrzyste niż u pozostałych smoków. Ciemny kształt czarodzieja był łatwo zauważalny. Czy on mnie widzi? - zastanawiała się Terikel. Cóż, jeśli nie, to wkrótce zobaczy.

Wymówiła mniejsze zaklęcie, przyłożyła dłonie do piersi. Pojawiła się w nich świetlista kula. Terikel wzięła głęboki wdech, przygotowała się na wszystko, co mogło ją spotkać na tamtym świecie, i wypowiedziała zaklęcie uwalniające. Powierzchnia kuli zajarzyła się wszystkimi kolorami tęczy, a potem stała się idealnie biała.

- Wciśnij mnie w szklanego smoka w centrum, a potem uciekaj - rozległ się głos Nauczyciela.

Kula przeszła przez szklistą skórę jak galaretka przeciskana przez sito. Terikel cofnęła się, zaskoczona, że nic jej się nie stało. Smok siedzący w centrum poczerwieniał na całym ciele, zaczął drżeć.

Terikel uciekała na nogach zeszywniałych i nękanych skurczami po dniach bezruchu. Mijała kolejne pierścienie siedzących szklanych smoków, a za nią rozlewał się coraz większy czerwony blask. Światło migotało. Migoczące zaklęcie oznacza niestabilne zaklęcie. A było to najpotężniejsze zaklęcie, jakie kiedykolwiek stworzyli

czarodzieje - i smoki. Co będzie, jeśli się złamie? Zdała sobie sprawę, że jest bezbronna wobec czegoś, co może zaatakować z nieba i stopić skałę. Ale wciąż nic się nie działo.

Z wysiłkiem brnęła przez żwir u stóp wulkanu. W pobliżu leżał głaz wielkości dużego domu. Podjęła kolejną ryzykowną decyzję, widząc narastające, pulsujące czerwone światło od strony kręgu. Zakłęcie skrzydeł było bardzo słabe w porównaniu z polem eterycznym szklanych smoków, ale jeśli smoki z kręgu szukały śladów słabych zaklęć, na pewno ją zauważą. Mogła albo obejść wulkan - i mieć nadzieję, że runięcie Smoczego Muru nie zniszczy całej góry - albo spróbować wzbić się w powietrze. Zerknęła na krąg. Szklane smoki zniknęły, a w miejscu, gdzie siedziały, był teraz cylinder półprzeźrystego, pulsującego czerwonego blasku, który sięgał chmur. To jej pomogło natychmiast podjąć decyzję.

Wspiąwszy się na głaz, wymówiła zakłęcie skrzydeł. Starając się nie myśleć o tym, co dzieje się z kręgiem Counter, trzymała nerwy na wodzy przez minuty, w czasie których kolec rósł, aż był bliski trzydziestu metrów, długości optymalnej. Gdy zaczął się rozkładać, wypowiedziała zakłęcie tworzące dodatkowe kości, jakie umożliwiają latanie ptakom. Grunt pod jej stopami drżał. Nie miała już zaklęcia Nauczyciela, które dostarczałoby jej energii do machania skrzydłami, ale miała nieco własnej energii. Brakło czasu na zakłęcie chroniące przed zimnem, a nawet na głęboki oddech przed skokiem.

Była na wysokości jedynie pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza, gdy skoczyła. Połączyła promienie idące ze skrzydeł ze swoją siłą życiową. Poczowała ból, jakby ktoś wrzucił ją do beczki pełnej igieł. Każdy mięsień jej ciała pracował na granicy wytrzymałości. Ale musiała nabrać wysokości, bo za chwilę mogła uderzyć w wodę. Znowu machnęła skrzydłami...

Wzniosła się nieco, lecz na kolejny wymach nie miała siły. Przeleciała jakieś dwa kilometry. Szybowała, z wolna tracąc wysokość, od czasu do czasu unoszona porywami wiatru.

Nie widziała zniszczenia wyspy kręgu Counter, bo została oślepią odbiciem światła wybuchu od wody i chmur. Nie było dźwięku, pomyślała, zaczynając liczyć. Dźwięk na pewno się pojawi, sześć, siedem, osiem. Jest dzień, a mimo to po wybuchu mam ciemno przed oczami, jak w nocy, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście. Czy może to był tylko wybuch światła, bez dźwięku? Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści.

Potężny grzmot odczuła całym ciałem. Koziołkowała w powietrzu, mokra od rozpylonej słonej wody. Drugi wybuch rozległ się za jej plecami, zasysając ją nieco w górę w wirze turbulencji i słonej mgiełki, jak odwrócony sztorm. Mogła określić położenie wyspy po promieniującej fali gorąca, jaka dotarła do niej z mroku. Gorąco, pomyślała. Wznoszące się powietrze, zjawisko termiczne. Nie musiała włożyć wiele wysiłku w zawrócenie nad wyspę, po prostu zaczęła okrążać ogromną kolumnę pary bijącą w niebo. Wzniosła się gwałtownie. Była tak bardzo skoncentrowana na utrzymywaniu się w obrębie ciepłego prądu, że ledwie zauważyła, iż jest już powyżej warstwy chmur. Słońce chyliło się ku zachodowi. Przypomniała sobie, że nie ma zaklęcia chroniącego przed zimnem, a na tej wysokości panowały niskie temperatury. Odleciała nieco od słupa gorącego powietrza, uwolniła ramiona i zaczęła wypowiadać formułę zaklęcia ochrony cieplnej.

Smoczy Mur zniknął. Chmura wciąż się powiększała. Terikel spojrzała na pozycje słońca i dwóch lunaświatów, ustaliła swój kurs na wschód, z odchyleniem dziesięć stopni na południe, razem z prądem strumieniowym.

Nie mogła wiedzieć, że eksplozja, która unicestwiła Smoczy Mur, spowodowała pęknięcia w wulkanie, którymi dostała się woda i napotkała rozpaloną magmę. Trwało to całe tygodnie, ale w końcu wywołało drugą, o wiele potężniejszą eksplozję, tym razem napędzaną siłą pary, a nie energii eterycznej. Kiedy pył, dym i para opadły, po wyspie nie było nawet śladu.



Wallas wpadł do Latarnika i podbiegł do Andry'ego. Między kucharzem a strażnikiem nastąpiła krótka, acz intensywna wymiana szeptów i gestów. Potem Andry odwrócił się do Essena.

- Popilnuj mi chwilę rebeku, chłopie. Jest robota.
- Jakiś tyłek do skopania? - zapytał Essen.
- Jakies drzwi do otworzenia. Vel, zostaniesz tutaj?
- Wyrwałam się śmierci, wróciłam, aby posiedzieć w tym miejscu. Więc będę siedziała. Pod opieką Essena.

Po kilku minutach od wyjścia Andry'ego weszła Riellen, usłyszała Essena grającego „Ognistego młodego sierżanta” i podbiegła do niego.

- Essen, panie, muszę szybko znaleźć Velandera! - krzyknęła, przekrzykując muzykę.

Essen, nie przestając grać, wskazał jej miejsce, gdzie siedziała Velandera. Po

chwili Riellen i Velandar były już na zewnątrz.

- Wilbar tu jest! - krzyknęła studentka, wymachując rękami w niezwykłym jak na nią wzburzeniu.

- Wilbar, twój młody przyjaciel z Clovesser? - zapytała Velandar, głęboko poruszona nowiną. - Przybył razem z wami na „Mrocznym Księżycu”?

- Nie rozumiesz. Jego nie było na statku! Właśnie się pojawił, widziałam go na terenach należących do pałacu, niedaleko gospody. Kiedy go zawołałam, uciekł.

- Jak on przebył przesmyk?

- Jak ty przebyłaś przesmyk?

- W specjalny sposób. Wilbar nie byłby w stanie z niego skorzystać.

- „Mroczny Księżyc” był jedynym statkiem w Logiar zdolnym do morskiej żeglugi. Jak Wilbar się stamtąd wydostał, skoro nie było go na pokładzie szkunera? Musiał to zrobić w taki sam sposób jak ty.

- Powiedziałaś ci, że z tego specjalnego sposobu... - zaczęła Velandar. Potem zamilkła. Według Terikel Wilbar nauczył dziesiątki Alpennieńczyków, jak rzucać zaklęcie wwiercające przy użyciu przenośnego kręgu, zamykając ich w czarodziejskim bezruchu, ale za to czyniąc nieśmiertelnymi. Tajemniczy ludzie zwołali konferencję, gromadząc wszystkich czarodziejów przeciwnych Smoczemu Murowi w jednym miejscu. Teraz ci wszyscy czarodzieje zostali aresztowani i zgromadzeni w pałacu - a Wilbar węszył w pobliżu.

- Długo znasz Wilbara? - zapytała Velandar.

- Zaledwie kilka miesięcy - odparła Riellen. - Pojawił się w Clovesserskiej akademii w tym roku.

- Nieznana przeszłość, być może potrafi latać, szuka czarodziejów po ich przeniesieniu... Czy znasz wyrażenie „druga linia obrony”?

- Tak, i... och, nie! - krzyknęła Riellen, przyciskając dłonie do policzków.

- Nagle wszystko stało się jasne.



Uwolnienie Wensomer nie sprawiło Andry'emu i Wallasowi trudności. Jednakże pomoc jej w ucieczce była zupełnie inną kwestią. Od czasu do czasu Selford kazał ją, wciąż przywiązaną do krzesła, wynosić z pokoju, aby zrobić miejsce na popisy tancerzy. Właśnie została przeniesiona do pokoju na parterze wieży cytadeli, który miał okratowane okna i tylko jedno wejście. Ciąg schodów prowadził do ciężkich, okutych żelaznymi sztabami drzwi, zamkniętych na klucz i kłódkę. Jedynym źródłem

światła była samotna latarnia zawieszona na wbitym w ścianę haku. Strażnicy, którzy przynieśli Wensomer, kolejno sprawdzali okna, upewniając się, czy kraty dobrze trzymają, potem jeden z nich wszedł na schody i szarpał kłódkę. Zadowoleni, że pokój jest całkowicie bezpieczny, poszli popatrzeć na tańce, zamknąwszy uprzednio drzwi na zamek i kłódkę.

Chwilę po ich wyjściu Wensomer usłyszała hałas dobiegający z góry. Odwróciła głowę tak daleko, jak tylko mogła. Wysoki, przystojny mężczyzna schodził ze schodów, niosąc kosz piknikowy.

- Co masz w koszu? - zapytała niewyraźnie przez ciasny druciany kaganiec.

Nieznajomy przystąpił do rozwiązywania krępujących ją sznurów.

- Jestem Wallas, pani, nowy kucharz pałacowy - wyjaśnił drżącym głosem. - Nie mogłem patrzeć na to, jak panią torturują moimi najlepszymi sargolskimi daniami.

- Jak się tu dostałeś?

- Wszedłem kwadrans temu. Mam przyjaciela, który jest strażnikiem.

- Wallasie, czy możesz się pospieszyć? - odezwał się Andry z góry.

- To właśnie ten przyjaciel. Strażnicy sprawdzili zamek w tych drzwiach, ale nie sprawdzili zawiasów. Znam drogę ucieczki. Mam przy sobie obcęgi, przetną drut, który krępuje pani szczęki.

Kiedy Wensomer była uwolniona od więzów i kagańca, ruszyli schodami w górę. Andry zatrzęsął drzwi za nimi.

- Co jest w koszyku? - wysapała Wensomer, kiedy dotarli do trzeciego biegu schodów. - Sznur?

- Nie, wybór moich najlepszych ciastek i makaroników, plaster ciepłej pieczeni wieprzowej, dzban chłodnego wina miodowego i...

- Dawaj to tutaj!

Zaczęła od plastra wieprzowiny, a do czasu gdy dotarli do drzwi opatrzonych plakietką z napisem PAŁACOWA KOMISJA ds. DOSTAW I INFRASTRUKTURY, zdążyła zjeść pięć makaroników i trzy ciastka z kremem. Kontynuowali wspinaczkę ostatnim ciągiem schodów, wyszli przez właz na szczyt wieży. Tu przystanęli, by złapać oddech. Andry zablokował właz od zewnątrz, a Wallas i Wensomer wspólnie osuszyli butelkę miodowego wina.

- Miałem nadzieję, że pani zna i potrafi rzucać zakłęcie chodzenia w powietrzu - wydyszał Wallas, ostrożnie lawirując między blankami.

- Och, znam i potrafię, ale was dwóch to zbyt duży ciężar do uniesienia. Możesz

pojechać na moich plecach, Wallasie, lecz co zrobimy z twoim przyjacielem strażnikiem?

Andry wyciągnął długi sznur spod płaszcza.

- Zostawcie mnie tutaj związanego i zakneblowanego - rzekł. - Powiem, że Wallas zmusił mnie, bym ci pomógł, a potem mnie tu zostawił.

- To brzmi mało prawdopodobnie - powiedziała Wensomer.

- Nie aż tak nieprawdopodobnie jak niektóre fakty na temat Wallasa.

- Kiedy wylądujemy na dachu mojej willi, zablokuję to miejsce zaklęciami, nawet armia się nie przedostanie. - Wensomer spojrzała w dół, by sprawdzić, czy nie kręcą się tam łucznicy. - Teraz, Wallasie, przekonasz się, co znaczy moja wdzięczność...

- Wszystko w swoim czasie, moja pani - powiedział jakiś głos z cienia.

Niska, starsza kobieta z miłym uśmiechem wstała i otrzepała spódnicę.

- Pani? - zdziwił się Andry.

- Nie sądzę, żebyśmy się wcześniej spotkały - powiedziała ostrożnie Wensomer.

- Ale my się spotkaliśmy. - Wallas wyglądał jednocześnie na przestraszonego i wściekłego. - Pani Wensomer, przedstawiam pani Egzaminatorkę.

- Egzaminatorkę z czego? - odparła Wensomer. - Nie, czekaj, znam to imię...

- Po prostu Egzaminatorka - rzekł Wallas. - Ta dama jest szklanym smokiem.

- Nie wierzę!

- Wolalabym nie robić żadnych sztuczek, muszę dbać o swój publiczny wizerunek - powiedziała przepaszając Egzaminatorka.

- Ja pokażę dowód. - Wallas podniósł tunikę i pociągnął za troczki spodni. Opadły na kamienną podłogę. Pod nimi był ochraniacz. Wallas pociągnął za kolejną tasiemkę.

- Nie zechciałbyś poczekać, aż dotrzemy do mojej willi? - zapytała Wensomer, spoglądając nerwowo na Andry'ego i Egzaminatorkę.

Ochraniacz spadł na ziemię. Willy wyprostował się, zauważył Wensomer, syknął, odsłaniając kły i wydmuchnął strumień iskier. Wensomer kwiknęła i odskoczyła.

- To moje dzieło - powiedziała Egzaminatorka z dumą. - Możesz już schować Willy'ego, Wallasie.

Wensomer zrobiła krok naprzód i pochyliła się.

- Czy on gryzie?

- Obawiam się, że tak - odpowiedziała Egzaminatorka.

Wensomer wyjęła makaronik z koszyka i rzuciła Wallasowi w krocze. Smoczek wyskoczył spod tuniki, złapał ciastko jednym kłapięciem, a potem odrzucił je na blanki wieży. Wensomer pochyliła się jeszcze raz, opierając dłonie na kolanach, przyglądając się Willy'emu z bezpiecznej odległości.

- Niezwykle piękny kształt - oznajmiła. - Oceniam bez emocji, z punktu widzenia eksperta, rzecz jasna.

- Rzecz jasna - zgodził się Wallas.

- Dziękuję. - Egzaminatorka wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. - Ciało Wallasa dostarcza Willy'emu energii eterycznej. Willy jest inteligentny mniej więcej jak pies, jak również podobnie lojalny.

- I bardzo zazdrosny - dodał Wallas.

- Łuski o różnych rozmiarach, cienkie kły, sprawne oczy, ruchliwość i nawet... och, spójrzcie, on jest nieśmiały. Zawstydzają cię komplementy, Willy?

- On nie lubi kobiet - rzekł Wallas. - Właściwie nie lubi nikogo poza mną.

- Cóż, schowaj go z powrotem do ochraniacza - westchnęła Wensomer. - Egzaminatorko, czy jest coś, co mogłoby panią przekonać do zdjęcia tej klątwy?

- To nie jest klątwa - powiedziała Egzaminatorka. - Willy daje Wallasowi bardziej... harmonijny pogląd na życie. Czyni go lepszym człowiekiem.

Wensomer potrząsnęła jej dłonią.

- To nie dowodzi, że jesteś szklanym smokiem, ale jestem pod ogromnym wrażeniem jakości twoich zaklęć. Powiedz, dlaczego powrót do mojej willi nie jest bezpieczny?

- Ponieważ są rachunki do wyrównania. Ma pani wielu wrogów, a większość z nich właśnie sobie uświadomiła, że może skorzystać ze Smoczego Muru, Ognistego Wiatru i całej ich połączonej energii.

- Egzaminatorko, pani nie zna moich wrogów. - Wensomer próbowała się rozeznąć, czy ta kobieta jest potężną boginią, czy jest po prostu dobrze poinformowana, choć szalona. - Są bardziej zainteresowani pozabijaniem się nawzajem niż zabiciem mnie. Nigdy nie współpracują.

- Pani nie rozumie, Wensomer. Oni kontrolują Smoczy Mur. Prawie pięć tysięcy ludzi i smoków jest teraz uwięzionych w Smoczym Murze, mają dostęp do zmagazynowanej w nim energii. Cztery tysiące dziewięciuset czterech bogów, każdy ma plany do zrealizowania i rachunki do wyrównania. Dlatego ataki i zniszczenie nie

układają się w żaden wzorzec. Oni dowiadują się powoli, jaką mocą dysponują i eksperymentują z losowo wybranymi celami. Każde większe miasto może wkrótce zostać zniszczone, tak samo jak każdy zamek, forteca, armia i flota. Czarodzieje Lemtasu i Acremy zaczęli palić sobie nawzajem mistrzów, patronów, akademie i miasta.

- Jak Alpenfast? - zapytał Wallas.

- Alpenfast został zaatakowany trzy dni temu, ale zaciekle się bronił. Dzielnice Palionu, Diomedu, Glasbury, Logiar i Gladenfalle stoją w ogniu, a armia alpennieńska została zamieniona w stertę spalonego mięsa i stopionego metalu.

- Moja matka! - krzyknęła Wensomer. - Wykładała na akademii w Diomedzie.

- Kompleks budynków akademii został zrównany z ziemią. Przykro mi.

Wensomer usiadła ciężko. Nie płakała, ale umilkła i zamknęła się w sobie. U podnóża wieży zaczął bić dzwon. Po chwili ktoś zaczął dobijać się do wjazdu na dach.

Egzaminatorka wskazała niebieską linię Ognistego Wiatru na niebie, która była prawie dokładnie nad ich głowami.

- To jest broń. Czerpie energię ze Smoczego Muru przez krąg Centras i kręgi na krańcach świata. Czy ktoś z kontrolujących go zauważył, że przechodzi nad Alberinem? Aby zniszczyć wszystko co magiczne w Lemtasie, potrzeba było tylko dwóch przejść, a przecież to największy kontynent na świecie.

- Nie to, żebyśmy z matką byli w dobrych stosunkach - mówiła Wensomer, nie zwracając się do nikogo.

- Widzieliśmy ruiny Szkoły Królewskich Sił Specjalnych - powiedział Wallas.

- Wszyscy członkowie KSS zebrali się tam, aby dyskutować o Smoczym Murze. Pragnienie zniszczenia całych KSS za jednym zamachem musiało być zbyt silne dla jakiegokolwiek zemsty grupy. Wiele czasu zajęło nam ustalenie, kto tak naprawdę jest odpowiedzialny za to wszystko. Mała, radykalna frakcja szklanych smoków sądzi, że śmiertelnicy stali się zbyt potężni. Smoki chcą zostać reproduktorami i płodzić nowe smoki. A jaki jest lepszy sposób na zniszczenie waszej cywilizacji, niż dać ludziom nieograniczony dostęp do broni masowej zagłady? Najważniejszą sprawą stało się zniszczenie ksiązek, nauczycieli, uczelni i czarodziejów dysydentów. Wensomer jest skrajną przeciwniczką smoków, więc znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Matka nie żyje - zawodziła Wensomer. - Nienawidziłam jej. Nienawidziłam też mojej siostry, ale ona na to bardziej zasłużyła.

- Wszyscy czarodzieje z opozycji są teraz w Alberinie, także na konferencji. Nie

muszę chyba sugerować, z czyjej inicjatywy ją zwołano...

Oślepiająca błyskawica zajaśniała nad miastem, biegnąc prawie pionową linią z nieba. Najbliższe sąsiedztwo posiadłości Wensomer zmieniło się w rosnącą kulę ognia, wylatujące z niej kawałki gruzu zasypały okolicę. Chwilę potem do wieży dobiegła fala dźwiękowa. Wensomer przeniosła wzrok z chmury pyłu w kształcie grzyba na Wallasa.

- Gdybym cię posłuchała, byłabym tam teraz! - krzyknęła.

- Ja też! - odciął się Wallas.

Kolejny błysk i eksplozja, tym razem w rejonie Nabrzeża. Fragmenty świątyni metrologanek spadły deszczem na pałac, a obserwujący to z wieży cytadeli skulili się, osłaniając rękami głowy. Andry zauważył, że strażnicy na dole przestali się dobijać do drzwi. Zapewne uciekli. Kolejny błysk i jeszcze jedna eksplozja...

- To była akademia - powiedziała Egzaminatorka. - Już po bibliotece.

- Dlaczego? - zapytała Wensomer. - W bibliotece akademii nie było nic specjalnego, nawet ja miałam lepszą.

- To była prawdopodobnie ostatnia duża biblioteka, która przetrwała w Scalticarze, jeśli nie na świecie. Nie zostawili nam niczego. Biblioteki, świątynie, akademie, armie, zamki, porty, stocznie, mosty i nawet rezydencje najważniejszych czarodziejów zostały puszczone z dymem...

Egzaminatorce przerwała czwarta eksplozja. Rozległa się bezpośrednio nad wieżą i była tak jasna, że wszyscy zakryli oczy dłońmi. Umarłam, pomyślała Wensomer, ale potem z wolna stało się dla niej jasne, że wciąż żyje, a pałac nie poniósł żadnego uszczerbku. Egzaminatorka patrzyła w górę. Wprawdzie dym z pierwszych trzech eksplozji zasnuwał niebo, ale dało się dostrzec, że niebieska linia Ognistego Wiatru zniknęła.

- Czy właśnie wydarzyło się coś naprawdę ważnego? - zapytała Wensomer, podnosząc się chwiejnie.

- Ognisty Wiatr był częścią Smoczego Muru - powiedziała Egzaminatorka wciąż wpatrzona w niebo. - Jeśli on zniknął, zniknął także Smoczy Mur. Miał parę słabych punktów, ale polityczni idealisci się nimi nie interesowali. Przedsięwzięliśmy kilka ataków na Smoczy Mur. Najwyraźniej któryś się powiódł.

Na dachach miasta widać było sporo pożarów. Powstały w efekcie opadającego rozżarzonego gruzu. Zaczęły bić dzwony na alarm, ludzie krzyczeli.

- Pani, czy to jest najwyższa wieża na terenie pałacu? - zapytał Andry, który

patrzył w przeciwnym kierunku niż pozostali.

- To ogólnie znany fakt - odparła Wensomer.

- Więc dlaczego tamta jest teraz wyższa?

Wszyscy się odwrócili. Spiczasty dach północno-wschodniej wieży był znacznie wyżej niż szczyt wieży cytadeli.

- Tamta wieża jest identyczna z tą - powiedział Andry. - Nie powinna mieć spiczastego dachu.

- Mimo to ma! - stwierdził Wallas.

Wtedy ten „dach” zaczął się podnosić.

- Padnij! - rozkazała Egzaminatorka, gdy szklany smok rozwinął skrzydła.

Wensomer się spodziewała, że smok wzbije się w powietrze, ale on wydmuchnął strumień płomieni w kierunku dziedzińca. Spłonęło dwunastu strażników i wszystko, co się tam znajdowało. Smok sfrunął lekko na dziedziniec i pochylił łeb.

- Zagłąda do pokoju w podstawie wieży - powiedział Andry.

Strumień płomieni przepalił drzwi w podstawie wieży, a potem zamienił pokój, w którym wcześniej więziono Wensomer, w piekarnik, gdzie panowała temperatura rozżarzonej do białości stali.

- To było przeznaczone dla ciebie - powiedziała Egzaminatorka do Wensomer.

- Jesteś szklanym smokiem, zrób coś! - wrzasnęła Wensomer.

- Mogłabym go zabić, ale to zniszczyłoby całe miasto.

- Co masz na myśli?

- Ten szklany smok jest jeszcze młody, niemniej jednak gromadził energię eteryczną od stuleci. Zabijając go, uwolniłabym ją gwałtownie, a to byłby niezwykle głupi pomysł.

- Kieruje się do skrzydła gościnnego - relacjonował Andry. - Tam zakwaterowano większość aresztowanych studentów magii.

Posuwając się zygżakiem, smok pluł w stronę budynku strumieniami rozżarzonej do białości plazmy, w jednej chwili zamieniając go w piekło. Wensomer wydawało się, że coś jest nie tak, a smok najwidoczniej podzielał jej opinię. Nie słychać było krzyków agonii ani rozpacz; w płomieniach stał pusty budynek. Smok przyjrzał się uważniej. W tym momencie od strony Nabrzeża nadleciał wielki cień obramowany delikatną fioletową poświatą i zaatakował.

Oba szklane smoki ważyły tyle co ciała ludzi, którzy się w nie zmienili, ale oba

dysponowały olbrzymimi ilościami energii, a ich ciała eteryczne były bardzo silne. Niebieski i fioletowy strumień zakipiały wokół wieży, uniosły się w wirze kawałki kamieni, gipsowy pył i ułamki dachówek. Wensomer spojrzała w dół na płataninę jarzących się skrzydeł, nóg, ogonów i głów kotłujących się na dziedzińcu.

- Czy ten drugi smok jest po naszej stronie? - zapytał Andry.

- Ta istota na dole nie jest tak naprawdę smokiem, chociaż ma jego kształt - powiedziała Egzaminatorka. - Nic nie może stanąć jej na drodze.

- Ten drugi smok odwała kawał dobrej roboty - zauważył Wallas.

- Spójrz jeszcze raz - powiedział Andry.

Fioletowy smok siedział okrakiem na tym drugim, w szczękach trzymał jego szyję, tuż poniżej głowy. To, co Wallas wziął za walkę, było jedynie bezsilnym miotaniem się umierającego niebieskiego szklanego smoka. Po jakichś trzech minutach niebieski zaczął zwiotczeć i wyraźnie opadł z sił. Było po walce.

- Fioletowy smok jest wampirem - powiedziała Egzaminatorka. - Powoli wysał siłę życiową z tego, który próbował zabić Wensomer i studentów magii.

- I mnie - dodał Wallas.

- Wysał siłę życiową - wyszeptał Andry.

Egzaminatorka położyła mu rękę na ramieniu.

- Mój drogi, nic lepszego nie mogliśmy zrobić dla Velander. Kiedy Miral zachodzi, ona jest normalną, wspaniałą dziewczyną. Może wypić z tobą kielich wina w Latarniku, zjeść mielonego kotleta na kolację i leżeć w twoich ramionach, z bijącym sercem i ciepłym ciałem, gdy się kochacie. Jednakże kiedy Miral wszędzie...

- To jest Velander?! - krzyknął zaskoczony Wallas.

- Tylko przez następne dziesięć godzin - odparła z oburzeniem Egzaminatorka.

- Potem przekonfiguruje swoją eteryczną postać w Velander. To wszystko, co mogłam zrobić. Musisz przyznać, że lepiej być szklanym smokiem niż trupem. Ona czerpie energię z innego smoka, zabijając go powoli aby uniknąć eksplozji. Miasto jest bezpieczne i my także.

Nagle zapadła cisza. Na dziedzińcu nie było już widać niebieskiego blasku. Fioletowe obramienie bardzo dużej głowy zaczęło wznosić się z wirującego dymu i ciemności. Smok osiągnął poziom krenelażu, potem dwoje niebiesko-fioletowych oczu opuściło się na wysokość ludzi stojących na szczycie wieży cytadeli. Głowa była wielkości „Mrocznego Księżyca”. Andry podszedł, oparł ręce o blanki i westchnął.

- Och, Velander, dziewczyno, co z nami będzie?

Szklany smok otworzył paszczę i wydobył się z niej grzmiący głos.

- Egzaminatorco, zabierz stąd Wallasa, proszę. Chcę zamienić słówko na osobności z Wensomer. I bardzo osobiste słówko z Andrym.

Egzaminatorca i Wallas pospieszyli do wjazdu i zeszli w ciemność, która po ataku na więzienie Wensomer tchnęła gorącem. Na szczęście schody były kamienne i chociaż rozgrzały się jak kamienie paleniska, jednak nie spłonęły. Egzaminatorca zatrzymała się przy drzwiach opatrzonej tabliczką PAŁACOWY KOMITET ds. DOSTAW I INFRASTRUKTURY, chuchnęła na nie, a potem przestąpiła dymiące, zwęglone resztki. Wróciła, niosąc duży, ale lekki tobołek.

- Nie chciałabym, aby przegapił własne wesele - wyjaśniła zakłopotanemu Wallasowi.

Kiedy wyszli na zewnętrzny dziedziniec, Wallas zobaczył, że Velander przytrzymuje się kamieni wieży pazurami łap i skrzydeł. Andry wpatrywał się w jej oczy, chociaż akurat rozmawiała z Wensomer.

- Wyjdź za księcia, zostaniesz księżną - przekonywała.

- Mam poślubić tego nędznego drania?! - krzyknęła oburzona Wensomer. - Po tym, co mi zrobił?

- Justiva ci wyjaśni. Władza potrzebuje kogoś takiego jak ty.

- Ale ja gardzę władcami.

- To, co kochasz, potrzebuje twojej ochrony.

- Nigdy nie będę dzieliła z nim łoża!

- Zgadzam się, nigdy. Ale poślub księcia.

Kiedy Wensomer odeszła, Andry miał Velander tylko dla siebie. Nie mógł przyzwyczać się do tego, że ona ma czterdzieści pięć metrów wzrostu i jest zdolna zrównać z ziemią całe miasto, jeśli ma kiepski nastrój.

- To koniec, Andry - zagrzmiała smutnie. - Nie mogę zostać z tobą. Miral wschodzi, jestem taka jak teraz. Miral zachodzi, jestem normalną dziewczyną. Bardzo niedługo, kiedy Miral wzejdzie, będzie ci trudno ze mną wytrzymać.

- Znajdziemy ci jakąś wieżę, w której będziesz mogła się schronić. Jest jedna, zrujnowana, na szczycie pagórka, na północ od Alberinu.

- Andry, tak się nie da. Za dużo mocy jest we mnie. Muszę zamieszkać z Nauczycielem, Egzaminatorką i Sędzią, uczyć się, zdobywać wiedzę. Smoczy Mur był lekcją, co może się stać, gdy głupcy zdobędą zbyt wiele władzy. Ja mam zbyt wiele mocy, więc... muszę się wiele nauczyć. Stanie się smokiem zajmuje czarodziejom całe

wieki. Aby stać się smokiem, wampir musi po prostu zabić smoka, wypić jego energię. Ja to zrobiłam. Teraz muszę się uczyć. To potrwa wieki.

- Czy nie moglibyśmy chociaż odwiedzać się nawzajem?

- Dlatego tu jestem. Odwiedzam. Zobaczyłam się z tobą, spacerowaliśmy, trzymaliśmy się za ręce. Całowałam cię, spałam z tobą, słuchałam muzyki, jaką grałeś w Latarniku, leżałam ciepła w twoich ramionach. Teraz koniec tej wizyty.

- Może ja mógłbym cię odwiedzać?

- Chciałbyś? Nie będę mogła się doczekać, już nie mogę.

- Gdzie będziesz mieszkała?

- Głęboko w górach Ridgeback mam nowy dom. Poczekaj rok. Potem przyjedź.

- Czy nie mogłabyś zostać tutaj, aż znowu zamienisz się w dziewczynę? Wiesz, może spędzilibyśmy razem jeszcze jeden dzień?

- Lepiej nie. Teraz odlatujemy. To długa podróż dla śmiertelnika. Jeśli nie będziesz chciał jej się podjąć, zrozumieć.

- Dotarłem na krawędź życia i śmierci, dziewczyno i prosiłem samą przewoźniczkę, aby cię oszczędziła. Czym jest przy tym spacer przez góry?

Andry wyciągnął rękę ponad blankami i dotknął ust smoka. Fioletowe płomyki zatańczyły na jego skórze.

- Niech ci się dobrze żyje, moja hrabino i moja ukochana.

- Niech ci się dobrze żyje, mój dzielny i wytworny rycerzu - zadudniło z gardła smoka.



Tam, gdzie zginął nikczemny smok, leżało ciało Wilbara.

- Miał na imię Strażnik, Talberan i Wilbar. Wiedzieliśmy o nim od dłuższego czasu - powiedziała Egzaminatorka. - Jego frakcja zgromadziła wszystkich scalticarskich czarodziejów w Alberinie, aby ich zgładzić, tak jak zgładzono członków KSS. Kiedy się zorientował, że budynki, w których mieli kwaterować, są puste, zdecydował się osobiście tym zająć.

Gdy przechodzili, Wallas kopnął martwego czarodzieja.

- Pani Egzaminatorko, a co ze mną? - zapytał.

- Jak to co z tobą?

- Chciałbym znów być kompletny i normalny. Rozumie pani, chcę pozbyć się Willy'ego.

- Nie lubisz go?

- Nie! Cokolwiek złego uczyniłem, zostałem Willym wystarczająco ukarany.

- To nie była kara, Wallasie, chodziło o ciebie. W ciągu tysiącleci spotkałam wielu ludzi o wielkich talentach, niektórzy byli tacy jak ty. Masz ogromny potencjał, ale kierują tobą najniższe popędy. Musisz się od nich uwolnić, abyś mógł wykorzystać swój potencjał.

- Zostałem zmieniony w magicznego eunucha, a to nie jest wyzwolenie! - warknął Wallas.

- Nie byłeś miłym człowiekiem, byłeś jak zwierzę.

- Lubiałem być zwierzakiem. Chcę znowu mieć wszystko na swoim miejscu. Pamiętaj, że gdyby nie ja, Wensomer już by nie żyła. Jesteś mi za to coś winna.

Egzaminatorka westchnęła, podniosła dłoń do gardła i złożyła ją w pięść. Kiedy rozprostowała palce, trzymała w nich niewielką kulkę ciemności. Podała mu ją.

- Wensomer ci powie, co masz z tym zrobić. Ja oczywiście mogę sama przywrócić ci dawną postać, jeśli oboje tego pragniecie. Jednakże pamiętaj, że Wensomer lubię, a ciebie nie. Nie pozwolę ci jej skrzywdzić, a jeśli masz być jej małżonkiem, wolałabym wiedzieć, czy twoja dusza zmieniła się na lepsze. Tylko ona może zdecydować, czy wykorzystać to zaklęcie, ale tylko ty możesz je sobie zaaplikować.

- To mi wystarczy - oznajmił Wallas. - Co powinniśmy zrobić?

- Musisz przycisnąć kulę do piersi, kiedy uznasz, że chcesz się zmienić. Wensomer musi wtedy odczytać ostrzeżenia i instrukcje, które włączyłam do zaklęcia. A teraz zostawię cię, Wallasie i przybiorę postać smoka. Muszę polecieć z Velandar, jak tylko skończy żegnać się z Andrym.



Egzaminatorka zniknęła już, gdy Wensomer wynurzyła się z wieży, a za nią spieszył Wallas z ciemną kulką w dłoni.

- Co o tym myślisz? - zapytał, wyciągając do niej rękę.

- Zaklęcie pokrywające. Ja też potrafię je rzucać, ale potrzebowałbyś lupy, żeby zobaczyć któreś z nich.

- Czy jest bezpieczne?

- Można tak powiedzieć. - Wymówiła małe zaklęcie, które pomknęło po ciemnej powierzchni kuli. - Co zmieni Wallasa, czego chce Wensomer, co odmieni Wallasa. Tak, to zaklęcie spełni swoje zadanie, nie zawiera pułapek, musisz po prostu wymówić właściwe słowa i przycisnąć kulę do piersi. Sprawdzę jeszcze tylko ostrzeżenia... O

bogini! Wścibska stara nietoperzyca, ale ma poczucie humoru. - Nagle Wensomer spojrzała w górę, słysząc kroki. - Ach, Justiva! Myślałam, że zostałam aresztowana.

Podeszli do nich Justiva, Selford, Parchen i panna Flez, która trzymała latarnię. Selford i Parchen nieśli między sobą dużą torbę.

- Właśnie widziałem starszą damę zmieniającą się w smoka większego niż tamten - powiedział Parchen, wskazując Velander, która wciąż była owinięta wokół wieży. - Zanim zmieniła postać, dała nam ten pakunek.

Gdy to mówił, Velander powoli wzbiła się w powietrze. Ruch skrzydeł spowodował kurzawę popiołu oraz zdmuchnął pełgające jeszcze tu i ówdzie płomyki. Chwilę później z ruin zburzonych zabudowań dla gości poderwała się w niebo Egzaminatorka. Obie zniknęły z pola widzenia na kilka chwil, potem pojawiły się ponownie jako jasno obrzeżone punkty zmierzające na zachód.

- Przez jedną okropną chwilę sądziłam, że zamierzają się starać o pozwolenie na pracę i zostać tutaj - powiedziała Wensomer, patrząc na Andry'ego, który machał ręką ze szczytu wieży.

- Czy mogę porozmawiać z panią na osobności? - zapytał Selford, spoglądając nerwowo na Wallasa. - Pilna kwestia.

- Chodźmy do sali tronowej, możemy rozmawiać, gdy będę się przygotowywała do uroczystości - oznajmiła Wensomer. - Wallasie, poczekaj tutaj. Kiedy Andry zejdzie, przyślij go do mnie.

- Andry'ego?! - krzyknął Wallas. - Dlaczego on?

- Cóż, sądzę, że będzie potrzebował nieco pocieszenia dziś wieczorem, zwłaszcza teraz, gdy nie ma Velander. Co powiesz na małą ucztę w sali tronowej, kiedy skończy się ta szopka? Praktycznie rzecz biorąc, będę księżną, a Andry może zagrać księcia. To powinno podnieść go na duchu.

- A co ze mną? - upierał się oburzony Wallas. - Mam być głównym eunuchem?

- Tylko jeśli masz kwalifikacje. - Wensomer uśmiechnęła się złośliwie. - Panie, panowie, czy nie powinniśmy udać się do sali tronowej?

Zostawiony samemu sobie Wallas rzucił piorunujące spojrzenie czarnej kulce, która spoczywała w jego dłoni, potem spojrzał na szczyt wieży, skąd Andry ciągle wpatrywał się w niebo, gdzie zniknęła Velander.

- Więc ty jesteś tym, co zmieni Wallasa, czego pragnie Wensomer i co odmieni Wallasa - rzekł, trzymając kulkę na poziomie oczu. - Dlaczego ona nie chciała mi tego zaaplikować tak po prostu?

Obejrzał się na Andry'ego.

- Ona pragnie pofiglować z naszym czystym i eleganckim młodym szlachcicem, który stoi tam na górze, zanim odda się czystemu pożądaniu ze mną - stwierdził. - Cóż, nie spędzę już żadnej nocy w towarzystwie Willy'ego, skoro mogę temu zaradzić. Zakłęcie, wykonaj moje instrukcje! Pragnę tego, co zmieni Wallasa, czego pragnie Wensomer, co odmieni Wallasa.

Na jego słowa zakłęcie rozjarzyło się jasnoniebieskim światłem i zaczęło delikatnie świecić.

- Tak! - krzyknął Wallas. Rozejrzał się po spalonym dziedzińcu.

Były tam kamienne ławki, na których siadywali strażnicy, czekając, aż stajenni przyprowadzą im konie. Podszedł do jednej z nich. - Nie zrobię tego na stojąco, bo mogę zemdlec w czasie przemiany, rozbić sobie nos i nie będę mógł konkurować z młodym, czystym i przystojnym Andrym o wdzięki Wensomer - powiedział do zakłęcia, siadając na ławce i podnosząc tunikę. Już w milczeniu przycisnął zakłęcie do piersi.



Wensomer i jej towarzysze weszli do zupełnie pustej sali tronowej. Lamy paliły się jasnym płomieniem, a na stołach wciąż leżały resztki z ostatniej uczty. Wybrawszy sobie kielich wina i udko kurczęcia, Wensomer podeszła do tronu, usiadła na nim i przewiesiła nogę przez podłokietnik. Wypiła duszkiem wino, potem wykwintnie ugryzła kęs kurczęcia.

- Przysięgam, to Igonnier wymyślił tę torturę ze świnia... - zaczął Selford, ale Wensomer go uciszyła, rzucając pucharem. Wzięła zbyt szeroki zamach i kielich trafił Parchena w czubek głowy.

- Musimy porozmawiać - powiedziała Justiva.

- Selfordzie, chcę dostać kolejny puchar wina i talerz z kotletami w orzeszkach piniowych i ziołach - rozkazała Wensomer. Selford usłuchał pospiesznie.

- Musimy omówić sprawy państwowe - ostrzegła Justiva.

- Zamierzam zmienić pewną świnie w kiełbasę - oznajmiła Wensomer. - Potem wydam ucztę, na której podana zostanie tylko i wyłącznie wieprzowina. Jeśli następca tronu się na to nie zgodzi, będę bardzo zła.

- Z tym nie powinno być problemu - rzekł Selford. - Jestem pewien, że następca tronu będzie zachwycony, mogąc zgadzać się na wszystko, czego pani sobie zażyczy.

- Poznaj następcę tronu. - Justiva wskazała Selforda, Parchena i pannę Flez.

Wensomer zamrugnęła z niedowierzaniem.

- Poznałam następcę tronu pięć lat temu. A to jest królewski minstrel, królewski księgowy i królewska herbaciarka.

- Następcę tronu zadławił się truskawką w czekoladzie. Takie truskawki przyrządzała panna Flez, a żonglował nimi Selford w czasie pewnego nudnego spotkania finansowego z Parchenem - powiedziała Justiva. - Księżę nie żyje od pięciu lat. W tej torbie jest jego zabalsamowane i zmumifikowane ciało.

Wensomer wstała powoli, zeszła ze schodów podwyższenia tronowego, wzięła dzban wina ze stołu i wróciła na tron. Znowu przerzuciła nogę przez podłokietnik, podniosła dzban do ust. Po długiej chwili go opuściła.

- Teraz mogę słuchać. Mów dalej.

- To już wszystko - stwierdziła Justiva.

- Ale księżę był znanym rozpustnikiem - zauważyła Wensomer. Selford się skulił.

- Był mistrzem kamuflażu i szpiegowania. Wydawało się, że wszędzie ma uszy.

- Byłaby pani zdziwiona, gdyby wiedziała, o ilu sekretach ludzie dyskutują przy herbacie - odezwała się panna Flez.

- Przypuszczam, że zagadka, jak człowiek roztrzepany mógł tak wspaniale prowadzić finanse Alberinu, ma oczywiste rozwiązanie.

- Wensomer odwróciła się do Parchena.

- Cóż, tak, ale wypijam małą szklaneczkę sherry przed udaniem się na spoczynek - nadmienił Parchen.

Wensomer wskazała toból palcem.

- Więc mam poślubić to? - zapytała. - Noc poślubna zapowiada się upajająco.

- O nie, pani go teraz poślubi, a potem my zabierzemy go na wieżę i spalimy. Ogłosimy, że zginął, broniąc pani przed smokiem Wilbarem.

- Będzie dobrze się palić - zapewniła panna Flez.

- Ja mogę udzielić wam ślubu - powiedziała Justiva.

- Ale po co? - spytała Wensomer.

- Okazuje się, że fasadę trudno utrzymać - rzekł Selford. - Ludzie gadają, że księżę jest pod zbyt dużym wpływem swojego minstrela, księgowego i herbaciarki. Inni też chcą uzyskać dostęp do jego, że tak powiem, osoby.

- Możemy ogłosić, że karmienie świni przysmakami było rodzajem przedślubnej psoty, coś jak wieczór kawalerski - dodał Parchen. - Pani zastąpi księcia

na tronie i problemy nas wszystkich w ten sposób się rozwiążą.

- Przypomnijcie mi, żebym unikała truskawek w czekoladzie - podsumowała Wensomer. - Dobrze więc, ale załatwmy to szybko.

Parchen wyciągnął na wierzch tobołu rękę księcia i nad tronem podał ją Wensomer. Justiva odchrząknęła.

- Wensomer Callientor, czy zgadzasz się poślubić księcia Alberinu? - zapytała.

- Tak - odparła Wensomer, kładąc palec na zmumifikowanej dłoni.

- Księżę Dalzori, czy zgadzasz się poślubić Wensomer?

- Tak - odpowiedzieli chórem Selford, Parchen i panna Flez.

- Niniejszym więc ogłaszam was mężem i żoną.

Parchen i Selford wynieśli toból z sali tronowej, a za nimi pospieszyła panna Flez z dzbankiem oliwy do lamp.

- Jeśli zobaczycie tam gdzieś gwardzistę Tennonera, powiedzcie mu, żeby tu przyszedł! - krzyknęła za nimi Wensomer, zanim pociągnęła ostatni łyk wina z terakotowego kielicha. - Księżna Wensomer - wymamrotała. - Kojarzy się z chudą, suchotniczą dziewczyną, która nie może wypić słabej herbaty, nie mdlejąc przy tym. Czy wiesz, jak bardzo pogardzam władzą królewską, stanowiskami i wszystkimi tym śmieciami, na które idą nasze podatki? Czy nie jest to zbyt absurdalne?

- Nie bardziej absurdalne niż była dziwka, która została najważniejszą z ocalałych metrologanek w Scalticarze - powiedziała Justiva pochylona nad biesiadnym stołem, gdzie wypisywała świadectwa ślubu.

Przez podwójne drzwi do sali tronowej wszedł duży czarny kot i ruszył w długą drogę do tronu po bogato zdobionym dywanie. To od razu zwróciło uwagę Wensomer, ponieważ koty rzadko chodzą po linii prostej. Kocur zatrzymał się na najniższym stopniu podwyższenia i usiadł, cały czas wpatrując się w Wensomer.

- Myślałem, że ustaliłaś, że zakłęcie Egzaminatorki nie zawiera żadnych pułapek - odezwał się głosem Wallasa.

Pusty kielich wyleciał Wensomer z ręki i rozbił się u stóp tronu.

- Powiedzcie mi, że to nie jest Wallas - wyjąkała Justiva.

Wensomer wstała, podeszła do najbliższego stołu biesiadnego, wzięła następny puchar wina i spodeczek, potem wróciła do podestu i usiadła obok kota. Nalała nieco wina na talerzyk, a sama wypila resztę.

- Jakoś sobie trzeba z tym poradzić. - Westchnęła. - Wallasie, powtórz. Co zrobiłeś?

- Ja tylko wyrecytowałem instrukcje, dokładnie tak jak mi kazałaś.

- Jak dokładnie?

- Powiedziałem: Chcę tego, co zmieni Wallasa, czego chce Wensomer, co odmieni Wallasa.

Wensomer odstawiła puchar.

- To były trzy opcje, ty błaznie, a nie jedna wskazówka. Pierwsza zostawiłaby ci Willy'ego. Druga dodałaby funkcjonalny organ rozrywkowy do twojego obecnego... poprzedniego szczupłego i muskularnego ciała. Trzecia zamieniłaby cię w Wallasa, takiego, jaki byłeś w chwili, gdy pojawił się Willy. Według dokumentacji: grubszy, nogi w pęcherzach, poparzone palce... nie pamiętam reszty. Wszystkie trzy razem... zmieniły cię, przywróciły, dały mi... to, czego chciałam.

- Chciałaś kota?!! - wrzasnął Wallas.

- Mój ukochany kot umarł... kilka miesięcy temu. - Chlipnęła. - Mruczuś... Och, Mruczusiu, jak mi ciebie brakuje!

- Umarł na marskość wątroby - powiedziała Justiva, zaglądając w papiery. - Na stypę zaproszono pięćset osób. Każdy był ubrany w bieliznę z czarnego futerka i musiał przyprowadzić ze sobą kota.

Wensomer rozszlochała się głośno. Wallas zaczął chleptać wino z talerzyka.



Kiedy Andry schodził po jeszcze ciepłych kamiennych schodach, poczuł swąd palonej skóry i tkanin. Na parterze, w izbie, która była więzieniem Wensomer, zastał Selforda, Parchena i pannę Flez siedzących wokół sterty płonących śmieci.

- Piękna noc na coś takiego - mruknął zakłopotany Selford.

- Przypomina mi się czas, który spędziłem na obozach dla Młodych Wojowników - rzekł Parchen.

- Potrzebują cię w sali tronowej - powiedziała panna Flez.

Andry na dziedzińcu ominął ciało Wilbara i wszedł do sali tronowej. Tutaj Justiva pakowała do torby jakieś papiery i zwoje, Wensomer spała na schodach podestu, a duży czarny kocur bekał nad pustym talerzykiem.

- Bądź tak uprzejmy, weź na ręce księżną Wensomer i zanieś ją do królewskiej sypialni - poleciła Justiva.

- Księżną Wensomer?! - krzyknął Andry. - Już?!

- Księżę poślubił Wensomer, a potem smok zabił księcia.

- Księżę nie żyje?

- Tak. Niech żyje księżna.



Madame Yvendel stała na nabrzeżu obok swojego statku, patrząc na Lavenci. Zanim coś powiedziała, pochyliła się i powąchała oddech uczonej, ale nie wyczuła alkoholu.

- Dobrze rozumiem? Posiadłość Wensomer została zniszczona, ale Wensomer jest teraz księżną, władczynią miasta? - zapytała z niedowierzaniem.

- To wszystko wydarzyło się ostatniej nocy, kiedy my byliśmy jeszcze na morzu - wyjaśniła białowłosa uczona.

- Więc przybycie do Alberinu okazało się niemal taką samą katastrofą, jaką byłoby pozostanie w Diomedzie.

- Ale ona jest twoją córką, nie skrzywdzi nas.

- Może i nie, lecz jest zdolna wprowadzić do planu zajęć w mojej szkole obowiązkowe zajęcia z tańca brzucha, a także pobłażanie sobie dla zaawansowanych, podstawy nieróbstwa, pożądanie jako zajęcia dodatkowe i wykłady z leczenia kaca. Lavenci, Akademia Madame Yvendel staje się właśnie Tajną Akademią Madame Yvendel.



Madame Jilli trzymała tyczkę w jednej ręce, a drugą rozdzielała przerażone duchy.

- Chodź do łodzi, Wilbarze, Talberanie, Strażniku, czy jak tam chcesz, żeby cię nazywać.

- Nie ma mowy, inni powiedzieli mi już, do czego jesteś zdolna.

- Po tym, co próbowałeś zrobić moim przyjaciółom? Zamierzam zrobić ci coś o wiele gorszego, niż oni dotychczas mogli zobaczyć. Chodź tutaj, nie możesz zostać na brzegu rzeki przez całą wieczność.

- Mogę spróbować. Twoja umowa nie jest podpisana na zawsze.

- Nie? Ten miły bóg, Zmiana, jest bardzo zadowolony, z mojej pracy, ale rób, jak uważasz. Jest tylko jeden sposób, aby przedostać się przez rzekę, a ja jestem jedyną przewoźniczką. Kto następny?



Przez kilka tygodni obywatele i władcy czynili ogromne wysiłki, aby przywrócić w Alberinie coś na kształt normalności. Zaczęły napływać raporty o spalonych miastach oraz o kraterach, szerokich na kilometr, które powstały w miejscach, gdzie

stały kamienne kręgi. Położenie Smoczego Muru znaczył rów szeroki na trzydzieści metrów i głęboki na dziewięć, który ciągnął się na linii północ-południe przez Scalticar, Alberin i Lemtas.

Cesarstwo Scalticaru Północnego przestało istnieć. Stolica została zniszczona, tak samo jak armia i większość najważniejszych twierdz. Wensomer była zaskoczona, kiedy zdała sobie sprawę, że Alberin i jego ziemie ucierpiały tylko od trzech niewielkich uderzeń Smoczego Muru i w porównaniu z innymi królestwami jest niemal nietknięty. Była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy nowo koronowani lub ocalali władcy większej części Scalticaru zaczęli przybywać do Alberinu. Odkryła, iż gości Zgromadzenie Władców Scalticaru dzięki temu, że wciąż miała pałac, w którym mogła odbyć się konferencja.

Najważniejszym punktem programu był Traktat o Eliminacji Magii dla Dobra Publicznego. Czarodziejów obwiniano, oczywiście, o całe zło Smoczego Muru i wielu ludzi miało do nich pretensje. Ustanowiono Inkwizycję dla Czarodziejów, a Wensomer została głównym inkwizytorem. Ludzie, którym udowodniono zajmowanie się czarami, zgodnie z prawami królestwa byli aresztowani, a kary wahały się od spalenia na stosie po zamknięcie w lochach. Powstał jednakże mały problem: większość królów miała za sobą wtajemniczenie ósmego lub dziewiątego stopnia, a Wensomer - dwunasty stopień wtajemniczenia i kwalifikacje do trzynastego. Zdecydowano więc, że wszyscy starsi stopniem inkwizytorzy muszą mieć studia dla czarodziejów za sobą, aby mogli rozpoznawać innych czarodziejów.

Następnie ustanowiono Wspólnotę Cesarstwa Scalticaru, dzieląc te tereny Scalticaru, których nie pokrywał lód grubszy niż pół kilometra. Wensomer odkryła, że właśnie została cesarzową nowego imperium. Jakoś otrząsnęła się z szoku i wydała pamiętną ucztę dla nowych władców podległych jej krajów. Oczywiście ucztę organizowali Seford, Parchen i panna Flez.



Andry drżał z lęku, gdy dwaj strażnicy doprowadzili go do prywatnej komnaty nowej cesarzowej. Wensomer leżała na poduszce rozmiarów dużego łóżka, jadła miód wprost z plastra i popijała jakieś drogie wino wprost z butelki, przeglądając stertę papierów. Popatrzyła na Andry'ego stojącego sztywno na baczność i patrzącego wprost przed siebie.

- Przestań, Andry, to tylko ja. Przecież kiedyś zawlokłeś mnie do łóżka.
- Wasza wysokość, przysięgam na mój honor, że nie pozwoliłem sobie na żadną

bezczelność względem twojej osoby - wybełkotał Andry.

- Obawiałam się, że to powiesz. Gwardzisto Tennonner, to był najgorszy dzień mojego życia.

- Tak jest, wasza wysokość - odparł Andry, starając się nadać swemu głosowi służbowy ton.

- Z ewentualnym wyjątkiem dnia, kiedy zniszczyłam Srebrzyśmierć - ciągnęła Wensomer - ale to było w nocy, więc się nie liczy. Jestem najpotężniejszą ocalałą czarodziejką na świecie i zostałam mianowana szefem Inkwizycji dla Czarodziejów.

- Smutny konflikt interesów, wasza wysokość.

- I jestem cesarzową. A pragnęłam tylko spokoju, bym mogła czytać magiczne teksty, doskonalić rzucanie zaklęć, jeść i pić w sposób, do którego jestem przyzwyczajona, mieć przypadkowe romanse, gdy najdzie mnie ochota i wydawać od czasu do czasu przyjęcia, na których strój to jedna z opcji. Ach, to mi przypomina... - Ze sterty poduszek podniosła dużego tłustego kota. - Do kuchni, leniuchu! Dopilnuj, żeby kucharz przygotował obfitą kolację dla jednej osoby.

Kocur podreptał w stronę drzwi.

- Andry, otwórz mi - poprosił znajomym głosem z sargolskim akcentem. - Ona nie zgodziła się zainstalować kocich drzwiczek.

- Powiedz mi, że nie jesteś Wallasem - szepnął Andry, którego aż zatkało.

- Mama mnie nauczyła, żeby nie kłamać panom w mundurach - odparł kot. - Co z drzwiami?

Andry nacisnął klamkę.

- Ale, ale... jak...?

- Zejdź na dół do kuchni, kiedy będziesz po służbie. Pogadamy o starych czasach nad spodeczkiem piwa.

Andry zamknął drzwi za kotem. Wensomer znowu podniosła wzrok nad papierów.

- Całe życie gardziłam ludźmi u władzy - mruknęła - więc co Przeznaczenie ze mną zrobiło? Jestem cesarzową pięćdziesięciu milionów ludzi i całego kontynentu. Jednakże dosyć o moich problemach. Formuję elitarny tajny oddział konstabli, którym sama będę dowodzić jako główny inkwizytor. Egzaminatorka zasugerowała, abys został jego członkiem.

- Naprawdę... wasza wysokość?

- Tak. Twoim zadaniem będzie ratowanie czarodziejów przed

funkcjonariuszami Inkwizycji dla Czarodziejów.

- Formuje pani oddział konstabli, którzy mają udaremnić pracę pani konstabli? - zapytał Andry, drapiąc się w głowę.

- Mądry z ciebie chłopiec. Czarodzieje są niezbędni, ale muszą czuć się winni i podenerwowani z powodu, że są czarownikami lub gdy wpadną na pomysł wyniesienia się stąd. Nie lubię czarodziejów, którzy mają własne pomysły... Będziesz musiał przejść trening dla żołnierzy Królewskich Sił Specjalnych, a tak się składa, że jedyny ocalały instruktor KSS na świecie jest tu, w Alberinie. Ma na imię Roval, spał akurat pod stołem w Latarniku, gdy nastąpił atak na twierdzę KSS.

- Roval, ten Roval pani Terikel? - zapytał Andry, czując nagły skurcz żołądka.

- Znacie się?

- Tak, tak. On jeszcze pije w Latarniku. Jednak znam go niezbyt dobrze.

- Nie jestem zaskoczona. Wallas opowiedział mi o tobie i Terikel... Nie martw się, twój sekret jest bezpieczny. Założyłam mu na jądra zaciskający się pierścień, reagujący na konkretny sygnał. Jeśli Wallas kiedykolwiek wspomni coś na ten temat, pierścień skurczy się do rozmiarów łebka od szpilki, co będzie miało daleko idące, nieprzyjemne konsekwencje.

- Dziękuję.

- Wróćmy do Rovala. Ten człowiek jest mi bardzo drogi. Był kiedyś członkiem mojej eskorty, nawet moim kochankiem przez jedną noc, chociaż to spowodowało większy bałagan niż przyjęcie w bieliźnie na dachu w noc przesilenia letniego. Roval jest załamany, od kiedy Terikel go rzuciła, musi odzyskać poczucie sensu życia. Gdy wytrzeźwieje, zapytaj, czy chciałby dołączyć do oddziału Tajnych Konstabli.

- Oczywiście, wasza wysokość. Czy jeszcze ktoś?

- Ta dziewczyna, którą uratowałeś w Clovesser, Riellen.

- Ale ona akurat siedzi w areszcie z zarzutem zdrady, wasza wysokość.

- „Areszt” to takie mocne słowo. Jest gościem, powiedziałabym, przecież to bohaterka narodowa. Wdarła się do skrzydła gościnnego, wykrzykując rewolucyjne slogany i poprowadziła wszystkich studentów magii do lochów, aby uwolnić czarodziejów dysydentów dosłownie na minutę przed tym, jak szklany smok podpalił tę część pałacu. Oczywiście strażnicy lochów aresztowali wszystkich, ale dzięki niej studenci przeżyli, a tylko to się liczy. Zorganizuj jej ucieczkę. Daj łapówkę sierżantowi dowodzącemu strażą lochów, a jeśli będziesz musiał zapłacić mu więcej, wyślij Parchenowi fakturę.

- Ilu ludzi liczy oddział Tajnych Konstabli, wasza wysokość?

- Jak dotąd trzech... ale przypuszczam, że trzeba co najmniej podwoić tę liczbę. Jakież sugestie?

- Muszę się zastanowić.

- Wspaniale. Od tej pory będziemy się kontaktowali przez Wallasa.

- Ależ jestem gwardzistą Straży Pałacowej. Z pewnością łatwiej będzie nam się spotykać twarzą w twarz.

- Nie, od tej pory musisz trzymać się z dala ode mnie. Za chwilę upijesz się na służbie i zostaniesz usunięty ze Straży Pałacowej. - Wensomer wręczyła mu butelkę wina. - Chętnie dodałabym do tego niedozwolone spoufalenie się z cesarzową, ale podejrzewam, że wyznajesz głupie przesady na temat dochowania wierności Velandera czy Terikela, czy kogokolwiek tam kochasz. Kiedy okryty hańbą zostaniesz usunięty z pałacu, pójdziesz do Konstabli Podróżnych, mają rozkaz cię przyjąć. Teraz dokończ tę butelkę, wyjdź stąd, uwolnij Riellen, a potem spraw, aby zauważono, że jesteś pijany.

Kiedy Andry wyszedł, do komnaty wszedł Laron.

- To był dobry plan, Laronie, dziękuję ci - powiedziała Wensomer, nie podnosząc wzroku. - Lubię podtrzymywać zainteresowanie konkurencji konkurencją, zwłaszcza gdy chodzi o władców i czarodziejów. To bardzo ich osłabia. Tworzymy zgrany zespół. Jesteś pewien, że nie chcesz być moim małżonkiem oraz doradcą?

- Myślę, że nasze stosunki powinny zostać na szczeblu służbowym, wasza wysokość.

- Znowu mnie lekceważysz. Wydajesz się weselszy niż ostatnio. Czyżbyś poznał jakąś dziewczynę?

- Niezupełnie, wasza wysokość.

- A więc o co chodzi?

- Ja... mam siedemset lat, ale wyglądam na piętnastolatka. Mogę ci doradzać jak mądry stary człowiek, wręcz mogę być starym człowiekiem, który ukrywa się w cieniu, pomagając władać tak wielkim imperium. W końcu pozwolono mi żyć, jakbym był stary i mądry. Być młodym i mądrym wcale nie jest zabawnie.

- Andry jest młody i mądry.

- Nie, on jest młody i wciąż się uczy. Jest zupełnie wyjątkowy. Kto inny zdobyłby się na wyprawę do zaświatów i koncertowanie dla przewoźniczki tylko po to, by dać swojej ukochanej szansę na powrót do życia? A w sekrecie kochał kogoś innego. Uratował Velandera, bo to było słuszne, a nie dlatego że nie mógł bez niej żyć.

Andry widzi kolory, nie tylko czerń i biel i jest tolerancyjny dla innych. To jego siła. W jakiś sposób jest bardzo podobny do ciebie.

- Doprawdy? Powinnam go więc wciągnąć na moją listę gości?

- Nie, mówię tylko, że jest dobrym materiałem na władcę, tak jak ty jesteś dobrą cesarzową.



Następnej nocy zwiadowcy spotkali się z Andrym w Latarniku, aby wyrazić współczucie z powodu wyrzucenia go z pałacu. Była tam także Riellen przebrana za chłopaka. Andry i Riellen wzięli Essena na bok, do stolika w kącie i podczas gdy pozostali zwiadowcy zaczęli śpiewać coś chórem, oni nakreślili plany dla Tajnych Konstabli Inkwizycji.

- Czyli inkwizycja będzie nam płaciła za ratowanie czarodziejów z jej własnych rąk? - zapytał Essen, ściskając głowę dłońmi.

- Tak - odparł Andry.

- I czarodziejek - dodała Riellen.

- Ale będziemy służyli w oddziale Konstabli Podróżnych?

- Właśnie.

- A naszym kontaktem z inkwizycją będzie kot, który kiedyś był Wallasem?

- Wciąż jestem Wallasem - powiedział głos spod stołu. - Czy mógłbym dostać kolejny spodeczek wina? Chardonelle rocznik 3138 z Waterglen.

- Cóż, to może być niezły pomysł, chłopcze - powiedział Essen. - Kto będzie dowodził?

- Pan - stwierdził Andry.

- Powinniśmy głosować - zauważyła Riellen.

- Wszyscy są za tym, żeby Essen został dowódcą? - zapytał Andry, podnosząc rękę. Riellen zamarła, potem także uniosła ramię. Spod stołu dobiegło aprobujące „miau”. - Kto jest przeciw? Essen, zostałeś wybrany na sierżanta oddziału Tajnych Konstabli Inkwizycji dwoma głosami i jednym miau „za”. Jedna osoba nieobecna nie głosowała. Gratuluję.

- A co z pozostałymi zwiadowcami? - zapytała Riellen.

- Och, o niczym im nie wspominałem - rzekł Essen.

- Nie rozumiecie. Chcę zwerbować także ich wszystkich - wyjaśnił Andry.

W pół godziny szeregi Tajnych Konstabli Inkwizycji rozrosły się do sześciu ludzi i jednego kota. Na pierwszym oficjalnym spotkaniu postanowili, że Danol będzie

mentorem Riellen i że Roval nie jest jeszcze na tyle zaufanym człowiekiem, by zostać członkiem oddziału, ale go zatrudnią, niech uczy ich umiejętności, jakie mają wojownicy KSS, podczas gdy stopniowo będzie wychodził z alkoholizmu. Zaprosili go więc do stolika, postawili duży kufel piwa i przedstawili coś, co brzmiało jak niewinna propozycja.

- Jeśli nauczysz nas metod stosowanych przez KSS, w pewien sposób ta formacja będzie ciągle żywa - podsumował Essen.

- Wszyscy jesteśmy żołnierzami - dodał Andry, kopiąc Riellen pod stołem, zanim zdążyła otworzyć usta. - Tylko doszlifuj umiejętności, które już posiadamy.

- Musicie... pracować dla złych ludzi - powiedział Roval stanowczo.

- Naszym tajnym sponsorem jest nowa cesarzowa - wyjaśnił Andry.

- Wensy? Kochana dziewczyna, ale gryzie trochę za mocno.

Roval położył sobie dłoń na ramieniu. Andry zakrył ręką oczy, zwiadowcy wyglądali na zaskoczonych, a Riellen na zakłopotaną.

- Jaka jest twoja decyzja? - zapytał Essen pośpiesznie.

- Moglibyście użyć srebra - wymamrotał Roval. - Okoliczności... nic nie mam.

- Rozumiemy - rzekł Essen.

- Złamała mnie kobieta.

- Zdarza się i najlepszemu - odparł Andry, zapobiegawczo kopiąc Riellen w kostkę.

- Zdradziła mnie, zostawiła - ciągnął Roval.

- Napij się jeszcze - odparł Costiger.

- Zrobiła ze mnie pośmiewisko.

- Lepiej pośmiewisko niż kota - odezwał się głos spod stołu.



Metrologanki oraz sceptycy teraz byli wysoce cenionymi nauczycielami w szkołach nowego świata, świata po Smoczym Murze. Chociaż ofiarowano im nowe tereny na akademię, Justiva wystosowała petycję do Wensomer o odbudowanie świątyni metrologanek, jako symbolu odrodzenia się oświaty w cesarstwie. W ciągu czterech miesięcy plac oczyszczono, wykopano fundamenty i postawiono kolumny podpierające dach. Justiva często spędzała noce na budowie, medytując.

Mały smok przyleciał niedługo przed północą, opuścił się cicho z czystego, ciemnego nieba i wylądował na krawędzi dachu świątyni. Justiva obserwowała, jak ogląda teren budowy. Było oczywiste, że przybył tu w poszukiwaniu metrologanek, a

ona była metrologanką. Odchrząknęła.

- W czym mogę pomóc? Jestem prezbiterką metrologanek.

Smok popatrzył w dół ostrożnie, potem zwinął skrzydła. Wciąż siedział na wysokości jakichś trzydziestu metrów, ale był zaskakująco mały. Jak człowiek.

- Czy mogłabyś się wspiąć na rusztowania? - zapytał stłumionym głosem. - Jestem zbyt ciężka, aby zejść.

Justiva wspięła się po drabinie na kamienną belkę wieńczącą kolumny i usiadła przed smokiem. Teraz mogła dostrzec, że jest to czarodziej używający bardzo zaawansowanego zaklęcia umożliwiającego poruszanie się w powietrzu. Miał mostek jak ptak, co ułatwiało mu machanie skrzydłami. Coś, co wyglądało jak dziób, było maską poprawiającą opływowość oraz grzebieniem umożliwiającym sterowanie.

- Więc metrologanki przetrwały Smoczy Mur?

- Tak. Świątynia została zaatakowana, ale nie straciłyśmy ani jednego człowieka i ani jednej książki. Teraz odbudowujemy świątynię. Czy masz do nas jakąś sprawę?

- W pewnym sensie. Byłam kiedyś kapłanką. Przybyłam, aby zrzec się ślubów.

- Terikel? - domyśliła się Justiva.

- Teraz noszę inne imię. Zbyt długo miałam skrzydła i już nie mogę się ich pozbyć.

- To znaczy, że nie masz wyboru?

- Niezupełnie. Odkryłam, że lubię szybować pięć kilometrów nad ziemią. Jestem szczęśliwa, mogąc tak żyć, kontemplując wzory, w jakie układają się gwiazdy i fakturę łądu pod sobą. Nauczyciele nazwali mnie Pierzastoskrzydła, a ja dałam moim skrzydłom końce z piór i ząbkowane krawędzie. Wiem, że to próżność, ale my, smoki, jesteśmy bardzo próżne. Może przyjdzie taki czas, że nigdy nie będę musiała zlatywać na ziemię.

- Terikel, jeśli chodzi o Rovala...

- Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłam. Dowiedziałam się, że nigdy nie będę dobrym człowiekiem, więc rezygnuję z człowieczeństwa.

- Proszę cię o przebaczenie, Terikel. Zdradziłam cię. Byłam zniesmaczona tym, co uczyniłaś, ale nie miałam prawa cię osądzać. Ja... powiedziałam Rovalowi, co robiłaś ostatniej nocy w Alberinie.

Złamałam mu serce, sprawiłam, że inne metrologanki cię znienawidziły, a nic nie zyskałam. Jestem potworem.

- Ja tu jestem jedynym potworem, Justivo. Czy przyjmiesz moją rezygnację ze

ślubów?

- Tak. Do dziś wszyscy uważali, że nie żyjesz. Andry i Wallas powiedzieli, że spadłaś w przepaść.

- Niech dalej tak myślą. Nie byłam miła, zrobię najlepiej, jeśli będę trzymała się z dala od tych, których mogłabym zranić.

- Ale czy nie będzie ci nic brakowało? Czy wytrzymasz bez smaku wina i dobrego jedzenia, bez pieśczoły kochanka?

- A kiedy ty ostatnio doświadczyłaś smaku wina, dobrego jedzenia i pieśczoły kochanka?

To pytanie Justiwę zaskoczyło. Nie wiedziała, co przyjaciółce odpowiedzieć.

- Mój mentor będzie niespokojny - odezwała się Terikel. - Czas ruszać.

- Poczekaj, proszę! - krzyknęła Justiva. - Czy mi wybaczysz?

- Moje przebaczenie masz, ale bardziej potrzebujesz przebaczyć sama sobie. Ja nigdy sobie nie wybaczyłam, więc teraz uciekam sama przed sobą. Pewnego dnia może będziesz musiała zrobić to samo. Żegnaj!

Terikel skoczyła i szybko zniknęła Justivie z oczu. Rozległ się cichy trzask gdzieś na dole. Ktoś wspinał się na rusztowanie. Lavenci podeszła do Justivy.

- Rozmawiałaś ze szklanym smokiem - powiedziała niespokojnie.

- To tylko pewien duch chciał się pożegnać - odparła prezbiterka.

Epilog

Salon Ekskluzywnych i Intymnych Usług Madame Karracel stanowił dobrą przykrywkę dla Tajnej Akademii Stosowanych Sztuk Magicznych Madame Yvendel. Widywano młodych mężczyzn i kobiety o wyglądzie spiskowców, wchodzących tam i wychodzących o najdziwniejszych godzinach, a wielu chętnych klientów poszukujących ekskluzywnych i intymnych usług odprawiono z kwitkiem od drzwi, wyjaśniając, że wstęp jest tylko za zaproszeniami.

Lavenci wyróżniała się z grona członków tajnej organizacji. Była wysoką, kościstą albinoską o długich włosach, szerokie usta z uporem malowała jasnoszkarłatną szminką. Będąc wybitnym naukowcem, była także ważnym członkiem wybranego komitetu w akademii madame Yvendel, a to wymagało od niej wielu wyjazdów i sekretnych spotkań w domach rozsianych po całej Acremie. Szacowała zdolności potencjalnych studentów sztuk czarodziejskich, zanim rozpoczęto długi proces sprawdzania ich przed przyjęciem do szkoły. Była to niebezpieczna, niepewna praca, ponieważ Konstabile Inkwizycji ścigali w Acremie nie tylko czarodziejów, którzy się ukrywali, ale także tych, którzy nauczali magii.

Ta noc nie była dla niej pomyślna. Kandydat na studenta miał mierny talent magiczny i ogólnie brakowało mu zainteresowania sztuką rzucania zaklęć, chodzenia w mroku, czynienia uroków i innymi arkanami wiedzy. Wyczuwając zasadzkę, Lavenci przerwała rozmowę, przez okno wyszła na dach domu, przebiegła szczytami kilku dachów i zeskoczyła na ulicę. Spojrzała za siebie na dom, który właśnie opuściła. Zobaczyła uzbrojonych mężczyzn z pochodniami, którzy blokowali wejście, oraz grupę gwardzistów, którzy trzymali w pogotowiu magiczną sieć. Ktokolwiek zorganizował tę obławę, wiedział, że zwierzyzna ma zdolności magiczne.

Pospieszyła przed siebie, czując ulgę, że udało jej się uciec, ale zaniepokoił ją

fakt, iż konstablom udało się podejść tak blisko, że niemal ją schwytali. Podążała przez miasto, klucząc, w kierunku dzielnicy Nigdy. Pod wieloma względami dzielnica Nigdy nadawała się na ulokowanie tam akademii dla czarodziejów. Była źródłem tak wielu podejrzanych działań, że wydawała się naturalnym miejscem dla kogoś żyjącego poza prawem. Wielki dom madame Yvendel miał kilkadziesiąt ukrytych wejść i wyjść. Był to rodzaj „stacji przesiadkowej” dla czarodziejów uciekających przed pościgiem. Część przejść podziemnych ciągnęła się ponad pół kilometra od domu, a inne wyjścia prowadziły na dachy. Dom został wynajęty paserom, którzy wykorzystywali go jako magazyn i sklep, gdzie handlowano skradzionym towarem, ignorując czarodziejów, którzy przemykali tamtędy od czasu do czasu, i zabijając każdego intruza, który wyglądał, jakby pracował dla gwardii, konstabli czy milicji.

Spanikowana Lavenci popełniła błąd - pobięła ku najbliższemu wejściu do tego domu. Dyskretnie rozejrzała się po uliczce oświetlonej tylko blaskiem Mirala, skręciła w zaułek i odliczyła trzydzieści kroków, zanim odwróciła się w prawo. Były tam drzwi, tak jak się spodziewała. Obróciła klucz w zamku, ale drzwi nie dała już rady otworzyć. Opadło na nią zaklęcie magicznej sieci i została schwytana przez kilku silnych mężczyzn, którzy pod tunikami nosili kolczugi. Zanim zdążyła wymówić zaklęcie ognia, zakneblowano jej usta. Ktoś odsłonił zawieszoną na tyczce latarnię.

- Konstabile Inkwizycji, jest pani aresztowana - odezwał się głos spod kaptura.

Lavenci zobaczyła, że u góry i u podstawy drzwi przykręcono deski. Dziewięć zamaskowanych postaci w czarnych płaszczach skupiło się wokół niej w uliczce.

- Uważamy, że jest pani czarodziejem wykładowcą - powiedział jeden z zakapturzonych konstabli. - To dobrze, bo będziemy mogli wiele się od pani nauczyć.

Kopnął ją w bok. Lavenci wydała stłumiony przez knebel pisk, a ból przy kolejnym wdechu uświadomił jej, że ma złamane co najmniej jedno zebro.

- To w ramach zapłaty i musi pani przyznać, że byliśmy bardzo hojni.

Kopnął ją po raz drugi i pisk Lavenci przeszedł w rozpaczliwy jęk. Gdzieś w pobliżu rozległ się brzęk tłuczonej butelki.

- To okropne, coś trzeba zrobić z takimi jak wy! - krzyknął ktoś u wejścia do zaułka.

- Co do wszystkich kręgów piekielnych... - zaczął oprawca Lavenci i umilkł, bo połówka cegły wyleciała ze świstem z ciemności, trafiła go w głowę i zwała z nóg. Poleciał na kompana trzymającego tyczkę z latarnią, olej z lampy chlusnął na tego, który trzymał Lavenci za rękę. Zakapturzony mężczyzna stanął w płomieniach. Po

chwili jakiś pijak skoczył pomiędzy konstabli i wciągnął ich w bójkę. Przeżrana Lavenci uciekła w kierunku wylotu alejki, wypływając po drodze knebel. Wpadła prosto na kolejną grupę mężczyzn i znowu została otoczona.

- Nic pani nie jest? - zapytał ktoś.

- Jesteśmy przyjaciółmi - zagrzmiał wielki i potężnie zbudowany nieznajomy.

- Musicie temu człowiekowi pomóc! - krzyknęła Lavenci, ignorując palący ból w boku i mając nadzieję, że ludzie stojący przed nią faktycznie są przyjaciółmi. - Zaatakował dziewięciu konstabli uzbrojony tylko w butelkę po piwie.

- To jego ulubiona broń - powiedział wielkolud.

Dla Lavenci świat w gwałtownym tempie tracił jakikolwiek sens. Z alejki dobiegały łomoty, trzaski i przyprawiające o mdłości odgłosy uderzeń oraz jęki i okrzyki bólu.

- Co się dzie... - wydusiła z siebie w końcu.

- Próbuje nie zrobić im większej krzywdy, droga pani.

- Ale, ale, ale... jeden przeciwko dziewięciu?

- Jesteśmy Tajnymi Konstablami Inkwizycji, proszę pani, a to jeden z naszych najlepszych ludzi.

- Tajni Konstable Inkwizycji?

- Tak, proszę pani.

- Przeciwnieństwo Konstabli Inkwizycji?

- O nie, proszę pani, nie mamy nic wspólnego z tymi odrażającymi ludźmi.

Lavenci zauważyła, że w zaułku nagle zapanowała cisza. Podszedł jej wybawca, odrzucił potłuczoną butelkę, strząsnął kłęb włosów z buta, poprawił na sobie ubranie i skłonił się przed nią.

- Musiałem narzucić kilka ciał na jednego płonącego prostaka, aby zdusić płomień.

- Mówiłem, że jesteśmy humanitarni - rzekł wielkolud. - Ten chłopak nigdy nikogo nie zabił.

- Powinniśmy odprowadzić panią do madame Yvendel - powiedział sympatyczny młodzieniec.

- Do madame Yvendel... to znaczy, ja nic nie wiem o domu madame Yvendel.

- Ani my, proszę pani. Ruszajmy.

Lavenci nagle się zorientowała, że jej eskorta stopniała do trzech osób.

- Niech pani weźmie Danoloriana za rękę - powiedział ten, który chyba tu

dowodził. - Nie będziemy wyglądać podejrzanie, ot, zakochana parka i ich służący wracają z tawerny.

Gdzieś za nimi rozległ się okrzyk bólu.

- Pewnie ścigał panią jeszcze jeden oddział inkwizytorów - powiedział Danol, nieśmiało ujmując jej dłoń.



Promem przeprawili się przez rzekę Alber i wkrótce dotarli do Latarnika, gdzie tajni konstable inkwizycji, znani jako Essen i Andry, odbierali instrumenty od barmana. Kiedy zaczęli grać reela, Danol skłonił się przed Lavenci i poprosił ją do tańca. Chociaż ból jak rozgrzane do białości cęgi szarpał jej bok, Lavenci zacisnęła zęby i z uśmiechem wstała. Ruszyli do tańca. Później, gdy wraz z Danolem usiedli, aby odpocząć, Lavenci wskazała Andry'ego. Grał na rebeku jakąś smutną melodię.

- Kim jest ten młody człowiek? - zapytała. - Czy to jakiś rycerz albo szlachcic w przebraniu? Walczy jak bohater epickich ballad, gra pięknie i ma czarujące maniery. On z pewnością nie pochodzi z ludu, prawda?

- To zwykły chłopak - odparł Danol. - Miał dwie ukochane, ale obie stracił po spędzeniu z każdą jednej wspólnej nocy. Teraz postanowił już nikomu nie oddawać serca. Mówi, że przynosi nieszczęście każdej, w której się zakocha.

Andry i Essen zaczęli grać kolejną wiązaną melodię i tym razem Lavenci poprosiła Danola do tańca. Nie zamieniłabym tej nocy, tej tawerny i towarzystwa tych młodzieńców nawet na tron samej cesarzowej Wensomer, pomyślała Lavenci, gdy pijący stukali się kuflami lub klaskali do rytmu muzykantom, którzy grali „Dziewczyny z Alberinu”.